

ROBERT LUDLUM



PLAN IKAR

Robert Ludlum
PLAN IKAR II

przełożył: Wiktor T. Górny

tekst wklepał: Krecik

Tom II

Wydawnictwo AiB

Warszawa 1992

Copyright (c) by Robert Ludlum 1988

Redaktor: Janusz W. Piotrowski

Zdjęcie na okładce: Rafał Wojewódzki

Opracowanie graficzne serii: skład i łamanie

Studio Q

For the Polish Edition

Copyright (c)1992

by Wydawnictwo AiB

Adamski i Bieliński s.j.

Wydanie I

ISBN 83-85593-03-9

Wydawnictwo AiB Adamski i Bieliński s.j.

Warszawa 1992

ark wyd. 20, ark druk. 22

Druk i oprawa: Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca

w Krakowie, ul. Wadowicka 8

zam. 6528/92

*** * ***

Rozdział 23

Emmanuel Weingrass siedział w czerwonej plastikowej łoży z krępyim, wąsatym właścicielem barku w Mesa Verde. Ostatnie dwie godziny upłynęły mu pod znakiem wielkiego napięcia, co mu przypomniało owe szalone dni w Paryżu, kiedy pracował dla Mosadu. Wprawdzie obecna sytuacja miała w sobie nieporównanie mniej dramatyzmu, i przeciwnicy raczej nie czyhali na jego życie, lecz przecież był teraz starszym panem, a musiał się poruszać tak, żeby go nie widziano ani nie zatrzymano. W Paryżu musiał pokonać niepostrzeżenie trasę od SacreCoeur na Boulevard de la Madelaine obstawioną szczelnie terrorystami. Tutaj, w Kolorado, musiał się przemknąć z domu Evana do miasteczka Mesa Verde tak, aby nie zatrzymała go i nie przytknęła drużyna jego pielęgniarek, które kręciły się wszędzie z powodu zamieszania na zewnątrz.

–Jak tyś to zrobił? – spytał GonzalezGonzalez, właściciel barku, nalewając Weingrassowi szklankę whisky.

–Wykorzystałem drugą w kolejności, historycznie rzecz biorąc, potrzebę odosobnienia cywilizowanego człowieka, GeeGee. Toaletę. Udałem się do toalety i wyszedłem przez okno. Następnie zmieszałem się z tłumem pstrykając zdjęcia aparatem Evana niczym zawodowy fotograf, a wreszcie złapałem taksówkę tutaj.

–Wiesz, człowieku – wtrącił GonzalezGonzalez – taryfiarze naprawdę się dzisiaj obłowią!

–Złodzieje i tyle! Ledwo wsiadłem, a ten ganef z miejsca mi mówi: "Sto dolarów na lotnisko, łaskawco." No więc mu odpowiedziałem, uchylając kapelusza: "Stanowa Komisja do spraw Taksówkarstwa zainteresuje się na pewno nowymi taryfami w Verde", na co on do mnie: "A, to pan, panie Weingrass. Przecież ja żartowałem, panie Weingrass." No to mu odparowałem: "Licz im pan dwieście, a mnie pan zawieź do GeeGee!" Obaj mężczyźni zanieśli się głośnym śmiechem, gdy wtem automat telefoniczny na ścianie tuż za ich lożą zadzwonił głośnym staccato. Gonzalez położył rękę na ramieniu Manny'ego.

–Garcia odbierze – rzekł.

–Dlaczego? Mówiłeś, że mój chłopak dzwonił już dwa razy! – Garcia wie, co powiedzieć. Właśnie go poinstruowałem.

–To powiedz i mnie!

–Da kongresmanowi numer telefonu w moim kantorze i poprosi, żeby za dwie minuty zadzwonił jeszcze raz.

–GeeGee, co ty, do licha, wyprawiasz?

–Kilka minut po tobie wszedł tu jakiś nie znany mi gringo. – No i co z tego? Dużo tu się przewija ludzi, których nie znasz. – Manny, on mi tu jakoś nie pasuje. Nie ma prochowca, kapelusza ani aparatu fotograficznego, ale i tak nie pasuje. Ma na sobie garnitur... z kamizelką. – Weingrass już miał odwrócić głowę. – Nie – rzucił ostro Gonzalez, ściskając rękę Weingrassa. – Facet co jakiś czas spogląda tutaj. Na pewno chodzi mu o ciebie.

–No to co robimy?

–Na razie czekaj. Wstaniesz, kiedy ci powiem. Kelner imieniem Garcia odwiesił słuchawkę, kaszlnął jeden raz i podszedł do rudego nieznanego w ciemnym ubraniu. Nachylił się i ściszym głosem powiedział coś elegancko ubranemu gościowi. Mężczyzna spojrzał chłodno na tego nieoczekiwanego posłańca; kelner wzruszył ramionami i wrócił za bar. Mężczyzna powoli, dyskretnie, położył na stole kilka banknotów, wstał i wyszedł najbliższymi drzwiami.

–Teraz – szepnął GonzalezGonzalez, wstając i pokazując gestem Manny'emu, żeby podążył za nim. Dziesięć sekund później znajdowali się już w zaniedbanym kantorze właściciela. – Kongresman zadzwonił za jakąś minutę – oznajmił GeeGee, wskazując krzesło za biurkiem, które przed kilkadziesiąt laty widziało lepsze czasy. – Jesteś pewien, że to był Kendrick? – spytał Weingrass.

–Potwierdziło mi to kasznięcie Garcii.

–A co powiedział tamtemu facetowi przy stole?

–Że wiadomość przez telefon musiała być chyba do niego, bo żaden inny gość nie odpowiada temu rysopisowi.

–Jak brzmiała wiadomość?

–Całkiem prosto, amigo. Że musi się koniecznie skontaktować ze swoimi ludźmi na zewnątrz.

–Tylko tyle?

–Przecież wyszedł? To nam coś mówi, prawda?

–Na przykład co?

–Uno, że musi się porozumieć z jakimiś ludźmi, tak? Dos, że znajdują się albo przed tym wspaniałym lokalem, albo może się z nimi porozumieć w inny sposób, na przykład przez luksusowy telefon w swoim samochodzie, tak? Tres, że nie przyszedł tu w tym swoim luksusowym garniturze tylko po to, żeby się napić teksańskomeksykańskiego piwa, którym się praktycznie krztusi, podobnie jak ty się krztusisz moim winem z bąbelkami, tak? quatro, nie ma dwóch zdań, że to ktoś nasłany z Waszyngtonu.

–Z rządu? – spytał zdumiony Manny.

–Osobiście nigdy nie miałem bynajmniej do czynienia z nielegalnymi uchodźcami, którzy przekraczają granice z mojego ukochanego kraju na południu, ale różne pogłoski docierają nawet do tak niewinnych uszu jak moje... Wiemy, czego szukać, przyjacielu. Comprende, hermano?

–Zawsze mówiłem – rzekł Weingrass siadając za biurkiem – że wystarczy znaleźć najbardziej obskurne bary w mieście, a człowiek więcej się dowie o życiu niż we wszystkich rynsztokach Paryża. – Paryż dużo dla ciebie znaczy, prawda, Manny?

–To mi już mija, amigo. Sam nie wiem dlaczego, ale mija. Coś się tu dzieje z moim chłopcem, a ja tego nie rozumiem. Ale to ważne. – On też dużo dla ciebie znaczy, prawda?

–To mój syn. " Zadzwoił telefon, Weingrass porwał słuchawkę do ucha, GonzalezGonzalez wyszedł z pokoju. – To ty, próżniaku? – Co się tam u ciebie dzieje, Manny? – spytał Kendrick na linii z czyścica na Wschodnim Wybrzeżu Marylandu. – Obstawia cię cały oddział Mosadu?

–Mam znacznie skuteczniejszą obstawę – odparł stary architekt z Bronxu. – Żadnych księgowych, żadnych rewidentów, którzy by liczyli szekle nad likierem jajecznym. Ale co z tobą? Co się, do diabła, stało?. – Nie wiem, przysięgam, że nie wiem! Evan zrelacjonował szczegółowo cały swój dzień, począwszy od zaskakujących wieści, jakie przekazał mu na basenie Sabri Hassan, poszukanie schronienia w podrzędnym motelu w Wirginii; od swojej konfrontacji z Frankiem Swannem z Departamentu Stanu po swój przyjazd pod eskortą do Białego Domu; od spotkania wrogo usposobionego szefa personelu Białego Domu aż po wizytę u prezydenta Stanów Zjednoczonych, który wszystko jeszcze gorzej zamącił, planując uroczystość wręczenia medalu w Błękitnej Sali na najbliższy wtorek, i to z orkiestrą wojskową. Skończywszy wreszcie na tym, że kobieta imieniem Khalehla, która najpierw uratowała mu życie w Bahrajnie, okazała się w istocie pracowniczką Centralnej Agencji Wywiadowczej przyslaną tam po to, żeby go wypytać.

–Z tego, co mi mówiłeś wynika, że nie mogła cię wydać.

–Niby dlaczego?

–Boś jej uwierzył, kiedy ci powiedziała, że jest Arabką przepelnioną wstydem, sam mi mówiłeś. Pod pewnymi względami, próżniaku, znam cię lepiej niż ty sam siebie. Niełatwo cię nabrać w takich sprawach, Dlatego byłeś taki dobry w Grupie Kendricka... Gdyby ta kobieta cię wydała, powiększyłaby tylko swój wstyd i jeszcze bardziej rozjątrzyła obłąkany świat, w którym żyje.

–Manny, tylko ona mi pozostała. Inni nie wchodzą w rachubę. – To znaczy, że są

jacyś inni poza tymi innymi.

–Na miłość boską, ale kto? Tylko ci ludzie wiedzieli, że tam jestem.

–Podobno Swann ci powiedział o rozmowie z jakimś blondasem z obcym akcentem, który wykombinował, że jesteś w Maskacie. A skąd on zaczerpnął informacje?

–Nikt nie może go odnaleźć, nawet Biały Dom.

–Może ja znam ludzi, którzy zdołają go odnaleźć – rzucił Weingrass. – Nie, Manny – sprzeciwił się Kendrick stanowczo. – To nie Paryż, a o tych Izraelczykach nie ma mowy. Za dużo im zawdzięczam, chociaż pewnego dnia poproszę cię o wyjaśnienie tego ich zainteresowania pewnym jeńcem w ambasadzie.

–Nigdy mi tego nie powiedziano – odparł Weingrass. – Wiedziałem o wstępnym planie akcji, do której przysposobiono oddział, zakładałem, że chodzi o kogoś wewnątrz, ale nigdy tego przy mnie nie omawiano. Ci ludzie umieją trzymać język za zębami... Jaki jest twój następny ruch?

–Jutro rano z tą Rashad, już ci mówiłem.

–A potem?

–Nie oglądasz chyba telewizji.

–Jestem u GeeGee. On tylko uznaje wideokasety, pamiętasz? Puszczą powtórkę z finałów baseballa w osiemdziesiątym drugim, i prawie wszyscy goście w barze sądzą, że to dzisiaj. A co jest w telewizji?

–Prezydent. Ogłosił, że jestem w bezpiecznym odosobnieniu. – Dla mnie to brzmi jak więzienie.

–Poniekąd masz rację, ale warunki są znośne, a poza tym nadzorca dał mi pewne przywileje.

–Dostanę numer telefonu?

–Sam go nie znam. Na aparacie nic tu nie ma, tylko czysty pasek, ale będę z tobą w kontakcie. Zadzwoń, jeśli się stąd ruszę. Nikt nie może wytropić tej linii, chociaż i tak nic by to nikomu nie dało. – Dobra, teraz ja cię o coś spytam. Wspomniałeś komukolwiek o mnie?

–Na miły Bóg, skądże znowu. Zapewne figurujesz w tajnych aktach z Omanu, mówiłem też, że poza mną wiele innych osób zasługuje na uznanie, ale nigdy nie wymieniłem twojego nazwiska. Dlaczego pytasz?

–Bo jestem śledzony.

–Co?

–Nie podoba mi się ta zagrywka. GeeGee twierdzi, że ten błazen, co mi siedzi na ogonie, jest naślany z Waszyngtonu i że nie działa sam. – Może Dennison wyciągnął twoje nazwisko z akt i przydzielił ci ochronę.

–Przed czym? Nawet w Paryżu jestem bezpieczny jak sejf. Gdybym nie był, już od trzech lat bym nie żył. A dlaczego sądzisz, że figuruję w jakichkolwiek aktach? Poza oddziałem nikt nie znał mojego nazwiska, poza tym żadne z naszych nazwisk nie padło na konferencji tego ranka, kiedy wszyscy wyjechaliśmy. Wreszcie, próżniaku, gdyby ktoś chciał mnie ochronić, może warto byłoby mnie o tym. powiadomić. Bo jeśli jestem na tyle groźny, żebym wymagał takiej ochrony, mogę kropnąć jakiegoś

nieznajomego, który mnie będzie chronił.

–Jak zwykle – przyznał Kendrick – na tej twojej pustyni niewiarygodności może się kryć ziarno zdrowego rozsądku. Sprawdzę to. – Bardzo cię proszę. Może nie zostało mi tak wiele lat życia, ale nie chciałbym go skracać kulą w głowie z którejkolwiek ze stron. Zadzwoń jutro, bo teraz muszę wracać na ten swój sabat czarownic, zanim więdźmy zgłoszą moje zniknięcie czarownikowi w osobie szefa policji.

–Pozdrów ode mnie GeeGee dorzucił Evan. – I powiedz mu, że kiedy wrócę do domu, niech się lepiej trzyma z daleka od interesów importowych. Aha, i podziękuj mu, Manny. Kendrick odłożył słuchawkę na widełki, ale nie odrywając ręki znów ją podniósł i wykręcił 0.

–Centrala – zgłosił się jakby z wahaniem damski głos po dłuższej, nienaturalnie chyba długiej chwili."

–Nie wiem dlaczego – zaczął Evan – ale tak mi się zdaje, że nie jest pani normalną telefonistką z Towarzystwa Telefonicznego Bell. – Słucham pana...?

–Mniejsza o to. Moje nazwisko Kendrick, muszę się porozumieć jak najszybciej z panem Herbertem Dennisonem, szefem personelu Białego Domu, w bardzo pilnej sprawie. Proszę go odnaleźć i sprawić, żeby oddzwonił w ciągu pięciu minut. Gdyby okazało się to niemożliwe, będę zmuszony zadzwonić do męża mojej sekretarki, porucznika waszyngtońskiej policji, i oświadczyć mu, że jestem więziony w miejscu, które z dużą dozą prawdopodobieństwa mógłbym dość dokładnie określić.

–Ależ, proszę pana!

–Wyrażam się chyba jasno i logicznie – przerwał jej Evan. – Pan Dennison ma się ze mną skontaktować w ciągu pięciu minut, zaczynam mierzyć czas. Dziękuję pani, żegnam. Kendrick ponownie odłożył słuchawkę, ale tym razem oderwał od niej rękę i podszedł do barku w ścianie, w którym stał pojemnik z lodem i bateria butelek drogich gatunków whisky. Nalał sobie kielicha, spojrzął na zegarek, po czym podszedł do dużego okna kwaterowego, z którego rozciągał się widok na rześkie oświetlony teren z tyłu domu. Rozbawił go widok trawiastego pola do krykieta obstawionego białymi ogrodowymi meblami z kutego żelaza; mniej go natomiast rozbawił widok strażnika ubranego w cywilny uniform służącego posiadłości. Mężczyzna przemierzał alejkę w ogrodzie pod kamiennym murem, z przodu miał przewieszony zgoła nie cywilny, zdecydowanie wojskowy karabin automatyczny. Manny się nie mylił Evan był w więzieniu. Po chwili zadzwonił telefon, kongresman z Kolorado wrócił do aparatu.

–Cześć, Herbie, co słychać?

–Co słychać, ty skurwysynu? Jestem, do cholery, pod prysznicem, oto co słychać. Cały mokry! Czego chcesz?

–Chcę wiedzieć, dlaczego Weingrass jest śledzony. Chcę wiedzieć, dlaczego jego nazwisko w ogóle wypłynęło na powierzchnię, ale lepiej mi podaj jakiś cholernie dobry powód, na przykład jego bezpieczeństwo osobiste,

–Wolnego, niewdzięczniku – uciął szorstko szef personelu. – Co znów, psiakrew, za Weingrass? Coś, co podrzucił Manischewitz? – Emmanuel Weingrass to architekt

o międzynarodowej sławie. Jest również moim przyjacielem i mieszka teraz w moim domu w Kolorado. A z powodów, których nie muszę ci tłumaczyć, jego pobyt tam jest ściśle tajny. Gdzie i komu przekazałeś jego nazwisko? – Nie mogę przekazywać czegoś, czego w życiu nie słyszałem, ty durniu.

–Chyba mnie nie okłamujesz, co, Herbie? Bo jeśli łżesz, już ja dopilnuję, żeby ci najbliższych kilka tygodni poszło w pięty. – Gdybym tylko sądził, że kłamstwami się ciebie pozbędę, zaraz udałbym się do tego źródła. Ale w sprawie Weingrassa nie mam żadnych kłamstw w zanadrzu, bo go nie znam. Musisz mi więc pomóc... – Czytałeś raporty przesłuchań z Omanu, prawda?

–To była jedna teczka akt, już zresztą spalona. Oczywiście, że czytałem.

–I nigdy nie pojawiło się w niej nazwisko Weingrassa?

–Nie, a na pewno zapamiętałbym. Bo to dziwne nazwisko.

— Dla Weingrassa akurat nie. – Kendrick przerwał, ale nie na tak długo, żeby Dennison zdążył coś wtrącić. – Czy ktokolwiek z Centralnej Agencji Wywiadowczej, Państwowej Agencji Bezpieczeństwa lub podobnych instytucji mógł dać nadzór mojemu gościowi nie informując cię o tym?

–Nie ma mowy! – wykrzyknął suzeren Białego Domu. – W sprawie twojej osoby i kłopotów, jakich nam narobiłeś, nikt nie ma prawa kiwnąć choćby małym palcem, żebym o tym nie wiedział! – I ostatnie pytanie. Czy w aktach z Omanu była jakaś wzmianka o osobie, która przyleciała ze mną z Bahrajnu? Teraz z kolei Dennison zawiesił głos.

–Chyba odslania pan karty, panie kongresmanie.

–Jeszcze chwila, a sam wyjdiesz na ciepłe kluchy. Jeżeli sądzisz, że już teraz wpakowałeś w kabałę siebie i twojego szefa, tym bardziej nie waz się nawet snuć domysłów na temat powiązań tego architekta. Zapomnij o tym.

–Dobrze, zapomnę – zgodził się szef personelu. – Z takim nazwiskiem jak Weingrass mógłbym się dopatrzyć innych powiązań, a to mnie już przeraża. Podobnie jak Mosad.

–To świetnie. A teraz odpowiedz tylko na moje pytanie. Co było w tych aktach na temat mojego przylotu z Bahrajnu do Andrews? – Na pokładzie znajdowałeś się ty i pewien stary Arab ubrany w zachodnim stylu, wieloletni subagent Operacji Konsularnych, który przyleciał tu na leczenie. Nazywał się Ali Jakiśtam. Departament Stanu go przepuścił i facet się zmył. Wszystko jasne, Kendrick. Nikt tu w rządzie nie ma pojęcia o żadnym panu Weingrassie. – Dzięki, Herb. Dzięki za formę "Herb"...W czymś jeszcze mógłbym ci pomóc? Evan wyjrzał przez kwaterowe okno, rzucił okiem na rzeświście oświetlony teren, strażnika przed domem i całą tę scenerię. – Będę tak miły i powiem, że nie. – odparł cicho. – Przynajmniej na razie. Ale mógłbyś mi coś wyjaśnić. Ten telefon jest na podsłuchu, prawda?

–Tak, ale nie na zwykłym. Ma taką małą czarną skrzynkę jak w samolotach. Może ją usunąć tylko powołany do tego personel, a taśmy podlegają procedurze ścisłego utajnienia.

–Czy mógłbyś wyłączyć podsłuch na jakieś pół godziny, dopóki się z kimś nie skontaktuję? Wierz mi, że to również dla twojego dobra. – Zgadza się... Jasne,

podśluch można zablokować. Nasi ludzie często z tego korzystają, kiedy przebywają w takich domach. Daj mi tylko pięć minut, a potem dzwoń sobie choćby i do Moskwy. – Pięć minut.

–Mogę teraz wrócić pod prysznic?

–Spróbuj tym razem bielinki. Kendrick odłożył słuchawkę, wyjął portfel, wsunął palec wskazujący pod skrzydełko z prawem jazdy z Kolorado. Wyciągnął świstek papieru z zapisanymi dwoma numerami prywatnych telefonów Franka Swanna i znów spojrzał na zegarek. Odczeka dziesięć minut, oby tylko zastał zastępcę dyrektora Operacji Konsularnych pod jednym z nich. I zastał. Oczywiście w jego apartamencie. Po wymianie uprzejmych pozdrowień Evan wyjaśnił, gdzie się znajduje, przynajmniej wedle swojego rozeznania. – I jak to "bezpieczne odosobnienie"? – spytał Swann znużonym jakby głosem. – Ładnych kilka razy bawiłem w takich domach, kiedy przesłuchiwałem zbiegów. Mam nadzieję, że trafiła ci się rezydencja ze stajniami albo przynajmniej z dwoma basenami, jednym, rzecz jasna, w środku. Wszystkie są do siebie podobne. Rząd kupuje je chyba w ramach politycznej rekompensaty dla bogaczy, którym nudzą się ich duże domy i chcą dostać jeden za darmo. Mam nadzieję, że ktoś tego słucha. Bo ja już nie mam basenu.

–Widziałem tylko trawnik do krykieta.

–Kiepskie czasy. Co mi masz do powiedzenia? Zanoszą się na to, że wyjdę cało z operacji?

–Może. Przynajmniej usiłowałem wyciągnąć cię trochę z tego bagna... Frank, muszę cię o coś spytać, a wiedz, że możemy mówić, co nam się żywnie podoba, wymieniać dowolne nazwiska. Telefon nie jest teraz na podsłuchu.

–Kto ci to powiedział?

–Dennison.

–I tyś mu uwierzył? Nawiasem mówiąc, guzik mnie obchodzi, że trafi do niego zapis tej rozmowy.

–Wierzę mu, bo facet wyczuwa, co miałbym do powiedzenia, i chętnie oddaliłby naszą rozmowę od rządu o tysiąc kilometrów. Obiecał, że zablokuje podsłuch.

–I pewnie ma rację. Boi się, żeby jakiś zaplątany pistolet nie usłyszał twoich słów. No więc, co takiego?

–Manny Weingrass, a przez niego powiązania z Mosadem...

–Już ci mówiłem, nie i nie – przerwał mu zastępca dyrektora, – A, zresztą, niech będzie, że nie jesteśmy na podsłuchu. Mów dalej. – Dennison powiedział mi, że w aktach z Omanu na liście pasażerów samolotu z Bahrajnu do Bazy Sił Powietrznych w Andrews owego ostatniego ranka figurują ja i pewien stary Arab ubrany w zachodnim stylu, subagent Operacji Konsularnych...

–Który przyleciał tu na leczenie – przerwał mu Swann. – Po latach nieocenionej współpracy Alego Saada nasz wywiad jest winien przynajmniej tyle jemu i jego rodzinie.

–Pamiętasz dokładnie sformułowanie?

–Kto miałby lepiej pamiętać? Sam je pisałem.

–Ty? Czyli wiedziałeś, że to Weingrass?

–Nietrudno było zgadnąć. Twoje instrukcje przekazane przez Graysona były cholernie wyraźne. Domagałeś się, podkreślałam, domagałeś, żeby anonimowa osoba towarzyszyła ci w samolocie z powrotem do Stanów...

–Oślaniałem w ten sposób Mosad.

–Ewidentnie. Ja też. Widzisz, wwożenie kogoś takiego jest niezgodne z naszymi przepisami, nie mówiąc już o prawie, chyba że figuruje w naszych aktach. No więc wpisałem go do akt jako kogoś innego. – Ale skąd wiedziałeś, że to Manny?

–Z tym już poszło najłatwiej. Zamieniłem słowo z szefem Straży Królewskiej Bahrajnu, którego wyznaczono do twojej ochrony. Wystarczyłby mi zapewne rysopis, ale kiedy tamten mi powiedział, że ten stary drań kopnął jednego z jego ludzi w kolano, bo dopuścił do tego, że się potknąłeś wsiadając do samochodu na lotnisku, miałem już pewność, że to Weingrass. Poprzedzała go zawsze, jak to się mówi, jego reputacja.

–Doceniam twój gest – odparł miękko Evan. – Zarówno dla niego, jak i dla mnie.

–To był jedyny sposób, żeby ci podziękować.

–Mogę więc zakładać, że nikt z kręgów wywiadu w Waszyngtonie nie wie, że Weingrass był wmieszany w sprawę Omanu.

–Absolutnie. Jeśli chodzi o Maskat, on nie istnieje. Podobnie zresztą tutaj, w kraju.

–Dennison nawet o nim nie słyszał...

–Ma się rozumieć.

–Frank, Manny ma ogon. Ktoś go śledzi tam w Kolorado.

–Nikt z naszych.

Niecałe trzysta metrów na północ od czyścica nad Chesapeake Bay znajdowała się posiadłość doktora Samuela Wintersa, wybitnego historyka, a od przeszło czterdziestu lat przyjaciela i doradcy kolejnych prezydentów Stanów Zjednoczonych. W młodszym wieku ten niesłychanie zamożny uczonec cieszył się ponadto renomą znakomitego sportsmena; liczne trofea zdobyte w grze w polo, w tenisie, w narciarstwie i żeglarstwie stały rzędem na półkach jego prywatnego gabinetu, świadcząc o dawniejszych wyczynach. Teraz starzejącemu się wykładowcy pozostała bardziej bierna gra, stanowiąca od pokoleń uboczną pasję rodziny Wintersów, która po raz pierwszy wkroczyła na trawnik ich posiadłości w Zatoce Ostryg na początku lat dwudziestych. Tą grą był krykiet, toteż gdziekolwiek jakkolwiek członek rodziny budował nową posiadłość, jednym z pierwszych wymogów był odpowiedni trawnik przepisowych rozmiarów, nieodmiennie 40 na 75 stóp, określonych w roku 1882 przez Krajowy Związek Krykieta. Dlatego gościom posiadłości doktora Wintersa od razu rzucało się w oczy pole krykietowe na prawo od olbrzymiego domu nad wodami Chesapeake. Jego uroki podkreślały liczne białe meble z kutego żelaza okalające pole, przeznaczone dla graczy, którzy chcą odpocząć analizując następny ruch albo się czegoś napić. Było ono identyczne z polem krykietowym w czyścicu niecałe trzysta metrów na południe od posiadłości Wintersa, nic zresztą dziwnego, albowiem ziemia, na której znajdowały się obie rezydencje należała pierwotnie do Samuela Wintersa. Przed pięciu laty – przy cichym wskrzeszeniu Inver Brass – doktor Winters

podarował bez rozgłosu swoją południową posiadłość rządowi Stanów Zjednoczonych na "bezpieczny dom", czyli w żargonie czyściec. Aby odstraszyć niewinnych ciekawskich, a także zapobiec wrogim knowaniom potencjalnych przeciwników Stanów Zjednoczonych, transakcji nigdy nie ujawniono. Zgodnie z zapisami w księgach hipotecznych przechowywanych w ratuszu Cynwid Hollow, dom i przyległe grunty nadal pozostawały własnością Samuela i Marthy Jennifer Wintersów – choć ta ostatnia już nie żyła, za którą księgowi rodziny płacili rokrocznie wyjątkowo słony podatek nadbrzeżny, refundowany w tajemnicy przez wdzięczny rząd. Jeżeli ktokolwiek ciekawski, czy to życzliwie, czy wrogo nastawiony, dopytywał o funkcjonowanie tego arystokratycznego majątku, nieodmiennie dostawał odpowiedź, że nic się nie zmieniło, że te wszystkie luksusowe samochody i liczna służba oddane są do dyspozycji większych i mniejszych znakomitości świata nauki i przemysłu reprezentujących zróżnicowane zainteresowania Samuela Wintersa. Brygada krzepkich młodych ogrodników utrzymywała posiadłość w nieskazitelnym stanie, a także świadczyła usługi napływającym strumieniem gościom. Stwarzano więc wrażenie, że jest to wiejski ośrodek intelektualny multimilionera przeznaczony do rozmaitych celów – zbyt otwarty, żeby służyć czemukolwiek innemu, niż rzekomo służył. Aby podtrzymać to wrażenie, wszystkie rachunki przesyłano księgowym Samuela Wintersa, który je sumiennie płacił, kopie zaś przekazywał adwokatowi owego historyka, który z kolei doręczał je osobiście do Departamentu Stanu, żeby uzyskać potajemnie zwrot kosztów. Był to bardzo prosty układ, wygodny dla wszystkich zainteresowanych, tak prosty i wygodny jak propozycja doktora Wintersa przedstawiona prezydentowi Langfordowi Jenningsowi, że kongresmanowi Evanowi Kendrickowi mogłoby po prostu wyjść na dobre kilka dni spędzonych z dala od świateł rampy środków masowego przekazu, w czyścicu na południu jego posiadłości, bo nic się tam akurat nie działo. Prezydent przyjął z wdzięcznością tę propozycję; zalecił Herbertowi Dennisonowi, żeby go tam ulokował. Miloś Varak zdjął z głowy wielkie słuchawki i zamknął konsolę elektroniczną na stole przed sobą. Podjechał z krzesłem w lewo, wyłączył przycisk na najbliższej ścianie i natychmiast usłyszał cichy szum urządzenia, które opuszczało spodek anteny na dachu. Następnie wstał z krzesła i zaczął się przechadzać bez celu pośród supernowoczesnej aparatury telekomunikacyjnej w dźwiękoszczelnym studio w piwnicach domu Samuela Wintersa. Ogarnął go niepokój, To,, co podsłuchał z rozmowy telefonicznej przeprowadzonej z czyścicą przekraczało jego pojęcie. Jak to potwierdził Swann z Departamentu Stanu nikt z kręgów wywiadu w Waszyngtonie nie wiedział o istnieniu Emmanuela Weingrassa. Nie przypuszczano nawet, że ów "stary Arab", który przyleciał z Bahrajnu wraz z Evanem Kendrickiem to właśnie Weingrass. Wedle słów Swanna podziękowanie Evanowi Kendrickowi za jego dokonania w Omanie polegało na sekretnym wywiezieniu Weingrassa z Bahrajnu i równie sekretnym wwiezieniu do Stanów Zjednoczonych pod osłoną i w przebraniu. Zarówno człowiek, jak i przebranie w formalnym sensie znikli; Weingrass na dobrą sprawę nie istniał. Ponadto wybieg Swanna był absolutnie konieczny ze względu na powiązania Weingrassa z Mosadem, co Kendrick doskonale rozumiał, W istocie kongresman

również podjął nadzwyczajne kroki, żeby zataić obecność i tożsamość swojego starszego przyjaciela. Miloś dowiedział się, że starszy pan zgłosił się do szpitala pod nazwiskiem Manfred Weinstein, gdzie umieszczono go na sali w prywatnym skrzydle z osobnym wejściem, a po wypisie odwieziono prywatnym odrzutowcem do Mesa Verde w Kolorado. Wszystko było utajnione; nazwisko Weingrassa nie figurowało dosłownie nigdzie. A podczas kilku miesięcy rekonwalescencji porywczy architekt bardzo rzadko opuszczał dom, przy czym nigdy nie odwiedzał miejsc, w których znano kongresmana. Cholera! pomyślał Varak. Pominąwszy bliskie grono Kendricka, które wykluczało wszystkich poza zaufaną sekretarką, jej mężem, parą Arabów z Wirginii i trzema przepłacanymi pielęgniarkami, zobowiązanymi sowitym wynagrodzeniem do pełnej dyskrecji, Emmanuel Weingrass po prostu nie istniał! Varak wrócił do konsoli, wyłączył guzik nagrywania, cofnął taśmę i odnalazł słowa, które chciał jeszcze raz usłyszeć. "Mogę więc zakładać, że nikt z kręgowywiadu w Waszyngtonie nie wie, że Weingrass był zamieszany w sprawę Omanu. Absolutnie. Jeśli chodzi o Maskat, on nie istnieje. Podobnie zresztą tutaj, w kraju. Dennison nawet o nim nie słyszał... Ma się rozumieć. Frank, Manny ma ogon. Ktoś go śledzi tam w Kolorado. Nikt z naszych." "Nikt z naszych..." Czyli kto? Właśnie to pytanie tak zaniepokoiło Varaka. Jedyne osoby, które wiedziały o istnieniu Emmanuela Weingrassa, którym powiedziano, ile ten starszy pan znaczy dla Evana Kendricka, to pięciu członków Inver Brass. Czyżby któryś z nich...? Miloś nie chciał już dłużej o tym myśleć. W danej chwili sprawiało mu to zbyt dużo cierpienia.

Adrienne Rashad została gwałtownie wyrwana ze snu przez nieoczekiwany wstrząs samolotu wojskowego. Zerknęła na drugą stronę skąpo oświetlonej kabiny wyposażonej poniżej standardu pierwszej klasy. Attache z ambasady w Kairze najwyraźniej odczuwał niepokój, a ściśle mówiąc – strach. Był jednak na tyle obeznany z takimi samolotami, że wziął ze sobą przyjaciela dla pokrzepienia serca, a dokładnie pokaźną butelkę w skórzanym pokrowcu, którą wyrwał dosłownie z walizeczki i teraz z niej pociągał, dopóki nie poczuł na sobie wzroku współpasażerki. Z zakłopotaniem wyciągnął piersiówkę w jej stronę. Kobieta potrząsnęła głową i odezwała się przekrzykując ryk silników.

–To tylko dziury powietrzne wyjaśniła.

–Hej, kochani! – zawołał głos pilota przez głośnik. – Przepraszam za te dziurypowietrzne, ale niestety taka pogoda potrwa jeszcze przez jakieś pół godziny. Musimy się trzymać naszego korytarza, z dala od pasażerskich szlaków. Trzeba było wybrać kursowy rejs po przyjaznym niebie, moi drodzy. Trzymajcie się! Attache znów pociągnął z butelki, tym razem większy i głębszy łyk. Adrienne odwróciła wzrok, bo arabska część duszy podpowiadała jej, żeby nie patrzeć na strach mężczyzny, zachodnia zaś część pod współczesnym makijażem powiadała, że jako osoba zaprawiona w lotach wojskowych powinna rozproszyć lęk towarzysza podróży. Wygrała synteza; Adrienne uśmiechnęła się do attache dla dodania mu otuchy, po czym wróciła do swoich myśli przerwanych przez sen. Dlaczego tak kategorycznie wezwano ją z powrotem do Waszyngtonu? Jeżeli były jakieś nowe instrukcje, tak delikatne, że nie dało się ich przekazać przez dekodery, dlaczego

Payton niczego nawet jej nie zasugerował? "Wujek Mitch" nie dopuściłby do żadnego zakłócenia w jej pracy, nie zawiadamiając jej o tym. Nawet podczas zeszłorocznej zawieruchy w Omanie czy przy każdej innej nadzwyczajnej sytuacji Mitch wysyłał jej przez kuriera dyplomatycznego zapieczętowane instrukcje prosząc ją bez wyjaśnień o współpracę z Operacjami Konsularnymi Departamentu Stanu, choćby czuła się nie wiadomo jak urażona. Bo istotnie czuła się tym dotknięta. A teraz ni stąd, ni zowąd wezwano ją do Stanów, praktycznie wieziono ciupasem, i to bez słowa od Mitchella Paytona. Kongresman Evan Kendrick. Przez ostatnie osiemnaście godzin jego nazwisko przetaczało się po świecie niczym grzmot nadciągającego piorunu. Widziało się niemal wystraszone twarze tych, którzy kiedykolwiek mieli z Amerykaninem kontakt, jak patrzą w niebo rozważając, czy powinni od razu się kryć, żeby ratować w popłochu życie wobec groźby nadchodzącej burzy. Na pewno zemsta będzie próbowała dosięgnąć tych wszystkich, którzy wspomagali owego intruza z Zachodu. Zachodziła w głowę, kto też mógł wsypać jego działalność nie, "wsypać" to zbyt niewinne określenie – kto tak roztrąbił tę sprawę na cały świat! Od wiadomości na jego temat aż się roiło we wszystkich gazetach Kairu, a szybki rekonesans potwierdzał, że na całym Bliskim Wschodzie Evan Kendrick uchodzi albo za umiłowanego świętego, albo za haniebnego złoczyńcę. Czekala go więc kanonizacja lub śmierć w męczarniach zależnie od stanowiska osądzającego, nierzadko mieszkańców tego samego kraju. Dlaczego? Czyżby Kendrick sam się o to postarał? Czyżby ten wrażliwy człowiek, niezbyt pasujący na polityka, który narażał życie, żeby pomścić straszliwą zbrodnię, postanowił nagle po roku pokory i wyrzeczeń sięgnąć po premię polityczną? Jeżeli tak, nie był to ten sam człowiek, z którym miała przelotny, aczkolwiek jakże intymny kontakt przed czternastoma miesiącami. Przypomniała sobie wszystko z pewnymi wprawdzie zastrzeżeniami, ale bez cienia żalu. Kochali się – niesamowicie, namiętnie, może też nieuchronnie zważywszy okoliczności – ale o tych krótkich chwilach cudownych przeżyć należało zapomnieć. Jeżeli wieziono ją teraz do Waszyngtonu z powodu tego pochłoniętego nagle ambicją kongresmana, trzeba je wymazać raz na zawsze.

* * *

Rozdział 24

Kendrick stał przy oknie wychodzącym na szeroki, kolisty podjazd przed czyścem. Już przeszło godzinę temu zadzwonił do niego Dennison z wiadomością, że samolot z Kairu wylądował i że "tę Rashad" zaprowadzono do czekającego samochodu rządowego; była więc pod eskortą w drodze do Cynwid Hollow. Szef personelu zawiadomił też Evana, że agentka CIA gwałtownie zaprotestowała, kiedy nie pozwolono jej zadzwonić z Bazy Sił Powietrznych w Andrews. – Zaparła się jak oślica i za nic nie chciała wsiąść do samochodu – urągał Dennison Twierdziła, że nie miała bezpośredniej wiadomości od swoich zwierzchników i że Siły Powietrzne mogą się wypchać. Co za cholerna baba! Jechałem właśnie do pracy, ale złapali mnie przez telefon w mojej limuzynie. I wiesz, co mi powiedziała? "Kim pan, do diabła, jest?" Tak mi zasunęła! Po czym żeby mi dosolić, odsunęła słuchawkę od ust i spytała głośno: "Co to za jakiś Dennison?"

–Widzisz, Herb, to dlatego, że się nie obnosisz ze swoim stanowiskiem. I ktoś ją uświadomił?

–Te łajdaki się tylko roześmiały! Wtedy ja ją uświadomiłem, że jest pod rozkazami prezydenta, więc albo wsiądzie do wozu, albo spędzi pięć lat w Leavenworth.

–"Przecież to męskie więzienie.

–Wiem. Hej, hej! Za jakąś godzinę tam u ciebie będzie. Pamiętaj, jeśli to ona uruchomiła przeciek, biorę ją w swoje ręce.

–Może.

–Dostanę nakaz prezydencki!

–A ja go odczytałem w wiadomościach wieczornych. I to z przypisami.

–Psiakrew? Kendrick już miał odejść od okna na kolejną filiżankę kawy, kiedy u wylotu kolistego podjazdu zjawił się niepozorny szary samochód. Pokonał zakręt i zatrzymał się przed kamiennymi schodami, gdzie z tylnego siedzenia wyskoczył dziarsko major Sił Powietrznych. Obszedł prędko samochód i otworzył drzwi, żeby wypuścić służbowego pasażera. W porannym słońcu ukazała się kobieta znana Evanowi jako, Khalehla, mrużąc oczy w jaskrawym świetle, zaniepokojona i niepewna. Ciemne włosy opadały jej na ramiona, miała na sobie marynarkę, zielone spodnie i pantofle na niskich obcasach. Pod prawą pachą ścisnęła dużą białą torebkę damską. Kiedy Kendrick się jej przyglądał, wróciło mu wspomnienie tamtego wieczoru w Bahrajnie. Przypomniał sobie dreszcz, jaki go przeszył, gdy Khalehla wkroczyła do tamtej niecodziennej królewskiej sypialni, rozbawiona tym, że Evan odskoczył po narzutę z łóżka. I jak, mimo jego przerażenia, zakłopotania i bólu – a może w połączeniu z tymi trzema uczuciami – oszołomił go chłodny wdzięk jej ostro zarysowanej europejskoarabskiej twarzy oraz błysk inteligencji w oczach. I nie omylił się; była to oszałamiająca kobieta, która nosiła się prosto, niemal wyzywająco, nawet teraz, kiedy szła w stronę masywnych drzwi czyścica, na spotkanie z nieznanym. Kendrick przyglądał się jej beznamiętnie; nie było w nim teraz krztyny ciepłych wspomnień, jedynie zimna, intensywna ciekawość. Owego wieczoru w Bahrajnie okłamała go i to zarówno w tym, co mówiła, jak w tym, czego nie powiedziała. Zastanawiał się, czy znów go okłamała. Major Sił Powietrznych otworzył przed kobietą drzwi olbrzymiego salonu, Adrienne Rashad weszła i stanęła bez ruchu wbijając wzrok w Evana pod oknem. W jej oczach nie było zdziwienia, tylko mroźny błysk intelektu.

–To ja już pójdę – powiedział oficer Sił Powietrznych.

–Dziękuję, panie majorze. – Drzwi się zamknęły, Kendrick podszedł bliżej. Witam, Khalehlo. Bo tak brzmiało pani imię, prawda? – Wedle uznania – odparła spokojnie.

–Ale w rzeczywistości brzmi inaczej? Adrienne... Adrienne Rashad.

–Wedle uznania – powtórzyła.

–To zresztą nieistotne, prawda?

–Wszystko to jest bardzo głupie, panie kongresmanie. Po to mnie pan tu ściągnął, żebym złożyła kolejny dowód uznania? Bo jeśli tak, niech pan na to nie liczy.

–Dowód uznania? Jestem od tego jak najdalszy.

–Świetnie się składa. Z pewnością poseł z Kolorado ma wszelkie poparcie, jakiego

mu trzeba. Czyli osoba, której życie, podobnie jak życie wielu jej kolegów, zależy od anonimowości, nie musi wychodzić z cienia i dołączać do tego huraganu braw.

–Tak pani sobie wymyśliła? Że chodzi mi o poparcie, o brawa? – A co mam myśleć? Że oderwał mnie pan od pracy, ujawnił przed ambasadą i Siłami Powietrznymi, niszcząc zapewne parawan, którego się dorobiłam, przez ładnych kilka lat służby tylko dlatego, że poszłam z panem do łóżka? Raz się zdarzyło i zapewniam, że nigdy więcej się nie powtórzy.

–Chwileczkę, bystra damo – zmytygował ją Evan. – Nie szukałem błyskawicznego rozwoju wypadków. Na miłość boską, nie wiedziałem nawet wówczas, gdzie jestem, co się stało, ani co się stanie za chwilę. Byłem śmiertelnie przerażony, ale wiedziałem, że mam zadanie do wykonania, na które nie sądziłem, że mnie stać. No i był pan potwornie wyczerpany dodała Adriannę Rashad. – Ja zresztą też. To się zdarza.

–Tak to skomentował Swann... Ten łajdak.,

–Zaraz, chwileczkę. Frank Swann nie jest łajdakiem,...

–Mam użyć innego słowa? Na przykład alfons? Jest nieludzkim alfonsiem.

–Myli się pani. Nie wiem, jak się z nim pani układała współpraca, ale on też miał misję do spełnienia.

–Poświęcić pana?

–Może... Przyznaję, że ta myśl nie jest mi szczególnie bliska, ale sam był wówczas w niewąskich tarapatach.

–Niech pan da spokój, panie kongresmanie. Po co mnie tu sprowadzono?

–Bo muszę się czegoś dowiedzieć, a tylko pani mi pozostała z osób, które mogłyby mi udzielić odpowiedzi.

–Co to takiego?

–Kto mnie wsypał? Kto pogwałcił zawartą przeze mnie umowę? Powiedziano mi, że z tych, którzy wiedzieli o moim wyjeździe do Omanu... a była to garstka osób, jak to się mówi, bardzo wąskie grono... nikt z nich nie miał powodu mnie wydać, raczej wszelkie powody, żeby mnie nie wydawać. Pominąwszy Swanna i jego specja od komputerów, za którego ręczy głową, w rządzie było tylko siedem osób, które wiedziały. Sześć z nich już sprawdzono, wszystkie absolutnie odpadają. Pani jest siódma, jedyna, która pozostała. Adrienne Rashad stała bez ruchu z obojętną miną, tylko oczy wyrażały furję.

–Ty ciemny, arogancki amatorze – wycedziła zjadliwym głosem. – Może mnie pani wyzywać do woli – zaczął gniewnie Evan – ja i tak...

–Może wyszlibyśmy na spacer, panie kongresmanie? – wpadła mu w słowo agentka z Kairu, przechodząc do wielkiego okna wykuszowego po drugiej stronie pokoju, z którego rozciągał się widok ponad basenem portowym na skalisty brzeg Chesapeake.

–Co?

–Powietrze tu przygniatające, podobnie jak towarzystwo. Proszę, chodźmy na spacer., Rashad uniosła rękę i wskazała na zewnątrz, po czym dwa razy kiwnęła głową, jak gdyby chciała wzmocnić swój rozkaz.

–No dobrze – wybąkał zdumiony Kendrick. – Tam jest boczne wyjście

–Widzę – powiedziała AdrienneKhalehla, podchodząc do drzwi w głębi pokoju.

Wyszli na wykładane płytami kamiennymi patio, które prowadziło na wypielęgnowany trawnik i na ścieżkę wiodącą do basenu portowego. Jeżeli nawet przedtem kołysały się tu łodzie uwiązane do pali albo przymocowane do pustych beczek cumowniczych unoszących się na wodzie, zabrano je stąd przed jesiennymi wiatrami. – Proszę kontynuować swoją orację panie kongresmanie – ciągnęła agentka CIA. – Niech się pan nie pozbawia tej przyjemności.

–Czekaj no, panno Rashad czy jak tam się pani, do diabła, nazywa! – Evan przystanął na białej cementowej alejce w pół drogi do brzegu. – Jeżeli pani uważa, że to, o czym mówię sprowadza się do "oracji", żałośnie się pani myli...

–Na miłość boską, proszę iść dalej! Porozmawiamy, o czym pan tylko zechce albo i nie zechce. Ale z pana ciężki idiota. – Brzeg zatoki na prawo od basenu portowego był pokryty mieszaniną ciemnego piasku i kamieni, jakże typową dla Chesapeake; na lewo mieściła się przystań, też bardzo typowa. Nietypowa natomiast, wyjąwszy olbrzymie posiadłości, była gęstwina wysokich drzew jakieś pięćdziesiąt metrów zarówno na północ, jak na południe od basenu i przystani. Zapewniały poniekąd zaciszne schronienie, bardziej wprowadzie z pozoru niż w rzeczywistości, ale ich widok spodobał się agentce z Kairu. Skierowała się na prawo, przez piasek i kamienie tuż obok łagodnie bijących fal. Minęli granicę drzew i szli dalej, aż dotarli do wielkiej skały wystającej z ziemi na skraju wody. Spoza niej nie widać było ogromnego domu. – Już wystarczy – oznajmiła Adrienne Rashad.

–Wystarczy? – zawołał Kendrick. – Po co ta cała musztra? A skoro już przy tym jesteśmy, wyjaśnijmy sobie kilka spraw. Doceniam fakt, że przypuszczalnie uratowała mi pani życie... przypuszczalnie, choć żadną miarą nie da się tego dowieść... ale nie mam zamiaru przyjmować od pani rozkazów. Ponadto moim skromnym zdaniem nie jestem wcale ciężkim idiotą, i niezależnie od mojego statusu amatora, to pani ma odpowiadać mnie, a nie ja pani! Trzeba sprawdzać i jeszcze raz sprawdzać, moja damo?

–Skończył pan?

–Nawet nie zacząłem.

–To zanim pan zacznie, spróbuję ustosunkować się do szczegółów, które pan podniósł. Ta musztra, jak ją pan nazywa, miała na celu wyciągnąć nas stamtąd. Chyba pan wie, że to czyścić.

–Jak najbardziej.

–I że cokolwiek się powie w którymkolwiek pomieszczeniu, łącznie z toaletą i kabiną prysznicową, jest nagrywane.

–Wiedziałem, że telefon jest...

–Dziękuję, panie amatorze.

–Za cholere nie mam nic do ukrycia...

–Niech pan ściszy głos i mówi w stronę wody, tak jak ja. – Co? Dlaczego?

–Elektroniczny wykrywacz głosu. Drzewa rozproszą dźwięki, bo nie ma bezpośredniego promienia światła.Co takiego?

–Lasery udoskonaliły technikę...

–Co?

–Ciszej! Proszę mówić szeptem.

–Powtarzam, że nie mam, cholera, nic do ukrycia. Może pani ma, ale ja nie!

–Doprawdy? – spytała Rashad opierając się o skałę i mówiąc prosto w drobne, powoli nadpływające fale. – Chciałby pan wsypać Ahmata?

–Wspomniałem o nim prezydentowi. Powinien wiedzieć, jak bardzo mi" ten chłopak pomógł...

–Och, Ahmat to doceni. A jego osobisty lekarz? A dwóch kuzynów, którzy panu pomagali i zapewniali obstawę? A ElBaz i ten pilot, który pana zawiózł do Bahrajnu? ... Wszyscy mogą zginąć. – Poza Ahmatem nie wymieniłem nikogo z nazwiska...

–Nazwiska się nie liczą. Liczą się funkcje.

–Na miłość boską, to był prezydent Stanów Zjednoczonych! – I wbrew plotkom rozmawia nie tylko przez mikrofon?

–Oczywiście.

–A wie pan, z kim rozmawia? Zna pan tych ludzi osobiście? Wie pan, czy można na nich polegać w sprawach ściśle tajnych? A on wie? Zna pan ludzi, którzy zajmują się podsłuchem w tym domu?

–No, skądże.

–A ja? Jestem agentką terenową z przyzwoitym parasolem w Kairze. Wspomniał pan o mnie?

–Tak, ale tylko Swannowi.

–Nie mówię o naszym pracodawcy, który wiedział wszystko, bo tym zawiaduje, ale o ludziach tam u góry. Skoro zaczął mnie pan wypytywać w tym domu, czy nie można założyć, że wspomniałby pan jedno lub wszystkie nazwiska ludzi, których właśnie wymieniłam? I wreszcie, panie amatorze, czy można wykluczyć, że wspomniałby pan Mosad? Evan przymknął oczy.

–Owszem – powiedział cicho, kiwając głową. – Gdybyśmy się zaczęli kłócić.

–Kłótnia wisiała w powietrzu, dlatego wyciągnęłam nas aż tutaj. – Wszyscy tam na górze są po naszej stronie! – zaproponował Kendrick. O, na pewno – zgodziła się Adrienne – ale nie znamy mocnych i słabych stron ludzi, których nie poznaliśmy osobiście i których nie możemy zobaczyć.

–To już paranoja.

–Zależnie od okoliczności, panie kongresmanie. Ponadto jest pan ciężkim idiotą, czego już chyba wystarczająco dowiodłam, wytykając panu ignorancję w kwestii czyściców. Pominę pytanie, kto tu komu wydaje rozkazy, bo jest to nieistotne, i wróć do pańskiego pierwszego stwierdzenia. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nie uratowałam panu życia w Bahrajnie, a wręcz przeciwnie przez tego łajdaka Swanna, wpakowałam w kabałę, którą my i niektórzy piloci nazywamy punktem, skąd nie ma już odwrotu. Miał pan zginąć, panie Kendrick, a ja się temu sprzeciwiłam.

–Dlaczego?

–Bo mi zależało.

–Dlatego, że my oboje...

–To też jest nieistotne. Był pan przyzwoitym człowiekiem usiłującym zrobić coś przyzwoitego, do czego nie miał pan przygotowania. Jak się okazało, znaleźli się inni, którzy pomogli panu znacznie bardziej niż ja. Siedziałam w gabinecie Jimmy'ego Graysona i oboje odetchnęliśmy z ulgą, kiedy dotarła do nas wiadomość, że wylatuje pan z Bahrajnu.

–Graysona? To jeden z tej siódemki, która wiedziała, że tam jestem.

–Nie wiedział aż do ostatnich kilku godzin – odparła Rashad. – Nawet ja bym mu tego nie powiedziała. Wieść musiała nadejść z Waszyngtonu.

–W żargonie Białego Domu wczoraj rano przypiekano go naróżnie.

–Dlaczego?

–Żeby się przekonać, czy to nie on uruchomił przeciek.

–Jimmy? To jeszcze głębszy pomysł niż podejrzewać mnie. Grayson tak bardzo chce zostać dyrektorem, że niemal czuje pod sobą ten stółek. Poza tym nie miałby ochoty, żeby mu poderżnięto gardło i pokiereszowano ciało, podobnie zresztą jak i ja.

–Mówi pani to wszystko bardzo swobodnie. Łatwo to pani przychodzi, może za łatwo.

–Na temat Jimmy'ego?

–Nie. Na swój.

–A, rozumiem, – Kobieta, która niegdyś kazała się nazywać Khalehlą, odsunęła się od skały. – Sądzi pan, że wyreżyserowałam to wszystko... oczywiście sama, bo za cholerę nie zdążyłabym się z nikim skontaktować. No i, oczywiście, jestem półkwi Arabką... – Weszłaś tam do pokoju Jak gdybyś spodziewała się mnie zastać. Mój widok cię nie zaskoczył.

–Owszem, spodziewałam się. Wcale mnie nie zaskoczył.

–Dlaczego tak i dlaczego nie? Proszę wyjaśnić.

–Zapewne w wyniku eliminacji i... układu z człowiekiem, który chroni mnie przed wszelkimi prawdziwymi zaskoczeniami. Przez ostatnie półtorej doby miał pan niebywały rozgłos Wokół basenu Morza Śródziemnego, panie kongresmanie, co przyprawia wielu ludzi, w tym i mnie, o dreszcze. Bałam się nie tylko o własną skórę, ale też o życie wielu innych osób, z których pomocy korzystałam i nadużywałam, żeby nie tracić pana z pola widzenia. Ktoś taki jak ja tworzy całą sieć opartą na zaufaniu, i właśnie teraz owo zaufanie, najistotniejsze narzędzie mojej pracy, zostało nadszarpnięte. Niechże pan zrozumie, panie Kendrick, że zmarnował pan nie tylko mój czas i koncentrację, lecz również masę pieniędzy podatników, żeby mnie tu sprowadzić i zadać mi pytanie, na które odpowiedziałyby każdy doświadczony funkcjonariusz wywiadu.

–Mogła mnie pani wydać, sprzedać moje nazwisko za określoną cenę.

–Za jaką? Cenę własnego życia? Życia tych, którzy pomagali mi pana tropić, ludzi jakże cennych dla mnie i mojej pracy. A ma ona dla mnie prawdziwy sens, co usiłowałam wyjaśnić panu w Bahrajnie? Pan w to naprawdę wierzy?

–Chryste, samjuż nie wiem, w co wierzyć! – przyznał Evan ciężko oddychając i

potrząsając głową. – Wszystko, na czym mi zależało, wszystko co sobie zamierzyłem, poszło na marne. Ahmat nie chce mnie więcej widzieć, nie mam powrotu ani tam, ani nigdzie indziej do Emiratów czy nad Zatoki, On już tego dopilnuje.

–A chciał pan wrócić?

–Bardziej niż czegokolwiek innego. Chciałem rozpocząć nowe życie tam, gdzie dokonałem czegoś najsensowniejszego. Ale najpierw musiałem odszukać, a potem unieszkodliwić tego skurwysyna, który siał zniszczenie, który zabijał dla samego zabijania, i to tylu ludzi.

–Mahdiego – wtrąciła Rashad kiwając głową. – Ahmat mi opowiedział. I dokonał pan tego. Ahmat jest młody, jeszcze się zmieni. Z czasem zrozumie, co pan dla nich wszystkich zrobił i będzie panu wdzięczny... Nawiasem mówiąc, odpowiedział mi pan właśnie na pewne pytanie. Bo sądziłam, że pan sam mógł rozdmuchać tę historię o sobie, ale myliłam się, prawda?

–Ja? Czy pani oszalała? Wyjeżdżam stąd za pół roku!

–Czyli nie zżera pana ambicja polityczna?

–Chryste, nie! Zwijam interes i wyjeżdżam! Tyle że teraz nie mam dokąd. Ktoś mnie usiłuje powstrzymać, wrabia mnie w coś, co jest mi obce. Co tu się, do diabła, wyprawia?

–Tak bez namysłu odpowiedziałabym, że ktoś pana ekshumuje. – Jak to? Kto taki?

–Ktoś, kto uważa, że pana nie doceniono. Ktoś, kto sądzi, że zasługuje pan na publiczne uznanie, na sławę.

–Której nie chcę! A prezydent wcale mi w tym nie pomaga. W najbliższy wtorek ma mi wręczyć Medal Wolności w tej cholерnej Błękitnej Sali, i to z całą orkiestrą wojskową! Mówiłem mu, że nie chcę, ale ten skurczybyk powiedział, że muszę się stawić, bo on z kolei nie chce wyjść na "pospolitego drania". Co to za logika? – Iście prezydencka... – Rashad nagle przystanęła. – Przejdźmy się – rzuciła, kiedy nad basenem portowym ukazało się dwóch członków personelu w białych uniformach. – Proszę się nie oglądać, iść swobodnie. Przespacerujemy się w dół tą niezbyt spacerową plażą. – Mogę mówić? – spytał Kendrick, kiedy z nią zrównał krok. – Nic wprost. Poczekajmy, aż znajdziemy się za zakrętem.

–Dlaczego? Mogą nas usłyszeć?

–Może. Nie jestem pewna. – Poszli po łuku linii brzegowej, aż drzewa zasłoniły dwóch mężczyzn w porcie. Japończycy wynaleźli przekaźnik kierunkowy, chociaż nigdy nie widziałam takiego urządzenia – ciągnęła Rashad bez celu. Po chwili znów przystanęła, spojrzała na Evana bystrym pytającym wzrokiem. – Rozmawiał pan z Ahmatem?

–Wczoraj. Kazał mi iść do diabła, bylebym nie wracał do Omanu. Pod żadnym pozorem.

–Rozumie pan chyba, że z nim to sprawdzę? Evan się zdumiał, a po chwili rozżłościł. To ona go wypytywała, oskarżała, sprawdzała.

–Nie obchodzi mnie, co pani, do cholery, robi, obchodzi mnie tylko, co pani

ewentualnie zrobiła. Brzmisz przekonująco, Khalehlo... proszę wybaczyć, panno Rashad. Może też wierzy pani w to, co mówi, ale tych sześciu ludzi, którzy o mnie wiedzieli, miało wszystko do stracenia i naprawdę nic do zyskania rozpowiadając, że w zeszłym roku przebywałem w Maskacie.

–A ja nie miałam nic do stracenia poza własnym życiem i życiem tych, których prowadziłam na tym obszarze, przy czym tak się składa, że niektórzy z nich są mi bardzo bliscy. Niech pan porzuci ten wyświechtany argument, panie kongresmanie, bo się pan ośmiesza. Nie tylko jest pan amatorem, ale w dodatku nieznośnym.

–Przecież mogła pani popełnić błąd! – zawołał Kendrick wyprowadzony już z równowagi. – Byłbym niemal skłonny rozpatrywać wątpliwości na pani korzyść, co też zasugerowałem Dennisonowi, mówiąc mu, że nie pozwolę mu pani za to powiesić.

–Zbytek łaski, drogi panie.

–Mówię poważnie. Naprawdę uratowała mi pani życie, jeśli więc nawet przez omyłkę wymknęło się pani moje nazwisko...

–Już niech się pan nie pogrąża dalej w swojej durnocie – przerwała mu Rashad. Znacznie, ale to znacznie bardziej prawdopodobne, że ktokolwiek z pozostałej piątki mógł popełnić taki błąd niż Grayson czy ja. My pracujemy w terenie, a tam się takich błędów nie popełnia.

–Przejdźmy się – zaproponował Evan, chociaż w pobliżu nie było strażników, a tylko własne wątpliwości i mętlik w głowie kazały mu ruszyć naprzód. Najgorsze, że wierzył tej kobiecie, wierzył w to, co mu o niej powiedział Manny Weingrass:... nie mogła cię wydać... powiększyłaby tylko swój wstyd i jeszcze bardziej rozjątrzyła obłąkany świat, w którym żyje. A kiedy Kendrick zaproponował, że inni nie mogli tego zrobić, Manny dodał: To znaczy, że są jacyś inni poza tymi innymi... Podeszli do dzikiej ścieżki pnącej się między drzewami najwyraźniej ku kamiennemu murowi okalającemu posiadłość. Zapijemy się tu? – spytał Evan.

–Czemu nie? – odparła chłodno Adrienne.

–A zatem – podjął rozmowę, kiedy wspinali się obok siebie zalesionym zboczem – powiedzmy, że pani wierzę...

–Stokrotnie panu dziękuję.

–No dobrze, wierzę pani! I dlatego powiem pani coś, o czym wiedzą tylko Swann i Dennison, nikt inny. Przynajmniej o ile się orientuję.

–Jest pan pewien, że pan powinien?

–Potrzebna mi jest pomoc, a oni nie mogą mi jej udzielić. Może pani się uda. Była tam pani ze mną, poza tym wie pani sporo rzeczy, o których ja nie mam pojęcia. Jak tuszuje się, pewne zdarzenia, jak się przekazuje tajne informacje ludziom, którzy powinni je znać, podobne metody postępowania,

–Trochę wiem, chociaż bynajmniej nie wszystko. Mieszkam w Kairze, nie tutaj. Ale słucham.

–Jakiś czas temu zgłosił się do Swanna pewien facet, blondyn z europejskim akcentem, który miał o mnie mnóstwo informacji Frank je określał mianem PD.

–Priorytetowe dane – wtrąciła Rashad. – Nazywa się je również "pierwszorzędną dokumentacją" i zwykle pochodzą z sejfów. – Z sejfów? Z jakich sejfów?

–To żargonowe określenie tajnych akt wywiadu. Słucham dalej. –

Zaimponowawszy Frankowi, naprawdę mu zaimponowawszy, przeszedł natychmiast do rzeczy. Oznajmił mu, że jego zdaniem Departament Stanu wysłał mnie do Maskatu podczas kryzysu z zakładnikami.

–Co? – Aż się zachnęła, łapiąc Kendricka za rękę. – Co to za facet?

–Nikt nie wie. Nikt go nie może odnaleźć. Wchodząc do Swanna przedstawił fałszywe dokumenty.

–Jezu miłosierny – szepnęła Rashad spoglądając na pnącą się ścieżkę. Przez ścianę drzew w górze przedarły się jaskrawe promienie słońca. – Zostańmy tu przez chwilę – powiedziała cicho, ale stanowczo. – Niech pan siada. – Oboje przycupnęli na dróżce otoczonej grubymi pniami i listowiem. – I co? – spytała niecierpliwie kobieta z Kairu.

–Swann próbował go zwieźć. Pokazał mu nawet notatkę do Sekretarza Stanu, którą wspólnie sprokurowaliśmy, a w której odrzuca moją kandydaturę. Tamten oczywiście nie uwierzył Frankowi i drążył coraz głębiej, aż wreszcie wszystkiego się dowiedział. Rewelacje, które ogłoszono wczoraj rano były tak dokładne, że mogły pochodzić jedynie z akt Omanu... z sejfów, jak je pani nazywa.

–Wiem – szepnęła Rashad. Jej oburzenie wyraźnie trąciło strachem. – Boże święty, kogoś dopadli!

–Kogoś z tej siódemki... szóstki? – poprawił się szybko. – Co to za ludzie? To znaczy pominąwszy Swanna, jego faceta od komputera OHIO CzteryZero, no i Dennisona, Graysona i mnie? – Sekretarze Stanu i Obrony oraz Przewodniczący Kolegium Szefów Sztabów.

–Do żadnego z nich nie mogli nawet dotrzeć.

–A ten facet od komputera? Nazywa się Bryce, Gerald Bryce, i jest młody. Frank dawał za niego głowę, ale to tylko jego zdanie. – Wątpię. Frank Swann jest łajdakiem, ale nie sądzę, że dałby się w ten sposób wykiwać. Ktoś taki jak Bryce jest pierwszą osobą, która przychodzi tu na myśl. Jeżeli ma więc na tyle oleju w głowie, żeby kierować taką operacją, to musi o tym wiedzieć. Wie również, że mogłoby go czekać trzydzieści lat w Leavenworth. Evan uśmiechnął się.

–Podobno Dennison straszył panią pięcioma latami w tym więzieniu.

–Powiedziałam mu, że to męskie więzienie – odparła Adrienne z uśmiechem.

–Ja też – powiedział Kendrick już ze śmiechem.

–Po czym dodałam, że jeśli ma dla mnie w zanadrzu inne miłe niespodzianki, nie wsiadę nawet na barkę Kleopatry, a co dopiero do rządowego samochodu.

–A dlaczego w końcu pani wsiadła?

–Z czystej ciekawości. Tylko taką potrafię dać odpowiedź. – Przyjmuję... No więc przy czym to byliśmy? Siódemkę wykreślamy, a wpisujemy blond Europejczyka.

–Bo ja wiem. – Naraz Rashad znów go ujęła za rękę, – Muszę cię o coś spytać, Evan...

–Evan? Dziękuję.

–Proszę wybaczyć, panie kongresmanie. Przejęczyłam się... – Nie przeprasza. Chyba mamy prawo mówić sobie po imieniu. – Niech pan przestanie...

–Czy mógłbym chociaż używać imienia Khalehla? Swobodniej się z nim czuję.

–Ja też. Arabską część mojej duszy zawsze raziło w imieniu Adrienne znamię wyrzeczenia się.

–Proszę pytać, Khalehlo.

–Przynajmniej nie wymawiasz z angielska "Kelejla"... No, dobrze. Kiedy postanowiłeś przyjechać do Maskatu? Zważywszy okoliczności i to, czego zdołałeś dokonać, przyjechałeś tam dość późno. Kendrick wziął głęboki oddech.

–Byłem na samotnym spływie wodospadami Arizony. Kiedy dotarłem do obozowiska Lava Falls, po raz pierwszy od wielu tygodni posłuchałem radia. Zrozumiałem, że muszę dotrzeć do Waszyngtonu... – Evan zrelacjonował szczegóły tych szalonych ośmiu godzin, kiedy to przejechał z dość prymitywnego obozu w górach do sal Departamentu Stanu i wreszcie do supernowoczesnego ośrodka komputerowego, czyli OHIO CzteryZero. – Tam właśnie zawarłem układ ze Swannem, po czym wyjechałem i to szybko.

–Na chwilę cofnijmy się w przeszłość – powiedziała Khalehla odrywając na ten jeden moment oczy od twarzy Kendricka. – Wynająłeś samolot, żeby się dostać do Flagstaff, gdzie usiłowałeś wyczarterować odrzutowiec do stolicy, zgadza się? Tak, ale w okienku czarterowym powiedziano mi, że już zapóźno.

–Byłeś zdenerwowany – podsunęła agentka. – Może też wściekły. Pewno odstawiałeś trochę waźniaka. Kongresman z wielkiego stanu Kolorado, i tak dalej.

–Bardziej niż "trochę" i znacznie więcej niż "i tak dalej". – Dotarłeś do Phoenix i dalej poleciałeś pierwszym rejsem pasażerskim. Czym zapłaciłeś za bilet?

–Kartą kredytową.

–Niewłaściwa forma – skomentowała Khalehla – ale wówczas nie miałeś powodu tak sądzić. Skąd wiedziałeś, z kim się skontaktować w Departamencie Stanu? Nie wiedziałem, ale pamiętaj, że wcześniej przez wiele lat pracowałem w Omanie i Emiratach, toteż miałem nosa, kogo szukać. A ponieważ odziedziczyłem doświadczoną sekretarkę z Waszyngtonu, która ma instynkt kota ulicznego, powiedziałem jej, jak się do tego zabrać. Podsunąłem jej, że musi to być ktoś z Operacji Konsularnych, z sekcji Bliskiego Wschodu albo PołudniowoZachodniej Azji. Większość Amerykanów, którzy pracowali na tym obszarze zna tych ludzi, często jak zły szeląg.

–Czyli ta sekretarka z instynktem kota ulicznego zaczęła wydzwaniać zasięgając języka. Kilka osób musiało się nielicho zdziwić. Zapisywała chociaż, do kogo dzwoni?

–Nie mam pojęcia. Nigdy jej o to nie pytałem. Wszystko odbywało się w tak szalonym pośpiechu, a ja kontaktowałem się z nią przez telefon ziemia – powietrze lecąc samolotem z Phoenix. Zanim wylądowałem, udało jej się zredukować możliwości do czterech, pięciu ludzi, ale tylko jeden uchodził za specjalistę od Emiratów, a jednocześnie był zastępcą dyrektora Operacji Konsularnych. Frank Swann. Warto byłoby sprawdzić, czy twoja sekretarka zachowała listę telefonów – powiedziała Khalehla, odchylając w zamyśleniu głowę. – Zadzwońię do niej.

–Stąd nawet się nie waż. Poza tym jeszcze nie skończyłam... Czyli poszedłeś do Departamentu odszukać Swanna, co znaczy, że musiałeś się zameldować na

wartowni.

–Oczywiście.

–A odmeldowałeś się?

–Nie, właściwie to nie, w każdym razie nie na portierni. Zaprowadzono mnie na parking i odwieziono służbowym samochodem. – Do twojego domu?

–Tak, wybierałem się do Omanu i musiałem spakować kilka rzeczy...

–A kierowca? – wtrąciła Khalehla. – Zwracał się do ciebie po nazwisku?

–Nie, ani razu. Ale powiedział coś, co mną wstrząsnęło. Spytałem, czy wstąpiłby do mnie na przekąskę albo na kawę, kiedy się będę pakował, na co odparł: "Mógłbym dostać kulę w łeb, gdybym wysiadł z tego wozu" czy coś takiego. Po chwili dodał: "Pan jest z OHIO CzteryZero."

–Co znaczy, że sam nie był – rzuciła prędko Rashad. – A wóz zatrzymał się przed twoim domem?

–Tak. Wysiadłem i jakieś trzydzieści metrów dalej przy krawężniku zobaczyłem inny samochód. Musiał za nami jechać. Na tym odcinku szosy nie ma innych domów.

–Uzbrojona obstawa. – Khalehla pokiwała głową. – Swann osłaniał cię od pierwszej minuty, i słusznie. Nie miał czasu ani środków, żeby zbadać wszystko, co się z tobą działo na minusie. Evan spojrzał osłupiały.

–Mogłabyś mi to wyjaśnić?

–Na minusie, czyli zanim dotarłeś do Swanna. Bogaty, wściekły kongresman, który leci wynajętym samolotem do Flagstaff i robi dużo szumu wokół siebie. Odmawiają mu, a więc leci do Phoenix, gdzie z pewnością domaga się pierwszego rejsu, płaci kartą kredytową, po czym dzwoni do sekretarki posiadającej instynkt kota ulicznego, każąc jej odszukać faceta, którego wprowadzić nie zna, ale wie, że ktoś taki musi istnieć w Departamencie Stanu. Ta gorączkowo, jak sam mówiłeś, wydzwania na prawo i lewo, docierając do pewnej liczby ludzi, którzy zachodzą w głowę co się dzieje. Podaje ci zawężoną już listę możliwych osób, to znaczy, że dotarła do wielu innych, którzy mogli jej udzielić tej informacji i którzy również mogli się głowić po co to wszystko, aż wreszcie ty się zjawiasz w Departamencie domagając się spotkania z Frankiem Swannem. Mam rację? Rzeczywiście się domagałeś?

–Tak. Odsyłano mnie tu i tam, wmawiano, że go nie ma, ale ja wiedziałem, że jest, bo ustaliła to moja sekretarka. Chyba dosyć im się naprzykrzałem. W końcu wpuścili mnie do jego biura.

–I wtedy, po rozmowie z tobą, postanowił cię wysłać do Maskatu. – I co z tego?

–To bardzo wąskie grono, jak się wyraziłeś, wcale nie było takie wąskie, Evan. Postąpiłeś tak, jak każdy postąpiłby w tych okolicznościach... w końcu byłeś w stresie. Utrwaliłeś się w pamięci wielu osób podczas tej swojej nerwowej podróży z Lava Falls do Waszyngtonu. Łatwo cię było wytropić z powrotem przez Phoenix do Flagstaff, wiele osób zapamiętało twoje nazwisko i głośne dopominanie się o szybki przelot, zwłaszcza o tak późnej porze. Następnie zjawiłeś się w Departamencie Stanu, gdzie narobiłeś niemniej szumu... na dobitkę zameldowałeś się na wartowni, ale się nie odmeldowałeś... a potem wpuszczono cię do biura Swanna.

–Tak, ale...

–Daj mi skończyć – znów mu przerwała Khalehla. – Wtedy zrozumiesz, a chcę, żebyśmy oboje mieli pełny obraz... Rozmawiasz ze Swannem, zawierasz z nim, jak powiedziałaś, układ o anonimowości i w pośpiechu wyjeżdżasz do Maskatu. Najpierw udajesz się do domu z kierowcą, który nie należy do OHIO CzteryZero, podobnie zresztą jak strażnicy na portierni. Kierowca został ci po prostu przydzielony przez ekspedytora, a strażnicy na służbie wykonywali jedynie swoją pracę. Nie należą do kręgu wtajemniczonych. Nikt tam na górze nie przekazuje im ściśle tajnych informacji. Ale są ludźmi, wracają do domów, rozmawiają z żonami, znajomymi, bo w ich, na ogół nudnej, pracy zdarzyło się coś innego. Mogą również odpowiadać na pytania zadawane im od niechcenia przez ludzi, których uważają za urzędników państwowych.

–Tak czy owak, wszyscy oni wiedzieli, kim jestem...

–Podobnie jak wiele innych osób w Phoenix i Flagstaff, przy czym jedno było dla nich jasne. Ta wielka szycha jest cała w nerwach, ten kongresman piekielnie się spieszy, ta gruba ryba ma kłopoty. Widzisz, jakie zostawiłeś za sobą ślady?

–Owszem, ale kto mógłby ich szukać?

–Nie wiem, i bardziej mnie to niepokoi, niż sobie wyobrażasz. Ciebie? Ktokolwiek to był, rozpieprzył mi dokumentnie życie! Kto mógł to zrobić? Ktoś, kto znalazł szczelinę, lukę, która zaprowadziła go z odległego obozowiska w Lava Falls do terrorystów w Maskacie. Ktoś, kto trafił na coś, co kazało mu szukać dalej. Może któryś z telefonów twojej sekretarki albo zamieszanie, jakie wywołałeś na portierni Departamentu Stanu, albo wręcz coś tak szalonego, jak zasłyszana plotka o interwencji nieznanego Amerykanina w sprawie Omanu co wcale nie było takie szalone. Wszystko ogłoszono drukiem, a następnie wyciszono, ale komuś mogło dać do myślenia. Po czym inne wątki poukładały się w całość i już cię mieli. Evan położył rękę na jej dłoni spoczywającej na ścieżce.

–Khalehlo muszę się dowiedzieć, kto to zrobił, muszę.

–Przecież wiemy – powiedziała ciepło, po czym szybko zmieniła ton na chłodny, jakby zobaczyła coś, co powinna była dawno zobaczyć. Blondyn z europejskim akcentem.

–Ale dlaczego? Kendrick usunął rękę, kiedy pytanie wyrwało mu się z gardła. Khalehla spojrzała na niego ze współczuciem, ale za troską w jej oczach kryła się chłodna analityczna inteligencja.

–Odpowiedź na to pytanie musi pozostać przedmiotem twojej nadrzędnej troski, Evan, ja natomiast mam inny kłopot, który napawa mnie przerażeniem.

–Nie rozumiem.

–Kimkolwiek jest ten blondyn, kogokolwiek reprezentuje, dotarł bardzo głęboko do naszych piwnic i wyciągnął coś, co nigdy nie powinno było ujrzeć światła dziennego. Jestem oszołomiona, Evan, osłupiała, a są to o wiele za słabe słowa, żeby oddać, co czuję. Nie tylko tym, co wyrządzono tobie, lecz tym, co wyrządzono nam. Zostaliśmy skompromitowani, doszło do penetracji tam, gdzie taka penetracja powinna być niemożliwa. Jeżeli ci "oni", kimkolwiek są, mogli wyszperać ciebie z

naszych najgłębszych, najtajniejszych archiwów, mogą się też dogrzebać wielu rzeczy, do których nikt nie powinien mieć dostępu. Tam, gdzie pracują ludzie tacy jak ja może to kosztować sporo głów, spowodować wiele przykrości. Kendrick wpatrywał się w jej napiętą, niesamowitą twarz i dostrzegł strach w jej oczach.

–Nie przesadzasz? Naprawdę jesteś przerażona.

–Ty też byś był, gdybyś znał ludzi, którzy nam pomagają, ufają, narażają życie, żeby zdobyć dla nas informacje. Dzień w dzień zastanawiają się, czy coś, co zrobili bądź czego nie zrobili nie pociągnie za sobą wpadki. Wielu z nich popełnia samobójstwa, bo nie potrafi znieść tego napięcia, inni dostają pomieszania zmysłów i kryją się na pustyni, bo wolą umrzeć w spokoju ze swoim Allahem, niż brnąć dalej. Na ogół jednak brną dalej, bo w nas wierzą, wierzą, że jesteśmy sprawiedliwi i że naprawdę chodzi nam o pokój. Na każdym kroku mają do czynienia z władającymi bronią szaleńcami, i chociaż sytuacja jest tragiczna, jedynie dzięki tym ludziom się nie pogarsza, nie dochodzi do większego przelewu krwi na ulicach... Tak, jestem przerażona, gdyż wielu z tych ludzi to przyjaciele, moi i moich rodziców. Na samą myśl o tym, że mogłaby ich osiągnąć zdrada taka jaka osiągnęła ciebie, bo niewątpliwie zdradzono cię, Evan, mam ochotę zaszyć się w piaskach pustynnych i tam umrzeć jak ci, których doprowadziliśmy do oblędu. Bo ktoś gdzieś bardzo głęboko dobiera się do naszych najtajniejszych akt i udostępnia je innym. W twoim przypadku wystarczyło samo nazwisko, twoje nazwisko, a już ludzie w Maskacie i Bahrajnie drżą o własne życie. Ile jeszcze nazwisk padnie? Ile tajemnic się wyda? Evan sięgnął, nie tylko przykrywając jej rękę, ale ujmując ją teraz w swoją dłoń, ściskając.

–Skoro tak sądzisz, dlaczego mi nie pomożesz?

–Tobie? Dlaczego?

–Muszę się dowiedzieć, kto za tym stoi, a ty musisz się dowiedzieć, kto tam się dostał, żeby coś takiego umożliwić. Czyli mamy zbieżne cele. Trzymam Dennisona w kleszczach, z których się nie wywinie, mogę ci załatwić dyskretną zgodę Białego Domu na pobyt tutaj. On się uczepli wszelkiej szansy wykrycia przecieku. To jego obsesja. Khalehla zmarszczyła brwi.

–Tak się tego nie robi. Zresztą byłabym nie na miejscu. Świetnie się sprawdzam tam, gdzie jestem, ale poza swoim żywiołem, arabskim żywiołem, przestaję już być taka dobra.

–Jesteś znakomita – sprzeciwił jej się stanowczo Kendrick. Uważam, że jesteś pierwszorzędna, bo uratowałaś mi życie, które dosyć sobie cenię. A po drugie, jak już wspomniałem, znasz się na rzeczach, o których ja nic nie wiem. Na sprawach proceduralnych. "Utajnione drogi przekierowywania", tego wyrażenia nauczyłem się jako członek Specjalnej Komisji do Spraw Wywiadu, ale nie mam zielonego pojęcia, co to znaczy. Do licha, moja damo, wiesz nawet, co to są "piwnice", a mnie się zawsze tylko kojarzyły z suterrenami w podmiejskich domach mieszkalnych, których, chwała Bogu, nie musiałem nigdy budować. Proszę cię, mówiłaś w Bahrajnie, że chcesz mi pomóc. Pomóż mi teraz! I pomóż sobie. Adrienne Rashad odparła spoglądając na niego chłodno swymi ciemnymi oczyma:

–Byłabym skłonna ci pomóc, ale czasami musiałbyś słuchać moich poleceń. Stać cię na to?

–Nie rwę się do skakania z mostów ani z wysokich budynków... – Moje polecenia ograniczyłyby się raczej do tego, co mówisz i komu chciałabym, żebyś to powiedział. Niewykluczone, że czasem nie mogłabym ci czegoś wyjaśnić. Przystałbyś na coś takiego? – Tak. Bo obserwowałem cię, słuchałem i wierzę ci.

–Dziękuję. – Uścisnęła mu dłoń i wypuściła ze swojej. – Musiałabym też kogoś jeszcze wprowadzić.

–Po co?

–Po pierwsze, jest to konieczne. Muszę dostać czasowe przeniesienie, a tylko on może mi je załatwić bez wyjaśnień. Daj sobie spokój z Białym Domem, to zbyt ryzykowne, zbyt niepewne. Po drugie, może się przydać w sprawach pozostających poza moim zasięgiem.

–Kto to taki?

–Mitchell Payton. Dyrektor Akcji Specjalnych, która to nazwa stanowi eufemizm na "Nie pytaj".

–Można mu zaufać? To znaczy w pełni, bezgranicznie.

–Jak najbardziej. On mnie wprowadził do agencji.

–To jeszcze nie powód.

–Jest też inny. Odkąd miałam sześć lat i mieszkałam w Kairze, mówiłam do niego "wujku Mitch". Był młodym agentem operacyjnym pod przykrywką wykładowcy na uniwersytecie. Zaprzyjaźnił się z moimi rodzicami. Ojciec był tam profesorem, a matka Amerykanką z Kalifornii, podobnie jak Mitch.

–Da ci przeniesienie?

–Ależ naturalnie.

–Jesteś pewna?

–Nie ma wyboru. Przecież ci powiedziałam, że ktoś obnaża część naszej duszy, która nie jest na sprzedaż. Tym razem trafiło na ciebie. Kto będzie następny?

* * *

Rozdział 25

Mitchell Jarvis Payton był eleganckim sześćdziesięcioletnim wykładowcą akademickim wciągniętym do Centralnej Agencji Wywiadowczej przed trzydziestu czterema laty, z jednego powodu: jego rysopis odpowiadał rysopisowi, który ktoś wtedy przekazał do wydziału rekrutacji kadr. Ten ktoś znikł pochłonięty innym zadaniem, a dla Paytona nie było żadnego zlecenia, jedynie wymogi... z adnotacją "pilne". Zanim jednak jego przyszli pracodawcy zdali sobie sprawę, że nie mają żadnej pracy dla kandydata, było już za późno. Energiczni werbownicy z Los Angeles zdążyli go wciągnąć do rejestru członków agencji i wysłać do siedziby głównej CIA w Langley w stanie Wirginia na przeszkolenie. Sytuacja stała się kłopotliwa, albowiem doktor Payton, w ferworze pobudek osobistych i patriotycznych, złożył natychmiastową rezygnację władzom stanowego szkolnictwa wyższego. Był to niefortunny początek kariery człowieka, która miała się rozwinąć tak błyskotliwie. MJ, jak go nazywano odkąd sięgał pamięcią, był dwudziestodwuletnim

profesorem nadzwyczajnym ze stopniem doktora arabistyki Uniwersytetu Kalifornijskiego, na którym zresztą wykładał. Pewnego pięknego ranka odwiedziło go dwóch dżentelmenów na usługach rządu, którzy go przekonali, że kraj pilnie potrzebuje jego umiejętności. Nie mieli, oczywiście, prawa wyjawiać szczegółów, ale ponieważ reprezentowali najbardziej ekscytującą dziedzinę służb rządowych, zakładali, że chodzi o placówkę za granicą, na obszarze jego specjalności. Młody kawaler zapalił się do tej oferty, a kiedy stanął w obliczu zakłopotanych zwierzchników w Langley, którzy zachodzili w głowę, co z nim począć, oświadczył twardo, że spalił za sobą wszystkie mosty w L.A., bo zakładał, że zostanie wysłany przynajmniej do Egiptu. Wysłano go więc do Kairu – wciąż nam brakuje obserwatorów w Egipcie, którzy rozumieliby ten pogański język. Jeszcze przed dyplomem studiował literaturę amerykańską, którą wybrał kierując się tym, że jest jej tak cholernie mało. Stąd też agencja pośrednictwa pracy w Rzymie, w rzeczywistości filia CIA, umieściła go na Uniwersytecie Kairskim jako arabskojęzycznego wykładowcę literatury amerykańskiej. Tam właśnie poznał Rashadów, uroczą parę, która odgrywała teraz tak istotną rolę w jego życiu. Na pierwszym zebraniu wydziału Payton usiadł obok słynnego profesora Rashada, i w trakcie pogaduszek przed rozpoczęciem spotkania dowiedział się, że Rashad nie tylko sam uczył się na uniwersytet w Kalifornii, lecz również poślubił koleżankę MJ ze studiów. Znajomość zmieniła się w wielką Przyjaźń, nie mniejszą niż reputacja MJ w Centralnej Agencji Wywiadowczej. Dzięki umiejętnościom, o które nigdy by się nie posądzał, a które czasem napawały go przerażeniem, przekonał się, że potrafi nader przekonująco kłamać. Był to okres zamętu politycznego, gwałtownych zmian sojuszków, nad którymi trzeba było bacznie czuwać, rozszerzając dyskretną penetrację Amerykanów. Doskonała znajomość języka arabskiego, a także znajomość ludzi, których można pobudzić do czynu ciepłym słowem popartym pieniędzmi, pozwoliły mu zorganizować różne grupy spośród frakcji opozycyjnych, relacjonujące mu swoje wzajemne ruchy. W zamian dostarczał funduszy na realizację ich celów – były to niewielkie wydatki w skali nietykalnego wówczas CIA, jakże jednak istotne dla mizernych kies owych zapaleńców. Dzięki jego działalności w Kairze, Waszyngton uniknął wielu potencjalnie zapalnych, kłopotliwych sytuacji. Toteż w sposób typowy dla wyższych urzędników wywiadu w stolicy, skoro dobry facet świetnie się sprawdzał w terenie, zapomniano o powiązaniu specyficznych czynników, które przesądzały o jego sukcesach na miejscu, i sprowadzono go do Waszyngtonu, żeby zobaczyć, co tam potrafi zdziałać. MJ Payton okazał się wyjątkiem w długim szeregu nieudaczników. Został następcą Jamesa Jesusa Angletona, Szarego Lisa tajnych operacji, na stanowisku dyrektora Akcji Specjalnych. I nigdy nie zapomniał tego, co mu powiedział jego przyjaciel Rashad w dniu otrzymania awansu. Nigdy byś tak daleko nie zaszedł, MJ, gdybyś się ożenił. Masz w sobie pewność siebie człowieka, którym nigdy nie manipulowano. Niewykluczone. Jednakże prawdziwy sprawdzian manipulacji rąbnął w niego, kiedy do Waszyngtonu zjechała nieprzejednana córka jego ukochanych przyjaciół, uparta jak zawsze. W Cambridge w stanie Massachusetts wydarzyło się coś strasznego i ta dziewczyna zdecydowała się

poświęcić swoje życie – a przynajmniej jego część na tłumienie pożarów nienawiści i przemocy, które siały zniszczenie w jej śródziemnomorskim świecie. Nigdy nie powiedziała "wujkowi Mitchowi", co jej się przydarzyło – zresztą nie musiała – ale nie chciała słyszeć o odmowie. Miała stosowne kwalifikacje; znała biegle angielski i francuski na równi z arabskim, a teraz uczyła się równocześnie jidysz oraz hebrajskiego. Kiedy zaproponował jej Korpus Pokoju, cisnęła torbę na podłogę przed jego biurkiem.

–Nie! Nie jestem dzieckiem, wujku Mitch, i nie mam w sobie takich dobroczynnych impulsów. Interesuje mnie wyłącznie obszar, z którego się wywodzę, gdzie się urodziłam. Jeżeli nie skorzystasz z moich usług, znajdę innych, którzy skorzystają!

–To mogą być niewłaściwe osoby, Adrienne.

–W takim razie ustrzeż mnie przed tym i zatrudnij.

–Muszę porozmawiać z twoimi rodzicami...

–Nie ma mowy! Ojciec przeszedł na emeryturę... oboje są na emeryturze, mieszkają na północy w BaltimontheSea. Tylko by się o mnie zamartwiali, a swoim zmartwieniem przysparzaliby kłopotów. Znajdź mi pracę tłumaczki albo dorywczej konsultantki przy eksporcie, z pewnością tyle możesz! Na miłość boską, wujku Mitch, sam byłeś skromnym wykładowcą uniwersyteckim, a myśmy się nie zająknęli słowem!

–Nie wiedziałaś, kochanie...

–Aha, akurat! Te szepty w całym domu, kiedy miał przyjść znajomy wujka Mitcha i musiałam siedzieć w swoim pokoju, a potem ten wieczór, kiedy nagle przyszło trzech mężczyzn z pistoletami, których nigdy przedtem nie widziałam...

–To były wyjątkowe sytuacje. Twój ojciec to rozumiał.

–No to ty mnie teraz zrozum, wujku Mitch. Muszę tego dopiąć! – W porządku – zgodził się MJ Payton. – Ale ty z kolei zrozum mnie, młoda damo. Przejdziesz intensywny kurs w Fairfax w stanie Wirginia w obozie, którego nie ma na żadnej mapie. Jeżeli go nie ukończysz, nie będę ci mógł pomóc.

–Zgoda – odparła z uśmiechem Adrienne Khalehla Rashad. Chcesz się założyć?

–Nie z tobą, młoda tygrysico. No to chodźmy już na obiad. Nie pijesz, prawda?

–Właściwie to nie.

–A ja piję i będę pił, ale z tobą nie będę się zakładał. Portfel Paytona tylko na tym zyskał, że jego właściciel się wówczas nie założył. Kandydatka nr 1344 ukończyła morderczy dziesięciodniowy kurs w Fairfax w Wirginii jako prymuska. Niech diabli porwą ruch wyzwolenia kobiet, okazała się lepsza od dwudziestu sześciu mężczyzn. Lecz przecież, jak sobie pomyślał "wujek Mitch", kierowały nią pobudki, których zabrakło innym: była półkrwi Arabką. Wszystko to działo się przeszło dziewięć lat temu. Ale teraz, w piątek po południu, niemal dziesięć lat później, Mitchel Jarvis Payton przeraził się nie na żarty! Agentka terenowa Adrienne Rashad, oddelegowana obecnie do sektora zachodniego Morza Śródziemnego, na placówce w Kairze, zadzwoniła właśnie do niego z automatu telefonicznego w hotelu Hilton, tu z Waszyngtonu! Co też ona, na miłość boską, tutaj robi? Na czyje polecenie zdjęto ją z posterunku? Rozkazy dla wszystkich funkcjonariuszy związanych z Akcjami

Specjalnymi, a zwłaszcza dla tej funkcjonariuszki, musiały zyskać jego aprobatę. Coś niesłychanego! A do tego fakt, że nie chciała przyjechać do Langley, tylko wymusiła na nim spotkanie w ustronnej restauracji w Arlington, bynajmniej nie uspokoił MJ. Szczególnie, kiedy mu powiedziała: – Wujku Mitch, absolutnie nie mogę spotkać nikogo, kogo znam ani kto mnie zna. – Pominąwszy już złowieszczy wydźwięk takiego stwierdzenia, od lat już nie zwracała się do niego "wujku Mitch", a dokładnie od czasów studenckich. Jego przybrana kuzynka była w tarapatach.

Miloś Varak wysiadł z samolotu w Durango, w stanie Kolorado i przeszedł przez port lotniczy do kontuaru agencji wynajmu samochodów. Przedstawił fałszywe prawo jazdy i fałszywą kartę kredytową na to samo nazwisko, podpisał akt wynajmu, odebrał kluczyki, po czym skierowano go na parking, gdzie czekał już samochód. W walizeczce miał szczegółową mapę południowozachodniego Kolorado z wykazem takich atrakcji jak cuda parku narodowego w Mesa Verde, a także opisami hoteli, moteli i restauracji, których większość znajdowała się wokół takich miast jak Cortez, Hesperas, Marvel i dalej na wschód – Durango. Najmniejszą wyszczególnioną miejscowość, Mesa Verde, oznaczono kropką; trudno by ją nawet nazwać miasteczkiem. Był to punkt geograficzny, bardziej w umysłach ludzi niż w podręcznikach; sklep, zakład fryzjerski, maleńkie, prywatne lotnisko i barek u GeeGee to właściwie wszystko. Przez Mesa Verde się przejeżdżało, ale nikt tam nie mieszkał. Istniało dla wygody farmerów, pomocników żniwnych i niepoprawnych turystów, którzy nieodmiennie gubili drogę wybierając malownicze trasy do Nowego Meksyku i Arizony. Osobliwe lotnisko służyło kilkunastu uprzywilejowanym właścicielom majątków, którzy pobudowali sobie posiadłości na głuchej wsi. Rzadko, jeśli w ogóle, widywali ten odcinek szosy, przy którym mieściły się sklep, zakład fryzjerski i lokal u GeeGee. Potrzebne artykuły sprowadzali samolotem z Denver, Las Vegas i Beverly Hills – stąd to lotnisko. Wyjątek stanowił kongresman Evan Kendrick, który nieoczekiwanie zaczął się ubiegać o funkcję polityczną. Popęłnił ten błąd, że uznał, iż Mesa Verde może przysporzyć mu głosów i pewnie tak by się nawet stało, gdyby wybory odbywały się na południe od rzeki Rio Grandę. Varak jednak bardzo chciał zobaczyć ten odcinek szosy nazywany przez miejscowych Mesa Verde, albo po prostu Verde, jak mówił nań Emmanuel Weingrass. Chciał zobaczyć, jak się tam ludzie ubierają, jak chodzą, jak trudy pracy w polu odbijają się na ich ciałach, mięśniach, sylwetkach. Przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny, a najdłużej czterdzieści osiem, wmiesza się w tłum. Miloś miał do wykonania zadanie, które napawało go poniekąd smutkiem graniczącym z bólem, ale bezwzględnie musiał je wykonać. Jeżeli ktoś zdradził Inver Brass, jeżeli zdrajca był wśród nich, Varak musi odnaleźć jego... albo ją. Po godzinie i trzydziestu pięciu minutach jazdy samochodem odnalazł bar zwany "U GeeGee". Nie mógł wejść do środka ubrany tak jak stał, zaparkował więc samochód, zdjął marynarkę i wszedł do sklepu po drugiej stronie ulicy.

–Nigdy tu pana nie widziałem – zagadnął podstarzały właściciel odwracając głowę od worków z ryżem, które ustawiał na półce. – Zawsze miło zobaczyć nową twarz. Przejazdem do Nowego Meksyku? Pokażę panu najlepszą drogę, nie musi pan nic

kupować. Ciągłe to ludziom powtarzam, ale oni i tak uważają, że muszą wysupłać trochę grosza, chociaż chcą się tylko spytać o drogę.

–Bardzo pan uprzejmy – odparł Miloś – ale ja muszę chyba wysupłać trochę grosza. Na szczęście nie własnego, tylko swojego pracodawcy. Mam kupić kilka worków ryżu. Zapomniano o nim przy dostawie z Denver.

–A, jedna z tych ferm w górach. Zabieraj, ile dusza zapragnie, synu, oczywiście za gotówkę. W moim wieku już się nie tacha. – Nawet nie przeszłoby mi to przez myśl.

–Pan jest zagranicznikiem, no nie?

–Skandynawem – odparł Varak. – Pracuję tylko dorywczo, zastępuję kierowcę, kiedy jest chory. Miloś wziął trzy worki ryżu i zaniósł je na ladę. Właściciel podszedł do kasy.

–A u kogo pan pracuje?

–W domu Kendricka, ale on mnie nie zna...

–Hej, prawda, że to niesamowite z tym młodym Evanem? Żeby nasz własny kongresman został bohaterem Omanu! Mówię panu, człowiek od razu zaczyna chodzić z podniesionym czołem, jak mówi nasz prezydent! Evan zaszedł tu do mnie parę razy, ze trzy, może cztery. Przyjemny gość, jak mało kto. Naprawdę chodzi nogami po ziemi, pan mnie rozumie?

–A ja go, niestety, nigdy nie spotkałem.

–Ale jak pan tam pracuje w tym domu, musi pan znać starego Manny'ego! Nieżył z niego numer, co? Mówię panu, ten stuknięty Żyd to naprawdę ktoś!

–O, tak, z całą pewnością.

–Należy się sześć dolarów trzydzieści jeden centów, synu. Tego jednego centa możesz sobie darować, jak nie masz.

–Na pewno mam... – Varak sięgnął do kieszeni. – Czy pan... Manny często tu zagląda?

–Jak kiedy. Ze dwa, trzy razy w miesiącu. Zajeżdża tu z jedną z tych swoich pielęgniarek, a jak ta się tylko odwróci plecami, zaraz się urywa do GeeGee. To jest gość. Tu masz resztę, synu. – Dziękuję. – Miloś podniósł worki ryżu i skierował się do drzwi, kiedy powstrzymały go nagle dalsze słowa właściciela.

–Coś mi się widzi, że te dziewczuchy musiały go zakapować, bo teraz Evan zaczął jakby lepiej obstawiać swojego starego druha, ale pewno pan wie.

–Jasne – odparł Varak oglądając się z uśmiechem na mężczyznę. – A jak pan się dowiedział?

–Wczoraj – odpowiedział sklepikarz. – Przy całym tym zamęcie w domu Manny wziął taryfę Jake'a i przyjechał tu do GeeGee. Zobaczyłem go, no więc podleciałem do drzwi i krzyknąłem mu, co to za wspaniała wiadomość. Odkrzyknął mi "moje złotko" czy coś takiego i wszedł do środka. Wtedy właśnie zobaczyłem, jak nadjeżdża wolnusięńko drugi wóz, a w nim jakiś facet gada przez telefon, wie pan, taki samochodowy telefon. Zaparkował naprzeciwko GeeGee i został w wozie obserwując drzwi. Później znów gadał przez telefon, a parę minut później wysiadł i zaszedł do Gonzaleza. Nikt inny tam nie wchodził, no więc wykombinowałem sobie, że ma oko na Manny'ego.

–Powiem im, żeby bardziej uważali – powiedział Miloś nie przestając się uśmiechać. – Ale żeby się upewnić, czy mówimy o tym samym człowieku albo jednym z nich, jak on wyglądał?

–On był miastowy, od razu się widziało. Szykowne ciuchy i ulizane włosy.

–Ciemne, prawda?

–Nie, takie rudawe.

–A, to ten – podchwycił Varak przekonująco. – Mniej więcej mojego wzrostu.

–E, powiedziałbym, że ździebko wyższy, może nawet więcej niż ździebko.

–No, tak tak – zgodził się Czech. – Człowiek zawsze się chyba uważa za wyższego niż jest naprawdę. Taki chudy, a może to ten jego wzrost...

–Tak, to ten – przerwał mu właściciel. – Szczerze mówiąc, skóra i kości, zupełnie nie jak pan.

–W takim razie musiał przyjechać brązowym Lincolnem.

–Mnie się wydawał niebieski, i bardzo duży, ale ja tam teraz nie rozróżniam wozów. Wszystkie wyglądają kubek w kubek tak samo, jak jakieś ponure chrabąszcze.

–Bardzo panu dziękuję. Na pewno powiem tym chłopakom, żeby zachowali większą dyskrecję. Nie chcielibyśmy denerwować Manny'ego.

–Niech się pan nie boi, już ja mu nie powiem. Manny miał nielichą operację, więc jeśli młody Evan uważa, że trzeba go dobrze pilnować, absolutnie jestem za tym. Bo ten stary Manny to numerant, że ho ho! GeeGee chrzci mu nawet whisky, jak tylko ma okazję. – Jeszcze raz bardzo dziękuję. Zawiadomię kongresmana o pańskiej życzliwości. – Myślałem, że pan go nie zna.

–Kiedy go spotkam. Do widzenia. Miloś Varak uruchomił wynajęty samochód i pojechał dalej szosą, zostawiając za sobą sklep, zakład fryzjerski i bar GeeGee. Wysoki, szczupły mężczyzna z gładko zaczesanymi rudawymi włosami prowadzący duży niebieski samochód. Pościg się rozpoczął.

–Nie wierzę! – powiedział szeptem Mitchell Jarvis Payton. – No to uwierz, MJ – odparła Adrienne Rashad pochylając się nad obrusem w czerwonej kratce w głębi włoskiej restauracji w Arlington. – Co naprawdę wiedziałeś o Omanie?

–Była to operacja CzteryZero prowadzona przez rząd, zawiadywana przez Lestera Crawforda, który chciał mieć wykaz naszych najlepszych ludzi z najszerszym kręgiem kontaktów w basenie południowozachodnim. Nic więcej nie wiedziałem. Inni mogą mieć lepsze kwalifikacje od ciebie, ale nie w sprawach kontaktów. – Musiałeś podejrzewać, że operacja wiąże się z zakładnikami. – Oczywiście, wszyscy podejrzewaliśmy. Szczerze mówiąc, dlatego byłem rozdarty. Twoja przyjaźń z Ahmatem i jego żoną nie była dla mnie tajemnicą, a musiałem przyjąć, że inni też o niej wiedzą. Widzisz, nie miałem ochoty podawać Lesowi twojego nazwiska, ale przesądziła o tym twoja dotychczasowa praca w Akcjach, no i powiązania z królewską rodziną. Poza tym wiedziałem, że gdybym cię pozostawił na uboczu z powodów osobistych, a ty byś się o tym dowiedziała, chyba byś mnie zabiła.

–Z całą pewnością.

–Przyznam się jednak do pomniejszego grzeszku – rzekł Payton uśmiechając się

smętnie. – Już po wszystkim poszedłem do biura Crawforda i wyłożyłem mu jasno, że chociaż rozumiem reguły gry, muszę koniecznie wiedzieć, czy nic ci nie jest. Spojrzał na mnie tymi swoimi rybimi oczyma i powiedział, że wróciłaś już do Kairu. Chyba nawet udzielenie tej informacji sporo go kosztowało... A teraz ty mi mówisz, że cała ta cholerna operacja została wsypana przez kogoś z naszych! Strategia CzteryZero musi pozostać zakonspirowana przez wiele lat, a może nawet dziesięcioleci! Są takie akta jeszcze z czasów drugiej wojny światowej, które nie wyjdą na światło dzienne aż do połowy przyszłego stulecia, jeśli w ogóle.

–Kto ma wgląd w te akta, MJ, w te dane?

–Skazuje się je na zapomnienie, składa je w archiwach po całym kraju, pod opieką kustoszy rządowych wspieranych uzbrojonymi strażnikami i systemami alarmowymi tak świetnie zaprogramowanymi, że natychmiast zawiadamiają Waszyngton, przesyłając sygnał tu do nas, a także do Departamentów Stanu i Obrony oraz do centrów strategicznych w Białym Domu. Oczywiście mniej więcej od dwudziestu lat, przy rozkwicie supernowoczesnych komputerów, większość magazynuje się w bankach danych z kodami wejściowymi, które muszą być skoordynowane między co najmniej trzema agencjami wywiadowczymi a Ovalnym Gabinetem. Jeżeli oryginalne dokumenty uznaje się za nadzwyczaj ważne, pieczętuje się je i odsyła na skład. – Payton wzruszył ramionami, rozkładając ręce. – Zapomnienie, moja droga. Wszystkie są dobrze zabezpieczone przed nadużyciem, przed kradzieżą.

–Najwyraźniej nie są – sprzeciwiła się agentka terenowa z Kairu. – Tylko wówczas, gdy akta podlegają kontroli służby bezpieczeństwa – odparował MJ. – Lepiej więc powiedz mi wszystko, co wiesz i wszystko, co ci ten kongresman powiedział. Bo jeśli to prawda, co mówisz, jakiś łajdak dowiedział się o decyzji, żeby iść na całość. Adrienne Khalehla Rashad usiadła wygodnie na krześle i zaczęła mówić. Nie zataiła niczego przed kimś, kto do dziś pozostał dla niej "wujkiem Mitchem", nawet epizodu erotycznego, który zdarzył jej się w Bahrajnie.

–Nie powiem, żebym żałowała, w sensie zawodowym czy jakimkolwiek innym, MJ Oboje byliśmy napięci i wystraszeni, a z ręką na sercu to piekielnie przyzwoity człowiek, poza tym jakiś taki subtelny. Potwierdził mi to dzisiejszy ranek w Maryland.

–W łóżku?

–Boże uchroni. W tym, co mówił, do czego zmierza. Dlaczego postąpił tak, jak postąpił, nawet dlaczego został kongresmanem, chociaż teraz, jak ci mówiłam, chce zrezygnować z tego stanowiska. Z pewnością ma mnóstwo zadr, ale też kipi słusznym gniewem. – Chyba odkrywam w swojej "kuzynce" pewne uczucia, które od bardzo dawna pragnęłam w niej zobaczyć.

–Owszem, byłabym hipokrytką, gdybym się wypierała, chociaż nie sądzę, że to coś trwałego, jesteśmy poniekąd tacy sami. Wybiegam myślą w przyszłość, ale chyba oboje zbyt jesteśmy pochłonięci tym, co musimy zrobić, każde z osobna, i tylko w tym sensie interesujemy się tym, czego chce to drugie. Mimo to on mi się podoba, MJ, naprawdę mi się podoba. Przy nim się śmieję, i to nie tylko z niego, ale z nim razem.

–To strasznie ważne – powiedział Payton w zamyśleniu, a uśmiech i zmarszczka

na jego czołe jakby jeszcze bardziej posmutniały. Nigdy nie spotkałem osoby, przy której potrafiłbym się szczerze śmiać... w każdym razie nie z nią razem. Wynika to, rzecz jasna, z wady w moim własnym charakterze. Jestem, cholera, zbyt wymagający i sporo na tym tracę.

–Ty nie masz żadnych wad ani zadr – zaproponowała Rashad. Jesteś moim wujkiem Mitchem, i nie chcę o czymś takim słyszeć. – Twój ojciec zawsze wywoływał śmiech twojej matki. Czasem im zazdrościłem, mimo kłopotów, z jakimi się borykali. On ją naprawdę rozśmieszał.

–To był mechanizm obronny. Matka sądziła, że ojciec może trzy razy powtórzyć "rozwodzę się" i już będzie musiała od niego odejść. – Bzdury. On ją ubóstwiał. – Po czym Payton zgrabnie wrócił do tematu kryzysu w Maskacie, jak gdyby nigdy od niego nie odeszli. Dlaczego Kendrick od początku nalegał na anonimowość? Wiem, że już mi mówiłaś, ale powtórz z łaski swojej. Wyczuwam w tobie podejrzliwość, ale bezpodstawną. Ma to swoje logiczne uzasadnienie. Zamierzał wrócić i podjąć pracę tam, gdzie ją przerwał pięć, sześć lat temu. Nie mógłby tego zrobić z kamieniem Omanu u szyi. Tak jak nie może teraz, bo wszyscy czyhają na jego głowę, począwszy od palestyńskich fanatyków, skończywszy na Ahmacie i tych wszystkich, którzy mu pomagali, a teraz boją się śmiertelnie wsypy. Wydarzenia ostatnich dwóch dni potwierdzają tylko, że miał rację. Chce tam wrócić i nie może. Nikt mu na to nie pozwoli. Payton znów zmarszczył czoło, smutek na twarzy ustąpił, a jego miejsce zajęła chłodna ciekawość przemieszana z wątpliwościami. – Tak, rozumiem, kochanie, ale pewność, że chciał czy chce tam wrócić opierasz tylko na jego słowie.

–Wierzę mu – powiedziała Rashad.

–Może sam w to wierzę – załagodził dyrektor Akcji Specjalnych. Teraz, po namyśle, kiedy wszystko dobrze rozważył. Mówisz zagadkowo jak diabli, MJ. Co masz na myśli?

–Może to drobiazg, ale moim zdaniem wart przemyślenia. Człowiek, który chce zniknąć z Waszyngtonu, naprawdę zniknąć, a nie otworzyć kancelarię adwokacką, firmę rzecznika prasowego czy dostać podobną synekurę w zamian za usługi dla rządu, o jakie sam zabiegał, raczej nie podejmuje walki z twardzielami z Pentagonu podczas transmitowanych przez telewizję posiedzeń komisji, nie występuje w programie niedzielnym, który ogląda największa liczba widzów w całym kraju, ani nie zwołuje własnej prowokacyjnej konferencji prasowej, która z pewnością zostanie szeroko nagłośniona. Ani też nie pozostaje czarną owcą w specjalnej podkomisji do spraw wywiadu, zadając drażliwe pytania, które może nie rozślawią jego nazwiska w opinii publicznej, ale z pewnością wyrobią mu je w stolicy. W sumie nie są to zbyt typowe posunięcia jak na kogoś, kto pragnie porzucić arenę polityczną albo nagrody, jakie ta ze sobą niesie. Sama przyznasz, że kryje się tu pewna niekonsekwencja? Adrienne Rashad kiwnęła głową. Pytałam go o to wszystko, z początku nawet oskarżałam, że starał się o kolejny publiczny dowód uznania z mojej strony i że cierpi na złośliwy przypadek choroby zwanej ambicją polityczną. Aż wybuchnął, zaprzeczając wszelkim takim pobudkom, upierając się przy tym żarliwie, że chce się tylko wyrwać z Waszyngtonu. Czyżby podjął taką decyzję po namyśle? –

podsunął Payton. Pytam w dobrej wierze, bo takie przemyślenia miałyby każdy trzeźwo myślący człowiek. Powiedzmy, że zrobiwszy zawrotną karierę ten indywidualista... a z pewnością jest indywidualistą, sam się o tym przekonałem... polyka bakcyła z nad rzeki Potomac i postanawia sięgnąć po laury, wykorzystując wszystkie posiadane klocki, łącznie z tym, czego dokonał w Omanie. Po czym przeciera oczy i myśli: "Mój Boże, co też ja zrobiłem? Co ja tu robię? Przecież ja nie pasuję do tych ludzi!"... Nie byłby to pierwszy taki przypadek. Straciliśmy w tym mieście wielu wspaniałych ludzi, którzy doszli do wniosku, że tu nie pasują. Na ogół są to diablo niezależni goście, którzy ufają własnym sądom, przeważnie zrodzeni przez sukces na tym czy innym polu. Tacy ludzie nie mają cierpliwości do meandrów, rozwlekłych dyskusji i kompromisu stanowiących produkt uboczny naszego systemu, chyba że pragną władzy z powodów czysto ambicjonalnych, co twoja intuicja raczej odrzuca w przypadku Kendricka – a ja wierzę twojej intuicji. Czyżby nasz kongresman należał do tej kategorii?

–Tak bez namysłu powiedziałabym, że ta sylwetka pasuje do niego jak ulał, ale to tylko intuicja.

–Ale czy możesz wykluczyć, że ten twój przystojny młody człowiek... – Och, dajże spokój, MJwtrąciła Rashad. To takie staroświeckie. – Używam tego wyrażenia zamiast innego, którego nie śmiem wymówić przy mojej kuzynce.

–Doceniam twoją specyficzną kurtuazję.

–Ma się te dobre maniery, moja droga. Ale czy można wykluczyć, że twój znajomy przetarł oczy i powiedział sobie w duchu: "Popełniłem straszliwy błąd robiąc z siebie bohatera, a teraz to muszę odrobić"? – Nie wykluczałabym, gdyby był kłamcą, ale moim zdaniem nie jest.

–Dostrzegasz jednak niekonsekwencję w jego postępowaniu, co? Zachowywał się w określony sposób, a utrzymuje, że chodziło mu o coś wręcz przeciwnego.

–Twierdzisz, że za bardzo się stawia, a ja twierdzę, że nie, bo nie okłamuje ani siebie, ani mnie.

–Biorę pod uwagę wszystkie możliwości, zanim zaczniemy szukać łajdaka, który, jeśli masz rację, miał kontakt z innym łajdakiem, pewnym blondynem... Czy Kendrick powiedział ci, dlaczego publicznie zjechał Pentagon, a także całą machinę obrony kraju, nie wspominając już o mniej publicznych, za to dobrze rozpowszechnionych słowach krytyki wobec naszych służb wywiadowczych?

–Bo miał sposobność wygłosić takie opinie, a uważał, że należy to głośno powiedzieć.

–I tyle? Tak brzmi jego wyjaśnienie?

–Tak.

–Przedtem jednak musiał się ubiegać o stanowisko, które dałoby mu szansę wypowiedzi. Boże święty, najpierw komisja Partridge'a, potem Specjalna Podkomisja do Spraw Wywiadu, pod względem politycznym są to, mówiąc oględnie, bardzo łakome kąski. Do każdego z tych stołków pcha się po czterystu kongresmanów, którzy sprzedaliby własne żony za taki awans. Nie spada on posłom do parlamentu z nieba, trzeba sobie na niego zapracować, trzeba go wywalczyć. Czym on to

tłumaczy?

–Niczym. Właśnie spadły mu z nieba. I zamiast o nie walczyć, raczej się przed nimi broni.

–Co proszę? – zawołał MJ Payton zdumiony.

–Powiedział, że jeśli mu nie wierzę, powinnam porozmawiać z jego głównym asystentem, który musiał go siłą nakłonić do przyjęcia członkostwa w Komisji Partridge'a, a potem spotkać się osobiście z samym Przewodniczącym Izby i zapytać tego starego irlandzkiego skorumpowanego drania, co Evan kazał mu sobie zrobić z tą podkomisją. Nie chciał żadnej z tych funkcji, ale mu wytłumaczono, że jeśli ich nie przyjmie, nie będzie miał nic do powiedzenia na temat swojego następcy w tym okręgu Kolorado. A to dla niego bardzo ważne. Dlatego ubiegał się o fotel. Nie po to wykurzył jednego obmierzłego typa ze swojej partii, żeby teraz podobny miał zająć jego miejsce. Payton powoli odchylił się na krześle, oparł brodę na rękę, zmrużył oczy. Na przestrzeni lat Adrienne Rashad nauczyła się, kiedy należy milczeć i nie przeszkadzać w myśleniu swojemu mentorowi. Teraz więc nie odzywała się słowem, przygotowana na kilka różnych odpowiedzi, tylko nie na tę, którą usłyszała.

–W takim razie gra toczy się o co innego, kochanie. Jeżeli dobrze pamiętam, powiedziałaś Kendrickowi, że twoim zdaniem ktoś go ekshumuje, ktoś, kto uważa, iż kongresman zasługuje na uznanie za to, czego dokonał. Niestety, sprawa wygląda znacznie poważniej. Nasz kongresman jest sterowany.

–Na miłość boską, do czego?

–Nie wiem, ale musimy się tego dowiedzieć. Bardzo cicho, bardzo ostrożnie. Mamy tu do czynienia z dość niecodzienną sytuacją.

Varak zobaczył duży, ciemnoniebieski samochód. Stał zaparkowany opodal krętej, wyrąbanej w lesie szosy kilkaset metrów na zachód od domu Kendricka. W środku nikogo nie było. Varak minął właśnie imponujące posiadłości kongresmana okolone żywopłotem, nadal oblegane przez uszczuplone wprawdzie kilkusobowe grono upartych, łudzących się nadzieją reporterów z ekipą telewizyjną, i miał zamiar udać się dalej na północ do motelu na przedmieściach Cortez. Widok niebieskiego pojazdu kazał mu jednak zmienić plany. Czech minął następny zakręt, po czym wjechał w kępę gęstych zarośli tuż przed ścianą drzew. Na siedzeniu obok leżała walizeczka; otworzył ją i wyjął przedmioty, które wedle jego przewidywań powinny mu się przydać, kilka niezbędnych, kilka zabranych na wszelki wypadek. Rozłożył je po kieszeniach, wysiadł z wozu, cicho zamknął drzwi i wrócił za zakręt z powrotem do niebieskiego samochodu. Podszedł do drzwi od strony lasu i obejrzał wóz w poszukiwaniu pułapek – chytrych urządzeń, które uruchamiałyby alarm, gdyby ktoś majstrował przy zamku albo dobierał się do drzwi. Szukał też wiązek światła biegnących od przednich do tylnych kół włączających sygnał, kiedy jakiś przedmiot przerwałby obwód fotoelektryczny. Znalazł dwie z trzech takich pułapek, przy czym jedną tak wymyślną, że dało mu to do myślenia: samochód musiał zawierać tajemnice znacznie cenniejsze niż ubranie, biżuteria czy choćby poufne dokumenty handlowe. Pod oknami wywiercono, a następnie zamalowano cały rząd dziurek; były to dysze do rozpylania gazu, który paraliżował intruza na pewien czas. Wynaleziono

je i udoskonalono z myślą o dyplomatach w niespokojnych krajach, gdzie ratowanie życia było nie mniej ważne niż przesłuchiwanie napastników. Mógł je włączyć szofer podczas ataku lub alarm, kiedy samochód stał pusty. Obecnie kupowali je zamożni ludzie na całym świecie, i podobno dostawcy tych urządzeń nie mogli zaspokoić popytu. Varak rozejrzał się, szybko podszedł do tyłu niebieskiego samochodu, sięgnął do kieszeni i padł na ziemię tuż przy rurze wydechowej. Wczołgał się pod wóz i natychmiast przystąpił do pracy; po niecałej półtorej minuty wypełznął stamtąd, wstał i rzucił się pędem do lasu. Pościg się rozpoczął i rozpoczęło się też czekanie. Czterdzieści jeden minut później zobaczył wysoką, smukłą postać nadchodzącą drogą. Ów mężczyzna miał na sobie ciemny garnitur, rozpiętą marynarkę, spod niej wyzierała kamizelka; włosy gładko zaczesane, zdecydowanie rude. Jego zwierzchnikowi, pomyślał Miloś, powinno się udzielić lekcji podstawowej taktyki kosmetycznej. Nie wolno wypuścić w teren rudego pracownika, to zwykła głupota. Mężczyzna zaczął najpierw otwierać z klucza prawe przednie drzwi, po czym obszedł wóz z przodu i otworzył drugie, od strony kierowcy. Zanim je jednak uchylił, przykucnął, zniknąwszy z pola widzenia, najwyraźniej przy trzecim odbezpieczeniu, ale zaraz podniósł się i wszedł do środka. Zapalił wóz. Potężny silnik zakrztusił się kilka razy, po czym nagle pod podwoziem rozległ się głośny hurgot i wybuch spalin, a zaraz potem odgłos pękającego metalu. Tłumik i rurę wydechową rozerwało na kawałki, czemu towarzyszyła eksplozja gazu z obu stron samochodu. Varak przykucnął z chusteczką na twarzy, odczekał, aż znikną kłęby dymu wzbijające się ku niebu. Powoli wstał. Kierowca z maską chirurgiczną na twarzy i pistoletem w ręku powiódł wzrokiem za unoszącymi się kłębami, lecz przy tym kręcił się nerwowo na siedzeniu, wypatrując z każdej strony ewentualnego napadu. Ten jednak nie nastąpił, toteż kierowca wyraźnie był zbity z tropu. Podniósł słuchawkę telefonu, po czym się zawahał – Miloś zrozumiał. Jeżeli uszkodzenie było czysto mechaniczne, a on skontaktowałby się z bazą, 30,300 albo 3000 kilometrów stamtąd, ostro by go zbesztano. Odłożył słuchawkę, wrzucił bieg. Huk był tak niemożliwy, że mężczyzna natychmiast zgasił silnik. Nigdy, pod żadnym pozorem nie należy ściągać uwagi na taki samochód; trzeba wybrać inne rozwiązanie, na przykład zadzwonić do warsztatu i kazać się odholować na zwykłą naprawę. A jednak...? I znów rozpoczął się okres czekania. Trwał blisko dwadzieścia minut; mimo tych rudych włosów mężczyzna był profesjonalistą. Najwyraźniej przekonany, że nie czeka go żaden napad, wysiadł ostrożnie z wozu i podszedł do tyłu. Z pistoletem w jednej ręce, a latarką w drugiej nie przestawał się rozglądać na wszystkie strony, kiedy Varak podpełził cichutko po podszyciu. Rudy zawodowiec przykucnął nagle, puszczając snop światła pod maszynę. Miloś wiedział, że ma zaledwie kilka sekund, żeby dobiec do skraju drogi, zanim ten człowiek odkryje rozgrzewający się pod wpływem ciepła plastik wsadzony do rury wydechowej albo zauważy nacięcia na tłumiku wykonane małą diamentową piłką. Ta chwila nadeszła. Varak szybko rozsunał listowie o jakieś dwa metry od przykucniętego, zaglądnącego pod spód samochodu mężczyzny.

–O, Boże! wybuchnął szczupły, dobrze ubrany rudzielec, odskoczył do tyłu, kierując się najpierw w prawo, potem w lewo, plecami do Milośa. Czech podniósł

trzeci przedmiot, który zabrał z walizeczki. Był to pneumatyczny pistolet na strzałki. Ponownie rozsunął liście przed sobą i szybko wystrzelił. Narkotyczna strzałka trafiła do celu, wbijając się w kark mężczyzny. Rudzielec odwrócił się błyskawicznie, upuścił przy tym latarkę, bo tak rozpaczliwie próbował sięgnąć za siebie i wyrwać dokuczliwą igłę. Im gwałtowniejsze wykonywał ruchy, tym szybciej krew napływała mu do głowy, przyspieszając również cyrkulację surowicy. Wszystko trwało osiem sekund; mężczyzna upadł na ziemię, walcząc z nieuchronnymi skutkami trucizny, aż wreszcie zległ nieruchomo na leśnej drodze. Varak wyszedł zza drzew, prędko zaciągnął tam rudzielca, następnie wrócił po pistolet i latarkę. Zaczął obszukiwać mężczyznę, spodziewając się niewątpliwie znaleźć fałszywe dokumenty. Dokumenty okazały się prawdziwe. Nieprzytomny facet u jego stóp był agentem specjalnym Federalnego Biura Śledczego. Wśród jego papierów Varak znalazł przydział do jednostki operacyjnej sprzed dwóch miesięcy i dziesięciu dni – czyli dzień po spotkaniu Inver Brass w Cynwid Hollow w stanie Maryland. Miloś usunął strzałkę, zaniósł mężczyznę z powrotem na drogę i położył go pod kołem niebieskiego samochodu. Ukrył latarkę i pistolet za siedzeniem, zamknął drzwi, po czym wrócił do swojego wynajętego samochodu za zakrętem. Musiał teraz znaleźć telefon, żeby się skontaktować z człowiekiem z FBI w Waszyngtonie. – Nie mamy informacji na temat tej jednostki powiedział informator Varaka w FBI. – Sprawa szła kanałami rządowymi z Kalifornii, podejrzewam, że z San Diego.

–Przecież w Kalifornii nie ma Białego Domu – zaprotestował Miloś.

–Ale jest inny "Dom", jeżeli zapomniałeś.

–Co?

–Zanim powiem coś więcej, Czechu, musimy dostać garść informacji od ciebie. Chodzi o pewną operację sterowaną z Pragi, która tutaj przynosi żniwo. Drobiazg, ale drażniący. Pomożesz nam? – Oczywiście. Dowiem się, czego tylko będę mógł. No więc co to za dom w San Diego w Kalifornii, który może spowodować, żeby FBI utworzyło jednostkę specjalną?

–To proste, Czechu. Należy do wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych., Zatem wszystko przesądzone. Kongresman Evan Kendrick zostanie następnym wiceprezydentem Stanów Zjednoczonych. Jedenaście miesięcy po wyborach człowieka sprawującego ten urząd zostanie prezydentem. Varak w milczeniu odłożył słuchawkę.

* * *

Rozdział 26

Upłynęło pięć tygodni od owej niefortunnej uroczystości w Błękitnej Sali Białego Domu, przy czym katastrofę pogłębiły nieustanne wysiłki mistrza ceremonii Dennisona, żeby skierować uwagę wszystkich na tego, kto wręcza Medal Wolności, a nie na dekorowanego. Dyrygent orkiestry wojskowej źle odczytał instrukcję. Zamiast zagrać podczas przemówienia prezydenta urzekającym pianissimo "Piękną naszą Amerykę", zarządził fortissimo hymnu narodowego, niemal zagłuszając szefa państwa. Dopiero kiedy kongresman Kendrick wystąpił, żeby odebrać medal i wyrazić swoje podziękowanie, orkiestra zagrała akordy tej pierwszej pieśni niskim,

na przemian wzmacnianym i przyciszonym pianissimo, co stworzyło wzruszające tło dla skromnych słów nagrodzonego. Ku wściekłości mistrza ceremonii, Kendrick odmówił przeczytania krótkiej mowy wręczonej mu przez Dennisona na dziesięć minut przed uroczystością, zamiast więc rozwodzić się nad "dyskretną, aczkolwiek nieocenioną pomocą" prezydenta, podziękował tym wszystkim, których nie mógł wymienić z nazwiska za uratowanie mu życia, a tym samym zażegnanie kryzysu w Maskacie. Tę właśnie chwilę wypunktowały szeregi doradców Langforda Jenningsa zebrane na podium żenującym "Psiakrew!" rzuconym głośnym szeptem. Ostateczny cios mistrz ceremonii zadał sobie wyłącznie sam. Podczas krótkiej sesji zdjęciowej, podczas której nie dopuszczono do pytań ze względu na strategię antyterrorystyczną, Herbert Dennison w roztargnieniu wyjął z kieszeni buteleczkę Maaloxu i pociągnął. Natychmiast kamery wycelowały w niego obiektywy, błysnęły flesze, toteż prezydent Stanów Zjednoczonych obejrzał się zdumiony. Tego już było za wiele cierpiącemu na nadkwasotę szefowi personelu. Rozlał sobie kredowy płyn na ciemną marynarkę. Już po wszystkim Langford Jennings wyszedł z sali do wyłożonego dywanem holu obejmując ramieniem Evana.

–Świetnie poszło, panie kongresmanie! – zawołał prezydent. Pominąwszy pewnego durnia, który niby trzęsie tym całym interesem.

–On żyje w ciągłym napięciu. Nie powinien go pan zbyt surowo traktować.

–Co, Herba? – powiedział Jennings cicho, konfidencjonalnie. – I tolerować jego wybryki? Nie ma mowy... Podobno dał panu coś do przeczytania, a pan odmówił.

–Owszem.

–Wyśmienicie. Bo wyglądałoby to na kiczowatą, z góry wyreżyserowaną scenkę. Dziękuję, Evan, doceniam to. Nie ma za co – odparł Kendrick temu postawnemu, charyzmatycznemu mężczyźnie, który wciąż go zaskakiwał. Kolejne pięć tygodni minęło Evanowi tak jak przewidywał. Środki masowego przekazu bombardowały go prośbami o wypowiedzi. On jednak dotrzymał słowa danego Herbertowi Dennisonowi i miał zamiar trwać w swoim postanowieniu. Odmawiał wszelkich wywiadów, twierdząc po prostu, że gdyby się zgodził na jeden, musiałby się zgodzić na wszystkie, co by oznaczało, że nie mógłby właściwie służyć swoim wyborcom, a przecież nadal ich reprezentuje. Listopadowe wybory w dziewiątym okręgu Kolorado okazały się jedynie czczą formalnością. W tych okolicznościach opozycja nie potrafiła nawet znaleźć kandydata. Chociaż wobec środków masowego przekazu jedni byli bardziej powściągliwi w słowach, inni mniej. – Ale z pana teraz gość po byku – droczył się z nim zadziorny Ernest Foxley z programu Foxleya. – I to ja pierwszy pana wylansowałem, postawiłem na świeczniku.

–Pan chyba nie rozumie – odparł Kendrick. – Nigdy nie chodziło mi o wylansowanie ani o świecznik. Po chwili milczenia Foxley zripostował.

–Wie pan co? Wierzę panu. Ale dlaczego?

–Bo mówię prawdę, a pan jest fachowcem w swojej dziedzinie. – Dziękuję, młody człowieku. Rozpuszczę wici i postaram się powstrzymać tę sforę, ale niech pan nam nie serwuje więcej niespodzianek, zgoda? Nie ma tu żadnych niespodzianek dla nikogo, myślał gniewnie Kendrick, jadąc przez pola Wirginii wczesnym grudniowym

popołudniem. Jego dom w Fairfax stał się dosłownie bazą operacyjną Khalehli, przy czym posiadłość wyposażono w supernowoczesny system ochronny dzięki staraniom Mitchella Paytona z Centralnej Agencji Wywiadowczej. Dyrektor Akcji Specjalnych najpierw zarządził budowę wysokiego ceglanego muru z przodu posiadłości, a wejście było tylko przez szeroką białą bramę z kutego żelaza obsługiwaną elektronicznie. Wokół całego terenu wpuszczono głęboko w ziemię równie wysokie druczane ogrodzenie, przy czym zielona metalowa siatka była tak gruba, że wymagałaby materiału wybuchowego, palnika czy piły do metalu, żeby się wdrzeć do środka, zresztą oddział strażników natychmiast usłyszałby niepokojące odgłosy. Ponadto Payton zainstalował w gabinecie Evana nieustannie "oczyszczany" telefon z lampkami sygnalizacyjnymi w wielu innych pomieszczeniach, które wskazywały danej osobie, żeby natychmiast podejść do aparatu. Obok telefonu umieszczono specjalny komputer telekomunikacyjny podłączony do modemu z końcówką zainstalowaną jedynie w prywatnym gabinecie dyrektora. Kiedy ten dostawał informacje, które chciał dać do oceny Khalehli albo kongresmanowi, natychmiast je przekazywał tą drogą, a wszystkie wydruki cięto na kawałki i palono. Zgodnie z ogłoszonymi publicznie zaleceniami prezydenta Akcje Specjalne zabrały się piorunem do dzieła i wzięły na siebie odpowiedzialność za wszystkie przedsięwzięte środki ostrożności, żeby uchronić bohatera z Omanu przed zemstą terrorystów. Zaimponowało to Kendrickowi – z początku sam system zabezpieczeń. Już po godzinie od chwili, gdy prezydencka limuzyna wywiozła kongresmana z posiadłości w stanie Maryland, Mitchell Payton sprawował pełną kontrolę nad jego ruchami, a poniekąd nad całym życiem. Wyposażenie telekomunikacyjne nadeszło później, i to znacznie później, którą to zwłokę spowodował upór Khalehli. Za nic nie chciała się wprowadzić do domu Kendricka, ale po osiemnastu dniach mieszkania w hotelu i wielu uciążliwych spotkaniach w tak zwanych ustronnych miejscach z Evanem i "wujkiem Mitchem", ten ostatni przywołał ją do porządku.

–Niech mnie licho, zrozum kochanie, że nie dam rady usprawiedliwić kosztów czyśćca wyłącznie dla jednego z moich ludzi ani też nie zdołam przedstawić sensownego powodu, a już na pewno nie będę mógł zainstalować odpowiednich urządzeń w hotelu. Poza tym przekazałem oficjalną wiadomość z Kairu do Waszyngtonu, że zrezygnowałaś z pracy w agencji. Nie możemy sobie pozwolić na twój dalszy pobyt w tym sektorze. Nie masz więc chyba wyboru.

–Usiłowałem ją przekonać – wtrącił Kendrick w prywatnej łoży restauracji po drugiej stronie granicy stanu Maryland. Jeżeli martwisz się o pozory, wpiszę do Akt Kongresowych, że przyjechała do mnie ciotka z wizytą. Co powiesz na starszą ciotkę odmłodzoną po zabiegu usuwania zmarszczek.

–Eh, ty durniu. No, dobrze, zgadzam się.

–Co to za urządzenia? – spytał Evan zwracając się do Paytona. – Czego panu trzeba?

–Niczego, co pan by mógł kupić – odparł dyrektor z CIA. – Zresztą tylko my możemy instalować taki sprzęt. Nazajutrz rano pod dom zajechała furgonetka przedsiębiorstwa telefonicznego. Patrole służby bezpieczeństwa skierowały ją na

teren posiadłości, po czym mężczyźni w mundurach firmy telefonicznej zabrali się do pracy, gdy tymczasem ponad dwudziestu budowniczych wykańczało mur, a dziesięciu innych finalizowało pracę przy niedostępnym ogrodzeniu. Monterzy wspinali się na kolejne słupy połączone ze skrzynką, przeciągali od jednego do drugiego kable, a oddzielny drut doprowadzili na dach Kendricka. Jeszcze inni zajechali od tyłu drugą furgonetką, wprost do garażu pod domem, gdzie rozpakowali konsolę komputerową i zanieśli do gabinetu na parterze. Po trzech godzinach i dwudziestu minutach sprzęt Mitchella Paytona był już rozlokowany i działał. Tego samego dnia Evan podjechał po Khalehlę przed jej hotel przy Nebraska Avenue. – Witaj, cioteczko.

–Proszę o zasuwę w drzwiach pokoju gościnnego – odparła ze śmiechem, rzucając swoją miękką nylonową torbę na półkę za siedzeniem i wsiadając do środka.

–Nie martw się, nigdy nie nagabuję starszych krewnych.

–Już raz to zrobiłeś, ale teraz jest inna sytuacja. – Odwróciła się do niego i dodała z uprzejmą, lecz stanowczą szczerością. – Mówię poważnie, Evan. To nie Bahrajn, teraz łączy nas praca, a nie łóżko. Zgoda?

–To dlatego nie chciałaś się dotąd wprowadzić?

–Oczywiście.

–Słabo mnie znasz – powiedział Kendrick po dłuższej chwili milczenia w ulicznym ruchu.

–Częściowo dlatego.

–Przypomina mi się pytanie, które chciałem ci zadać wcześniej, ale uznałem, że opacznie je zrozumiesz.

–Pytaj.

–Kiedy w zeszłym miesiącu weszłaś do tamtego domu w Maryland, zaraz na początku wspomniałaś Bahrajn. A później powiedziałaś mi, że cały dom jest na podsłuchu, że wszystko, co mówimy do kogoś dotrze. Dlaczego więc go wspomniałaś?

–Bo chciałam jak najprędzej wyczerpać temat.

–Zakładając, że inni... ludzie upoważnieni do podsłuchu... będą mieli własne domysły albo podejrzenia na ten temat.

–Tak, a chciałam, żeby moja pozycja była jasna, i to bynajmniej nie pozycja na wznak. Moje późniejsze oświadczenia były tego konsekwencją.

–Śledztwo zakończone – oznajmił Evan wjeżdżając na obwodnicę w kierunku Wirginii.

–Dziękuję.

–A tak nawiasem, opowiedziałem wszystko o tobie Hassanom. Przepraszam, oczywiście nie wszystko. Nie mogą się doczekać spotkania z tobą.

–To ta twoja para z Dubaju?

–Więcej niż "moja para". Serdeczni przyjaciele od dawien dawna. – Nie chciałam ich wcale obrazić. On jest profesorem, prawda? – Jak dobrze pójdzie, w semestrze wiosennym dostanie pracę albo w Georgetown, albo w Princeton. Była tam jakaś kwestia dokumentów, którą zdołaliśmy wyjaśnić. A swoją drogą, jak to się mówi

"Świat jest mały", bo on dosłownie wielbi twojego ojca. Spotkał go raz w Kairze, przygotuj się więc, że przeniesie to uwielbienie na ciebie.

–To mu szybko minie – roześmiała się Khalehla. – Prędko się przekona, że nie należę do ludzi ani jego, ani taty pokroju. – Ale umiesz obsługiwać komputer, co?

–Owszem. Często muszę z niego korzystać.

–A ja nie umiem. Żona Sabriego, Kashi, również nie umie, no i on też nie, może więc dalece przewyższasz ludzi naszego pokroju. – Pochlebstwa nie pasują do ciebie, Evan. Pamiętaj o tej zasuwie w drzwiach. Przyjechali do domu, gdzie Kashi Hassan powitała ciepło Khalehlę; od razu nawiązała się między nimi przyjaźń, co należy do tradycji wśród arabskich kobiet.

–Gdzie jest Sabri? – zapytał Kendrick. – Chciałbym mu przedstawić Khalehlę.

–W twoim gabinecie, drogi Evanie. Uczy pewnego dżentelmena z Centralnej Agencji Wywiadowczej, jak używać komputera w sytuacjach wyjątkowych. Już przeszło trzy tygodnie, jak oś KhalehlaLangley działała pełną parą, lecz wcale nie byli mądrzejsi niż za czasów czyścica w stanie Maryland. Pod mikroskopy wywiadu Paytona wzięto dziesiątki osób, które mogły mieć bodaj najmniejszą szansę na dostęp do akt omańskich. Każdy odcinek ściśle tajnej procedury badano pod kątem uchybień personelu; nie znaleziono ani jednego. Akta sporządził Frank Swann z Departamentu Stanu w tandemie z Lesterem Crawfordem z Agencji, użyto w tym celu tylko jednego komputera, przepisywały je na zmianę różne maszynistki po pięć stron jedna, przy czym pominięto wszystkie imiona własne, które wstawili później osobiście Swann i Crawford. Decyzję, żeby maksymalnie utajnić akta podjęto w wyniku przeglądu sytuacji, na podstawie streszczenia bez żadnych szczegółów, za to z największą rekomendacją Sekretarza Stanu i Obrony, Kolegium Szefów Sztabów, a także Centralnej Agencji Wywiadowczej. Wszystko to przeprowadzono bez wymieniania nazwiska Kendricka, danych personalnych ani narodowości innych osób czy jednostek wojskowych; podstawowe informacje przedstawiono do zatwierdzenia Specjalnym Komisjom Senatu i Izby Reprezentantów pod koniec kryzysu szesnaście miesięcy temu. Obie izby natychmiast wyraziły swoją aprobatę; zakładano również, że przeciek dziennikarski do "Washington Post" dotyczący nieznanego Amerykanina w Maskacie pochodził od niedyskretnego członka którejś z tych komisji. Kto? Jak? Dlaczego? Nadal tkwili w punkcie wyjścia. Wedle wszelkich reguł logiki i eliminacji akta omańskie pozostawały poza zasięgiem, a jednak je ukradziono.

–Gdzieś tu szwankuje logika – oświadczył Payton. – W systemie jest luka, tyle że nie możemy jej znaleźć.

–Święte słowa – potwierdził Kendrick. Decyzja Paytona odnośnie nieoczekiwanego powołania Evana zarówno do Komisji Partridge'a jak i do Specjalnej Podkomisji do spraw Wywiadu związała Kendrickowi ręce. Nie wolno mu się było kontaktować osobiście ani z przebiegłym Partridge'm, ani z równie przebiegłym Przewodniczącym Izby. Dlaczego? Evan początkowo zaprotestował. Jeżeli nim sterowano, miał wszelkie prawo do konfrontacji z tymi, którzy gorliwie przyczynili się do tej manipulacji. – Nie, panie kongresmanie – rzekł Payton. – Jeżeli powołali pana,

bo ich zaszantażowano, na pewno zaalarmują kogo trzeba. Nasz blond Europejczyk i jego pracodawcy zejść jeszcze głębiej do podziemia. Nie powstrzymujemy ich. Po prostu nie możemy ich znaleźć. Przypominam panu, interesuje nas "dlaczego". Dlaczego pana, względnie apolitycznego, świeżo upieczonego reprezentanta z mało ważnego okręgu w Kolorado wysunięto na sam środek areny politycznej?

–Sprawa w znacznej mierze przebrzmiała...

–Nie oglądasz chyba telewizji – powiedziała Khalehla. – W zeszłym tygodniu dwie stacje telewizji kablowej pokazały retrospektywy na twój temat.

–Co takiego?

–Nie mówiłam ci. Nie było sensu. Tylko byś się rozzłościł. Kendrick opuścił okno w Mercedesie i wystawił rękę. Zmotoryzowany oddział ochrony jadący za nim był nowy, a zjazd z drogi znajdował się w połowie długiego zalesionego zakrętu, był więc prawie niewidoczny. Kendrick ostrzegał swoich aniołów stróży, w czym kryła się drobna ironia... Wrócił myślami do owej "parszywej enigmy", jak on i Khalehla zaczęli nazywać cały ten zagadkowy galimatias, który rozwalił mu życie. Mitch Payton – bo mówili już sobie po imieniu – przedwczoraj wieczorem przyjechał do nich z Langley. – Pracujemy nad czymś nowym – oznajmił dyrektor Akcji Specjalnych w gabinecie. – Wychodząc z założenia, że ów Europejczyk Swanna musiał się przedtem skontaktować ze sporą liczbą osób, żeby zebrać na twój temat informacje, które posiadał, sami gromadzimy pewne dane. Nie obraż się, ale my też przeczesujemy twój życiorys.

–Ile lat wstecz?

–Zaczęliśmy od okresu, kiedy miałeś osiemnaście lat. Mała szansa, że wcześniejsze lata miały jakieś istotniejsze znaczenie. – Osiemnaście? Boże, czy nic już nie jest święte?

–A chciałbyś, żeby było? Jeżeli tak, wszystko odwołam.

–Nie, oczywiście, że nie. Tylko mnie to zaskoczyło. I udaje wam się zdobyć takie informacje?

–Wcale to nie takie trudne, jak się powszechnie sądzi. Biura kart kredytowych, akta personalne i rutynowe sprawdzanie środowiska przeważnie wystarczają.

–Ale po co?

–Istnieje kilka możliwości, a w gruncie rzeczy dwie. Jak już wspomniałem, pierwsza to nasz cholernie ciekawski Europejczyk. Gdybyśmy potrafili zestawić listę osób, z którymi musiał się kontaktować, żeby dowiedzieć się czegoś o tobie, łatwiej by nam było odnaleźć jego samego, a wszyscy się chyba zgadzamy, że to kluczowa postać... Drugiej możliwości jeszcze nie spróbowaliśmy. Usiłując odkopać spod ziemi nieuchwytnego blondyna czy kogokolwiek, kto się za nim kryje, skupialiśmy się na wypadkach w Omanie i na samych aktach. Wzięliśmy pod mikroskop wyłącznie kręgi powiązane z rządem.

–A gdzie indziej mielibyśmy szukać? – spytał Kendrick.

–Niestety, w twoim życiu osobistym. W twojej przeszłości może być coś takiego albo ktoś taki, zdarzenie bądź znajomi, może jakiś epizod, który zelektryzował przyjaciół ewentualnie wrogów tak, że zapragnęli cię awansować lub, wręcz

przeciwnie, wziąć na celownik. A nie oszukujmy się, kongresmanie, jesteś potencjalnym celem, to nie żarty.

–Ależ, MJ – wtrąciła się Khalehla. – Nawet gdybyśmy znaleźli ludzi, którzy albo go lubili, albo nienawidzili, musieliby mieć powiązania z Waszyngtonem. Jakiś pan Iks z Ann Arbor w stanie Michigan... czy to przyjaciel, czy wróg... nie mógł ot tak po prostu udać się do banków ściśle tajnych danych lub do archiwów i powiedzieć: "Wiecie co, są tu takie akta, z których chciałbym sporządzić sobie kopię, żeby móc sprokurować fałszywą notatkę dla prasy". Nie rozumiem.

–Ja też nie, Adrienne. A może powinienem mówić do ciebie "Khalehlo", do czego musiałbym się dopiero przyzwyczaić.

–Nie ma powodu, żebyś używał tego imienia.

–Nie przeszkadzaj – napomniął ją Evan z uśmiechem. – Khalehla świetnie do ciebie pasuje – dodał.

–No właśnie, sam nie rozumiemciągnął Payton. Ale jak ci już mówiłem, w systemie jest jakaś luka, szczelina, którą przeoczyliśmy, musimy więc spróbować wszystkiego.

–To dlaczego nie przydusić Partridge'a i Przewodniczącego Izby? – nalegał Kendrick. – Skoro dokonałem tego, czego dokonałem w Maskacie, nie będą chyba tacy silni, żeby nie dać się złamać. – Jeszcze nie teraz, młody człowieku. Nieodpowiednia pora, poza tym Przewodniczący odchodzi na emeryturę.

–Teraz z kolei ja nie rozumiem.

–MJ chce powiedzieć, że rozpracowuje ich obu – wyjaśniła Khalehla. Evan przyhamował Mercedesa na długim zakręcie w lasach Wirginii i odczekał, aż zobaczył zmotoryzowany oddział w lusterku wstecznym; następnie skręcił w prawo na polną drogę prowadzącą od tyłu do jego domu. Strażnicy go wpuścili. Teraz było mu wolno; dlatego pojechał na skróty. Khalehla zadzwoniła do niego do biura i powiedziała, że przez komputer nadeszła lista od Mitchella Paytona. Miał się więc zapoznać z własną przeszłością.

Miloś Varak szedł drewnianym trapem na olbrzymią plażę przed hotelem Del Coronado niecałe trzy kilometry od San Diego. Od wielu tygodni pracował sumiennie, żeby znaleźć szczelinę, przez którą mógłby spenetrować szeregi wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych. Większość czasu spędzał w Waszyngtonie; nie tak łatwo było się przedrzeć do tajnych służb rządu. Aż wreszcie znalazł człowieka oddanego sprawie, o dużej tężyznie fizycznej i zdyscyplinowanym umyśle, którego słabością była pewna niedopuszczalna okoliczność, bo gdyby wyszła na jaw, zniszczyłaby jego majątek, całą karierę, niewątpliwie też życie. Sprawował funkcję sówicie opłacanego stręczyciela dla różnych osobistości z kręgów rządowych. Do tej pracy przysposobili go starsi członkowie jego rodziny, którzy dostrzegli jego możliwości i posłali go do najlepszych szkół w okolicy, a także na dobry uniwersytet – dobry, choć nie najbogatszy, bo nie pasowałoby to do obrazka. Starszyzna chciała umieścić młodego, przystojnego, sprężystego, dobrze wychowanego człowieka na stanowisku, na którym mógłby świadczyć przysługi w zamian za pewne korzyści. A gdzież jest pole do lepszych przysług, jeśli nie poniżej pasa słabego mężczyzny, i

jakież można osiągać lepsze korzyści niż wiedza o tych słabostkach. Starsi byli zadowoleni, i to od wielu lat. Ten człowiek pochodził z mafii, należał do mafii, służył mafii. " Varak podszedł do samotnej postaci w prochowcu przy skałach nabrzeża o kilkaset metrów od wysokiego, imponującego drucianego ogrodzenia Lotniska Marynarki Wojennej.

–Dziękuję za to, że zechciał się pan ze mną spotkać – zagadnął życzliwie Miloś.

–Przez telefon wyczułem u pana obcy akcent – powiedział elokwentny, dobrze wyćwiczony, ciemny mężczyzna. Jest pan wysłannikiem czerwonych? Bo jeśli tak, trafił pan pod niewłaściwy adres. – Komunista? Boże uchroni. Jestem Amerykaninem do szpiku kości, pańscy consiglieri mogliby mnie przedstawić w Watykanie. – To obraźliwe stwierdzenie, nie mówiąc już o tym, że całkiem nietrafne... Powiedział pan kilka bardzo głupich rzeczy, tak głupich, że wzbudził pan moją ciekawość. Dlatego tu przyszedłem.

–Niezależnie od powodów jestem panu wdzięczny.

–Pointa była aż nazbyt wyraźna – przerwał mu agent wywiadu. – Pan mi groził.

–Przykro mi, że pan się poczuł urażony. Wcale nie chciałem panu grozić. Po prostu powiedziałem, że wiem o pewnych dodatkowych usługach, jakie pan świadczy...

–Niech pan nie będzie taki szarmancki...

–Nie ma powodów do nieuprzejmości – powiedział uprzejmie Varak. Po prostu chciałem, żeby pan zrozumiał moje stanowisko. – Co tu mówić o jakimś stanowisku – zachnął się człowiek na usługach rządu. – Nasza przeszłość jest bez skazy, jeśli pan mnie dobrze rozumie. Czech przestąpił w piasku z nogi na nogę i odczekał, aż huk odrzutowca startującego z lotniska Marynarki Wojennej przycichnie w niebie. Powiada pan, że nie ma żadnych plam w życiorysie i że nie będzie pan rozmawiał ze mną na żaden konkretny temat, bo mogę mieć przy sobie urządzenie nagrywające. Varak rozpiął i rozchylił marynarkę. Proszę się nie krępować, niech mnie pan obszuka. Sam wolałbym, żeby mój głos nie znalazł się na jednej taśmie z pańskim... Proszę bardzo. Oczywiście wyjmę broń i będę ją trzymał w ręku, ale nie zamierzam panu przeszkadzać. Strażnik Białego Domu zawahał się.

–Za bardzo mnie pan zachęca – powiedział stojąc bez ruchu. – Z drugiej strony – szybko dodał Miloś – możemy pominąć tę, niezręczność, jeżeli przeczyta pan coś, co dla pana przygotowałem. Czech rozluźnił marynarkę, sięgnął do kieszeni i wyciągnął plik złożonych kartek papieru. Otworzył je nagłym ruchem i podał agentowi wywiadu. W miarę jak czytał, oczy mu się zwężyły, usta rozchylały, układały do nieprzyjemnego warknięcia; w ciągu kilku sekund ta dosyć silna, atrakcyjna twarz stała się szkaradna. Jest pan trupem – rzekł spokojnie.

–Nie sądzi pan, że to krótkowzroczne myślenie? Bo jeśli ja, to z pewnością i pan. Capo rzucą się jak sfora dzikich psów, tymczasem ich panowie, popijając wyborne czerwone wino, jakby to była pańska krew, będą czekali, żeby usłyszeć o pańskiej bardzo nieprzyjemnej śmierci. Przeszłość? Cóż ona znaczy? Nazwiska, daty, okresy, miejsca, a jednocześnie przy każdym zapisie skutki pańskiego seksualnego handlu czy raczej szantaż prowadzący do osiągnięcia tych skutków. Poprawki wniesione do

projektów ustaw, decyzje podjęte w sprawie kontraktów, programy rządowe przegłosowane pozytywnie lub negatywnie zależnie od okoliczności. Powiedziałbym, że to niebagatelna przeszłość. I dokąd to wszystko prowadzi? Niech no zgadnę. Do najbardziej nieprawdopodobnego źródła, jakie, można sobie wyobrazić... Do zastrzeżonego numeru telefonu zarejestrowanego pod fałszywym nazwiskiem i adresem, ale połączonego w apartamencie członka tajnych służb rządu.

–Te dziewczyny nie żyją... Ci chłopcy nie żyją...

–Niech pan ich nie wini. Nie mieli większego wyboru niż pan dzisiaj. Proszę mi wierzyć, lepiej mi pomagać, niż się sprzeciwiać. Nie interesują mnie pańskie nadobowiązkowe zajęcia. Pan świadczy usługi, a gdyby nie pan, świadczyłby je kto inny z podobnymi mniej więcej skutkami. Proszę pana jedynie o informację, a w zamian spalę wszystkie egzemplarze tego zestawienia. Ma pan na to oczywiście tylko moje słowo, ale ponieważ najprawdopodobniej będę znów potrzebował pańskiej ekspertyzy, byłbym głupi, żeby to rozpowszechniać, a zaręczam panu, że nie jestem.

–Nie mam co do tego wątpliwości – potwierdził żołnierz mafii ledwo słyszalnym głosem. – Po co odrzucać broń, skoro może się jeszcze przydać?

–Cieszę się, że rozumie pan moje stanowisko.

–O jakie informacje panu chodzi?

–Niewinne. Nic, co by pana zdenerwowało. Zaczniemy od jednostki FBI przydzielonej wiceprezydentowi. Czyżbyście sobie nie radzili ze swoją robotą? Potrzebny wam specjalny zespół fachowców z Biura?

–To nie ma z nami nic wspólnego. Jesteśmy tu do ochrony. Oni się zajmują śledzeniem.

–Nie da się chronić bez śledzenia.

–To dwa różne poziomy. Jak na coś trafiamy, przekazujemy to do Biura.

–Na co takiego trafiliście, że aż powołano tę jednostkę? – Na nic – odparł mężczyzna. – Kilka miesięcy temu Cep dostał serię pogróżek i...

–Cep?

–Skrót od wiceprezydent.

–Niezbyt pochlebne przezwisko.

–Nie używa się go powszechnie. Tylko w naszym gronie.

–Rozumiem. Słucham o tych pogróżkach. Od kogo pochodziły? – Od tego właśnie jest ta jednostka. Usiłują to wykryć, bo pogróżki napływają nadal.

–Jaką drogą?

–Przez telefon, telegramy, powyklejane listy. Nadchodzą z różnych miejscowości, co daje tym z FBI niezły orzech do zgryzienia. – I bez rezultatów?

–Jak dotąd bez.

–Czyli jest to jednostka mobilna, dziś tu, jutro tam. Czy jej ruchy są skoordynowane z Waszyngtonem?

–Kiedy przebywa tam Cep, są. Kiedy Cep siedzi tutaj, ci ludzie są tutaj, a kiedy podróżuje, jadą za nim. Jednostka podlega bezpośrednio jego osobistemu personelowi. Bo inaczej wieczne kontakty ze stolicą zajmowałyby zbyt dużo czasu.

–Był pan tam przed pięcioma tygodniami, prawda?

–Coś koło tego. Dopiero tu wróciliśmy dziesięć dni temu. On tutaj spędza mnóstwo czasu. Jak chętnie mawia, prezydent obsługuje Wschód, a on Zachód, przez co ma lepiej, bo może się wyrwać z tego Wesołego Miasteczka.

–Głupie stwierdzenie jak na wiceprezydenta.

–Taki jest Cep, ale nie można powiedzieć, żeby był głupi, co to, to nie.

–Dlaczego nazywacie go Cepem?

–Tak z ręką na sercu niezbyt go lubimy, podobnie jak tłum jego koleżków, zwłaszcza tutaj. Te skurczysyny traktują nas jak portorykańskich lokajczyków. Któregoś dnia jeden z nich zwrócił się do mnie: "Chłopcze, zrób mi jeszcze džinu z tonikiem." A ja mu na to, że muszę sprawdzić u swoich zwierzchników w wywiadzie, czy jestem przydzielony do jego posług.

–Nie bał się pan, że nasz wicep... cep... się obrazi?

–Jak rany, on się do nas nie wtrąca. Podobnie jak jednostka federalna, odpowiadamy jedynie przed jego szefem personelu. – A co to za jeden?

–Nie jeden, ale jedna. Mamy na nią inną ksywkę. Może nie tak trafną jak Cep, ale ujdzie. Nazywamy ją Smoczą Dziwą, a w dzienniku raportów Szczodłą Damą, co jej odpowiada.

–Niech mi pan o niej opowie – poprosił Varak, bo jego umysł przechwycił pewien sygnał.

–Nazywa się Ardis Vanvlanderem, wypłynęła jakiś rok temu, zajmując miejsce cholernie dobrego faceta, który odwalał cholernie dobrą robotę. Był tak dobry, że dostał fantastyczną propozycję od jednego z przyjaciół Cepa. Ma trochę po czterdziestce, jedna z tych żelaznych dam na stanowisku, która robi taką minę, kiedy się wejdzie do jej gabinetu, jakby chciała człowiekowi obciąć jaja tylko dlatego, że jest mężczyzną.

–Czyli sama jest nieatrakcyjna?

–Tego bym nie powiedział. Ma dość niezłą twarz i ciało lisicy, ale trudno by jej znaleźć fagasa, chyba że komuś odpowiada taki typ. Ja tam podejrzewam, że pieprzy się na prawo i lewo.

–Mężatka?

–Kręci się tu taki goguś, który twierdzi, że jest jej mężem, ale nikt nie zwraca na niego zbytnio uwagi.

–Co on robi? Czym się zajmuje?

–Należy do śmietanki z Palm Springs. Akcje, obligacje, kiedy mu to nie przeszkadza w grze w golfa. Tak go przynajmniej odbieram. – Za tym się kryją nieliczne pieniądze.

–Jest hojnym ofiarodawcą i nie przegapia żadnej fety w Białym Domu. Zna pan ten typ, falujące siwe włosy, duży brzuch, lśniąca zęby, smoking. Z takich, co to ich zawsze fotografują w tańcu. Gdyby potrafił przeczytać po angielsku od deski do deski choć jedną książkę, pewno mianowaliby go ambasadorem w Wielkiej Brytanii. Chociaż nie, przy tej jego forsie wystarczyłoby pół książki. Varak przyglądał się strażnikowi z wywiadu. Człowiek najwyraźniej odczuwał ulgę, że zadają mu tak niewinne pytania. Odpowiadał bardziej szczegółowo niż musiał, na granicy fałszywej

konfidencyjności plotki.

–Ciekawe, dlaczego ktoś taki posłał żonę do pracy, choćby u samego wiceprezydenta.

–On tu nie ma chyba nic do gadania. Nie wysłała się takiej ostrej cizi dokądś, dokąd sama nie zechce. Poza tym jedna pokojówka nam powiedziała, że ta dama jest jego trzecią czy czwartą żoną, może więc Vanvlanderem nauczył się im dawać wolną rękę.

–A pana zdaniem ta kobieta dobrze się wywiązuje?

–Jak mówię, to ostra baba, zna się na rzeczy. Cep nie zrobi bez niej ani kroku.

–A jaki on jest?

–Cep? – Nagle z Lotniska Marynarki Wojennej poderwał się kolejny odrzutowiec z ogłuszającym rykiem silników. – Cep to Cep – odparł człowiek mafii, kiedy ucichł wstrząsający ziemią łoskot. – Orson Bollinger... taki niby to swój chłop w partii, przy tym chwyta w lot wszystko, co się w niej dzieje, a nie dzieje się nic, co by nie pasowało chłopcom prowadzącym tajne badania w Kalifornii.

–Bardzo jest pan wnikliwy.

–Patrzę, to widzę.

–O, z pewnością nie tylko. Ale radzę, niech pan na przyszłość bardziej uważa. Skoro ja mogłem pana znaleźć, inni też mogą. – Jak, do cholery, jak?

–Przez wrodzoną sumienność. Przez wiele tygodni czekałem, aż ktoś popełni nieuchronny błąd. Mogłoby się to zdarzyć któremuś z pańskich kolegów. Wszyscy jesteśmy ludźmi, nikt z nas nie żyje w zamrażarce. Trafiło akurat na pana. Był pan zmęczony, a może o jeden kieliszek za dużo pan wypił, albo zbyt bezpiecznie się pan poczuł. Tak czy owak, zadzwonił pan na Brooklyn do Nowego Jorku, wyraźnie nie tak jak pan powinien, czyli z automatu telefonicznego. – Frangie! – szepnął capo supremo.

–Pański kuzyn, Joseph "Fryko" Frangiani, drugi wiceszef rodziny Roccich na Brooklynie, spadkobierców interesów genueńskich. Ito mi wystarczyło, amico.

–Ty cudzoziemski wredny skurwysynu!

–Niech pan nie marnuje na mnie obelg... Jeszcze tylko ostatnie pytanie, dlaczego więc nie zachować się grzecznie?

–Co? – zawołał rozwścieczony facet z mafii, czarne brwi wygięły się w łuk, prawa ręka instynktownie sięgnęła po marynarkę. – Przestań! ryknął Czech, jeszcze centymetr a zginiesz. – Gdzie twój pistolet? – wycharczał agent bez tchu.

–Niepotrzebny – odparł Varak świdrując wzrokiem swojego niedoszłego zabójcę. – I dobrze o tym wiesz. Pracownik wywiadu powoli wyciągnął prawą rękę przed siebie. – Ostatnie pytanie, i koniec! – powtórzył, a na twarz wróciła mu pewność siebie. – Masz ostatnie pytanie.

–Ta Ardis Vanvlanderem. Jak panu wyjaśniono jej powołanie na stanowisko szefa personelu wiceprezydenta? Na pewno coś się mówiło, podano jakieś powody. W końcu należy pan do osobistej straży Bollingera i dobrze się panu układały stosunki z jej poprzednikiem. – Stanowimy jego ochronę, a nie kierownictwo korporacji. Nie trzeba nam wyjaśnień.

–Nic nie powiedziano? Nieczęsto widuje się kobiety na takich stanowiskach.

–Powiedziano sporo, żeby nie uszło to naszej uwagi, ale żadnych wyjaśnień.

Bollinger wezwał wszystkich i oznajmił, jak bardzo się cieszy, że może nam ogłosić powołanie na ten urząd jednej z najbardziej utalentowanych osób na kierowniczym stanowisku w całej Ameryce, która przyjmuje tę pracę z tak wielkim poświęceniem, iż powinniśmy wszyscy dziękować wyższym zwierzchnościom za jej patriotyzm. Owo "jej" dało nam do myślenia, że to kobieta. – Ciekawe sformułowanie: "wyższym zwierzchnościom".

–On się tak wyraża.

–I nie robi bez niej ani kroku.

–Chyba by się nie odważył. To czołg nie baba i trzyma cały dom w ryzach.

–W czyich ryzach?

–Co?

–Nieważne... Na razie to wszystko, amico. Niech pan odejdzie, z łaski swojej, pierwszy. Zadzwoń, jak mi pan będzie potrzebny. Mafioso, któremu gorąca, odziedziczona po dziadach znad Morza Śródziemnego krew uderzyła do głowy, Czech dźgnął palcem i rzucił chrapliwym głosem: Trzymaj się ode mnie z daleka, ty skurwielu, jeśli wiesz, co dla ciebie dobre.

–Mam nadzieję trzymać się od pana jak najdalej, Signore Mezzano...

–Nie waż się nazywać mnie alfonsem!

–Będę pana nazywał, jak mi się żywnie podoba, a poza tym sam osądzam, co jest dla mnie dobre. A teraz fila! Capiście? Miloś Varak patrzył, jak jego niechętny informator oddala się w niemej furii plażą. Wreszcie Mezzano zniknął w labiryncie wejść z plaży do hotelu. Czech się zamyślił... wypłynęła jakiś rok temu; jest hojnym ofiarodawcą; Cep nie robi bez niej ani kroku. Dokładnie przed trzynastoma miesiącami Inver Brass rozpoczął poszukiwania nowego wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych, który piastując ten urząd, stałby się pionkiem w rękach niewidzialnych sponsorów prezydenta – ludzi pragnących rządzić tym krajem.

Minęła już czwarta rano, a Khalehla nie ustawała w wysiłkach. Wciąż maglowała Evana, zmieniała kasety w magnetofonie i wielokrotnie powtarzała nazwiska, nalegając, że jeśli cokolwiek go tknie, niech jej mówi wszystko z najdrobniejszymi szczegółami. Wydruk komputerowy z biura Mitchella Paytona z Centralnej Agencji Wywiadowczej zawierał 127 wybranych nazwisk razem z zawodami, współmałżonkami, rozwodami i zgonami. Każda z wymienionych na liście osób spędziła sporo czasu z Kendrickiem albo była obecna w okresie jego intensywnej działalności, albo mogła w istotny sposób wpłynąć na jego decyzje akademickie bądź zawodowe.

–Skąd on, do licha, wytrzasnął tych ludzi? – spytał Evan przemierzając gabinet. – Przysięgam, że połowy z nich w ogóle nie pamiętam, a większość z pozostałej połowy zaciera mi się poza starymi przyjaciółmi, których zawsze będę pamiętał, a żaden z nich nie mógł być nijak związany z tym, co się tam dzieje. Boże, miałem trzech współlokatorów w akademiku w koledżu, dwóch kolejnych na studiach magisterskich i sześciu mieszkało ze mną w jednym mieszkaniu w Detroit, kiedy

podjąłem tam koszmarną pracę. Później było przynajmniej ze dwa tuziny innych, których bezskutecznie usiłowałem wyprowadzić na ludzi, a od których uciekłem na Bliski Wschód, część z nich znalazła się na tej liście. Nie mam zresztą pojęcia dlaczego, wiem tylko, że wszyscy mieszkają teraz w dzielnicach willowych z zielonymi trawnikami, prestiżowymi klubami i koledżami dla dzieci, na które prawie ich nie stać. Nie mają nic wspólnego z moim obecnym życiem.

–W takim razie przelećmy jeszcze raz Grupę Kendricka.

–Grupa Kendricka nie istnieje – przerwał jej gniewnie Evan. – Wszystkich zabito, wysadzono w powietrze, zatopiono w cemencie!... Dobrze wiesz, że zostaliśmy tylko Manny i ja.

–Przepraszam – powiedziała łagodnie Khalehla siedząc na kanapie i popijając herbatę. Przed nią na stoliku leżał wydruk. – Chodziło mi o twoje kontakty tutaj w Stanach, kiedy jeszcze istniała Grupa Kendricka.

–Już je omawialiśmy. Nie było ich tak wiele, na ogół ludzie z firm od nowoczesnego sprzętu technicznego.

–Przelećmy ich jeszcze raz.

–To strata czasu, ale dobrze.

–"SonarElectronics, Palo Alto, Kalifornia" przeczytała Khalehla z ręką na wydruku. – Przedstawicielem był człowiek nazwiskiem Carew...

–Smaru Carew – powiedział Kendrick z chichotem. – Tak na niego mówił Manny. Kupiliśmy kilka urządzeń, które nie działały, a oni upominali się o pieniądze, chociaż odesłaliśmy im ten złom z powrotem.

–Grafika Druckera, Boston, przedstawiciel G.R. Shulman. Pamiętasz coś?

–Garry Shulman, przyzwoity człowiek, przyzwoite usługi. Współpracowaliśmy z nimi wiele lat. Nigdy nie było problemów.

–Drucker Graphics Morseland Oil, Tulsa. Przedstawicielem był osobnik nazwiskiem Arnold Stanhope.

–Już ci opowiadałem o nim, właściwie o nich.

–To opowiedz mi jeszcze raz.

–Robiliśmy dla nich wstępne badania w Emiratach. Wciąż domagali się więcej, niż chcieli nam zapłacić, a ponieważ się rozrastaliśmy, mogliśmy sobie pozwolić na to, żeby ich rzucić.

–Były jakieś kwasy?

–Owszem, zawsze są, kiedy kanciarze dowiadują się, że nie mogą działać tak jak zwykle. Ale nie zaszło nic takiego, czego nie uleczyłoby milczenie. Poza tym znaleźli innych dowcipnisiów, grecki zespół, który się na nich załapał i dostarczył im badań przeprowadzanych chyba na dnie Zatoki Omańskiej.

–Wszyscy jesteście korsarzami jak jeden mąż – powiedziała Khalehla z uśmiechem, przesuwając palec w dół listy. – Off Shore Investments, Ltd., z siedzibą w Nassau, wyspy Bahama, kontakt Ardis Montreaux, Nowy Jork. Wpakowali w ciebie spory kapitał... – Którego nigdy nie tknąłem, bo to była lipa – przerwał ostro Evan. – Powinno to być, do cholery, odnotowane.

–Mam tu napisane: "Pominąć."

–Co?

–Sama to napisałam. Bo tak wcześniej powiedziałaś: "Pominać." Co to jest Off Shore Investments.?

–Raczej była – poprawił Kendrick. – Wysokiej klasy nielegalne przedsięwzięcie maklerskie na skalę międzynarodową. Wysokiej klasy, na skalę międzynarodową, aczkolwiek nielegalne. Stworzyli firmę opartą na olbrzymich kontaktach szwajcarskich i czczych słowach, po czym zarządzili likwidację, przerzucili majątek, nabijając akcjonariuszy w butelkę.

–I ty się w coś takiego dałeś wciągnąć?

–Wówczas nie wiedziałem, że to coś takiego. Byłem znacznie młodszy i cholernie mi imponowało, że chcieli nas wymieniać jako część swojej struktury... a jeszcze bardziej zaimponowały mi pieniądze, które złożyli dla nas w banku w Zurychu. To znaczy imponowały dopóty, dopóki Manny nie zaproponował, spróbujmy trochę wyciągnąć, ot tak dla draki. Wiedział dokładnie, co robi. Nie zdołaliśmy wydębić nawet dwóch franków. Akceptacja spółki Off Shore Investments zabezpieczała wszystkie wypłaty, wszystkie zlecenia. – Czyli fikcyjny układ, i to wyście byli marionetkami.

–Owszem.

–Jak tyś się z nimi skumał?

–Byliśmy wtedy w Rijadzie, a wszystko to za namową Montreaux. Nie nauczyłem się jeszcze, że w takich sprawach nikt się z nikim nie cacka, w każdym razie nie w ten sposób.

–Ardis Montreaux. Ardis... Dziwne imię jak na faceta.

–Bo to nie facet, tylko kobieta. Chociaż twardsza od niejednego mężczyzny.

–Kobieta?

–Wyobraź sobie.

–Przy twoim wrodzonym sceptycyzmie musiała brzmieć bardzo przekonująco.

–O, mówić to ona umiała. A kiedy się oderwaliśmy, gotowa nas była zabić.

Twierdziła, że kosztujemy ją miliony. Weingrass zapytał ją, czyje miliony tym razem.

–Może powinniśmy...

–Pomiń to – uciął stanowczo Evan. – Wyszła za mąż za angielskiego bankiera, mieszka w Londynie. Znikła z horyzontu.

–Skąd wiesz? Przejawiając nieznaczne zmieszanie Kendrick odparł szybko i cicho.

– Dzwoniła do mnie kilka razy... nawiasem mówiąc z przeprosinami. Pomiń to.

–Dobra. Khalehla przeszła do następnej firmy na wydruku. Pytając o nią, zapisała jedno słowo przy Off Shore Investments. Sprawdzić.

Ardis Montreaux FrazierPyke Vanvlanderem, z domu Ardisolda Wojak, urodzona w Pittsburghu w stanie Pensylwania, weszła do marmurowego holu apartamentu w hotelu Westlake w San Diego. Rzuciła sobolową etolę na poręcz wyściełanego aksamitem krzesła i zawołała gromkim głosem, w którym brzmiał staranny akcent środkowoatlantycki, raczej z domieszką nosowych dźwięków brytyjskich niż brzęku amerykańskich pieniędzy, chociaż w wyższych partiach słyszało się w nim również bardziej chrapliwy zaśpiew słowiańszczyzny znad rzeki Monongahela w

Pittsburghu. Andy, skarbie, już jestem! Mamy niecałą godzinę, żeby dojechać do La Jolla, pośpiesz się więc, kochanie! Andrew Vanvlanderen, krępy mężczyzna z falującymi siwymi włosami, ubrany w smoking, wyszedł z sypialni ze szklanką w ręku. – Ja już jestem gotów, koteczku.

– A ja będę za dziesięć minut – rzuciła Ardis, zerkając w lustro w przedpokoju i kręcąc w palcach loki swoich kasztanowych włosów przyprószonych lekko siwizną, ułożonych w doskonałą fryzurę. Dobiegała pięćdziesiątki, była średniego wzrostu, ale sprawiała wrażenie młodszej i wyższej dzięki wyprostowanej, szczupłej sylwetce, zwieńczonej sporym biustem, oraz harmonijnej twarzy, którą podkreślały duże, przenikliwe zielone oczy. – Może byś tak wezwał samochód, kochanie?

– Samochód czeka. La Jolla zresztą też. Musimy porozmawiać. – Tak? – Szefowa personelu wiceprezydenta spojrzała przez ramię na męża. – Masz taki poważny głos.

– Owszem. Odbyłem dzisiaj rozmowę z twoim byłym narzeczonym.

– Z którym, kochanie?

– Jedynym, który się liczy.

– Boże święty, rozmowę? Tutaj?

– Powiedziałem mu, żeby się...

– Zachowałeś się jak idiota, Andyskarbie, po prostu jak idiota! – Ardis Vanvlanderen przeszła szybko, gniewnie z przedpokoju do położonego niżej salonu. Usiadła na wysokim fotelu obitym czerwonym jedwabiem, nerwowo założyła nogę na nogę i przeszła męża swymi dużymi oczyma. – Ryzykuj sobie w kwestii pieniędzy, ruchomości, akcji, tych swoich kretyńskich koni albo czego ci się, do cholery, podoba, ale nie w moich sprawach! Zrozumiałeś, kochanie? – Posłuchaj, ty Smocza Dziwo, przy tej forsie, którą wyłożyłem, jeżeli chcę mieć informację z pierwszej ręki, to ją dostanę. Zrozumiałaś?

– No dobrze, już dobrze. Uspokój się, Andy.

– Sama zaczynasz awanturę, a potem mnie się każesz uspokoić? – Przepraszam. – Ardis odchyliła głowę na oparcie krzesła, głośno oddychała przez otwarte usta, przymknęła oczy. Po kilku sekundach je otworzyła, wyprostowała się i mówiła dalej. – Naprawdę cię przepraszam. Miałam wyjątkowo parszywy dzień z Orsonem.

– Co tym razem Cep wymyślił? – spytał Vanvlanderen, popijając ze szklanki.

– Uważaj z tymi przezwiskami – powiedziała jego żona śmiejąc się cicho. – Lepiej, żeby ci nasi z gruntu amerykańscy goryle nie dowiedzieli się, że są na podłuchu.

– Co zatem ugryzło Bollingera?

– Znow nie czuje się bezpiecznie. Chce mieć żelazny list gwarancyjny, że w przyszłym roku w lipcu zostanie wysunięty jako kandydat swojej partii albo mamy mu wpłacić dziesięć milionów na konto w Szwajcarii. Vanvlanderen zakrztusił się whisky.

– Dziesięć milionów? – zachnął się. – Za kogo ten pieprzony błazen się ma?

– Za wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych z kilkoma sekretami w głowie – odparła Ardis. – Powiedziałam mu, że nie zgodzimy się na nikogo innego, ale to mu nie wystarczyło. Wyczuwa chyba, że Jen nings nie uważa go za gwiazdę i że go odprawi.

– Nasz ukochany telegeniczny czarodziej, Langford Jennings, nie ma tu, do

cholery, nic do gadania!... Czy Orson słusznie podejrzewa? Jennings go rzeczywiście nie lubi?

–Nie lubi to za dużo powiedziane. Po prostu go zbywa, przynajmniej tak mi donosi Dennison.

–No ten to musi wylecieć. Pewnego dnia Herb okaże się zbyt ciekawy jak na nasz gust...

–Zapomnij o nim – przerwała pani Vanvlanderem. – Zapomnij przez chwilę o Dennisonie, Bollingerze i nawet o tych swoich idiotycznych koniach. Co mój zabłąkany, uganający się za dupami, były narzeczony miał tak ważnego do powiedzenia, że pozwoliłeś mu tu przyjść?

–Odpręż się. Dzwonił z biura mojego adwokata w Waszyngtonie. Mamy tam wspólną firmę, pamiętasz? Ale po pierwsze, nie zapominajmy o Orsonie. Daj mu tę gwarancję, jedno lub dwa krótkie zdania, a ja podpiszę. To go uszczęśliwi, a ze szczęśliwymi lżej jest żyć. – Czyś ty oszalał? wykrzyknęła Ardis, podskakując aż w fotelu. – Wcale nie. Przede wszystkim, zostanie naszym kandydatem albo po prostu zniknie... jak to zwykle byli wiceprezydenci. – No, no – powiedziała Ardis przeciągle, wyrażając tym swój podziw. – Jesteś człowiekiem mojego pokroju, Andyskarbie. Myślisz tak zwięźle, tak rzeczowo.

–Długie lata nauki, koteczku.

–Ale powiedz, co ten zatracony stary lowelas miał do powiedzenia? Kto znów chce mu się dobrać do tej jego delikatnej skóry? – Nie do jego, do naszej...

–Czyli również do jego, więc o tym nie zapominaj. Dlatego tu jestem, mój drogi, dlatego nas ze sobą poznał i skumał.

–Chciał nas zawiadomić, że mała grupa żyjących iluzjami potentatów ruszyła z kopyta do boju. W ciągu najbliższych trzech miesięcy ich kongresman stanie się bohaterem wstępniaków w coraz bardziej wpływowych gazetach. Temat przewodni brzmiał: "sprawdzanie jego pozycji", i gość zda wszystkie sprawdziany. Chodzi oczywiście o to, żeby zasunąć wielką bombę. Nasz Kupidyn się martwi, bardzo się martwi. A tak prawdę powiedziawszy, ja też mam niezłego pietra. Ci dobroczynni pomyłeńcy wiedzą, co robią. Wszystko może pójść na żywioł. Ardis, mamy miliony zamrożone na najbliższe pięć lat. Cholernie mnie to martwi!

–Niepotrzebnie – odparła jego wyfiokowana żona wstając z krzesła. Stała tak przez chwilę i przyglądała się Vanvlanderemowi, a w jej szerokich zielonych oczach tylko częściowo błyskało rozbawienie. – Ponieważ tak czy owak masz zamiar oszczędzić dziesięć milionów na Bollingerze, a mój sposób jest lepszy, w każdym razie bezpieczniejszy od innych rozwiązań, uważam, że powinieneś zdeponować w banku taką samą sumę na moje nazwisko.

–Jakoś nie dostrzegam powodu.

–Chociażby z powodu twojej nie słabnącej miłości do mnie... albo jednego z tych zgoła niezwykłych zbiegów okoliczności, że robię karierę wśród ludzi bogatych, pięknych i możnych, a także owładniętych ambicjami politycznymi, zwłaszcza w dziedzinie szczodropliwości wobec rządu.

–Możesz to powtórzyć?

–Nie będę znów odmawiała litanii, dlaczego wszyscy robimy to, co robimy, ani nawet dlaczego spręglam swoje niebagatelne w końcu zdolności z tobą, ale zdradzę ci pewien mały sekret, który trzymałam w tajemnicy przez, no, już ładnych kilka tygodni.

–Umieram z ciekawości – powiedział Vanvlanderen, odstawiając szklankę na marmurowy stolik i przyglądając się bacznie swojej czwartej żonie. – Cóż to takiego?

–Znam Evana Kendricka.

–Co?

–Nasza przelotna znajomość datuje się sprzed wielu lat, szczerze mówiąc, wolałabym nawet nie liczyć sprzed ilu. Przez kilka tygodni coś nas łączyło.

–Pominąwszy rzecz oczywistą, co konkretnie?

–Och, łóżko było dość przyjemne, ale nieistotne... dla nas obojga. Byliśmy wówczas młodzi, świat nas gonił, nie mieliśmy czasu na to, żeby się wiązać.

Pamiętasz Spółkę Inwestycji Morskich?

–Jeżeli maczał palce w tym przedsięwzięciu, możemy go przyszpilić za oszustwo! To z pewnością wystarczy, jeżeli za bardzo wypłynie. Maczał?

–Owszem, ale nie możesz. Wyszedł stamtąd trąbiąc głośno o swoim świętym oburzeniu, co zapoczątkowało upadek tego domku z kart., Na twoim miejscu nie spieszyłabym się tak z przyszpilaniem władz tej spółki, chyba że ci się już znudziłam, kochanie.

–Ty?

–Ja byłam główną akcjonariuszką. Werbowalam figurantów.

–Niech mnie diabli – roześmiał się Vanvlanderen, znów sięgnął po szklankę i uniósł ją w stronę żony. Ci złodzieje dobrze wiedzieli, kto się nadaje do jakiej pracy... Czeka, no? Znałaś Kendricka na tyle dobrze, żeby spać z tym skurczybykiem i nie zająknęłaś się ani słowem?

–Miałam swoje powody...

–Mam nadzieję, że cholernie dobre! – wybuchnął hojny sponsor prezydenta. – Bo jeśli nie, dobiorę ci się do tyłka, ty dziwo! A jeżeli cię widział, rozpoznał, zapamiętał Inwestycje Morskie, dodał dwa do dwóch i wyszło mu cztery? W takich sprawach nie ryzykuję! – Teraz ja ci z kolei powiem: "Odpręż się", Andy – uspokoiła go żona donatora. Ludzie wokół wiceprezydenta nie są obiektem zainteresowania ogółu. Kiedy po raz ostatni słyszałaś, żeby wymieniono publicznie nazwisko kogokolwiek z personelu któregoś wiceprezydenta? To szara, bezkształtna masa, bo taka jest wola prezydentów. Poza tym nie sądzę, że moje nazwisko kiedykolwiek trafiło do prasy poza sformułowaniem "Państwo Vanvlanderen, goście Białego Domu." Kendrick nadal sądzi, że jestem żoną bankiera FrazierPyke'a mieszkam w Londynie, a jak pamiętasz, chociaż oboje dostaliśmy zaproszenie na uroczystość wręczenia Medalu Wolności, tyś poszedł sam. Ja się wymówiłam.

–To jeszcze nie powody! Dlaczego mi nie powiedziałaś?

–Bo wiedziałam, jak zareagujesz: "usunąć ją ze sceny", a uznałam, że mogę ci się znacznie bardziej przydać na scenie.

–Na miłość boską, jak?

–Właśnie dlatego, że go znam. Wiedziałam również, że muszę zebrać o nim informacje, ale nie przez jakąś prywatną firmę detektywistyczną, która mogłaby nas później wkopać, wybrałam więc oficjalną drogę. Federalne Biuro Śledcze.

–A pogróżki przeciw Bollingerowi?

–Skończą się jutro. Poza jednym człowiekiem, który zostanie tu na specjalnych prawach, jednostka zostanie odwołana do Waszyngtonu. Te fikcyjne pogróżki okażą się paranoicznymi kapryсами wymyślonego przeze mnie nieszkodliwego szaleńca, który niby to uciekł z kraju. Bo widzisz, kochanie, dowiedziałam się tego, co chciałam wiedzieć.

–Mianowicie?

–Jest taki stary Żyd nazwiskiem Weingrass, którego Kendrick ubóstwia. Jest dla Evana jak ojciec, którego nigdy nie miał, a za czasów Grupy Kendricka nazywano go "tajną bronią" całego zespołu. – Coś z amunicją?

–Nic z tych rzeczy, koteczku – roześmiała się Ardis Vanvlanderem. – Był architektem, i to cholernie dobrym. Odwalił kawał wspaniałej roboty dla Arabów.

–Co nam po nim?

–Powinien być teraz w Paryżu, a nie jest. Mieszka w domu Kendricka w Kolorado, chociaż nie ma w paszporcie wizej wjazdowej ani oficjalnego statusu imigranta.

–I co z tego?

–Nasz szykowany do namaszczenia kongresman sprowadził tu starszego pana na operację, która uratowała mu życie.

–I co z tego?

–Emmanuel Weingrass dostanie nawrotu choroby, który go zabije. Kendrick będzie czuwał przy jego boku, a już po wszystkim będzie za późno. Teraz poproszę o te dziesięć milionów, Andyskarbie.

* * *

Rozdział 27

Varak bacznie obserwował siedzących wokół stołu członków Inver Brass. Każdą, oświetloną jasnym blaskiem mosiężnej lampy, twarz. Był całkowicie skoncentrowany, do granic wytrzymałości, ponieważ musiał skupić się na dwóch poziomach. Pierwszy poziom – to informacja, której im udzielił. Drugi – to natychmiastowe reakcje każdej z tych twarzy na fakty w niej zawarte. Musiał wytropić tę parę oczu, która mogła być podejrzana, ale nie znalazł jej. Oznaczało to, że kiedy logicznie i w wyważony sposób poruszył temat obecnego wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych i jego zespołu pomocniczego, poruszając w sposób lekki "niewinne" szczegóły, o których dowiedział się od "wtyki" mafii w służbach specjalnych, na twarzach tych nie było oznak przerażenia, lub choćby strachu. W tych twarzach nie było niczego. Tylko spojrzenia bez wyrazu. Tak więc, gdy mówił z przekonaniem, podając z grubsza 80% prawdy, obserwował ich oczy, jednocześnie drugim poziomem swego umysłu analizował ważniejsze fakty z ich życia, podczas gdy oni siedzieli przy stole w blasku lampy. Patrząc na te twarze widział rysy uwydatnione światłowieniem lampy i czuł, tak jak zawsze odczuwał, że ma do czynienia z ludźmi potężnymi. Lecz jeden z nich nie był potężny: jedna osoba ujawniła pobyt Emmanuela Weingrassa w Mesa Verde

w Kolorado, o czym nie wiedział nawet najbardziej utajniony wydział w Waszyngtonie. Jedną z tych przyciemnionych twarzy należała do zdrajcy Inver Brass. Która? Samuel Winters? Posiadacz starej fortuny amerykańskiej. Potomek dynastii pochodzącej jeszcze z czasów kolei i naftowych rekinów końca XIX w. w Stanach Zjednoczonych. Powszechnie szanowany uczony zadowolony ze swego uprzywilejowanego życia. Doradca prezydentów bez względu na to, z jakich partii politycznych się wywodzili. Wielki człowiek, żyjący w zgodzie z samym sobą. Czy naprawdę? Jacob Mandel? Cieszący się powszechnym szacunkiem geniusz – finansista, który zaplanował i przeprowadził reformy uzdrawiające rynek papierów wartościowych i przekształcające Komisję Giełdową w prężne i o wiele bardziej szacowne ciało na Wall Street. Z nędzy żydowskiej na Lower East Side przeniósł się do salonów księżąt finansjery handlowej i mówiło się, iż żaden przyzwoity człowiek nie był w stanie mienić się jego wrogiem. Podobnie jak Winters nie wynosił się swymi zasługami. A może były jeszcze jakieś, o które walczył w skrytości? Margaret Lowell? I znowu stare, arystokratyczne pieniądze z orbity Nowy Jork – Palm Beach, ale ze splotem okoliczności, o jakich w tych kręgach nigdy nie słyszano. Była doskonałym prawnikiem. Zrezygnowała z dobrodziejstw, jakie płyną z zajmowania się prawnem majątkowym i korporacyjnym na rzecz adwokatury. Pracowała z zapalem w tej dziedzinie prawa, stając w obronie prześladowanych, wywłaszczonych i ubezwłasnowolnionych. Jest zarówno teoretykiem jak i praktykiem. Mówi się, że ma być drugą kobietą, która zasiądzie w Sądzie Najwyższym. A może ta adwokatura to parawan skrywający tajemne orędownictwo zupełnie przeciwnej sprawy? Eric Sundstrom? Wunderkind, naukowiec, specjalista od spraw technologii kosmicznej, posiadacz ponad dwudziestu lukratywnych patentów, większość dochodów z których przeznaczal na rozwój badań i cele charytatywne. Był to dużej klasy intelekt z twarzą cherubinka o rudych kręcących się włosach, szelmowskim uśmiechu i stosownym poczuciu humoru – tak jakby się wstydził tego wszystkiego, w co wyposażyla go natura. Udawał z łatwością lekkie oburzenie, gdy mu na to zwracano uwagę. A może to tylko pretekst, udawana szczerosc człowieka, którego nikt naprawdę nie zna? Gideon Logan? Być może najbardziej skomplikowana postać z całej piątki, a ponieważ jest Murzynem – można to zrozumieć. Majątek zrobił na handlu nieruchomościami, nie zapominając ani na chwilę skąd pochodzi. Dzierżawił i opiekował się firmami należącymi do czarnych. Mówi się, że cicho i spokojnie o wiele więcej zrobił na rzecz praw człowieka, aniżeli jakakolwiek korporacja czy koncern w tym kraju. Obecna administracja, podobnie jak i poprzednie, proponowały mu szereg stanowisk w rządzie, ale odmawiał, w przekonaniu, że o wiele więcej osiągnie jako osoba niezależna w sektorze prywatnym, niżli, gdyby łączyło się go z jakąś partią i jej działalnością. Pracowity aż do przesady, uległ tylko jednej słabości: była to luksusowa posiadłość nad brzegiem morza, na wyspach Bahama, na której spędzał od czasu do czasu weekendy, łowiąc ryby z 15metrowego jachtu "Bertram" wraz ze swoją żoną, z którą był już od 12 lat. A może cała ta legenda łącząca się z nazwiskiem Gideona Logana była niepełna? Odpowiedź brzmiała: tak. Kilka lat z jego burzliwego życia stanowiło nieznaną kartę: tak, jak gdyby nie istniał w ogóle w tym

czasie.

–Miloś? – powiedziała Margaret Lowell z głową wspartą na rękach, z łokciami na stole. – Jak, na Boga, udało się administracji utrzymać pogroźki przeciw Bollingerowi w tajemnicy? Szczególnie w sytuacji, kiedy Biuro Federalne przydzieliło mu zespół ludzi. Skreślić z listy Margaret Lowell? Otwierała puszkę pełną robali, wśród których znaleźć można było szefa sztabu wiceprezydenta. – Myślę, że na polecenie pani Vanvlanderen, dzięki jej opinii jako szefa. Tak bym to ujął. Obserwuj oczy. Mięśnie twarzy szczęki... Nic. Nie widać niczego. Ale jedno z nich wie. Kto? Rozumiem, że jest ona żoną (Andrew Vanvlanderena, rzekł Gideon Logan, – Andy'ego, jak się go nazywa, który znakomicie zbiera fundusze wyborcze, ale dlaczego właśnie ją mianowano? Skreślić Gideona Logana? Gmera w tych robalach. Być może ja będę w stanie odpowiedzieć – powiedział Jacob Mandel. – Zanim wyszła za Vanvlanderena mogła być marzeniem wszystkich łowców głów. Z dwóch upadających spółek uczyniła dochodowe przedsiębiorstwa, dzięki ich połączeniu. Powiedziano mi, że jest agresywną, nieprzyjemną osobą, ale nikt nie może zaprzeczyć, iż ma talent kierowniczy. Będzie dobra na tym stanowisku: pochlebców trzymać będzie z dala. Skreślić Jacoba Mandela? Chwali ją bez skrpułów.

–Zetknąłem się z nią raz, – powiedział Eric Sundstrom z emfazą – i, mówiąc ot tak po prostu, – to suka. Ofiarowałem patent John Hopkins Medical, a ona chciała w tym pośredniczyć, do cholery. – A w czym można było tam pośredniczyć? – zapytał prawnik Lowell.

–Zupełnie w niczym – odparł Sundstrom. – Chciała mnie przekonać, że takie duże darowizny wymagają nadzoru celem upewnienia się, że pieniądze wykorzystane zostaną na zamierzony cel, a nie na jakieś bzdury.

–Prawdopodobnie miała rację – powiedział prawnik kiwając głową ze znawstwem.

–Nie w tym przypadku. I nie o to jej chodziło. Tak naprawdę to rektor Akademii Medycznej jest moim dobrym przyjacielem. Przyciskała go do muru tyle razy, że chciał zwrócić ten patent. To kurwa, prawdziwa kurwa. Skreślić Erica Sundstroma? Klął na nią bez żadnych skrpułów. – Nigdy jej nie widziałem – wtrącił Samuel Winters, ale była żoną Emory FrazierPyke'a, dobrze ustawionego bankiera z Londynu. Pamiętasz Emory'ego, Jacob?

–Tak, pamiętam. Grał w polo, a ty przedstawiłeś mnie jako cichego wspólnika Rothschildów – w co on, niestety, uwierzył. Tak mi się przynajmniej wydaje.

–Ktoś mi powiedział – ciągnął dalej Winters – iż biedny FrazierPyke stracił mnóstwo pieniędzy na interesie, z którym ona była związana, ale za to zdobył żonę. Chodziło o tę bandę z Off Shore Investments.

–Owszem, był delikatny – dodał Mandel. – Łobuzy i złodzieje. Każdy z nich powinien sprawdzać nawet własne konie. No i to ciche partnerstwo z Rotschildami także.

–Być może, że tak nawet i uczynił. Nie wytrwała przy nim długo, a poczciwy Emory zawsze był pedantem, jeśli chodzi o uczciwość i skrupulatność. Mogła być złodziejką, ona także. Skreślić Samuela Wintersa? Zdrajca Inver Brass nie stwarzałby możliwości do snucia spekulacji.

–W ten czy inny sposób – skomentował beznamiętnie Varak przynajmniej teraz macie o niej pojęcie.

–Ja nie wiedziałam o niej – powiedziała Margaret Lowell niemalże w samoobronie. – Ale wysłuchawszy, tego co inni powiedzieli, mogę wam rzec, kto jeszcze ją zna. Mieć o niej pojęcie – to jeszcze za mało. Mój były mąż, kotekdachowiec: zapoznał go z nią Frazier Pyke. – Walter? głos Sundstroma i wyraz jego twarzy były nieco śmieszne. Śmieszne w nucie pełnego zaciekawienia.

–Mój chłoptaş tak często jeździł do Londynu w interesach, że pomyślałam sobie, iż pewnie jest doradcą Korony. Często też wspominał, że ów Frazier Pyke był jego bankierem w Anglii. A potem pewnego ranka służąca zadzwoniła do mnie do biura i powiedziała, że mój Casanova miał pilny telefon od kogoś z inicjałami FP z Londynu, ale nie wiedziała, gdzie Casanova się znajduje. Podała mi numer telefonu i ja zadzwoniłam, mówiąc, przypuszczalnie do sekretarki, że M. Lowell jest na linii i chce rozmawiać z panem FP. W chwilę potem powitał mnie wylewny głos zwracający się do mnie "kochanie, przyjadę do Nowego Jorku jutro rano. Będziemy mogli spędzić pięć dni razem." Rzekłam do niej: "Wspaniale." I rzuciłam słuchawkę.

–Porusza się w odpowiednich kołach – powiedział Gideon Logan chichocząc. – Słodki Andy będzie utrzymywać ją na wysokiej stopie, sobole, wszystko czego będzie chciała, aż mu się znudzi. Varak musiał szybko zmienić temat. Jeśli miał rację, że przy tym stole znajduje się zdrajca, a był tego pewien, to wszystko, co się tutaj powie – dotrze do niej. Nie mógł pozwolić na cokolwiek więcej. Wnosząc z reakcji państwa – powiedział słodko i pozornie bez określonego celu – można założyć, że istnieją pewni oportuniści, którzy są niezmiernie zdolni. Ale nie o to chodzi. Obserwuj ich. Każdą twarz.

–Ona pracuje dla wiceprezydenta. Robi to dobrze, ale to w zasadzie jest bez znaczenia... Wracając do naszego kandydata wszystko przebiega zgodnie z planem. Gazety środkowego Zachodu, poczynając od Chicago, będą spekulowały na temat jego kompetencji, zarówno na kolumnach z wiadomościami, jak i w komentarzach. Wszystkie otrzymały już obszerne materiały informacyjne o Kendricku, a także taśmy z nagraniami komisji Patridge'a, programu telewizyjnego Foxleya i z jego własnej, skądinąd udanej, konferencji prasowej. Stamtąd wieść rozniesie się dalej, zarówno na wschód, jak i na zachód.

–W jaki sposób się do nich zwrócono, Miloś? – zapytał Samuel Winters. – Mam na myśli gazety i komentatorów.

–Dzięki prawnie ad hoc usankcjonowanemu komitetowi, który założyliśmy w Denver. Ziarno, gdy się je zasieje, szybko wzrasta. Oddział partii w Kolorado odniósł się entuzjastycznie, tym bardziej, że do funduszu przyczyniły się osoby, które pragną pozostać anonimowe. Działacze z tego stanu widzą w naszym kandydacie człowieka prężnego i dostrzegają instrumenty umożliwiające wysunięcie go na najwyższe stanowiska, jak również widzą jego zainteresowanie stanem Kolorado. Tak czy inaczej nic nie mogą na tym stracić. – Sprawa owych "instrumentów" może przedstawiać problem natury prawnej – powiedziała Margaret Lowell.

–Nic istotnego, proszę pani. Wszystko zależy od biegu wydarzeń. Żadnych wpłat

w ustawowym okresie. Tak jak to przewiduje prawo wyborcze, które jest niejasne, jeśli nie wręcz tajemnicze, jak ja to oceniam.

–Jeśli będę potrzebowała prawnika, to zadzwonię do ciebie, Miloś – powiedziała Lowell uśmiechając się i siadając z powrotem na krześle.

–Przedstawiłem każdemu z was listę tytułów gazet, nazwisk redaktorów naczelnych i publicystów, którzy wezmą udział w tej fazie...

–By ją potem spalić w piecu – wtrącił Winters miękko.

–Tak, oczywiście. Naturalnie. Bez wątpienia – odpowiedział chór zgodnych głosów. Kto z nich kłamał?

–Proszę mi powiedzieć, Varak – rzekł bystry, wyglądający na cherubinka Sundstrom. – Zgodnie z tym, co już wszyscy wiemy, zgodnie z tym, co już nam powiedziałeś, nasz kandydat nie wykazuje nawet krzty tego ognia w sobie, o którym tak wiele słyszymy. Czy to nie diabelnie ważne? Czy on sam nie musi zapragnąć tego stanowiska?

–Zapragnie, zapragnie, sir. Jak się dowiedzieliśmy jest tym, kogo można nazwać politykiem gabinetowym, kto wychodzi z gabinetu tylko wówczas, gdy okoliczności wymagają ujawnienia jego zdolności.

–Dobry Boże, Samuelu, czy on także jest rabinem?

–Nie, panie Mandel – odpowiedział Czech, pozwalając sobie na nikły uśmiech. " – Pragnę zaznaczyć, że w dwu dramatycznych okolicznościach jego życia jedna z nich była szczególnie groźna dla niego wybrał najbardziej niebezpieczną linię działania, gdyż uważał, że w ten sposób "doprowadzi do zmiany na lepsze. W pierwszym przypadku była to decyzja zastąpienia skorumpowanego kongresmana. W drugim przypadku chodziło oczywiście o Oman. Mówiąc krótko, musi – być jeszcze raz przekonany, że jest potrzebny. On i jego umiejętności; że jego zdolności są niezbędne dla dobra kraju.To zbyt duże wymagania – powiedział Gideon Logan. – Z pewnością jest człowiekiem, który rzetelnie ocenia własne kwalifikacje. Dolna granica może się sprowadzać do: "Nie posiadam odpowiednich kwalifikacji". Jak sobie z tym poradzimy? Varak rozejrzał się wokół stołu, sprawiając wrażenie człowieka, który pragnie, by go dobrze zrozumiano. – Mówię przykładowo, sir. – Jak to? – zapytał Mandel zdejmując okulary w stalowej oprawce. – Na przykład obecny Sekretarz Stanu, którego koledzy z Białego Domu często oczerniają jako niepoprawnego akademika, jest najbardziej sensowną osobą w całej administracji. Wiem ze źródeł prywatnych, że udało mu się przystopować wiele pochopnych działań, jakie zalecali prezydentowi jego doradcy, tylko dlatego, iż prezydent szanuje jego zdanie...

–I powinien, do cholery – wykrzyknęła Margaret Lowell.

–Uważam, że sojusz europejski rozleciałby się bez niego na kawałki – zauważył Winters.

–Nie będzie żadnego sojuszu bez niego – zgodził się Mandel z wyrazem gniewu na twarzy, która zazwyczaj nie wyrażała niczego. To morska latarnia rozsądku w tym stadzie czkających Neandertalczyków.

–Jeśli można, sir? Czy należy rozumieć użycie przez Pana wyrażenia "latarnia morska" symbolicznie?

–To logiczne – odpowiedział Gideon Logan. – Nasz Sekretarz Stanu jest ze wszech miar symbolem intelektualnego umiarkowania. Naród także go poważa.

–Ma zamiar złożyć rezygnację – wywalił Varak prosto z mostu. – Cooo? – Sundstrom pochylił się do przodu. – Jego lojalność w stosunku do Jenningsa nie pozwoli mu.

–Poczucie uczciwości nie powinno pozwolić mu pozostać – powiedział Winters zdecydowanym tonem.

–Ze względu na lojalność jednak – wyjaśnił Varak – zgodził się wziąć udział w konferencji NATO na temat Bliskiego Wschodu, która ma odbyć się w siedzibie ONZ na Cyprze za trzy tygodnie. To pokaz jedności oraz danie ludziom prezydenta czasu na znalezienie następcy, który byłby do zaakceptowania przez Kongres. A potem odejdzie "ze względu na pilne sprawy osobiste", z których najważniejszą jest własna frustracja wywołana przez Radę Bezpieczeństwa Narodowego, której członkowie ciągle go podgryzają.

–Czy wyjaśnił to wszystkiemu prezydentowi? – zapytała Lowell. – Według moich źródeł nie uczynił tego – odpowiedział Varak. Jak już podkreślił pan Mandel, jest człowiekiem rozsądnym. Zdaje sobie sprawę, że o wiele łatwiej i lepiej dla kraju jest zdymisjonować jedną osobę, aniżeli całą radę doradców prezydenta.

–Smutne – powiedział Winters – ale nieuchronne, jak sądzę. Ale jak ma się Sekretarz Stanu do Evana Kendricka? Nie widzę związku. – Związek ten leży w samym symbolu – rzekł Eric Sundstrom. – Musicie rozumieć jego wagę. Czy mam rację, Miloś?

–Tak, sir. Jeśli przekona pan Kendricka, że sprawą o kluczowym znaczeniu jest posiadanie mocnego wiceprezydenta, którego zarówno nasi przyjaciele, jak i wrogowie postrzegać będą jako głos rozsądku wewnątrz imperialnej prezydentury, w której łagodny imperator często chodzi bez szat – i jeśli świat wtedy odetchnie z ulgą – wówczas, moim zdaniem, on dokona jeszcze raz trudnego wyboru i zaoferuje swoje usługi.

–Z tego co wiemy, wydaje się, że tak właśnie postąpi – zgodził się Gideon Logan. – Ale kto, do diabła, przekona go o tej konieczności? – Jest tylko jedna osoba, której usłucha – powiedział Miloś Varak, zastanawiając się, czy ma podpisać wyrok śmierci. – Emmanuel Weingrass.

Anna Mulcahy O'Reilly była waszyngtońską sekretarką, którą niełatwo było wyprowadzić z równowagi. Przez te wszystkie lata, kiedy razem z Paddym przeprowadziła się z Bostonu, pracowała dla bystrzaków i tępaków, dla tych, którzy mieli być porządnymi ludźmi i dla tych, którzy mieli stać się złodziejami: i teraz niewiele rzeczy mogło ją zadziwić. Nigdy jednak nie pracowała dla kogoś takiego jak kongresman Evan Kendrick. Bardzo niechętnie zamieszkiwał on w Waszyngtonie. Był też wiecznie niezadowolonym politykiem i przekornie wysuwającym zastrzeżenia bohaterem. Znał więcej sposobów na uniknięcie tego, co wydawało się nieuchronne, niż kot, któremu dano żyć dziewięć razy do potęgi trzeciej. Mógł zniknąć jak niewidzialny człowiek, a mimo tej skłonności do znikania zawsze pozostawiał możliwość skomunikowania się z nim: zwykle dzwonił w regularnych odstępach

czasu lub zostawiał numer telefonu, pod którym można było go zastać. Jednakże od dwóch dni nie było od niego żadnej wiadomości, nie pozostawił żadnego numeru telefonu, pod którym można by było go złapać. Same te dwa fakty nie zaniepokoiłyby panny O'Reilly, ale zaistniały jeszcze dwa inne: przez cały dzień, począwszy od ósmej trzydzieści rano, nie można było połączyć się ani z domem w Wirginii, ani z domem w Kolorado. Zarówno telefonistki w Wirginii, jak i w Kolorado podały jako przyczynę uszkodzenie linii, i stan ten nie zmienił się do siódmej wieczorem. To właśnie zaniepokoiło Annę O'Reilly. A więc w sposób zupełnie logiczny, podniosła słuchawkę i wykręciła numer telefonu jej męża w komendzie policji.

–O'Reilly – powiedział gruby głos. – Wydział Detektywistyczny. – Paddy, to ja.

–Cześć Tygrysie. Dostanę duszoną wołowinę?

–Jeszcze jestem w biurze.

–Dobrze. Muszę porozmawiać z Evanem. Manny zadzwonił do mnie kilka dni temu w sprawie jakichś kiepskich tablic rejestracyjnych.

–W tym właśnie rzecz – przerwała mu pani O'Reilly. – Ja także chciałabym z nim rozmawiać, ale nie mogę. Anny opowiedziała mężowi o dziwnym zbiegu okoliczności – obydwie telefony, zarówno w Wirginii jak i w Kolorado uległy równoczesnemu uszkodzeniu, sam kongresman nie zadzwonił w ciągu ostatnich dwóch dni, nie zostawiając nawet numeru pod którym mogłaby go zastać.

–To do niego niepodobne, Paddy.

–Zadzwoń do Służby Bezpieczeństwa Kongresu – powiedział detektyw stanowczym głosem.

–Za nic w świecie. Wymieniłabym tylko jego nazwisko, a spowodowałabym alarm, a ty wiesz, co on o tym sądzi. Urwałby mi głowę, jeśli zrobiłabym to bez poważnej przyczyny, i wyrzucił do kosza na śmiecie.

–To co chcesz, żebym zrobił?

–Mógłbyś rzucić okiem na Fairfax, kochanie?

–Oczywiście. Zadzwonię do Kearnsa w Arlington i poproszę go, by wysłał radiowóz. Podaj mi adres jeszcze raz.

–Nie, Paddy – powiedziała pani O'Reilly pośpiesznie. – Już słyszę alarm. To policja.

–A co ty myślisz, u diabła, jak ja zarabiam na życie? W balecie? – Nie chcę wciągać do tego policji. Wiesz, te protokoły i to wszystko. Agencja ma tam strażników i mogłabym w ten sposób wpędzić mojego twardziela w kłopoty. Ciebie mam na myśli, mój kochany. Jesteś znany na tamtym terenie i zupełnie przypadkiem zdarza się, że jesteś gliną oddającym swojej żonie przysługę. Żonie, która zupełnie przypadkiem jest sekretarką Kendricka.

–Za dużo tych przypadków, kochanie... Tam do diabła, lubię duszoną wołowinę.

–Z większą ilością kartofli, Paddy.

–I z cebulką. Dużo cebulki.

–Ile tylko będziesz chciał.

–Jadę.

–Aha, Paddy, jeśli temu wędnącemu kwiatuskowi odblokują obydwie telefony,

powiedz mu, że wiem o jego dziewczynie z Egiptu i mogę o tym powiedzieć wszystkim, o ile nie zadzwoni do mnie. – O jakiej dziewczynie z...

–Zamknij się – rozkazała pani O'Reilly. – Manny powiedział mi to mimochodem wczoraj, kiedy był lekko podchmielony i także nie mógł odnaleźć swego zalotnego chłopczyka. Pośpiesz się. Będę czekać na twój telefon.

–A co z moją wołowiną?

–Jest zamrożona w lodówce – skłamało słodkie dziewczę Anna Mary Mulcahy. Trzydzieści osiem minut później, zabłądziwszy dwa razy na ciemnej wsi Wirginii, detektyw O'Reilly odnalazł drogę prowadzącą do domu Kendricka. Była to ta sama droga, którą jechał już przedtem dokładnie cztery razy, ale nigdy nocą. Za każdym razem celem było spotkanie ze starym Weingrassem – po wypisaniu go ze szpitala – i dostarczenie mu butelki Listeryny z dopiero co wydrukowaną nalepką, ponieważ pielęgniarki konfiskowały mu wszystko, co tylko przypominało whisky. Paddy słusznie rozumował, że jeśli Manny, który miał prawie osiemdziesiąt lat, i który już dawno powinien był kopnąć w kalendarz na stole operacyjnym, ma ochotę sobie coś golnąć, to nie jest to znowu aż takim grzechem. Jezus w swojej nieskończonej dobroci przemienił wodę w wino, więc niby dlaczego taki marny grzesznik jak O'Reilly nie mógłby przemienić małej buteleczki płynu do płukania ust w whisky? Przecież był to uczynek chrześcijański, naśladujący tylko święty przykład. Na tej wiejskiej drodze nie było żadnych latarni i gdyby nie reflektory samochodu, Paddy nie zauważyłby muru z cegły oraz białej, żelaznej bramy. W jednej chwili zrozumiał: dom także nie był oświetlony. Wyglądało na to, że był dokładnie zamknięty na trzy spusty i nikogo nie było w środku. Ale właściciel musiał być w domu. A jeśli nawet jego nie było, to powinni być Arab i Arabka z Dubaju, którzy mieli utrzymywać dom w należyтым porządku do powrotu właściciela. O każdej zmianie w samym domu lub zwolnieniu strażników z Agencji powinna być powiadomiona Anna O'Reilly, która była osobą numer jeden w biurze kongresmana. Paddy zatrzymał samochód na skraju drogi, otworzył schowek i wyjął latarkę. Wsiadł z samochodu. Odruchowo pomacał rękojeść pistoletu pod marynarką. Zbliżył się do bramy, spodziewając się, że w każdej chwili włączą się reflektory lub wycie syren wypełni ciszę głuchej nocy. To były sposoby zabezpieczania stosowane przez Agencję – metody ochrony totalnej. Nic. O'Reilly powoli przełożył rękę przez kraty białej bramy... Nic. Położył więc ręce na płytce łączącej dwa skrzydła bramy i Popchnął ją. Skrzydła rozchyliły się. I nadal nic. Wszedł do środka, włączając kciukiem lewej ręki latarkę, prawą zaś sięgając pod marynarkę. To co zobaczył w kilka sekund później w świetle latarki aż nim podrzuciło. Przykucnął pod murem wrywając broń z kabury.

–O Matko święta, Matko Boża, przebacz mi moje grzechy – wyszeptał. Trzy metry od niego leżały zwłoki młodego strażnika z CIA. Jego garnitur był cały poplamiony krwią wyciekającą z gardła. Głowę miał prawie całkowicie odciętą. Widok przyprawiał o mdłości. O'Reilly oparł się o mur, natychmiast wyłączając latarkę. Starał się uspokoić wzburzone nerwy. Przyzwyczajony był do widoku gwałtownej śmierci i wiedział, że w takich przypadkach odkryje jeszcze coś. Wolno powstał i zaczął szukać dalej oznak śmierci, zdając sobie sprawę, że zabójców już nie ma na miejscu

zbrodni. Odnalazł jeszcze trzy trupy. Zwłoki były zmasakrowane. Każdy z nich zginął gwałtownie.

–Jezusie. Jak to się stało? Schylił się, by zbadać zwłoki czwartej ofiary: to, co odkrył było niesamowite. W karku strażnika tkwiła ułamana igła: pozostałość strzałki. Najpierw ich obezwładniono narkotykiem, a potem w sposób ohydny zamordowano. Nawet nie zdawali sobie sprawy co się wydarzyło. Żaden z nich... Patrick O'Reilly skierował się ostrożnie w kierunku drzwi wejściowych, raz jeszcze uświadamiając sobie, że ostrożność ta jest już zbędna. Te straszne czyny już popełniono: jedyne co można było zrobić w tej chwili to tylko policzyć ofiary. Było ich sześć. Każda miała podcięte gardło. Zwłoki były pokryte krzepnącą krwią, twarze zastygłe w udręczeniu. Ale najohydniej wyglądały nagie zwłoki pary Arabów z Dubaju. Mąż znajdował się na żonie, jakby odbywał z nią stosunek. A na ścianie wypisano krwią słowa: Śmierć zdrajcom Boga. Śmierć cudzołożnikom Wielkiego Szatana. Gdzie był Kendrick? – O Matko Boża, gdzie on jest? O'Reilly raz jeszcze przeszukał dom – od piwnicy po poddasze, włączając każde światło, jakie tylko mógł znaleźć, tak, że dom tonął w blasku. Nie znalazł śladu kongresmana. Paddy wybiegł z domu przez przyległy garaż, odnotowując w pamięci, że brakowało w nim Mercedesa Evana, natomiast Cadillac był pusty. Począł przeszukiwać teren, sprawdzając dokładnie każdy metr kwadratowy lasu i krzaków wewnątrz ogrodzonej posiadłości. Żadnych śladów walki, żadnych połamanych krzewów, żadnych dziur w ogrodzeniu czy nawet zadrapań na świeżo wzniesionym murze. Ekipa dochodzeniowa, ci z wydziału medycyny sądowej może znaleźliby ślady... W myśli dokonał przeglądu procedury policyjnej, ale to wszystko wykraczało dalej, o wiele dalej. O'Reilly pobiegł z powrotem do żelaznej bramy, którą zalewały potoki światła i dalej do swego samochodu. Wskoczył do środka i pochwycił słuchawkę umieszczoną pod tablicą rozdzielczą. Wykręcił numer, dopiero teraz zdając sobie sprawę, że twarz i całą koszulę ma mokre od potu, mimo, że nocne powietrze było chłodne.

–Biuro kongresmana Kendricka.

–Anno, pozwól mi mówić – powiedział detektyw szybko, ale łagodnie. – I nie pytaj o nic...

–Znam ten ton, Paddy. I dlatego muszę zadać jedno pytanie: czy JEMU nic się nie stało?

–Nie ma tu jego śladu. Nie ma jego samochodu; jego tu nie ma. – Ale są inni...

–Żadnych więcej pytań, Tygrysie. Za to ja mam jedno pytanie do ciebie i, na Boga, lepiej, żebyś odpowiedziała.

–Na jakie?

–Kto jest osobą kontaktową Evana w Agencji?

–On bezpośrednio kontaktuje się z jednostką.

–Nie o to chodzi. Wyżej. Ktoś musi być wyżej.

–Poczekaj chwilę – wykrzyknęła Anna ostrym głosem. – Oczywiście, że jest. Zwykle nic o nim nie mówi... Człowiek o nazwisku Payton. Miesiąc lub coś około tego wstecz powiedział mi, że jeśli ów Payton zadzwoni kiedykolwiek, to mam go natychmiast połączyć, a jeśli go nie było – to mam go odnaleźć.

–Jesteś pewna, że pracuje w CIA?

–Tak, tak, na pewno – odpowiedziała pani O'Reilly po namyśle. – Pewnego ranka zadzwonił do mnie z Kolorado, mówiąc mi, że potrzebuje numer telefonu Paytona i gdzie mogę ten numer znaleźć – w dolnej szufladzie biurka pod książeczką czekową. Numer ten należał do centrali w Langley.

–Czy masz go jeszcze?

–Zobaczę. Poczekaj chwilę. Czekanie więcej niż dwadzieścia sekund było prawie nie do zniesienia dla detektywa, tym bardziej, że przez bramę wejściową widział duży, rzęście oświetlony dom, który jednocześnie zapraszał i stanowił cel ataku.

–Paddy?

–Tak.

–Mam go.

–Dawaj. Szybko. – Podała mu numer i O'Reilly rozkazał jej coś, czego musiała słuchać. – Pozostań w biurze, aż zadzwonię do ciebie, lub po ciebie przyjadę.

Zrozumiano?

–Czy jest jakiś powód?

–Powiedzmy, że nie wiem jak daleko zajdzie ta sprawa, w górę, w dół, czy na boki. Ale tak już jest, że lubię duszoną wołowinę. – O Boże – wyszeptała Anna. O'Reilly już tego nie usłyszał. Rozłączył się i w ciągu kilku sekund wykręcał już numer, który podała mu Anna. Po paru denerwujących sygnałach usłyszał głos w słuchawce. – Centralna Agencja Wywiadowcza. Biuro pana Paytona. Czy pani jest jego sekretarką?

–Nie, proszę pana, to recepcja. Pan Payton wyszedł na cały dzień.

–Proszę posłuchać – powiedział detektyw z Waszyngtonu zachowując zimną krew. – Sprawa jest bardzo pilna. Muszę natychmiast rozmawiać z panem Paytonem, bez względu na to jakie są przepisy, które zawsze można ominąć. Czy pani mnie rozumie? Sprawa nie cierpiąca zwłoki.

–Proszę się przedstawić, sir.

–Na ogień piekielny, nie chcę, ale będę musiał. Mówi porucznik Patrick O'Reilly, detektyw ze stołecznego dystryktu, wydział policji. Musi pani go odszukać. Nagle, o dziwo, w słuchawce odezwał się męski głos:

–O'Reilly? – zapytał głos. – To samo nazwisko, co sekretarki pewnego kongresmana?

–To samo, sir. Nie odbiera pan, cholera, telefonów. O przepraszam, że się tak wyraziłem.

–To bezpośrednia linia do mojego mieszkania, panie O'Reilly... Może pani przełączyć.

–Dziękuję, sir. – Usłyszał trzask na linii.

–Słucham panie O'Reilly. Jesteśmy sami.

–Ale ja nie jestem sam. Mam towarzystwo sześciu trupów w odległości trzydziestu metrów od samochodu.

–Co?

–Proszę tu przyjechać, panie Payton. Do domu Kendricka. I jeśli nie chce pan rozgłosu, to niech pan odwoła zmianę, która pewnie tu właśnie jedzie.

–Spokojnie – powiedział oniemiały Dyrektor Operacji Specjalnych. – Zmiana przybędzie o północy. Nasi ludzie są jeszcze wewnątrz domu.

–oni także nie żyją. Nikt nie żyje... Mitchell Payton mrużąc oczy w snopie światła latarki O'Reilly'ego przykucnął przy znajdujących się najbliższej bramy zwłokach strażnika. – O Boże, jaki on młody. Wszyscy tacy młodzi.

–Byli młodzi – odpowiedział detektyw apatycznie. – Nikt nie żyje, zarówno na zewnątrz, jak i wewnątrz domu. Wyłączyłem większość światel, ale, naturalnie, poprowadzę pana.

–Muszę... tak, oczywiście.

–Ale nie uczynię tego, jeśli nie powie mi pan, gdzie jest kongresman Kendrick – jeśli jeszcze jest – lub czy powinien tu być w ogóle. Powinienem zadzwonić na policję w Fairfax. Czy pan mnie rozumie?

–W zupełności, poruczniku. Jednakże na razie musi to pozostać problemem Agencji. Czy wyrażam się jasno?.

–Proszę odpowiedzieć na moje pytanie, albo zrobię, co należy do moich statutowych obowiązków i zadzwonię na komendę policji w Fairfax. Gdzie jest kongresman Kendrick? Tutaj nie ma jego samochodu i chcę wiedzieć czy mam być spokojny, czy nie,

–Jeśli to ulży panu w obecnej sytuacji, to muszę panu powiedzieć, że jest pan dziwnym człowiekiem...

–Szkoda mi tych ludzi, ale są dla mnie obcy. Znałem natomiast Evana Kendricka. Więc jeśli pan wie gdzie on jest, proszę powiedzieć mi zaraz, albo idę do samochodu i powiadamiam radiem policję w Fairfax.

–Na litość boską, proszę mi nie grozić, poruczniku. Jeśli chce pan wiedzieć gdzie się znajduje Kendrick, niech pan spyta o to swoją żonę.

–Moją żonę?

–Sekretarkę kongresmana, jeśli pan tego nie pamięta.

–Ty kutasie wybuchnął Paddy. A niby dlaczego, do cholery, ja tu jestem? Jak ci się zdaje? Niby po to, by złożyć króciutką wizytę mojemu staremu kumplowi ze szkoły, tak? Milionerowi z Kolorado? Tak? Jestem tutaj lalusi, ponieważ Anna nie miała żadnej wiadomości od Evana od dwóch dni i od dziewiętej rano zarówno telefon tutaj, jak i w Mesa Verde nie działają. Czy uważasz, że to przypadek, tak?

–Obydwa telefony... – Payton podniósł głowę do góry, spoglądając wokół.

–Nie wysilaj się – odrzekł O'Reilly, kierując wzrok tam, gdzie patrzył dyrektor. – Jeden kabel zgrabnie odcięto i spleciono z drugim: ten gruby na dachu pozostawiono nietknięty.

–Dobry Jezu.

–Według mnie będziesz potrzebować jego pomocy bardzo szybko... Kendrick. Gdzie on do cholery jest?

–Na Bahamach. W Nassau, na wyspach Bahama.

–Dlaczego moja żona, jego sekretarka, nie wiedziała o tym? I lepiej by było, byś podał jakiś cholernie prawdopodobny powód, dla którego tak sądzisz, gogusiu, bo jeśli to jest jakieś szpiegowskie gówno, w które chcesz wciągnąć Annę Mulcahy boś

coś tam spieprzył, to wiedz, że zaraz tu będzie tyle granatowych mundurów, żeś tyłu jeszcze nie widział w swoim życiu.

–Tak myślałem, gdyż sam mi to powiedział, poruczniku O'Reilly – rzekł Payton zimnym tonem, błędząc wzrokiem po otoczeniu i intensywnie myśląc.

–Jej tego nie powiedział.

–Najwidoczniej – przytaknął dyrektor CIA, przyglądając się domowi. – Niemniej jednak nie pozostawił żadnej wątpliwości. Przedwczoraj powiedział, że w drodze na lotnisko wpadnie do biura i zostawi wiadomość u swojej sekretarki, Anny O'Reilly. Zatrzymał się, wszedł do biura: obstawa to potwierdziła.

–O której godzinie?

–Okolo czwartej trzydzieści, jeśli dobrze pamiętam notatki obstawy.

–We środę?

–Tak.

–Anny w biurze nie było. W każdą środę wychodzi o czwartej po południu i Kendrick o tym wie. Chodzi na te zwariowane lekcje aerobiku.

–Najwyraźniej o tym zapomniał.

–Nie wydaje mi się. Proszę ze mną, sir.

–Przepraszam, co pan powiedział?

–Proszę ze mną do mojego wozu.

–Mamy trochę roboty do zrobienia tu, poruczniku i ja także muszę wykonać kilka telefonów – z mojego wozu. I to sam.

–Nic pan nie robi, u licha, aż nie zadzwonię do sekretarki kongresmana Kendricka. W sześćdziesiąt pięć sekund później głos żony Patricka O'Reilly można było usłyszeć ze słuchawki radiotelefonu. Payton stał przy otwartych drzwiach samochodu.

–Sekretariat kongresmana Kendricka...

–Anno przerwał jej mąż – po opuszczeniu przez ciebie biura we środę po południu, kto został?

–Tylko Phil Tobias. Ostatnio nie ma zbyt dużo pracy; dziewczęta wyszły wcześniej.

–Phil, jaki Phil?

–Tobias. Jest głównym doradcą Evana i jego fagasem.

–Czy on powiedział ci cokolwiek wczoraj lub dzisiaj? Czy widział się z Kendrickiem?

–Nie ma go tutaj, Paddy. Nie pokazał się ani wczoraj, ani dzisiaj. Dzwoniłam z tuzin razy do niego, zostawiając wiadomość na automatycznej sekretarce, ale nie odzwonił wcale, ten wygodnicki bachor. – Zadzwonię do ciebie później, Tygrysie. Zostań tam, gdzie jesteś. Rozumiesz? O'Reilly odłożył słuchawkę i odwrócił się do oficera CIA. – Słyszał pan. Myślę, że należą się panu ode mnie przeprosiny, co niniejszym czynię, sir.

–Nie zależy mi na tym, poruczniku. Sknociliśmy tak wiele w Langley, że jeśli komukolwiek się wydaje, że nasza fuszerka dotyczy jego żony w jakimkolwiek stopniu, to nie możemy go winić za to, że nas obsztorcował.

–Wydaje mi się, że tak właśnie było... Kto ma zająć się Tobiasem? Pan, czyja?

–Nie mogę pana wyznaczyć, O'Reilly. Na to nie zezwala regulamin. Mogę tylko poprosić o pomoc, której bardzo potrzebuję. Dam na wszystko osłonę – na podstawie wymogów bezpieczeństwa narodowego. Nie będzie pan odpowiadać za niezłożenie meldunku. A jeśli chodzi o tego Tobiasa, to mogę tylko prosić...

–O co? – zapytał detektyw wysiadając z samochodu i spokojnie zamykając drzwi.

–Abyście mnie informowali.

–O to nie musi pan prosić.

–Zanim złożycie oficjalny raport – uzupełnił Payton.

–O to rzeczywiście musi pan prosić – rzekł Paddy przyglądając się dokładnie dyrektorowi. – Na początek: nie jestem w stanie tego panu zagwarantować. Jeśli go znajdą w Szwajcarii, lub jeśli będzie pływał w Potomacu, to niekoniecznie ja muszę o tym wiedzieć. – Najwyraźniej myślimy podobnie. Ale ma pan coś, co zwykle się nazywać jajami, poruczniku. Proszę mi wybaczyć, ale musiałem się dowiedzieć wszystkiego, co ma jakikolwiek związek z Evanem Kendrickiem. Dystrykt Kolumbii właściwie podkupił pana dwanaście lat temu, żeby przeszedł pan do Waszyngtonu z Bostonu.

–Awans i podwyżka, wszystko uczciwie.

–Płaca równa niemal pensji szefa wydziału zabójstw; stanowisko, które odrzucił pan cztery lata temu, ponieważ nie chciał pan siedzieć za biurkiem.

–O Jezu złoty.

–Musiałem wiedzieć wszystko dokładnie... a dopóki pańska żona pracuje dla kongresmana, myślę, że człowiek na pańskim stanowisku może wymagać, by informowano go o wszystkim, co może dotyczyć Philipa Tobiasa. On także pracuje, lub pracował w biurze Kendricka.

–Myślę, że tak. Ale mam w związku z tym pytanie, lub nawet dwa. – Proszę pytać. Wszelkie pytania mogą mi tylko pomóc.

–Dlaczego Evan jest na Bahamach?

–Ponieważ ja ich tam wysłałem.

–Ich? Tę Egipcjanę?.

–Ona pracuje dla nas. Była w Omanie. Jest pewien człowiek w Nassau, który założył firmę, z którą powiązania przez krótki czas miał Kendrick. Ten facet nie cieszy się najlepszą reputacją. Jego firma także nie. Wydawało się nam, że warto go sprawdzić. – W jakim celu? Dyrektor Operacji Specjalnych popatrzył w górę, ponad dachem domu Kendricka, potem na przyciemnione okna i to, co skrywały w głębi. Na wszystko przyjdzie czas O'Reilly. Przyrzekam, że nic nie ukryję, ale jak pan sam powiedział, mamy sporo roboty do wykonania. Muszę połączyć się z jednostką osłonową. A to mogę zrobić tylko z mojego wozu.

–Jednostka osłonowa? A cóż to jest do diabła?

–Grupa ludzi. Ani pan, ani ja z pewnością nie chcielibyśmy być jej członkami. Oni zbierają zwłoki, o których nie wolno im zeznawać. Badają te zwłoki pod kątem medycyny sądowej, ale nie wolno im ujawniać żadnych wyników. Są niezbędni, szanuję każdego z nich, ale nie chciałbym być jednym z nich. Nagle ciszę rozdarł

dzwonek telefonu w samochodzie detektywa. Jak staccato, jak alarm. Echo niosło dźwięk w tę spokojną i chłodną noc, odbijając się od muru i ginąc w lesie za nim. O'Reilly szarpnął drzwi i pochwycił słuchawkę przykładając ją do ucha.

–Tak?

–O Jezu, Paddy – wykrzyknęła Anna Mulcahy O'Reilly głosem wzmocnionym przez głośnik. – Znaleźli go. Znaleźli Phila. Był pod kotłem w piwnicy. Jezusie, Matko Boska, Józefie święty, on nie żyje, nie żyje, Paddy!

–Mówisz, że "oni" go znaleźli. Kogo dokładnie masz na myśli, Tygrysie?

–Harry'ego i Sama. Palaczy z nocnej zmiany. Właśnie do mnie zadzwonili. Są nieprzytomni z przerażenia. Powiedzieli mi, żebym zadzwoniła na policję.

–Właśnie dzwonisz, Anno. Powiedz im, żeby zostali tam, gdzie są. Nie wolno im niczego dotykać ani z nikim rozmawiać dopóki nie przyjadę. Zrozumiałaś?

–Nic mi nie powiesz?

–Wyjaśnię wszystko później. To kwarantanna. Zadzwoń teraz do sekcji "C" Wydziału Bezpieczeństwa, żeby postawili pięciu ludzi uzbrojonych w karabiny wokół biura. Powiedz im, że twój mąż jest oficerem policji i o to prosi, ponieważ mu grożono. Rozumiesz? Tak, Paddy – odpowiedziała pani O'Reilly cała we łzach., O święty Boże, on nie żyje... Detektyw odwrócił się na siedzeniu. Dyrektor CIA biegł do swojego samochodu.

Rozdział 28

Była szesnasta siedemnaście czasu Kolorado. Cierpliwość Emmanuela Weingrassa była na wyczerpaniu: przed siódmą rano stwierdził osobiście, że telefon nie działa. Potem dowiedział się, że dwie pielęgniarki bezskutecznie próbowały dzwonić już wiele godzin wcześniej. Jedna z nich pojechała nawet do Mesa Verde, by ze sklepu spożywczego zatelefonować do biura napraw. Wróciła z zapewnieniem, że już wkrótce uszkodzenie zostanie usunięte – "tak szybko, jak będzie to możliwe". Owo "możliwe" przeciągało się teraz do kilku godzin i Manny nie mógł już wytrzymać. Znanego kongresmana, nie mówiąc już o tym, że bohatera narodowego, należy traktować z szacunkiem. To był afront, którego Weingrass nie miał najmniejszego zamiaru tolerować. I choć nic nie powiedział tym swoim czarownicom, to jednak był zły. Coś go gnębiło.

–Słuchajcie no, wieźmy Lorda Cawdoru – wrzasnął ze szklanej werandy na dwie pielęgniarki grające w karty.

–Co ty wygadujesz, Manny? – spytała opuszczając gazetę trzecia pielęgniarka, siedząca na krześle przy wyjściu z bawialni. – Cytuję Makbeta, ty analfabetko. Ustanawiam prawa.

–Tyle tylko potrafisz, jeśli już o to chodzi, ty matuzalemie... Przebijam.

–Niewiele wiesz o Biblii, panno Erudytko... Nie chcę być dalej odcięty od świata. Jedna z was zawiezie mnie do miasta, skąd zadzwonię do prezydenta i powiem mu o tej partackiej firmie telefonicznej, albo obsikam całą kuchnię.

–Najpierw ci włożą kaftan bezpieczeństwa – rzekła jedna z grających w karty dziewcząt.

–Zaczekaj – zaprotestowała jej partnerka. – Może zadzwoni do kongresmana, który wpłynie na sytuację. Ja naprawdę muszę skontaktować się z Frankiem. Jutro wylatuje, mówiłam ci o tym, a nie udało mi się dokonać rezerwacji w motelu w Cortez.

–Zgadzam się – powiedziała znajdująca się w bawialni pielęgniarka. – Będzie mógł zadzwonić ze sklepu Abe Hawkinsa.

–Znam was, moje ślicznotki... – powiedział Manny – zadzwonimy z wyścigów. Nie mam zaufania do kogoś, kto nazywa się Abraham. Na pewno sprzedał broń Ajatollahowi i zapomniał na tym zarobić... Założę tylko sweter i marynarkę.

–Ja poprowadzę samochód. – Siostra znajdująca się w bawialni rzuciła gazetę na stół. – Załóż płaszcz, Manny. Jest zimno i wieje wiatr od gór. Weingrass wymamrotał jakiś epitet i skierował się do sypialni w południowym skrzydle pierwszego piętra. Kiedy już zniknął im z pola widzenia – przyśpieszył kroku: musiał wziąć coś oprócz swetra. W pokoju, który przebudował tak, by mieć rozsuwane drzwi wychodzące na wykładany płytami taras, stała komoda. Podszedł do niej, odsunął krzesło od biurka i przystawił je do komody. Ostrożnie wszedł na krzesło i zdjął z ozdobnego mebla pudełko po butach. Zszedł z krzesła i zaniósł pudełko na łóżko. Otworzył je. Wewnątrz był pistolet kaliber 0.38 cala i trzy magazynki. Ta skrytka była niezbędna. Evan rozkazał, aby zamknąć jego strzelbę wraz z amunicją i nie pozwalał, by w domu była Jakakolwiek broń. Powód tego zarządzenia był zbyt bolesny, by o nim mówić:

Kendrick uważał – skądinąd zupełnie logicznie – że jeśli u Emmanuela Weingrassa nastąpi nawrót raka, to może on sobie odebrać życie. Ale dla Mannego, który żył tak jak żył, brak broni oznaczał coś, co można porównać tylko z bezbożnością. Wiec Gonzalez z biura totalizatora zarządził sytuacji. Weingrass tylko jeden raz otworzył pudełko. Było to wtedy, kiedy rzucili się na nich reporterzy. Włożył magazynek do pistoletu, a pozostałe dwa do kieszeni marynarki. Odstawił krzesło do biurka. Podszedł do szafy, wziął gruby sweter i założył go: znakomicie zakrywał wystający przedmiot. A potem uczynił coś, czego nigdy nie zrobił od chwili przebudowy pokoju, nawet wtedy, kiedy reporterzy i ekipy telewizyjne rzuciły się na nich: sprawdził zamek na rozsuwanych drzwiach, podszedł do ukrytego za kotarą czerwonego przełącznika i włączył go. Wyszedł następnie z pokoju i podszedł do pielęgniarki stojącej z przodu holu: trzymała w ręku płaszcz dla niego.

–Bardzo ładny sweter, Manny.

–Kupiłem go na przecenie w Monte Carlo.

–Czy ty zawsze na wszystko musisz mieć gotową odpowiedź? – Nie bujam, to prawda.

–No, zakładaj płaszcz.

–Wyglądam w tym jak Chasyd.

–Jak kto?

–Oj, chodźmy już. Weingrass skierował się do drzwi. Wychodząc zatrzymał się na chwilę:

–Dziewczęta – wykrzyknął głosem, który słyhać było na werandzie.

–Tak, Manny?

–Co?

–Posłuchajcie mnie uważnie, moje panie. Wziąwszy pod uwagę, że telefon nie działa, będę o wiele spokojniejszy, jeśli włączycie główny system alarmowy. Wybaczcie mi moje kochaniutki. Być może wydaję się wam głupim starym człowiekiem, ale naprawdę będę spokojniejszy, jeśli zrobicie to, o co proszę.

–Jakie to miłe z twojej strony.

–Oczywiście włączymy, Manny. Pokorne ciele zawsze dwie krowy ssie, pomyślał Weingrass wychodząc przez drzwi.No chodź, szybko – zwrócił się do pielęgniarki, która nie mogła uporać się z bluzą. – Chcę dostać się do totalizatora zanim na miesiąc zamkną urząd telefoniczny. Wiał silny wiatr z gór i Manny musiał się pochylić pokonując odcinek od solidnych drzwi wejściowych do zaparkowanego na półkolistym podjeździe Saaba Turbo. Zasłonił sobie twarz dłonią i skręcił głowę w prawo. W jednej chwili zarówno podmuchy wiatru, jak i jego wysiłek przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie. W pierwszej chwili wydało mu się, że pędzone wiatrem liście i słupy kurzu przysłoniły mu wzrok, który, jak sądził, miał jeszcze niezły. Po sekundzie zdał sobie jednak sprawę, że tak nie było. Zauważył jakiś ruch, ruch ludzi za okalającym jezdnię żywopłotem. Przy kępce krzewów jakaś pochyłona do ziemi postać przebiegła w prawo... A potem jeszcze jedna... I znowu jakaś postać w ślad za pierwszą, która pomknęła jeszcze dalej.

–Wszystko w porządku, Manny? – zawołała pielęgniarka, gdy zbliżyli się do

samochoду.

–Ta wycieczka to małe piwo w porównaniu z przełęczami zamorskich Alp – odkrzyknął Weingrass. – Wskakuj, szybko:

–Marzę o tym, by znaleźć się pewnego dnia w Alpach.

–Ja też mruknął Weingrass gramoląc się do Saaba i jednocześnie sięgając prawą ręką pod płaszcz i sweter po pistolet. Wyjął go niepostrzeżenie i położył między siedzenie i drzwi, podczas gdy pielęgniarka włożyła kluczyk do stacyjki i uruchomiła silnik. – Gdy dojedziesz do jezdni, skręć w lewo – powiedział do niej. – Nie, Manny, mylisz się. Najkrótsza droga do Mesa Verde prowadzi w prawo.

–Wiem o tym, moja ty piękna, ale chcę, żebyś skręciła w lewo. – Manny, jeśli mimo swojego wieku coś kombinujesz, to wiesz, że się wkurzę.

–Skręć w lewo, pojedź kawałek i na łuku zatrzymaj samochód. – Panie Weingrass, jeśli się panu choć przez chwilę zdaje... – Ja wysiądę – spokojnie przerwał jej stary architekt. – Nie chcę cię straszyć i wyjaśnię później wszystko dokładnie. Ale teraz rób dokładnie to, co ci mówię... Proszę, jedź. Zdumiona pielęgniarka nie zrozumiała nic z polecenia, ale zrozumiała wyraz oczu Emmanuela. Nie było w nich niczego z teatralności, nic z bombastyczności. Po prostu wydawał jej rozkaz. – Dziękuję powiedział, gdy przejechała między ścianami żywopłotu i skręciła w lewo. – Chcę, byś pojechała drogą Mancos do Verde... – To dodatkowe dziesięć minut jazdy...

–Wiem, ale chcę, żebyś zrobiła dokładnie to, o co proszę. Pojedziesz prosto do biura totalizatora wyścigowego i poprosisz, żeby zadzwonili na policję...

–Manny... – wykrzyknęła pielęgniarka mocno ściskając kierownicę.

–Jestem pewien, że to nic nie znaczy – powiedział szybko Weingrass uspokajającym tonem. Być może komuś popsuł się samochód, lub jakiś turysta zgubił drogę. Lepiej jednak sprawdzić takie rzeczy, nie sądzisz?

–Nie wiem, co sądzić, lecz jednego jestem pewna. Nie mam zamiaru pozwolić ci wysiąść z tego samochodu.

–Pozwolisz – powiedział Manny niedbale podnosząc pistolet, jak gdyby chciał obejrzeć osłonę spustu. W jego ruchach nie było niczego złowieszczonego.

–O Boże! – wykrzyknęła pielęgniarka.

–Jestem zupełnie bezpieczny, moja droga, ponieważ jestem ostrożny aż do granic tchórzostwa... Zatrzymaj się tutaj, jeśli łaska. Będąca na pograniczu paniki pielęgniarka zrobiła co jej polecono. Jej przerażone oczy patrzyły to na broń, to na twarz starego człowieka. Dziękuję – powiedział Weingrass otwierając drzwi samochodu. Wycie wiatru wzmagalo się. – Najprawdopodobniej zastanę naszego nieszkodliwego gościa w domu pijącego kawę z dziewczętami – dodał wysiadając i dokładnie zatraskując drzwiczki. Saab ruszył z piskiem opon. Nie ma to znaczenia – pomyślał Manny. Wycie wiatru na pewno zagłuszyło wszelkie odgłosy. Wiatr zagłuszał także jego kroki, gdy wracał do domu. Było to ważne, gdyż starał się być niewidoczny i trzymał się krawędzi jezdni łamiąc pod stopami leżące na krawędzi lasu gałązki. Dziękował rządzeniu losu za te pędzące po niebie ciemne chmury i za ciemny płaszcz, który miał na sobie. Dzięki temu był prawie niewidoczny. Pięć minut później, posunąwszy się kilkanaście metrów w głąb lasu, stanął przy grubym drzewie

w pół drogi od ściany żywopłotu. Znowu zasłonił sobie twarz ręką, osłaniając się od wiatru i patrząc przez jezdnię. Byli tam. I nie wyglądali na ludzi, którzy zablądzi. Jego niepokój był uzasadniony. Sprawiali wrażenie, że czekają na kogoś lub na coś. Obydwaj mężczyźni mieli na sobie skórzane kurtki. Przykucnęli przy żywopłocie i szybko ze sobą rozmawiali. Mężczyzna po prawej stronie bez przerwy niecierpliwie spoglądał na zegarek. Weingrassowi nie trzeba było mówić o czym oni myśleli. Czekali na kogoś. Manny położył się na ziemi szukając wokoło. Poczłgał się na łokciach i kolanach, nie będąc pewnym czego szuka, ale wiedząc, że musi to znaleźć bez względu na to, co by to miało być. To była gruba, złamana przez wiatr gałąź. W miejscu odłamania wyciekał jeszcze sok. Miała około metra długości i bujała się na wietrze. Powoli, bardzo niezdarnie i z ogromnym wysiłkiem stary człowiek wstał na równe nogi i cofnął się do drzewa, przy którym stał przedtem, na skos od drogi i dwóch intruzów, w odległości nie większej niż piętnaście metrów. To było ryzykowne, ale cóż mu pozostało w życiu? Ryzyko było jednak większe niż przy ruletce lub chemindefer. Wynik też zaraz będzie znany i hazardzista, który odezwał się w Weingrassie, miał ochotę postawić na to, że jeden z intruzów pozostanie tam, gdzie był obecnie, a to ze zwykłego, zdrowego rozsądku. Stary architekt wycofał się do lasu, starannie wybierając swoje miejsce tak, jak gdyby nanosił poprawki na plany swego najcenniejszego klienta, jakiego kiedykolwiek miał w życiu. A tym klientem był on sam. Wykorzystuj zawsze całe naturalne otoczenie – to było dla niego oczywiste podczas całej kariery zawodowej i nigdy nie odstąpił choćby na cal od tej zasady. Dwie grube topole rosły obok siebie, w odległości dwóch metrów, tworząc rodzaj abstrakcyjnej bramy leśnej. Schował się za konar prawej topoli, podniósł grubą gałąź, uniósł ją do góry, aż jej koniec oparł się o konar ponad nim. Zawodzący wiatr szarpał drzewami. Ponad tymi odgłosami lasu zawył krótko i śpiewnie, w jednej trzeciej jak człowiek, a w dwóch trzecich jak zwierzę. Wyciągnął szyję i nasłuchiwał. Między konarami i krzewami dostrzegł poruszenie za jezdnią. Obydwaj mężczyźni obrócili się nie wstając. Ten z prawej strony pochwycił swego towarzysza za ramię, najwidoczniej – na co Manny liczył – wydając jakiś rozkaz. Jegomość po lewej stronie wstał, wyciągnął pistolet z kieszeni marynarki i ruszył w kierunku lasu za drogą do Mesa Verde. Wszystko teraz zależało od czasu. Od czasu i kierunku. Zwodniczy krzyk zwabił ofiarę w fatalne morze zieleni, podobnie jak syreny zwabiły Ulissesa. Jeszcze dwa razy Weingrass wydał ten niesamowity okrzyk, a potem jeszcze raz i to tak wyraźnie, że intruz rzucił się do przodu odgarniając gałęzie. Broń trzymał poziomo, jego stopy wbijały się w miękką ziemię kierując się nieuchronnie w bramę leśną. Manny podciągnął grubą gałąź i zamachnął się nią z całej siły trafiając w głowę pędzącego człowieka i miażdżąc jego czaszkę. Twarz się rozbryznęła, pokrywając całkowicie krwią. Mężczyzna już nie żył. Prawie nie oddychając Manny wyszedł zza konaru drzewa i uklęknął przy zwłokach. Mężczyzna był Arabem. Wiatr z gór nie słabł. Manny wyciągnął pistolet z wciąż ciepłej ręki trupa i jeszcze bardziej niezdarnie i z większym niż uprzednio wysiłkiem ostrożnie posunął się w kierunku drogi. Towarzysz martwego intruza wyglądał jak kłębek nerwów: ciągle zwracał głowę w stronę lasu i na drogę biegnącą do Mesa Verde, po czym spoglądał na zegarek.

Jednej tylko rzeczy nie uczynił: nie wyciągnął broni, a to już coś mówiło Weingrassowi. Terrorysta, bo to był terrorysta: obaj byli terrorystami – był albo szeregowym amatorem albo zawodowcem. Nic innego nie wchodziło w rachubę. Czując walące echo w kruchej klatce piersiowej Manny pozwolił sobie na kilka chwil odpoczynku, ale tylko na kilka chwil. Taka okazja może się już nie powtórzyć. Ruszył w kierunku północnym, przemykając od konaru do konaru, aż znalazł się jakieś dwadzieścia metrów powyżej zaniepokojonej postaci, ciągle spoglądającej na południe. I znowu czynnik czasu: Weingrass przeszedł przez drogę tak szybko, jak tylko mógł i stanął bez ruchu obserwując. Niedoszły zabójca był bliski apopleksji: dwakroć ruszał w kierunku lasu, za każdym razem powracając do żywopłotu i kucając za nim. Ciągle patrzył na zegarek. Manny ruszył do przodu, trzymając pistolet w prawej ręce, na której rysowały się napięte żyły. Kiedy zbliżył się do terrorysty na odległość około trzech metrów, krzyknął:

–Jezzar nazywając postać arabskim słowem rzeźnik. Jeśli się ruszysz, to już jesteś martwy. Fahem! Człowiek o śniadej skórze odwrócił się gwałtownie, wyrzucając w górę ziemię i przekoziółkował w stronę żywopłotu. Piasek uderzył w twarz starego architekta. Poprzez tuman kurzu Weingrass dojrzał, dlaczego terrorysta nie miał broni w ręku. Pistolet leżał na ziemi, obok niego, zaledwie o kilka centymetrów od ręki. Manny rzucił się w lewo, w kierunku drogi, podczas gdy terrorysta chwycił pistolet, odchylił się do tyłu i zaplątawszy się w kolczastej zieleni wystrzelił dwa razy. Odgłos strzałów był ledwie słyszalny. Tak jakby ktoś głośno splunął z wiatrem. Do lufy broni przymocowano tłumik. Jednakże świst kul słysząc było wyraźnie. Jedna z nich gwizdnęła Weingrassowi ponad głową; druga odbiła się rykoszetem od betonu obok jego głowy. Manny podniósł swój pistolet i nacisnął spust. Lata doświadczenia pomogły w utrzymaniu pewnej ręki. Terrorysta zacharczał zagłuszając wycie wiatru i z szeroko otwartymi oczami padł do przodu twarzą w żywopłot. Cienka strużka krwi sączyła mu się z dolnej części gardła. Pośpiesz się, ty stary ramolu, krzyknął Weingrass sam do siebie, starając się wstać. Czekali na kogoś. Chcesz tak siedzieć jak kulawa kaczka, wystawiając się na cel? Czy jak ci łeb urwą to będzie lepiej? Cicho. Boli mnie każda kość, wszystkie gnaty. Chwiejnym krokiem podszedł do zwłok przy żywopłocie. Pochylił się nad nimi. Odciągnął trupa do przodu i złapał go za nogi. Z grymasem wysiłku na ustach, natężając resztki sił zaciągnął ciało do lasu. Jedynym jego marzeniem było położyć się na ziemi i odpocząć, by ustało walenie w piersiach i by zaczerpnąć trochę powietrza do płuc. Wiedział jednak, że tego czynić nie należy. Musiał iść dalej. Musiał być gotowy. Nade wszystko musiał ująć kogoś żywcem. Ci ludzie dybali na życie jego syna. Musiał zdobyć informacje... za wszelką cenę... nawet za cenę śmierci... Usłyszał odgłos silnika w oddali... Dźwięk ten równie szybko zamarł. Zaniepokojony, powoli i ostrożnie skierował się w bok. Wszedł między drzewa na skraju lasu. Wyrzał. Drogą z Mesa Verde jechał samochód, ale albo toczył się na luzie, albo miał wyłączony silnik. A może to szum wiatru był zbyt silny, aby słyszeć warkot motoru? Tak, auto toczyło się bez napędu, ponieważ słysząc było tylko szum przybliżających się do żywopłotu opon. Samochód jechał bardzo wolno. Zatrzymał się przy pierwszym

wejściu na półokrągłym podjeździe. Wewnątrz auta siedziały dwie osoby. Kierowcą był atletyczny facet, niemłody już ale i niewiele po czterdziestce. To on wysiadł pierwszy i rozejrzał się wokoło, najwyraźniej spodziewając się kogoś zastać lub otrzymać jakiś sygnał. Rzucił wokół ukradkowe spojrzenie, lecz nie widząc nikogo przeszedł na drugą stronę jezdni, doszedł do skraju lasu i szedł dalej prosto. Weingrass wepchnął swój pistolet za pasek i schylił się po broń drugiego mordercy, wyposażoną w perforowany tłumik. Broń była zbyt duża, by wsadzić ją do kieszeni, więc położył ją na ziemi. Wstał, cofnął się kilka kroków w zarośla. Sprawdził, ile ma naboii. Cztery. Człowiek z samochodu zbliżał się coraz bardziej: był już dokładnie naprzeciwko Mannego.

–Yosef! – Wiatr niósł wyraźnie dźwięk imienia głośno wypowiedzianego przez towarzysza kierowcy, który wysiadł z samochodu i pędził wzdłuż drogi, wyraźnie utykając. Manny poczuł zmieszanie: Yosefto imię hebrajskie, lecz zabójcy nie byli Izraelitami. – Cicho bądź, chłopcze rozkazał starszy szorstkim głosem po arabsku, kiedy jego partner stanął obok niego z trudem łapiąc powietrze. – Jeśli jeszcze raz gdziekolwiek podniesiesz głos, tak jak to zrobiłeś przed chwilą, to pamiętaj – odwiozą cię do Bekaa w trumnie. Weingrass bacznie obserwował obu mężczyzn, stojąc na krawędzi drogi, w odległości nie większej niż pięć metrów od nich. Po chwili zaskoczenia zrozumiał, dlaczego użyto arabskiego słowa walad, oznaczającego chłopca. Partner kierowcy był młodzieńcem, chłopcem niemalże, który mógł mieć najwyżej szesnaście lub siedemnaście lat. – Nigdzie mnie nie odeślesz – odpowiedział młody człowiek z wyraźną złością. – Przez te świny nigdy już nie będę mógł dobrze chodzić. Mogłem zostać wielkim męczennikiem naszej świętej sprawy, gdyby nie on – chłopak kaleczył słowa – najwyraźniej miał zajęczą wargę.

–No już dobrze – rzekł starszy Arab o hebrajskim imieniu. W jego głosie wyraźnie można było wyczuć współczucie. – Polej sobie głowę zimną wodą, bo ci eksploduje. O co chodzi?

–Radio amerykańskie. Właśnie słuchałem radia i zrozumiałem... – Nasi ludzie w drugim domu?

–Nie, nic z tych rzeczy. Żydzi. Dokonali egzekucji na Khouri. Powiesili go.

–A czego się spodziewałeś, Amanie? Czterdzieści lat temu pracował dla hitlerowców w Afryce Północnej. Zabijał Żydów, wysadzał kibuce w powietrze, nawet hotel w Haifie.

–Musimy zabić mordercę, Begina i wszystkich przywódców organizacji Irgun i Stern. Khouri był dla nas symbolem wielkości... – Uspokój się chłopcze. Ci starzy bardziej walczyli przeciwko Brytyjczykom niż przeciwko nam. Ani oni, ani stary Khouri nie mają nic wspólnego z tym, co my teraz musimy robić. Musimy dać nauczkę plugawemu politykowi, który udawał, że jest jednym z nas. Skrywał się w naszych szatach, używał naszego języka i zdradził przyjaźń, którą mu ofiarowaliśmy. Skoncentruj się na teraźniejszości, chłopcze. – Gdzie są inni? Mieli wyjść na drogę.

–Nie wiem. Być może dowiedzieli się o czymś, albo zobaczyli coś i weszli do domu. Włączono światła: możesz je zobaczyć przez te wysokie krzaki. Każdy z nas podczołga sięz innej strony do wejścia. Potem przez trawnik dojdiesz do okna.

Pewnie nasi towarzysze popijają sobie z kimś kawę, zanim poderzną mu gardło. Emmanuel Weingrass podniósł rewolwer z tłumikiem, oparł go o pień drzewa i wycelował w stronę terrorystów. Chciał wziąć ich żywcem; obu. Wymówione po arabsku słowa w odniesieniu do "drugiego domu" tak nim wstrząsnęły, doprowadzając do furii, że był gotów natychmiast rozwalić im głowy. Chcieli zabić jego syna. Jeśli będzie trzeba, zapłacą za to słono – śmiercią. Zbalaamucony młodzieniec czy jakikolwiek wiek nie miały tu znaczenia. Straszny ból byłby jedynym następstwem. Opuścił broń do połowy postaci, mierząc to do jednego, to do drugiego... Strzelił, gdy wiatr wzniósł tuman kurzu wzdłuż drogi. Dwa razy do starszego i raz do młodzieńca. Chłopak padł na ziemię wijąc się z bólu. Jego starszy kompan był bardziej wytrzymały i o wiele twardszy. Starszy wstał i zwrócił w kierunku, skąd padły strzały. Chwiejnym krokiem ruszył do przodu. Jego potężna postać przypominała wściekłego potwora w boleści.

–Nie zbliżaj się, Yosef – krzyknął do niego Manny będąc w stanie zupełnego wyczerpania i przytrzymując się drzewa. – Nie chcę was zabijać, ale zabiję. Ty, mając hebrajskie imię, zabijasz Żydów. – Moja matka – wrzeszczał zbliżający się olbrzym. – Ona odrzuciła was wszystkich. Jesteście mordercami mojego ludu. Zabieracie nam wszystko i opluwacie nas. Jestem półŻydem, ale kim są ci Żydzi, którzy zabili mojego ojca i ogolili głowę mojej matce, ponieważ zakochała się w Arabie? Zabiorę was do piekła. Weingrass przytrzymał się drzewa. Spod wbitych w korę paznokci sączyła mu się krew. Poły jego długiego płaszcza powiewały na wietrze. Szeroka ciemna postać wypadła z ciemności lasu, wielkimi łapskami chwytając starca za gardło.

–Nie rób tego – wrzasnął Manny, w jednej chwili zdając sobie sprawę, że nie ma wyboru. Wystrzelił ostatnią kulę, która trafiła w znajdujące się ponad nim pomarszczone czoło. Wystrzał odrzucił Yosefa do tyłu. Trzęsąc się cały i łapczywie chwytając powietrze Weingrass oparł się o drzewo i spojrzał na leżące na ziemi ciało. W tym momencie doszedł do wniosku, że łudził się od chwili, gdy zaczął samodzielnie myśleć: teraz znał prawdę – arogancję ślepej wiary kierującej ludzkim zakłamaniem, które antagonizowało ludzi w pogoni za czymś, czego poznać nie mogli. Kto miał słuszość? – Yosef... Yosef... – zawołał chłopiec, przewracając się na poszyciu na skraju lasu. – Gdzie jesteś? Postrzelono mnie.

–Chłopiec nie wiedział, pomyślał Weingrass. Z miejsca, w którym leżał nic nie mógł zobaczyć, a wiatr z gór zagłuszył niegłośny przecież wystrzał. Młody fanatyczny terrorysta nie zdawał sobie sprawy, że jego towarzysz nie żyje, że tylko on przeżył, a jego przeżycie było właśnie tym, o co chodziło Manny'emu. Nie mogło być więc mowy o żadnym świeżym męczenniku, który zginął za świętą sprawę dzięki samobójstwu. Nie teraz, nie w tym miejscu. Były rzeczy, o których trzeba było się dowiedzieć, fakty, które mogły uratować życie Evana Kendricka. Szczególnie teraz. Weingrass rzucił rewolwer z tłumikiem na ziemię i włożył krwawiącą rękę do kieszeni płaszcza. Zebrawszy resztki sił odepchnął się od drzewa i poszedł w południowym kierunku, potykając się na każdym kroku i odpychając drżącymi rękami gałązki od twarzy. Skierował się w stronę drogi. Kiedy do niej doszedł, ujrzał w oddali samochód zabójców. Było już ciemno. Zaszedł wystarczająco daleko. Zawrócił,

kierując się z powrotem – szybciej... szybciej. Wyciągnij mocniej te swoje cienkie nóżki. Temu chłopcu nie wolno się ruszyć, nie wolno mu się podczołgać, nie wolno mu nic zobaczyć. Manny czuł, jak krew uderza mu do głowy, walenie w klatce piersiowej rosło. Tam leżał młody Arab. Ruszał się. Czołgał się w głąb lasu. Za chwilę ujrzy swego martwego towarzysza. Nie może go zobaczyć. – Aman – zawołał Weingrass tracąc oddech. Na szczęście imię, jakiego używał półŻyd Yosef, zapamiętał jak swoje własne. – Ayn ent? Kaif elahwal? – wołał dalej po arabsku, pytając chłopca gdzie jesti jak się czuje.

–Itkallem – zawołał poprzez wiatr żądając od terrorysty, by się odezwał. Tutaj, tutaj – krzyknął nieletni Arab we własnym języku. – Trafili mnie. W okolicy bioder. Nie wiem, gdzie jest Yosef. – Młodzieniec przeokoziółkował, leżąc na plecach z twarzą zwróconą w kierunku nadchodzącego towarzysza. – Kim jesteś? – zawył, starając się sięgnąć pod kurtkę, by wyciągnąć broń. – Nie znam cię! Weingrass kopnął chłopca w łokieć, wytrącił mu rękę spod kurtki i nadepnął na nią.

–Przestań, ty głupcze – powiedział Manny, używając tonu oficera Arabii Saudyjskiej, który karci rekruta. – Nie po to cię osłanialiśmy, byś przysparzał nam dalszych kłopotów. Pewnie, że cię postrzelili i mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, że zostałeś zaledwie zraniony, a nie zastrzelony, co łatwo mogło nastąpić.

–Co ty mówisz?

–Coś ty robił? – krzyknął Manny w odpowiedzi. – Biegałeś po drodze, wrzeszczałeś wniebogłosy, czołgałeś się wokół naszego celu jak złodziej nocą. Yosef miał rację, powinniśmy cię odesłać z powrotem do Bekaa.

–Yosef! Gdzie jest Yosef?

–W domu, z innymi. Chodź, pomogę ci. Dołączymy do nich. W obawie, że upadnie Weingrass przytrzymał się gałęzi, podczas gdy terrorysta wstał z trudem, chwytając się ręki Manny'ego.

–Najpierw oddaj mi broń!> "

–Co?

–Mają cię za głupiego. Nie chcą, żebyś miał broń przy sobie. – Nie rozumiem.

–Nie musisz. Weingrass uderzył zmieszanego fanatyka w twarz i równocześnie sięgnął prawą ręką pod połę kurtki młodzieńca, wyciągając broń niedoszłego zabójcy. Był to pistolet kaliber 0.22 cala. Z tego mógłbyś strzelać do much – powiedział ujmując go za ramię. – Idziemy. Skacz na jednej nodze. Ciemne chmury zapowiadające nadciągającą od gór burzę przesłoniły zachodzące słońce. Wyczerpany starzec i ranny młodzieniec byli na środku drogi, gdy dał się słyszeć warkot silnika. Omiótł ich snop światła z reflektorów samochodu pędzącego wprost na nich od strony Mesa Verde. Zapiszczały opony i pojazd z lekkim poślizgiem zatrzymał się kilka metrów od Weingrassa i jego jeńca. Obaj rzucili się w kierunku żywopłotu. Manny mocno trzymał kurtkę Araba. Jakiś człowiek wyskoczył z dużego, ciemnego samochodu. Chwiejąc się na nogach i potykając Manny sięgnął pod płaszcz po swój pistolet. Stary architekt dostrzegł rozmazaną postać biegnącą w jego stronę. Podniósł pistolet, by wystrzelić. Manny – zawołał Gonzalez z biura zakładów konnych. Weingrass upadł, nie wypuszczając rannego terrorysty z

ręki. Trzymaj go – nakazał Gonzalezowi słabym głosem, tak jakby to był jego ostatni oddech. – Nie daj mu odejść, trzymaj go za ręce. Czasami mają przy sobie cyjanek. Jedna z pielęgniarek zrobiła zastrzyk młodemu Arabowi: do rana będzie z nim spokój. Jego rana postrzałowa nie była groźna. Kula przeszła przez mięśnie. Ranę oczyszczono, wlot i wylot zaklejono plastrem i krwawienie ustało. Gonzalez zaniósł młodego Araba do gościnnego pokoju. Przywiązano mu ręce i nogi do łóżka, a pielęgniarki przykryły nagie ciało dwoma kocami.

– Jest jeszcze bardzo młody – rzekła pielęgniarka wkładając poduszkę pod głowę nieletniego Araba.

– Jest mordercą – odpowiedział Weingrass chłodno, przyglądając się twarzy terrorysty. – Zabiłby ciebie bez chwili zastanowienia – tak jak zabija Żydów. Tak jak zabiłby i nas, jeśli puścilibyśmy go wolno. – To oburzające, panie Weingrass – powiedziała druga pielęgniarka. – To jeszcze dziecko.

– Powiedz to rodzicom tych licznych dzieci żydowskich, którym nie było dane dożyć nawet takiego wieku. Manny wyszedł z pokoju i podszedł do Gonzaleza, który szybko wyszedł, by wprowadzić swój zbyt rzucający się w oczy samochód do garażu. Po powrocie nalał sobie dużą szklankę whisky z barku na werandzie.

– Nalej sobie – powiedział architekt wchodząc na oszklony ganek i siadając na obitym skórą fotelu. – Dopiszę ci to do rachunku, tak jak ty dopisujesz do moich.

– Ty zwariowany staruchu – powiedział facet od zakładów. – Loco, jesteś loco, wiesz o tym? Mogli cię zabić. Muerto. Ty comprendre? Muerto, muerto, nieżywy, nieżywy, nieżywy, stary durniu. Może bym i przeżył to, gdybyś nie przyprawił mnie o atak serca, który jest poważnym zawałem, ty comprendre, wiesz co mam na myśli?

– Okay, okay, możesz sobie chlapnąć na koszt firmy.

– Loco – wykrzyknął Gonzalez wypijając whisky jednym haustem. – Może masz rację – zgodził się z nim Manny. – Kropnij sobie jeszcze jednego.

– Nie wiem: jechać, czy nie? – zapytał Gonzalez nalewając sobie kolejną porcję.

– Na policję?

– Jak już powiedziałem, nie było czasu jechać na policję. A nawet gdybym do nich zadzwonił, to i tak przyjechaliby za miesiąc... Dziewczyna, ama de cria, pielęgniarka, ona dzwoni do nich. Mam nadzieję, że zastała przynajmniej jednego z tych payasos. Czasem trzeba dzwonić aż do Durango, by kogoś dorwać. Telefon na barku zadzwonił. Tak, zadzwonił, ale nie był to dzwonek normalnego telefonu: dźwięk przypominał raczej brzęczyk. Weingrass poderwał się tak szybko, że omal nie przewrócił się na podłogę. Mam podnieść słuchawkę? – zapytał Gonzalez.

– Nie wykrzykną! Manny, podchodząc równie szybko co niepewnie do telefonu przy barku.

– Nie urwij mi głowy.

– Halo – odezwał się starzec do słuchawki, starając się opanować. – Pan Weingrass?

– Może tak, może nie. Kim pan jest?

– Weszliśmy laserem na waszą linię. Moje nazwisko brzmi Mitchell Payton...

– Wiem wszystko o panu – przerwał mu Manny. – Czy z moim chłopcem wszystko

w porządku?

–Tak, w porządku. Właśnie rozmawiałem" z nim. Jest na Bahamach. Wysłaliśmy po niego samolot wojskowy z bazy Holmstead. Za kilka godzin będzie w Waszyngtonie.

–Trzymajcie go tam. Przydzielcie mu ochronę. Niech się nikt do niego nie zbliża.

–A więc to się wydarzyło także i tam?... Czuję się taki niepotrzebny, taki niezaradny. Powinienem był postawić tam strażników... Ilu zabitych?

–Trzech – powiedział Manny.

–O, mój Boże... Czego dowiedziała się policja?

–Niczego. Jeszcze tu nie przyjechali.

–Nie przyjechali... Niech mnie pan posłucha, panie Weingrass. To co powiem może wydać się panu dziwne lub wręcz nienormalne, ale proszę mi wierzyć: wiem co mówię. Na razie nie wolno nikomu nic mówić o tym tragicznym wydarzeniu. Wówczas szansa na ujęcie tych łobuzów znacznie wzrośnie. Nasi eksperci przystąpią do pracy. Czy rozumie mnie pan, panie Weingrass?

–Rozumiem i wszystko załatwiłem – odpowiedział starzec, który kiedyś pracował dla Mosadu. W jego głosie zabrzmiała nutka protekcjonizmu:

–Policji powiemy na zewnątrz domu, że to był fałszywy alarm, że jakiemuś sąsiadowi popsuł się samochód i nie mógł się z nami połączyć telefonicznie.

–Zupełnie zapomniałem rzekł łagodnie Dyrektor Operacji Specjalnych. – Pan już u nas był przedtem.

–Owszem, byłem – przytaknął Manny bez słowa komentarza.

–Jeszcze chwileczkę – krzyknął podniesionym głosem Payton. – Powiedział pan, że trzech zostało zabitych, ale pan ze mną rozmawia. Więc z panem wszystko w porządku?!

–Zabitych zostało trzech z nich, nie z nas, panie fachowcu z CIA. – Cooo?... Jezu Chryste.

–Niewiele pomógł. O pomoc lepiej prosić Abrahama.

–Proszę jaśniej, panie Weingrass.

–Musiałem ich zabić. Ale czwarty żyje i dostał środek uspokajający. Proszę przysłać swoich specjalistów, zanim go także zabiję.

* * *

Rozdział 29

Niewysoki i mocno opalony rezydent CIA na Bahamach szybko jechał ze swojego biura mieszczącego się w ambasadzie przy Queen Street. Policja w Nassau wysłała uzbrojoną eskortę do hotelu Cable Beach obok Bay Road, gdzie czterech umundurowanych oficerów dołączyło w krótkim czasie do wysokiego jegomościa o kasztanowych włosach, będącego w towarzystwie opalonej blondynki. Zajmowali oni apartament na siódmym piętrze. Wszyscy udali się następnie do samochodu, oczekującego na imponującym, wyłożonym marmurem opuszczonym podjeździe hotelowej sali recepcyjnej. Dyrektor wykonawczy – zawsze czujny Szkot o nazwisku McLeod wyznaczył im trasę wzdłuż korytarzy służbowych, gdzie czuwali już jego najbardziej zaufani agenci. Droga prowadziła dalej do jasno oświetlonego wejścia,

przed którym znajdowały się dwie podświetlane fontanny, rozpryskujące w mrok nocy jaśniejące krople. Dwaj ludzie McLeoda, jeden z nich o olbrzymim poczuciu humoru i głębokim basowym śmiechu oraz atrakcyjna hostessa wyjaśniali grzecznie przyjezdnym i opuszczającym hotel gościom, że zwłoka nie potrwa długo. W tym czasie kawalkada złożona z pięciu motocykli pokonała zasłonięty teren. Rezydent znał po imieniu wszystkich, kogo na Bahamach znać należało i jego także znali wszyscy – ale po cichu. Evan i Khalehla pod osłoną policji wsiedli do rządowego samochodu: gość z CIA usiadł obok kierowcy. Kendrick nie był w stanie mówić: Khalehla mogła tylko ująć go za rękę, aż nadto dobrze wiedząc, co przeżywał. Jasność myśli opuściła go całkowicie: był pełen palącego smutku i złości. W jego oczach wezbrały łzy żalu po śmierci Kashi i Sabri Hassanów: nie trzeba było mu mówić o masakrze, sam mógł ją sobie wyobrazić. Szybkim, gwałtownym ruchem zaciśniętej pięści otarł te łzy. Przyjdzie jeszcze czas porachunku – mówiły teraz jego oczy. W źrenicach zagościł gniew. Jak może się pan domyślać, panie kongresmanie – rzekł rezydent częściowo obracając się ze swego siedzenia obok kierowcy wie, co się dzieje, ale mogę panu powiedzieć, że samolot jest już w drodze z bazy powietrznej Holmstead na Florydzie, aby zabrać pana z powrotem do Waszyngtonu. Powinien przylecieć za jakieś pięć lub dziesięć minut po naszym przybyciu na lotnisko.

–Wiemy to – z miłym uśmiechem powiedziała Khalehla.

–Byłby już wcześniej przyleciał, ale powiedzieli, że jest paskudna pogoda w Miami i odbywa się już kilka lotów na tej trasie. Może to tylko oznaczać, że chcieli dobrze wyposażyć samolot dla was, sirmam naturalnie na myśli was oboje.

–Bardzo miło z ich strony – powiedziała agentka z Kairu, ściskając rękę Evansa na znak, że nie musi nic mówić.

–Jeśli wydaje się panu, że zostawił pan coś w hotelu, z przyjemnością się tym zajmiemy.

–Niczego nie zostawiłem – wykrzyknął Kendrick ostrym szeptem.

–On chce powiedzieć, że zajęliśmy się wszystkim, dziękuję – powiedziała Khalehla pociągając kongresmana za rękę i ściskając ją mocno. – Sytuacja jest wyjątkowa i kongresman ma wiele na głowie. Czy można założyć, że nie będziemy przechodzić przez cło? – Ta kawalkada jedzie prosto przez wejście towarowe – powiedział agent spoglądając na Kendricka i odwracając od niego, tak jakby naruszył jego spokój. Resztę podróży odbyto w milczeniu do chwili, kiedy otworzyło się stalowe wejście portu towarowego i cała kawalkada wjechała po asfalcie na pierwszy pas startowy.

–F-106 z Holmstead powinien wylądować w każdej chwili – powiedział szef placówki CIA.

–Wysiadam. Evan sięgnął do klamki drzwi i pociągnął ją. Drzwi były zamknięte.

–Nie próbowałbym, kongresmanie Kendrick.

–Proszę wypuścić mnie z samochodu.

–Ewanie, on wykonuje swoje obowiązki. – Khalehla delikatnie, ale mocno trzymała Kendricka za ramię. – On musi przestrzegać regulaminu.

–Czy do tego regulaminu należy duszenie mnie?

–Ja oddycham swobodnie.

–Ale nie jesteś mną.

–Wiem, kochanie. Nikt nie może być teraz tobą. – Rashad przechyliła głowę i wyjrzała przez tylne okno na port lotniczy i okalający go teren. – Sytuacja nasza wydaje się być. czysta tak, jak to tylko możliwe zwróciła się do oficera wywiadu. Niech idzie. Pozostanę przy nim, tak jak pozostać mogą inni.

–Sytuacja czysta? Czy jesteś jedną z nas?

–Tak, ale chyba mnie już zapomnieliście. Proszę... Lot do Waszyngtonu na pewno nie będzie należeć do przyjemnych.

–No, raczej nie. Nie przeszkadza nam to. Ale faceta, który wymyślił ten regulamin nie ma tutaj. Powiedział nam tylko głośno: "nie wypuszczajcie go z tego samochodu".

–MJ potrafi być bardzo stanowczy.

–MJ...? Wyjdźmy zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. Kierowco, proszę odblokować drzwi.

–Dziękuję ci – powiedział Evan do Khalehly spokojnym głosem. – I przepraszam.

–Nie musisz do cholery wcale mnie przepraszać. Tylko nie zrób ze mnie kłamcy i nie daj się zastrzelić. Z pewnością zepsułoby mi to dzień... No, ale teraz to ja przepraszam. Nie czas teraz na głupie żarty.

–Chwileczkę – Kendrick zaczął otwierać drzwi, ale zatrzymał się. Jego twarz znajdowała się o kilka centymetrów od jej twarzy. – Kilka minut temu powiedziałaś, że nikt nie może być mną w tej chwili. To prawda. Powiedziawszy to muszę ci rzec, iż jestem diabelnie zadowolony, że jesteś tutaj, i to teraz.

–Szli w lekkim deszczu rozmawiając cicho. W pewnej odległości za nimi szedł oficer CIA. Po bokach – strażnicy z bronią. Nagle od strony magazynu towarowego pojawił się mały ciemny samochód i wyjąc silnikiem na wysokich obrotach począł szybko zbliżać się do nich. Strażnicy otoczyli Evana i Khalehlę, przygważdżając ich do ziemi. Oficer CIA przykrył Kendricka własnym ciałem, przyciągając Khalehlę do swego boku. Panika skończyła się jednak równie szybko jak powstała. Usłyszeli syrenę. Samochód był z lotniska. Dowódca kawalkady motocyklowej wyciągnął broń i zbliżył się do mężczyzny w mundurze, który wysiadł z samochodu. Rozmawiali chwilę spokojnie, po czym oficer powrócił do wstających z ziemi Amerykanów. – Jest ważny telefon do pańskiego przyjaciela, sir – zwrócił się do rezydenta.

–Połączcie nas tutaj.

–Nie mamy odpowiedniego sprzętu.

–Nie wierzę!

–Polecono mi bym powtórzył wam inicjały "MJ".

–Wystarczy – powiedziała Khalehla. – Pójdę z nim.

–No, tak – zaprotestował pracownik CIA. – Przepisy mówią co innego, i ty wiesz o tym równie dobrze jak ja. O wiele łatwiej chronić jednego człowieka aniżeli dwóch. Ja z nim pójdę i wezmę ze sobą czterech ludzi. Ty zostaniesz tutaj i będziesz mnie osłaniać, dobrze? Musimy tu się spotkać, bo pilot może się denerwować czekając na specjalny ładunek; głównie na ciebie. Telefon znajdował się na ścianie opuszczonego

magazynu. Rozmowę połączono i już pierwsze słowa, które Kendrick usłyszał spowodowały, że cały zeszytniał. Czuł się tak, jakby mu coś eksplodowało w głowie.

–Musisz dowiedzieć się najgorszego. Był atak na Mesa Verde. – O Chryste, to niemożliwe.

–Emmanuelowi Weingrassowi nic się nie stało. Z nim wszystko w porządku, Evanie.

–Czy jest ranny?

–Nie, nie jest. Tak naprawdę to on zadawał rany, zabijał. Jeden z terrorystów żyje.

–Chcę go mieć – wykrzyknął Kendrick.

–My także. Nasi ludzie są już w drodze.

–Mesa Verde to cel pomocniczy terrorystów w operacji przeciw Fairfax, czyż nie?

–Bez wątpienia. Ale w chwili obecnej to jedyna nasza nadzieja na wytropienie pozostałych. Cokolwiek ten. terrorysta wie – musi nam powiedzieć.

–Chrońcie go, żeby żył.

–Emmanuel Weingrass już się o to zatroszczył.

–Przeszukajcie go, czy nie ma cyjankali.

–Już to zrobiliśmy.

–Ani na chwilę nie można go zostawić samego.

–Wiemy.

–Tak, oczywiście – powiedział Evan przymykając oczy. Twarz miał wilgotną od potu i deszczu. – Nie myślę, nie mogę zebrać myśli. Jak przyjął to Manny?

–Prawdę mówiąc, z pewną dozą arogancji.

–To pierwsza przyzwoita wiadomość, jaką słyszę.

–Należy ci się ona. Był naprawdę wspaniały, jak na człowieka w jego wieku.

–Zawsze był wspaniały... bez względu na wiek. Muszę tam pojechać. Zapomnij o Waszyngtonie. Zawieźcie mnie prosto do Kolorado.

–Przypuszczałem, że o to poprosisz.

–Ja nie proszę Mitch, ja żądam.

–Tak, oczywiście. Z tej właśnie przyczyny spóźnia się samolot. Lotnictwo zaplanowało tankowanie w Denver i na zachód od niego. Mamy zezwolenie na lot ponad korytarzem rejsowym. Samolot może rozwinąć prędkość 2.3 Macha. Dostaniesz się na miejsce w ciągu niespełna trzech godzin i pamiętaj – nikomu ani słowa o Fairfax. Weingrass powstrzymał już Mesa Verde.

–Jak?

–Niech sam ci powie.

–Czy naprawdę myślisz, że uda ci się wszystko utrzymać w tajemnicy?

–Tak, jeżeli pojedę spotkać się z prezydentem. W tej chwili nie ma innej możliwości. Tak mi się wydaje.

–A jak chcesz się tam dostać nie zwracając uwagi strażników? – Właśnie się nad tym zastanawiam. Jest pewien człowiek, z którym razem studiowałem wiele lat temu, gdy jeszcze chciałem być historykiem. Od czasu do czasu widywaliśmy się przypadkowo. On ma duże wpływy. Wydaje mi się, że znasz jego nazwisko. To

Winters, Samuel Winters.

–Winters? To ten, który doradził Jenningsowi, by mi wręczył medal wolności podczas tej szalonej ceremonii.

–Pamiętam. Dlatego pomyślałem o nim. Przyjemnego lotu i pozdrowienia dla mojej siostrzenicy. Kendrick podszedł do drzwi magazynu, przy których stali ludzie z eskorty policyjnej, dwóch wewnątrz i dwóch na zewnątrz, z bronią gotową do strzału. Nawet szef placówki CIA, który w mroku wyglądał na mieszkańca Bahamów, również trzymał w ręku mały rewolwer. – Wy zawsze macie przy sobie te przedmioty? – spytał Evan bez większego zainteresowania. Niech pan spyta o to swoją przyjaciółkę, która powiedziała, że sytuacja jest "czysta" – skinął ręką oficer wywiadu przepuszczając " Kendricka przez drzwi.

–Chyba żartujesz. Ona także ma to przy sobie?

–Niech pan ją zapyta.

–Więc jak ją wpuścili do samolotu? Wykrywacze metalu, celnicy tutaj? To jeden z naszych sekretów, który właściwie nie jest żadnym sekretem. Inspektor bagażu lub celnik zwykle pojawia się w pobliżu, kiedy my mamy przechodzić i wyłącza detektor na kilka sekund, a jeśli chodzi o celników, to urzędnik imigracyjny dobrze wie, czego nie powinni znaleźć. To się kupy nie trzyma – powiedział Kendrick wsiadając do samochodu należącego do lotniska. No, nie wszędzie. Inspektorzy nie tylko pracują dla nas, my ich nawet sprawdzamy. Nasze rzeczy są już w środku. – Rezydent usiadł obok Evana na tylnym siedzeniu niewielkiego samochodu, a kierowca ruszył szybko wzdłuż pasa startowego. Duży, zgrabny samolot wojskowy typu F-106 Delta Dart już wylądował. Baryton silników opadał. Khalehla stanęła przy schodkach samolotu nawiązując rozmowę z pilotem. Dopiero będąc przy nich Kendrick rozpoznał typ odrzutowca, którym miał lecieć. Nie było to przyjemne doznanie. To ten sam typ samolotu, jakim przyleciał na Sycylię ponad rok temu, rozpoczynając w ten sposób swą podróż do Maskat. Odwrócił się do idącego obok niego oficera wywiadu i podał mu rękę.

–Dziękuję za wszystko – powiedział. – Przykro mi, że nie stanowiłem przyjemnego towarzystwa.

–Mógłby mi pan napluć w twarz, a ja i tak byłbym dumny, że pana spotkałem, panie kongresmanie.

–Pragnę wyrazić, jak bardzo doceniam... Jakie jest wasze nazwisko?

–Proszę nazywać mnie Joe, sir. Proszę nazywać mnie Joe – młody człowiek w samolocie tego samego typu rok temu posiadał to samo imię. Czy miał przeżyć jeszcze jeden Oman, jeszcze jeden Bahrajn? Dziękuję, Joe. Jeszcze nie koniec, panie Kendrick. Jeden z tych chłopców z lotnictwa w randze pułkownika lub nawet wyższej musi podpisać papier. Ten, który miał podpisać nie był pułkownikiem. Był generałem brygady i Murzynem. Witam ponownie, doktorze Axelrod – powiedział pilot F-106. Wygląda na to, że jestem pańskim osobistym szoferem. – Wysoki mężczyzna wyciągnął rękę. – Oto co władza naprawdę lubi.

–Witam, generale.

–Muszę panu coś powiedzieć, panie kongresmanie. Ostatnim razem moje

zachowanie było niestosowne. Pan dał mi to wyraźnie do zrozumienia i miał pan rację. Ale teraz mogę panu powiedzieć, że jeśli przeniosą mnie do Kolorado, to z pewnością oddam głos na pana, z całym przekonaniem, proszę mi wierzyć.

–Dziękuję generale powiedział Evan próbując się uśmiechnąć. Lecz nie będę potrzebował więcej głosów.

–To byłaby cholerna szkoda. Obserwowałem pana, słuchałem pańskich przemówień. Podoba mi się pański rozmach i styl, a to jest coś, na czym się znam.

–Myślę, że macie podpisać jakiś papier.

–Nie musiałem podpisywać na Sardynii – powiedział generał biorąc rozkaz wyjazdu od szefa placówki CIA. – Czy naprawdę potrzeba wam tego dokumenciku od zarozumialca pod pięćdziesiątkę, od czarnucha w mundurze generalskim, panie Ważny?

–Zamknij się człowieku. Sam jestem półkrwi Indianinem. Czy są jakieś problemy?

–Przepraszam. – Oficer lotnictwa podpisał dokument i jego specjalny pasażer wszedł do samolotu.

–Co się stało? – zapytała Khalehla, gdy usiedli w fotelach. – Po co dzwonił MJ? Ręce mu drżały, głos się załamywał, gdy myślał o całej tej potworności, o tej przemocy, gwałcie, o tym, że Emmanuel Weingrass cudem tylko uniknął śmierci. Gdy zaczął mówić, w jego oczach był ból bezradności. Chryste, to musi się skończyć. Jeśli się nie skończy, to zabiją wszystkich, na których mi zależy. – Mogła tylko mocniej ścisnąć jego dłoń, by mógł zrozumieć, że jest przy nim. Nie mogła uśmierzyć burzy w jego duszy, cała jego istota buntowała się, to było zbyt osobiste przeżycie. W pół godziny po starcie Evan zerwał się ze swojego siedzenia i popędził do toalety. Zwymiotował wszystko, co spożył w ciągu ostatnich dwunastu godzin. Khalehla pobiegła za nim. Odepchnęła wąskie drzwi do toalety i ujęła w dłonie jego czoło, szepcząc, by się nie krępował. Wyjdź stąd, proszę – odkaszlnął.

–Ale dlaczego? Tylko dlatego, że się tak różnisz od nas? Czujesz ból, ale nie możesz zapłakać? Zamykasz się w sobie, aż coś musi w tobie pęknąć?

–Nie potrzebuję litości.

–Nikt jej przecież nie okazuje. Jesteś dorosłym mężczyzną, który poniósł straszną stratę i o mało nie doznał jeszcze większej największej jakiej można. Mam nadzieję, że mogę się uważać za przyjaciółkę, Evanie, i jako przyjaciółka nie okazuję litości – zbyt cię szanuję – ale współczuję ci. Kendrick wstał i wziął do ręki papierowy ręcznik. Był blady i wyraźnie poruszony. – Wiesz, jak można człowieka doprowadzić do rozpacz – powiedział z nutką winy w głosie. Umyj twarz i uczesz włosy. Wyglądasz okropnie. – Rashad wyszła z małej toalety mijając dwóch umundurowanych członków załogi. – Ten idiota zjadł nieświeżą rybę – wyjaśniła nie patrząc na nich. – Proszę zamknąć drzwi. Minęła godzina: podano napoje; obsługa sił powietrznych przygotowała obiad w kuchence mikrofalowej. Agentka z Kairu spożyła go z apetytem, zaś kongresman prawie go nie tknął.

–Musisz jeść, przyjacielu – powiedziała Khalehla. – To jedzenie jest o niebo lepsze aniżeli na liniach pasażerskich.

–Smakuje ci?

–A tobie nie? Obracasz talerz nie dotykając jedzenia.

–Poproszę o jeszcze jednego drinka. Poderwali głowy na dźwięk przenikliwego brzęczyka, który z łatwością można było usłyszeć na tle ryku silników. Dla Evana było to coś w rodzaju deja vu: słyszał ten dzwonek rok temu, kiedy wzywano go do kabiny załogi. Tym razem jednak kapral, który odebrał telefon pokładowy zwrócił się do Khalehli mówiąc:

–Radiogram do pani.

–Dziękuję – powiedziała Rashad odwracając głowę i widząc przerażenie w oczach Kendricka dodała:

–Gdyby było coś ważnego, poprosiliby ciebie. Spokojnie. Poszła naprzód, chwytając się oparcia siedzeń; by zachować równowagę w kołyszącym się samolocie. Usiadła przed telefonem umocowanym do grodzi. Człowiek z obsługi podał jej telefon na długim, skręconym kablu. Założyła nogę na nogę i powiedziała: Tu Ołówek Dwa z Bahamów. Kto mówi? Pewnego dnia będziemy musieli pozbyć się tych kretyńskich pseudonimów – powiedział Michell Payton. Spokojnie, MJ. Gdybym użyła zwrotu "Banan Dwa" – jak byś odpowiedział? Zadzzwoniłbym do twojego tatusia i powiedział mu, że jesteś niegrzeczną dziewczynką. Zupełnie niepotrzebnie. Znamy się dobrze... O co chodzi? – Nie chcę dzwonić do Evana. Jest zbyt roztrzęsiony, by myśleć sprawnie. Ty musisz myśleć.

–Spróbuję. W czym rzecz?

–Potrzebuję twojej oceny. Chodzi o te informacje, które uzyskałaś od tego faceta z Off Shore Investment w Nassau. Jesteś pewna, że można na nich polegać?

–Na informacjach tak, ale nie na nim. Nie ucieknie nam, jeśli skłamał dla pieniędzy. To kompletny pijak żyjący z resztek, jakie pozostały w jego umyśle, lub jakie raczej tam były, zanim nie przesiąknęły rumem. Evan dał mu dwa tysiące gotówką i, wierz mi, za tę sumę sprzedałby nawet wszystkie tajemnice handlu narkotykami. – Pamiętasz dokładnie co powiedział o tej kobiecie o nazwisku Ardis Montreaux?

–No pewnie. Powiedział, że nie traci z oczu tej prostytutki, jak ją nazwał, ponieważ jest mu coś winna i pewnego dnia ma zamiar odebrać te pieniądze.

–Mam na myśli jej stan matrymonialny.

–Oczywiście, że pamiętam, ale o ile dobrze słyszałam, to Evan powiedział ci już to przez telefon.

–Powiedz mi to sama. Nie możemy popełnić żadnego błędu.

–Dobrze. Rozwiodła się z bankierem Frazier Pyke i wyszła za bogatego kalifornijczyka z San Francisco o nazwisku Von Lindermann.

–Czy mówił o jakichś szczegółach dotyczących San Francisco? – Raczej nie. Powiedział tylko "San Francisco lub Los Angeles", tak mi się przynajmniej wydaje. Ale wyraźnie mówił o Kalifornii, i to chyba jest ważne. Jej nowy mąż miał być Kalifornijczykiem, i to cholernie bogatym.

–A jego nazwisko – postaraj się dokładnie sobie przypomnieć. Czy to na pewno był Von Lindermann?

–Tak, chyba tak. Spotkaliśmy go przy budce telefonicznej w Junkanoo i miał

plakietkę... Ale tak, chyba tak, to na pewno było coś w tym rodzaju.

–Przegrałaś – wykrzyknął Payton. – Coś w tym rodzaju, moja droga. Wyszła za człowieka o nazwisku Vanvlanderen, Andrew Vanvfenderen z Palm Springs.

–No to już wina tej zapijaczonej gęby. – Nie chodzi już o zapijaczoną gębę, agencie Rashad. Vanvlanderen to jedna z najznacniejszych osób wspierających finansowo Langforda Jenningsa – żyła złota w kiesach prezydenta.

–Fascynujące.

–To już nie o to chodzi. Ardisolda Wojak Montreax FrazierPyke Vanvlanderen – to wielce utalentowana organizatorka i obecnie jest szefem personelu wiceprezydenta Orsona Bollingera.

–Nie do wiary!

–Myślę, że obecna sytuacja wymaga, by złożyć jej nieformalną, aczkolwiek zupełnie oficjalną wizytę. Winien to zrobić ktoś spośród naszych specjalistów od Bliskiego Wschodu. Będziesz w południowozachodnim Kolorado za niecałą godzinę. Mój wybór padł więc na ciebie.

–Mój Boże, MJ, ale na jakiej podstawie?

–Grożono najwidoczniej Bollingerowi i FBI stworzyło zespół, który ma się nim zajmować. Trzymali to w tajemnicy – zbyt dużej tajemnicy jak na mój gust – a teraz cały ten zespół odwołano – alarm też.

–Cała ta sprawa zbiega się z atakami na Fairfax i Mesa Verde – zasugerowała Khalehla.

–Brzmi to zwariowanie, ale wiem, że coś w tym jest. Czuję to nosem starego zawodowca, czuję zgniliznę amatorszczyzny unoszącą się z San Diego.

–Czy Biuro może być wmieszane? – zapytała zdumiona Rashad. – Nie... Wykorzystuję to. Pracuję nad przesłuchaniem międzyagencyjnym. Mam zamiar przesłuchać każdego członka tego zespołu. – Ale w dalszym ciągu nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Jaki jest powód, bym udała się do San Diego? Nie należymy do służb działających na terenie kraju.

–Ten sam, dla którego przesłuchiwać będę ten zespół. Jeśli chodzi o te groźby przeciwko Bollingerowi, rozpatrujemy możliwość udziału terrorystów. Tylko Bóg jedyny wie, że jeśli musielibyśmy ujawnić wydarzenia, jakie miały miejsce dzisiaj, to bylibyśmy całkowicie usprawiedliwieni... Nie wiem gdzie, moja droga, ale gdzieś musi być jakiś związek w tym szaleństwie – no i blondyn z europejskim akcentem. Khalehla rozejrzała się po kabinie. W czasie gdy ona rozmawiała, dwóch ludzi z załogi siedziało w fotelach rozmawiając cicho, zaś Evan patrzył w przestrzeń za oknem nic nie widzącymi oczami. – Oczywiście zrobię, czego sobie życzysz, ale nie ułatwia mi to życia. Oczywiście sprawą jest, że mój chłoptaş miał jakąś przygodę z tą kobietą od Vanvlanderena – nie powiem, żeby mnie to zbytnio martwiło, ale na pewno martwi to jego.

–A czemóż to? Patrzą na to jak na osobliwy rodzaj moralności. Tak było już dawno temu.

–Nie rozumiesz MJ. Seks nie ma niczego wspólnego z moralnością. Zrobiono go w konia, zwiedziono, aż niemal stał się oszustem międzynarodowym i nie może tego

zapomnieć. Być może nie jest w stanie sobie tego nawet wybaczyć. Nie przejmuj się na razie. Kendrickowi w tym momencie nie można nic mówić o San Diego. Nie wiadomo co może zrobić w stanie, w jakim się teraz znajduje, jeśli dowie się o takim związku. A nam nie potrzeba teraz dodatkowych kłopotów. Wymyśl coś na okoliczność tej urzędowej wizyty i staraj się być przekonująco. Chciałbym, żebyś przesłuchała tę dziwną panią. Do jutra rano przygotuję scenariusz.

–Dobrze, zrobię to.

–Mam nadzieję, że zabrałaś swoje dodatkowe dokumenty z Kairu.

–Naturalnie.

–Chyba będziesz ich tu potrzebowała. Znajdujemy się na wyjątkowo cienkim lodzie. Tak się składa, że nikt z naszych ludzi nie zna ciebie i ty także ich nie znasz. Jeśli coś wymyślę, to dam ci znać przez Weingrassa w Kolorado... Bardzo cienki lód.

–Nawet Evan zdaje sobie z tego sprawę.

–Mogę wiedzieć jak ci idzie? Ostrzegam, że jestem z ciebie niezmiernie zadowolony.

–Powiem tak. Mieliśmy piękny apartament z dwoma sypialniami w Cable Beach. Zeszłego wieczoru słyszałam jak chodził po bawialni za moimi drzwiami, aż do samego rana. Miałam ochotę wyjść i kazać mu wejść z powrotem do środka.

–Dlaczego nie zrobiłaś tego?

–Ponieważ wszystko jest tak poplątane, tak wyczerpujące dla niego – a tego wieczoru tak okropne. Nie wydaje mi się, aby ktorekolwiek z nas było w stanie dać sobie radę z osobistymi komplikacjami.

–Dzięki Bogu, że mamy sterylny telefon. Kieruj się instynktem, agencie Rashad. Ci z Operacji Specjalnych zrobili dla nas dobrą robotę... Zadzwoń rano z instrukcjami. Pomyślnych łowów, miła siostrzenico. Khalehla wróciła na swoje miejsce. Evan patrzył na nią z niepokojem.

–Inne światy trwają nadal i są równie groźne, tak mi się przynajmniej wydaje – powiedziała zapinając pasy bezpieczeństwa. – Dzwonił rezydent z Kairu. Dwóch naszych informatorów przepadło w Sidi Barrani – to ślad libijski. Powiedziałam mu gdzie i kogo szukać... Jak się czujesz?

–W porządku – powiedział patrząc jej prosto w twarz.

–Szanowni pasażerowie i nasza elegancka załoga – głęboki i donośny głos generała dobiegł ich z głośnika interkomu. – Wygląda na to, że musimy raz jeszcze to powtórzyć. Pamiętaj pan tę "wyspę południową"? – Pilot wyjaśnił dalej, iż celem uniknięcia rozgłosu i sensacji, jaką mogłoby wzbudzić lądowanie samolotu wojskowego na lotnisku Durango lub Cortez, polecono mu lądować w Mesa Verde. Aczkolwiek oficjalnie uważa się, że pas jest wystarczająco długi, to samo lądowanie może być niezbyt miękkie. Tak więc kiedy dam sygnał, mocno zapnijcie pasy. Schodzimy w dół według namiaru satelity: planowany przylot za czterdzieści pięć minut jeśli oczywiście znajdę to cholerne miejsce... Proszę o tym pamiętać, doktorze. Zgodnie z przewidywaniami generała, które wyraził w sposób pełen niedomówień, lądowanie było twarde. Samolot podskakiwał i drżał, a jego wnętrze wypełnił ryk silników pracujących na ciągu wstecznym. Kiedy już wysiedli – podziękowali i

pożegnali się z generałem, który przekazał swoich specjalnych pasażerów szefowi miejscowej placówki CIA. Khalehlę i Evana odprowadzono pośpiesznie do opancerzonego samochodu, który przywieziono samolotem z Denver. Eskortę stanowiło sześciu uzbrojonych motocyklistów z Policji Federalnej, których w najmniejszym stopniu nie obchodziło, dlaczego gubernator kazał im jechać na to oddalone lotnisko dla milionerów w Mesa Verde, znajdujące się w pobliżu parku narodowego. Chciałbym pana zorientować w bieżącej sytuacji, panie kongresmanie – powiedział człowiek z CIA siadając, tak jak jego kolega z wysp Bahama, na przednim fotelu obok kierowcy. – Nas jest pięciu, ale dwóch poleci z powrotem do Wirginii z więźniem i trzema ciałami... Mówię otwarcie, ponieważ powiedziano mi, że mogę mówić w obecności pani, jako że jest pani osobą oficjalną.

–Dziękuję za zaufanie – powiedziała nieznana agentka służb specjalnych.

–Tak, proszę pani... Wynajęliśmy sześciu ludzi ze straży leśnej parku narodowego celem ochrony domu i posiadłości, w której będziecie przebywać. To są zaufani ludzie, z doświadczeniem bojowym. Będą czuwać przez całą noc. Jutro ma przylecieć jednostka z Langley, by zająć ich miejsce.

–O Chryste, co będzie, jak się zdarzy jeszcze jedno Fairfax? – westchnął Evan. Khalehla szturchnęła Kendricka w bok i zakaszła.

–O co chodzi?

–O nic. Przepraszam. Proszę mówić dalej.

–Jeszcze kilka rzeczy – i chcę wam powiedzieć, że ten stary Żyd powinien być wyniesiony na jakiś piedestał, jeśli go przedtem nie zamkną w wyściełanym pokoju bez klamek – ale winniście oboje znać fakty i kulisy. Weingrass obmyślił to zanim przylecieliście o rany, z niego to jest pistolet.

–Wiemy. Zgoda – powiedział Kendrick. – Co to za fakty?

–Siostry ze szpitala niewiele wiedzą: uważają, że był tylko jeden terrorysta, opętany fanatyk. Trzy ciała ukryto w lesie – do czasu odjazdu policji. Następnie wasz meksykański przyjaciel Gonzalez przeniósł je z powrotem do garażu, czego siostry nie mogły wiedzieć, bo były po drugiej stronie domu, na ganku, razem z Mannym. O Boże, jak do tego doszło, że nazywam go "Manny"? W każdym razie Gonzalez zamknął drzwi od garażu i pojechał z powrotem do restauracji. Pan Weingrass zapewnia nas, iż Gonzalez będzie milczał.

–Pan Weingrass ma rację – potwierdził Evan.

–Nie podoba się to nam, ale wygląda, że wracacie na długo. – Wracamy na długo. powiedział Kendrick.

–Tak więc kongresman nie powinien robić żadnych uwag co do zasięgu ataku – wtrąciła Khalehla. Czy to chciałeś powiedzieć? – Dokładnie to chciałem powiedzieć. Chodzi o powstrzymanie, panie Kendrick, i to jest rozkaz z góry, z Langley. Jeśli chodzi o nas, tutaj obecnych, to my jesteśmy ludźmi rządu, a nie z żadnej Agencji czy Biura. Nie ma mowy o wzajemnym przedstawianiu się. Ludzie z góry są zbyt przestraszeni, aby szukać dodatkowych komplikacji, które zwykle w takich sytuacjach występują. Samolot przyleci około trzeciej rano. Więzień i trzech jego martwych kolegów polecą z powrotem do Wirginii. Żywego odeślą na specjalne

przesłuchanie, martwych do laboratorium medycyny sądowej. Manny, o przepraszam, pan Weingrass, powiedział mi, żebym wam to wszystko wyjaśnił.

–Jasne.

–Dziękuję panu. O rany, ten Manny! Wiecie, że uderzył mnie w brzuch, gdy powiedziałem mu, że przejmuję sprawę? Tak po prostu zadał mi cios w brzuch.

–Normalka – powiedział Kendrick, wyglądając przez przyciemnione okno na drogę. Byli o dziesięć minut jazdy od domu, od Mannego. Padli sobie w ramiona w wejściu. Evan uściśnął starego mocniej aniżeli tamten jego. Potem Weingrass uderzył lekko Kendricka w ucho i rzekł: Nigdy nie nauczyłeś się manier od swoich rodziców? Za tobą stoi dama, z którą bardzo chcę się widzieć. Och, przepraszam – powiedział Evan cofając się. – Manny, to jest Khalehla... Khalehla Rashad. Stary Weingrass uczynił krok do przodu i ujął dłoń Khalehli. Pochodzimy z umęczonej ziemi. Ty i ja. Jesteś Arabką, a ja jestem Żydem, ale w tym domu nie ma takich rozgraniczeń, żadnych uprzedzeń. I muszę ci powiedzieć, że kocham cię bardzo za to, że dajesz tyle radości mojemu synowi.

–O Boże, jesteś cudowny!

–Tak – przytaknął Manny, skinąwszy dwakroć głową.

–Ja też ciebie kocham, za to wszystko, czym jesteś dla Evana. Khalehla objęła wątłego osiemdziesięcioletniego architekta, przytulając się do jego twarzy. – Czuję się tak, jakbym znała cię całe życie. – Sprawiam czasem takie wrażenie na ludziach, ale często zdarza się coś zupełnie odwrotnego, tak jak gdyby ich życie zmieniło się nagle na gorsze.

–Nie moje, na pewno powiedziała Khalehla zwolniwszy uścisk, ale trzymając go w dalszym ciągu za ramiona. – Rozmawiam z legendą, która okazuje się być wspaniałą osobą – dodała uśmiechając się ciepło.

–Proszę nie rozgłaszać mylnych informacji, Panno Agencji Tajny. Zaszkożysz w ten sposób mojej reputacji... A teraz do rzeczy, zanim cię zaprowadzę do innych osób. – Weingrass obrócił się w korytarzu i popatrzył na kamienne sklepienie. – Dobrze, dziewczęta są na werandzie. Mamy kilka minut dla siebie.

–Ten facet z CIA powiedział nam wszystko – powiedział Kendrick. – Mam na myśli tego gościa, który powitał nas na lotnisku. – Masz na myśli Joe.

–Joe?

–Oni wszyscy nazywają się "Joe", "John", "Jim" – ale nigdy "Irving" lub "Milton". No dobrze... Payton powiedział mi, że wiesz o Hassanach.

–Wie – wtrąciła się Khalehla, nieświadomie sięgając po dłoń Evana i ujmując ją. Gest ten nie uszedł uwagi Manny'ego i wzruszyło go to. – Straszne.

–To wszystko jest straszne, moje kochane dziecko. To bestie, które mordują własnych ludzi. Kashi i Sabri tak pięknie mówili o tobie, Adrienne Khalehli Rashad i nie muszę ci mówić co myśleli o moim synu... Tak więc opłakiwać ich będziemy w skrytości, pamiętając co dla nas znaczyli. Ale to potem, nie teraz.

–Manny – wtrącił Kendrick – muszę załatwić kilka spraw.

–Już to załatwiłem. Będą prywatne islamskie modły i zwłoki zostaną przewiezione z powrotem do Dubaju na pogrzeb w Ash Sharigah. Naturalnie trumny się

zapięczętuje.

–Panie Weingrass...

–Pamiętaj – jeśli będziesz się zwracała per "pan" to nie będę już cię tak kochał.

–No już dobrze, Manny... MJ nie mówił jasno... MJ – to Payton. – Wiem, wiem – przerwał jej Weingrass. – Powiedziałem mu, że jeśli będzie miał bezpieczniejszy telefon, to będzie mógł sobie pozwolić na większą szczerość. Myślę, że kazał kogoś zabić i teraz ten telefon działa. Jesteśmy teraz Emmanuelem i Mitchellem. Zbyt często dzwoni. Przepraszam, pytałaś o coś?

–Pod jakim szyldem ja mam tu występować? Czuję się jak zupełna idiotka, ale nie mam najmniejszego pojęcia. Agent powiedział mi w samochodzie, że występuję oficjalnie. Ale jak? Kim jestem dla tych ludzi?

–Mitchell sugerował, byś mówiła, że jesteś przedstawicielką Departamentu Stanu towarzyszącą kongresmanowi.

–Stanu?

–Być może chce zwalić na kogoś winę, jeśli się nie powiedzie. Z tego co wiem, w Waszyngtonie jest to popularny rodzaj zabawy. – No nie, on do takich nie należy... A, już rozumiem. Jeżeli mam udzielać instrukcji, to w takiej sytuacji będę mogła to robić zupełnie swobodnie.

–A czy nie będziesz musiała okazać jakiejś legitymacji, jeśli ktoś o to poprosi? – zapytał Evan.

–Nno... tak.

–Czy chcesz powiedzieć, że masz taką legitymację?

–No tak, coś w tym rodzaju.

–To nielegalne.

–Przywdziewamy różne maski w różnych sytuacjach, Evanie. – To pewnie masz i spluwę. Ten Indianin – rezydent z Bahamów powiedział mi o tym.

–Nie powinien był tego mówić.

–Czy ty na pewno przypadkiem nie pracujesz dla Mosadu? z uśmiechem spytał Weingrass.

–Nie, ale ty pracujesz – musisz pracować. Niektórzy z moich przyjaciół, najbliższych przyjaciół pracują.

–Jesteś w dobrych rękach bubbelah... Do roboty. Mitchell chce, aby Evan rzucił okiem na towar, tutaj, na ten w sypialni i na ciała: są przykryte prześcieradłami w garażu i nadamy je wieczorną pocztą. – Siostry szpitalne nie mają najmniejszego pojęcia, że tam są te zwłoki? – zapytał Kendrick tonem pełnym niedowierzania.

–Twój przyjaciel Payton twardo obstawał przy jednym, baprzypominał wręcz fanatyka. "Powstrzymywać, powstrzymywać i jeszcze raz powstrzymywać – powtarzał ciągle.

–W jaki sposób macie zamiar je wywieźć bez wiedzy tych ze straży leśnej?

–Wynajęli furgonetkę z Durango. Postawią ją pod portem lotniczym. Można będzie nią przyjechać tutaj. Tyłem wprowadzi się ją do garażu tak, że nikt niczego nie zobaczy. Całą operację będą nadzorować ludzie Paytona. Wydaje mi się, że doskonale wiedzą co mają robić.

–Tak, na pewno – potwierdziła łagodnie Khalehla. – Czy ktoś rozmawiał już z tymi dziewczętami, co mają mówić, lub raczej czego mówić nie powinny?

–Ja rozmawiałem i od razu potraktowały mnie serio, tylko nie wiem na jak długo. W dalszym ciągu były wstrząśnięte i nie wiedziały nawet jednej czwartej tego, co się wydarzyło.

–Zbiorę je razem. Ty i Evan uważajcie w razie potrzeby pomóżcie mi – tylko bardzo oficjalnie. MJ ma rację. Będę udawać przedstawicielkę Departamentu Stanu.

–Ale dlaczego? – zapytał Evan.

–Żeby nie mieszać w to Agencji. Nie mamy uprawnień do akcji na terenie Stanów i ktoś mógłby sobie o tym przypomnieć. Może go wtedy ponieść wyobraźnia. Co proste to i najlepsze.

–Jestem za – powiedział Weingrass z aprobatą. – A więc jak mam cię przedstawić?

–Jestem po prostu Miss Adrienne z Departamentu Stanu. Skłamiesz tak?

–Niech pomyślę – powiedział Manny marszcząc czoło. – Raz już skłamałem – o ile pamiętam było to w lipcu 1937... Chodźmy. Ujmując Evana za ramię i Khalehłę za rękę Weingrass przeprowadził ich przez kamienne wejście, wołając do trzech sióstr znajdujących się na werandzie:

–Oto, moje brzydule, prawdziwy magik. Złóżcie szacunek człowiekowi, który opłaca wasze zachcianki seksualne i nadmierną skłonność do muszkatelu.

–Manny.

–One mnie kochają, powiedział cicho Weingrass. – Grają nawet o moje łóżko.

–Na miłość boską...

–Spokojnie, moja droga. On jest cudowny.

–Złamał nogę, gdy wyskakiwał z ciężarówki, kiedy byliśmy powyżej Dżabal Szam – powiedział Kendrick spoglądając na nieprzytomnego młodego człowieka, przywiązanego do łóżka. – To jeszcze dzieciak.

–Rozpoznaje go pan? – zapytał stojący u boku Emmanuela Weingrassa oficer CIA. – Nie ma pan wątpliwości, że był z wami w Omanie?

–Niewątpliwie. Nie zapomnę go nigdy. Był pełen ognia, jakiego na pewno nie można znaleźć u większości nieletnich u nas... No może z wyjątkiem szumowin miejskich.

–Wyjdźmy z garażu tylnymi drzwiami.

–To jest Yosef – powiedział Evan przymykając oczy. Jego matka była Żydówką. Przez kilka godzin był moim przyjacielem. Chronił mnie... o Boże!

–Przestań! – krzyknął Manny. – On przybył tu, żeby zabić cię. – Tak, na pewno. Dlaczego by nie? Udawałem, że jestem jednym z nich w tej ich przekłętej świętej sprawie... Ogolili głowę jego matce, możesz to sobie wyobrazić?

–Wykrzyczał mi to wszystko, gdy chciał mnie zabić – powiedział Weingrass. – Jeśli poprawi ci to nastrój, to ja wcale nie chciałem go zabić. Chciałem ich wszystkich wziąć żywcem.

–Znając Yosefa – to niewielką miałeś szansę.

–Wiem, nie miałem.

–A ci dwaj? – przerwał im niecierpliwie oficer CIA podnosząc prześcieradło. – Rozpoznaje ich pan? Tak. Obaj byli w Omanie, ale nigdy nie poznałem ich nazwisk. Ten po prawej miał ciągle zabrudzone spodnie. Drugi miał zmierzwione włosy i patrzył tak, jakby miał mesjanistyczną misję do spełnienia. Myślę, że był psychiczny. To wszystko co mogę powiedzieć. – Powiedział pan już wszystko, co powinniśmy wiedzieć. Wszyscy ci ludzie, których pan rozpoznał, byli z wami w Omanie.

–Tak, znałem każdego z nich... Chcieli zemsty i gdybym ja był jednym z nich, to pewnie nie odczuwałbym tego inaczej.

–Pan nie jest terrorystą.

–Jaka jest różnica między "terrorystą", a "bojownikiem o wolność"?

–Trzeba zacząć od tego, sir, że terrorysta stawia sobie za cel zabijanie niewinnych ludzi. Zwykłych mężczyzn i kobiety, którzy znajdują się w pobliżu, dzieci z tornistrami, robotników – zarówno młodych jak i starych, którzy po prostu wykonują swoją pracę. I co pan na to, sir? Kendrick przyglądał się twarzy agenta. Nagle wstrząsnął nim dreszcz – przypomniał sobie Fairfax i Hassanów. – Przepraszam za głupią uwagę, przykro mi. A, do licha – powiedział spokojniejszym tonem agent CIA. Każdy z nas ma napięte nerwy i zbyt dużo tych cholernych etykietek przylepia się do ludzi. Powrócili do domu, gdzie Khalehla rozmawiała z pielęgniarkami. Były wpatrzone w nią jak w obrazek i słuchały uważnie tego, co mówiła. Siedziały nieruchomo na krzesłach ze wzrokiem wlepionym w "przedstawicielkę Departamentu Stanu". Evan i Manny przeszli przez werandę, kierując się w stronę barku. Oficer CIA skierował się natomiast do pokoju gościnnego, by zobaczyć, co robią jego kolega i więzień.

–Wyjaśniłam wszystko, kongresmanie Kendrick – oficjalnym tonem oznajmiła Khalehla. – Na tyle, na ile mi wolno, oczywiście. Obecne tu panie wyraziły zgodę na współpracę. Jedna z nich miała mieć pacjenta jutro rano, ale zadzwoni i powie mu, że ma inne pilne zajęcia i poprosi go o przesunięcie wizyty.

–Dziękuję bardzo – mruknął Weingrass nalewając sobie drinka. Evan przyglądał mu się uważnie.

–Teraz jestem już martwy.

–Dziękuję, Manny – powiedziała siostra sucho.

–Pragnę podziękować wam wszystkim pośpiesznie dodał Evan. – Waszyngton jest przekonany, że to odosobniony incydent, że to sprawa wariata, który wyrwał się...

–Takim właśnie był SirhanSirhan, który zabił Boba Kennedy'ego – wtrąciła jedna z sióstr – i w niczym nie zmieniło to końcowego skutku.

–Powiedziałam im, że więźnia przewieziemy na wschód w tajemnicy dziś wieczorem i aby nie przejmowały się zbyt, jeśli usłyszą jakiś hałas w pobliżu lub w garażu.

–Fachowo – mruknął Weingrass.

–Mam tylko jedno pytanie – powiedziała siostra spoglądając na Khalehłę. Powiedziała pani, że kwarantanna będzie tymczasowa... Co prawda nie zaproszono mnie na GrandPrix w Monte Carlo, ale jak długo będzie ona trwała?

–Podczas Grand Prix są za duże tłumy – wtrącił Manny popijając. – Nie można nawet przejść przez ulicę i ludzie szaleją na Bains de Mer.

–Nie dłużej niż kilka dni – odpowiedział pośpiesznie pielęgniarce Kendrick. – Chcą dokonać rutynowej kontroli... Ale jeśli ma pani zaproszenie, to Manny osobiście będzie pani towarzyszyć. Nagle usłyszeli jakieś poruszenie na zewnątrz. Dobiegł ich odgłos krzyków i klaksonu.Odsunąć się od okien! – krzyknął agent CIA. – Wszyscy na podłogę, na podłogę! Evan rzucił się w kierunku Khalehli. Zobaczył ze zdumieniem jak rzuca się plackiem na dywan i turla w kierunku rozsuwanych drzwi trzymając w ręku pistolet.

–W porządku, wszystko w porządku – rozległ się głos z frontowego trawnika.

–To jeden z naszych – powiedział człowiek z CIA wciąż jeszcze klęcząc i trzymając broń w ręku. – Co do diabła się dzieje? Agent poderwał się na nogi i pobiegł do bawialni mając za sobą Kendricka. Masywne frontowe drzwi otworzyły się i ukazała się w nich postać w dobrze skrojonym garniturze, która niepewnym krokiem weszła do środka w towarzystwie strażnika ochrony leśnej. Osobnik ten trzymał w ręku czarną torbę lekarską: była otwarta i najwyraźniej ją przeszukano.

–Nie spodziewałem się takiego przyjęcia – rzekł doktor. – Wiem, że nie zawsze jesteśmy mile widziani, ale to już nieco... Kongresmanie, czuję się zaszczycony – wymienili uścisk dłoni. Agent CIA był nieco zakłopotany.

–Nie przypominam sobie, byśmy się już kiedyś spotkali. Mam rację? – spytał również nieco zmieszany Evan.

–Nie, nie spotkaliśmy się, ale jesteśmy sąsiadami, jeżeli można mówić o sąsiedztwie. Mieszkam o jakieś dziesięć kilometrów w kierunku wzgórz i nazywam się Lyons.

–Przepraszam za takie przywitanie. Winić można za to jedynie prezydenta, który jest superostrożny. Co się stało doktorze Lyons? Co pana do mnie sprowadza?

–Przyjechałem, ponieważ on nie przyjechał do mnie – powiedział przybyły uśmiechając się niepewnie. – Jestem nowym lekarzem pana Weingrassa. Jeśli sprawdzicie jego kalendarzyk, to zobaczycie, że miał być w moim gabinecie w Cortez o czwartej po południu. Nie pokazał się i nie mogłem go złapać telefonicznie. Ponieważ jego dom jest po drodze do mojego – wpadłem, by zobaczyć co się z nim dzieje. Lekarz sięgnął do kieszeni, z której wyjął kopertę. – Jeśli chodzi o te superśrodki bezpieczeństwa, to przypadkiem" mam przepustkę ze szpitala Waltera Reeda podpisaną przez właściwego przedstawiciela administracji. Miałem ją okazać panu Weingrassowi i siostrze lub przynajmniej tej osobie, która towarzyszyła mu w moim gabinecie. Czy z nim wszystko jest w porządku?Manny! – ryknął Kendrick ze złością. Weingrass pojawił się w drzwiach werandy, trzymając w ręku szklaneczkę:

–Dlaczego wrzeszczysz na mnie?

–Czy nie miałeś być dziś po południu u doktora?

–Och, tak, ktoś dzwonił w zeszłym tygodniu. To była moja recepcjonistka, panie Weingrass – wyjaśnił dr Lyons. – Powiedziała mi, że pan to sobie odnotował i obiecał przybyć.Tak, wie pan, czasami chodzę do lekarza, ale obecnie czuję się dobrze. Po co kogoś niepokoić. A zresztą pan nie jest moim lekarzem.Panie Weingrass, pański

lekarz zmarł kilka tygodni temu na zawał serca. Tak było w papierach i wiem, że powiadomiono pana opogrzebie.

–Rzeczywiście, ale ja nie chodzę na pogrzeby. Mój się na razie odwleka.

–No dobrze, ale skoro już tu jestem – dlaczego nie miałbym rzucić na pana okiem?

–I czego pan oczekuje?

–Głuchego dudnienia serca. Chciałbym także wziąć małą próbkę krwi do laboratorium.

–Czuję się dobrze.

–Niewątpliwie – przytaknął Lyons. – To tylko rutynowe badania inie zabiorą więcej niż kilka minut... To naprawdę zaszczyt widzieć pana, panie kongresmanie.

–Dziękuję bardzo... Idź Manny. Doktorze, czy ma panu pomóc jedna z sióstr?

–Nie, chyba nie ma potrzeby.

–Dlaczego? Mogłaby mi natrzeć moją nagą pierś – zaprotestował Weingrass zwracając się do doktora.

–Chodźmy, doktorze. Popuka mnie pan po żebrach i może pan iść kupić sobie Cadillaca.

–Przynajmniej Ferrari – odparował Lyons uśmiechając się do Kendricka.

Emmanuel Weingrass i jego nowy lekarz poszli korytarzem do sypialni.

* * *

Rozdział 30

Była godzina pierwsza dziesięć w nocy. W całym domu w Mesa Verde czuło się ciężką atmosferę zmęczenia, która wypełniała wnętrze jak opary mgły. Oficer operacyjny, z ciężkimi ze zmęczenia powiekami, wszedł na oszklony ganek, gdzie Evan i Khalehla siedzieli w skórzanych fotelach naprzeciw Manny'ego wygodnie rozciągniętego na sofie. Trzy pielęgniarki udały się do własnych pokoi. Zwolniono je z czuwania na resztę nocy. Obecność uzbrojonych strażników przeszukujących posiadłość doprowadziła je do nerwowego wyczerpania. Ich pacjent mógł pospać bez doglądania go co pół godziny – zapewniał dr Lyons.

–Waszyngton jest zaniepokojony – oznajmił zmęczony oficer wywiadu. – Harmonogram przyspieszono, więc jadę na lotnisko po furgonetkę. Samolot powinien przylecieć mniej więcej za godzinę, co znaczy, że nie mamy zbyt wiele czasu. Chcą, aby samolot wylądował i zaraz odleciał.

–Wieża kontrolna nie pracuje nocą, chyba że się ich wcześniej powiadomi – rzekł Kendrick. – Pomyśleliście o tym?

–Wiele godzin temu, gdy wylatywaliście z Wysp Bahama. Samolot wojskowy leciał według wskazań kontrolerów z Colorado Springs pod pretekstem manewrów, na które zezwolenie wydało pańskie biuro. Nikt się nie sprzeciwiał i nie zadawał żadnych pytań. – Jak to możliwe?

–Ponieważ jest pan tym, kim jest, sir.

–Czy możemy w czymś pomóc? – zapytała Khalehla pośpiesznie, zanim Evan mógł cokolwiek powiedzieć.

–Owszem – odparł agent. Jeśli państwo nie macie nic przeciwko temu, to nie

chciałbym nikogo tu zastać kiedy wrócę. Opracowaliśmy wszystko dokładnie, co do minuty, nawet co do sekundy, tak więc im mniej przeszkód, tym lepiej.

–A co z tymi kowbojami w ogrodzie? – zapytał z grymasem Weingrass. – Wyjrzałem kilka razy przez drzwi, zanim ci dwaj tu przybyli, a oni rzucili się na mnie jakbym był niedźwiedziem, który zerwał się z uwięzi.

–Powiedziano im, że przybywa jakaś ważna persona z zagranicy, by spotkać się z kongresmanem – i dlatego tu są. A ponieważ to spotkanie ma bardzo tajny charakter... więc ze względu na gościa, pragnącego dyskrecji, strażnicy pozostaną w ukryciu, ze wszystkich stron domu i pod balkonem.

–Uwierzyli w te bzdury? – wtrącił Weingrass.

–Nie mają powodów, by wątpić.

–Ponieważ on jest tym, kim jest – przytaknął Manny kiwając głową.

–A także dlatego, że płaci się im po trzysta dolarów za nie przespaną noc.

–Bardzo fachowo. Panie CichoSza. Jest pan lepszy niż sądziłem. – Muszę być dobry... Ale na wypadek, gdybyśmy się już nie mieli spotkać, chcę powiedzieć, że było mi naprawdę przyjemnie poznać pana, panie kongresmanie. Być może kiedyś będę mógł opowiedzieć o tym moim dzieciom... Nie, proszę nie wstawać, sir. Muszę już lecieć. Miło mi było panią poznać, panno Oficjalna, jak by powiedział pan Weingrass... I pana, Manny. Muszę powiedzieć, że było to dla mnie prawdziwe doświadczenie. Dobrze, że jest pan po naszej stronie. Bardzo się z tego cieszę.

–I dobrze, bo potrzebna jest wam wszelka pomoc... Ciao młody człowieku. Życzę udanego polowania i jeśli nawet szansa jest jeden do pięciu, wierzę, że wam się uda.

–Dziękuję, Manny. Damy sobie radę. Oficer wywiadu zwrócił się do siedzących na fotelach Evana iKhalehli:Wicie, jestem jedyną osobą, która wie, co się wydarzyło – powiedział cicho. – Słyszałem o Fairfax w samochodzie. Nie było łatwo pogodzić się z tym. Dlatego chciałem kierować tą grupą. Syn mojej starszej siostry, mój siostrzeniec – ja go wprowadziłem do Agencji – był w tamtej grupie. To też jest powód, dla którego mam zamiar zorganizować naprawdę dobre polowanie. Pracownik CIA szybko opuścił pokój.

–Jakie to dla niego straszne – powiedziała Khalehla. – Musi odczuwać taki ból, mieć takie poczucie winy.

–A kto nie musi? – zapytał Kendrick niepewnie i urwał raptownie zaczerpując głęboko powietrze.

–Nie możesz winić siebie za to, co się wydarzyło – powiedziała Khalehla.

–Za to co się dzieje – wykrzyknął Kendrick. – To się teraz dzieje. Jak, u diabła, ci ludzie dostali się do naszego kraju? Kto ich wpuścił? Gdzie się podziały te znakomite środki bezpieczeństwa, dzięki którym jesteśmy w stanie złapać poślednich sowieckich agentów, by móc ich potem wymieniać na podstawionych reporterów w Moskwie, tylko dlatego, że to ładnie świadczy o nas? Ale nie jesteśmy w stanie powstrzymać tuzina zabójców, którzy przyjeżdżają tu, by nas zabić. Kto na to pozwala?

–Staramy się to wyjaśnić.,

–Chyba nieco za późno.

–Przestań – nakazał Weingrass pochylając się do przodu i pokazując palcem. – Ta dziewczyna nie ma nic wspólnego z tym, o czym mówisz i nie zniosę tego dłużej. Wiem, wiem – powiedział Kendrick ujmując rękę Khalehli i ona o tym wie. To wszystko jest takie nienormalne. Czuję się bez radny i przerażony. Ilu, do cholery, jeszcze zginie? Czy nie możemy powstrzymać tych ludzi? Są szalejącymi maniakami i nigdy ich nie ujmemy. Evan zamilkł. Czuł ból w oczach. Spojrzał na oficera operacyjnego z Kairu: – Tak jak nie ujęliśmy tych łobuzów, którzy zwędzili akta z Omanu. Akta, które miały być całkowicie "nie do wykradzenia". I oczernili mnie na całym świecie. Ile to czasu minęło od tamtej chwili? Osiem, dziesięć tygodni? I jesteśmy w tym samym miejscu co wtedy. Przynajmniej wiemy teraz, dlaczego je ukradli. Nie chcieli zrobić ze mnie bohatera, lub dopomóc mi w tak zwanej karierze politycznej, bym mógł kandydować Bóg tylko jeden wie do czego... Chcieli przygotować mnie do śmierci. Do "śmierci z zemsty" – tak to się chyba nazywa po arabsku. Prawda jest taka, że nie posunęliśmy się do przodu.

–Posłuchaj mnie – rzekła łagodnie Khalehla. – Powiem ci coś, czego prawdopodobnie mówić nie powinnam, ale czasami łamie się zasady, ponieważ nadzieja jest także rzeczą ważną... Wydarzyły się również i inne rzeczy, o których nie wiesz. Dzieją się różne rzeczy, jak to ty mówisz, i każda nowa informacja przybliża nas o krok do prawdy o tym strasznym bajzlu.

–Brzmi to bardzo tajemniczo, młoda damo.

–Manny, niech pan stara się zrozumieć. Mamy umowę z Evanem. Wie, że w pewnych sytuacjach nie mogę mu powiedzieć wszystkiego. – Czy starszawy pan, który raz czy dwa razy był rezydentem na twoim terenie może zapytać dlaczego?

–Jeśli masz na myśli swoją pracę w Mosadzie to – wybaczyć, że nie jestem delikatna – nie powinieneś pytać. Zasada jest taka: im mniej wiesz, tym mniej będziesz mówić.

–Amytal sodu i pentotal? – zapytał Weingrass. – A wcześniej skopolamina? Nie wygłupiaj się, moje kochane dziewczę, nie jesteśmy w zakamarkach Marrakeszu, czy u partyzantów w górach Ashot Yaagov. Kto śmiałyby nam podać tutaj narkotyki?

–Jestem pewna, że ten młody więzień, którego Evan rozpoznał i który jedzie teraz do kliniki w Wirginii myślał w podobny sposób. W ciągu czterech godzin całe jego życie zostanie nagrane na taśmę. – Niemożliwe – upierał się przy swoim Weingrass.

–Może i nie, ale co innego jest możliwe. Sześć godzin temu wpadliśmy na ślad – który może nas zaprowadzić do sfer rządowych o wiele wyżej niż komukolwiek z was mogłoby się wydawać. Jeśli się mylimy – kongresman Kendrick z Kolorado nie może brać w tym udziału. Po prostu nie wie o niczym. W każdej chwili może zaprzeczyć wszystkiemu. Wniosek jest taki, że i ty nie możesz, Manny. – Masz na myśli ten meldunek radiowy w samolocie – rzekł Evan groźnie spoglądając na Khalehłę. – Nie było wcale żadnego szefa biura w Kairze, czyż nie? – Khalehla wzruszyła ramionami puszczając jego rękę i sięgając po drinka, stojącego przy kanapie na stoliczku do kawy.

–Dobrze, już dobrze, żadnych szczegółów – mówił dalej Kendrick. Ale pomówmy szczerze. Zapomnij przez chwilę o zaprzeczaniu. Nie dbam o to wcale. Zorientuj mnie w ogólnikach, o których słyszałem aż do znudzenia w Waszyngtonie. Kto i co robi?

Co i przeciwko komu? Obojętnie kim by ci ludzie byli, to jednak zabili moich przyjaciół. Naszych przyjaciół. Mam prawo wiedzieć.

–Tak, masz prawo – powiedziała Khalehla powoli, prostując się na kanapie i spoglądając to na Evana, to na Emmanuela Weingrassa. Wzrok jej spoczął wreszcie na Evanie.

–Sam o tym wspomniałeś, sam pytałeś przynajmniej o część prawdy. Ktoś bez trudu dał im paszporty, te papiery musiały być cholernie dobre, by wprowadzić w błąd specjalistów od antyterroryzmu, których mamy zarówno my, jak i nasi sojusznicy w każdym biurze imigracyjnym w Stanach, za granicą, w Związku Radzieckim, wszędzie... Za tymi paszportami stoi całe zaplecze, logistyka, dostawy, bez których terrorysta nie może działać. Broń, amunicja, pieniądze, tablice rejestracyjne i wypożyczone samochody, meliny, w których mogą się schować i przygotować, aż po najnowsze i najmodniejsze ubrania krajowej produkcji, na wypadek gdyby ich aresztowano lub przesłuchiowano. Istnieją także takie rzeczy jak pociągi, rezerwacje lotnicze – to wszystko jest robione znacznie wcześniej. Bilety są dostarczane przed wejściem na lotnisko lub w ostatniej chwili na peronie czy w poczekalni przed odlotem. Jak więc widzicie, wszystko jest dla tych ludzi ważne, wszystko ma znaczenie, aż do najmniejszego szczegółu. Tylko wówczas misja może się udać. Khalehla przerwała spoglądając to na jednego, to na drugiego. – Ktoś im wszystko umożliwił i bez względu na to kim, on – lub oni – jest, nie może pozostać w rządzie, lub dalej mieć dostęp do wszystkiego, do czego ma teraz. Dlatego zdemaskowanie ich jest bardzo ważną rzeczą. – To samo mówiłaś o tych, którzy skradli protokoły w Omanie. – I uważasz, że to ci sami ludzie?

–A nie? To oczywiste.

–Nie dla mnie.

–W grę wchodzi cały plan. Tu tkwi wyjaśnienie dla morderstw z zemsty. Zabicia mnie.

–Załóżmy, że działają oddzielnie – upierała się Khalehla. Jedno wydarzenie jest następstwem drugiego? To już dziesięć tygodni, pamiętacie? I ta pasja, z jaką chcą ciebie zamordować z zemsty, która stanowi nieodłączną część jaremat thaar, nieco wyblakła. – Wyłożyłaś wszystkie szczegóły, które należy złożyć do kupy. A to wymaga czasu.

–Jeśli posiadają możliwości, by uczynić to co zrobili w ciągu dziesięciu tygodni, to na pewno są w stanie osiągnąć swój cel w dziesięć dni – powiedziała do Evana. Emmanuel Weingrass podniósł rękę do góry, dłonią do przodu: był to rozkaz, by zamilkli.

–Powiedasz nam, że zamiast jednego, mój syn ma teraz dwóch wrogów. Arabów z doliny Bekaa i jeszcze kogoś, kto współpracuje z nimi lub występuje przeciw nim. Czy to ma sens, moje kochane dziecko?

–Są dwie siły, obie nieuchwytnie. Jedna z nich to śmiertelnie niebezpieczny przeciwnik... Druga – po prostu nie wiem. Wiem tylko to co czuję i nie mam zamiaru stosować wykrętów. Gdy MJ nie ma pewnych odpowiedzi na jakieś pytania, wówczas kładzie to na karb "luk", jak je nazywa. Wydaje się, że my także mamy do czynienia z

owymi lukami. Jest ich zbyt wiele. Weingrass się skrzywił, odbiło mu się, aż nabrzmiały mu wychudzone policzki. Przyjmuję twoje spostrzeżenia – powiedział. – Jeśli Mitchell wywali cię z pracy, to znajdę ci dobrą robotę w Mosadzie, z pominięciem pewnego księgowego, który pozwoliłby ci umrzeć z głodu. Stary architekt głęboko odetchnął i pochylił się do tyłu na krześle. – Manny, co tobie? – zapytała Khalehla, a Kendrick niespokojnie zwrócił głowę w jego stronę.

– Mogę startować na Olimpiadzie – odpowiedział Weingrass. Tyle że w jednej chwili jest mi zimno, a w drugiej gorąco. To wszystko przez to bieganie po lesie, jak smarkacz. Lyons powiedział mi, że moje ciśnienie skurczowe jest za wysokie, czy coś w tym rodzaju, i że mam sińce tam, gdzie ich mieć nie powinienem... Odpowiedziałem mu, że brałem udział w walce byków. Moje kości muszą odpocząć, moje dzieci. Stary człowiek wstał z krzesła.

– Czy uwierzysz Khalehlo, że ja już nie jestem dzieckiem? – Wydaje mi się, że nie tylko jesteś bardzo młody, ale także nadzwyczajny.

– Wyjątkowy jest lepszym określeniem, naprawdę – zaproponował Manny. Ale w tej chwili boleśnie odczuwam skutki mojej wirtuozerii. Idę spać.

– Zawołam jedną z pielęgniarek – powiedział Kendrick wstając. – Po co? Żeby mnie wykorzystala? By mnie zamęczyła? Chcę odpocząć, mój chłopcze... I niech one też odpoczną, Evanie. Przeszły wiele, nawet nie zdają sobie sprawy jak wiele. Czuję się dobrze. Spróbuj wziąć udział w Olimpiadzie mając sześćdziesiąt lat. – Sześćdziesiąt?

– Zamknij się, mój synu. Dałbym wiele za taką cudowną dziewczynę, jaką ty masz.

– A może zaszкодziło ci coś, co dostałeś od lekarza? – spytała Khalehla uśmiechając się słodko na komplement pod jej adresem. – A co on znowu mi podał? Nic. Wziął trochę krwi do tego swojego zakichanego laboratorium i dał mi pigułki, które obiecałem wrzucić do toalety. Dostał je pewnie za darmo jako próbki, a teraz każe sobie za nie słono płacić, by móc wybudować nowe skrzydło w swym pięknym domu... Ciao, młodzieży. Obydwoje patrzyli na starszego pana wchodzącego przez drzwi do bawialni i stawiającego sztywno kroki, jeden za drugim, tak jakby gonił resztkami sił.

– Myślisz, że on się dobrze czuje? – zapytał Evan, kiedy Weingrass zniknął im z oczu.

– Wydaje mi się, że jest wyczerpany – odpowiedziała Khalehla. – Spróbuj dokonać tego, czego on dokonał dziś wieczorem – bez względu na to, czy masz sześćdziesiąt czy osiemdziesiąt lat. Spróbuj nawet jutro.

– Wpadnę od czasu do czasu do niego zobaczyć jak się czuje. – Ja także. Róbmy to na zmianę, to nie będziemy musieli budzić pielęgniarek.

– Co między innymi będzie znaczyć, że nie będą sterczeć przy oknie, a spać u siebie w pokojach.

– Owszem, tak mi się wydaje – przytaknęła Rashad. – Tak będzie najlepiej dla wszystkich.

– Chcesz jeszcze jednego drinka?

– Nie, dziękuję.

– A ja mam ochotę. – Kendrick wstał z kanapy.

–Nie skończyłam.

–Co? – Evan odwrócił się kiedy Khalehla wstała i stanęła za nim. – Nie chcę drinka... ale chcę ciebie. W milczeniu Kendrick patrzył na nią, błędząc wzrokiem po jej twarzy. W końcu spojrzał jej w oczy:

–Czy to z litości? Z litości do zboląłego człowieka w kłopotach? – Nie odczuwam żadnej litości do ciebie, mówiłam ci to już. Zbyt cię szanuję, to też już mówiłam. A jeśli chodzi o ból, o kłopoty, to powiedz mi, kto komu współczuje.

–Nie to miałem na myśli.

–Wiem, że nie to. Nie jestem tylko pewna, jak ty to rozumiesz. – Mówiłem ci już przedtem. Nie chodzi mi o łatwe zdobycze, przynajmniej jeśli chodzi o ciebie. Jeśli to ma być tylko to, to trudno, ale nie tego oczekiwałem.

–Cholernie dużo mówisz. Za dużo, Evanie.

–Robisz dużo uników. Za dużo uników. Mówiłaś Manny'emu, że tego nie robisz, ale dokładnie tak jest. Przynajmniej od sześciu tygodni staram się do ciebie zbliżyć, chcę byśmy porozmawiali o nas. Staram się przełamać ten szklany mur" jaki wyrósł między nami. I nic z tego.

–Ponieważ jestem przerażona, ty ośle.

–Czym?

–Boję się o nas. O nas dwoje.

–Teraz ty mówisz za dużo.

–Możliwe, ale zeszłej nocy ty nie mówiłaś zbyt wiele. Myślisz, że nie słyszałam cię? Chodziłaś tam i z powrotem pod moimi drzwiami jak małpa w klatce. Dlaczego ich nie otworzyłaś?. Dlaczego ich nie wyważyłaś? Obydwoje wybuchnęli śmiechem, obejmując się nawzajem.

–Chcesz drinka?

–Nie... Chcę ciebie. Nie było szaleństwa, tak jak w Bahrajnie. Była namiętność, oczywiście, ale to była namiętność dwojga kochanków, a nie zrozpaczonych nieznajomych szukających ucieczki od tego szalonego świata. Ich światy nie były normalne, zdawali sobie z tego sprawę, a mimo to odnaleźli dla siebie znamiona porządku, każde dla drugiego. Było to wspaniałe, pełne ciepła odkrycie i napawało ich nadzieją. Przedtem była tylko pustka niepewności... wobec siebie. Byli nienasyчени, oboje. Potem rozmawiali chwilę. Zaglądali na zmianę do Emmanuela Weingrassa. Potem znowu rozmawiali przytuleni do siebie i sycili się sobą gwałtownie. Żadne z nich nie mogło przestać się przytulać, pieścić, aż do wyczerpania... i nawet gdy ono przyszło, nie wypuścili się z objęć, nim sen ich nie ukoił. Jesienne słońce obwieściło kolejny dzień w Kolorado. Zmęczony, ale wewnętrznie uspokojony ciepłem jakie w sobie odkryli, Evan wyciągnął rękę do Khalehli. Otworzył oczy: nie było jej przy nim! Podniósł się na łokciach: jej rzeczy leżały na krześle. Odetchnął, widząc, że drzwi do łazienki i garderoby są otwarte. Przypomniał sobie w tym momencie coś i uśmiechnął smutno. Bohater Omanu i doświadczony oficer wywiadu z Kairu udali się na wyspy Bahama każde z torbą podręczną. Wracając w pośpiechu zostawili je albo na posterunku policji w Nassau, albo w samolocie wojskowym. Żadne z nich nie zdało sobie z tego sprawy, aż do

momentu, w którym popędzili do łóżka, kiedy to Khalehla powiedziała z rozrzewnieniem: Kupiłam szalową koszulę nocną na tę podróż – bardziej mając nadzieję, aniżeli licząc na cokolwiek. Ale myślę, że ją założę. Następnie spojrzeli na siebie rozdziawiając ze zdumienia usta. – Gdzie, do diabła, zostawiliśmy nasze torby, obie torby? – Czy miałaś w niej coś kompromitującego?

–Tylko rzeczy do spania – może i niestosowne dla Rebekki z Sunnybrook Farm... O rany. Ale z nas para zawodowców, prawda? – Nigdy nie uważałem się za takiego...

–Czy ty...?

–Tylko brudne skarpetki i podręcznik uprawiania miłości. Bardziej w nadziei na coś, aniżeli tak naprawdę. – Przytulili się jeszcze raz do siebie, zdając sobie sprawę z komiczności sytuacji. – Nie zdążyłabyś nawet założyć tej koszuli. Natychmiast bym zdarł ją z ciebie. Musiałabyś obciążyć rząd kosztami zniszczonej rzeczy osobistej. W ten sposób oszczędziliśmy naszym podatnikom przynajmniej pięć dolarów... Chodź do mnie. Kendrick wstał z łóżka i poszedł do garderoby. Miał tam dwa szlafroki: jednego z nich brakowało. Wszedł do łazienki, wziął prysznic i ogolił się, skraplając obficie wodą kolońską. W tym momencie przypomniał sobie, że dwadzieścia lat temu woda kolońska w tych ilościach wcale w niczym nie przeszkadzała ówczesnemu pustogłowemu wodzirejowi. Czy to naprawdę było tak dawno, że teraz się to wspomina? Włożył drugi szlafrok, wyszedł z łazienki i udał się korytarzem do pokoju ze sklepieniami. Khalehla siedziała w bawialni przy ciężkim wyłożonym skórą sosnowym stole i cicho rozmawiała przez telefon. Zobaczyła go i uśmiechnęła się, ale natychmiast skupiła uwagę na osobie po drugiej stronie telefonicznego kabla. Wszystko jasne – powiedziała do słuchawki, gdy Evan się zbliżył. – Będę w kontakcie. Do widzenia! Khalehla wstała od stołu otulona w opinający jej kształty szlafrok. Poprawiła jego poły i podeszła do Evana, zarzucając mu ręcena szyję.

–Pocałuj mnie, Kendricku – rozkazała łagodnie.

–Czy to nie ja powinienem tego zażądać? Pocałowali się i Khalehla zrozumiała, że za chwilę pójdą do sypialni.

–Okay, okay King Kongu, mam ci kilka rzeczy do powiedzenia. – King Kongu?

–Chciałam, byś wyłamał drzwi, nie pamiętasz? Dobry Boże, ty wszystko zapominasz.

–Może nie jestem kompetentny, ale mam nadzieję, że jestem w stanie sprostać zadaniu.

–Być może, że masz rację w pierwszym punkcie, ale na pewno możesz sprostać wszystkiemu, kochanie.

–Czy ty wiesz, że uwielbiam, kiedy to mówisz?

–Co?

–Jak mówisz do mnie kochanie...

–To taki zwrot, Evanie.

–Zdaje mi się w tej chwili, że byłbym w stanie zamordować każdego, do kogo zwróciłabyś się w ten sposób, poza mną, oczywiście. – No proszę.

–Zwracałaś się tak do kogokolwiek? Mówisz tak do kogoś?

–Pytasz mnie zatem, czy lubię spać z kimś od czasu do czasu, tak? – zapytała

Khalehla łagodnie, zdejmując ręce z ramion Kendricka. – To bardzo niegrzeczne. Nie, oczywiście, że nie. "Skoro już o tym mówimy, myślałam o tym wiele, więc porozmawiajmy. Miałam sympatie, podobnie jak i ty. Do niektórych z nich zwracałam się per "kochanie", czy nawet "ukochany". Ale jeśli chcesz znać prawdę, ty nieznośny egoisto, to wiedz, że do nikogo z nich nie zwracałam się per "mój ukochany". Czy odpowiedziałam na twoje pytanie, ty zgniłku?

–Owszem tak – powiedział Evan uśmiechając się i przyciągając ją do siebie.

–Nie chcę, proszę, Evan. Musimy porozmawiać.

–Myślałam, że kazałaś mi się pocałować. Co się zmieniło? – Czuleś potrzebę rozmawiania. Ja z kolei pomyślałam sobie... Nie wydaje mi się, bym była gotowa być z tobą.

–A dlaczego?

–Ponieważ jestem profesjonalistką i mam robotę do wykonania. I jeśli się będę kochać z tobą – w przenośni i dosłownie – wówczas nie wykonam tego, co do mnie należy.

–A niby dlaczego?

–Ponieważ, idioto, już się w tobie prawie zakochałam.

–O to mi właśnie chodzi, ponieważ ja ciebie kocham.

–To są tylko słowa. O nie bardzo łatwo. Ale nie w moim zawodzie, nie w świecie, w którym żyję. Polecenie przychodzi z góry: zabić tego i tego, lub pozwolić mu zginąć. Cokolwiek by to było, wiele problemów rozwiązuje się w ten sposób... I co będzie jeśli tym kimś okażesz się ty, kochanie... mój kochany? Zrobiłbyś to na moim miejscu? – Czy naprawdę kiedykolwiek mogłoby do tego dojść? – Mogłoby.

Nazywamy to "z pominięciem strony trzeciej", jak mi się zdaje. Widzisz, jesteś tylko człowiekiem – wspaniałym czy nędznikiem – wszystko zależy od punktu widzenia. Przez poświęcenie ciebie moglibyśmy na przykład ocalić sto lub dwieście osób będących w samolocie, ponieważ "oni" nie dostaną ciebie, o ile nie poświęcimy cię przed rozpoczęciem lotu... Wiesz mój świat jest pełen łagodnie wzgardzonej moralności, ponieważ wszyscy mamy do czynienia z wypaczoną moralnością. To po co tkwić w tym dalej? Dlaczego nie zrezygnować? Khalehla przerwała na chwilę, patrząc na niego niewzruszenie. – Bo chronimy ludzkie życie – odpowiedziała po namyśle, W każdej chwili coś się dzieje, coś, co zmniejsza owo wypaczenie, coś, co wskazuje, że warto, ponieważ w ten sposób przybliżamy się do pokoju. Najczęściej stanowimy część tego procesu.

–Oprócz tego powinnaś mieć własne życie.

–I pewnego dnia będę je mieć, ponieważ pewnego dnia nie będę już przydatna, przynajmniej w dziedzinie, w której chcę być przydatna. Stanę się czymś lub kimś zbędnym. Wiem o tym doskonale. Najpierw cię podejrzewają, potem narażają, a potem stajesz się niepotrzebna. W tym momencie należy zniknąć. Moi przełożeni będą starać się mnie przekonać, że będę potrzebna na innym stanowisku: będą potrząsać mi przed nosem przyzwoitą pensją i możliwością wyboru stanowiska, ale ja na to nie pójdę.

–To co będziesz robić według tego scenariusza?

–Mój Boże. Biegle władam sześcioma językami. Czytam i piszę w jeszcze czterech. Wziąwszy pod uwagę moje kwalifikacje nadaję się na wiele stanowisk.

–Brzmi to sensownie, z jednym wyjątkiem. Czegoś tu brakuje. – Co masz na myśli?

–Siebie... Mówię o sobie.

–Evan, przestań.

–Nie, nie przestanę – powiedział Kendrick energicznie potrząsając głową. – Dostyc tego. "Evan przestań" lub "proszę, Evanie". Nie zgadzam się. Wiem co czuję i myślę, wiem co ty odczuwasz. Lekceważenie tych uczuć – to głupota i wielka strata.

–Powiedziałam ci przecież, że nie jestem gotowa...

–Nigdy nie wydawało mi się, że będę gotów kiedykolwiek przerwał jej Kendrick miękim i łagodnym głosem. – Widzisz, ja także wiele myślałem i nie raz użalałem się nad sobą. Przez większość życia byłem samolubem. Kochałem wolność, którą posiadałem, swobodę czynienia tego, na co miałem ochotę, bez względu na to czy to było dobre, czy złe. To nie miało znaczenia, jeśli mogłem robić co mi się podobało. Próżny i zarozumiały, tak mi się wydaje. Próżny, próżny, próżny. A potem pojawiłaś się ty i zburzyłaś wszystko. Pokazałaś mi to, czego nie posiadam i czyniąc to spowodowałaś, że czuję się jak idiota... Nie mam nikogo, z kim mógłbym dzielić wszystko, ot tak, po prostu. Nie mam nikogo, do kogo mógłbym pójść i powiedzieć: "patrz, zrobiłem to" lub "przepraszam, nie zrobiłem tego"... Tak, to prawda, jest jeszcze Manny, jeśli jest w pobliżu. Ale bez względu na to, co on myśli, trzeba wiedzieć, że nie jest nieśmiertelny. Sama powiedziałaś ubiegłego wieczoru, że się boisz... Tak, ja jestem tym, który jest przerażony, przerażony o wiele bardziej, aniżeli bym się kiedykolwiek przedtem mógł spodziewać. To strach przed utratą ciebie. Nie jest mi łatwo błagać cię czy płaszczyć przed tobą, ale błagam cię i padam na kolana: rób co chcesz, ale nie opuszczaj mnie, błagam.

–O Boże – odpowiedziała Khalehla, zamykając oczy, z których po policzkach płynęły łzy. – Ty sukinsynu.

–No jak?

–Kocham cię – rzuciła mu się w ramiona. – Nie powinnam, nie wolno mi.

–W każdej chwili możesz zmienić zdanie. W ciągu następnych dwudziestu czy trzydziestu lat".

–Spieprzyłeś mi życie.

–Ty mi go także nie ułatwiłaś.

–Jakie to miłe – doszedł do nich dźwięczny głos z korytarza z łukami.

–Manny wykrzyknęła Khalehla puszczając Evana i odpychając go od siebie. Spojrzała ponad jego ramieniem. " – Jak długo tu sterczysz? – zapytał Kendrick niegrzecznie. – Przyszedłem w chwili tego błagania i kajania się – odpowiedział odziany w szkarłatny szlafrok Weingrass. – To zawsze odnosi skutek, chłopcze. Wiesz, taki numer, kiedy twardej pada na kolana, nigdy nie zawodzi.

–Jesteś nieznośny – wykrzyknął Evan.

–Jest cudowny.

–Jestem i tym, i tym, ale mówcie ciszej bo obudzicie całe to stado... Co wy, do

cholery, robicie tutaj o tej godzinie? – W Waszyngtonie jest już ósma – powiedziała Khalehla. Jak się czujesz?

–A tak sobie – odpowiedział starzec klasnąwszy w dłonie i wchodząc do bawialni.

– Spałem i nie spałem, wiesz co mam na myśli? – A wy, klauni, nie dajcie mi spać, co pięć minut otwierając drzwi Chyba wiecie, co mam na myśli?

–Nie co pięć minut – odpowiedziała Khalehla.

–Ty masz swój zegarek, ja mam swój. Więc co powiedział mój przyjaciel Mitchell?

W Waszyngtonie już ósma, jeśli się nie mylę. – Tak, nie mylisz się – przytaknęła agentka z Kairu. – Miałam właśnie zamiar wyjaśnić...

–Tak właśnie, miałaś wyjaśnić. Skrzypki grały pełne vibrato. – Manny.

–Zamknij się, pozwól jej mówić.

–Muszę wyjechać na dzień lub dwa.

–Gdzie jedziesz? – zapytał Kendrick.

–Nie mogę ci tego powiedzieć, kochanie...

*** * ***

Rozdział 31

Witajcie na lotnisku Stapleton w Denver, mili państwo. Jeśli potrzeba wam informacji odnośnie połączeń lotniczych, nasi pracownicy służą wam pomocą na terenie lotniska. W Kolorado jest obecnie piętnasta pięć. Wśród wysiadających pasażerów było pięciu księży o europejskich rysach twarzy, ale kolorze skóry nieco ciemniejszym aniżeli u większości mieszkańców Zachodu. Szli razem rozmawiając spokojnie; ich angielski był toporny, ale zrozumiały. Mogliby pochodzić z jakiejś diecezji w południowej Grecji, lub z wysp na morzu Egejskim, lub nawet z Sycylii czy Egiptu. Mogliby, ale nie pochodzili. Byli Palestyńczykami i nie byli księżmi. Byli zabójcami z najbardziej radykalnego odłamu Islamskiej Świętej Wojny. Każdy z nich niósł podręczną torbę z czarnego materiału: razem weszli do budynku portu lotniczego kierując się w stronę kiosku z prasą.

–La – wykrzyknął cicho jeden z młodszych Arabów biorąc gazetę i przeglądając tytuły. – Laish.

–Iskut – szepnął jego starszy towarzysz, ciągnąc go na stronę i mówiąc mu, aby był cicho. – Jeśli mówisz, to mów po angielsku. – Nic nie ma. Nie piszą o niczym. Coś nie jest w porządku. – Wiemy, że coś nie jest w porządku, głupcze – powiedział przywódca, znany w świecie terrorystów pod imieniem Ahbyahda, czyli Białe, mimo że jego krótkie, przedwcześnie siwiejące włosy były bardziej srebrne niż białe.

–Dlatego tu jesteśmy... Weź moją torbę i idź ze wszystkimi do wyjścia numer dwanaście. Za chwilę się tam spotkamy. Pamiętaj, jeśli was ktoś zatrzyma, rozmawiaj, ty. Wyjaśniaj, że inni nie mówią po angielsku, ale nie gadaj za dużo.

–Pobłogosławię im w sposób chrześcijański krwią Allacha, kiedy wyciekać będzie z ich gardzieli.

–Trzymaj jęzor za zębami a nóż przy sobie. – Ahbyahd szedł wzdłuż budynku lotniska, rozglądając się wokół. Ujrzał to, czego szukał wzrokiem i"podszedł do okienka informacji. Kobieta w średnim wieku spojrzała na niego i uśmiechnęła miło widząc jego zakłopotanie.

–W czym mogę pomóc, ojcze?

–Sądzę, że jestem tam, gdzie polecono mi być – odpowiedział terrorysta łagodnie.

My na wyspie Lyndos nie mamy takich udogodnień...

–Staramy się służyć pomocą.

–Może ma pani dla mnie... wiadomość – dalsze instrukcje. Na nazwisko

Demopolis.

–Ach tak – powiedziała kobieta wysuwając prawą szufladę biurka. – Ojciec Demopolis. Z pewnością jesteście z daleka.

–Z franciszkańskiego zacisza. Mam obecnie niepowtarzalną okazję, aby odwiedzić pani wspaniały kraj.

–Oto ona – kobieta wyjęła białą kopertę i wręczyła ją Arabowi. Dostarczono ją koło południa. Przyniósł ją uroczy mężczyzna, który złożył sowity datek w skrzynce na cele dobroczynne.

–I ja także okazę moją wdzięczność powiedział Ahbyahd sięgając po portfel i czując w palcach mały twardy przedmiot wewnątrz koperty.

–Och, proszę, nie. Nie chcę nawet o tym słyszeć. Płacą nam przyzwoicie za tak drobne rzeczy, jak przechowywanie listów dla osób w sutannach.

–To miło z pani strony, proszę pani. Niech Pan Zastępów pobłogosławi pani.

–Dziękuję, ojcze. Przyspieszając kroku Ahbyahd odszedł w stronę zatłoczonego kąta lotniska. Rozdarł kopertę. W środku był przyklejony do pustej kartki kluczyk do schowka w Cortez w Kolorado. Broń i ładunki wybuchowe dostarczono dla nich na czas. To samo z pieniędzmi, ubraniem, samochodem, którego nie można zidentyfikować, izraelskimi paszportami wystawionymi dla dziewięciu maronickich księży oraz z biletami lotniczymi do Riohacha w Kolumbii, skąd mieli polecieć do Baracoa, na Kubę i dalej na wschód. Ich punktem zbornym w podróży powrotnej do domu jeszcze nie do domu, nie do doliny Beka miał być motel w pobliżu portu lotniczego w Cortez. Następnego ranka mieli polecieć do Los Angeles, gdzie dla dziewięciu świątobliwych mężów ktoś miał zarezerwować miejsca w linii lotniczej Avianca na lot do Riohacha. Dotychczas wszystko odbywało się zgodnie z planem. Plany sprawdzały się od chwili, gdy zdumiewająca oferta dotarła do doliny Bekaa w Libanie: Odnaleźć go. Zabić. Przynieść zaszczyt swojej sprawie. Dostarczymy wam wszystkiego, ale nigdy naszej tożsamości. Ale czy te dokładne plany; te bezcenne dary przyniosły owoce? Ahbyahd nie wiedział. Nie mógł wiedzieć i dlatego zadzwonił na numer kontaktowy w Vancouver w Kanadzie, prosząc, aby dołożono nowy śmiercionośny sprzęt do tego, który dostarczono do Cortez. Upłynęło blisko dwadzieścia cztery godziny od ataku na dom w Fairfax w Wirginii i bez mała osiemnaście od napadu na dom zniechęconego wroga w Kolorado. Ich misja była zaplanowana jako kombinowany atak, który miał przerazić Zachód krwią i śmiercią. Mieli w ten sposób pomścić braci, którzy zginęli oraz pokazać, że środki bezpieczeństwa, jakie podjął prezydent Stanów Zjednoczonych z myślą o tym człowieku są niewystarczające w konfrontacji z umiejętnością i zaangażowaniem wyłączonego narodu. Operacja Azra miała na celu śmierć namaszczonego bohatera Ameryki, oszusta, który twierdził, że jest jednym z nich, który łamał z nimi

chleb i dzielił z nimi smutek. Człowieka, który w końcu zdradził ich. Musiał więc teraz zginąć, razem z tymi, którzy go otaczali i chronili. Trzeba dać nauczkę... Tego zniechęconego wroga nie odnaleziono w Fairfax. Yosef i jego jednostka otrzymali zadanie odnalezienia go i zlikwidowania w jego własnym domu w górach zachodnich. Ale nie było nic, zupełna cisza. Pięciu z nich z Komando Jeden czekało w sąsiednim pokoju – czekało na telefon i słowa: Operacja Azra zakończona. Zniechęcona świnia nie żyje... I nic. Najdziwniejsze w tym, że nie było żadnych krzykliwych nagłówków w gazetach, żadnych oniemiałych i zbolących mężczyzn ani kobiet w telewizji, którzy donieśli o jeszcze jednym tryumfie świętej sprawy. Co się stało? Ahbyahd raz jeszcze przeanalizował każdy fragment misji i nie znalazł żadnego błędu. Przewidziano każdą trudność, no prawie każdą. Wszystko uwzględniono i znaleziono rozwiązania z góry dzięki krętym dróżkom korupcji w Waszyngtonie lub wymyślnym urządzeniom technicznym. Przekupiono lub poddano szantażowi techników z centrali telefonicznej w Wirginii i Kolorado. Jedyną rzeczą, której nie dało się przewidzieć, to ten podejrzliwy asystent nikczemnego polityka, którego po prostu trzeba było zabić, i to szybko. Ahbyahd posłał jednego z "księży" z własnej niewielkiej brygady, którego nie było w Omanie, do biura Kendricka późnym popołudniem w środę, przed atakiem w Fairfax, celem sprawdzenia ostatnich doniesień wywiadowczych, mówiących o obecności kongresmana w stolicy. Przykrywką "księdza" była nieskazitelna: jego papiery z kurii i paszport były w pełnym porządku. Przekazał też "pозdrowienia" od licznych "starych przyjaciół", których Kendrick niegdyś istotnie znał. Ksiądz przyłapano, gdy czekając na wyjście asystenta czytał notes sekretarki. Asystent cofnął się szybko. "Ksiądz" cicho otworzył drzwi i usłyszał jak młody człowiek wzywa przez telefon służbę bezpieczeństwa Kongresu. Przystawił mu więc pistolet i cichutko, bardzo sprawnie przeprowadził w głąb budynku. Szybko też pozbył się ciała. Gazety nie pisały nawet o tej śmierci. Co się stało? Co się dzieje? Męczennicy świętej sprawy nie mogliby, nie mogą powrócić do doliny Bekaa bez trofeum zemsty, którego tak potrzebowali, i na które tak bardzo sobie zasłużyli. To było nie do pomyślenia. Jeśli nie dojdzie do spotkania w Cortez to pewne miejsce zwane Mesa Verde spłynie krwią. Terrorysta schował kluczyk do kieszeni, rzucił pustą kartkę i kopertę na podłogę. Ruszył w kierunku wyjścia numer dwanaście.

– Kochanie – zawołała Ardis Vanvlanderer wchodząc do bawialni z biura, które sobie urządziła z pokoju gościnnego w hotelu Westlake w San Diego.

– O co chodzi, dziecinko? – zapytał jej mąż siadając w obitym welurem fotelu przed telewizorem.

– Skończyły się twoje problemy. Te miliony milionów są teraz bezpieczne na następne pięć lat. Buduj sobie dalej swoje pociski i rakiety, swoje hipersuperponaddźwiękowce, aż krowy będą srały uranem... Tak, kochanie, twoje zmartwienia skończyły się. – Wiem, kochanie – powiedział Andrew Vanvlanderer patrząc dalej na ekran telewizora. Zaraz o tym powiedzą. W każdej chwili. – O czym ty mówisz? – Zatrzymała się i spojrzała na męża. – Muszą o tym donieść wkrótce. Nie mogą dalej z tym zwlekać... Jezusie, upłynęły już prawie dwadzieścia cztery godziny... – Nie mam pojęcia o czym myśli ten twój poplątany rozum, ale mogę ci

powiedzieć, że Emmanuel Weingrass wyjeżdża. Udało się wynająć pewnego lekarza. Wstrzyknięto mu...

–Nie ma go teraz. Ani Kendricka.

–Co?

–Nie mogłem czekać na ciebie, kochanie. Ani nikt z nas. Były lepsze sposoby.

–Coś ty u diabła zrobił?

–Dałem skrzywdzonym ludziom sposobność zemśczenia się na kimś, kto strasznie ich oszukał. Odnalazłem tych, którzy przeżyli. Wiedziałem, gdzie szukać.

–Andy – rzekła Ardis siadając naprzeciw męża i kierując swe duże zielone oczy na jego rozszarganą twarz. – Powtarzam – dodała spokojnie – coś ty zrobił?

–Usunąłem przeszkodę, która zmniejszyłaby siłę wojskową tego kraju do niedopuszczalnych granic; przeszkodę, która przekształciłaby najpotężniejszego giganta wolnego świata w żalostnego karła i która kosztowała mnie przynajmniej osiem milionów dolarów a naszą grupę – miliardy.

–O mój Boże... Nie mogłeś poczekać, nie mogłeś... Wszedłeś w kontakty z Arabami.

–Panie prezydencie, potrzeba mi tych kilku dni – błagał Mitchell Payton pochylając się do przodu na prostym krześle w bawialni na piętrze Białego Domu. Była pierwsza pięćdziesiąt pięć w nocy. Langford Jennings siedział w rogu kanapy w piżamie i szlafroku, ze skrzyżowanymi nogami i zwisającym ze stopy pantoflem. Pytającym wzrokiem lustrował twarz dyrektora CIA. – Zdaję sobie sprawę, że przychodząc bezpośrednio do pana złamałem obowiązującą procedurę, ale jestem przerażony jak nigdy przedtem w mojej pracy. Całe lata wstecz pewien młody człowiek powiedział swemu dowódcy naczelnemu, że rak toczy urząd prezydenta. Oto teraz o wiele starszy człowiek powiada niemal dokładnie to samo, z tym wyjątkiem, że przyczyna choroby, o ile istnieje, a wierzę, że tak, nie jest panu znana. Utrzymuje się ją w tajemnicy przed panem.

–Jest pan tutaj, doktorze Payton – rzekł Jennings donośnym głosem i z wyraźną obawą. – Tak, doktorze Payton – musiałem się nauczyć kilku rzeczy dość szybko – ponieważ Sam Winters powiedział mi wyraźnie, że jeśli pan jest przerażony, to większość ludzi jest już w stanie szoku. Z tego co pan mi powiedział, rozumiem co miał na myśli. Jestem w stanie szoku.

–Jestem wdzięczny staremu znajomemu za wstawiennictwo. Wiedziałem, że będzie mnie pamiętał: nie byłem tylko pewien czy potraktuje mnie serio.

–Potraktował pana bardzo serio... Czy na pewno powiedział mi pan wszystko? Całą tą zgniłą prawdę?

–Wszystko co wiem, sir. Wszystko, co udało się zebrać do kupy. Muszę jednak przyznać, że nie mam "dymiącego pistoletu" na dowód tego co powiedziałem.

–W tym domu nie jest to najlepszy zwrot.

–Mówię szczerze, panie prezydencie. Jeśli wyrażenie to miałoby jakiegokolwiek odniesienie do tego domu, nie byłoby mnie tutaj. – Doceniam pańską uczciwość. – Jennings opuścił głowę, mrugając powiekami. Po chwili podniósł twarz i marszcząc brwi powiedział w zadumie: – Ma pan rację, to nie ma żadnego odniesienia, ale skąd

ma pan taką pewność? Moi przeciwnicy przypisują mi wszelkie oszustwa. Nie uległ pan tej opinii? Patrząc na pana i wiedząc o panu to co wiem, jest mi trudno wyobrazić sobie, że jest pan moim gorącym zwolennikiem.

–Nie muszę godzić się ze wszystkim, co uważają ludzie.

–Co oznacza, że jestem w porządku, ale głosować na mnie by pan nie mógł, tak?

–Mogę być całkiem szczery jeszcze raz? Tajność głosowania jest rzeczą świętą, pomimo wszystko.

–Z całą szczerością, miły panie – rzekł prezydent z lekkim uśmiechem na ustach.

–Nie, nie głosowałbym na pana – odrzekł Payton odwzajemniając uśmiech.

–Kłopoty z inteligencją prezydenta?

–Ależ skąd, na Boga! Historia wykazuje, że zbyt pochłonięty umysł w Gabinetcie Ovalnym może utonąć w nieskończonej ilości szczegółów. Powyżej pewnego poziomu nadmiar inteligencji jest nieistotny i często groźny. Człowiek, któremu głowa pęka od argumentów i kontrargumentów, teorii i ich zaprzeczeń skłonny jest bez przerwy rozstrząsać problem, nie dostrzegając, że w pewnym momencie trzeba podjąć decyzję... Nie, panie prezydencie, nie stanowi dla mnie problemu pańska inteligencja, której posiada pan o wiele więcej niż obecnie potrzeba.

–Czy chodzi zatem o moją doktrynę?

–Szczерze?

–Szczęrze. Widzi pan, muszę wiedzieć od razu, czy będę pana popierać.

–Myślę, że rozumiem – powiedział Payton kiwając głową. – Dobrze. Myślę, że martwi mnie pańska retoryka. Razi mnie to, że pewne skomplikowane problemy sprowadza pan do... do...

–Trywialności? – podpowiedział Jennings spokojnie.

–Obecny świat to rzecz skomplikowana i niespokojna, bez względu na to, jak do tego doszło – odpowiedział Payton. – Niewłaściwy krok kilku osób i znowu jesteśmy tam, gdzie zaczynaliśmy. To kula ognia pędząca przez Galaktykę. Nie ma już łatwych odpowiedzi, panie prezydencie... Prosił pan o szczęrość...

–I, do diabła, był pan szczęry. – Jennings uśmiechnął się lekko, rozprostowując nogi i pochylając do przodu z łokciami opartymi na kolanach. – Ale proszę pozwolić powiedzieć coś i panu, doktorze. Stara się pan wyjaśnić te skomplikowane i burzliwe problemy podczas kampanii wyborczej. Nigdy nie będzie pan zmuszony szukać kompleksowych rozwiązań. Dostanie pan kolki od stania na trybunach, ale nie należy pan do drużyny – pan nawet nie uczestniczy w tej grze.

–Chciałbym, aby było inaczej, sir.

–Ja także, ale jest tak, jak jest. Widziałem wielu błyskotliwych erudyków jak szli na dno, ponieważ swym wyborcom opisywali świat tak, jak sami go widzieli i znali. Wyborcy nie chcieli jednak tego słuchać.

–Myślę, że to byli niewłaściwi ludzie, panie prezydencie. Erudycja i siła politycznego przyciągania nie muszą się wzajemnie wykluczać. Pewnego dnia nowa rasa polityków stanie przed innymi wyborcami, przed takimi, którzy pogodzą się z realiami, nawet z tymi burzliwymi problemami, o których pan mówił.

–Brawo – łagodnie rzekł Jennings pochylając się do tyłu na kanapie. – Właśnie

podał pan przyczynę, dla której jestem tym, kim jestem – z powodu której robię to, co robię, co już zrobiłem... Całe rządy, doktorze Payton, od czasów kiedy pierwsze rady plemienne w jaskiniach zaczęły posługiwać się mową, stanowi proces przemian. Nawet marksiści to przyznają. Nie ma żadnej Utopii: w głębi duszy Tomasz Morus wiedział o tym, ponieważ nic nie jest takie, jakim było w zeszłym tygodniu, w zeszłym roku, czy stuleciu. Dlatego użył on słowa Utopia – miejsce, które nie istnieje... Jeśli jestem dobry na moje czasy, na ten okres przemian i mam nadzieję, na Boga, że będą to przemiany, o jakich pan myśli, jeśli jestem pomostem, który przywiezie nas żywych do nich to pójdę do grobu cholernie szczęśliwy, a moi krytycy pójdą do piekła. Cisza. Był profesor Mitchell Jarvis Payton spoglądał na najpotężniejszego człowieka na ziemi. Jego oczy wyrażały łagodne zdziwienie. To wyjątkowo uczony wywód powiedział wreszcie.

–Niech pan tego nie mówi. Mój mandat może wygasnąć, a ja potrzebuję krytyków... Dobrze, wystarczy. Nadajesz się MJ, stawiam na ciebie.

–MJ?

–Mówiłem przecież, że musiałem szybko coś zrozumieć i jeszcze szybciej przeczytać.

–Dlaczego "nadaję się", panie prezydencie? Jest to pytanie zarówno osobistej, jak i zawodowej natury, jeśli mogę zapytać. – Ponieważ nie ugiął się pan.

–Przepraszam, że co?

–Rozmawiał pan nie z Langiem Jenningsem, rolnikiem z lowy, którego rodzina zarobiła trochę pieniędzy, ponieważ tatuś przypadkowo kupił 48 tysięcy akrów ziemi w górach, za które inwestorzy gotowi byli później zapłacić własną duszą. Rozmawiał pan z przywódcą zachodniego świata, z człowiekiem, który mógłby zmienić ten świat w ową kulę ognia. Będąc na pańskim miejscu, bałbym się przeciwstawić temu człowiekowi. Obawiałbym się i byłbym ostrożny.

–Staram się nie poddawać żadnemu z tych uczuć. Nie wiedziałem nawet o tych 48 tysiącach akrów.

–Czy myśli pan, że względnie biedny człowiek może zostać prezydentem?

–Prawdopodobnie nie.

–Prawdopodobnie nigdy, władza należy się bogatym, lub tym, którzy są bez grosza przy duszy i nie mają niczego do stracenia, a dużo do zyskania. A mimo to, doktorze Payton, przyszedł Pan tu tylnym wejściem z tą horrendalną prośbą, zwracając się do mnie, abym usankcjonował tajne działania w kraju agencji, której prawo zabrania wszelkich operacji na terenie USA. Ponadto prosi mnie pan, abym pozwolił panu wstrzymać niezwykłą informację o tragedii narodowej, o masakrze, jaką zgotowali terroryści chcąc zabić człowieka, któremu kraj zawdzięcza tak wiele. W istocie prosi mnie pan, abym pogwałcił zasady, które mają żywotne znaczenie dla przysięgi, którą złożyłem obejmując ten urząd. Czy mam rację? – Przedstawiłem swoje racje, panie prezydencie. Istnieje splot okoliczności, występujących od Omanu do Kalifornii i jasną sprawą jest, że to coś więcej niżeli przypadek. Ci fanatycy, ci terroryści zabijają dla jednego celu, który wykracza poza wszelkie inne motywacje. Chcą zwrócić na siebie uwagę; pożądamy publikacji w prasie jak szaleńcy. Naszą

Jedyną szansą na złapanie ich – i ludzi za nimi stojących – jest wstrzymanie tych nagłówków... Dzięki zamieszaniu i frustracji ktoś może w napadzie złości popełnić błąd, może skontaktować się z kimś, z kim kontaktować się nie powinien, odsłaniając w ten sposób jedną, z całego łańcucha tajemnic. A taki łańcuch istnieć musi. Mordercy przedostali się tutaj dzięki silnym koneksjom. Poruszają się po całym kraju, z jednego końca na drugi mając przy sobie broń. A to niemało, wzięwszy pod uwagę nasz system bezpieczeństwa... Jeden z naszych agentów jest w drodze z Kairu do San Diego, a nasz najlepszy człowiek w Bejrucie udaje się do doliny Bekaa. Obaj wiedzą, czego mają szukać.

–Jezusie! wykrzyknął Jennings podrywając się z kanapy. Zaczął chodzić po pokoju. – Nie mogę uwierzyć, że Orson bierze w tym udział. Nie należy on do moich bliskich przyjaciół, ale nie jest szalony – nie jest także samobójcą.

–Może i nie bierze w tym udziału. Władza, nawet władza wiceprezydencka przyciąga tych, którzy jej pragną lub nawet tych, którzy pragnęliby jej jeszcze bardziej.

–Cholera! – wykrzyknął prezydent podchodząc do biurka, na którym leżały porozrzucane papiery. – Chwileczkę – dorzucił odwracając się w stronę gościa. Powiedział pan o tym splocie okoliczności, jakie zaistniały w pewnym sensie od kryzysu w Omanie i dotyczą San Diego. Powiedział pan także, że to coś więcej niż zbieg okoliczności, ale to wszystko, co pan posiada. Nie ma pan tego osławionego "dymiącego pistoletu", a tylko kilka osób, które kiedyś znały się na Bliskim Wschodzie i jednego człowieka, który zjawia się nie tam, gdzie pan go oczekiwał.

–Kobieta, o którą chodzi, znana jest z manipulacji finansowych na wielką skalę. Z pewnością nie chodziłoby jej o marne stanowisko w polityce, odległe o lata świetlne od tego, o co jej naprawdę chodzi... O pozycję materialną. Chyba że w grę wchodzi inne względy. – Andy – powiedział prezydent do siebie. – Wylewny Andy... Nie wiedziałem nigdy tego o Ardis, to oczywiste. Kiedy ją spotkałem w Anglii – myślałem, że była kimś ważnym w bankowości, czy coś w tym rodzaju. Dlaczego Vanvlanderem miałby chcieć, aby pracowała dla Orsona?Według mnie, sir, to część splotu, to część tego łańcucha. Payton wstał. – Proszę o odpowiedź, panie prezydencie.

–Panie prezydencie – powtórzył Jennings kręcąc głową tak, jakby tytuł ten nie przypadł mu do gustu. – Zastanawiam się, jak te słowa mogą przejść panu przez gardło?

–Przepraszam, nie rozumiem.

–Doskonale pan rozumie, doktorze. Przyjechał pan do mnie o pierwszej w nocy z tą paranoiczną sprawą i prosi mnie pan, abym popełnił czyn karygodny. Kiedy natomiast zadaję panu kilka pytań, to pan oznajmia mi: A – że nie będzie głosować na mnie; B – że jestem prostakiem; C że co najwyżej mogę być poprzednikiem lepszego; D – że nie widzę różnicy między zbiegiem okoliczności i solidnym dowodem poszlakowym.

–Nie powiedziałem tego, panie prezydencie.

–Ale dał pan do zrozumienia.

–Prosił pan o szczerą, sir. Gdybym pomyślał...

–Niech pan przestanie – powiedział Jennings zwracając się w stronę zabytkowego biurka, na którym leżały rozrzucone papiery. Czy pan wie, że nie ma nawet jednej osoby w całym zespole Białego Domu, liczącym ponad tysiąc osób, która śmiałaby powiedzieć mi takie rzeczy"? Oczywiście nie mam na myśli mojej żony i córki, ale one nie pracują w Białym Domu i tak się przypadkiem składa, że mają więcej ikry niż pan.

–Jeśli obraziłem pana, to przepraszam.

–Proszę, nie... Powiedziałem już, że zdał pan u mnie egzamin i nie chciałbym zmieniać zdania. I nikomu innemu tylko komuś takiemu jak pan wolno zwrócić się z prośbą o to, o co poprosił pan. A to po prostu dlatego, że nikomu bym nie ufał... Ma pan zielone światło, doktorze. Niech pan robi, co tylko uzna pan za stosowne, ale proszę mnie informować na bieżąco. Podam panu numer zastrzeżonego telefonu, który zna tylko moja rodzina.

–Potrzebny mi jest odpowiedni glejt, panie prezydencie. Tekst już przygotowałem.

–Blacha na tyłek?

–Nie, sir. Ja go też podpiszę, biorąc na siebie całą odpowiedzialność za to, o co proszę.

–No to po co on panu?

–Aby chronić tych, którzy dla mnie będą pracować nie wiedząc dlaczego i po co.

– Payton sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął złożoną kartkę papieru. – Z tego wynika jasno, że pańscy pracownicy o niczym nie wiedzą.

–Dzięki. Obydwu nas powieszają.

–Nie, panie prezydencie, tylko mnie. Tajność operacji przewiduje regulamin CIA, przyjęty Aktem Kongresu z 1947 powołujący Agencję do życia. Akt ten zezwala na działania nadzwyczajne ze strony CIA w chwilach kryzysowych.

–Každy taki glejt winien być wystawiony na określony czas. – I jest, sir.

Wystawiony jest na pięć dni.

–Podpiszę go – powiedział Jennings, biorąc kartkę do ręki i sięgając po inną, leżącą na biurku. – W międzyczasie proszę przeczytać to – właściwie nie musi pan. Jak większość wydruków komputerowych z Biura Prasowego, tekst jest za długi. Przysłali mi to po południu. – Co to?

–Analiza kampanii mającej na celu wysunięcie kongresmana Evana Kendricka w imieniu partii w czerwcu – prezydent zawahał się – jako kandydata na wiceprezydenta – dodał cicho.

–Mogę to zobaczyć? – zapytał Payton robiąc krok do przodu i wyciągając rękę.

–Tak właśnie myślałem, że będzie pan chciał to zobaczyć – powiedział Jennings wręczając długą kartkę dyrektorowi operacji specjalnych. Zastanawiałem się, czy potraktuje pan to tak poważnie jak Sam Winters.

–Tak, bez wątpienia – odpowiedział Payton szybko czytając wydruk.

–Jeśli jest jakikolwiek sens w tej paranoicznej sprawie, którą pan przedstawił, to jego źródło można znaleźć tutaj – rzekł prezydent bacznie obserwując swego niespodziewanego gościa. – Ludzie z mojego Biura Prasowego twierdzą, że może on zająć wysoko, wysoko i szybko... Poczynając od przyszłego tygodnia siedem wielkich dzienników na środkowym Zachodzie ma zamiar zacząć o nim pisać, do

licha, prawie na pewno udzielą mu poparcia we wstępniakach. Trzy z tych gazet mają rozgłosnie radiowe i stacje telewizyjne w gęsto zamieszkanym rejonach na północy i południu. A mówiąc już o splotach okoliczności, to nagrania radiowe i telewizyjne jego wystąpień przesłano już do tych stacji.

–Kto przesłał? Nie mogę tego znaleźć na tej kartce.

–I nie znajdzie pan. Jest tylko jakiś gówniany komitet powołany ad hoc w Denver, o którym nikt niczego nie słyszał. Wszystko idzie do Chicago.

–To nie do wiary!

–No, niezupełnie – zaprotestował Jennings. – Kongresman może okazać się atrakcyjnym kandydatem. Emanuje z niego wiara i siła. Jest w stanie zaskoczyć – szybko i zwinnie. Tak mówią moi ludzie. Banda Orsona Bollingera, od której nie mogę się niestety odciąć, może dostać zbiorowej napaści sraczki.

–Mówiąc "nie do wiary" nie to miałem na myśli, panie prezydencie. Jeśli spotykam się z tak wyraźnym związkiem, to nawet ja muszę się zachnąć. To zbyt proste, zbyt oczywiste. Nie mogę uwierzyć, że grupa Bollingera jest aż tak głupia. To zbyt obciążające, zbyt niebezpieczne.

–Tracę sympatię do pana, doktorze. Myślałem, że powie pan coś w tym rodzaju "Aha, mój drogi Watsonie, oto dowód". Ale nie mówi pan tego, prawda?

–Nie, sir.

–Jeśli podpiszę ten cholernie trefny papier, to, mam nadzieję, że powie mi pan dlaczego.

–Ponieważ jest to zbyt oczywiste. Ludzie Bollingera dowiadują się, że Evan Kendrick ma być wysunięty jako kandydat na wiceprezydenta w wyborach powszechnych i wynajmują terrorystów palestyńskich, aby go zabić. Tylko wariat może coś takiego wymyślić. Jedno potknięcie w przygotowaniach, jeden zabójca wzięty żywcem, co już się zdarzało, i można już ich znaleźć i połączyć z tą sprawą... Jeśli podpisze pan papier.

–Kto ich wykryje? Co pan znajdzie?

–Nie wiem, panie prezydencie. Być może należy zacząć od tego komitetu w Denver. Od wielu miesięcy pchają Kendricka do polityki, do zdobycia pozycji, o którą nie zabiegał. Właśnie teraz w przeddzień zdecydowanego ruchu do przodu zdarza się to draństwo w Fairfax i nieudany zamach w Mesa Verde, udaremniiony przez starszego człowieka, któremu podeszły wiek nie przeszkadza w tym wyczynie, jako że zabija aż trzech terrorystów.

–Chcę się z nim spotkać, ale to na marginesie wtrącił Jennings. – Zorganizuję to, ale może pan żałować, panie prezydencie. – Co pan ma na myśli?

–Są dwie frakcje, dwa obozy i żaden z nich nie jest naiwny; lecz jeden z nich popełnił błąd, i to niezwykły. Przynajmniej tak to wygląda. Błąd, który nie ma żadnego sensu.

–Znowu nie rozumiem...

–Sam nie rozumiem, panie prezydencie... Podpisze pan ten papier? Da mi pan pięć dni?

–Tak, podpiszę, doktorze Payton. Ale dlaczego mam wrażenie, że stanę pod

gilotyną?

–Nie, panie prezydencie. Amerykanie nie pozwolą, aby obcięto panu głowę.

–Społeczeństwo może się strasznie mylić – powiedział prezydent Stanów Zjednoczonych pochylając się nad biurkiem i podpisując dokument. – To także należy do historii.

Latarnie uliczne migają wzdłuż Lakę Shore Drive w Chicago wśród padających płatków śniegu. Jasne smugi światła nieregularnie rozświetlały sufit pokoju w hotelu Drake. Było kilka minut po drugiej nad ranem i muskularny blondyn spał w łóżku, oddychając głęboko i równomiernie, jakby nigdy nie tracił kontroli nad sobą. Rozległ się ostry dzwonek telefonu. Śpiący wstrzymał oddech potem poderwał się do pozycji siedzącej, wysuwając nogi spod pościeli na podłogę i szybkim ruchem pochwycił słuchawkę. – Tak – rzucił Miloś Varak zupełnie przytomnym głosem.

–Mamy problem – powiedział Samuel Winters ze swojego gabinetu w Cynwid w Maryland.

–Może pan mówić, sir?

–Nie widzę powodów, dla których nie mógłbym mówić, przynajmniej zwięźle i kryptonimami. Linia ta nie jest na podsłuchu i nie wyobrażam sobie, aby ktoś mógł się włączyć do pańskiego telefonu. – Tylko ostrożnie, proszę.

–Z grubsza biorąc jakieś siedem godzin temu wydarzyło się coś bardzo okropnego na peryferiach Wirginii.

–Burza? – wtrącił Czech.

–Jeśli dobrze rozumiem okropna burza z wielką liczbą ofiar. – Ikar? – Varak prawie krzyknął.

–Nie było go tam. Ani w górach, gdzie dokonano nieudanego zamachu.

–Emmanuel Weingrass – wyszeptał Czech. – On był celem. Wiedziałem, że tak się stanie.

–Nie miało tak być. Ale dlaczego tak mówisz?

–Później, sir... Wyjechałem z Evanston około dwunastej trzydzieści.

–Wiedziałem, że ciebie nie ma. Zacząłem do ciebie dzwonić wiele godzin temu. Nie zostawiłeś żadnej wiadomości. Czy wszystko jest zgodnie z planem?

–Nawet lepiej. W radio nic o tym nie było. To zdumiewające, prawda?

–Jeśli rzeczy mają się tak, jak się spodziewamy – rzekł Winters – to i nic nie będzie w ciągu kilku nawet dni, a może w ogóle. – To jeszcze bardziej zdumiewające. Skąd pan o tym wie?

–Ponieważ wydaje mi się, że to ja zaplanowałem. Człowiek, któremu ufam udał się prywatnie do 1600 dzięki mojej interwencji. Jest tam w chwili obecnej. Jeśli istnieje jakakolwiek nadzieja na ujęcie tych, którzy są odpowiedzialni, to potrzebne jest mu embargo na wiadomości. Z wielką ulgą Miloś Varak zdał sobie sprawę z tego, że Samuel Winters nie był zdrajcą w Inver Brass. Kimkolwiek był informator, nigdy nie przedłużałby polowania na zabójców, gdyby nie wysłano ich do San Diego. Oprócz tej prawdy, tego uczucia ulgi, czeski koordynator potrzebował jeszcze kogoś, komu mógłby ufać.

–Sir, proszę wysłuchać mnie uważnie. To konieczne, powtarzam konieczne, aby

zwołał pan zebranie na jutro najwcześniej, jak to tylko możliwe. Koniecznie podczas dnia, sir, nie wieczorem. Liczy się każda godzina, w każdej strefie czasowej.

–To zdumiewająca prośba.

–Niech pan uważa ją za nadzwyczajną. Sytuacja jest nadzwyczajna, sir... i w jakiś sposób muszę sprowokować jeszcze jedną sytuację wyjątkową. Muszę zmusić kogoś, aby wykonał ruch.

–Bez podawania szczegółów, może podać mi pan przyczynę?

–Tak. Jedyna rzecz, jakiej nigdy nie przewidywaliśmy, że się wydarzy w grupie, stała się. Jest w niej ktoś, kto być nie powinien. – Dobry Boże... Czy aby na pewno?

–Tak, z całą pewnością. Kilka sekund temu wyeliminowałem pana jako taką możliwość. Była czwarta dwadzieścia pięć nad ranem czasu kalifornijskiego: siódma dwadzieścia pięć czasu wschodniego. Andrew Vanvlanderem siedział w swym wykładanym welurem fotelu, ze szklistym wzrokiem i jasnymi zmierzwionymi włosami. W przystępie wściekłości rzucił grubą szklankę od whisky w telewizor. Odbiła się od dębowego biurka i upadła na biały dywan. Z wściekłością schwycił marmurową popielnicę i rzucił nią w telewizor, w którym właśnie siedł dziennik Ali News. Wypukły ekran pękł na drobne kawałeczki. Nastąpiła głośna i ostra implozja, a z wnętrza telewizora buchnął czarny dym. Vanvlanderem ryknął niezrozumiale, starając się coś powiedzieć, ale nie mógł znaleźć odpowiednich słów. W chwilę potem jego żona wybiegła z sypialni.

–Co ty robisz? – wrzasnęła.

–Nic nie podali, cholera. Zupełnie nic – powiedział ochryplym głosem. Jego kark i twarz stały się purpurowe, żyły na czole i szyi nabrzmiały. – Do kurwy nędzy, nie podali zupełnie nic. Co się stało? Co się dzieje? Nie mogą tego mi robić. Zapłaciłem im okrągłe dwa miliony. – W chwilę potem bez żadnego ostrzeżenia, czy oznaki, że dzieje się z nim cokolwiek innego aniżeli napad wściekłości, Vanvlanderem wychylił się nagle z fotela, podniósł do góry drżące ręce, jak gdyby miał odepchnąć niewidzialną ścianę i padł na podłogę. Jego twarz utonęła w dywanie. Ostatni gardłowy dźwięk wydobył mu się z gardła. Jego czwarta żona Ardis Montreaux FrazierPyke Vanvlanderem zrobiła kilka kroków do przodu. Naciągnięta jak pergamin skóra poblądłej nagle twarzy świadczyła o licznych operacjach plastycznych. Rozszerzonymi źrenicami patrzyła na martwego męża. – Ty skurwysynu – wyszeptała. – Jak mogłeś zostawić mnie z tym całym bałaganem, cokolwiek by to było? Cokolwiek byś zrobił.

* * *

Rozdział 32

Ahbyahd wezwał swych czterech "księży" do pokoju w motelu, który dzielił z młodym członkiem grupy, mówiącym płynnie po angielsku i nie będącym nigdy w Omanie. Była 5.43 czasu Kolorado. Długie czuwanie zakończyło się. Nie będzie żadnego punktu zbornego. Komando Dwa nie nawiązało kontaktu, co znaczyło, że Yosef i jego ludzie nie żyli: nie było innego wytłumaczenia. Twardy weteran, w którym płynęła na wpół żydowska krew i który szczerze nienawidził wszystkiego, co zachodnie i żydowskie, nigdy by nie pozwolił, aby choć jednego członka jego grupy

ujęto żywcem. Dlatego też zawsze trzymał przy sobie tego kalekiego chłopca o zajęczej wardze, który był gotów na wszystko.

– Nawet przy niewielkiej szansie na aresztowanie palnę ci w łeb, moje dziecko. Rozumiesz to?

– Najpierw ja to uczynię, stary. Zależy mi bardziej na chwalebnej śmierci niż na nędznym życiu.

– Wierzę ci, ty mój młody głupcze, ale zapamiętaj słowa Azry: będąc żywym możesz walczyć. Będąc martwym – nie. Męczennik Azra miał rację, myślał Ahbyahd. Jednakże Azra nie określił ostatecznego poświęcenia, jakiego pragnął ci, którzy naprawdę wierzą. Poświęceniem tym była śmierć na polu walki. Dlatego świętej wojnie nie straszne były pułapki, nawet śmierć. Ta grobowa cisza, jaka nastąpiła po ataku na dom w Wirginii i brak Yosefa i jego ludzi mogą być pułapką. Ci na Zachodzie rozumowali tak: nie potwierdzaj niczyjego sukcesu, nie mów nic; zmusz myśliwych, aby dalej poszukiwali, wabiąc ich w ten sposób w pułapkę. Nic nie miało sensu. Jeśli pułapka ta oznaczała śmierć wroga, w tym przypadku wielkiego wroga, to cóż znaczyła śmierć? W męczeństwie swym mogli doświadczyć szczęścia, jakiego nie mogli doznać za życia. Nie było większej chwały dla wiernych aniżeli wkroczenie w łagodne, miękkie chmury raju Allacha, z krwią wrogów na rękach. A ta wojna była wojną sprawiedliwą. Ten sposób rozumowania mylił Ahbyahda. Czyż to nie chrześcijanie ciągle mówią o poświęceniach dla Chrystusa, wzywając do wojen w jego imieniu? Czyż to nie Żydzi wnosili pod niebiosa swój naród w imię Abrahama, negując prawo innych do istnienia, walcząc o przetrwanie tak jak Machabeusz, ginąc za swe przekonania na górze Massada? Czy Allah mógłby być gorszy w tym towarzystwie? A kto to powiedział? Chrześcijanie i Żydzi? Ahbyahd nie był uczonym. Był zaledwie uczniem, jeśli już ma się znać prawdę, ale rzeczy tych nauczali starsi, ludzie uczeni w świętym Koranie. Nauka, jaka z tego wypływała była jasna: wrogowie ich umieli szybko wymyślić jakąś sprawę i walczyć o nią. I umieli także w jeszcze większym stopniu odmawiać tego prawa innym. Chrześcijanie i Żydzi w sposób dowolny odwoływali się do swoich Wszechmocnych podczas każdego konfliktu, jaki im zagrażał i z pewnością będą dalej zaprzeczać sprawiedliwej sprawie nieszczęsnych Palestyńczyków. Ale nie mogą im odmówić męczeństwa. A już na pewno nie w tym odległym miejscu nazwanym Mesa Verde, odległym o tysiące kilometrów od Mekki. Bracia moi – tymi słowami mężczyzna o jasnych włosach zwrócił się do czterech mężczyzn stojących w małym, brudnym pokoju motelu. – Nadszedł nasz czas. Powitajmy go w uniesieniu, mając na uwadze, że przed nami lepszy świat, że przed nami raj, w którym będziemy wolni a nie niewolnikami czy pionkami, jakimi jesteśmy tu na Ziemi. Jeśli dzięki miłosierdziu boskiemu przeżyjemy, aby walczyć dalej, to przyniesiemy naszym braciom i siostram dopełnienie zemsty, jaka nam się słusznie należy. Świat będzie wiedział, że dokonaliśmy tego; będzie wiedział, że pięciu mężnych przeniknęło i zniszczyło wszystko wewnątrz dwóch warowni, wzniesionych przez naszych wrogów, aby nas powstrzymać... Teraz musimy się przygotować. Najpierw poprzez modlitwę a potem poprzez służbę naszej sprawie. W zależności od tego, czego się dowiemy – uderzymy, kiedy najmniej się

tęgo będą spodziewać. Nie pod osłoną nocy, ale w biały dzień. Do zachodu słońca spędzimy albo świętą godzinę w Salat el Maghreb, albo znajdziemy się w objęciach Allacha. Było niewiele po dwunastej w południe, gdy Khalehla wyszła z samolotu i udała się do holu międzynarodowego portu lotniczego w San Diego. Natychmiast zdała sobie sprawę z tego, że jest śledzona, ponieważ ten, kto ją śledził nie krył się z tym wcale. Niepozorny, otyły jegomość w pogniecionym, źle skrojonym garniturze z gabardyny jadł prażoną kukurydzą z białego tekturowego pudełeczka. Skinął głową raz jeden, odwrócił się i zaczął iść wzdłuż szerokiego i zatłoczonego korytarza w kierunku budynku portu. Był to sygnał. W chwilę potem Rashad zrównała się z nim i zwolniła kroku. – Zdaje się, że na mnie czekałeś – powiedziała nie patrząc na niego. – Gdybym czekał na ciebie, to już byś na kolanach mnie błagała, żebym cię zabrał do domu, co z pewnością musiałbym uczynić. – Skromność twoja jest równie nieodparta, jak ty sam.

–Tak mówi moja żona, z tym tylko wyjątkiem, że zwraca się do mnie "mój piękny".

–Co się dzieje?

–Zadzwoń do Langley. Mam wrażenie, że rozpętało się piekło, ale zadzwoń z jednego z tych telefonów. Nie ode mnie, jeśli to ma być mój dom. Zaczekam tam dalej. Jeśli mamy stanowić zespół, to kiwnij głową i idź za mną... W przyzwoitej odległości, oczywiście... – Mógłbyś mieć jakieś imię, jakiegokolwiek.

–Spróbuj: Shapoff.

–Gingerbread? – wtrąciła Khalehla przelotnie spoglądając na agenta, którego sława była tak wielka, że stanowił żywą legendę Agencji. – Berlin Wschodni? Praga? Wiedeń...

–Tak naprawdę – powiedział mężczyzna w niechlujnym garniturze z gabardyny – to jestem leworęcznym ortodontą z Cleveland. – Miałam o tobie nieco inne wyobrażenie.

–Dlatego nazywają mnie Gingerbread... Cholernie głupie imię. No idź i zadzwoń. Rashad podeszła do najbliższej budki telefonicznej. Niespokojna i nie przywykła do najnowszych telefonów nacisnęła przycisk i udając w zakłopotaniu francuską wymowę poprosiła operatorkę o połączenie z numerem, który znała na pamięć.

–Tak, słucham? – powiedział Mitchell Payton z drugiego końca linii. – MJ, to ja. Co się stało?

–Andrew Vanvlanderem zmarł dziś wczesnym rankiem.

–Zabity?

–Nie, to był zawał serca: ustaliliśmy to. Miał we krwi sporo alkoholu i wyglądał kiepsko – nie ogolony, z podkrążonymi oczami, cuchnący potem i nie tylko – ale to był zawał.

–Cholera, cholera...

–Zwróciliśmy też uwagę na dziwny zbieg okoliczności – tylko okoliczności, nic konkretnego. Siedział przed telewizorem bez przerwy od kilku godzin i najwyraźniej go rozwalił marmurową popielniczką.

–A to dziwne, bardzo dziwne – rzekła agentka z Kairu. – Co mówi żona? Zalewając się nadmierną ilością łez i łkając, aby zostawić ją samą, ta stoicka wdowa twierdzi że

załamał się na skutek wielkich strat, jakie poniósł na giełdzie i w wyniku innych inwestycji, o których, naturalnie, nic jej nie wiadomo. Przynajmniej tak twierdzi. Do tego małżeństwa doszło z pewnością dzięki intercyzie, którą ukryli w materacu. – Sprawdziłeś te informacje?

–Naturalnie. Jej portfel wystarczyłby na utrzymanie kilku małych państw. Dwa z jej koni zwyciężyły nawet w dubelcie w Santa Anita w ubiegłym tygodniu i, wspólnie z innymi, galopują po miliony dolarów, jakie mogą zdobyć w formie nagród.

–A więc kłamała.

–Pewnie, że kłamała – zgodził się Payton.

–Ale niekoniecznie o jego depresji.

–No, niech to będzie inne słowo. Złość. Niepohamowana wściekłość połączona z histerycznym strachem. Coś nie wyszło? Nie podaliśmy do publicznej wiadomości czegoś, co się w rzeczywistości wydarzyło. A może się nie wydarzyło, a może tak... A może coś zostało sknocone. Wszystko może być. Ale to dało dobry początek. Być może wzięto kilku zabójców żywcem, tak jak ujęto tego jednego w Mesa Verde.

–A jeńców można zmusić do mówienia, do mówienia wiele, nawet całych tomów.

–Otóż to. Wszystko czego nam potrzeba, to jednego źródła, które poda miejsce, sposób podróżowania, ujawni skrywkę kontaktową. I mamy takie źródło, taką osobę. Zbyt trudno ukryć wszystko. Ktokolwiek stał za tymi zabójstwami musi zdawać sobie z tego sprawę, a przynajmniej winien to założyć. I to mogło dręczyć Andrew Vanvlanderena. – A jak mają się sprawy z więźniem?

–Stracił przytomność, ale jak mówi lekarz – wyjdzie z tego. To maniak. Próbował już wszystkiego. Chciał się sam udusić. Próbował połknąć swój język. Lekarze dali mu zastrzyk ze środkami uspokajającymi, jeszcze przed surowicą. To wszystko trochę się opóźnia... Lekarze powiedzieli mi, że mniej więcej za godzinę będę miał pierwszy raport. – Z tego, czego się dowiedziałam widzę, że nie mogę ot tak wpaść i przycisnąć wdowę.

–Właśnie tak, moja droga – przerwał jej Payton. – Dokładnie tak uczynisz. Z tych poszlak mają być dowody. Kiedy taka osoba jak pani Vanvlanderen wchodzi w tak bliskie więzi z potencjalnym prezydentem Stanów Zjednoczonych, wówczas wszystkie względy natury osobistej idą na drugi plan... przeprosisz wylewnie, ale trzymaj się scenariusza, który nakreśliliśmy.

–Kiedy się o tym myśli – powiedziała Khalehla – mając na względzie okoliczności, to trudno sobie wyobrazić lepszą sytuację. Jestem ostatnią osobą, jakiej mogłaby się spodziewać. Potrząsnę nią. – Miło mi, że się zgadzasz. Pamiętaj, możesz okazywać współczucie, ale względy bezpieczeństwa narodowego mają priorytet. – A co z Shapoffem? Stanowimy zespół?

–Tylko wówczas, gdy będzie ci potrzebny. Wypożyczyliśmy go wywiadowi marynarki jako konsultanta i jestem zadowolony, że jest tam. Wolałbym jednak, żebyś zaczęła sama. Pomyśl nad tym, jak nawiązać kontakt.

–Rozumiem, że nic mu nie powiedziano.

–Nie. Tylko tyle, że ma ci udzielić wszelkiej pomocy, o jaką poprosisz.

–Rozumiem.

–Adrienne – rzekł Dyrektor Operacji Specjalnych przeciągając sylaby imienia. – Musisz wiedzieć jeszcze coś. Chyba jesteśmy o krok bliżej jeśli chodzi o naszego blond przyjaciela z Europy. A być może. nawet sedna sprawy...

–Kim on jest? Czego się o nim dowiedziałeś?

–Nie wiemy, kim jest, ale wiemy, że pracuje dla tych, którzy pragną widzieć Evana w Białym Domu, lub przynajmniej nieco bliżej niego... – O Boże. Chyba jemu samemu nie przyszłoby to do głowy nawet za tysiąc lat. Kim są ci ludzie?

–Bardzo bogaci i bardzo pomysłowi, jak mi się zdaje. Payton opowiedział jej pokrótce o zbliżającej się kampanii, mającej na celu zdobycie wiceprezydentury dla Kendricka.

–Jennings powołał się na opinię jego ludzi, którzy są przekonani, że Kendrick może zająć "szybko i wysoko", jak sam to powiedział. Według mnie nie będzie miał najmniejszych skrupułów.

–Nie przeszkodzi mu nawet reakcja prezydenta – powiedziała Khalehla spokojnym tonem. – Każdy krok, każde posunięcie, jakiego dokonali, zostało dokładnie przemyślane i przeanalizowane, z wyjątkiem jednego.

–Co masz na myśli?

–Odpowiedź Evana, MJ. Nigdy się na to nie zgodzi.

–Tak, ten but jeszcze nie spadł z nogi.

–Musiałby to być żelazny but wielkości stopy Sfinksa... A więc mamy dwie grupy: jedna z nich pcha naszego bohatera z Kongresu do Białego Domu; druga czyni wszystko, co tylko może, żeby go tam nie dopuścić.

–Doszedłem do tego samego wniosku. Mówiłem zresztą o tym prezydentowi. Bierzcie się do roboty, oficerze Rashad. Proszę zadzwonić, kiedy znajdziecie się już w hotelu. Być może do tego czasu będą wiadomości od lekarzy.

–Nie mogłabym zobaczyć się z moimi dziadkami? Mieszkają tu w pobliżu.

–Czy ty masz dwanaście lat? Absolutnie wykluczone.

–Rozumiem.

Było trzy po trzeciej po południu według czasu wschodniego. Limuzyny stały zaparkowane na podjeździe posiadłości w Cywind Hollow. Szoferzy palili papierosy, rozmawiając cicho. Wewnątrz odbywała się konferencja.

–To będzie krótkie spotkanie – oświadczył Miloś Varak, zwracając się do członków Inver Brass. Znajdowali się w dużym mrocznym gabinecie. Światło lamp oświetlało tylko ich twarze. – Ale waga informacji jest tak wielka, że wezwałem doktora Wintersa. Uważałem, że należy go koniecznie o tym powiadomić.

–To oczywiste – powiedział gniewnie Eric Sundstrom. – Zostawiłem całe laboratorium, nie wiedząc co robić.

–Wyciągnąłeś mnie, Miloście, z sądu – oświadczyła Margaret Lowell. – Mam nadzieję, że masz. rację, jak to zwykle bywa. – Przyleciałem z Nassau – powiedział Gideon Logan uśmiechając się łagodnie – ale i tak nic nie robiłem, wyjąwszy łowienie ryb, kiedy zadzwonił ten piekielny dzwonek na statku. I tak nic nie złapałem. – Nie mogę powiedzieć nawet tego o sobie – dodał Jacob Mandel. – Byłem na meczu koszykówki, kiedy odezwał się pager. Tak naprawdę, mało brakowało, a bym go nie

usłyszał.

–Myślę, że powinniśmy zacząć – powiedział Samuel Winters, z dziwną nutą w głosie, wyrażającą częściowo zniecierpliwienie i częściowo podenerwowanie. – Wiadomość jest druzgocąca. Margaret Lowell spojrzała na siwego historyka:

–Oczywiście, zaczynamy. Właśnie odzyskiwaliśmy oddech.

–Mogłem mówić o łowieniu ryb – powiedział Gideon Logan – ale tak naprawdę to nie o tym myślałem, Samuelu. Rzecznik Inver Brass skinął głową próbując się uśmiechnąć: – Proszę mi wybaczyć, jeśli wyglądam na podenerwowanego. Tak naprawdę, to jestem przestraszony. Wy także będziecie.

–A zatem, laboratorium nie jest w tej chwili ważne. – Sundstrom powiedział to poważnie, tak jakby otrzymał słuszną reprimendę. Proszę, kontynuuj, Miloś.

–Obserwuj bacznie każdą twarz, każdą parę oczu. Patrz na mięśnie szczęk, powieki i czoła. Patrz kto nieświadomie przelyka ślinę i komu nabrzmiały żyły na szyi. Jedna osoba z tych czterech najbliższych zna prawdę. Ona jest zdrajcą. Palestyńscy terroryści dokonali ataku na dom Kendricka zarówno w Wirginii, jak i w Kolorado. Były poważne straty w ludziach. W posiadłości nad Chesapeake Bay wybuchło istne piekło. Wszyscy obecni w tym niezwykłym pokoju albo opadli w szoku w fotelach do tyłu, albo pochylili się nad stołem. Wydawali gardłowe dźwięki, mając oczy rozszerzone przerażeniem lub zwięzione w niewierze. Potok pytań zwałił się na Varak, przypominając serię z karabinu maszynowego:

–Czy Kendrick został zabity?

–Kiedy to się stało?

–Nic o tym nie słyszałem!

–Czy pochwycono kogoś żywcem? – ostatnie pytanie zadał Gideon Logan, któremu Varak bacznie się przyjrzał. Pociemniała twarz Logana wyrażała wściekłość. A może to było szaleństwo lub... strach? – Odpowiem na wszystkie pytania, jeśli będę mógł – powiedział Czech, koordynujący działalność Inver Brass. – Muszę jednak wam powiedzieć, że nie wiem wszystkiego. Mówi się, że Kendrick przeżył i obecnie jest pod ochroną. Ataki miały miejsce wczoraj późnym popołudniem lub wczesnym wieczorem.

–Doprawdy – wykrzyknęła Margaret Lowell. – Wczoraj? A dlaczego nie wiesz dokładnie? Dlaczego nie wiemy o tym my wszyscy? Dlaczego nie wie o tym cały kraj?

–Nałożyli całkowite embargo na informacje. Najwyraźniej zwrócił się o to wywiad i prezydent wyraził zgodę.

–Prawdopodobnie po to, by wyprowadzić Arabów z równowagi – powiedział Mandel. – Oni zabijają dla rozgłosu i jeżeli go nie zdobędą, to wariują jeszcze bardziej niż normalnie. Szaleńcy zrobią wszystko. – Jeśli żyją, to muszą się stąd wynieść – dodał Sundstrom. – Czy mogą wyjechać z kraju, Varak?

–To zależy od poziomu ich przygotowania, a także od tego, kto im umożliwił wjazd do USA.

–Czy kogokolwiek z Palestyńczyków ujęto żywcem? – Gideon Logan obstawał przy swoim pytaniu.

–Mogę tylko spekulować – odpowiedział Czech z oczami pozbawionymi wyrazu, ale skrywającymi intensywny proces myślowy. Miałem szczęście, że dowiedziałem się o tym, zanim nałożono całkowite embargo. Nie podano liczby ofiar śmiertelnych.

–Jak więc wyglądają twoje spekulacje? – zapytał Sundstrom. – W najlepszym razie istnieje 10 do 15 procent szansy, że ujęto któregokolwiek z napastników żywcem. Tę ocenę opieram na bliskowschodnich statystykach. Najczęściej terroryści mają przy sobie kapsułki z cyjankiem potasu, ukryte ostrza i strzykawki przyklepione taśmą do różnych części ciała. Wszystko po to, aby raczej odebrać sobie życie, aniżeli wyjawić cokolwiek podczas tortur, lub po podaniu narkotyku. Proszę pamiętać, że śmierć nie stanowi dla tych ludzi żadnego poświęcenia. Śmierć to tylko przejście do życia pozagrobowego, pełnego radości, której ciągle im brakowało tu, na Ziemi. – A zatem jest możliwe, że ujęto żywcem jednego lub dwu, czy nawet więcej terrorystów – upierał się Logan.

–To możliwe, w zależności od liczby osób, które były w to zaangażowane. Bardzo ważną sprawą jest ustalenie tych faktów. – Dlaczego aż tak ważne? – zapytał Samuel Winters.

–Ponieważ wszyscy wiemy, jakie nadzwyczajne środki ochrony podjęto wobec Kendricka – odpowiedział czarny przedsiębiorca przyglądając się twarzy Varaka. – I myślę, że koniecznie musimy się dowiedzieć jak ci nieokrzesani fanatycy je ominęli. Czy wiadomo ci coś na ten temat, Varak?

–Tak, sir. Mam własny pogląd na tę sprawę, niezupełnie oficjalny i myślę, że w przeciągu kilku dni władze federalne powiążą to tak, jak ja to uczyniłem.

–O co chodzi, do diabła? – wykrzyknęła Margaret Lowell głosem doniosłym i ostrym.

–Rozumiem, że zdajecie sobie sprawę, że Andrew Vanvlanderem... – Nie – wtrąciła Lowell.

–A co z nim? – zapytał Gideon Logan.

–Czy powinniśmy? – dorzucił Mandel.

–Umarł – powiedział Eric Sundstrom siadając z powrotem na krześle.

–Cooo? – to pytanie padło trzy razy z rzędu.

–Umarł dziś wczesnym rankiem w Kalifornii. Zbyt późno dla wydań gazet na wschodnim wybrzeżu – wyjaśnił Winters. Jako przyczynę zgonu podano zawał serca. Dowiedziałem się o tym z radia. – Ja także z radia – powiedział Sundstrom.

–Nie słuchałam radia – mruknęła Margaret Lowell.

–Byłem na meczu koszykówki – powiedział Jacob Mandel z nutką samokrytyki w głosie.

–Nie to jednak stanowi najważniejszą wiadomość dnia – kontynuował Sundstrom siadając na przedzie. – Ostatnie wydanie "Washington Post" podało tę wiadomość na czwartej, czy nawet na piątej kolumnie, a przecież Vanvlanderem był znaną osobą, przynajmniej w tym mieście. Lecz poza miastem i Palm Springs niewielu słyszało jego nazwisko.

–Ale jaki ma to związek z Palestyńczykami? – zapytał Logan patrząc swoimi ciemnymi oczami na Varaka.

–Z tym zawałem to niepewna sprawa, sir. Twarze siedzących przy stole wyglądały tak, jakby były z granitu, zastygłe, kamienne twarze. Zwolna jedni zaczęli spoglądać na drugich, uświadamiając sobie ogrom wagi tego co usłyszeli.

–Niesłychane oświadczenie, panie Varak – rzekł Winters cicho. – Mógłby pan to wyjaśnić, tak jak pan wyjaśnił to mnie?

–Ludzie zgrupowani wokół wiceprezydenta Bollingera, a to właśnie oni wnieśli największy wkład do funduszu partyjnego, walczą między sobą. Dowiedziałem się, że istnieją różne frakcje. Jedna z nich chce zastąpić wiceprezydenta innym kandydatem, druga pragnie go zatrzymać. Jeszcze inna namawia do czekania, aż krajobraz polityczny nieco się wyjaśni.

–A więc? – śpiewnym głosem zapytał Jacob Mandel zdejmując okulary. Jedyną osobą do przyjęcia przez wszystkich jest Evan Kendrick. – I co, Miloś? – zapytała Margaret Lowell. Cokolwiek uczynimy, pociągnie to za sobą pewien stopień ryzyka – odpowiedział Varak. – Starłem się ów poziom ryzyka ograniczyć do minimum. Poza tym zagwarantowałem państwu anonimowość. Niemniej jednak, aby rozpocząć kampanię kongresmana Kendricka musieliśmy założyć komitet polityczny, przez który płynęły znaczne ilości pieniędzy i materiałów, bez podawania nazwisk państwa. Zajęło to nam siedem tygodni i być może wiadomość o tym dotarła do San Diego... Nietrudno domyślić się, jaka była reakcja ludzi Bollinger'a, szczególnie tych z grupy najbardziej mu przychylnych. Kendrick to prawdziwy bohater Ameryki, to prawdziwy kandydat partii, który mógłby wygrać dzięki swej popularności, tak jak to proponowaliśmy. Tamci ludzie mogli wpaść w panikę i uznać, że potrzebne jest im natychmiastowe i ostateczne rozwiązanie... Do tych ostatnich musieli bez wątpienia należeć Vanvlanderowie, a pani Vanvlander, która jest szefem sztabu wiceprezydenta posiada rozległe koneksje w Europie i na Bliskim Wschodzie. – O Jezusie! – wykrzyknął Sundstrom. – Czy sugeruje więc pan, że wiceprezydent Bollinger jest odpowiedzialny za te wszystkie zamachy terrorystyczne, za te morderstwa?

–Nie bezpośrednio, sir. Mogło to bardziej przypominać uwagę Henryka II, jaką uczynił w sądzie królewskim o Thomasie Beckecie: "Czy nikt nie uwolni mnie od tego uprzykrzonego księdza?" Król nie wydał żadnego rozkazu, niczego nie polecił, zadał tylko znaczące pytanie, może uśmiechając się nawet, ale rycerze zrozumieli dobrze. A sprawa wyglądała tak, że wpływowe osoby pomogły zabójcom dostać się do kraju i wyposażyły ich, gdy już tu byli.

–Nie do wiary – powiedział Mandel biorąc do ręki okulary. Wypowiedział te słowa prawie szeptem.

–Chwileczkę – wtrącił Gideon Logan pochylając głowę w bok i ze wzrokiem utkwionym w Czecha. – Sugerowałeś, że zawał serca Vanvlanderena mógł być czymś innym. Dlaczego to podejrzewasz i, jeśli masz rację, to jaki to ma związek z Palestyńczykami?

–Moje pierwsze podejrzenia, że nie był to atak serca zrodziły się wtedy, kiedy pani Vanvlander poleciła dokonać kremacji ciała w godzinę po przewiezieniu go do kostnicy, rozpowiadając, że przyrzekli to sobie z mężem nawzajem.

–Co całkowicie uniemożliwiło przeprowadzenie sekcji – adwokatka Lowell skinęła głową, potwierdzając rzecz absolutnie oczywistą. – Jak to się ma do Palestyńczyków?

–Na początek proszę wziąć pod uwagę czynnik czasu. W pełni zdrowy człowiek, nie mający żadnych kłopotów z sercem, umiera nagle w okresie krótszym niż dwadzieścia cztery godziny po napadzie na domy Kendricka. Następnie proszę wziąć pod uwagę rozległe koneksje pani Vanvlanderen na Bliskim Wschodzie – mówiliśmy o nich podczas ostatniego spotkania. Agenci FBI połączą ze sobą te rzeczy w przeciągu kilku dni. I jeśli jest to prawda, odkryją związek z masakrą.

–Ale jeśli Vanvlanderen współpracował z terrorystami, to dlaczego go zabito? – zapytał zdezorientowany Sundstrom. – Przecież to on trzymał sznurki w rękę.

–Ja odpowiem, Ericu – rzekła Margaret Lowell. – Najlepszym sposobem usunięcia dowodu jest jego zniszczenie. Zabija się kuriera, a nie osobę, która wysłała list. W ten sposób nie można wykryć sprawcy.

–Przestańcie – wykrzyknął Jacob Mandel. – Czy w naszym rządzie mogą być takie śmiecie?

–Mogą być, przyjacielu – odpowiedział Samuel Winters. – Inaczej my sami nie robilibyśmy tego, co robimy.

–To jest tragedia – rzekł finansista kręcąc głową z żalem. – Naród z takimi perspektywami, a tak zepsuty od głowy. Zmieniają zasady, zmieniają prawa. Po co? Dla kogo?

–Dla samych siebie – odpowiedział Gideon Logan cichutko. – Myślisz, że coś się wydarzy, Miloście? – zapytała Margaret Lowell. – Jeśli te moje przypuszczenia okażą się słuszne, a embargo na doniesienia zostanie uchylone, to mniemam, że będziemy mogli przeczytać artykuły w prasie, w których nie będzie żadnych nazwisk oficjeli mających jakikolwiek związek z terrorystami. Znajdą się natomiast kozły ofiarne i to już nieżyjące. Waszyngton nie może sobie pozwolić na cokolwiek innego: jego polityka zagraniczna ległaby w gruzach. – A co się stanie z Bollingerem? – Sundstrom ponownie usiadł na krześle.

–Jeśli te kozły ofiarne będą wiarygodne i wystarczające, to oficjalnie dadzą mu spokój... Oficjalnie, a więc nas by to nie obchodziło. – To interesujące stwierdzenie, aczkolwiek niewiele wyjaśnia, panie Varak – powiedział Winters. – Mógłby pan wyjaśnić?

–Bardzo proszę, sir. Choć muszę wracać do Chicago, to jednak załatwiłem pewne sprawy z personelem urzędu telefonicznego w San Diego, który dostarczy mi danych o każdej rozmowie telefonicznej, jaka będzie prowadzona z rezydencji Bollingera, lub jego biura, oraz jaką odbędzie którykolwiek z członków jego sztabu. Podadzą mi numery telefonów, z których się łączono, oraz czas trwania rozmowy, nawet jeśli ktoś będzie dzwonić z automatu. Jeśli się nie mylę, to otrzymamy dość amunicji, nawet jeśli będą to tylko poszlaki, aby przekonać wiceprezydenta do rezygnacji z kandydowania z listy partyjnej. Ostatni samochód zjeżdżał z podjazdu, gdy Samuel Winters odłożył słuchawkę w bogato zdobionym pokoju bawialnym i podszedł do Varaka, który stał przy dużym oknie.

–Który to z nich? – zapytał Czech, wpatrując się w znikające pojazdy. – Myślę, że będziesz wiedzieć, zanim nastanie ranek w Kalifornii... śmigłowiec przyleci za pięć minut. Odrzutowiec ma zezwolenie na start o czwartej trzydzieści.

–Dziękuję, sir. Wierzę, że nie na darmo poczyniliśmy te wszystkie przygotowania.

–Miałeś dużo racji, Miloś. Ktokolwiek to jest, nie będzie miał odwagi dzwonić. Będzie musiał, lub musiała, zgłosić się osobiście. Czy w hotelu wszystko już przygotowano?

–Tak. Mój kierowca będzie miał klucze do służbowego wejścia i apartamentu. Będzie czekać na mnie na lotnisku w San Diego. Ja sam wjadę windą towarową.

–Powiedz mi, proszę – rzekł siwy historyk o wyglądzie arystokraty – czy możliwe jest, aby scenariusz, który nam przedstawiłeś był prawdziwy? Czy Andrew Vanvlanderem mógł rzeczywiście wejść w kontakt z Palestyńczykami? Nie, sir to niemożliwe. Jego żona nigdy by się na to nie zgodziła. Wcześniej sama by go zabiła, gdyby próbował to zrobić. Takie skomplikowane sprawy można powiązać, oczywiście z trudem, ale nigdy by nie ryzykowała. Ona jest profesjonalistką. W oddali, nad Chesapeake Bay rozległ się łoskot łopat śmigłowca. Ciągle narastał.

Khalehla położyła torbę na podłodze, rzuciła dwa pudełka i trzy torebki na łóżko. Sama rzuciła się także na pościel, grzebiąc głowę w poduszce. Poprosiła Gingerbreada Shapoffa, aby wysadził ją przy domu towarowym, by mogła sobie kupić trochę ubrań, ponieważ jej rzeczy były albo w Kairze, albo w Fairfax, albo na policji na Bahamach, lub nawet na pokładzie odrzutowca lotnictwa amerykańskiego. Koszałki opałki – powiedziała naśladując nieumiejętnie Scarlett O'Hara i patrząc bezmyślnie w sufit. – Pomyślę o wszystkim jutro – powiedziała sama do siebie. Ależ nie, niech to szlag trafi, nie można. Usiadła i sięgnęła po słuchawkę telefonu. Uważnie wykręciła odpowiedni numer Paytona w Langley w Wirginii.

–Tak?

–MJ, czy ty nigdy nie chodzisz do domu?

–A ty już jesteś w domu, moja kochana?

–Sama już nie wiem, gdzie jest mój dom, ale zdradzę ci coś, wujku Mitch.

–Wujku...? Na Boga, pewnie chcesz pojeździć na kucyku. O co chodzi?

–Mój dom pewnie będzie oznaczać wspólne życie z naszym przyjacielem.

–O, do licha, posunęłaś się do przodu.

–Nie ja. To on. Mówił nawet o jakichś dwudziestu czy trzydziestu latach.

–O czym?

–Nie wiem. O jakimś domu, dzieciach. No wiesz, o tym wszystkim. Tak mi się przynajmniej wydaje.

–No to sprowadźmy go żywego, Adrienne. Khalehla potrząsnęła głową nie po to, by zaprotestować, lecz żeby wrócić do rzeczywistości.

–Wystarczyło powiedzieć: Adrienne, MJ. Przepraszam.

–Nie musisz przeproszać. Każdemu z nas należy się coś z życia, a wiesz, że pragnę, byś była szczęśliwa.

–Ty nigdy nie byłeś szczęśliwy, prawda?

–Był to mój własny wybór, oficerze operacyjny Rashad.

–O, widzę, że cię trafiłam, czy też może mam powiedzieć: sir. – Mów sobie jak chcesz, ale teraz posłuchaj mnie. Mam już pierwszy raport z kliniki – wiesz, o tym pojmanym. Najprawdopodobniej podróżują w przebraniu księży, księży maronickich, na paszportach Izraela. Ten chłopiec niewiele wie: jest nieważny. Pozwolili mu uczestniczyć w tej akcji ze względu na Kendricka. Chłopak został okaleczony, gdy był z kongresmanem w Omanie.

–Wiem, powiedział mi to Evan. Byli w samochodzie policyjnym jadącym do Dżabal Szam. Na egzekucję, przynajmniej tak im się wydawało.

–Sprawy się komplikują... temu chłopcu powiedziano niewiele, jest roztrzęsiony. Z tego co dowiedzieli się nasi eksperci wynika, że dwie grupy miały się spotkać w pobliżu lotniska. "Komando Jeden" miało połączyć się z "Komando Dwa", co może oznaczać, że banda z Fairfax miała się połączyć z jednostką z Kolorado.

–To wymaga wielu przygotowań, MJ. Trzeba wiele podróżować. Ci, którzy to opracowali mieli sporo oleju w głowie, mam na myśli marszrutę. – Rzeczywiście, pomyśleli niekiepsko, wszystko skryli. Można wręcz powiedzieć, że wyczuwa się ślad biurokratyzmu.

–Skoro o tym mówisz – jestem dwa piętra ponad zbolałą wdową. – Jej biuro zostało postawione na nogi. Dowiedziała się, że możesz do niej zadzwonić.

–No to ogarnę się trochę i biorę się do roboty. A tak na marginesie – musiałam sobie kupić trochę ubrań i niech mnie licho porwie, jeśli mam za to płacić. Powiem szczerze: te ciuchy nie są w moim stylu: trochę za ostre.

–Myślę, wzięwszy pod uwagę dawne stosunki pani Vanvlanderen, że możesz sobie pozwolić na bardziej szalowy wygląd. – Aż tak szalowo to te ciuchy nie wyglądają.No, myślę, że nie. Zadzwon, kiedy to się już skończy. Khalehla położyła słuchawkę na widełkach, popatrzyła na nią przez chwilę i sięgnęła do torby. Otworzyła ją i wyjęła kartkę, na której zanotowała numer telefonu Evana w Mesa Verde. W chwilę potem zadzwoniła.

–Rezydencja pana Kendricka – powiedział kobiecy głos, po którym rozpoznała jedną z pielęgniarek.

–Czy mogę rozmawiać z kongresmanem, mówi panna Adrienne z Departamentu Stanu.

–Proszę bardzo, szanowna pani, ale proszę chwilę poczekać, aż go wezwę. Właśnie żegna się z tym uroczym młodym Grekiem. – Z kim?

–Myślę, że jest Grekiem. Zna wielu ludzi, których kongresman spotkał będąc w Arabii.

–O czym pani mówi?

–O księdzu. Jest młodym księdzem z...

–Zabieraj go stamtąd! – wrzasnęła Khalehla zrywając się na równe nogi. Wołaj ochronę! Oni tam są. Chcą go zabić!

* * *

Rozdział 33

Okazało się to bardzo proste, pomyślał Ahbyahd, obserwując wszystko z lasu naprzeciwko dużego domu pogardzanego wroga. Szczery i sympatyczny młody

duchowny, którego papiery były w porządku i który – oczywiście – nie miał przy sobie żadnej broni, przynosi pozdrowienia od przyjaciół wielkiego człowieka. Któż by mu odmówił krótkiego spotkania, temu niewinnemu świętemu mężczyźnie z dalekiego kraju, który nie zdawał sobie sprawy z formalności związanych z odwiedzaniem ważnych osobistości? Początkowa odmowa została odwołana przez samego wroga; reszta zależała od wysoce pomysłowego terrorysty. To, co pozostało, zależało od nich wszystkich. Nie zawiodą. Ich młody przyjaciel wychodził z domu! Wymienił uścisk dłoni z obrzydliwym "Amalem Bahrudi" pod baczными spojrzeniami strażników w urzędniczych garniturach, z automatycznymi pistoletami. Wierni mogli jedynie szacunkowo ocenić liczbę straży; na zewnątrz było ich co najmniej dwunastu, wewnątrz prawdopodobnie jeszcze więcej. Dzięki miłości Allacha pierwsze uderzenie wyeliminuje wielu strażników, zabijając większość i ciężko raniąc resztę. Ich towarzysza odprowadzano zakręcającym podjazdem do samochodu zaparkowanego na drodze za wysokim żywopłotem. Już tylko kilka chwil. Ukochany Allah im sprzyja! Pojawiło się następnych trzech strażników, i teraz przed domem było ich już siedmiu. Czyń swoją powinność, bracie! Jedź uważnie! Towarzysz doszedł do samochodu, grzecznie pochylił głowę, czyniąc znak krzyża i raz jeszcze wymienił uścisk dłoni; towarzyszącego mu mężczyznę zasłaniał przed innymi żywopłot. Otworzył drzwiczki samochodu i lekko kaszlnął, opierając się o oparcie przedniego siedzenia i sięgając prawą ręką w dół. Nagle, z pewnością i prędkością prawdziwego fedaina obrócił się z obosiecznym ostrzem w dłoni i zanurzył je w gardle strażnika nim ten się zorientował, co się dzieje. Strażnik upadł, tryskając krwią, a terrorysta złapał jednocześnie za broń i za jego ciało, odciągając je przez drogę w krzaki na skraju lasu. Spojrzał w kierunku Ahbyahda, kiwnął głową i pobiegł do samochodu. Z kolei Ahbyahd pstryknął palcami i dał sygnał braciom schowanym za nim wśród drzew. Trzej mężczyźni ruszyli ostrożnie do przodu, ubrani – podobnie jak ten siwy – w ubrania wzorowane na wojskowych, z lekkimi karabinami maszynowymi w dłoniach i z granatami przyczepionymi do połowych kurtek. Mówiący po angielsku zabójca za kierownicą włączył silnik, wrzucił bieg i pojechał wolno, od niechcenia, w kierunku lewego wyjazdu. Znienacka – z silnikiem na najwyższych obrotach – skręcił samochodem ostro w prawo i wjechał na podjazd, jednocześnie sięgając pod tablicę rozdzielczą i naciskając przycisk. Otwierając drzwi skierował samochód na duży frontowy trawnik, wprost na drepczących strażników rozmawiających z członkiem Kongresu, a sam wyskoczył z pędzącego pojazdu na żwir. Kiedy uderzał o ziemię, usłyszał krzyk kobiety, dochodzący przez kakofonię dźwięków: ryczącego silnika i wrzasków rządowych patroli. Jedna z pielęgniarek wybiegła przez frontowe drzwi, wołając coś niezrozumiale; na widok pędzącego samochodu bez kierowcy obróciła się i krzyknęła znów, tym razem do Kendricka, który znajdował się najbliżej kamiennego wejścia. Uciekaj! wrzasnęła, powtarzając słowa, które dopiero co usłyszała. – To ciebie chcą zabić! Mężczyzna rzucił się biegiem do ciężkich drzwi, chwytając kobietę za ramię i popychając ją przed sobą, gdy tymczasem strażnicy otworzyli ogień do pustego metalowego potwora szarpiącego się bezładnie, który jechał teraz z boku domu, wprost na rozsuwane

szklane drzwi werandy. W środku Evan walnął ramieniem w drzwi i zamknął je. To, i grube pancerne szkło, uratowały im życie. Wybuchy przypominały grzmoty kolejnych spustów z jakiegoś ogromnego pieca – wywalały okna i drzwi, zapalały zasłony i meble. Na zewnątrz przed frontem domu siedmiu strażników z CIA padło pod razami kawałków szkła i metalu wyrzuconymi w powietrze przez pięćdziesiąt kilo dynamitu przymocowane pod samochodem. Czterech nie żyło, z głowami i ciałami podziurawionymi jak rzeszoto; dwóch jeszcze żyło, krew leciała im z oczu i piersi. Ostatni, z urwaną lewą ręką, z wściekłością strzelając seriami rzucił się przez trawnik do księdzaterroty, który z obłąkanym śmiechem strzelał na prawo i na lewo. Obaj mężczyźni zastrzelili się wzajemnie chłodnego, choć słonecznego dnia w stanie Kolorado. Kendrick przypadł do kamiennej ściany w holu, przyciskając się do wystającego ornamentu skalnego. Spojrzał na pielęgniarkę. – Proszę tu zostać – rozkazał i zaczął powoli przesuwając się do rogu salonu. Wszędzie unosił się dym, roznoszony podmuchami z potłuczonych okien. Słyszał krzyki na zewnątrz; strażnicy otaczający dom gromadzili się teraz w jednym miejscu i fachowo wzajemnie osłaniali, przegrupowując się na inne pozycje. Cztery wybuchy nastąpiły jeden po drugim – granaty! Potem rozległy się krzyki po arabsku:

–Śmierć naszym wrogom! Śmierć Wielkiemu Szatanowi! Krew zapłaci za krew! Powtarzające się wystrzały z broni automatycznej słycać było z różnych stron. Wybuchły dwa następne granaty, jeden, wrzucony przez rozwalone okno wprost do salonu, wysadził w powietrze przeciwległą ścianę. Evan rzucił się pod osłonę kamienia, a potem, kiedy na rumowisku ucichło, zawołał: Manny! Manny? Gdzie jesteś? Odezwij się! Nie było nic słycać, oprócz nieustannego dzwonienia najwyraźniej popsutego telefonu. Strzały na zewnątrz rozbrzmiewały coraz bardziej ogłuszająco, wybuch za wybuchem, kule odbijające się od ścian uderzały w drewno, dziko panoszyły się w powietrzu. Manny był przedtem na werandzie, werandzie z oszklonymi drzwiami! Kendrick musi się tam dostać. Musi! Wpadł w dym i ogień salonu, osłaniając oczy i nos, gdy nagle jakaś postać wpadła w potłuczone okno, rozwalając resztki szkła. Mężczyzna poturlał się po podłodze i zerwał się na nogi.

–Ahbyahd! krzyknął sparaliżowany Evan.

–To ty! – wrzasnął Palestyńczyk z wycelowaną bronią. – Splywa na mnie chwała! Chwała! Bądźże pozdrowiony ukochany Allachu! Przynosisz mi wielkie szczęście!

–Czy aż tyle jestem dla ciebie wart? Tylu zabitych? Tylu ciężko rannych? Naprawdę aż tyle jestem wart? Czy twój Allah wymaga tak wielu zabitych?

–I ty mówisz o zabitych? – wrzasnął terrorysta. – Azra nie żyje! Yosef nie żyje! Zaya zabita przez Żydów z nieba nad doliną Bekaa! Wszyscy inni... setki, tysiące – nie żyją! Teraz Amalu Bahrudi, sprytny zdrajco, zabieram cię do piekła. Jeszcze nie – rozległ się z przejścia wiodącego na werandę półszep, półkrzyk. Słowom towarzyszyły dwa głośnie, wibrujące strzały pistoletowe, które na krótko zagłuszyły gwałtowną kanonadę na zewnątrz. Ciało Ahbyahda, Białego, wygięło się w łuk pod uderzeniami kul, czaszkę miał częściowo roztrzaskaną. Emmanuel Weingrass, z twarzą i koszulą umazaną we krwi, z lewym ramieniem wysuniętym w przejście na werandę, osunął się na podłogę.

–Manny! – krzyknął Kendrick, podbiegając do starego architekta. Ukląkł i uniósł z ziemi górną część jego ciała. – Gdzie jesteś ranny?

–Spytaj, gdzie nie jestem – odparł gardłowo, z trudem Weingrass. – Sprawdź te dwie dziewczyny! Kiedy... wszystko się zaczęło, podeszły do okien... Usiłowałem je powstrzymać. Sprawdź, czy są w porządku, do diabła! Evan spojrzął na dwa ciała leżące na werandzie. Z rozsuwanych drzwi za nimi została tylko rama z kilkoma ostro zakończonymi kawałkami grubego szkła. Samochodowa bomba zrobiła swoje z dwóch ludzkich ciał pozostało trochę poszatkowanej skóry i krwi. – Nie mam co sprawdzać, Manny. Przykro mi.

–Uważasz się za jakiegoś cholernego Boga w twoim pieprzonym niebie! – wykrzyknął Weingrass ze łzami w oczach. – Czego jeszcze chcesz, ty oszuście?! – Starzec stracił przytomność. Odgłos wystrzałów na zewnątrz zamilkł. Kendrick, przygotowany na najgorsze, wyszarpnął Magnum kaliber 0.357 cala z dłoni Manny'ego. Przez chwilę zastanawiał się, skąd Manny wziął broń i od razu odpowiedział sobie, że od GeeGee Gonzalesa. Delikatnie ułożył Weingrassa na podłodze i wstał. Ostrożnie wszedł do tłącego się salonu, gdzie zaskoczył go odór mokrego dymu. Woda wlewała się przez spryskiwacze przeciwpożarowe. Strzał! Upadł na podłogę, rozglądając się szybko wokół siebie, trzymając broń w pogotowiu.

–Czterech! – zawołał głos zza potłuczonych okien. – Naliczyłem czterech!

–Jeden wszedł do środka – wrzasnął drugi głos. – Podejdź i strzelaj do wszystkiego, co się rusza. Jezu Chryste, nie chcę, żeby nas liczone! I nie chcę także, aby któryś z tych skurwysynów wyszedł stąd żywy! Rozumiesz?

–Tak jest.

–On nie żyje! – krzyknął Evan na tyle głośno, na ile głos mu pozwalał. Ale jest tu ktoś, kto jest ranny. Żyje, jest ciężko poraniony i jest jednym z nas.

–Kongresman? Czy to pan Kendrick?

–To ja i w życiu nie chcę więcej słyszeć tego tytułu. – Telefon znów zaczął dzwonić. Evan wstał i znużony poczłapał do nadpalonego sosnowego biurka, oblanego wodą ze spryskiwaczy. Nagle zobaczył pielęgniarkę, która wcześniej uratowała mu życie, jak z wahaniem podchodzi do kamiennego przejścia.

–Proszę nie wchodzić – powiedział. – Nie chcę, żeby pani tu była. – Słyszałam, jak pan mówił, że ktoś jest ranny. To mój zawód. Telefon ciągle dzwonił.

–On, tak. Inni nie. Nie chcę, żeby zobaczyła pani innych. – Nie jestem podszytym strachem zającym. Byłam w Wietnamie. – Ale to były pani koleżanki!

–Nie one jedne – odparła pielęgniarka. – Czy to Manny?

–Tak. Telefon ciągle dzwonił.

–Niech pan potem zadzwoni do doktora Lyonsa. Kendrick podniósł słuchawkę.

–Tak?

–Evan, Bogu dzięki! Mówi MJ. Właśnie się dowiedziałem od Adrienne...

–Odpieprz się – powiedział Kendrick, przerywając połączenie i wykręcając numer do informacji. Początkowo pokój zawirował, potem odległy grzmot rozległ się bliżej i błyskawice rozświetliły mu umysł. Czy mogłaby pani powtórzyć, żebym dokładnie wszystko zrozumiał? poprosił telefonistkę.

–Naturalnie, proszę pana. W spisie telefonów nie ma doktora Lyonsa w okręgach Cortez i Mesa Verde. Na całym terenie nie ma żadnego Lyonsa.

–Tak się nazywa! Widziałem jego nazwisko na dokumencie odtajnianym z Departamentu Stanu!

–Słucham?

–Nic... Nic! Evan rzucił słuchawkę na widełki i telefon znów zaczął dzwonić. – Tak?

–Kochanie! Nic ci się nie stało?

–Twój pieprzony MJ wszystko załatwił. Nie wiem, ile osób nie żyje, a Manny jest podziurawiony jak sito. Już prawie umarł, i w dodatku nie ma żadnego lekarza.

–Zadzwoń do Lyonsa.

–On nie istnieje!... Skąd wiedziałaś, co się tutaj stało? – Rozmawiałam z pielęgniarką. Powiedziała, że był tam ksiądz i, kochanie, posłuchaj! Zaledwie kilka minut temu odkryliśmy, że podróżowali przebrani za księży! Dzwoniłam do MJ, który się potwornie wściekł. Zatrudnił połowę stanu Kolorado, wszystkich z FBI, którzy zostali zaprzysiężeni.

–Właśnie mu powiedziałem, żeby się odpieprzył.

–On nie jest twoim wrogiem, Evan.

–A kto nim, do diabła, jest?

–Na litość boską, usiłujemy się tego dowiedzieć!

–Trochę wolno wam to idzie.

–A im bardzo szybko. Co mam ci powiedzieć? Kendrick, cały mokry od wody lejącej się ze spryskiwaczy, spojrzał na pielęgniarkę, która zajmowała się Weingrassem. Oczy miała pełne łez i gardło zaciśnięte w obawie przed wybuchem histerycznego krzyku na widok jej koleżanek na werandzie.

–Powiedz, że do mnie wrócisz – odparł cicho Evan. – Powiedz mi, że ten koszmar się skończy. Powiedz mi, że jeszcze nie zwariowałem. – Mogę ci to wszystko powiedzieć, ale ty musisz uwierzyć. Żyjesz i to jedynie się dla mnie w tej chwili liczy.

–A co z tymi, którzy nie żyją? A Manny? Czy oni się nie liczą? – Wczoraj wieczorem Manny powiedział coś, co zrobiło na mnie wielkie wrażenie. Rozmawialiśmy o Hassanach – o Sabri i Kashi. Powiedział, że każde z nas będzie o nich pamiętać i że na swój sposób będziemy ich opłakiwać... później. Komuś mogłoby się to wydawać bez serca, ale nie mnie. On był tam, gdzie ja byłam i wiem, skąd on pochodzi. O wszystkich będziemy pamiętać, lecz w tej chwili musimy o nich zapomnieć i zrobić to, co trzeba zrobić. Czy to ma dla ciebie jakiś sens... kochanie?

–Usiłuję cokolwiek zrozumieć. Kiedy wracasz?

–Będę wiedziała za parę godzin. Zadzwonię do ciebie. Evan odłożył słuchawkę i usłyszał odgłosy licznych syren i nadlatujących helikopterów, które koncentrowały się na drobnym spłachetku ziemi, nazwanym Mesa Verde, w stanie Kolorado.

–Co za przepiękne miejsce – powiedziała miękko Khalehla, przechodząc marmurowym foyer do salonu położonego na niższym poziomie w apartamencie Vanvlanderów.

–Ma swoje zalety – odparła wdowa, zaciskając w rękę chusteczkę do nosa.

Zamknęła drzwi i podeszła do oficera wywiadu z Kairu. – Wiceprezydent potrafi być bardzo wymagający i miałam do wyboru to albo prowadzenie drugiego domu, kiedy jest w Kalifornii. Dwa domy – jego i mój – to jednak trochę za dużo.

–Czy one wszystkie są takie? – spytała Khalehla, siadając w fotelu zaprojektowanym przez Ardis Vanvlanderem. Fotel stał naprzeciwko dużej, wspianiałej sofy; pani domu potrafiła bezbłędnie usadzać gości.

–Nie. Mój mąż kazał to przerobić zgodnie z naszym gustem. Wdowa dotknęła chusteczką twarzy. – Chyba powinnam się przyzwyczać do mówienia "mój świętej pamięci mąż" – dodała z westchnieniem, siadając na sofie.

–Bardzo mi przykro i jeszcze raz przepraszam za to, że nachodzę panią w takiej chwili. To niedopuszczalne i usiłowałam przekonać moich szefów, ale oni nalegali.

–Mieli rację. Sprawy państwowe muszą iść swoim biegiem. Rozumiem to.

–A ja chyba nie. Moim zdaniem nasza rozmowa mogła się równie dobrze odbyć choćby jutro rano. Cóż, oni mieli inne zdanie. – To mnie właśnie fascynuje – powiedziała Ardis, wygładzając fałdy czarnej, jedwabnej sukni od Balenciagi. – Co może być tak okropnie ważne?

–Na początku pragnę zastrzec, że nasza rozmowa musi pozostać między nami – odparła Khalehla, zakładając nogę na nogę i wygładzając zmarszczkę ciemnoszarego kostiumu nabytego w magazynie Robinsons w San Diego. – Nie chcielibyśmy, aby wiceprezydent Bollinger niepotrzebnie się denerwował. Agentka z Kairu wyciągnęła z czarnej torebki notes i przeciągnęła dłonią po ciemnych włosach, zaczesanych do tyłu i ściągniętych w surowy kok. – Wiem, iż poinformowano panią, że pracuję za granicą i wezwano mnie tutaj w związku z tym zadaniem.

–Powiedziano mi, że jest pani ekspertem od spraw bliskowschodnich.

–To eufemistyczne określenie działalności terrorystycznej. Jestem półArabką.

–Widzę. Jest pani piękna.

–To pani jest bardzo piękna.

–Nie jest najgorzej dopóki nie pamiętam ile mam lat.

–Jesteśmy z pewnością w tym samym wieku.

–O tym lepiej też nie myślm... O co chodzi? Dlaczego musiała się pani ze mną spotkać tak szybko?

–Nasz personel, który pracuje w Dolinie Bekaa w Libanie zdobył zaskakujące i niepokojące informacje. Czy wie pani co to jest "grupa uderzeniowa"?

–Kto by nie wiedział? – Wdowa sięgnęła po paczkę papierosów na stoliku do kawy. Wyjęła papierosa i wzięła do ręki białą marmurową zapalniczkę. – To grupa mężczyzn, zazwyczaj mężczyzn, wysłanych, aby kogoś zabić. – Zapaliła papierosa; jej prawa ręka drgała prawie niedostrzegalnie. – Tyle jeśli chodzi o definicje. Dlaczego dotyczy to wiceprezydenta?

–Ponieważ mu grożono. Z tego powodu prosiła pani o ochronę FBI.

–To już nieaktualne – powiedziała Ardis, głęboko zaciągając się papierosem. – Okazało się, że to jakiś wariat, który prawdopodobnie nawet nie miał broni. Kiedy jednak zaczęły się te wulgarne telefony i obrzydliwe listy, pomyślałam, że nie możemy ryzykować. To wszystko jest w raporcie; ścigano go przez wiele miast aż

wreszcie wsiadł do samolotu w Toronto. Rozumiem, że poleciał na Kubę i dobrze mu tak. – On wcale nie musiał być wariatem.

–Co to znaczy?

–Nigdy go nie znaleźliście, prawda?

–FBI przygotowało bardzo szczegółowe opracowanie. Określono go jako obłąkanego umysłowo, klasyczny przypadek schizofrenii z dodatkiem kompleksu mściciela czy czegoś równie idiotycznego. W zasadzie był niegroźny. To zamknięta sprawa.

–Chcielibyśmy ją znów otworzyć.

–Dlaczego?

–Dostaliśmy wiadomość z doliny Bekaa, że wysłano tutaj dwie lub więcej grup uderzeniowych, najprawdopodobniej po to, aby zamordować wiceprezydenta Bollingera. Wasz wariat – celowo czy nieświadomie – może być zasadniczą kwestią.

–"Zasadniczą kwestią"? O czym pani mówi? Nie rozumiem pani słownictwa, wiem tylko, że to brzmi niedorzecznie.

–Wcale nie – odparła spokojnie Khalehla. – Terroryci działają na zasadzie maksymalnej jawności. Często dużo wcześniej ogłaszają, co ma być celem ich ataku. Mają na to wiele różnych sposobów. – Dlaczego terroryści chcieliby zabić Orsona... wiceprezydenta Bollingera?

–Dlaczego sądziła pani, że groźby przeciwko niemu należało traktować poważnie?

–Bo były. Nie mogłam ich ignorować.

–I miała pani rację – zgodziła się agentka, przyglądając się, jak wdowa gasi papierosa w popielniczce i natychmiast zapala następnego. – Żeby zaś odpowiedzieć na pani pytanie: gdyby zamordowano wiceprezydenta, powstałaby nie tylko znaczna próżnia wśród kandydatów – pewniaków na prezydenta, lecz także istotna destabilizacja.

–W jakim celu?

–Maksymalnego rozgłosu. To byłoby spektakularne morderstwo, prawda? Gdyby w dodatku okazało się, że FBI było zaalarmowane, a potem odwołane, że zostało przechytrzone lepszą strategią. – Strategią? – zakrzyknęła Ardis Vanvlander. Jaką strategią? – Psychopatycznego wariata, który wcale nie był wariatem. Następuje skupienie uwagi na nieszkodliwym wariacie, potem wszystko się odwołuje, a na arenę wkraczają prawdziwi mordercy. – To szaleństwo!

–Które wielokrotnie bywało powtarzane. W arabskim rozumowaniu wszystko zmienia się etapami w postępie geometrycznym. Jeden krok prowadzi do następnego, i choć pierwszy na pozór nie jest związany z trzecim, można znaleźć między nimi związek, jeśli się dobrze poszuka. Biorąc pod uwagę przypadki klasyczne, to odwrócenie uwagi doskonale pasuje do schematu.

–To nie było odwrócenie uwagi! Telefony z różnych miast, wstrętne listy z wycinanymi z gazet literami...

–Klasyka – powtórzyła cicho Khalehla, pisząc.

–Co pani robi?

–Ponownie otwieram notes... i notuję pani wrażenie. Czy mogę panią o coś

spytać?,

–Proszę bardzo – odparła wdowa głosem opanowanym, choć niespecjalnie przyjaznym.

–Czy przychodzi pani do głowy ktoś, kto pośród wielu popleczników, wielu przyjaciół – powinnam raczej powiedzieć – wiceprezydenta Bollingera tutaj w Kalifornii nie jest ani jednym, ani drugim? – Słucham?

–Powszechnie wiadomo, że wiceprezydent obraca się w kołach ludzi zamożnych. Czy jest ktoś, z kim dzieliła go różnica zdań, może to być więcej niż jedna osoba, może jakaś konkretna grupa? Z odmiennym zdaniem co do rządowej linii postępowania czy rozdziału funduszy?

–Wielki Boże, o czym pani mówi?

–Proszę pani, jestem tu, bo już sami nie wiemy, czego szukać. Czy są w Kalifornii ludzie, którzy woleliby innego kandydata? Mówiąc wyraźnie – innego wiceprezydenta?

–Nie wierzę własnym uszom! Jak pani śmie!

–Niestety, to nie ja śmiem, tylko zupełnie ktoś inny. Komunikację międzynarodową, nawet najlepiej ukrywaną, można wytropić. Na początku może nie do konkretnego człowieka czy grupy ludzi, lecz do sektora, miejsca... Istnieje grupa lub grupy ludzi zamieszanych w tę straszną sprawę i są oni tutaj, w południowej Kalifornii. Nasi ludzie w Bekaa odkryli kablogramy przechodzące przez Bejrut z Zurychu, a naprawdę nadane w San Diego.

–San Diego? Zurych?

–Pieniądze. Zbieżność interesów. Jednej grupie zależy na spektakularnym zabójstwie z maksymalną jawnością, druga natomiast chciałaby się pozbyć spektakularnego celu, ale musi być jak najdalej od zabójstwa. Obie te rzeczy wymagają dużej ilości pieniędzy. Idź za pieniędzmi – oto dewiza naszej pracy. I właśnie to teraz robimy. – Szukacie pieniędzy?

–To kwestia dni. Banki szwajcarskie są chętne do współpracy jeśli chodzi o narkotyki i terroryzm. A nasi agenci w Bekaa rozsyłają opisy członków grup uderzeniowych. Udawało się nam ich zatrzymać w przeszłości, uda się nam i teraz. Znajdziemy powiązanie z San Diego. Uważaliśmy, że może podsunie nam pani jakieś sugestie.

–Sugestie? – zawołała zaskoczona wdowa, gasząc papierosa. To wszystko jest tak niewiarygodne, że straciłam zdolność jakiegokolwiek myślenia! Czy jest pani pewna, że nie popełniono jakiegoś ogromnego, potwornego błędu?

–W tych sprawach nie popełniamy błędów.

–To parszywie egoistyczne stwierdzenie – powiedziała Ardis, w której pensylwańskie pochodzenie wzięło górę nad starannie kultywowanym angielskim. – Nie jesteście przecież nieomylni. – W niektórych przypadkach musimy być nieomylni; nie moglibyśmy sobie pozwolić na pomyłki.

–To po prostu idiotyczne!... To znaczy... to znaczy, jeśli te grupy uderzeniowe faktycznie istnieją i jeśli ktoś coś wysyłał do Zurychu i do Bejrutu z... z okolic San Diego... Przecież mógł to być ktokolwiek i podpisać się jakimkolwiek nazwiskiem! Na

litość boską, mogliby nawet użyć mojego nazwiska!

–Coś takiego natychmiast byśmy odrzucili. – Khalehla odpowiedziała na nie zadane pytanie, zamykając notes i chowając go do torebki. – To by było szyte zbyt grubymi nićmi.

–No właśnie, może tak jest. Może ktoś chce zrobić jednego z przyjaciół Orsona, czy nie jest to możliwe?

–Wrobić w morderstwo wiceprezydenta?

–Może... Jak to pani nazwała? Może celem jest ktoś inny, czyż to nieprawdopodobne?Ktoś inny? – zdziwiła się agentka i aż drgnęła, gdy wdowa chwyciła następnego papierosa.

–Tak. A wysyłanie kablogramów z okolicy San Diego fałszywie wskazuje na niewinnego poplecznika Bollingera! To jest możliwe, proszę pani.

–To bardzo interesujące. Przekażę pani spostrzeżenia moim szefom. Będziemy musieli rozważyć taką możliwość. Podwójne pominięcie z fałszywą wtyczką.

–Co? – Piskliwy głos wdowy pochodził wprost z jakiegoś, nie istniejącego już, baru w Pittsburghu.

–Slang zawodowy – wyjaśniła Khalehla, wstając. – Znaczy tyle co: nie zdradzać celu. pominąć źródło i dostarczyć fałszywej tożsamości.

–Ależ wy macie śmieszne odzywki.

–Ma to swoje zalety... Będziemy z panią w stałym kontakcie oraz posiadamy rozkład zajęć wiceprezydenta. Nasi ludzie, eksperci od działań antyterrorystycznych, będą wszędzie po cichu uzupełniać obstawę pana Bollingera.

–Dobra. – Pani Vanvlanderem z papierosem w ręku, zapominając o porzuconej na brokatowej sofie chusteczce, odprowadziła gościa do drzwi.

–Jeszcze a propos tej teorii o podwójnym pominięciu i fałszywej wtyczce – odezwała się agentka wywiadu w marmurowym foyer. Jest interesująca i wykorzystamy ją do nacisku na szwajcarskie banki, ale moim zdaniem nie jest prawdopodobna.

–Co?

–Wszystkie numerowane kontaw bankach szwajcarskich mają zapieczętowane kody prowadzące do założyciela. Są to często prawdziwe labirynty, ale dają się odszyfrować. Ostatecznie nawet najbardziej chciwy władca mafii czy handlarz broni z Arabii Saudyjskiej wie, że kiedyś umrze. I nie zamierza pozostawić swoich milionów gnomom z Zurychu... Dobranoc i proszę jeszcze raz przyjąć wyrazy współczucia. Khalehla podeszła do zamkniętych drzwi apartamentu Vanvlanderemów. Z wewnątrz usłyszała stłumiony krzyk paniki, pomieszany z przekleństwami; jedyna mieszkanka tego cudu na zamówienie załamywała się. Plan się udał! MJ miał rację! Negatywne okoliczności śmierci Andrew Vanvlanderena zostały odwrócone. To, co było zagrożeniem, zmieniło się teraz w cenny nabytek. Wdowa po wspólniku traciła głowę. Miloś Varak stał w ciemnej bramie, trzydzieści metrów w lewo od wejścia do Westlake Hotel i dziesięć metrów od rogu, za którym na sąsiedniej ulicy znajdowało się wejście dla personelu. Była 7.35 wieczorem, czasu kalifornijskiego. Wyprzedził wszystkie rejsowe loty z Waszyngtonu, Marylandu i z Wirginii. Był na miejscu w

odpowiedniej chwili, a na górze w hotelu wszystko należycie przygotowano. Pośród personelu znajdował się nowy nabytek, doświadczony i poinstruowany przez Czecha. W każdym pomieszczeniu znajdowały się urządzenia podsłuchowe; każda rozmowa zostanie nagrana przez umieszczone w sąsiednim apartamencie magnetofony włączane dźwiękiem głosu. Mniej więcej raz na trzy minuty podjeżdżała taksówka i Miloś przyglądał się każdemu wysiadającemu gościowi. Naliczył dwudziestu lub trzydziestu, tracąc rachubę, lecz nadal zachowując pełną koncentrację. Nagle zwrócił uwagę na coś dziwnego: taksówka zatrzymała się po jego lewej stronie, przy sąsiedniej ulicy, co najmniej sto metrów dalej. Wysiadł z niej jakiś mężczyzna i Varak cofnął się głębiej w nie oświetloną bramę. Mężczyzna w płaszczu; z postawionym kołnierzem zakrywającym twarz, przeszedł szybko przez ulicę do wejścia do hotelu. O trzy metry minął koordynatora Inver Brass. Zdrajcą był Eric Sundstrom – i był przerażony.

Rozdział 34

Ardis Vanvlandereren zatkało.

–Wielki Boże, co ty tu robisz? – zawołała po chwili, wciągając jednocześnie do środka pękatego Sundstroma i zamykając drzwi. – Rozum cię opuścił?

–Mnie nie, ale twój najwyraźniej udał się na drugie śniadanie... Głupia, głupia, głupia! Co żeście sobie właściwie wyobrażali, ty i ten kretyn twój mąż?

–Arabowie? Grupy uderzeniowe?

–Tak. Przeklęci głupcy...

–To wszystko jest absurdalne! – krzyknęła wdowa. – To jakieś tragiczne nieporozumienie. Dlaczego my... dlaczego Andy chciałby, aby zamordowano Bollingera?

–Bollinger? Chodzi o Kendricka, dziwko! Terroryci palestyńscy zaatakowali jego domy w Wirginii i w Kolorado... Jest zakaz podawania tej wiadomości, ale mnóstwo ludzi zginęło, choć nie nasz cherubinek.

–Kendrick? – wyszeptała Ardis, z widoczną w jej dużych, zielonych oczach paniką. – Och, mój Boże... A oni myślą, że mordercy przyjdą tutaj, aby zabić Bollingera. Pojmują wszystko na odwrót! – Oni? – Sundstrom zeszywniał i zrobił się trupio błydy. – O czym ty mówisz?

–Lepiej usiądźmy. Pani Vanvlandereren przeszła przez foyer do salonu, z powrotem na kanapę i do swoich papierosów. Błydy naukowiec podążył za nią, po czym skręcił do barku, gdzie były butelki, karafki, szklanki i kubek z lodem. Bez zwracania uwagi na nalepkę podniósł jakąś butelkę i nalał sobie do szklanki.

–Kim są oni? – zapytał cicho i z napięciem, przyglądając się, jak Ardis zapala papierosa.

–Wyszła jakieś półtorej godziny temu...

–Kto?

–Kobieta nazwiskiem Rashad, ekspert od działań antyterrorystycznych. Należy do grupy specjalnej, przy pomocy której CIA współpracuje z rządem. Ani razu nie wspomniała o Kendricku – Jezu Chryste, dogrzebali się wszystkiego. Varak mówił, że tak będzie i stało się.

–Kto to jest Varak?

–Nazywamy go naszym koordynatorem. Mówił, że odkryją twoje bliskowschodnie zainteresowania.

–Moje co? – krzyknęła wdowa, z wykrzywioną twarzą, z wytrzeszczonymi oczyma.

–To, że kompania OffShore...

–Off Shore Investments – uzupełniła Ardis, znów zaskoczona. Zabrało mi to osiem miesięcy z mojego życia, ale to było wszystko. – I masz kontakty na całym terenie...

–Nie mam żadnych kontaktów! – wrzasnęła pani Vanvlandereren. Wyjechałam ponad dziesięć lat temu i nigdy więcej tam nie byłam. Jedyni Arabowie, jakich znam to kilku ruletkowiczów, których poznałam w Londynie i w Divonne.

–Ruletkowiczów przy stole czy w łóżku?

–I tu, i tu, jeśli chcesz wiedzieć, kochasiu... Dlaczego mieliby tak uważać?

–Ponieważ dałaś im dobry powód do wszczęcia poszukiwań, kiedy dziś rano załatwiłaś kremację tego skurwysyna!

–Andy'ego?

–Czy kręcił się tu ktoś jeszcze, kto nagle padł trupem? A może został otruty?

–O czym ty, do diabła, mówisz?

–O zwłokach twego czwartego czy piątego męża, o tym właśnie mówię. Ledwie zdążyły dotrzeć do cholernego domu pogrzebowego, a ty dzwonisz i każesz je natychmiast spalić. I tobie się zdaje, że ludzie się tym nie zainteresują – ludzie, którym płacą, za to, żeby się takimi rzeczami interesowali? Bez sekcji, prochy rozrzucone gdzieś nad Pacyfikiem.

–Nigdzie nie dzwoniłam! – wrzasnęła Ardis, zrywając się z kanapy. – Niczego takiego nie kazałam robić!

–Owszem, kazałaś – wrzasnął równie głośno Sundstrom. – Powiedziałaś, że tak się umówiliście z Andy'm.

–Nie powiedziałam i wcale się nie umawialiśmy!

–Varak nie podaje nam nieprawdziwych informacji – stwierdził stanowczo naukowiec.

–To ktoś go oszukał. – Wdowa nagle zniżyła głos. – Albo on kłamał.

–Po co? Nigdy przedtem nie oszukiwał.

–Nie wiem – powiedziała Ardis, siadając i gasząc papierosa. A dlaczego właściwie – ciągnęła dalej, spoglądając na zdrajcę Inver Brass – przyjechałeś taki kawał drogi, aby mi o tym powiedzieć? Dlaczego nie zadzwoniłeś? Znasz numer naszego prywatnego telefonu.

–To znów przez Varaka. Nikt naprawdę nie wie, jak on może robić to, co robi, ale tak jest. Varak jest w Chicago, ale załatwił, żeby mu podano każdy numer telefonu, z którego odbywa się połączenie z biurem i rezydencją Bollingera, a także z biurem i mieszkaniem każdej osoby z jego personelu. W takich warunkach ja nigdzie nie dzwonię.

–W twoim przypadku trudno byłoby ci się wytłumaczyć tej radzie zdzięczinniałych idiotów, do której należysz. Jedyne telefony, jakie miałam, były z kondolencjami – z biura i od przyjaciół. I jeszcze ta Rashad; żaden z nich nie zainteresowałby pana Varaka, ani twojego towarzystwa dobroczynności składającego się z bogatych pomyślników. – Ta kobieta – Rashad. Mówisz, że nie wspomniała o napadzie na domy Kendricka. Zakładając, że Varak się myli i że zespoły badawcze nie złożyły do kupy pewnych faktów, które wskazywałyby na ciebie i jeszcze może kilka osób, dlaczego tego nie zrobiła? Musiała o tym wiedzieć. Ardis Vanvlanderen sięgnęła po papierosa, a w jej oczach pojawiła się, rzadko w nich goszcząca, bezradność. Może być wiele powodów – zaczęła bez przekonania, zapalając zapalniczkę. – Po pierwsze wiceprezydenta często się pomija w sprawach związanych z bezpieczeństwem; Truman nigdy nie słyszał o projekcie Manhattan. Po drugie należy unikać paniki, jeśli ten napad rzeczywiście miał miejsce, a ja nie mogę powiedzieć, abym w to wierzyła bez zastrzeżeń. Twojego Varaka przyłapałam na jednym kłamstwie, może być zdolny do innych. Ponadto, gdyby wiadomości o liczbie zabitych w Wirginii i w Kolorado się

rozniosły, moglibyśmy stracić kontrolę nad służbą. Nikt nie chce zginąć z ręki terrorysty maniaka... Poza tym nie wierzę, że napady rzeczywiście miały miejsce. Sundstrom wpatrywał się w swą byłą kochankę, stojąc nieruchomo i mocno ściskając szklankę w obu rękach. Zrobił to, prawda, Ardis? – spytał cicho. – Ten finansowy megalomaniak nie mógł znieść możliwości, że mała grupka "dobroczynnych pomyleńców" mogłaby zastąpić jego człowieka kimś innym, kto zamknąłby mu dopływ milionów dolarów. Wdowa odchyliła się do tyłu, jej długa szyja wygięta była w łuk, a oczy zamknięte.

–Osiemset milionów – szepnęła. – Tak powiedział. Osiemset milionów tylko dla niego samego, miliardy dla całej waszej reszty. – Nigdy ci nie mówił, co robi, co zrobił?

–Ależ skąd! Rozwaliłabym mu łeb i wezwałabym któregoś z was, żeby go zakopał w Meksyku.

–Wierzę ci.

–A inni? – Ardis usiadła prosto i spojrzała na niego błagalnie. – Tak myślę. Przecież cię znają.

–Przysięgam ci, że nie wiedziałam o niczym.

–Powiedziałem, że ci wierzę.

–Ta Rashad mówiła, że wytropili pieniądze, które wysłał przez Zurych. Mogą to zrobić?

–Jeśli dobrze znałem Andrew, zabierze im to wiele miesięcy. Jego zakodowane źródła wpłat sięgają od Afryki Południowej do Bałtyku. Tak, wiele miesięcy, może rok.

–Czy inni się dowiedzą?

–Zobaczymy, co powiedzą.

–Co?...Eric!

–Dzwoniłem do Grinella z lotniska w Baltimore. Nie należy do personelu Bollingera i pozostaje w cieniu, lecz gdybyśmy mieli wyznaczyć kogoś na przewodniczącego zebrania, on się by do tego najlepiej nadawał.

–Eric, co ty mówisz? – spytała pani Vanvlanderem bezdźwięcznym głosem. Będzie tu za parę minut. Zgodziliśmy się, że powinniśmy porozmawiać. Chciałem najpierw porozmawiać z tobą w cztery oczy, ale on zaraz tu będzie. Sundstrom spojrzał na zegarek.

–Masz teraz ten swój szklany wyraz oczu, kochasiu – powiedziała Ardis, wstając powoli z kanapy.

–Owszem – zgodził się uczony. – Zawsze się z niego śmiałaś, kiedy nie mogłem... powiedzmy: działać.

–Twój umysł często zajmował się innymi sprawami. Jesteś wybitnym człowiekiem.

–Raz powiedziałaś mi, że zawsze wiesz, kiedy zaczynam rozwiązywać jakiś problem. Od razu mi opada.

–Uwielbiałam twój umysł. Nadal go uwielbiam.

–Jakim cudem? Sama masz przecież zupełnie pusto w głowie. – Eric, Grinell mnie przeraża.

–Mnie nie. On też umie myśleć. W apartamencie Vanvlanderemów rozległ się

dzwonek do drzwi. Kendrick siedział na małym płóciennym krześle przy koi w kabinie odrzutowca, którym lecieli do Denver. Emmanuel Weingrass, którego rany zostały prowizorycznie opatrzone przez pozostałą przy życiu pielęgniarkę w Mesa Verde, mrugał ciemnymi oczami, wyglądającymi jeszcze ciemniej w obwódce z białej skóry.

–Zastanawiałem się – powiedział z trudnością Manny, na wpół kaszląc słowami.

–Nic nie mów – przerwał mu Evan. – Oszczędzaj siły. Proszę cię. – Odczep się. Co mnie jeszcze czeka? Następnym razem dwadzieścia lat życia i ani jednego pieprzenia?

–Przestań!

–Nie, nie przestanę. Nie widzę cię przez pięć lat, a kiedy znów się spotykamy, co się dzieje? Za bardzo się przywiązałeś – do mnie. Kim ty jesteś – pedałem, co lubi starych facetów?... Możesz nie odpowiadać, Khalehla odpowie za ciebie. Musieliście sobie nieźle uszkodzić to i owo wczoraj w nocy.

–Dlaczego nigdy nie rozmawiasz normalnie?

–Bo normalność mnie nudzi, tak samo, jak ty zaczynasz mnie nudzić... Nie wiesz, o czym jest to całe gówno? Wychowałem durnia? Nie potrafisz myśleć?

–Nie, nie potrafię myśleć, w porządku?!

–Ta śliczna dziewczyna wszystko rozgryzła. Ktoś chce, żebyś został bardzo ważną osobą w tym kraju, a komuś innemu, na myśl o tym, chce się rzygać. Nie rozumiesz?

–Zaczynam rozumieć i mam nadzieję, że wygra ten drugi. Nie chcę być ważną osobą.

–Może powinieneś. Może to jest twoja rola.

–Kto tak twierdzi, do cholery? Kto tak myśli?

–Pomyśl o tych, którzy cię nie chcą. Khalehla powiedziała nam, że ci wszawi maniacy, którzy przyjechali tu, aby cię zabić nie przylecieli rejsowym samolotem z Paryża, ani nie przyłynęli statkiem wycieczkowym. Ktoś im pomógł, i to ktoś wysoko postawiony. Jak ona to ujęła? Paszporty, broń, pieniądze, nawet prawa jazdy, ubranie i adresy kryjówek. Tych rzeczy, zwłaszcza dokumentów, nie kupuje się w sklepie na rogu. Wymagają one kontaktów z ludźmi na stanowiskach, a ci, którzy potrafią pociągać za tego rodzaju sznurki są tymi skurwysynami, co chcą cię zabić... Dlaczego? Czy ten mówiący bez ogródek kongresman w czymś im zagraża?

–Jak mogę im zagrażać! Ja się wycofuję.

–Oni o tym nie wiedzą. Widzą cholernego polityka, który ledwie otworzy usta, a już cały Waszyngton uważnie go słucha.

–Ja rzadko coś mówię, dużo tego słuchania nie ma, prawie wcale. – Problem polega na tym, że ty mówisz, a oni nie. Masz to, co ja nazywam listami uwierzytelniającymi u słuchaczy. Tak samo, jak ja zresztą. Weingrass kaszlnął, podnosząc do gardła drżącą dłoń. Evan pochylił się nad nim zaniepokojony.

–Nie przejmuj się tak, Manny.

–Cicho bądź – odparł starzec. – Wysłuchasz tego, co mam ci do powiedzenia... Te dranie widzą prawdziwego amerykańskiego bohatera, którego prezydent odznaczył medalem i powołał do ważnych komisji w Kongresie...

–Komisje były przed medalem...

–Nie przerywaj. Po paru miesiącach kolejność spraw może się pomylić – choć to nawet ważniejsze: nasz bohater występuje w telewizji przeciwko ważniakom z Pentagonu zanim jeszcze został odznaczony i omal nie stawia w stan oskarżenia całej bandy, razem z tymi wszystkimi wielkimi kompleksami przemysłowymi, które dostarczają maszyn. I co robi potem? Domaga się odpowiedzialności. Fantastyczne słowo: odpowiedzialność – skurwysyny go nienawidzą. Muszą zacząć się pocić, mały. Muszą dojść do wniosku, że może ten żartobliwy bohater dostanie więcej władzy, może przewodnictwo którejś komisji, a może nawet wybór do Senatu, gdzie mógłby naprawdę zaszkodzić.

–Przesadzasz.

–Twoja dziewczyna nie przesadzała – odparł głośno Weingrass, patrząc Kendrickowi w oczy. – Powiedziała nam, że jej elitarna grupa być może dobrała się do newralgicznego punktu we władzach, wyżej niż im się śniło... Czy to wszystko nie układa ci się w klarowny szkic, choć muszę przyznać, że specjalistą od szkiców nigdy nie byłeś?

–Jasne, że się układa – odparł Evan, powoli kiwając głową. – Nie ma państwa na świecie, gdzie nie istniałby pewien stopień korupcji, nie ma i nie będzie.

–Korupcji? – przeciągle zaintonował Manny, wywracając oczami, jakby recytował Talmud. – Coś takiego, że jeden facet bierze sobie z biura spinacze do papieru warte jednego dolara, a inny bierze milion, wliczając go w koszta przedsiębiorstwa, o takim czymś mówisz?

–W zasadzie tak. Albo nawet dziesięć milionów, jeśli chcesz. – To są nic nie znaczące drobiazgi! – krzyknął Weingrass. – Tacy ludzie nie kontaktują się z terrorystami palestyńskimi, oddalonymi o kilka tysięcy kilometrów, tylko po to, aby nikt ich nie kojarzył z zabójstwem. Nie mieliby pojęcia, jak się do tego zabrać! Poza tym nie zajrzałeś w oczy tej ślicznej dziewczynie, albo nie wiedziałeś, czego w nich szukać. Nigdy tam nie byłeś.

–Ona mówi, że wie, skąd pochodzisz, bo ty tam byłeś. W porządku, ja nie byłem, więc mi wytłumacz.

–Kiedy tam jesteś, boisz się – zaczął Manny. – Idziesz w kierunku czarnej zasłony, którą zerwiesz. Jesteś podekscytowany, umierasz z ciekawości i ze strachu. Bardzo się starasz powściągnąć te uczucia, nawet ukryć je przed samym sobą, ponieważ nie możesz sobie pozwolić na utratę choćby odrobiny kontroli. Ale wszystko tam jest. Ponieważ wiesz, że jak już zerwiesz zasłonę, zobaczysz coś tak nieprawdopodobnego, że będziesz się poważnie zastanawiał, czy ktokolwiek ci uwierzy.

–Zobaczyłeś to wszystko w jej oczach?

–Dość dużo.

–Dlaczego?

–Ona jest blisko krawędzi, synu.

–Dlaczego?

–Ponieważ nie mamy do czynienia, ona nie ma do czynienia, ze zwykłą korupcją, nawet niezwykłych rozmiarów. Za czarną zasłoną jest rząd w ramach rządu, banda

służących rządząca domem ich pana. Stary architekt dostał nagłego ataku kaszlu, drżał na całym ciele i miał mocno zaciśnięte powieki. Kendrick złapał go za ramiona. Po chwili konwulsje minęły i Manny znów zamrugał oczami, głęboko oddychając.

–Posłuchaj, mój durny synu – szepnął. – Pomóż jej, naprawdę jej pomóż, jej i Paytonowi. Odszukaj tych skurwysynów i zmieć ich z powierzchni ziemi.

–Przecież wiesz, że to zrobię.

–Nienawidzę ich! Ten młody pod wpływem chemikaliów, ten Ahbyahd, którego poznałeś w Maskat... W innych czasach moglibyśmy zostać przyjaciółmi. Ale taki czas nigdy nie nadejdzie, dopóki istnieją skurwysyny, które napuszczają nas na siebie, ponieważ zarabiają miliardy na nienawiści.

–To nie takie proste, Manny...

–W dużej mierze jest tak, jak mówię. Sam widziałem!... "Oni mają więcej niż wy, więc sprzedamy wam więcej niż mają oni" – tak przekonują. Albo: "Jeśli wy nie zabijecie ich, oni zabiją was, a zatem tu jest broń – za określoną cenę". I tak przez cały czas trwa wyścig: "Oni wydali dwadzieścia milionów na zbrojenia, to my wydamy czterdzieści milionów!" Czy naprawdę chcemy wysadzić w powietrze tę pieprzoną planetę? Czy wszyscy słuchają wariatów, którzy słuchają ludzi sprzedających nienawiść i strach?

–Na tym poziomie to jest dość proste – powiedział z uśmiechem Evan. – Sam coś wspominałem na ten temat.

–Rób tak dalej, synu. Nie odchódź od tej platformy, o której mówiliśmy – zwłaszcza w odniesieniu do niejakiego Herberta Dennisona, o którym także rozmawialiśmy, a którego nieźle postraszyłeś. Pamiętaj, że tak jak ja, jesteś wiarygodnym mówcą. Wykorzystaj to.

–Muszę nad tym pomyśleć, Manny.

–Jak już zaczniesz myśleć – Weingrass przerwał i zakaszłał, z prawą ręką na piersi – pomyśl też, czy musiałeś mnie okłamywać. Ty i lekarze.

–Co?

–To wróciło, Evan. Wróciło i jest jeszcze gorzej, ponieważ nigdy nie odeszło.

–Co wróciło?

–"Wielka ruletka" – tak się chyba mówi eufemistycznie. Rak szaleje.

–Nic podobnego! Zrobiono ci wiele badań i nic nie wykazały. Jesteś zdrowy.

–Powiedz to tym cholernikom, które blokują mi powietrze. – Nie jestem lekarzem, Manny, ale to chyba nie jest żaden symptom. W ciągu ostatnich trzydziestu sześciu godzin wzięłeś udział w kilku wojnach. Dziwię się, że w ogóle oddychasz.

–Dobra, kiedy jednak będą mnie łątać w szpitalu, każ im zrobić małe badanko i nie kłam mi potem. W Paryżu mieszka ktoś, o kogo muszę się zatroszczyć; dla kogo przechowuję pewne rzeczy. Więc nie okłamuj mnie, rozumiesz? Nie będę cię okłamywać – obiecał Kendrick. Samolot zniżał się nad Denver. Crayton Grinell był szczupłym mężczyzną średniego wzrostu, z wiecznie szarą twarzą o wyostrzonych rysach. Kiedy ten czterdziestoosmioletni prawnik, specjalizujący się w prawie międzynarodowym z kimś się witał, po raz pierwszy w życiu lub po raz pięćdziesiąty, niezależnie od tego, czy był to kelner czy przewodniczący rady nadzorczej, witał się z

nieśmiałym ciepłym uśmiechem. Wszyscy się łatwo nabierali na ciepło i skromność, dopóki nie spojrzeli w oczy Grinella. Nie, nie były zimne, nie były też szczególnie przyjacielskie; były to oczy pozbawione wyrazu, neutralne, oczy ostrożnego, ciekawego kota. Ardis, moja droga – powiedział prawnik, wchodząc do foyer i biorąc wdowę lekko w ramiona. Łagodnie poklepał ją po ramieniu, tak jak pociesza się niezbyt sympatyczną ciotkę po stracie jej, znacznie sympatyczniejszego, męża.

–Cóż mogę powiedzieć? Ogromna strata dla nas, ależ o ile większa dla ciebie.

–To stało się tak nagle, Cray. Zbyt nagle.

–Oczywiście, musimy jednak zawsze szukać czegoś pozytywnego w naszym cierpieniu, prawda? I tobie, i jemu zaoszczędzono długiej i męczącej choroby. Skoro koniec musi nadejść, lepiej żeby się to stało szybko, prawda?

–Chyba masz rację. Dziękuję, że mi o tym przypomniałeś.

–Nie ma za co. – Odchodząc od niej Grinell spojrzął na Sundstroma, który stał w wielkim salonie.

–Eric, jak to miło cię zobaczyć – powiedział poważnie, przechodząc przez foyer i schodząc w dół po marmurowych stopniach prowadzących do salonu, aby przywitać się z naukowcem.

–To dobrze, że obaj jesteśmy teraz przy Ardis. Moi ludzie, nawiasem mówiąc, są na zewnątrz w holu.

–Głupia dziwka! – szepnął Sundstrom, kiedy pani Vanvlanderem zamykała drzwi. Szczęk zamykanych drzwi i stukot jej obcasów na marmurowej posadzce zagłuszyły mamrotanie jej byłego kochanka. – Napijesz się czegoś, Cray?

–Ach, nie, dziękuję.

–A ja się napiję – powiedziała Ardis, idąc do baru.

–Przyda ci się – zgodził się prawnik. – Czy mogę coś dla ciebie zrobić? – spytał. – Jakież przygotowania, problemy prawne, cokolwiek, czego potrzebujesz?

–Przypuszczam, że będziesz się tym zajmował, mam na myśli sprawy prawne. Andy wszędzie miał pełno prawników, ale ty byłeś przecież jego człowiekiem numer jeden.

–Zgadza się. W ciągu dnia skontaktowałem się z wszystkimi pozostałymi. Nowy Jork, Waszyngton, Londyn, Paryż, Marsylia, Oslo, Sztokholm, Berno, Zurych, Berlin Zachodni – sam się wszystkim zajmuję. Wdowa stała nieruchomo, z karafką w połowie drogi do szklanki, wpatrując się w Grinella.

–Kiedy powiedziałam "wszędzie", nie miałam na myśli tak dalekiego "wszędzie".

–Miał rozległe interesy.

–Zurych?... powtórzyła Ardis takim tonem, jakby nazwa wymknęła się jej przypadkiem.

–W Szwajcarii! – Ostro wtrącił się Sundstrom. – I przestańmy pieprzyć.

–Eric, naprawdę...

–Nie "Eric nie prawduj" mi, Cray. Ten cholerny skurwysyn to zrobił. Ugodził się z Palestyńczykami i zapłacił im z Zurychu... Pamiętasz Zurych, kotku?... Mówiłem ci w Baltimore, Cray. Zrobił to! – Nie dostałem potwierdzenia o atakach w Fairfax i w Kolorado powiedział spokojnie Grinell.

–Bo się nigdy nie zdarzyły! – krzyknęła wdowa, nalewając sobie drinka z ciężkiej kryształowej karafki trzęsącą się ręką. – Tego nie powiedziałem, Ardis – zaproponował cicho prawnik. – Powiedziałem tylko, że nie mogłem dostać potwierdzenia. Miałem jednak później wiadomość telefoniczną od jakiegoś, niewątpliwie dobrze opłaconego pijaka, któremu na pewno wręczono słuchawkę już po wykręceniu numeru, aby wyeliminować tożsamość źródła. Słowa, jakie najwyraźniej za kimś powtórzył, były aż za bardzo znajome: "Idą śladem pieniędzy", powiedział.

–O Jezu! – zawołała pani Vanvlanderren.

–Teraz mamy zatem podwójny kryzys – kontynuował Grinell, podchodząc do białego marmurowego telefonu na stojącym pod ścianą stoliku z czerwonym marmurowym blatem. – Nasz słaby, wszechobecny Sekretarz Stanu jest w drodze na Cypr, gdzie ma podpisać umowę, która może okaleczyć nasz przemysł obronny, a jedna z naszych własnych umów związana jest z terrorystami palestyńskimi... W pewnym sensie byłbym szczęśliwy, gdybym wiedział, jak Andrew to zrobił. Nam może to wyjść znacznie gorzej. Wdowa i naukowiec patrzyli, jak wykręca numer.Przejsście z D-6 do D-12, basen Morza Śródziemnego, jest potwierdzone – powiedział prawnik do słuchawki. – I proszę przygotować zespół medyczny.

* * *

Rozdział 35

Varak przebiegł za róg do wejścia zapasowego i towarową windą wjechał na swoje piętro. Podszedł szybko do swego apartamentu, otworzył kluczem drzwi i pośpiesznie podszedł do wymyślnego urządzenia nagrywającego pod ścianą, zdumiony, że aż tyle taśmy już się zużyło. Przypisał to rozlicznym telefonom do Ardis Vanvlanderren. Pstryknął wyłącznikiem, który włączał odsłuch, włożył słuchawki, usiadł i zaczął słuchać. Wyszła jakieś półtorej godziny temu. Wyszła? Kto? Kobieta nazwiskiem Rashad, specjalistka od spraw antyterrorystycznych. Jest w jednostce... Czech spojrział na szpulę taśmy. Było na niej przynajmniej dwadzieścia pięć minut nagranej rozmowy. Co robi były oficer operacyjny z Egiptu w San Diego? Miłośowi wydawało się to bez sensu. Przecież odeszła z Agencji, miał na to potwierdzenie. Dyskretna, choć oficjalna wiadomość z Kairu i z Waszyngtonu stwierdzała, że Rashad była "otwarta na kompromis". Zakładał, iż dotyczyło to operacji w Omanie i całkowicie akceptował jej zniknięcie. Musiała zniknąć, ale tak się nie stało! Zaczął słuchać dalszej rozmowy odbytej w apartamencie Vanvlanderrenów. Mówił Sundstrom:Zrobił to, prawda, Ardis? Ten finansowy megalomaniak nie mógł znieść możliwości, że mała grupka "dobroczyńnych pomyślników" mogłaby zastąpić jego człowieka kimś innym, kto zamknąłby mu dopływ milionów dolarów. Potem Ardis Vanvlanderren:Osiemset milionów. Tak powiedział. Osiemset milionów tylko dla niego samego, miliardy dla całej waszej reszty. Varaka zatkało! Zrobił dwa potworne błędy! Pierwszy dotyczył ukrytych działań Adrienne Khalehla Rashad i choć trudno mu było zaakceptować błąd, mógł to zrobić ponieważ była doświadczonym oficerem wywiadu. Drugiego nie mógł przyjąć! Fałszywy scenariusz, który przedstawił grupie Inver Brass, był prawdziwy! Nigdy nie przyszło mu do głowy, że Andrew Vanvlanderren będzie działał niezależnie od swojej żony. Jak śmiał? Ich małżeństwo było umową

wynikającą z potrzeb i wzajemnych korzyści; z całą pewnością nie miało nic wspólnego z uczuciem, nie mówiąc o miłości. Andy złamał ustalenia. Byk podniecony pieniędzmi wywalił bramę zagrody i pędem poleciał do rzeźni. Varak słuchał dalej: Kolejny głos, kolejne nazwisko. Crayton Grinell. Taśma przesuwała się, a Czech w skupieniu słuchał nagrania. Wreszcie usłyszał: Teraz mamy zatem podwójny kryzys. Nasz słaby, wszechobecny Sekretarz Stanu jest w drodze na Cypr, gdzie ma podpisać umowę, która może okaleczyć nasz przemysł obronny, a jedna z naszych własnych umów związana jest z terrorystami palestyńskimi... W pewnym sensie byłbym szczęśliwy, gdybym wiedział, jak Andrew to zrobił. Nam może to wyjść znacznie gorzej. Varak zerwał z głowy słuchawki. Wszystko, co się jeszcze powie w apartamencie Vanvlanderów, zostanie nagrane. Musiał działać szybko. Wstał z krzesła i podszedł do telefonu. Wziął słuchawkę i wybrał numer w miejscowości Cynwid Hollow w stanie Maryland. – Tak?

–Mówi Varak, proszę pana.

–Co się stało, Miloś? Czego się dowiedziałeś?

–To Sundstrom...

–Co?

–To może poczekać, doktorze. Jest coś, co nie może. Sekretarz Stanu leci na Cypr. Czy może się pan dowiedzieć kiedy?

–Nie muszę się dowiadywać, wiem. Tak samo, jak wie każdy, kto ogląda telewizję albo słucha radia. To poważny wyłom...

–Kiedy, proszę pana?

–Wyleciał z Londynu jakąś godzinę temu. Wygłosił zwyczajowe oświadczenie o przybliżaniu pokoju całemu światu, i tak dalej... – Nad Morzem Śródziemnym! – przerwał mu Varak, starając się kontrolować głos. – To się stanie nad Morzem Śródziemnym. – Co?

–Nie wiem. Plan się nazywa D-12, tyle się dowiedziałem. To się stanie na ziemi albo w powietrzu. Chcą go zatrzymać.

–Kto?

–Współpracownicy. Mężczyzna nazwiskiem Grinell, Crayton Grinell. Gdybym starał się tam dostać i dowiedzieć czegoś więcej, mógłbym wpaść w ich ręce. Na zewnątrz są ich ludzie, a ja nie chcę narażać grupy. Z całą pewnością nigdy bym świadomie nie zdradził żadnych informacji, istnieją jednak narkotyki... – Tak, wiem. – Niech pan złapie Franka Swanna w Departamencie Stanu. Niech pan każe centrali odszukać go, gdziekolwiek jest i użyje zwrotu: "powstrzymanie kryzysu".

–Dlaczego Swanna?

–Jest specjalistą, proszę pana. Dowodził operacją w Omanie. – Wiem o tym, ale może musiałbym powiedzieć mu więcej niż mi się to podoba... Znajdziemy inny sposób, Miloś, nie rozłączaj się. Każde dziesięć sekund, które minęły, wydawało się Varakowi minutą, później mijały prawdziwe minuty. Co Winters robi? Nie mieli tyle czasu do stracenia. Wreszcie rzecznik Inver Brass znów się odezwał.

–Odbędziemy konferencję telefoniczną, Miloś. Przyłączy się do nas jeszcze jeden człowiek, ale żaden z was nie musi się przedstawiać. Ufam temu człowiekowi bez

zastrzeżeń, a on przyjął taki warunek. On także zajmuje się "powstrzymywaniem kryzysu" i ma znacznie większe możliwości niż Swann. – Coś trzasnęło dwa razy w słuchawce i Winters kontynuował: – Proszę, panowie. Panie A, przedstawiam panu pana B.

–Rozumiem, że ma mi pan coś do powiedzenia powiedział pan B. – Zgadza się – odparł Varak. – Okoliczności nie są istotne, lecz wiadomość została potwierdzona. Sekretarz Stanu znajduje się w bezpośrednim niebezpieczeństwie. Są ludzie, którzy nie chcą, aby wziął udział w konferencji na Cyprze i zamierzają go zatrzymać. Korzystają z planu, czy też strategii działania, nazwanego "D-12, Morze Śródziemne". Osobą, która wydała rozkaz jest Grinell, niejaki Crayton Grinell z San Diego. Nic o nim nie wiem.

–Rozumiem... Postaram się sformułować moje pytanie jak najdelikatniej. Czy mógłby nam pan powiedzieć, gdzie aktualnie przebywa ten Grinell?

–Nie mam wyjścia. Hotel Westlake. Apartament 3C. Nie mam pojęcia, jak długo tam zostanie. Pośpieszcie się i poślijcie kogoś odpowiedniego. Grinell jest uzbrojony.

–Czy robi mi pan tę uprzejmość i nie wyłączy się jeszcze przez chwilę?

–Żeby mógł pan sprawdzić, skąd dzwonię?

–Nie miałem takiego zamiaru. Dałem słowo.

–I dotrzyma go – wtrącił się Samuel Winters.

–To będzie dość trudne – powiedział Czech.

–Pośpieszę się – obiecał B. Posłyszał pojedynczy trzask i głos Wintersa:

–Naprawdę nie miałeś wyboru, Miloś. Sekretarz jest najrozsądniejszym człowiekiem w rządzie.

–Zdaję sobie z tego sprawę, proszę pana.

–Nie mogę się pozbierać z tym Sundstromem. Dlaczego to zrobił?

–Niewątpliwie z wielu powodów, a jego patenty z technologii kosmicznej miały tu zapewne nie lada znaczenie. Inni budują sprzęt, ale rząd jest głównym kupcem. Przestrzeń kosmiczną utożsamia się dziś z obroną.

–Nie zależy mu chyba na pieniądzach! I tak większość rozdaje! – Jeśli tempo na rynku spadnie, tak samo spadnie produkcja, a co za tym idzie – eksperymenty, czyli jego największa pasja. Znów trzaśnięcie w słuchawce. Wróciłem – odezwał się B. – Wszyscy w okolicy Morza Śródziemnego są zaalarmowani i podjęto starania, aby ująć Grinella w San Diego, oczywiście jak najciszej.

–Dlaczego musiałem czekać przy telefonie?

–Szczerze mówiąc dlatego, że gdybym nie mógł zaaranżować odpowiednio spraw w San Diego – odpowiedział Mitchell Payton – miałem zamiar zaapelować do pańskiego patriotyzmu o dalszą pomoc. Jest pan najwyraźniej człowiekiem doświadczonym.

–Jaki rodzaj pomocy?

–Nic takiego, co mogłoby skompromitować nasze porozumienie w odniesieniu do tej rozmowy. Chciałem pana prosić o śledzenie Grinella, gdyby wyszedł z hotelu i przekazać tę informację naszemu posłańcowi.

–Skąd pan wiedział, że mógłbym to zrobić?

–Nie wiedziałem. Miałem jedynie nadzieję, a poza tym trzeba było działać szybko, zwłaszcza nad Morzem Śródziemnym.

–Nie mógłbym tego zrobić, jeśli chce pan wiedzieć – skłamał Varak. – Nie jestem w pobliżu hotelu.

–Wobec tego być może zrobiłem dwa błędy. Wspomniałem o patriotyzmie, tymczasem z pańskiego głosu wynika, że nie musi być to pana kraj.

–Teraz jest to mój kraj – stwierdził Czech.

–A więc ten kraj wiele panu zawdzięcza.

–Muszę iść. – Varak przerwał połączenie i szybko wrócił do urządzenia nagrywającego. Usiadł i włożył słuchawki, rzucając okiem na krążek z taśmą. Nie obracał się! Słuchał. Nic. Cisza! Nerwowo przekręcił wszystkie przyciski w prawo i w lewo, w górę i w dół. Żadnej reakcji... Żadnego dźwięku. Magnetofon uruchamiany głosem nie działał, ponieważ apartament Vanvlanderów był pusty! Musi coś zrobić! Przede wszystkim musi znaleźć Sundstroma! Ze względu na InverBrass zdrajcę należy zabić!

Khalehla przeszła szerokim korytarzem do wind. Zadzwoiła do MJ i po omówieniu horroru w Mesa Verde, puściła mu całą rozmowę z Ardis Vanvlanderem, którą nagrała na zminiaturyzowanym sprzęcie ukrytym w czarnym notesie. Oboje byli zadowoleni; smutna wdowa utopiła swój smutek w morzu hysterii. Dla obojga stało się jasne, że pani Vanvlander nie miała pojęcia o kontrakcie swego zmarłego męża z terrorystami, lecz dowiedziała się o nim po fakcie. Nagła wizyta oficera wywiadu z Kairu z przekręconą informacją wystarczyła, aby manipulatorka Ardis straciła głowę. Wujek Mitch słusznie przewidywał.

–Piątka, oficerze polowy Rashad.

–Marzę o prysznicu i spokojnym posiłku. Chyba niczego nie jadłam od czasu wysp Bahama.

–Zamów sobie coś do pokoju. Zapłacimy jeszcze jeden z twoich horrendalnych rachunków. Zasłużyłaś na to.

–Nienawidzę zamawiania do pokoju. Wszyscy kelnerzy, którzy przynoszą jedzenie samotnej kobiecie wdzięczą się tak, jakby mieli natychmiast zaspokoić jej najskrytsze marzenia seksualne. Skoro nie mogę zjeść posiłku przyrządzonego przez moją babkę... – Nie możesz.

–W porządku. Znam kilka dobrych restauracji...

–Dobrze. Do północy będę miał numer każdego telefonu, pod który dzwoniła nasza roztargniona wdowa. Najedz się, moja droga. Nabierz energii. Może będziesz pracowała całą noc.

–Jesteś zbyt hojny. Czy mogę zadzwonić do Evana, który – jeśli nie będę miała pecha – zostanie moim przyszłym?

–Możesz, ale go nie zastaniesz. Z Colorado Springs wysłali odrzutowiec, aby zabrał jego i Emmanuela do szpitala w Denver. Są w tej chwili w powietrzu.

–Dzięki. Nie ma za co, Rashad.

–Jest pan zbyt uprzejmy, proszę pana. Khalehla nacisnęła guzik windy i poczuła

burczenie w żołądku. Od posiłku na pokładzie wojskowego odrzutowcaniczego nie jadła, a i wtedy niewiele zjadła ze względu na zdenerwowanie spowodowane stanem Evana – wymiotami i tym, co oznaczały... Kochany Evan, genialny Evan, głupi Evan. Ryzykant obdarzony moralnością silniejszą niż pasowała do jego podejścia do życia; przez chwilę zastanowiła się, czy byłby tak samo uczciwy, gdyby mu się nie powiodło. Pytanie pozostawało otwarte: Evan był człowiekiem, który musi się nieustannie sprawdzać, a który jednocześnie zachowuje się z pewną arogancją; wynikającą z faktu, że mu się powiodło. I nietrudno było zrozumieć, w jaki sposób dziesięć czy dwanaście lat temu dał się w Arabii Saudyjskiej omotać Ardis Montreaux. Ta dziewczyna musiała być niezła, błyskotliwa kobieta z odpowiednimi do tego celu twarzą i ciałem. A przecież uciekł z sieci pająka – taki jest jej Evan. Usłyszała brzęk dzwonka i drzwi windy się rozsunęły. Na szczęście w środku nie było nikogo; Khalehla weszła i nacisnęła guzik parteru. Drzwi zamknęły się i winda zaczęła zjeżdżać, po czym niemal od razu zwolniła. Khalehla spojrzała na wyświetlone nad drzwiami numerki; winda zatrzymywała się na trzecim piętrze. To zwykły przypadek, pomyślała. MJ był pewien, że Ardis Vanvlanderren, właścicielka apartamentu 3C nie odważy się wyjść z hotelu. Drzwi rozsunęły się i chociaż jej oczy nadal spoglądały przed siebie bez cienia zainteresowania, Khalehla z ulgą dostrzegła kątem oka, że nowym pasażerem jest samotny mężczyzna z jasnymi włosami i potężnymi barami, które niemal rozrywały marynarkę. Mimo wszystko pomyślała, że jest w nim coś dziwnego. W małym zamkniętym pomieszczeniu mogła wyczuwać emanujący od niego wysoki poziom energii, wokół nieznanego mężczyzny unosiła się atmosfera gniewu lub rozdrażnienia. Potem poczuła, że się jej przygląda; nie w taki sposób, w jaki zazwyczaj taksowali ją wzrokiem mężczyźni – ukradkiem, krótkimi spojrzeniami; była do tego przyzwyczajona – lecz intensywnie i bez przerwy się w nią wpatrując. Kiedy drzwi się zasuwały Khalehla lekko się skrzywiła – był to grymas osoby, która zastanawia się, czy czegoś nie zapomniała. Od niechcienia otworzyła torebkę, aby sprawdzić, czy niczego nie brakuje. Wyraźnie odetchnęła, jej twarz się odprężyła – przedmiot znajdował się na swoim miejscu. Jej pistolet. Winda zaczęła zjeżdżać i Khalehla rzuciła okiem na mężczyznę. Zesztywniała. Jego oczy wyglądały jak dwie orbity kontrolowanego białego żaru, a krótkie, gładko zaczesane włosy miały jasny kolor. Nie mógł być nikim innym! Jasnowłosy Europejczyk... Był jednym z nich. Khalehla rzuciła się do tablicy z przyciskami, jednym ruchem wyciągnęła pistolet, upuściła torebkę i nacisnęła guzik alarmowy. Za drzwiami rozległ się dzwonek i winda stanęła. Jasnowłosy mężczyzna zrobił krok do przodu: Khalehla wystrzeliła. Wystrzał w małym pomieszczeniu zabrzmiał ogłuszająco, a kula przeleciała nad głową mężczyzny, tak jak miała.

–Zostań tam, gdzie jesteś – rozkazała. Jeśli o mnie słyszałeś, to wiesz, że następna kula wejdzie ci w czoło.

–Pani jest tą Rashad – powiedział blondyn. Mówił z obcym akcentem, nienaturalnym głosem.

–Nie wiem, kim ty jesteś, lecz wiem czym jesteś. Zgniłym wyrzutkiem społeczeństwa! Evan miał rację. Wszystkie te miesiące, wszystkie te historie o nim,

komisje kongresowe, rozgłos na cały świat. To wszystko miało go wystawić na atak Palestyńczyków! Proste, co? – Nie, pani się myli, myli – zaprotestował Europejczyk. Za drzwiami bez przerwy rozlegało się ostre dzwonienie. – I nie wolno pani mnie teraz zatrzymać! Coś strasznego ma się wydarzyć i jestem w kontakcie z waszymi ludźmi w Waszyngtonie.

–Z kim? Z kim w Waszyngtonie?

–Nie podajemy nazwisk...

–Gówno prawda! i

–Proszę, panno Rashad! Człowiek ucieka.

–Ty mi nie uciekniesz, blondasku. Khalehla nigdy nie zrozumiała w jaki sposób została zaatakowana. Przez moment działo się coś nieokreślonego po jej lewej stronie, potem ludzka ręka niesamowicie szybkim ruchem ukuła ją w prawe ramię i wykręciła niemal jednocześnie jej prawą rękę, zabierając broń. Mimo iż mogła się spodziewać złamanego nadgarstka, czuła jedynie pieczenie, jakby się w tym miejscu oparzyła wrzątkiem. Europejczyk stał przed nią z pistoletem.

–Nie chciałem zrobić pani krzywdy powiedział.

–Dobry jesteś, wyrzutku, muszę przyznać.

–Nie jesteśmy wrogami.

–Jakoś trudno mi w to uwierzyć. Telefon w windzie zadzwonił w schowku pod tablicą z przyciskami, odgłos dzwonka wibrował w czterech ścianach małego zamkniętego pomieszczenia.

–Nie wydostaniesz się stąd – dodała Khalehla.

–Proszę zaczekać – odezwał się blondyn. Telefon wciąż dzwonił. – Widziała się pani z panią Vanvlanderem.

–Powiedziała ci. I co z tego?

–Nie mogła mi powiedzieć. Nigdy jej nie widziałem, ale ją nagrałem. Później, po pani wyjściu, miała gości. Rozmawiali o pani. Ona i dwóch mężczyzn, jeden nazywa się Grinell.

–Pierwsze słyszę.

–Są zdrajcami, wrogami waszego rządu, a raczej waszego kraju. Telefon dzwonił natrętnie.

–To tylko słowa, panie Bezimienny.

–Zostawmy słowa! – zawołał mężczyzna, sięgając za poję marynarki i wyciągając duży, czarny automatyczny pistolet. Podrzucił oba pistolety, łapiąc je za lufy i wyciągając uchwyty do Khalehli. Proszę. Niech pani weźmie. Niech mi pani da szansę. Zaskoczona Khalehla wzięła broń i spojrzała w oczy Europejczykowi. Widziała już tę prośbę w wielu oczach. To nie było spojrzenie człowieka, który boi się umrzeć za sprawę, lecz tego, który jest wściekły na myśl, że mógłby zginąć i porzucić sprawę. Dobrze – odparła powoli. – Może dam, może nie dam. Obróć się, rękami oprzyj o ścianę! Odsuń się, przerzuć ciężar ciała na ręce! Telefon dzwonił bez przerwy ogłuszającym dzwonkiem, podczas gdy oficer polowy z Kairu sprawnie obszukiwała blondyna, koncentrując się na pachach, talii i kostkach nóg. Nie był uzbrojony. – Nie ruszaj się – rozkazała i wyciągnęła telefon ze schowka. – Nie

mogliśmy otworzyć schowka telefonu – wyjaśniła do słuchawki.

–Nasz inżynier jest już w drodze, proszę pani. Miał właśnie przerwę obiadową, ale odnaleźliśmy go. Bardzo przepraszam. Nasze wskaźniki nie pokazują jednak pożaru ani...

–To my powinniśmy przeprosić – przerwała mu Khalehla. – To był błąd, mój błąd. Nacisnęłam na zły guzik. Jeśli powie mi pan, co mam zrobić, żeby winda znów ruszyła, wszystko będzie w porządku. Ach, tak? Tak, oczywiście. – Męski głos starał się powściągnąć irytację. – W schowku na telefon jest przełącznik... Na parterze drzwi się otworzyły i Europejczyk natychmiast zwrócił się do kierownika w garniturze, który czekał przy windzie. – Miałem się tu spotkać ze współnikiem od interesów jakiś czas temu. Obawiam się, że zasnęłam, lot z Paryża był długi i męczący. Nazywa się Grinell, widział go pan może?

–Pan Grinell i zrozpaczona pani Vanvlanderén wyszli kilka minut temu, proszę pana. Ze swymi gośćmi. Przypuszczam, że pojechali na uroczystość poświęconą pamięci jej męża, który doprawdy był fantastycznym człowiekiem.

–Tak, on także ze mną współpracował. Mieliśmy być na tej uroczystości, ale nie otrzymaliśmy adresu. Wie pan, gdzie się odbywa? – Nie, proszę pana.

–Może ktoś inny by wiedział? Może portier słyszał adres podawany kierowcy taksówki?

–Pan Grinell miał własną limuzynę, nawet kilka limuzyn.

–Chodźmy – powiedziała cicho Khalehla, biorąc blondyna pod ramię. – Zaczynasz zwracać na siebie uwagę – dodała, kiedy szli do wyjścia.

–O wiele ważniejsze jest to, że chyba zawałem sprawę.

–Jak się nazywasz?

–Miloś. Mam na imię Miloś.

–To za mało. Pamiętaj, że broń jest u mnie.

–Jeśli znajdziemy jakieś dogodne pomieszczenie, powiem pani więcej.

–Powie mi pan dużo, dużo więcej, Miloś, i nie będzie stosował żadnych tych swoich szybkich sztuczek. Pana pistolet jest w mojej torbie, a mój trzymam pod płaszczem, wycelowany w pana.

–Co robimy teraz, Podobno Emerytowany Oficerze Wywiadu z Egiptu?

–Idziemy coś zjeść, ciekawski bękarcie. Umieram z głodu, ale uprzedzam, że będę jadła lewą ręką. Jeden fałszywy ruch i nigdy nie będzie pan miał dzieci – nie tylko dlatego, że pana zabiję. Rozumiemy się?

–Musi pani być bardzo dobra.

–Wystarczająco dobra, panie Miloś. Jestem półArabką i lepiej niech pan o tym pamięta. Siedzieli naprzeciwko siebie w dużym okrągłym gabinecie wybranym przez Khalehłę we włoskiej restauracji, dwie przecznice na północ od hotelu. Varak opowiedział jej szczegółowo wszystko, co usłyszał przez słuchawki z apartamentu Vanvlanderénów.

–Byłem zaszokowany. Nigdy, nawet przez sekundę, nie pomyślałem, że Andrew Vanvlanderén mógłby działać na własną rękę. – To znaczy bez żony pakującej mu "kulkę w głowę" i wzywającej kogoś z pozostałych, żeby "pogrzebał" go w Meksyku?

–Właśnie. Ona by to zrobiła. Vanvlanderem zachował się jak głupiec.

–Nie zgadzam się. Był bardzo bystry, biorąc pod uwagę jego cel. Wszystko, co zrobiono Evanowi Kendrickowi i dla niego prowadziło do logicznego jarematthaar, co po arabsku oznacza zabójstwo z zemsty. I to pańska sprawa, poczynając od pierwszej chwili, kiedy spotkał się pan z Frankiem Swannem w Departamencie Stanu.

–Zapewniam panią, że nie miałem takich zamiarów. Nigdy nie przyszło mi to do głowy.

–Pomylił się pan.

–Pomyliłem się.

–Wróćmy do pierwszej chwili... A właściwie wróćmy jeszcze raz do całej przekłętej sprawy!

–Nie ma do czego wracać. Nie powiedziałem niczego istotnego. – Ale my wiemy znacznie więcej niż się panu zdaje. Musieliśmy tylko rozplatać sznurek, jak to określił mój szef... Nowy członek Kongresu, mimo braku entuzjazmu z jego strony, zostaje wmanipulowany w skład ważnych Komisji Kongresu, za co inni gotowi by sprzedać córkę. Następnie z powodu tajemniczej nieobecności przewodniczącego nasz człowiek pojawia się w telewizji, co prowadzi do wzrostu jego popularności uwiecznionej fantastycznym światowym rozgłosem w związku z jego ukrytymi działaniami w Omanie i w wyniku prowadzi do wręczenia mu przez prezydenta najwyższego odznaczenia, jakie może otrzymać cywil. Plan jest jasny, prawda? – Moim zdaniem wszystko zorganizowano całkiem dobrze.

–A teraz zamierza się rozpocząć ogólnonarodową kampanię, która ma na celu umieszczenie go na czele partii, a w efekcie mianowanie go następnym wiceprezydentem Stanów Zjednoczonych.

–Wie pani o tym?

–Tak i nie jest to spontaniczne działanie sił politycznych. – Mam nadzieję, że będzie wyglądało na spontaniczne.

–Skąd pan się wziął? – spytała Khalehla, pochylona nad stołem. Lewą ręką jadła potrawkę z cielęciny, prawą rękę trzymała pod stołem. Muszę powiedzieć, że jest mi przykro, kiedy widzę, jak się pani męczy przy jedzeniu. Ani nie jestem dla pani groźny, ani nie zamierzam uciekać. Skąd niby mam być pewna? Że nie jest pan groźny, ani że pan nie ucieknie?

–Ponieważ w pewnych sprawach nasze interesy się pokrywają i jestem gotów współpracować z panią w ograniczonym zakresie. – Mój Boże, co za bezczelność! Czy Wasza Wysokość będzie tak uprzejmy i opisz te sprawy, i ograniczenia waszej łaskawej pomocy?

–Proszę bardzo. Po pierwsze – bezpieczeństwo Sekretarza Stanu i ujawnienie tych, którzy mieli zamiar go zamordować, oraz wykrycie powodów, chociaż możemy się sami domyślać. Następnie schwytywanie terrorystów, którzy zaatakowali domy Kendricka i przyczynili się do śmierci tylu ludzi, a także udowodnienie powiązań Vanvlanderena...

–Pan wie o Fairfax i o Mesa Verde? – przerwała mu Khalehla. Varak kiwnął głową.

–Jest kompletna blokada informacji. To właśnie dotyczy ograniczeń mojego

udziału. Muszę pozostać daleko w tle i dyskutować o mojej działalności jedynie w sposób jak najbardziej ogólnikowy. Jeśli to jednak niezbędne, mogę skontaktować panią – pod zaszyfowaną tożsamością – z pewnymi osobami w rządzie, które potwierdzą moją odpowiedzialność w sprawach bezpieczeństwa tutaj i za granicą. Skromny z pana człowiek, co? – spytała ironicznie Khalehla. Miloś uśmiechnął się sceptycznie. Właściwie nie mam zdania na swój temat. Pochodzę wszakże z kraju, gdzie obywatelom ukradziono rząd i już wiele lat temu postanowiłem, co zrobię ze swoim życiem. Wierzę w metody, które opracowałem. Jeśli to brak skromności, niech tak będzie. Bardzo przepraszam, ale ja na to inaczej patrzę. Khalehla powoli wyjęła prawą rękę spod stołu, a lewą wzięła leżącą obok torbę. Schowała pistolet i oparła się wygodniej, potrząsając prawą dłońią, aby przywrócić jej krążenie.

–Sądzę, że możemy odłożyć sprzęt. Ma pan rację, bardzo trudno jest kroić mięso widelcem trzymanym w lewej ręce, gdy druga ręka jest w tym czasie zupełnie zdrętwiała.

–Chciałem zaproponować, żeby zamówiła pani coś prostszego, jakąś zakąskę czy potrawę, którą można by jeść palcami, ale uznałem, że byłoby to wtykanie nosa w nie swoje sprawy.

–Czyżby za surowym wyrazem twarzy kryło się jednak poczucie humoru?

–Być może, choć w tej chwili nie czuję się bardzo wesoło i się nie poczuje, dopóki się nie dowiem, że Sekretarz Stanu bezpiecznie wylądował na Cyprze.

–Zaalarmował pan odpowiednich ludzi; nic więcej nie może pan zrobić. Oni się, tym zajmą.

–Na to liczę.

–A więc co do naszych interesów – powiedziała Khalehla, zabierając się z powrotem do jedzenia, ze wzrokiem utkwionym w Varaku. – Dlaczego Kendrick? Dlaczego pan to zrobił? Przede wszystkim jak pan to zrobił? Podśledzał pan źródła, które są z założenia niemożliwe do podsłuchania! Dostał się pan tam, gdzie nikt nie powinien się dostać i wyrwał tajemnice, wykradł dokumenty stuprocentowo zabezpieczone przed kradzieżą. Tego, kto je panu dał, powinno się stamtąd zabrać i wystawić do działań w terenie, żeby się dowiedział, jak to jest, kiedy nie ma się ochrony i jest się samemu, bez broni, na ulicach wrogiego miasta.

–Wszelka pomoc, jaką otrzymałem, pochodziła ze źródła, które mi ufało, które wiedziało skąd się wzięłem, jak to pani określiła. – Ale dlaczego?

–Dam pani ograniczoną odpowiedź i będę mówił bardzo ogólnie. – Stokrotne dzięki! Zamieniam się w słuch.

–Ten kraj bezwarunkowo potrzebuje zmian we władzach, które niewątpliwie zostaną ponownie wybrane.

–A kto to może wiedzieć oprócz wyborców?

–Tylko do pani wiadomości, ale znów jedynie w ogólnych zarysach... Chociaż nie powinienem nawet ich wykorzystywać. Sama pani widziała. Khalehla odłożyła widelec i spojrzała na Europejczyka.

–San Diego? Vanvlanderen? Grinell?

–San Diego, Vanvlanderem i Grinell – powtórzył cicho Czech. – I dalej: pieniądze najwyraźniej przesyłane przez Zurych i Bejrut do Doliny Bekaa w celu wyeliminowania politycznego przeciwnika, to znaczy członka Kongresu Kendricka. A teraz oczywista próba uniemożliwienia znakomitemu Sekretarzowi Stanu uczestnictwa w konferencji rozbrojeniowej, której celem jest redukcja rozpowszechniania broni kosmicznej i nuklearnej.

–San Diego – powiedziała Khalehla, zostawiając jedzenie. – Orson Bollinger?

–Zagadka – odparł Varak. – Ile on wie? Czego nie wie? Tak czy siak, jest punktem zbornym, przewodem prowadzącym do niepokonanego rządu. Należy go wymienić, eliminując w ten sposób ludzi wokół niego, którzy każą mu tańczyć do ich melodii.

–Ale dlaczego Evan Kendrick?

–Ponieważ on jest teraz przeciwnikiem nie do pokonania.

–Nigdy tego nie przyjmie; powie wam, żebyście poszli do diabła. Pan go nie zna, a ja znam.

–Człowiek nie zawsze chce robić, to co musi. On to zrobi, jeśli wyjaśnimy mu, dlaczego tak się powinno stać.

–Myśli pan, że to wystarczy?

–Oczywiście nie znam pana Kendricka osobiście, lecz nie sądzę by istniał drugi człowiek, którego tak starannie przestudiowałem. To nadzwyczajny mężczyzna, a jednocześnie tak realistycznie skromny w ocenie swoich osiągnięć. Zarobił mnóstwo pieniędzy na badaniu gospodarki Bliskiego Wschodu, a potem zrezygnował z wielu następnych milionów, ponieważ poczuł się moralnie obrażony i emocjonalnie wytracony z równowagi. Następnie wszedł na arenę polityczną tylko po to, żeby zastąpić – jak to pani mnie nazwała – wyrzutka społeczeństwa, który nabijał sobie kabzę w Kolorado. Wreszcie pojechał do Omanu, aby pomóc w przezwyciężeniu kryzysu, wiedząc, że może nie wrócić. Takiego człowieka nie traktuje się lekko. On może siebie tak traktować, nikt inny.

–Dobry Boże! – powiedziała Khalehla. – Mówi pan to, co ja, tyle że własnymi słowami.

–Dla poparcia jego politycznej kariery?

–Nie, dla wyjaśnienia, dlaczego nie był kłamcą. Powinam jednak panu powiedzieć, że istniał inny powód, dla którego pojechał do Omanu. Podpada to pod niezbyt życzliwą nazwę zabójstwa. Był przekonany, iż wie, kto stał za terrorystami w Maskat: ten sam potwór, który był odpowiedzialny za zabicie siedemdziesięciu ośmiu osób składających się na Grupę Kendricka, razem z żonami i z dziećmi. Miał rację; tego człowieka ukarano śmiercią zgodnie z prawem arabskim.

–To nie jest nic złego.

–Nie, lecz jednak zmienia w pewnym sensie okoliczności.

–Wolę sądzić, że dodaje nowy wymiar właściwego poszukiwania sprawiedliwości, co potwierdza tylko nasz wybór.

–Nasz?

–Więcej nie powiem.

–Mówię panu, że on to odrzuci.

–Zrobi to, jeśli się dowie, jak nim manipulowano. Może się zgodzi, jeżeli zostanie przekonany, iż jest potrzebny. Khalehla usiadła wygodniej i przyjrzała się Czechowi.

–O ile słuch mnie nie myli, proponuje mi pan coś, co jest dla mnie głęboko obraźliwe.

–Dlaczego? – Varak pochylił się do przodu. – Nikt nie może zmusić człowieka, żeby przyjął urząd wyborczy, musi sam się o niego starać. I na odwrót – nikt nie jest w stanie zmusić wiodących senatorów i kongresmanów partii politycznej, aby zaakceptowali nowego kandydata; sami muszą go chcieć. To prawda, że stworzono okoliczności, aby tego człowieka wyciągnąć na światło dzienne, ale nie stworzyliśmy przecież samego człowieka; on był, istniał.

–Prosi mnie pan, abym nie mówiła mu o naszej rozmowie, o panu... Czy ma pan pojęcie przez ile tygodni pana szukaliśmy? – Czy ma pani pojęcie przez ile miesięcy szukaliśmy Evana Kendricka?

–Nic mnie to nie obchodzi! Był manipulowany i doskonale o tym wie. Nie schowa się pan, nie pozwolę na to. Za dużo przez pana wycierpiał. Bliscy przyjaciele zabici, teraz pewno umrze stary człowiek, który przez piętnaście lat zastępował mu ojca. Wszystkie jego plany wzięły w łeb – to za dużo!

–Nie mogę zmienić tego, co zaszło, mogę jedynie żałować moich błędów w ocenie i nikt nie będzie tego bardziej żałował ode mnie, lecz teraz proszę, aby pomyślała pani o swoim kraju, który jest teraz także moim krajem. Jeśli pomogliśmy stworzyć siłę polityczną, to stało się tak dlatego, że siła ta istniała sama z siebie, z własnymi instynktami. Bez niego przywódcy partii zaakceptują każdą ilość przyzwoitych, porządnych, uczciwych ludzi, ale oni nie będą siłą... Rozumie mnie pani?

–Przekaz historyczny podaje, że jakiś wiceprezydent powiedział kiedyś, iż jego urząd nie wart jest "kubła ciepłych plwocin". – Nie dzisiaj i nie w wydaniu Evana Kendricka. Z pewnością była pani w Kairze, kiedy wystąpił tutaj w telewizji...

–Byłam w Kairze – przerwała mu Khalehla – ale mamy tam kanał amerykański, oczywiście z taśmy. Widziałam go i później widziałam go tu, widywałam wiele razy, niewątpliwie dzięki waszemu... planowi. Był bardzo dobry, bardzo inteligentny i porywający.

–On jest wyjątkowy. Nie można go kupić, mówi to, co myśli i cały kraj jest za nim.

–Przez pana.

–Nie, przez niego. On zrobił to, co zrobił, nikt tego wszystkiego nie wymyślił; powiedział to, co powiedział, nikt mu nie podpowiadał. Co mogę pani powiedzieć? Przeanalizowałem ponad czterysta możliwości na najbardziej nowoczesnych komputerach i w wyniku dostałem jednego człowieka. Evana Kendricka.

–Nic od niego nie chcecie?

–Mówi pani, że go zna. Gdybyśmy chcieli, jak by pani zdaniem postąpił?

–Przekazałby was jakiemuś komitetowi zwalczającemu korupcję i dopilnował, żebyście trafili do więzienia.

–Właśnie. Khalehla potrząsnęła głową, z zamkniętymi oczyma. Mam ochotę na kieliszek wina. Muszę sobie przemyśleć parę spraw. Varak gestem przywołał kelnera i zamówił dwakieliszki schłodzonego Chablis, wybór rocznika pozostawiając

smakowi kelnera. – Obawiam się, że nie znam się na winach, oprócz tych, które produkuje się w moim kraju – powiedział Czech.

–Nie wierzę ani przez sekundę. Jest pan na pewno dyplomowanym podczaszym.

–Ależ skąd. Zawsze mnie zdumiewają moi przyjaciele, kiedy zamawiają konkretny rocznik wina z określonej winnicy.

–Naprawdę ma pan przyjaciół? Uważam pana raczej za eminecencję gńse.

–Je comprends, ale się pani myli. Prowadzę normalne życie. Moi przyjaciele myślą, że jestem tłumaczem pracującym w domu. – Bien – stwierdziła agentka z Kairu. Ja też tak zaczynałam. – Nie mam żadnego biura do kontaktów, tylko automatyczną sekretarkę, którą mogę sprawdzić z każdego miejsca.

–Ja także. Dostali wino i Khalehla upiła łyk, a potem powiedziała: Nie może wrócić. Mówiła jakby do siebie, później po części zwracała się również do Varaka. – Przynajmniej nie przez kilka dni, o ile w ogóle. Kiedy zniosą blokadę wiele krwi zostanie przelanej w Dolinie Bekaa.

–Zakładam, że mówi pani o Kendricku?

–Tak. Terrorystów złapano, w pewnym sensie... Kilka godzin temu nastąpił trzeci i ostateczny atak. Miał miejsce w Mesa Verde i pod każdym względem był tak samo niszczący, jak ten w Fairfax. – Kilka godzin...? Czy Kendrick tam był?

–Tak.

–I?

–Powiedziano mi, że żyje. Podobnie jednak, jak w Wirginii zginęło wiele osób z naszego personelu.

–Przykro mi... Rozumiem, że Weingrass został poważnie ranny. To o nim pani mówiła jako o starym człowieku, prawda?

–Tak. Przewożą go samolotem do szpitala w Denver. Evan jest razem z nim.

–Teraz terroryści. – Oczywiście Varaka wpatrywały się w Khalehla z najwyższym skupieniem.

–Razem było ich dziewięciu. Ośmiu zginęło, jeden przeżył, najmłodszy.

–A kiedy zniosą blokadę, jak pani mówi, w Dolinie Bekaa poleje się krew. Dlatego Kendrick nie może wrócić do tej części świata. – Nie przeżyłby czterdziestu ośmiu godzin. Nie ma sposobu, aby go uchronić przed szaleńcami.

–A tutaj jest i tajne służby nie należą do najgorszych. W takich sprawach nic nie jest doskonałe, ale musimy szukać najlepszych rozwiązań.

–Wiem. – Khalehla napiła się wina.

–Rozumie pani, o czym mówię, prawda?

–Chyba tak.

–Niech wydarzenia biegną naturalną kolejną rzeczy. Istnieje komitet ds. działań politycznych poświęcony popieraniu kandydatury Kendricka na wyższe stanowisko. Niech pracuje w spokoju i niech kraj na to odpowie – tak czy inaczej. A jeśli oboje mamy rację co do Vanvlanderów, Grinellów i ludzi, których reprezentują, niech Evan Kendrick sam się zdecyduje. Ponieważ nawet jeżeli ich zdemaskujemy i zatrzymamy, pojawią się na ich miejsce setki innych... Potrzeba siły, potrzeba głosu. Khalehla uniosła wzrok znad kieliszka. Dwukrotnie kiwnęła głową.

Rozdział 36

Kendrick szedł wzdłuż Siedemnastej Ulicy w Denver w kierunku hotelu Brown Palace nie zwracając uwagi na lekki śnieg padający z nocnego nieba. Wysiadł z taksówki kilka przecznic od hotelu; musiał się przejść po świeżym powietrzu i rozjaśnić umysł. Lekarze w szpitalu połatali Manny'ego i uspokoili Evana, wyjaśniając, że rany, mimo iż brzydko wyglądają, spowodowane były niemal wyłącznie przez tkwiące w ciele kawałki szkła i metalu. Stracił sporo krwi, jak na człowieka w jego wieku, ale miała mu pomóc transfuzja. Zamieszanie zaczęło się dopiero wtedy, gdy Kendrick wziął na bok jednego z lekarzy i powiedział mu o obawach Weingrassa związanych z nawrotami choroby nowotworowej. W ciągu dwudziestu minut wyniki wszystkich badań Manny'ego zostały przekazane z Waszyngtonu i ordynator oddziału onkologicznego odbył rozmowę z chirurgiem, który operował starego architekta. Po dwóch godzinach zjawił się technik z jakiegoś laboratorium i po cichu omawiał coś z innym lekarzem. Poprosili, żeby Evan opuścił pokój i pobrali od Manny'ego różne próbki. Po następnej godzinie ordynator z patologii, chudy mężczyzna z ciekawskimi oczyma, podszedł do Kendricka w poczekalni.

–Czy pan Weingrass wyjeżdżał ostatnio z kraju? – spytał, – W ciągu ostatniego roku nie.

–A przedtem?

–Do Francji... I do południowozachodniej Azji. Brwi lekarza podjechały do góry.

–Nie jestem szczególnie mocny z geografii. Gdzie jest południowozachodnia Azja?

–Czy to konieczne?

–Tak.

–Oman i Bahrajn.

–Był z panem?... Przepraszam, ale pańskie bohaterskie czyny są powszechnie znane.

–Był ze mną – potwierdził Evan. – Jest jednym z tych, którym nie mogłem podziękować publicznie, ponieważ mogłoby to mu tylko zaszkodzić.

–Rozumiem. Nie mamy tu biura prasowego.

–Dziękuję. Dlaczego pan pyta?

–Jeśli się nie mylę, co nie jest wykluczone, został zarażony... powiedzmy wirusem, który według moich informacji występuje u mieszkańców Afryki Centralnej.

–To niemożliwe!

–Być może się mylę. Nasze urządzenia należą do najlepszych na Zachodzie, ale istnieją lepsze. Posyłam wycinek z płuc i próbkę krwi do CKCZ w Atlancie.

–Dokąd?

–Do Centrum Kontroli Chorób Zakaźnych.

–Chorób zakaźnych?

–Musimy być ostrożni.

–Niech pan je wyśle jeszcze dziś wieczorem, doktorze. Za godzinę na lotnisku Stapleton będzie czekał odrzutowiec. I niech pan przekaże do Atlanty, żeby zabrali

się do roboty, jak tylko dostaną próbki. Zapłacę za wszystko, nawet gdyby musieli pracować na okrągło.

–Zrobię, co będę mógł...

–Jeśli to pomoże – zaczął. Evan, sam dokładnie nie wiedząc, czy blefuje, czy nie – załatwię, żeby zadzwonili do nich z Białego Domu. Nie sądzę, żeby to było konieczne – powiedział patolog. Kiedy Kendrick wyszedł ze szpitala, pożegnawszy się z Manny'm, naszpikowanym środkami uspokajającymi, przypomniał sobie doktora Lyonsa z Mesa Verde, lekarza, który rozpląnął się w powietrzu, lekarza bez adresu i telefonu, ale za to z rządowym potwierdzeniem do okazania członkowi Kongresu i jego personelowi. Jakie potwierdzenie? Do czego miało być potrzebne? A może był to tylko bardzo ważny papierek, przy pomocy którego można się było dostać do prywatnego świata niejakiego Evana Kendricka? Postanowił nikomu o tym nie mówić. Khalehla najlepiej będzie wiedziała, co robić. Podszedł do hotelu i nagle, przez padający śnieg, zauważył kolorowe lampki na świątecznych dekoracjach rozciągniętych nad szeroką aleją między starą częścią miasta, a dzielnicą biurowców. I usłyszał dźwięki kolędy. Wesołych świąt od spadkobierców z Maskatu, pomyślał.

–Gdzie, do jasnej cholery, byłaś? – krzyczał MJ Payton, zmuszając Khalehlę do odsunięcia słuchawki od ucha.

–Na obiedzie.

–On tam jest! Nasz jasnowłosy Europejczyk jest w hotelu! – Wiem. Jadłam z nim obiad.

–Co?!

–Jest teraz w moim pokoju. Omawiamy to, co wiemy. Nie jest tym, za kogo go uważaliśmy.

–Do diabła, Adrienne! Powiedz skurwysynowi, że pan B chciałby porozmawiać z panem A.

–Wielki Boże! To byłeś ty!

–Zamknij się, Rashad! Oddaj mu słuchawkę.

–Nie wiem, czy będzie chciał. Agentka z Kairu znów odsunęła słuchawkę od ucha. Odwróciła się do Varaka.

–Jakiś pan B chciałby porozmawiać z panem A.

–Powinienem być się domyślić – powiedział Czech, wstając z krzesła. Podszedł do telefonu przy łóżku, a Khalehla ustąpiła mu miejsca.

–Serdecznie pana pozdrawiam. Nic się nie zmieniło, żadnych nazwisk, żadnego identyfikowania. – A jak pana nazywa moja siostrzenica? Naprawdę jest moją siostrzenicą.

–Podałem jej fałszywe imię: Miloś.

–To imię słowiańskie?

–Amerykańskie, proszę pana.

–Prawda, zapomniałem.

–Co z Sekretarzem Stanu?

–Wylądował na Cyprze.

–Ciężar spadł mi z serca.

–Nam wszystkim też, o ile w ogóle były powody do alarmu. – Informacje miałem dokładne.

–Niestety, nie mogliśmy ich potwierdzić z naszej strony. Grinella nie było w hotelu i nie pokazał się w swojej rezydencji.

–Jest z tą Vanvlanderen.

–Tak, wiemy. Recepcjonista poinformował, że z tą dwójką było wiele innych osób. Coś panu przychodzi do głowy?

–Z tego, co wiem, to obstawa Grinella. Mówiłem panu, że są przy nim ludzie, że trzeba być przygotowanym.

–Tak, to prawda... Pracujemy razem?

–Na odległość.

–Co pan ma do zaoferowania?

–Pewne dowody, o których mówiłem pannie Rashad – odparł Varak, myśląc o zmontowanych taśmach i tekstach, które przekaże oficerowi wywiadu. Zmontowanych tak, żeby Eric Sundstrom pozostał anonimowym konspiratorem; trup nie musi mieć nazwiska. Być może tylko tyle, ale to rdzeń tego, czego panu trzeba. – Przyjmujemy z wdzięcznością.

–Jest jednak pewna cena.

–Ja za nic nie płacę...

–Jak to nie? – przerwał mu Czech. – Płaci pan przez cały czas. – O co chodzi?

–Ponieważ moje żądania wymagają skomplikowanych wyjaśnień, panna Rashad powtórzy je panu swoimi słowami. Skontaktuję się z nią jutro i będziemy się porozumiewać za jej pośrednictwem. Jeśli pańska odpowiedź będzie pozytywna, załatwię przekazanie moich materiałów do pana.

–A jeśli nie?

–Wtedy radziłbym panu pomyśleć o konsekwencjach.

–Proszę z łaski swojej przekazać słuchawkę mojej siostrzenicy. Jak pan sobie życzy, Varak odwrócił się do Khalehli, podał jej słuchawkę i podszedł do swego krzesła.

–Słucham – powiedziała Rashad.

–Odpowiadaj tylko "tak" lub "nie", a jeżeli nie będziesz mogła odpowiedzieć, milcz przez sekundę. W porządku?

–Tak.

–Nic ci nie grozi?

–Nie.,

–Czy jego materiały nam pomogą?

–Tak. Zapewniam.

–Samo "tak" wystarczy, agentko Rashad... Najwyraźniej mieszka w hotelu, sądzisz, że w nim zostanie?

–Nie.

–Czy powiedział ci, w jaki sposób dostał dokumenty na temat Omanu?

–Nie.

–I na koniec: czy przeżyjemy jego żądania?

–Musimy, przepraszam, że złamałam zasadę.

–Rozumiem – powiedział zaskoczony dyrektor Akcji Specjalnych. Może byś mi wyjaśniła to niezwykle krnąbrne stwierdzenie? – Porozmawiamy później – Khalehla odłożyła słuchawkę i odwróciła się do Varaka. – Mój szef jest zdenerwowany.

–Przez panią czy przeze mnie? Nietrudno było domyślić się jego pytań.

–Przez nas oboje.

–Naprawdę jest pani wujem?

–Znam go od dwudziestu lat i skończmy z nim. Porozmawiajmy przez chwilę o panu. Nietrudno było także domyślić się, o co pytał pana.

–Ale tylko przez chwilę. Muszę iść.

–Powiedział mu pan, że Grinell jest z Vanvlanderem i że ci inni są obstawą Grinella.

–Zgadza się.

–Mnie zaś pan mówił, że w apartamencie Vanvlanderów było dwóch mężczyzn, a obstawa została za drzwiami.

–To prawda.

–Kim jest ten drugi mężczyzna i dlaczego pan go chroni?

–Chroni?... Chyba pani mówiłem, że obaj są zdrajcami. Usłyszy to pani na taśmach, przeczyta w tekstach, które wam przekażę, jeśli pani szef zgodzi się na moje warunki, tak jak paniszę już zgodziła. – Przekonam go.

–To sama pani usłyszy.

–Ale pan go zna! Kto to jest? Varak wstał z krzesła, przed sobą trzymał złożone dłonie. – Znów jesteśmy na terytorium zabronionym. Powiem pani jednak tyle: muszę wyjść w związku z tym człowiekiem. Jest on czymś wyjątkowo plugawym... I jest mój. Będę przeszukiwał to miasto przez całą noc, dopóki go nie znajdę; a jeżeli go nie znajdę tu, wiem, gdzie go szukać jutro lub następnego dnia. Powtarzam: on jest mój.

– Jaremat thaarl

–Nie znam arabskiego.

–Ale wie pan, co to znaczy. Mówiłam panu.

–Dobranoc – powiedział Czech, podchodząc do drzwi.

–Mój wuj chce wiedzieć, jakie pan dostał dokumenty z Omanu. I raczej nie przestanie na pana polować, dopóki się nie dowie. – Wszyscy mamy swoje priorytety – odparł Varak z ręką na klawisze. – W tej chwili jego i pani są w San Diego, a moje gdzie indziej. Niech mu pani powie, że nie ma się czego obawiać ze strony mojego informatora. Prędzej umrze niż narazi któregoś z waszych ludzi, któregoś z naszych ludzi.

–Do diabła, już to zrobił! Evana Kendricka! Zadzwoił telefon; obydwójce szybkim ruchem odwrócili głowy w tę stronę. Khalehla podniosła słuchawkę.

–Tak?

–Stało się! – zawołał Payton w Langley, w stanie Wirginia. – Och, mój Boże! Zrobili to!

–Co się stało?

–Hotel "Larnaca" na Cyprze. Wyszadzili w powietrze zachodnie skrzydło. Nic nie

zostało, same gruzy. Sekretarz Stanu nie żyje, nikt nie żyje...

–Hotel na Cyprze – powtórzyła Khalehla przerażonym jednostajnym tonem, spoglądając na Czecha. – Wysadzony w powietrze, Sekretarz nie żyje, nikt nie żyje...

–Proszę mi dać ten telefon – wrzasnął Varak, rzucając się przez pokój i wydzierając jej słuchawkę. – Czy nikt nie sprawdził piwnic, przewodów klimatyzacyjnych, fundamentów?

–Cypryjskie służby specjalne twierdziły, że wszystko sprawdziły... – Cypryjskie służby? przerwał mu rozwścieczony Czech. Pełne są wrogich elementów. Głupcy, beznadziejni przekłęci głupcy! – Chce pan zająć moje stanowisko?

–W życiu bym go nie przyjął – odparł Varak, opanowując gniew i zniżając głos. – Nie pracuję z amatorami – dodał pogardliwie, odłożył słuchawkę i podszedł do drzwi. Tam jeszcze raz się odwrócił. – To, czego dzisiaj tutaj potrzebowaliśmy to mózg Kendricka z Omanu. On pierwszy powiedziałby wam wszystkim, co macie robić i czego szukać. I prawdopodobnie byście go nie posłuchali. Czech otworzył drzwi, wyszedł i zatrzasnął je za sobą. Zadzwoił telefon.

–Wyszedł – powiedziała Rashad, instynktownie wiedząc, kto dzwoni.

–Zaproponowałem mu swoje stanowisko, ale wyraźnie dał mi do zrozumienia, że nie pracuje z amatorami... Dziwne, co? Człowiek, o którym nic nie wiemy, ostrzega nas, a my partaczymy robotę. A rok temu posłaliśmy Kendricka do Omanu i zrobił coś, czego pięciuset zawodowców z co najmniej sześciu krajów nie potrafiło zrobić. To bardzo dziwne... Starzeję się.

–Nie mów tak, MJ! – zawołała agentka. – To świetni faceci i po prostu mieli szczęście, ale ty już zrobiłeś znacznie więcej niż oni kiedykolwiek zrobią.

–Chciałbym w to wierzyć, dzisiejszy wieczór jest jednak zabójczy dla mojego samopoczucia.

–Przestań! Myślę, że to dobry moment, abym się wytłumaczyła z niezwykłego stwierdzenia, które ci wygłosiłam kilka minut temu. – Proszę bardzo. Słucham. Nie mam już siły mówić. Nie wiem, dla kogo pracuje Miloś, lecz oni nic nie chcą od Evana. Kiedy naciskałam, wyjaśnił logicznie: gdyby wysuwali jakiegokolwiek żądania pod jego adresem, rzuciłby ich wilkom na pożarcie. On ma rację, Evan by to zrobił.

–Zgadzam się. Czego więc chcą?

–Wycofać się i pozwolić, żeby wszystko szło swoim porządkiem., Chcą, żebyśmy się wycofali i pozwolili na dalszy wyścig. – Evan nie będzie uczestniczył...

–Może będzie, kiedy się dowie o czarnych książętach rządzących w Kalifornii. Powiedzmy, że ich zatrzymamy; setki czekają, aby zająć ich miejsce. Miloś ma rację, potrzebny jest głos.

–Jakie jest twoje zdanie, moja droga?

–Chcę, żeby Evan żył. Nie może wrócić do Emiratów; sam siebie może przekona, ale jeśli powróci, zginie w chwili, kiedy będzie wysiadał z samolotu. Nie może także wegetować w Mesa Verde, nie z taką energią i wyobraźnią. To też rodzaj śmierci... Wiesz, MJ, temu krajowi Evan bardzo by się przydał.

–Głupcy, co za głupcy – szeptał do siebie Miloś, wykręcając numer telefonu i jednocześnie studiując plan apartamentów Vanvlanderów; w każdym pokoju

zaznaczone były małe czerwone znaczki X. Kilka sekund później usłyszał głos w telefonie.

–Tak?

–Dźwiękowiec?

–Praga?

–Jesteś mi potrzebny.

–Pieniądze zawsze się przydadzą, a płacisz dobrze.

–Podjedź po mnie za pół godziny, zapasowe wyjście. Wyjaśnię, o co mi chodzi po drodze do studia... Na planie nie ma żadnych zmian? – Nie. Znalazłeś klucz?

–Dziękuję za obie rzeczy.

–Zapłaciłeś. Za pół godziny. Czech odłożył słuchawkę i spojrzał na spakowany sprzęt nagrywający przy drzwiach. Wysłuchał rozmowy Rashad z Ardis Vanvlanderem i – mimo złości spowodowanej tragiczną śmiercią Sekretarza Stanu – uśmiechnął się ponuro – na myśl o zuchwałej strategii agentki z Kairu i jej szefa. Bazując na tym, czego się dowiedzieli, poczynili pewne założenia co do działań Andrew Vanvlanderena i zmienili je w wiarygodne kłamstwo: palestyńskie grupy uderzeniowe, Bollinger jako ich cel, Kendricknie wspomniany ani razu. Fantastyczne! Pojawienie się Erica Sundstroma po dwóch godzinach od zaskakującej, pokrętej informacji Rashad – pojawienie pomyślane jako pułapka na zdrajcę Inver Brass i nie oparte na żadnych założeniach co do winy Vanvlanderena – było zapalnikiem wybuchu, który rozwalił betonową strukturę oszustwa w San Diego. Bierze się rzeczy tam, gdzie można je znaleźć. Varak podszedł do drzwi, ostrożnie je otworzył i wysunął się na korytarz. Przeszedł szybko do apartamentu Vanvlanderenów i otworzył jego drzwi kluczem dostarczonym mu przez Dźwiękowca. W ręce trzymał plan. Szybkimi kocimi susami przemieszczał się z pokoju do pokoju, usuwając maleńkie elektroniczne pluskwy z różnych miejsc – spod stołów i krzeseł, spod miękkich poduch na sofie, zza luster w czterech sypialniach, spod szafek w rozmaitych łazienkach i ze środka dwóch palników w kuchni. Na koniec zostawił sobie biuro wdowy, podliczył czerwone krzyżyki i stwierdził, że zlikwidował wszystkie urzędnika. W biurze było ciemno; zapalił lampę stojącą na biurku. Dziesięć sekund później miał już w kieszeni cztery pluskwy, trzy z biura i jedną z przylegającej doń łazienki. Teraz skoncentrował się na biurku. Spojrzał na zegarek – cała operacja trwała dziewięć minut, czyli miał przynajmniej kwadrans na zbadanie domowego sanktuarium pani Vanvlanderem. Zaczął od szuflad biurka, wyciągając jedną po drugiej, przerzucając nieważne papiery składające się na drobiazgi wiceprezydenta: plany zajęć, listy od osób indywidualnych i instytucji, na które pewnego dnia należało odpowiedzieć, pisma z Białego Domu, z Departamentu Stanu i Obrony, a także wielu innych agencji rządowych, jakie trzeba było przestudiować, aby je później wyjaśnić Orsonowi Bollingerowi. Nie było niczego wartościowego, niczego co mogło się wiązać z podziemnymi manipulacjami w południowej Karolinie. Rozejrzał się po dużym, wykładanym boazerią biurze, przyglądając się po kolei półkom, ładnym meblom i oprawionym fotografiom na ścianach... Fotografie... Na ciemnym tle drewna wisiało ich ponad dwadzieścia. Varak podszedł i zaczął je sprawdzać, zapalając stojącą na

stole lampę, aby lepiej widzieć. Na jednej ścianie wisiała typowa kolekcja zdjęć przedstawiających państwa Vanvlanderénów w towarzystwie figur politycznych, od prezydenta po ważniejszych przedstawicieli rządu i Kongresu. Na ścianie obok znajdowały się zdjęcia samej wdowy, bez jej, świętej pamięci, męża. Były to najwyraźniej fotografie z przeszłości Ardis Vanvlanderén, osobiste świadectwo, które jasno pokazywało, iż jej przeszłość nie była bez znaczenia. Na zdjęciach nie brakowało drogich samochodów, jachtów, zbroczy narciarskich i luksusowych futer. Varak miał już porzucić tę wystawę pychy, kiedy jego wzrok padł na powiększoną fotografię, zrobioną najwyraźniej w Lozannie, z Jeziorem Genewskim w tle. Miloś przyjrzał się ciemnoskóremu mężczyźnie stojącemu obok tryskającego życiem obiektu jego zainteresowania. Znał tę twarz, ale nie mógł jej nazwać. Nagle, jakby idąc tropem, jego oczy przeniosły się na prawo, w dół, na inne, powiększone zdjęcie, również zrobione w Lozannie, tym razem w ogrodach Beau Rivage. Był na nim ten sam mężczyzna. Kto to jest? I obok jeszcze jedno zdjęcie, z Rozengrachtu w Amsterdamie, przedstawiające te same dwie osoby. Kim jest ten mężczyzna? Trzeba się skoncentrować. Napłynęły widoki, fragmenty nieuchwytnych impresji, lecz bez nazwiska. Rijad... Medyna, Arabia Saudyjska. Zszokowana i wściekła rodzina saudyjska... Zaplanowana egzekucja, potem ucieczka. Tyle milionów... Osiemdziesiąt lat temu. Kto to jest? Varak postanowił zabrać jedno zdjęcie, ale zaraz pomyślał, że nie powinien tego robić. Kimkolwiek jest ten człowiek, reprezentuje kolejny pouczający składnik systemu stworzonego wokół Orsona Bollingera. Brakująca fotografia tej twarzy mogłaby wzbudzić podejrzenia i wzniecić alarm. Miloś zgasił lampę na stole i wrócił do biurka. Nadszedł czas, aby stąd wyjść, zabrać swoje rzeczy i spotkać się z Dźwiękowcem na ulicy przy zapasowym wyjściu. Sięgnął, żeby wyłączyć lampę na biurku i nagle usłyszał, że otworzyły się drzwi w foyer. Szybko zgasił światło i podszedł do drzwi, częściowo je przymykając, tak by mógł, skrywając się za nimi, przez szparę obserwować, co się dzieje. W zasięgu wzroku pojawiła się wysoka postać mężczyzny, swobodnie poruszającego się w znajomym wnętrzu. Varak zasępił się na moment; od dawna nie myślał o tym człowieku. Był to rudowłosy agent FBI z Mesa Verde, członek grupy przydzielonej wiceprezydentowi na prośbę Ardis Vanvlanderén, człowiek, który zaprowadził go do San Diego. Miloś poczuł się dezorientowany, ale tylko chwilowo. Drużynę odwołano do Waszyngtonu, a jednak jeden gracz został – a dokładniej mówiąc został kupiony zanim Varak odnalazł go w Mesa Verde. Czech przyglądał się, jak rudowłosy mężczyzna chodzi po salonie, jakby czegoś szukał. Ze stolika po lewej stronie sofy podniósł szklankę, stojącą obok inkrustowanej kością słoniową lampy, i podszedł do drzwi prowadzących do kuchni. Wrócił po chwili z pojemnikiem aerozolowym w jednej i ścierką w drugiej ręce. Podszedł do baru, gdzie brał po kolei każdą butelkę, spryskiwał ją płynem z pojemnika i dokładnie wycierał. Potem spryskał miedziany brzeg barowej lady i wypolerował do czysta. Następnie przechodził od jednego mebla do drugiego i powtarzał swoje działania, jakby oczyszczał z grzechu całe pomieszczenie. Varak doskonale wiedział, co robi agent – eliminuje ślady bytności Erica Sundstroma, wycierając odciski palców naukowca. Mężczyzna odłożył pojemnik i ścierkę na stolik

do kawy i od niechcenia ruszył przez pokój.. w kierunku biura! Czech bezszelestnie odskoczył od drzwi i wpadł do łazienki, zamykając jej drzwi tym razem bardziej niż częściowo, zostawiając jedynie szparę na dwa centymetry. Agent FBI, tak jak przedtem Miloś, zapalił lampę na biurku, usiadł na krześle i wysunął dolną prawą szufladę. Później zrobił jednak coś, czego Varak nie uczynił – nacisnął niewidzialny guzik. W tej samej chwili blat biurka podniósł się do góry. – Jezus Maria! – powiedział szeptem do siebie rudowłosa mężczyzna, zaglądając do najwyraźniej pustej skrytki. Gwałtownym ruchem sięgnął po telefon na biurku i wykręcił jakiś numer. Po paru sekundach odezwał się.

–Nie ma tu tego! – zawołał. – Nie, jestem pewien – dodał po chwili. Nic nie ma!... Czego pan chce ode mnie? Zrobiłem wszystko zgodnie z instrukcją i mówię panu, że niczego tu nie ma!... Co? Niedaleko pana domu? W porządku, zrobię tak i potem zadzwonię. Agent przycisnął widełki, zwolnił i nakręcił jedenastocyfrowy numer. Zamiejskowa.Baza Pięć, tu Blackbird, zadanie specjalne z San Diego, kod sześćsześćzero. Proszę o potwierdzenie. Dziękuję. Czy mamy jakieś pojazdy w La Jolla, o których nie wiem? Nie mamy...Nie, nic pilnego, to pewno prasa. Musieli się dowiedzieć, że wice idzie na soiree poświęcone sztuce – tak, dobrze usłyszałeś, soiree – razem ze wszystkimi snobami. Nie odróżnia Rembrandta od Al Capone, ale będzie musiał udawać. Sprawdzę to, nie zawracaj sobie głowy. Rudy chudzielec rozłączył się i raz jeszcze zadzwonił.Z naszej strony nic nie ma – powiedział cicho. – Nie, nie ma takiego przepisu, że muszą nas zawiadamiać. CIA? Dowiedzielibyśmy się ostatni... Dobrze, zadzwonię na lotnisko. Czy chce pan, żebym porozmawiał z pilotem?... Jak pan sobie życzy, ja wobec tego wynoszę się stąd. Agencja i Biuro nigdy ze sobą nie współpracują. Agent FBI odkładał słuchawkę kiedy Varak wyszedł z ciemnej łazienki z pistoletem automatycznym w ręce.Zbyt szybko się stąd nie wyniesiesz – powiedział koordynator Inver Brass.O rany! – wrzasnął rudowłosa agent. Wskoczył z krzesła, rzucił się na Varaka stojącego w drzwiach i złapał jego prawą rękę z siłą spanikowanego zwierzęcia, wpychając Milośa do łazienki i waląc jego głową w gustownie wytapetowaną ścianę. Czech usiadł na umywalce, lewą nogą opasał ciało agenta i podciął go, podrywając jednocześnie do góry swoją prawą rękę z bronią, tak że omal nie urwał agentowi lewej ręki. Akcja była skończona. Mężczyzna leżał na podłodze, trzymając się za ramię, jakby było złamane.

–Wstawaj! – rozkazał mu Varak, nie usiłując nawet celować pistoletem w agenta. Rudowłosa mężczyzna złapał się brzegu marmurowej umywalki i z trudem wstał krzywiąc się z bólu.

–Wracaj tam i siadaj – powiedział Miloś i popchnął agenta przez drzwi do biurka.

–Kim ty, do cholery, jesteś? – zapytał zasapany mężczyzna, padając na krzesło i nadal trzymając się za ramię.

–Spotkaliśmy się kiedyś, choć ty o tym nie wiesz. Na wiejskiej drodze w Mesa Verde, na zachód od domu pewnego członka Kongresu. – To ty?! – Agent poderwał się na nogi, a Varak popchnął go z powrotem.

–Kiedy się sprzedałeś, agencji federalny? Mężczyzna przyglądał się Milośowi w świetle lampki na biurku. – Jeśli jesteś jakimś naturalizowanym przybłądą, to się

dowiedz, że jestem specjalnie przydzielony do wiceprezydenta.

–"Krzyżująca się drużyna"? Widzę, że rozmawiałeś z jakimiś łatwo ekscytującymi się osobami... Nie istnieje nic takiego, a te pojazdy wokół domu Grinella zostały zamówione przez Waszyngton... – Nieprawda! Przed chwilą sprawdzałem!

–Może Biuro nie zostało poinformowane albo cię oszukali, mniejsza z tym. Jestem pewien, że jak wszyscy uprzywilejowani żołnierze z elitarnych organizacji możesz się bronić, twierdząc, iż jedynie wykonywałeś rozkazy – na przykład wycierając odciski palców i szukając ukrytych dokumentów, o których nic nie wiesz.

–Bo nie wiem!

–Ale się sprzedałeś i to mnie obchodzi. Byłeś gotów przyjąć pieniądze i określone przywileje za usługi wykonane w ramach twoich działań oficjalnych. Czy jesteś także gotów oddać życie za tych ludzi?

–Co?

–Posłuchaj uważnie – powiedział cicho Varak, podnosząc pistolet i gwałtownie przyciskając lufę do czoła agenta. Mnie jest zupełnie wszystko jedno czy będziesz żył, czy nie. Muszę jednak znaleźć pewnego człowieka. Dziś wieczorem.

–Nie znasz Grinella...

–Grinell jest dla mnie nieistotny, zostaw go innym. Człowiekiem, którego szukam, jest ten, którego odciski palców tak starannie usuwałeś w tym mieszkaniu. Powiesz mi, gdzie on się teraz znajduje albo twój mózg rozprysnie się na tym biurku, a ja go nawet nie posprzątam. Taka scena będzie dalszym przekonującym objawem zła, zgodnego ze wszystkim, co się tutaj dzieje... Gdzie on jest? Trzęsąc się, bez tchu, rudowłosa mężczyzna wyrzucał z siebie słowa, jak karabin maszynowy.

–Nie wiem i nie kłamię! Kazali mi przyjść na spotkanie w bocznej ulicy koło plaży w Coronado. Przysięgam, że nie wiem, dokąd się wybierali.

–Przed chwilą dzwoniłeś.

–Ma telefon w samochodzie. Jest w drodze.

–Z kim się spotkałeś w Coronado?

–Tylko z Grinellem i tym drugim, który mi dokładnie opisał, czego w tym mieszkaniu dotyczył.

–A co z nią?

–Nie mam pojęcia. Może zachorowała albo miała wypadek. Po drugiej stronie drogi stała karetka pogotowia.

–Ale wiesz przecież, dokąd się wybierali. Miałeś właśnie dzwonić na lotnisko. Jakie dostałeś instrukcje?

–Żeby obsługa przygotowała samolot do odlotu za godzinę. – Gdzie jest samolot?

–Na międzynarodowym w San Diego. Prywatny pas na południe od głównych pasów.

–Cel podróży?

–Grinell nigdy nikomu nie mówi, tylko pilotowi.

–Zaproponowałeś, że zadzwonisz do pilota. Jaki jest do niego numer?

–Nie wiem. Gdyby Grinell chciał, żebym zadzwonił, to by mi podał numer, ale nie chciał.

–Podaj mi numer telefonu w samochodzie. Agent podał numer, a Czech go zapamiętał.

–Nie pomyliłeś się?

–Zadzwoń i sprawdź. Varak wsunął pistolet do pochwy pod pachą.

–Słyszałem dzisiaj określenie, które do ciebie pasuje, agencie – powiedział. –

Wyrzutek społeczeństwa, to ty. Mówiłem też, że nie masz dla mnie żadnego znaczenia, zatem pozwolę ci odejść. Może powinieneś zacząć przygotowywać sobie tłumaczenie, jak przystało posłusznemu żołnierzowi, którego zdradzili zwierzchnicy, a może powinieneś raczej ruszyć na południe, w stronę Meksyku. Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi. Jeśli jednak zadzwonisz pod numer tego telefonu w samochodzie, będziesz martwy. Rozumiesz?

–Chcę się stąd wydostać – powiedział agent; zerwał się na nogi i pędem poleciał przez salon do foyer.

–Ja też – szepnął Miloś do siebie. Spojrzał na zegarek; Dźwiękowiec już czekał na dole. Nie szkodzi, pomyślał, facet jest bystry i szybko się połapie, na czym mu zależy z taśm i tekstów. Potem pożyczycy samochód od Dźwiękowca i zaparkuje na międzynarodowym lotnisku w San Diego. Tam, na prywatnym pasie, na południe od głównych pasów, znajdzie zdrajcę Inver Brass. Znajdzie i zabije.

Zadzwoił telefon, wrywając Kendricka z niespokojnego snu. Zdezorientowany spoglądał na hotelowe okno i gęsty śnieg niesiony wiatrem za szybą. Telefon znów zadzwonił; mrugając oczyma Kendrick odszukał aparat, zapalił nocną lampkę i podniósł słuchawkę, rzucając przy tym okiem na zegarek. Dwadzieścia po piątej. Khalehla? – Tak, słucham?

–W Atlancie nie spali przez całą noc – powiedział ordynator oddziału patologii. – Właśnie do mnie dzwoniли i pomyślałem, że chciałby pan wiedzieć.

–Dziękuję, doktorze.

–Obawiam się, że nie ma za co. Wszystkie wyniki są pozytywne. – Rak? – spytał Kendrick, przełykając ślinę.

–Nie. Mógłbym panu podać termin medyczny, ale nic panu nie powie. Można to określić jako odmianę salmonelli, mutację wirusa, który atakuje płuca powodując skrzepy krwi, blokujące dostęp powietrza. Potrafię zrozumieć, dlaczego pan Weingrass myślał, że ma raka. Nie ma, choć to żadna pociecha. Lekarstwo? – szepnął Kendrick, ściskając słuchawkę. Po krótkiej pauzie patolog odparł cicho:

–Nie ma lekarstwa. To proces, którego się nie da odwrócić. W afrykańskich okręgach Kasai wyrzynają całe stada bydła i palą zwłoki, burzą całe wsie i także je palą.

–Do diabła z bydłem i afrykańskimi wioskami!... Przepraszam, nie chciałem na pana krzyczeć.

–Nic się nie stało, to część mojej pracy. Oglądałem mapę; musiał coś jeść w jakiejś restauracji w Omanie, gdzie podają jedzenie z centralnej Afryki, może specjalnie dla robotników cudzoziemców. Brudne naczynia, coś takiego. W ten sposób się przenosi.

–Nie zna pan Emmanuela Weingrassa. W życiu by niczego nie zjadł w czymś

takim... Nie, panie doktorze, on się nie zaraził, zostało mu to wszczepione.

–Słucham?

–Nic, nic. Ile ma czasu?

–Specjaliści mówią, że bywa różnie. Miesiąc do trzech, może cztery. Nie więcej niż pół roku.

–Czy mogę mu powiedzieć, że może żyć jeszcze parę lat? – Może mu pan powiedzieć, co pan chce, ale on powie panu coś innego. Oddychanie będzie mu sprawiało coraz większą trudność. Musi mieć pod ręką tlen.

–Będzie miał. Dziękuję, panie doktorze.

–Przykro mi, proszę pana. Evan wstał z łóżka i ze złością chodził po pokoju. Widmowy lekarz nieznan w Mesa Verde, ale bardzo dobrze znany niektórym członkom amerykańskiego rządu. Sympatyczny lekarz, który chciał tylko pobrać próbkę krwi... A potem znikł. Nagle Evan krzyknął ochryłym głosem, ze łzami spływającymi mu po twarzy; Gdzie jesteś, Lyons? Znajdę cię! Z wściekłością rąbnął pięścią w najbliższe okno, tłukąc szybę, tak że śnieg i wiatr wpadły do pokoju.

* * *

Rozdział 37

Varak podszedł do ostatniego hangaru w prywatnej części międzynarodowego lotniska w San Diego. Policja i uzbrojeni celnicy bez przerwy jeździli elektrycznymi samochodzikami i na motorowerach po wąskich uliczkach olbrzymiego płaskiego kompleksu; od czasu do czasu w odbiornikach radiowych w pojazdach wybuchały głosy i trzaski. Bogaci ludzie i korporacje przynoszące duże zyski i ulokowane w tym stanie mogli uniknąć irytacji związanych, z podróżowaniem rejsowymi samolotami, ale nie mogli uniknąć bacznej uwagi agencji federalnych i stanowych, patrolujących sektor prywatnego lotnictwa. Każdy samolot przygotowywany do odlotu przechodził nie tylko przez zwykłą kontrolę związaną z planem i trasą lotu, lecz także dokładne sprawdzanie samego samolotu. Poza tym każda osoba wsiadająca do samolotu mogła być poddana rewizji tak samo, jak pospolity motłoch. Bogatym nie zawsze wszystko idzie łatwiej. Czech wszedł od niechcienia do wygodnej poczekalni, gdzie elita pasażerska oczekiwała w luksusie na odlot. Zapytał o samolot Grinella i atrakcyjna urzędniczka za ladą okazała się znacznie bardziej pomocna niż się tego spodziewał.

–Czy jest pan pasażerem tego samolotu? – spytała, gotowa do wpisania jego nazwiska w komputer.

–Nie, przyjechałem, żeby dostarczyć pewne dokumenty.

–Proponuję, aby udał się pan do hangaru numer 7. Pan Grinell rzadko tu się zjawia; idzie wprost do kontroli, a potem do samolotu, kiedy go podstawiają do sprawdzenia.

–Gdyby mogła mi pani podać dokładnie...

–Zawiezie pana któryś z naszych samochodzików.

–Wolałbym pójść piechotą, jeśli można. Muszę trochę rozprostować nogi.

–Jak pan woli, proszę jednak trzymać się ulicy. Służby bezpieczeństwa mamy przeczulone i pełno tu rozmaitych alarmów.

–Będę biegł od jednego światła do drugiego – powiedział z uśmiechem Miloś. – Dobrze?

–Niezły pomysł – odparła dziewczyna. – W zeszłym tygodniu jeden ważniak z Beverly Hills trochę się zaprawił i też chciał iść piechotą. Skręcił w złym miejscu i wylądował w więzieniu w San Diego. – Za chodzenie piechotą?

–Miał przy sobie jakieś śmieszne pastylki...

–Nie mam nawet aspiryny.

–Musi pan wyjść na zewnątrz, skręcić w prawo w pierwszą ulicę, a potem znów w prawo. To ostatni hangar na skraju pasa. Pan Grinell ma najlepsze miejsce. Szkoda, że tak rzadko tu zachodzi. – Jest bardzo zamkniętym człowiekiem.

–Jest po prostu niewidoczny, ot co. Varak przez cały czas rozglądał się wokół, kiwając głową kierowcom samochodzików i skuterów, którzy mijali go z obydwóch kierunków, niektóre zwalniały, inne szybko przejeżdżały obok niego. Urzędniczka nie myliła się ani na jotę, pomyślał Miloś, kiedy zbliżył się do wielkich otwartych drzwi ostatniego hangaru. Samolot Grinella faktycznie miał najlepsze miejsce. Po odprawie mógł wyjechać na pole przez przeciwległe drzwi i start podlegał już tylko kontroli z wieży – bez dodatkowej straty czasu na kołowanie do pasów startowych. Niektórym bogatym jednak jest łatwiej niż mu się zdawało. Dwaj strażnicy w mundurach stali w środku hangaru na brzegu podjazdu, tam gdzie pole startowe łączyło się z betonową podłogą wnętrza. Za nimi stał nieruchomy odrzutowiec Rockwell z ludźmi łązącymi po srebrnych skrzydłach – metalowy ptak, który wkrótce miał się wzbić w nocne niebo. Miloś przyjrzał się mundurom strażników – nie były ani federalne, ani stanowe; pochodziły z prywatnej firmy ochrony. To odkrycie przywołało następną myśl, kiedy spostrzegł, że jeden ze strażników jest wielki i gruby. Nic nie straci próbując; znalazł się na miejscu zabójstwa, ale o ileż bardziej satysfakcjonujące byłoby uśmiercenie zdrajcy z bliska, będąc pewnym osiągnięcia celu. Varak ruszył od niechcienia po asfalcie, w kierunku imponującego wejścia do hangaru. Obaj strażnicy zrobili krok do przodu, jeden z nich przydeptał niedopałek papierosa.

–Ma pan tu jakiś interes? – zapytał ten wielki po prawej stronie Varaka.

–Owszem, mam interes – odparł Varak uprzejmym tonem. – I to raczej poufny interes.

–Co to znaczy? – spytał niski strażnik po lewej.

–Obawiam się, że będzie pan musiał zapytać o to pana Grinella. Jestem tylko posłańcem i kazano mi rozmawiać tylko z jedną osobą, która przekaże informacje panu Grinellowi, kiedy się tu zjawi. – Pieprzone bzdury – mruknął niski strażnik do kolegi. – Jeśli masz pan jakieś papiery albo gotówkę, musi je pan pokazać celnikom. Znajdą w samolocie coś, o czym nie wiedzieli i pan Grinell wpadnie w szal, rozumiemy się?

–Doskonale, przyjacielu. Mam tylko słowa, które należy powtórzyć bardzo dokładnie. Rozumiemy się?

–Niech pan gada.

–Jedna osoba – powiedział Varak. – Wybieram jego. – Pokazał na grubasa.

–To tępak. Niech pan powie mnie.

–Powiedziano mi, kogo wybrać.

–Cholera!

–Proszę, niech pan pójdzie ze mną powiedział Czech, wskazując na miejsce tuż za reflektorami. – Muszę nagrać naszą rozmowę, ale tak, żeby jej nikt nie słyszał.

–Dlaczego nie powie pan wprost szefowi? – zaoponował drugi strażnik. – Będzie tu za parę minut.

–Ponieważ nie wolno nam się spotkać twarzą w twarz – nigdzie. Może go pan o to zapyta?

–Pieprzone gadanie. Kiedy znaleźli się za rogiem hangaru, Varak uniósł w górę zaokrągloną lewą dłoń.

–Mógłby pan mówić wprost do tego?

–Jasne – odparł strażnik. Były to ostatnie słowa strażnika. Czech uderzył go kantem dłoni w kość ramienia, trzy razy mocno walnął w szyję oraz dwoma kciukami dźgnął w oczy. Strażnik upadł i Varak zaczął pośpiesznie zdejmować z niego mundur. Po upływie minuty i dwudziestu sekund miał na sobie mundur strażnika z prywatnej firmy ochrony. Podciągnął nogawki swoich spodni i wepchnął głębiej rękawy od marynarki, naciągając mundur na ręce. Był gotów. Czterdzieści sekund później nadjechała czarna limuzyna i zatrzymała się przy wyasfaltowanym wejściu do hangaru. Czech wysunął się z cienia. Z wielkiego samochodu wysiadł jakiś człowiek i choć Miloś nigdy go przedtem nie widział, był pewien, że jest to Crayton Grinell. – Cześć, szefie! – zawołał strażnik z lewej strony hangaru, kiedy mężczyzna w płaszczu przechodził szybko, ze złością przez pole startowe. – Dostaliśmy pańską wiadomość; Benny coś nagrywa... – Dlaczego ten cholerny samolot nie jest na pasie startowym? ryknął Grinell. – Wszystko jest załatwione, idioto! To Benny z nimi rozmawiał, szefie, nie ja. Pięć, dziesięć minut, powiedzieli. Ja to bym im pokazał. Cholera! Wie pan szefie, że ze mną niema żartów. Powinien pan powiedzieć temu facetowi, żeby rozmawiał ze mną, a nie z Benny'm...

–Zamknij się! Sprowadź mojego kierowcę i każ mu wyprowadzić to cholerstwo! Jeśli oni nie potrafią latać, on da sobie radę. – Tak jest, szefie. Służę uprzejmie. Strażnik zaczął wołać do kierowcy, a wtedy Czech włączył się do akcji i ruszył biegiem do samochodu. Dzięki – krzyknął mijający go kierowca, widząc mundur Varaka. – On wsiada w ostatniej chwili! Varak okrążył samochód od tyłu, szarpnięciem otworzył boczne drzwi i wskoczył do środka. Usiadł sztywno i spojrzał na zapuchniętą twarz zdumionego Erica Sundstroma.

–Witam, profesorze – powiedział cicho.

–Pułapka, zastawiłeś na mnie pułapkę! – krzyknął naukowiec. Ale nie wiesz, co robisz, Varak! Dokonaliśmy wyłomu w przestrzeni! Iluż zdumiewających rzeczy będziemy się mogli dowiedzieć! Nie mieliśmy racji, Inver Brass nie ma racji! Musimy kontynuować! – Nawet jeśli wysadzimy w powietrze połowę ziemi?

–Nie bądź durniem. Nikt niczego nie wysadzi. Po obu stronach są cywilizowani ludzie, cywilizowani i przerażeni. Im więcej budujemy, tym większy panuje strach. To jest ostateczna ochrona świata, nie rozumiesz?

–To ma być cywilizacja?

–To jest postęp! Postęp naukowy! Nie potrafisz tego pojąć, lecz im więcej budujemy, tym więcej się dowiadujemy.

–Za pomocą niszczącej broni?

–Broni?... Jesteś bardzo naiwny! "Broń" jest tylko etykietką. Tak jak "ryby" albo "warzywa". To pretekst, który wykorzystujemy do finansowania badań naukowych na taką skalę, jaka w innym przypadku byłaby zakazana. Teoria, iż musimy się stale dozbrajać jest przestarzała, mamy zupełnie wystarczającą ilość broni. Chodzi o systemy przenoszenia – nawigację satelitarną, ukierunkowane promienie laserowe, które można załamywać w przestrzeni i nakierować dokładnie na włącz do schronu z odległości tysięcy kilometrów. – I spuścić bombę.

–Tylko wtedy, kiedy ktoś będzie próbował nam przeszkodzić – odparł naukowiec z trudem opanowując głos, jakby sama taka perspektywa mogła doprowadzić go do szału. I wpadł w szal. Jego anielskie rysy nagle zmieniły się w groteskowe, monstrialne rysy gargulca. – Badania, badania, badania! – zapiszczał głosem przypominającym pisk oszalałej świni. – Niech się nikt nie waży nas powstrzymać! Przenosimy się do nowego świata gdzie całą cywilizacją rządzić będzie nauka! Zadzierasz z frakcją polityczną, która rozumie nasze potrzeby. Nie można cię dłużej tolerować! Kendrick jest niebezpieczny! Widziałeś go i słyszałeś... Będzie organizował przesłuchania, zadawał głupie pytania, powstrzymywał nasz postęp!

–Wiedziałem, że pan to powie. – Varak powoli sięgnął pod mundur, za pazuchę swej marynarki. – Wie pan, jak karze się zdrajców, profesorze? O czym ty mówisz? – z drżącymi rękami, z trzęsącym się całym ciałem, z twarzą zalaną potem Sundstrom przesunął się do drzwi. – Nikogo nie zdradziłem... Usiłuję się przeciwstawić ogromnemu złu, straszному błędowi, który chcą popełnić wykolejeni wariaci. Trzeba was powstrzymać, was wszystkich! Nie możecie przeszkodzić najwspanialszej maszynie naukowej, jaką świat kiedykolwiek znał! W cieniu Varak wyciągnął swój pistolet; promień światła odbity od lufy zaświecił w oczy Sundstroma. Było wiele czasu, by to wszystko mówić, tymczasem siedział pan cicho, a inni darzyli pana zaufaniem. Przez pańską zdradę zginęli ludzie... Jest pan śmieciem, profesorze.

–Nie! – zawołał Sundstrom, rzucając się do drzwi. Drżącymi rękami uderzył w klamkę otwierających się drzwi, napał na nie całym ciałem w nieprzytomnej panice. Miłoś strzelił; kula trafiła w dół kręgosłupa Sundstroma, kiedy naukowiec wypadał na asfalt. – Ratunku! Pomocy! Chce mnie zabić! Boże, strzelił do mnie!... Zabijcie go! Varak wystrzelił jeszcze raz, tym razem celując uważnie; Tylina część głowy naukowca rozleciała się na kawałki. Po kilku sekundach krzyków i zamieszania zaczęto strzelać z hangaru. Czech dostał w pierś i w lewe ramię. Wyskoczył przez drzwi od strony ulicy i przeturlał się naokoło samochodu do przeciwległego krawężnika. Z trudem, w wielkim bólu, wdrapał się na krawężnik, starając się jak najprędzej dotrzeć na czworakach do ciemności pośród wysokiej trawy rosnącej na granicy pomocniczego pasa startowego. Mało brakowało, a by mu się nie udało; ze wszystkich stron rozlegały się dźwięki syren i pędzących silników. Cała ochrona pędziła do siódmego hangaru, przy którym strażnik i kierowca Grinella okrążali limuzynę, strzelając bez przerwy. Varak znów dostał. Przypadkowy rykoszet wypalił

sobie drogę do jego żołądka. Musi się stąd wydostać! Jego zadanie jeszcze się nie skończyło! Odwrócił się i zaczął biec przez wysoką trawę, zrzucając z siebie najpierw marynarkę od munduru, a potem przystając na chwilę, żeby ściągnąć spodnie. Krew rozszerzała się na koszuli, a nogi słaby mu coraz bardziej. Musi oszczędzać siły! Musi się przedostać na drugą stronę lotniska do drogi i znaleźć telefon! Musi! Reflektory. Z wieży za nim. Z powrotem znalazł się w Czechosłowacji, w więzieniu, biegnąc przez zamknięty dziedziniec do bramy i do wolności. Promień światła przesunął się blisko niego, a on, tak samo jak w tym więzieniu pod Pragą, rzucił się na ziemię i leżał nieruchomo, dopóki światło się nie przesunęło. Potem wstał na nogi, wiedząc iż mimo coraz większego osłabienia nie może się poddać. Widział przed sobą inne światła – latarnie uliczne! I inną bramę...! Wolność, wolność! Natężając każdy miesiąc, z wielkim trudem wspinał się na bramę, i natknął się na górze na drut kolczasty. Nie miało to żadnego znaczenia. Ostatnim wysiłkiem woli przerzucił się na drugą stronę, rozrywając ubranie i ciało. Leżał na ziemi, głęboko oddychając i obejmując rękoma na zmianę brzuch i pierś. Idź! Już! Doszedł do drogi. Był to jeden z takich zaniedbanych wąskich przelotów, które często występują w okolicy lotnisk, bez żadnych zabudowań ze względu na hałas. Jeździły tu jednak samochody, droga na skróty znana była miejscowym. Niezgrabnie, na uginających się nogach wyszedł na drogę, unosząc ręce na widok nadjeżdżającego samochodu. Kierowca jednak nie chciał mieć z nim nic wspólnego. Skręcił w lewo i popędził dalej. Za chwilę z prawej strony Varaka pojawił się inny samochód; Czech starał się stać wyprostowany i unosił do góry jedną rękę – sygnał kłopotów. Samochód zwolnił i zatrzymał się, kiedy Czech sięgał po pistolet do kabury.

–O co chodzi? – zapytał mężczyzna w lotniczym mundurze za kierownicą. Złote skrzydła na mundurze wskazywały, że jest pilotem. – Miałem wypadek – odparł Varak. – Zjechałem z drogi jakiś kilometr stąd, ale nikt się nie zatrzymał, żeby mi pomóc. Strasznie pan pokiereszowany, stary... Niech pan wsiada, za wiozę pana do szpitala. O Jezu, strasznie pan wygląda. Niech pan wsiada, pomogę panu.

–Dam sobie radę – odpowiedział Miloś, obchodząc z przodu samochód. Otworzył drzwi i wsiadł. Jeśli pobrudzę panu obicie, chętnie zapłacę...

–Daj pan spokój. Oficer lotnictwa włączył bieg i ruszył, a Czech schował swój niewidoczny dla kierowcy pistolet z powrotem do kabury,

–Bardzo pan uprzejmy – powiedział Miloś; wyciągnął z kieszeni kawałek papieru i długopis i napisał po ciemku kilka słów i liczb, – Kiepsko z panem, stary. Niech się pan trzyma.

–Błagam pana, muszę koniecznie zadzwonić. Błagam!

–Pieprzone ubezpieczenie może poczekać.

–Nie, to nie ubezpieczenie – wyjąkał Varak. – Chodzi o moją żonę. Oczekiwała mnie dawno temu... Ma kłopoty psychiczne. – A która ich nie ma. Chce pan, żebym ja zadzwonił? Nie, dziękuję bardzo. Uważałaby sytuację za gorszą niż jest. Czech skulił się na siedzeniu, krzywiąc twarz.

–Jakieś półtora kilometra stąd jest budka z owocami. Znam właściciela i wiem, że ma telefon.

–Nie wiem, jak mam panu dziękować.

–Zaproś mnie pan na obiad, jak pan wyjdzie ze szpitala. Zdumiony właściciel budki z owocami wręczył Varakowi słuchawkę, a oficer przyglądał się swemu pasażerowi, zaniepokojony o jego zdrowie. Miloś wykręcił numer hotelu Westlake.

–Proszę z pokojem 51.

–Halo, halo! – wołała Khalehla, wyrwana z głębokiego snu. – Ma pani dla mnie odpowiedź?

–Miloś?

–Tak.

–Co się stało?

–Trochę się źle czuję, proszę pani. Czy ma pani odpowiedź? – Jest pan ranny!

–Odpowiedź!

–Zielone światło. Payton się wycofa. Jeśli Evan potrafi zdobyć nominację, należy do niego. Wyścig się zaczął.

–Jest potrzebny bardziej niż może pani przypuszczać.

–Nie wiem, czy się zgodzi

–Musi! Niech pani teraz nie używa telefonu, ja zaraz znów zadzwonię.

–Jest pan ranny! Czech nacisnął na widełki i natychmiast wykręcił numer.

–Tak?

–Dźwiękowiec?

–Praga?

–Jak idzie?

–Za parę godzin skończymy. Maszynistka ma słuchawki i trzaska na maszynie...
Zależy jej na pieniądzach.

–Koszty są nieważne... Będą pokryte...

–Co się z panem dzieje? Ledwo pana słyszę.

–Lekkie przeziębienie... W skrzynce na listy w swoim studio znajdzie pan dziesięć tysięcy.

–To przesada, nie jestem złodziejem.

–Dobrze płacę, pamięta pan?

–Z panem naprawdę coś jest nie w porządku.

–Rano proszę wszystko zanieść do hotelu Westlake, pokój 51. Kobieta nazywa się Rashad. Proszę dać wyłącznie jej.

–Rashad. Pokój 51. Rozumiem.

–Dziękuję.

–Niech pan posłucha, jeśli ma pan kłopoty, proszę mi powiedzieć, dobrze? Jeżeli mógłbym coś zrobić...

–Pański samochód jest na lotnisku, gdzieś w sekcji C – powiedział Varak, odkładając słuchawkę, po czym podniósł ją po raz ostatni i znów nakręcił numer.

–Pokój 51 – powtórzył.

–Halo?

–Dostanie pani... wszystko... rano.

–Gdzie pan jest? Wyślę pomoc!

–Rano... Niech pani... przekaże... panu B.

–Do diabła, Miloś! Gdzie pan jest?!

–To nieważne... Niech pani zapyta... Kendricka. Może będzie... wiedział.

–Co wiedział?

–Zdjęcia... Ta Vanvlanderren... Lozanna. Beau Rivage – ogrody. Potem Amsterdam, Rozengracht. W hotelu... Jej gabinet. Niech mu pani powie! Ten człowiek jest Saudyjczykiem i coś mu się stało... Miliony, miliony! Miloś ledwo mówił, tracił oddech. Jeszcze trochę, już niedługo! – Ucieczka... Miliony!

–O czym pan, u diabła, mówi?

–On może być kluczem! Niech nikt nie zabierze zdjęć... Kontakt z Kendrickiem! On może pamiętać! Czech stracił kontrolę nad swymi ruchami. Rzucił słuchawkę na ladę, nie trafiając na widełki i upadł na ziemię przed budką z owocami przy bocznej wiejskiej drodze, niedaleko lotniska w San Diego. Miloś Varak nie żył.

* * *

Rozdział 38

Poranne nagłówki i figurujące pod nimi artykuły zaćmiły wszystkie inne wiadomości. Sekretarz Stanu i cała delegacja zostali brutalnie zamordowani w hotelu na Cyprze. Szósta flota płynęła w kierunku wyspy w stanie gotowości bojowej. Naród był sparaliżowany, wściekły i nieźle przestraszony. Jakaś bezkarna złowieszcza siła zdawała się wisieć na horyzoncie i popychać kraj w stronę nieuchronnej konfrontacji, zmuszając rząd do równie okropnej i brutalnej odpowiedzi. Ale w przebiegu rzadkiego intuicyjnego geopolitycznego geniuszu prezydent Langford Jennings zapanował nad sytuacją. Skontaktował się z Moskwą i w wyniku tego kontaktu oba supermocarstwa wydały wspólne potępiające oświadczenie. Potworne wydarzenie na Cyprze nazwano pojedynczym aktem terroryzmu, który wzburzył cały świat. Słowa pochwalne i żałobne dla wielkiego zmarłego nadeszły z wszystkich stolic świata, zarówno od sprzymierzeńców, jak i od przeciwników. Natomiast na stronach 2, 7 i 45 w "San Diego Union" i na stronach 4, 50 i 51 w "Los Angeles Times" wydrukowano poniższe, znacznie mniej ważne, wiadomości: San Diego, 22 grudnia. – Pani Ardis Vanvlanderren, szefowa obsługi wiceprezydenta Orsona Boilingera, której mąż, Andrew Vanvlanderren, zmarł wczoraj na zawał, odebrała sobie życie dziś we wczesnych godzinach rannych, najwyraźniej z wielkiego żalu. Jej ciało znaleziono na plaży w Coronado; utonęła. Jej adwokat, pan Crayton Grinell z La Jolla, w drodze na lotnisko podwiózł ją do domu pogrzebowego na ostatnie spojrzenie na zmarłego męża. Według wiadomości z domu wdowa była w wielkim szoku i nie bardzo wiedziała co robi. Mimo zaparkowanej przed domem limuzyny wymknęła się bocznym wyjściem i najprawdopodobniej taksówką udała się na plażę w Coronado... Mexteo City, 22 grudnia. – Eric Sundstrom, jeden z czołowych amerykańskich naukowców i twórców technologii dotyczącej przestrzeni kosmicznej, zmarł na wylew krwi do mózgu podczas urlopu w Puerto Vallarta. Na razie brak jest bliższych szczegółów. Pełny opis jego życia i pracy znajdą czytelnicy w jutrzejszym wydaniu naszej gazety. San Diego, 22 grudnia. – Niezidentyfikowany mężczyzna bez żadnych dokumentów, który miał jednak przy sobie broń, zmarł od ran postrzałowych na bocznej drodze, na

południe od lotniska międzynarodowego. Komandor porucznik John Demartin, pilot myśliwski marynarki amerykańskiej, który zabrał go do samochodu, powiedział policji, iż mężczyzna twierdził, że został ranny w wypadku samochodowym. Z powodu bliskiej lokalizacji prywatnego lotniska przypuszcza się, że śmierć mogła mieć związek z przemytem narkotyków...

Evan poleciał do San Diego pierwszym porannym lotem z Denver. Przed odlotem nalegał na widzenie się z Manny'm o 6 rano i postawił na swoim.

–Wszystko będzie dobrze – kłamał.

–Możesz mi nie wstawiać takich gadek – odwzajemnił mu się Weingrass. – Dokąd się wybierasz?

–Do Khalehli w San Diego. Jestem jej potrzebny...

–Więc wynoś się stąd, tylko prędko. Żebym nie musiał ani przez sekundę dłużej oglądać twojej parszywej gęby. Jedź do niej, pomóż jej. Złap tych skurwysynów! Jazda taksówką z lotniska do hotelu zdawała się nie mieć końca, a sytuacji wcale nie poprawiał fakt, że kierowca rozpoznał Kendricka i gadał bezmyślnie i bez przerwy, przetykając monolog przekleństwami skierowanymi przeciwko Arabom i wszystkiemu, co arabskie. – Każdego pieprzonego Araba trzeba wziąć i rozstrzelać, no nie? – Kobiety i dzieci oczywiście też?

–Oczywiście! Bachory rosną, a kurwy rodzą następne bachory! – To dopiero rozwiązanie. Można powiedzieć – ostateczne.

–To jedyny sposób, no nie?

–Nie. Kiedy weźmie się pod uwagę ilość i koszt amunicji, koszty byłyby za wysokie. Wzrosłyby podatki.

–Żartuje pan? A niech to, już dość płacę. Musi być jakiś inny sposób.

–Jestem pewien, że pan coś wymyśli... A teraz, jeśli pan pozwoli, muszę przeczytać pewien artykuł. Kendrick wrócił do swego egzemplarza "Denver Post" i potwornych wiadomości z Cypru. Taksówkarz zaś, poirytowany lub urażony zachowaniem pasażera, włączył radio. Podobnie jak w gazetach wiadomości dotyczyły prawie wyłącznie terrorystycznego występu na Cyprze; nadawano wywiady z miejsca zbrodni i wypowiedzi wielu światowych osobistości, które w licznych – tłumaczonych na angielski – językach potępiały barbarzyńskie działania. Następna wiadomość, na inny temat, także wiązała się ze śmiercią. Zaskoczony Evan słuchał słów spikera: Tutaj w San Diego zdarzyła się kolejna tragedia. Ciało pani Ardis Vanvlanderren, szefowej biura obsługi wiceprezydenta Boilingera, znaleziono dziś we wczesnych godzinach rannych na plaży w Coronado; najwyraźniej popełniła samobójstwo... Kendrick aż podskoczył na siedzeniu. Ardis? Ardis Vanvlanderren?... Ardis Montreaux! Wyspy Bahama... Podrzędna aktoreczka z Off Shore Investments sprzed lat powiedziała mu, że Ardis Montreaux wyszła za bogatego Kalifornijczyka. Wielki Boże! To dlatego Khalehla poleciała do San Diego. Mitchell Payton odnalazł "pieniężną kurwę – szefową biura obsługi Bollingera! Spiker spekulował na temat rozpaczy wdowy, a Evanowi te rozważania wydały się podejrzane. Przeszedł przez hotelowy hol i pojechał windą na piąte piętro. Idąc za strzałkami wskazującymi numery do pokoju Khalehli odczuwał niecierpliwość i przygnębienie. Niecierpliwość,

aby jak najszybciej ją zobaczyć i wziąć w ramiona; przygnębiecie – z powodu Manny'ego, z powodu masakry na Cyprze, z wielu powodów, ale przede wszystkim w związku z Emmanuelem Weingrassem, ofiarą zaplanowanego morderstwa. Znalazł się przy drzwiach i zastukał cztery razy. Prędkie kroki podbiegły do drzwi nim zdążył odsunąć rękę. Po sekundzie była w jego ramionach.

–Bardzo cię kocham – szepnął w jej ciemne włosy, pośpiesznymi słowami. – A wszystko jest takie wstrętne, tak cholernie wstrętne. – Szybko. Do środka. – Khalehla zamknęła drzwi i odwróciła się do niego, biorąc jego twarz w swoje dłonie. – Manny?

–Zostało mu od trzech do sześciu miesięcy życia – odparł Evan pozbawionym wyrazu głosem. – Umiera od wirusa, którym nie mógł się zarazić w żaden inny sposób oprócz zastrzyku.

–Nie istniejący doktor Lyons – stwierdziła Rashad.

–Znajdę go, nawet gdyby miało to potrwać dwadzieścia lat. – Dostaniesz wszelką pomoc, jaką dysponuje Waszyngton.

–Zewsząd same przekłete wiadomości. Cypr, najlepszy człowiek w rządzie rozwalony na kawałki...

–Nici łączą się tutaj, Evan. Tutaj, w San Diego.,

–Co? Khalehla odsunęła się i wzięła go za rękę, prowadząc przez pokój do miejsca, gdzie stały dwa krzesła a między nimi mały okrągły stolik. – Usiądź, kochanie. Mam ci dużo do powiedzenia, rzeczy, których do tej pory nie mogłam ci powiedzieć. I będziesz musiał coś zrobić... Dlatego prosiłam, żebyś tu przyleciał.

–Myślę, że wiem o jednej sprawie, o której chcesz mówić. Ardis Montreaux, wdowa po Vanvlanderenie. Słyszałem przez radio, powiedzieli, że popełniła samobójstwo.

–Zrobiła to, wychodząc za mąż za Vanvlanderena.

–Przyleciałaś tu, aby się z nią zobaczyć, prawda?

–Tak. – Rashad kiwnęła głową, siadając przy stole. – Wszystko usłyszysz i przeczytasz. Są taśmy i teksty ze wszystkich rozmów. Dostarczyli mi je godzinę temu. A co z Cyprzem? Rozkaz wyszedł stąd. Od niejakiego Grinella. Nigdy o nim nie słyszałem.

–Mało kto o nim słyszał... Evan, to jest coś znacznie gorszego niż moglibyśmy sobie wyobrazić.

–Dowiedziałaś się o tym od Ardis?... Tak, tak, byliśmy ze sobą po imieniu.

–Wiem. Nie, nie od niej; od niej pochodziły zaledwie zarysy i już były dość zatrważające. Naszym głównym źródłem był człowiek, którego zabili wczoraj wieczorem niedaleko lotniska.

–Kto to jest, na litość boską?

–Europejczyk z włosami blond, kochanie.

–Co? – Kendrick cofnął się na krzesło, z pałającą twarzą. – Nagrał nie tylko moją rozmowę, lecz także następną, dzięki której wszystko się wydało. Znamy tylko nazwisko Grinella, choć możemy złożyć cały obrazek, taką układankę z zamazanymi postaciami. To przerażające.

–Rząd w rządzie – powiedział cicho Evan. – Tak mówił Manny: "Służba rządzi domem swego pana".

–Manny, jak zwykle, ma rację. Kendrick wstał z krzesła i podszedł do okna; oparł się o parapet i patrzył przed siebie.

–Ten blondyn, kim był? – spytał.

–Tego nie dowiedzieliśmy się, lecz zginął dostarczając nam informacji.

–Teczka Omanu. Jak się do niej dostał?

–Nie chciał mi powiedzieć, twierdził jedynie, iż jego źródłem był uczciwy człowiek, który popiera twoją kandydaturę na wysokie stanowisko polityczne.

–To mi nic nie mówi! – krzyknął Evan, odwracając się gwałtownie od okna. – Musi być coś więcej!

–Niema.

–Czy miał w ogóle pojęcie o tym, co oni zrobili? Tylu zabitych, masakra!

–Powiedział, że ubolewa nad popełnionymi błędami bardziej niż ktokolwiek inny.

–Nie wiedział, iż jego ubolewanie potrwa tylko parę godzin.

–Do jasnej cholery! – wrzasnął Kendrick na cały pokój. – Co z tym Grinellem? Mają go?

–Znikł. Jego samolot wyleciał z San Diego do Tuscon w Arizonie. Nikt o tym nie wiedział do dzisiejszego ranka. Samolot był na ziemi zaledwie przez godzinę, a potem wystartował bez wypełnionego planu lotu. Stąd wiemy.

–W ten sposób samoloty się zderzają.

–Chyba że się wkręcą w powietrzny ruch Meksyku tuż za granicą. MJ uważa, że ochrona Grinella mogła zauważyć samochody policji federalnej czekające obok jego posiadłości w La Jolla. Evan wrócił do stołu i usiadł, wykończony i pokonany.

–Dokąd nas to prowadzi? – spytał.

–Na dół, do apartamentu Vanvlanderów. Nasz Europejczyk chciał, żebyś coś obejrzał – jakieś zdjęcia. Nie mam pojęcia dlaczego, lecz mówił, że facet jest Saudyjczykiem i że możesz sobie przypomnieć. Coś o milionach i o ucieczce. Zabezpieczyliśmy apartament. Nikomu nie wolno tam wejść, zgodnie z przepisami rządowymi, ponieważ ta kobieta była szefową biura obsługi Bollingera i mogła mieć w domu jakieś tajne dokumenty.

–Dobrze, chodźmy. Zjechali windą na trzecie piętro i zbliżyli się do drzwi apartamentu. Dwaj uzbrojeni i umundurowani oficerowie policji skinęli głowami, a ten, który stał z lewej strony obrócił się, wyciągnął klucz i otworzył drzwi.

–To prawdziwy zaszczyt poznać pana – powiedział oficer z prawej strony, energicznie wyciągając rękę do Kendricka.

–Bardzo mi miło – powiedział Evan, potrząsając dłonią tamtego, po czym wszedł do środka.

–Jak się czujesz w roli gwiazdy? – spytała Khalehla, zamykając drzwi.

–Nie jest to ani wygodne, ani przyjemne. Przeszli przez marmurowe foyer do salonu.

–Gdzie są te zdjęcia?

–Nie mówił dokładnie, tylko że są w jej biurze i że powinieneś znaleźć te robione w

Lozannie i w Amsterdamie. Tam – powiedział Kendrick, widząc zapaloną lampę na biurku w pokoju po lewej stronie. – Chodź. Przeszli przez salon do gabinetu. Evan poczekał chwilę, aby przyzwycząić wzrok do ciemnego wnętrza, potem podszedł do innej lampy po drugiej stronie pokoju i zapalił ją. Ujrzeni zdjęcia zawieszane na ścianie. – Mój Boże! – zawołała Khalehla. – Od czego zaczniemy?

–Musimy działać powoli i starannie – odpowiedział Kendrick, mijając szybko zestaw z lewej ściany i skupiając uwagę na zdjęciach z prawej. Te są z Europy stwierdził, rozglądając się. To jest Lozanna – dodał, koncentrując się na dwóch osobach na powiększonej fotografii z Jeziorem Genewskim w tle. To Ardis i... Nie, to niemożliwe. – Co jest niemożliwe?

–Poczekaj chwilę. Evan obejrzał resztę zdjęć, przypatrując się innemu powiększeniu z wyraźnymi twarzami. – Znow Lozanna. To jest w ogrodach Beau Rivager... Czy to możliwe?

–Czy co?... Wspominał o Beau Rivage, ten blondyn. I o Amsterdamie, rozcoś tam.

–Roengracht. Jest tutaj. – Kendrick wskazał zdjęcie, na którym twarze obu osób były jeszcze wyraźniejsze. – Mój Boże, to on! – Kto?

–Abdel Hamendi. Znałem go wiele lat temu w Rijadzie. Był ministrem w Arabii Saudyjskiej dopóki rodzina się nie zorientowała, że pracował także na własny rachunek, zarabiając miliony na fałszywych dzierżawach i sztucznych kontraktach. Miał być publicznie stracony, ale udało mu się uciec z kraju... Mówią, że zbudował sobie fortecę gdzieś w Alpach koło Divonne i zajął się nowym pośrednictwem. W handlu bronią. Mówiono mi, że jest najpotężniejszym handlarzem broni na świecie, a jednocześnie człowiekiem bardzo zakamuflowanym.

–Ardis Vanvlandereren wspomniała o Divonne na drugiej taśmie. Powiedziała jakby mimochodem, ale teraz wszystko się zgadza. Evan cofnął się trochę i spojrzał na Khalehłę.

–Nasz zmarły Europejczyk miał doskonałe wyczucie. Nie pamiętał szczegółów, lecz zobaczył krew na Hamendim tak wyraźnie, jakby się lała na fotografii... Rząd w ramach rządu robiący interesy z największym handlarzem broni w związku z różnymi nielegalnymi i ciemnymi sprawkami. – Kendrick zmarszczył nagle czoło. – Czy to wszystko jest powiązane z Bollingerem?

–Europejczyk powiedział, że nie wiadomo, o czym Bollinger wie, a o czym nie wie. Jedna tylko rzecz jest pewna. Jest on punktem zbornym dla najpoważniejszych sponsorów politycznych w tym kraju. – Wielki Boże, są w pułapce...

–O czymś jeszcze powinieneś wiedzieć. Mąż Ardis Vanvlandereren kontaktował się z terrorystami. On zorganizował ataki na twoje domy.

–Dlaczego?

–Z twojego powodu – powiedziała cicho Khalehla. – Ty byłeś celem; chciał, abyś zginął. Działał sam – dlatego kiedy inni się dowiedzieli, zamordowali jego żonę, żeby zlikwidować jakiegokolwiek, wiodące do nich, ślady. Oni wszyscy się ciebie boją. W przyszłym tygodniu zaczyna się ogólnokrajowa kampania propagandowa zmierzająca do tego, abyś zastąpił Bollingera na stanowisku wiceprezydenta. – Czy stoją za tym ludzie Europejczyka?

–Tak. A ci z otoczenia Bollingera nie mogą tego znieść. Uważają, że ich wypchniesz, że zredukujesz ich wpływy do zera.

–i Zrobię coś więcej – powiedział Evan. Ja ich nie wypchnę tylko wywalę z wielkim hukiem. Cypr, Fairfax, Mesa Verde – skurwysyny! Kto to jest? Macie listę?

–Możemy zestawić listę z dużą liczbą nazwisk, ale tak naprawdę nie jesteśmy pewni, kto jest, a kto nie jest zamieszany w to wszystko. – Dowiemy się.

–Jak?

–Dostanę się do środka obozu Bollingera. Poznają zupełnie nowego Evana Kendricka – człowieka, którego da się kupić.

Mitchell Jands Payton wyglądał przez okno znad swego biurka w Langley, w stanie Wirginia. Miał tyle spraw do przemyślenia, że nie starczało już czasu na zastanawianie się nad świętami Bożego Narodzenia. Nie żałował, że wybrał takie, a nie inne życie, lecz okres świąt bywał męczący. Miał dwie zamężne siostry na środkowym Zachodzie i rozmaite siostrzenice i siostrzeńców, którym posyłał odpowiednie prezenty kupowane przez jego długoletnią sekretarkę, nie chciał jednak spędzać z nimi świąt. Nie mieli o czym ze sobą rozmawiać; sam za długo już przebywał w innej części świata, aby prowadzić rozmowy o składzie drewna i firmie ubezpieczeniowej, a o swojej pracy nie mógł, oczywiście, mówić. Dzieci, większość z nich dorosła, także niczym nadzwyczajnym się nie odznaczały i wszystkie zgodnie dążyły do zapewnienia sobie dobrego i solidnego życia, zabezpieczonego od strony finansowej. Lepiej to wszystko tak zostawić. Dlatego zapewne bardziej interesował się swoją przybraną siostrzenicą Adrienne Rashad. Pomyślał, że powinien przyzwyczać się do nazywania jej Khalehłą. Była częścią jego życia, nie dlatego, że on tak chciał, niemniej była o to częścią znaczącą. Przez chwilę Payton żałował, że nie są – jak niegdyś – wszyscy razem w Kairze, kiedy Rashadowie zawsze nalegali, aby z nimi spędzał Boże Narodzenie: typowe świąteczne potrawy, ubrana choinka i kolędy z płyt. Posłuchaj, MJ – wyjaśniała żona Rashada – ja jestem z Kalifornii, pamiętasz? To ja mam jasną skórę! Gdzie się podziały tamte czasy? Czy kiedykolwiek powrócą? Skądże znowu. Teraz jadał świąteczne obiady w samotności. Zadzwoił czerwony telefon. Złapał za słuchawkę.

–Tak?

–To wariat! – krzyknęła AdrienneKhalehla. – On oszalał, MJ. – Odmówił?

–Daj spokój. On chce iść do Bollingera!

–Pod jakim pretekstem?

–Przejęcia na ich stronę. Możesz wto uwierzyć? Może będę mógł, jeśli wyrazisz się jaśniej... Najwyraźniej wydzierali sobie słuchawkę i obrzucali się wyzwiskami.

–Mitch, mówi Evan.,

–Tak się domyślałem.

–Idę do środka.

–Do Bollingera?

–To logiczne. Tak samo zrobiłem w Maskacie.

–Raz się wygrywa, raz się przegrywa, młody człowieku. Raz ci się udało, dwa razy się sparzyłeś. Ci ludzie są twardymi zawodnikami. – Ja też. Muszę ich dorwać. Dopnę

swego!

–Będziemy cię monitorować...

–Nie, muszę działać sam. Oni mają to, co wy nazywacie wyposażeniem – Oczywiście są wszędzie. Muszę sam to rozegrać, udając, że można mnie namówić, abym się wycofał z polityki.

–To za duży kontrast z tym, jak cię widzieli i słyszeli. Nie uda ci się, Kendrick.

–Uda się, jeżeli powiem im część prawdy – bardzo istotną część. – Co takiego, Evan?

–Że to, co zrobiłem w Omanie, zrobiłem wyłącznie dla własnego interesu.

Wróciłem, żeby pozbierać resztę, odzyskać pieniądze, które musiałem wcześniej zostawić. To coś, co rozumieją, nawet bardzo dobrze rozumieją.

–Mało. Będą zadawać zbyt dużo pytań i zechcą potwierdzić twoje odpowiedzi. Odpowiem na każde pytanie – przerwał Kendrick. – Wszystkie będą dotyczyć części prawdy, wszystkie odpowiedzi da się sprawdzić. Byłem przekonany, że wiem, kto stoi za Palestyńczykami i dlaczego – wykorzystał te same metody wobec mojej spółki – to prawda. Miałem powiązania z najpotężniejszymi ludźmi w Sułtanacie i pełną ochronę rządową. Niech potwierdzą u młodego Ahmata, on bardzo by chciał wszystko naprostować; wciąż ma pomieszane szyki. To znów "prawda, nawet kiedy byłem więźniem, policja obserwowała mnie bez przerwy... Moim nadrzędnym celem było tylko zdobycie informacji, o których wiedziałem, że istnieją, aby złapać maniaka nazywającego siebie Mahdim. To prawda.

–Jestem pewien, że są tu dziury i się w nie wpakujesz – powiedział Payton, robiąc notatki, które miał później zniszczyć. – Mnie nie przychodzi na myśl ani jedna, a to chyba się bardziej liczy, prawda? Słyszałem nagranie Europejczyka; następne pięć lat ma im przynieść miliardy dolarów i nie mogą sobie pozwolić na obniżenie swej pozycji ani o jotę. To, że się mylą nie ma znaczenia, lecz traktują mnie jako zagrożenie dla siebie, czym – w innych warunkach – byłbym niezawodnie...

–O jakich warunkach mówisz, Evan? – przerwał mu starszy mężczyzna z Langley. Co? Aha, na przykład gdybym został w Waszyngtonie. Polowałbym na każdego skurwysyna, który sięga sobie swobodnie do skarbu państwa i potrafi znaleźć sposób, aby omijając prawo, załapać się to tu, to tam, na parę milionów.

–Istny Savonarola.

–To nie fanatyzm, MJ, to tylko działanie potwornie wściekłego podatnika, który ma serdecznie dość całej tej doktryny odstraszenia, która ma na celu wyciągnąć z kieszeni podatników jeszcze więcej... Gdzie to ja byłem?

–Jako zagrożenie dla nich.

–Tak jest. Chcą się mnie pozbyć i przekonam ich, że jestem gotów odejść, że nie chcę mieć nic wspólnego z tym pomysłem mojej kandydatury na wiceprezydenta... Mam tylko jeden problem.

–I tu leży pies pogrzebany?

–Jestem przede wszystkim człowiekiem interesu, z zawodu – inżynierem budowlanym i stanowisko wiceprezydenta przydałoby mi światowego znaczenia, jakiego nie mógłbym się spodziewać w inny sposób. Jestem względnie młody, za

pięć lat nie będę miał jeszcze pięćdziesiątki i jako były wiceprezydent zdobędę poparcie finansowe i wpływy na całym świecie. To bardzo kusząca propozycja dla projektanta na rynku międzynarodowym, który zamierza powrócić do zawodu...

Jaka, twoim zdaniem, będzie reakcja Bollingera i jego doradców?

–Normalna – odparł Payton. – Mówisz dokładnie tak, jakbyś wszystko przewidział. Zaproponuj ci pięcioletnią przerwę z całą pomocą finansową, jakiej będziesz chciał.

–Przypuszczałem, że tak powiesz. I tak, zapewne, powiedzą oni. Lecz znów, jak każdy przyzwoity negocjator, który zarobił już w życiu trochę pieniędzy, mam kolejny problem.

–Z utęsknieniem czekam na twoje słowa, młody człowieku.

–Potrzebne mi jest jakieś zabezpieczenie, i to szybko, żebym mógł zdecydowanie odmówić komitetowi politycznemu w Denver, który rusza z kampanią w Chicago w przyszłym tygodniu. Odmówić zanim cała sprawa wystartuje i przypuszczalnie wymknie się spod kontroli. – A zabezpieczenie, jakiego się domagasz, to jakieś ogólne zobowiązanie finansowe?

–Jestem człowiekiem interesu.

–Oni także. Nie dostaniesz niczego na piśmie.

–Wszystko można negocjować z ludźmi dobrej woli. Będę się domagał spotkania intencyjnego z szefami. Przedstawię moje plany, niezbyt na razie konkretne, i wtedy mogą się decydować. Jeśli mnie przekonają, że mogę im zaufać, będę odpowiednio postępował... I sądzę, że będę bardzo przekonujący, tylko to już wtedy nie będzie miało znaczenia.

–Bo ty dotrzesz do jądra – wpadł mu w słowo uśmiechnięty Payton. – Dowiesz się, kim są. Muszę powiedzieć, Evan, że wszystko razem brzmi prawdopodobnie, zdumiewająco prawdopodobnie.

–Ma się tę praktykę w interesach, MJ.

–Z drugiej strony ja mam pewien problem. Przecież nie uwierzą, że chcesz tam wrócić. Pomyślą, że oszukujesz. Bliski Wschód jest zbyt niepewny,

–Nie mówiłem, że się wybieram w przyszłym tygodniu. Powiedziałem: "pewnego dnia" i na pewno nie będę wspominał o basenie Morza Śródziemnego. Będę mówił o Emiratach, o Bahrajnie, Kuwejcie i Katarze, nawet o Omanie i Arabii Saudyjskiej, o wszystkich tych miejscach w Zatoce Perskiej, gdzie działała Grupa Kendricka. To są normalne kraje i kiedy OPEC się pozbiera, znów będą interesy i zyski. Jak każda zachodnioeuropejska firma budowlana chcę w tym brać udział i muszę być przygotowany. Wracam do sektora prywatnego. – Szalenie jesteś przekonujący.

–W interesach też dam sobie radę... Umiem myśleć, Mitch. Idę. – Kiedy?

–Za kilka minut zadzwonię do Bollingera. Nie sądzę, żeby nie chciał ze mną rozmawiać.

–Rzeczywiście. Langford Jennings padnie z wrażenia.

–Dam mu trochę czasu na zgromadzenie stada, przynajmniej tych paru ludzi, na których liczy. Poproszę o spotkanie późnym popołudniem.

–Przesuń na wieczór – poradził mu pracownik CIA. – Po godzinach urzędowania i podaj konkretne warunki. Powiedz, że chcesz wejść prywatnym wejściem, bez

wiedzy jego personelu i prasy. Tak będzie bardziej wiarygodnie.

–Świetny pomysł, MJ.

–Ma się tę praktykę w interesach.

Komandor porucznik John Demartin z marynarki amerykańskiej, w dżinsach i w bawełnianej koszulce, usiłował bez większego powodzenia, mimo zastosowania dużej ilości czyszczącego płynu, usunąć plamy krwi z tapicerki przedniego siedzenia. Doszedł do wniosku, że to robota dla specjalisty i że zanim samochód nie będzie czysty, powie dzieciom, że wylał mu się sok wiśniowy w drodze z lotniska do domu. W każdym razie, im więcej uda mu się usunąć, tym mniej będzie go to kosztowało – tak się przynajmniej łudził. Demartin czytał wiadomość w porannej gazecie, podającą jego nazwisko i stwierdzającą, iż zdaniem władz śmierć rannego autostopowicza, którego wziął do samochodu, wiązała się z narkotykami. Pilot nie był o tym przekonany. Wprawdzie nie przyjaźnił się z żadnym handlarzem narkotyków, nie wyobrażał sobie jednak, aby byli to ludzie na tyle grzeczni, że proponowałiby zapłatę za pobrudzone siedzenie. Demartin zakładał, że ludzie tego pokroju, w obliczu śmierci, byliby całkowicie spanikowani, nie zaś opanowani i uprzejmi. Jeszcze raz przejechał szczotką po oparciu. Dotknął czegoś palcami, czegoś ostrego, a jednocześnie elastycznego. Był to kawałek papieru. Wyciągnął go i przeczytał poplamione krwią słowa: Pilne. Max. poufne. Przekaż kontakt 3016211133 Sus. Ostatnie litery rozmazywały się, jakby piszący nie miał już siły. Oficer marynarki wysunął się z samochodu i stanął na podjeździe studiując notatkę, a potem poszedł po płytach chodnika do drzwi wejściowych. Wszedł do środka, przeszedł do salonu i podniósł słuchawkę; wiedział do kogo zadzwonić. Po chwili sekretarka połączyła go z szefem wywiadu w bazie., Jim, mówi John Demartin...Hej, czytałem o tej idiotycznej historii z wczorajszego wieczoru. Niektórzy chłopcy mocno walczą o trochę trawy... Zabierasz mnie na "sobotni połów?

–Nie, dzwonię w sprawie wczorajszego wieczoru.

–Ach, tak? Dlaczego?

–Słuchaj, Jim, nie wiem kim czy czym był ten gość, lecz moim zdaniem on nie miał nic wspólnego z narkotykami. Poza tym parę minut temu znalazłem kartkę papieru wściśniętą między oparcie a siedzenie, na którym siedział. Jest zakrwawiona, ale ci ją przeczytam. – Czytaj, mam ołówek. Oficer odczytał koślawe słowa, litery i cyfry.

–Czy to ma jakiś sens? – zapytał, kiedy skończył.

–Być może... – odparł powoli szef wywiadu, najwidoczniej przyglądając się temu, co zapisał. – John, opowiedz mi, co się stało wczoraj wieczorem, dobrze? Wiadomość w gazecie była dość oszczędna. Demartin spełnił prośbę, zaczynając od uwagi, iż mimo tego, że mężczyzna z jasnymi włosami mówił nienaganną angielszczyzną, dało się wyczuć obcy akcent Zakończył upadkiem autostopowicza przed budką z owocami.

–Czy sądzisz, że wiedział, jak poważnie jest ranny?

–Jeśli on nie wiedział, to ja wiedziałem. Nie chciałem się zatrzymywać przy telefonie, lecz on nalegał; a właściwie mnie błagał. Nie tyle słowami, co oczami... Długo nie zapomnę tych oczu. – Nie miałeś jednak wątpliwości, że wróci do

samochoду?

–Żadnych, Myślę, że chciał jeszcze gdzieś zadzwonić, sięgał po słuchawkę, kiedy upadł, ale na pewno zamierzał wrócić do samochodu.

–Nigdzie nie wychodź. Zaraz do ciebie oddzwonię. Pilot odłożył słuchawkę i podszedł do okna wychodzącego na mały basen i taras za domem. Dwoje dzieci z wrzaskiem chlapało się w wodzie, a jego żona leżała na leżaku i czytała "Wall Street Journal". Był jej za to bardzo wdzięczny. Dzięki niej mogli żyć lepiej niż pozwalałaby na to jego pensja. Zadzwonił telefon.

–To ty, Jim?

–Tak... John, postaram się przedstawić całą sprawę jasno, choć to wszystko nie jest zbyt jasne. Mamy tu czasowo faceta z Waszyngtonu, który lepiej niż ja zna się na tych sprawach i oto, co on chce, żebyś zrobił... Cholera!

–Co takiego? Powiedz mi, Jim.

–Masz spalić ten papier i zapomnieć o jego istnieniu.

Oficer CIA w pogniecionym garniturze sięgnął po mały żółty pakiet czekoladek MM, ze słuchawką przy lewym uchu. Wszystko rozumiesz? – spytał Shapoff, znany także jako Piernik. – Tak – odparł MJ Payton, z ociąganiem, jakby informacja była zarówno oszałamiająca, jak i przerażająca.

–Tak jak ja to kapuję, ten facet, kimkolwiek był, połączył "pilne" z "maksymalną poufnością", uważając, że jak mu się nie uda, to ten oficer marynarki będzie miał dość rozsądku, żeby się zgłosić do wywiadu, a nie do glin.

–I tak dokładnie zrobił – zgodził się MJ.

–A wywiad "prześle kontakt" i wiadomość, sądząc, iż trafi do właściwych ludzi.

–A wiadomość dotyczy tego, że ktoś pod kryptonimem "S" został usunięty.

–Mamy jakąś operację z kryptonimem "S"?

–Nie.

–Może to Biuro albo Skarb? "

–Nie sądzę – odparł Payton.

–Dlaczego?

–Ponieważ w tym przypadku przekaźnik jest ostatnim ogniwem. Wiadomość nie poszłaby nigdzie dalej.

–Skąd wiesz?

–Kierunkowy trzyzerojeden to Maryland i niestety znam ten numer. Jest zastrzeżony. Payton rozparł się w fotelu i pomyślał, że rozumie, co czuje alkoholik, kiedy sądzi, iż nie przeżyje następnej godziny jeśli się czegoś nie napije, a co oznacza odejście od rzeczywistości. Jak nedorzecznie i nielogicznie logiczne! Głos, którego słuchali prezydenci, mężczyzna, o którym przywódcy narodu wiedzieli, że zawsze na pierwszym planie stawiał w swych głębokich przemyśleniach interes narodu, człowiek bez strachu, bezstronny, nieustannie obiektywny... On zdecydował o przyszłości. On wybrał mało znanego, choć wybitnego członka Kongresu z historią, która miała zhipnotyzować naród. Prowadził swego namaszczonego księcia przez labirynt polityczny dopóki wyznaczony nowicjusz nie wyszedł na światło środków masowego przekazu, już nie jako żółtodziób, lecz

praktyk, z którym trzeba się liczyć. Wtedy, z nagłością i śmiałością pioruna opowiedziano tę historię i naród, jak~zresztą i większa część świata, został sparaliżowany. Uruchomiono olbrzymią falę niosącą księcia na tereny, o jakich nigdy nie myślał – tereny władzy, królewski dom straszliwej odpowiedzialności. Biały Dom. Samuel Winters złamał zasady i, co gorsza, spowodował ogromne straty w ludziach. Pan A nie spadł z nieba w chwili kryzysu. Europejczyk z jasnymi włosami pracował wyłącznie dla czcigodnego Samuela Wintersa. Dyrektor Akcji Specjalnych podniósł słuchawkę i delikatnie wystukał numer na konsolce. Doktorze Winters – powiedział w odpowiedzi na lakoniczne "Tak?" – mówi Payton.

–Potworny dzień, prawda, doktorze?

–Nie używam już tego tytułu. Od dawna.

–Szkoda, był pan znakomitym naukowcem.

–Czy pan A kontaktował się z panem od wczorajszego wieczoru? – Nie... Chociaż jego informacja była tragicznie prorocza, nie ma powodu, żeby się ze mną kontaktował. Jak już panu mówiłem, Mitchell, człowiek, który go zatrudnia – o wiele dalsza znajomość niż z panem – sugerował, żeby się ze mną skontaktował... Podobnie, jak i pan. Opinia na mój temat znacznie przekracza moje domniemane wpływy.

–Dzięki panu widziałem się z prezydentem – powiedział Payton, zamykając oczy, gdy słuchał kłamstw starego człowieka.

–Cóż, tak. Wiadomość od pana była druzgocąca, tak samo, jak wiadomość od pana A. W jego przypadku pomyślałem oczywiście o panu. Nie byłem pewien, czy Laiigford lub jego ludzie mają pańskie doświadczenie...

–Najwyraźniej mi się nie powiodło przerwać MJ.

–Na pewno zrobił pan wszystko, co pan mógł.

–Wróćmy do pana A, doktorze.

–Tak?

–On nie żyje. Gwałtowne wciągnięcie powietrza przeszło ciszę jak szok elektryczny. Minęło wiele sekund nim Winters się odezwał, a jego głos brzmiał pusto.

–O czym pan mówi?

–On nie żyje. A ktoś, kogo pan zna pod kryptonimem "S" został zabity.

–Och, mój Boże – szepnął rzecznik Inver Bras Skąd pan ma tę informację?

–Obawiam się, że nawet panu nie mogę tego powiedzieć.

–Do cholery, dałem panu Jenningsa! Prezydenta Stanów Zjednoczonych.

–Ale nie powiedział mi pan dlaczego, doktorze. Nigdy mi pan nie wyjaśnił, że pańskim nadrzędnym zainteresowaniem – jedynym w gruncie rzeczy jest człowiek, którego pan wybrał. Evan Kendrick. – Nie! – zaprotestował Winters, głosem zbliżonym do krzyku. Nie możesz pan zajmować takimi sprawami, to nie pański interes. Wszystko się odbywa zgodnie z prawem.

–Chciałbym myśleć, że pan w to wierzy, ale jeśli nawet tak jest, obawiam się, że bardzo się pan myli. Kiedy zatrudnia pan człowieka takiego, jak pański Europejczyk, nie może się pan dystansować od jego metod działania... A z naszych badań wynika, iż metody te to także polityczne wymuszanie przy pomocy szantażu, korupcja

procesów legislacyjnych, kradzież najbardziej tajnych dokumentów i pośrednie spowodowanie śmierci i kalectwa wielu osób z personelu rządowego, wreszcie – morderstwo. Kryptonim "S" został usunięty. – Wielki Boże!

–Bawił się pan w Boga.

–Nic pan nie rozumie, Mitchell, to wszystko było nie tak. – Przeciwnie, wszystko się tak właśnie odbyło.

–Ja nic nie wiem, niech mi pan wierzy.

–Wierzę, ponieważ zatrudnił pan wykwalifikowanego zawodowca w celu uzyskania konkretnych wyników a nie wyjaśnień.

–"Zatrudnił" to słowo zbyt uproszczone. To był człowiek zaangażowany, z własną misją do spełnienia.

–Słyszałem – przerwał mu Payton. – Pochodził z kraju, w którym narodowi ukradziono rząd.

–A co się pana zdaniem dzieje tutaj? – zapytał przywódca Inver Brass, kontrolując słowa, lecz wyraźnie przekazując ich znaczenie. Minęło kilka chwil, nim MJ odpowiedział, znów zamykając oczy. – Wiem – powiedział cicho. – My też doszliśmy do tego.

–Zabili sekretarza stanu i całą delegację na Cypr. Nie mają sumienia, nie służą nikomu ani niczemu oprócz własnych, stale rosnących, bogactw i władzy... Ja nie chcę niczego, my nie chcemy niczego!

–Rozumiem. Nie dostalibyście niczego nawet gdybyście chcieli. – Dlatego właśnie wybrano jego, Mitchell. Znaleźliśmy nadzwyczajnego człowieka. Jest za bystry, aby dać się ogłupić i za uczciwy, aby dać się kupić. Ponadto jest urodzonym przywódcą.

–Nie widzę wad w pańskiej kandydaturze, doktorze.

–Jaką mamy wobec tego sytuację?

–Kłopotliwą – odparł Payton. – Ale chwilowo kłopotliwą dla mnie, nie dla pana.

San Diego, 19.25.

Uściskali się, po czym Khalehla odsunęła się i przyjrzała mu się, dotykając jego włosów.

–Kochanie, czy potrafisz to zrobić?

–Zapominasz, ja anisa, że spędziłem większość mego życia zawodowego mając do czynienia z arabską skłonnością do negocjacji. – To były negocjacje, choć określenie takie jest pewną przesadą, a nie kłamstwem, nie uporczywym kłamanie ludziom, którzy będą traktować podejrzliwie każde twoje słowo.

–Bardzo będą chcieli mi uwierzyć i to już daje nam dwa punkty. Poza tym, jak ich już zobaczę i poznam, nie będzie mnie w ogóle obchodziło, w co wierzą.

–Nie powinieneś rozumować w ten sposób, Evan. – Rashad pochyliła głowę i odeszła kawałek dalej. – Dopóki ich nie złapiemy, co oznacza także posiadanie dowodów, będą się zachowywać tak, jak zwykle – podstępnie i wrednie. Jeżeli choć przez chwilę pomyślą, że to pułapka, twoje ciało znajdzie się wyrzucone z wody na plaży, albo wcale się nie znajdzie, tylko zostanie gdzieś tam w Pacyfiku. – Podobnie jak w pełnych rekinów mieliznach Kataru. – Kendrick kiwnął głową, przypominając sobie Bahrajni Mahdiego. – Rozumiem, o co ci chodzi. Poinformuję ich, że moje

biuro dokładnie wie, gdzie mnie szukać dziś wieczorem.

– Kochanie, to by się nie zdarzyło dziś wieczorem. Działanie podstępne i wredne nie oznacza działania głupiego. Spotkasz tam mieszaninę ludzi – pełnoetatowych urzędników i przypuszczalnie grupę z kuchennego gabinetu Bollingera. Starzy przyjaciele, którzy występują w roli doradców – tych właśnie musisz zidentyfikować. Bądź chłodny i przekonujący. Nie daj się zbić z tropu. Zadzwoił telefon i Evan ruszył w jego stronę. Jest samochód – powiedział. – Szary z przyciemnionymi szybami, jak przystoi komuś, kto udaje się do rezydencji wiceprezydenta, położonej na wzgórzach.

San Diego, 20.07.

Szczupły mężczyzna szedł szybko przez budynek międzynarodowego dworca lotniczego w San Diego. Przez prawe ramię miał przewieszoną podręczną torbę, w lewej ręce trzymał czarną lekarską torbę. Automatyczne szklane drzwi wychodzące na postój taksówek otworzyły się i wyszedł na chodnik. Zatrzymał się na chwilę, a potem ruszył do pierwszej z szeregu taksówek, czekających na pasażerów. Kiedy otworzył drzwi, kierowca odłożył gazetę. Pan jest wolny – raczej stwierdził niż zapytał nowy pasażer, wsiadając do taksówki. Podręczną torbę rzucił na siedzenie obok siebie, lekarską – ustawił na podłodze.

– Nie biorę kursu dłużej niż na godzinę, proszę pana – zastrzegł się taksówkarz. – Kończę już na dziś.

– Zdąży pan.

– Dokąd jedziemy?

– Na wzgórze. Znam drogę. Będę panu mówił, jak jechać.

– Musi pan podać konkretny adres, proszę pana. Takie są przepisy. – Proszę bardzo: kalifornijska rezydencja wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych – powiedział z rozdrażnieniem pasażer.

– To jest konkretny adres – odparł obojętnie kierowca. Taksówka ruszyła z zaplanowanym, złośliwym szarpnięciem, które pchnęło do tyłu mężczyznę znanego przez krótki czas w południowozachodniej części Kolorado jako doktor Eugene Lyons. On jednakże nie zdawał sobie sprawy z zamierzonej złośliwości, ponieważ wściekłość przesłaniała mu wszystko inne. Był człowiekiem, u którego zaciągnięto pewien dług, człowiekiem, którego oszukano!

* * *

Rozdział 39

Prezentacja przebiegła bardzo szybko i Kendrick odniósł wyraźne wrażenie, że nie wszystkie nazwiska bądź tytuły ściśle odpowiadały prawdzie. W rezultacie przyglądał się każdej twarzy tak badawczo, jakby miał zamiar powierzyć je płótnu, z namalowaniem którego nie może się uporać. Khalehla miała rację, siedmioosobowa rada stanowiła konglomerat, nie tak jednak trudny do rozszyfrowania. Urzędnik zarabiający trzydzieści albo czterdzieści tysięcy dolarów rocznie ubiera się i zachowuje inaczej, niż ktoś, kto wydaje takie sumy podczas weekendu w Paryżu... albo w Divonne. Oceniał, że urzędnicy byli w mniejszości: trzech pracowników etatowych na czterech doradców z zewnątrz oto roboczy gabinet z Kalifornii.

Wiceprezydent Orson Bollinger był mężczyzną średniego wzrostu, średniej tuszy, w średnim wieku średnim, obdarzony średnio donośnym głosem, mieszczącym się w wąskim przedziale pomiędzy niedopuszczalnym a przekonującym. Był... cóż, człowiekiem środka, idealnym numerem dwa, dopóki numer jeden jest zdrow i w formie. Uważano go niekiedy za pochlebcę, który mógłby ewentualnie sprostać sytuacji, ale tylko ewentualnie. Nie stanowił groźby, ale też nie był głupi. Wychodził cało z kryzysów politycznych, ponieważ rozumiał niepisane reguły przegrywania. Gorąco powitał kongresmana Evana Kendricka i zaprowadził go do swojej imponującej prywatnej biblioteki, gdzie zebrali się "jego ludzie", usadowieni w różnorodnych skórzanych fotelach i na pokrytych ciemną skórą sofach. Odwołaliśmy nasze uroczystości bożonarodzeniowe – powiedział Bollinger, zasiadając w najokazalszym fotelu i wskazując Evanowi miejsce obok siebie – ze względu na nieodżałowanych Ardis i Andrewa. Taka okropna tragedia, dwoje tak wspaniałych patriotów. Jak wiecie, ona wprost nie mogła bez niego żyć. Żeby to do końca pojąć, trzeba ich było widzieć razem. Ze wszystkich kątów pokoju dobiegły zniecierpliwione oznaki aprobaty."Ja to rozumiem, panie prezydencie – wtrącił ponuro Kendrick. Jak panu może wiadomo, parę lat temu poznałem panią Vanvlanderem w Arabii Saudyjskiej. Była to niezwykła kobieta, przy tym pełna wrażliwości.

–Nie, panie kongresmanie, tego nie wiedziałem.

–To rzecz trudno uchwytna, ale nie dla mnie. Nigdy jej nie zapomnę. Była niezwykła.

–Tak jak niezwykle było pańskie naleganie na to, byśmy się dzisiaj spotkali – dorzucił jeden z urzędników, siedzący na sofie. Zdajemy sobie wszyscy sprawę, że Chicago stara się obalić wiceprezydenta i rozumiemy, że dzieje się to bez pańskiego przyzwolenia. ~Czy to prawda, panie kongresmanie?

–Jak już wyjaśniłem panu wiceprezydentowi dziś po południu, dowiedziałem się o tych zamiarach dopiero tydzień temu. Tak, nie mają one mego przyzwolenia. Rozważałem inne posunięcia, które nie pociągałyby za sobą dalszych aktów nagonki w sferach wielkiej polityki.

–Dlaczego zatem nie oznajmił pan po prostu, że wycofuje pan swoją kandydaturę? – spytał drugi urzędnik, siedzący na tej samej sofie.

–Cóż, wydaje mi się, że sprawy nie są nigdy takie proste, jakbyśmy sobie tego życzyli. Nie byłbym całkiem szczery, gdybym powiedział, że mi ta propozycja nie pochlebiła, a w trakcie ostatnich pięciu dni moi podwładni przeprowadzili dość rozległe sondaże, zarówno w terenie, jak i wśród przywódców partii. Wynika z tego, że moja kandydatura ma poważne szansę.

–Ale przecież przed chwilą mówił pan o innych planach – przerwał mu dobrze zbudowany mężczyzna w spodniach z szarej flaneli i granatowej marynarce ze złotymi guzikami... z całą pewnością nie był to urzędnik.

–Wydaje mi się, że powiedziałem iż rozważałem inne plany, inne posunięcia. To jeszcze nic definitywnego.

–Do czego pan zmierza, panie kongresmanie? – zapytał ten sam urzędnik, który przedtem proponował, żeby Evan wycofał swoją kandydaturę.

–Myślę, że to temat na rozmowę pomiędzy mną a wiceprezydentem.

–To są moi ludzie – podsunął obłudnie Bollinger, uśmiechając się niewinnie.

–Doceniam to, mój panie, ale nie ma tu moich ludzi... którzy mogliby mi służyć radą.

–Nie wygląda pan na człowieka szczególnie spragnionego rad stwierdził niski, krępy doradca ze skórzanego fotela, nieprzyzwoicie dużego, zważywszy jego rozmiary. – Widziałem pana w telewizji. Ma pan wyrobione poglądy na wiele spraw.

–I nie umiałbym ich zmienić, jak zebra nie potrafi zmienić pasów na skórze, zachodzą jednak pewne okoliczności łagodzące, które spychają je do klasy prywatnie żywionych przekonań, a nie poglądów głoszonych publicznie.

–Czy pan handluje koźmi? spytał trzeci doradca, wysoki, szczupły mężczyzna w rozpiętej koszuli, z rzucającą siew oczy opalenizną.

–Niczym nie handluję – stanowczo sprzeciwił się Kendrick. Staram się wyjaśnić sytuację, czego nikt dotąd nie uczynił, a co do diaska należało zrobić w pierwszej kolejności.

–Nie ma powodu do zdenerwowania, młody człowieku – stwierdził szczerze Bollinger, krzywo patrząc na swego opalonego doradcę, – Takie wyrażenia nie są wcale poniżające, może panu o tym nie wiadomo. "Handlowanie" to niezbywalny składnik naszej wielkiej demokratycznej umowy społecznej. A zatem... co takiego należałoby wyjaśnić?

–Kryzys omański... Maskat i Bahrajn. Głównie z tego powodu mianowano mnie na eksponowane stanowisko państwowe. Nagle zrozumiał, że ludzie wiceprezydenta oczekiwali od niego informacji, które mogłyby rozwiązać mit omański i dodać werwy temu, co i tak było najsilniejszą stroną ewentualnego kandydata. Wszystkie oczy były utkwione w kongresmanie.

–Pojechałem do Maskatu – ciągnął Evan – ponieważ wiem, kto stoi za terrorystami palestyńskimi. Człowiek ten posłużył się przeciwko mnie tą samą techniką, sprawiając, że moja firma upadła i pozbawiając mnie milionowych zysków.

–A zatem pragnie pan zemsty? – insynuował dobrze zbudowany doradca w marynarce ze złotymi guzikami.

–Zemsty? U diaska, ja chciałem odzyskać swoją firmę i nadal tego pragnę. Rychło nadejdzie odpowiednia pora, a wtedy będę chciał tam wrócić i pozbierać skorupy, zrekompensować sobie poniesione straty. Czwarty doradca, mężczyzna o ogorzalej twarzy, mówiący z silnym akcentem bostońskim, nieomal wstał:

–Wybiera się pan z powrotem na Bliski Wschód?

–Nie, do państw Zatoki Perskiej, a to nie to samo. Emiraty, Bahrajn, Katar, Dubaj to nie Liban, Syria czy Libia pułkownika Kaddafiego. Europa zagwarantowała, że budowa znów ruszy z miejsca a ja mam zamiar przy tym być.

–Sprzedał pan swoją firmę – stwierdził wysoki, opalony doradca w rozpiętej koszuli, wyrażający się lakonicznie i precyzyjnie. – Zmuszono mnie do sprzedaży. Firma była warta pięć razy tyle, ile za nią dostałem. Ale specjalnie się tym nie przejąłem. Ze względu na konkurencję kapitału zachodniemieckiego, francuskiego i japońskiego mogę mieć trochę problemów na początku, ale nikt nie ma tak

szereżkich kontaktów jak ja. Ponadto... – Kendrick rozwijał swój scenariusz z wewnętrznym przekonaniem, czyniąc raz po raz wzmianki o swoich kontaktach z dworami panującymi oraz z ministrami w Omanie, Bahrajnie, Abu Dhabi i Dubaju i wspominając, że w czasie kryzysu omańskiego rządu Omanu i Bahrajnu udzieliły mu schronienia i pomocy, łącznie z prywatnymi środkami transportu. Potem urwał, równie ostro, jak zaczął. Naszkicowany obraz miał pobudzić ich wyobraźnię – więcej mogłoby zaszkodzić. Mężczyźni zebrani w bibliotece popatrywali na siebie, wreszcie po niemal niedostrzegalnym ruchu głowy wiceprezydenta przemówił grubas w granatowej marynarce:

–Uderza mnie, że pańskie plany są dość gruntownie ukształtowane. Na co panu praca, która przynosi sto pięćdziesiąt tysięcy rocznie i setki obiadów z drobiu? Nie jest pan politykiem.

–Zważywszy mój wiek, aspekt czasu mógłby tu być atrakcyjny. Za pięć lat wciąż jeszcze będę przed pięćdziesiątką, a o ile znam się na rzeczy, to gdybym zaczął tam choćby jutro, zabrałoby mi to dwa, może nawet trzy lata, zanim rzecz się w pełni rozkręci, na rok musiałbym się może przyczaić, na tamtym terenie nie ma reguł. Ale jeśli wybiorę inny wariant i zacznę serio zabiegać o nominację, mogę ją rzeczywiście otrzymać. To nie ma nic wspólnego z panem, panie prezydencie. To byłby tylko skutek stosunku środków masowego przekazu do mojej osoby. Kiedy inni zaczęli mówić na wypródki, Bollinger uniósł rękę, zaledwie kilka centymetrów ponad oparcie fotela. To wystarczyło, żeby ich uspokoić.

–I cóż, panie kongresmanie?

–Cóż, to chyba oczywiste. Nikt przecież nie ma wątpliwości, że Jennings wygra te wybory, chociaż może mieć problemy z senatem. Gdybym miał szczęście znaleźć się wraz z nim na liście, przeszedłbym z kongresu na urząd wiceprezydenta, odsłużył kadencję i wyszedł bogatszy o większe wpływy międzynarodowe, a także, mówiąc szczerze, środki finansowe, niż mógłbym to osiągnąć w inny sposób. – Ależ panie kongresmanie! – zawołał młody gniewny, urzędnik, który siedział na zwykłym krześle obok rozpartych na sofie kolegów. – To jawne korzystanie z przywilejów urzędu publicznego dla swoich prywatnych korzyści! Jedni uczestnicy zebrania spuszczałi wzrok, inni wymieniali spojrzenia. Gdybym nie sądził, że pański gwałtowny i niesprawiedliwy atak płynie z braku orientacji – oznajmił spokojnie Evan – czułbym się w najwyższej mierze obrażony. Stwierdzam fakt oczywisty, ponieważ nie chcę nic ukrywać przed wiceprezydentem Bollingerem, człowiekiem, którego głęboko szanuję. To, co powiedziałem, jest prawdą; to należy do stanowiska. Ale ta prawda w niczym nie ujmuje energii ani zaangażowania, jakie włożyłbym w to stanowisko, służąc urzędowi i narodowi. Wszelkie korzyści, jakie się z takim stanowiskiem wiążą, czy to w postaci publikacji, czy to członkostwa w radach nadzorczych, czy udziału w turniejach golfowych, nie przypadłyby człowiekowi, pobłażliwie traktującemu swoje obowiązki. Podobnie jak wiceprezydent Bollinger, nie umiałbym w ten sposób postępować. – Dobrze powiedziane, Evanie – skomentował spokojnie wiceprezydent, spoglądając krzywo na impulsywnego urzędnika. – Należą się panu przeprosiny.

–Przepraszam – powiedział młody człowiek. – Ma pan, oczywiście, rację. To

należy do stanowiska.

–Nie trzeba przesadzać w przeproszaniu – pouczył go z uśmiechem Kendrick. – Nikt nie powinien się wstydzić lojalności wobec własnego szefa. Zwrócił się do Bollingera.

–Jeśli to jest zawodnik z czarnym pasem, ja biorę nogi za pas – dodał, rozładowując śmiechem chwilowe napięcie.

–On tylko gra w pingponga, i to słabo – wyjaśnił starszy urzędnik, siedzący po lewej stronie sofy.

–Z wielką inwencją liczy punkty – dorzucił urzędnik po prawej stronie. – Po prostu oszukuje.

–Tak czy siak – ciągnął Evan – nie żartowałem, mówiąc, że chcę być z panem absolutnie szczerzy, panie prezydencie. Muszę myśleć o tym wszystkim. Straciłem, cztery, może pięć lat – kariery, interesów – pracowałem bardzo ciężko nad własnym rozwojem. Wykończył mnie szalony morderca, musiałem sprzedać firmę, bo ludzie bali się dla mnie pracować. On już nie żyje i zmienił się stan rzeczy, ale konkurencja europejska pozostała groźna. Czy mam radzić sobie sam, czy też ubiegać się o nominację, aby, jeśli mi się powiedzie, mieć pewne gwarancje, jakie płyną ze sprawowania tego urzędu? Z drugiej strony – czy ja naprawdę chcę poświęcić kilka dodatkowych lat i niezmierną ilość czasu oraz energii, czego wymaga to stanowisko?... Na te pytania tylko ja mogę udzielić odpowiedzi. Mam nadzieję, że to, panowie, rozumiecie. I wtedy Kendrick usłyszał słowa, które miał wielką nadzieję usłyszeć – nadzieję w tym wypadku jeszcze bardziej doniosłą od tego, co przedtem oznajmił Bollingerowi.

–Orsonie, czuję, że dla twoich ludzi zrobiło się już późno – powiedział wysoki, szczupły mężczyzna w rozpiętej koszuli, odsłaniającej opalony tors, ja jednak chętnie kontynuowałbym tę rozmowę. – Tak, oczywiście – zgodził się wiceprezydent, patrząc na swoich urzędników. – Ci biedacy są na nogach od świtu, w dodatku przeżyli te okropne wieści o Ardis, i w ogóle. Idźcie do domu, chłopcy, przeżyjcie Boże Narodzenie ze swoimi rodzinami. – Sprowadziłem im tu żony i dzieci, Evanie, Samolotem Numer Dwa, żeby mogli razem spędzić Święta.

–Postąpił pan bardzo przezornie. Przezornie, do diaska. Może oni wszyscy mają czarne pasy... Oddziaaaa! spocznij. Jutro Wigilia, jeśli dobrze pamiętam, a pojutrze pierwszy dzień świąt. A zatem, jeśli Ruskie nie wysadzą Waszyngtonu w powietrze, zobaczymy się za trzy dni.

–Dziękujemy, panie prezydencie.

–To bardzo miło z pana strony.

–My możemy zostać, jeśli pan sobie życzy – powiedział najstarszy, kiedy kolejno wstawali.

–Po to, żeby pana potem zmaltrętowali pańscy koledzy? – spytał Bollinger, parskając śmiechem na widok min tamtych dwóch. – Nie ma mowy. Wychodząc, przyślijcie tu kelnera. Przyda nam się koniak, kiedy będziemy rozwiązywali wszystkie problemy świata. Trzy małpki – Nie Widzę, Nie Słyszę i Nie Mówię – opuściły pokój, niczym zaprogramowane roboty, reagujące na znajomy dźwięk marsza. Mężczyzna w

granatowej marynarce ze złotymi guzikami pochylił się w fotelu, w czym nieco przeszkadzał mu brzuch.

–Chce pan szczerze porozmawiać, panie kongresmanie? Naprawdę szczerze i naprawdę uczciwie? Dobrze, porozmawiajmy szczerze.

–Nie rozumiem, panie... Przepraszam, nie dosłyszałem pańskiego nazwiska.

–Dość tej paplaniny! – wybuchnął ogorzały bostończyk. – Nasłuchałem się jeszcze gładszej mowy od strażników więziennych na Południu!

–Może udało się panu nabrać politykierów w Waszyngtonie – dorzucił niski mężczyzna w za dużym fotelu – ale my też jesteśmy ludźmi interesu, panie Kendrick. Pan ma nam coś do zaoferowania i my być może – tylko być może – także mamy coś do zaoferowania. – Jak się panu podoba południowa Kalifornia, kongresmanie? zapytał głośniejszym tonem mężczyzna w rozpiętej koszuli z wyciągniętymi nogami na widok wchodzącego do pokoju kelnera. Nie, nie – zaprotestował Bollinger, zwracając się do służącego. Proszę nas zostawić. Przepraszam bardzo, panie prezydencie, ale mam dla pana wiadomość – stwierdził kelner, wręczając wiceprezydentowi małą kartkę. Bollinger przeczytał; z początku poczerwieniał, potem zbladł. – Niech mu pan powie, żeby zaczekał – wydał polecenie. Kelner wyszedł. – Na czym stanęliśmy?

–Na cenie – odparł bostończyk. – O tym właśnie mówiliśmy, prawda, panie kongresmanie?

–To może zbyt ostro powiedziane – stwierdził Evan. – Ale sam termin mieści się w granicach prawdopodobieństwa.

–Powinien pan zdawać sobie sprawę – wyjaśnił niski mężczyzna o szczurzej twarzy – że przeszedł pan przez dwa potężne wykrywacze. Może pan mieć mdłości od nadmiernej dawki promieni Roentgena, ale na pewno nie ma pan przy sobie magnetofonu.

–To ostatnia rzecz, jakiej bym pragnął.

–Dobrze – powiedział wysoki, wstając z fotela, jakby tylko po to, żeby zaimponować obecnym swoim zdumiewającym wzrostem i wyglądem opalonego przez wiatry żeglarza; była to demonstracja siły. Powolnym krokiem podszedł do kominka – sprawiedliwy księżyc nad skorumpowanym miastem, pomyślał Kendrick. – Chwyciliśmy aluzję do dryfowania przed niemieckim, francuskim i japońskim kapitałem. Ale jak głębokie są fale na otwartym morzu?

–Niestety, nie jestem żeglarzem. Musi pan wyrażać się jaśniej. – Co panu zagraża?

–Finansowo? – spytał Evan, poczekał chwilę i pokiwał głową przecząco. – Nic, z czym nie dałbym sobie rady. W razie potrzeby dysponuję siedmioma, nawet dziesięcioma milionami, a moje możliwości kredytowe sięgają daleko... ale oczywiście wiąże się to z oprocentowaniem.

–A gdybyśmy założyli, że uruchomi się możliwości kredytowe, nie obciążone tego typu oprocentowaniem? spytał mężczyzna, obeznany z wyborcami przebywającymi w zakładach karnych Południa. – Panowie – przerwał nagle Bollington, zrywając się z fotela, co natychmiast uczynili pozostali na znak szacunku w chwili jego niewątpliwie rychłego odejścia – zorientowałem się, że muszę natychmiast załatwić pewną

sprawę. Gdyby wam czegoś było potrzeba, nie krępujcie się, proszę.

–Nie zabawimy długo, panie prezydencie – powiedział Kendrick, wiedząc świetnie, dlaczego Bollington uznał za wskazane wycofać się z dalszej rozmowy – chodziło o możliwość zdementowania pogłosek. Jak już wspomniałem, tylko ja mogę właściwie rozwiązać tę kwestię. Po prostu chciałem grać z panem w otwarte karty. – Bardzo to doceniam. Niech pan zajdzie do mnie przed wyjściem. Będę w swoim gabinecie. Wiceprezydent Stanów Zjednoczonych opuścił zapełniony książkami pokój, a jego współpracownicy, jak szakale rzucające się na padlinę, zwrócili się do kongresmana ze stanu Kolorado.

–Pora wyrównać rachunek, synu – powiedział dwumetrowy żeglarz, a jego oparta na kominku ręka wyglądała jak złowrogi chwast. – Nie jestem pańskim krewnym, na całe szczęście, więc proszę się nie spoufalać.

–Gruby Tom zawsze tak mówi – powiedział pojednawczo rumiany bostończyk. – Nie trzeba się o to na niego obrażać.

–Obrażliwa jest arogancja wobec członka Izby Reprezentantów. – Niech pan da spokój, kongresmanie – przerwał korpulentny mężczyzna w granatowej marynarce.

–Wszyscy się uspokójmy – zaproponował niski o szczurzej twarzy, sadowiąc się w za dużym dla niego fotelu. – Łączy nas wspólny cel, więc zmierzajmy do niego, nie bawiąc się w grzeczności. Panie Kendrick, chcemy, żeby się pan z tego wycofał. Czy musimy mówić jeszcze jaśniej?

–Poproszę, skoro jest pan taki niezłomny.

–Dobrze – ciągnął niski doradca, ledwie sięgający nogami do podłogi. Jak ktoś powiedział: bądźmy szczerzy, to nic nie kosztuje. Reprezentujemy filozofię polityki równie uzasadnioną, co pańska, ale ponieważ to nasza filozofia, uważamy oczywiście, że jest bardziej realistyczna i dopasowana do naszych czasów. W sumie wierzymy w system priorytetów dla tego kraju dużo bardziej niż pański zorientowany na sprawę obrony.

–Ja także wierzę w silną armię – włączył się Evan. – Ale nie w przeciążający budżet, nadmiernie ofensywny system, w którym czterdzieści procent wydatków prowadzi do marnotrawstwa i nieskuteczności.

–Dobry argument – zgodził się drobny oponent Kendricka z głębin swego fotela. – A te nowe pola zaopatrzenia podporządkuje sobie wolny rynek.

–Ale najpierw trzeba zainwestować miliardy.

–Oczywiście. Gdyby to było gdzie indziej, mówiłby pan o innym systemie rządów, który nie pozwala zawieść prawu Malthusa w zakresie porażki ekonomicznej. Siły, rządzące wolnym rynkiem, skorygują wszelkie przerosty. Konkurencja, panie kongresmanie, konkurencja.

–Nie, jeśli te miliardy rozplyną się w Pentagonie albo na tych wszystkich kongresach, obsadzonych przez alumnów z Departamentu Obrony.

–Do jasnej cholery!zagrzmiał żeglarz spod kominka. Jeśli tak się rzucają w oczy – na stryczek z nimi!

–Gruby Tom ma rację – stwierdził ogorzały bostończyk. – Naokoło jest pełno posad, a ci pułkownicy i generałowie za trzy grosze to tylko mydlenie oczu. Można

się ich pozbyć, ale nie wolno zatrzymywać całej maszyny – na litość boską!

–Słyszeliście? – spytał retorycznie ten w marynarce ze złotymi guzikami. – Nie wolno jej zatrzymać pod żadnym pozorem dopóki nie jesteśmy tak silni, że żadnemu przywódcy sowieckiemu nawet się nie zamarzy atak.

–Dlaczego sądzi pan, że któryś z nich mógłby rozważać coś, co równałoby się wysadzeniu połowy cywilizowanego świata w powietrze?

–Bo to są marksistowskie fanatycy! – ryknął żeglarz, który, wzięwszy się pod boki, stał nadal wyprostowany koło kominka.

–Bo to są głupcy – poprawił go spokojnie niski, zatopiony w fotelu. – Głupota to najprostsza droga do ogólnoświatowej tragedii, z czego wynika, że przetrwają najsilniejsi i najsprytniejsi... Poradzimy sobie z krytyką ze strony Senatu i Izby Reprezentantów, kongresmanie, ale nie ze strony administracji w Waszyngtonie. Tego nie będziemy tolerować. Czy wyrażam się jasno?

–Naprawdę uważacie, że stanowią dla was zagrożenie?

–Oczywiście, że tak. Staje pan na trybunie i ludzie słuchają, a to, co pan mówi – bardzo przekonująco, mógłbym dodać nie leży w naszym interesie.

–Myślałem, że bardziej szanujecie prawa rynku.

–Na dłuższą metę tak. Ale na krótszą metę nadmiar kontroli i przepisów może przez swą powolność sparaliżować obronę kraju. Nie czas wylewać dziecko z kąpielą.

–Czyli nie czas pozbywać się zysków.

–To należy do stanowiska, jak pan to słusznie wyjaśnił odnośnie urzędu wiceprezydenta... Niech pan idzie swoją drogą, kongresmanie. Niech pan odbuduje przerwana karierę na Bliskim Wschodzie. – Czym dysponując? – spytał Evan.

–Zacznijmy od możliwości kredytowych rządu pięćdziesięciu milionów dolarów w Gemeinschaft Bank w Zurychu.

–To brzmi zachęcająco, ale to tylko słowa. Kto będzie gwarantem kredytu?

–Gemeinschaft Bank to wie. Pan nie musi. To było wszystko, co Kendrick miał usłyszeć. Cała potęga rządu Stanów Zjednoczonych, wywierającego nacisk na bank w Zurychu, znany ze swych powiązań z ludźmi, którzy kontaktują się z terrorystami od doliny Bekaa po Cypr to dość, by złamać szwajcarskie zasady dyskrecji i milczenia.

–Sprawdzę kredyt za dwanaście godzin – powiedział Evan, wstając. – Czy to wystarczająco dużo czasu?

–Więcej, niż potrzeba – odparł niski mężczyzna w głębokim fotelu. – A kiedy otrzyma pan potwierdzenie, zechce pan przesłać wiceprezydentowi Bollingerowi kopię pańskiej depechy do Chicago, nieodwołalnie wycofującej pańskie nazwisko z przymiarek do listy pretendentów. Kendrick skinął głową, obrzucając przelotnym spojrzeniem pozostałych trzech doradców. Dobranoc panom – powiedział spokojnie i ruszył w stronę wyjścia z biblioteki. W korytarzu ciemnowłosa, muskularny mężczyzna o kanciastej, wygolonej twarzy, z zieloną kropką odznaki tajnych służb w klapie, zerwał się z krzesła, stojącego obok masywnych drzwi.

–Dobry wieczór, panie kongresmanie – powiedział serdecznie, robiąc krok w

stronę Kendricka. – Byłby to dla mnie wielki zaszczyt, gdybym mógł uścisnąć panu dłoń.

–Cała przyjemność po mojej stronie.

–Wiem, że nie wolno nam opowiadać, kogo tu widzimy ciągnął pracownik przybudówki Departamentu Finansów, ściskając mu dłoń – ale chyba mogę złamać tę zasadę dla mojej matki, mieszkającej w Nowym Jorku. Może to zabrzmie dziwnie, ale ona uważa, że pan mógłby być papieżem.

–Boję się, że Kuria dopatrzyłaby się pewnych braków... Pan wiceprezydent prosił, żebym do niego zajrzał przed wyjściem. Powiedział, że będzie w swoim gabinecie.

–Oczywiście. To tutaj, i mogę pana zapewnić, że z ulgą pana przyjmie. Jest u niego jakiś gość, tak zdenerwowany, że nie wierzyłem przyrządom i niemal rozebrałem go do naga. Nie pozwoliłem mu też wnieść do środka tej podręcznej torby. W tej chwili dopiero Kendrick zauważył torbę z materiału, leżącą na krześle po lewej stronie podwójnych drzwi. Obok niej, na podłodze, stała pękata czarna walizeczka, jaką zwykle określa się mianem torby lekarskiej. Evan przyjrzał się jej – już ją kiedyś widział. Na ekranie umysłu fragmenty obrazów następowały jeden po drugim w szaleńczym tempie, jak seria wybuchów. Kamienne ściany w innym korytarzu, inne drzwi, wysoki, szczupły mężczyzna z uśmiechem przyklepionym do warg – zbyt przymilnym, zbyt natrętnym, jak na obcego w obcym domu – jakiś doktor, rzucający zdawkowo, że ma zamiar opukać piersi i pobrać krew do analizy.

–Jeśli pan łaskaw – powiedział Kendrick jak przez mgłę, świadom, że mówi zdławionym głosem – proszę natychmiast otworzyć te drzwi.

–Muszę najpierw zapukać, panie kongresmanie...

–Nie, błagam! Proszę zrobić to, co powiedziałem.

–Wice... Pan prezydent nie byłby zadowolony. Zawsze nam każe najpierw pukać.

–Niech pan otwiera – rozkazał Evan chrapliwym szeptem, wpatrując się szeroko otwartymi oczyma w tajniaka. – Biorę na siebie pełną odpowiedzialność. Prawe skrzydło ciężkich drzwi odsunęło się bezgłośnie, słyhać było wyraźnie słowa Bollingera, dobywające się ze zdławionej krtani: To, co pan mówi jest absurdalne... obłąkane! Aleo co chodzi? Kendrick przeszedł kilka okropnych metrów i wbił wzrok w zaszokowaną, przerażoną twarz "doktora Eugene'a Lyonsa".

–Ty! – wrzasnął Evan, i to pojedyncze słówko szalało mu w głowie kiedy rzucił się przed siebie, z rękoma niczym szczęki obłąkanej bestii, opanowanej jednym pragnieniem zabić! zabić!

–On miałby zginać przez ciebie – przez was wszystkich! W nagłym ataku pochwyliły go silne ramiona, ręce wbiły się w jego głowę, kolana zaatakowały brzuch, wprawne pięści podbiły mu oczy. Pomimo rozdzierającego bólu słyszał zamglone głosy jeden po drugim. Mam go! Już się nie ruszy!

–Zamknijcie drzwi!

–Podajcie mi torbę!

–Niech nikt tu nie wchodzi!

–Cholera, on wie o wszystkim!

–Co teraz zrobimy?

-Znam ludzi, którzy to mogą załatwić.

-A kim pan w ogóle jest?

-Kimś, kto się powinien przedstawić jako... Cep.

-O Cepie słyszałem. To zniewaga! Kim pan jest naprawdę?

-W tej chwili ja tu rządę, oto kim jestem.

-O Boże! Ciemność – zapomnienie, które przychodzi po głębokim szoku.

Wszystko ciemne – nic.

Rozdział 40

Najpierw poczuł wiatr i bryzgi piany, potem kołysanie morza, wreszcie szerokie płócienne pasy, którymi był przywiązany do metalowego krzesła, przyśrubowanego do pokładu miotanej falami łodzi. Otworzył oczy w prawie zupełnej ciemności; znajdował się na rufie, wzburzone fale cofały się u jego stóp, nagle zdał sobie sprawę ze światła kabiny za plecami. Odwrócił głowę, wyciągając szyję, żeby coś zobaczyć, żeby zrozumieć. Nieoczekiwanie znalazł się twarzą w twarz z ciemnowłosym, smagłym tajniakiem, którego matka w Nowym Jorku widziała w nim papieża... i którego głos słyszał był, jak oznajmia, że on tu rządzi. Mężczyzna siedział na rozkładanym siedzeniu motorówki pojedynczy pas przecinał mu klatkę piersiową. – Budzi się pan, panie kongresmanie? – zapytał uprzejmie. – Co wy u diabła wyczyniacie? – wybuchnął Kendrick, szamocząc się z pasami.

–Przepraszam za te pasy, ale nie chcieliśmy, żeby pan wypadł za burtę. Woda jest trochę wzburzona – otoczyliśmy pana opieką, dopóki nie łyknie pan trochę świeżego powietrza.

–Opieką? A niech was wszyscy diabli! Nafaszerowaliście mnie narkotykami i przytaszczyli tutaj wbrew mojej woli! Zostałem porwany! Moi ludzie wiedzą, gdzie miałem być dzisiejszego wieczora, dostaniecie za to po dwadzieścia lat, każdy z osobna! A ten skurwysyn Bollinger zostanie postawiony w stan oskarżenia i spędzi... – Spokojnie, spokojnie – przerwał mu tajniak, unosząc ręce w łagodnym proteście. – Źle pan to wszystko interpretuje. Nikt pana nie narkotyzował, to był zastrzyk uspokajający. Wpadł pan tam w szal. Zaatakował pan gościa, pana wiceprezydenta – o mało go pan nie zabił...

–Zrobiłbym to, ja go jeszcze zabiję! Gdzie jest ten doktor, gdzie on się podziewa?

–Jaki doktor?

–Ty nędzny kłamco! – zawył Kendrick pod wiatr, napierając na płócienne pasy. Nagle uderzyła go pewna myśl:

–Mój samochód – kierowca! On wie, że nie wyszedłem...

–Ależ pan wyszedł. Nie czuł się pan najlepiej, więc wiele pan nie mówił, i miał pan przyciemnione okulary, ale obdarował go pan hojnym napiwkim. Łódka kołysała się na wodzie, Evan tymczasem spojrzał na ubranie, które miał na sobie, ledwie widoczne w przyćmionym świetle, dobiegającym z kabiny. Miał na sobie spodnie z grubego rypsu i czarną dżinsową koszulę. Łotry! – zawołał i zaraz przemknęła mu przez głowę kolejna myśl:

–Ale przecież widziano mnie, jak wysiadałem pod hotelem. – Przykro mi, ale nie pojechał pan do hotelu. Powiedział pan szoferowi tylko tyle: że ma pana zawieźć do parku Balboa, że ma się pan tam z kimś spotkać i że wróci pan taksówką.

–Widzę, że pozacieraliście ślady, łącznie z moim ubraniem. Jesteście wszawymi, płatnymi mordercami.

–Ciągle źle pan to interpretuje, panie kongresmanie. Zacieraliśmy ślady ze względu na pana, a nie na nikogo innego. Nie wiedzieliśmy, czego się pan nawąchał czy co pan sobie wstrzyknął do żyły, ale jak by powiedział mój porywczy dziadek,

zauważyliśmy, że pan się robi pazzo, szalony, wie pan, co mam na myśli?

–Wiem dokładnie, co masz na myśli.

–Więc oczywiście nie mogliśmy dopuścić do tego, żeby w takim stanie pokazywał się pan publicznie, chyba pan to rozumie? – Va bene, ty złamany mafioso! Słyszałem, jak wołałeś "W tej chwili ja tu rządzę". I jeszcze: "Znam ludzi, którzy to mogą załatwić!" – Powiem panu, panie kongresmanie, że chociaż żywię dla pana wielki podziw, jestem głęboko zraniony pańskimi antywłoskimi uogólnieniami.

–Powiedz to prokuratorowi federalnemu stanu Nowy Jork – odparł Kendrick, a łódź zanurzyła się gwałtownie, po czym wzniosła w górę na grzbiecie potężnej fali. – Giuliani zapakuje cię do pudła kuchennym wejściem.

–Tak, wracając do tego, co się stało ostatniej nocy – nam nic się nie stało, choć mogliśmy wylądować w tej samej wodzie – kilka osób przebywających w parku Balboa widziało mężczyznę, który mógłby bez trudu odpowiadać pańskiemu rysopisowi – który był ubrany tak, jak pan, kiedy opuszczał pan hotel, a następnie jechał limuzyną – i który wszedł do "Balthazara".

–Co to takiego?

–To kawiarnia w Balboa. Jak pan wie, mamy tu sporo studentów; przyjeżdżają do nas z całego świata, jest też spory kontyngent z basenu Morza Śródziemnego. Wie pan, synkowie bogatych rodzin, które kiedyś mieszkały w Iranie, w Arabii Saudyjskiej, w Egipcie, nawet, jak przypuszczam, w kraju do dziś zwanym niekiedy Palestyną. Czasami kawa kipi, w znaczeniu politycznym, i policja musi przywracać porządek, konfiskując przedmioty w rodzaju rewolwerów i noży. Ci ludzie łatwo powodują się emocjami.

–Widziano, jak "ja" tam wchodzę i oczywiście znajdą się tacy bywalcy, którzy zeznają, że "mnie" tam widzieli.

–Nikt nie kwestionuje pańskiej odwagi, panie kongresmanie. W poszukiwaniu właściwych rozwiązań udaje się pan do najniebezpieczniejszych miejsc, prawda? Takich jak Oman, Bahrajn, a nawet... dom wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych.

–Dodaj do swojej listy łapownictwo, ty łachudro.

–Chwileczkę! Powiedzmy jasno i wyraźnie, że ja nie miałem nic wspólnego z tą sprawą, dla której przyszedł się pan zobaczyć z Cepem. Ja tylko wyświadczam panu przysługę, wykraczając poza zakres moich obowiązków służbowych.

–Ponieważ "znam ludzi, którzy to mogą załatwić", na przykład przebrać się w moje ubranie, korzystać z mojego samochodu, przechadzać się po parku Balboa. Plus paru innych, którzy umieli mnie wynieść z siedziby Bollingera tak, żeby nikt nie zauważył. – Prywatne karetki pogotowia to bardzo wygodny i dyskretny środek lokomocji, kiedy gość źle się poczuje albo zanadto sobie pofolguje.

–Plus jeszcze paru, żeby odwracać uwagę kręcących się w pobliżu. dziennikarzy i ludzi z obsługi.

–Moi współnicy spoza służb rządowych są na zawołanie w nagłej potrzebie. Jesteśmy szczęśliwi, mogąc służyć pomocą na miarę naszych możliwości.

–Nie za darmo, oczywiście.

–Jasne... To oni płacą, panie kongresmanie. Płacą w ten czy w inny sposób, teraz

więcej niż przedtem.

–Także za motorówkę i za doświadczonego kapitana?

–Nie przypisujemy sobie cudzych zasług – zaprotestował człowiek z mafii, bardzo z siebie zadowolony. To ich sprzęt, ich szyper. Niektóre rzeczy tamci robią lepiej, zwłaszcza jeśli w grę wchodzi przejażdżka po dobrze strzeżonych wodach między Stanami a Meksykiem. Kendrick wyczuwał obecność trzeciej osoby, ale mimo że się wykręcał na wszystkie strony, nie mógł nikogo więcej dostrzec na pokładzie. Wzniósł oczy w stronę barierki, okalającej mostek. Ktoś cofnął się w mrok, nie dość jednak szybko. Był to ów bardzo wysoki, mocno opalony doradca z biblioteki Bollingera, o ile można było dostrzec jego twarz, wykrzywiła ją nienawiść.

–Czy wszyscy goście wiceprezydenta znajdują się na pokładzie? – spytał Evan, widząc, że mafioso dostrzegł jego spojrzenie. – Jacy goście?

–Sprytny jesteś, Luigi.

–Jest tu tylko kapitan i jeden członek załogi. Widzę ich po raz pierwszy w życiu.

–Dokąd płyniemy?

–Na przejażdżkę. ~ Motorówka zwolniła, kiedy strumień światła z silnej latarki wytrysnął z mostka. Mafioso odpiął pas, wstał, przeszedł przez pokład i znikł w dolnej kabini. Evan dosłyszał, że coś mówi przez wewnętrzny telefon, ale przy potężnym wietrze i szumie fal nie mógł rozróżnić słów. Mężczyzna wrócił za chwilę; w ręce trzymał pistolet, seryjnego automatycznego Colta kaliber 0.45 cala. Tłumiąc nagły lęk, Kendrick pomyślał o rekinach w Katarze i zastanowił się, czy na drugim końcu świata inny Mahdi wykona wyrok, który zapadł w Bahrajnie. Jeśli tak, to Evan podjął tę samą decyzję, co wtedy w Bahrajnie: będzie walczył. Szybka, celna kulka w czaszce to lepsze niż perspektywa utonięcia lub rozszarpania przez ludojady Pacyfiku. – Jesteśmy na miejscu, panie kongresmanie – powiedział uprzejmie mafioso.

–Tutaj, czyli gdzie? Sam nie mam zielonego pojęcia. To chyba jakaś wyspa. Kendrick przymknął oczy, gotów złożyć dziękczynienie każdemu, kto je zechce przyjąć, i znów zaczął oddychać swobodnie, bez dygotu. Bohater z Omanu to humbug, pomyślał. Po prostu nie dbał o śmierć, a poza tym, pomijając lęk, była tam Khalehla. Miał miłość, która mu przez całe życie umykała, i każda dodatkowa minuta życia stanowiła minutę nadziei.

–Patrząc na ciebie można by pomyśleć, że tak naprawdę wcale tego nie potrzebujesz – powiedział, wskazując na pistolet. – Inaczej o tym napisze pańska prasa – odparł tajniak, który swą posadę zawdzięczał przywódcom świata przestępczego. – Mam zamiar pana rozwiązać, ale wystarczy jeden gwałtowny ruch, a nie stanie pan więcej na stałym lądzie. Capiście?

–Motto bene.

–To nie moja wina, takie otrzymałem zalecenia. Podejmując się jakiegoś zadania, należy przestrzegać sensownych poleceń. Evan posłyszał ciche trzaski i poczuł, że rozluźniają się szerokie pasy, opinające mu ręce i nogi.

–Czy pomyślałeś o tym, że gdybyś ściśle przestrzegał tych poleceń, mógłbyś nigdy więcej nie ujrzeć San Diego? – spytał. – Oczywiście – odpowiedział spokojnie

mafioso. – Właśnie dlatego nasz Cep jest vice. "Cep jest vice" – to by się mogło znaleźć w wierszu, nie sądzi pan?

–Nie wiem. Jestem inżynierem budowlanym, a nie poetą.

–A ja mam w ręku pistolet, z czego wynika, że też nie jestem poetą. Więc proszę uważać, panie kongresmanie.

–Rozumiem, że Cep to wiceprezydent?

–Tak, to on powiedział, że usłyszał swój kryptonim i że to zniewaga. Może pan to sobie wyobrazić? Te łobuzy mają czelność podsłuchiwać naszych ludzi?

–Jestem oburzony – stwierdził Kendrick, wstając niezgrabnie z metalowego krzesła i machając rękoma i nogami, żeby przywrócić krążenie krwi.

–Spokojnie! – zawołał tajniak, odskakując w tył, z bronią kalibru 0.45 cala wymierzoną w głowę Evana.

–Posiedziałbyś w tym cholernym krześle przez tak długi czas w takiej pozycji, to potem też byś nie umiał chodzić po linie! – Dobrze, dobrze. Więc niech pan zakosami przejdzie na burtę tej sztywnej łajby, do trapu. Tamtędy będzie pan schodził. Stateczek najpierw krążył po zatoczce, potem po kilku gwałtownych manewrach wzbijając pianę podczas manewrów – zacumował przy molu długości około trzydziestu metrów, naprzeciwko trzech innych łódek, z których każda była mniejsza, szybsza i wyposażona w silnik lepszej klasy. Zamglone, odrutowane reflektory oświetlały powierzchnię wody, dwie ludzkie sylwetki wychynęły z mroku i ustawiły się obok właściwych pachołków. Kiedy motorówka sprawnie podpłynęła do osłoniętego oponami nabrzeża, rzucono z niej dwie cumy; rufową cisnął mafioso, z pistoletem w lewej ręce, dziobową drugi członek załogi.

–Wysiadka! – zawołał ten ostatni do Kendricka, kiedy jacht wylądował miękko w przystani.

–Chciałbym osobiście podziękować panu kapitanowi za miłą i bezpieczną przejażdżkę...

–Bardzo zabawne – skomentował tajniak – ale niech pan to zachowa dla potrzeb filmu i znika. Z nikim pan nie będzie rozmawiał. – Może się założymy, Luigi?

–Chcesz, żeby twoje jaja znalazły się na pokładzie? A poza tym nie jestem Luigi.

–Więc może Reginald?

–Wysiadka! Evan ruszył nabrzeżem wyspy ku pochylemu zboczcu, i dalej, stromą kamienną ścieżką, mając mafioso za plecami. Minął dwie ręcznie malowane tablice: białe litery na deseczkach z widocznymi słojami, napisy zrobione profesjonalnie i ze smakiem. Napis na lewej tabliczce był po hiszpańsku, na prawej po angielsku. PASAJE A CHINA PROPIEDAD PRIVATA ALARMAS PASSAGE TO CHINA WŁASNOŚĆ PRYWATNA URZĄDZENIA ALARMOWE

–Zatrzymać się – wydał polecenie tajniak. – Nie odwracać się. Patrzyć prosto przed siebie. Kendrick posłyszał odgłos stóp na pokładzie, potem ciche głosy, pojedyncze słowa angielskie z silnym akcentem hiszpańskim. Ktoś wydawał polecenia.

–Dobrze – kontynuował mafioso. – Teraz ścieżką do góry i pierwszą odnogą w prawo. Nie oglądać się! Evan posłuchał, choć wspinanie się po stromym zboczcu

sprawiło mu spore trudności: po długiej morskiej podróży w więzach nogi mu całkiem zdrętwiały. Próbował w półmroku rozeznaczyć się w terenie, ale małe żółtawe latarenki, wyznaczające ścieżki, niewiele dodawały do zamglonych świateł przystani. Listowie było bujne, grube i soczyste; drzewa osiągały wysokość od sześciu do dziesięciu metrów, grube konary zdawały się przenikać z jednego pnia na drugi, jak ramiona obejmujące inne ramiona i ciała. Krzaki i poszycie wycięto starannie, pozostawiając po obu stronach ścieżki identyczne ściany do wysokości człowieka. Dzikiej przyrodzie narzucono ład. Ale wkrótce pole widzenia Evana znacznie się ograniczyło, a to z powodu większej stromizny oraz większego mroku w miarę oddalania się od przystani, toteż skoncentrował się na słuchaniu. To, co atakowało teraz jego uszy, przypominało serię nieustających wybuchów, niczym pienisty potok rwący w tempie staccato; hałas ten miał wszakże własny rytm, puls, kontrolujący przebieg grzmotów. Tak, to fale. Fale rozbijające się o skały, i to w pobliżu, a może wzmocnione przez echo, odbijające się od głazów i wibrujące w dzikiej zieleni. Żółtawe lampy ogrodowe, umieszczone tuż nad ziemią, rozdzieliły się na dwie pary równoległych linii, z których jedna biegła prosto w górę, druga zaś na prawo; Kendrick wybrał tę drugą. Biegąc w poprzek, ścieżka wciąż się obniżała, jak rysa wykuta w skale; widoczność nagle się poprawiła. Czarne cienie okazały się ciemnymi pniami i plamiastymi palmami oraz splątanym, seledynowym poszyciem. Na wprost Kendricka znajdował się domek letniskowy, przez dwa okna, otaczające umieszczone po środku drzwi, dobywało się silne światło. Nie był to jednak zwykły domek letniskowy i Evan nie od razu zorientował się, co go zmyliło. Zrozumiał, kiedy podszedł bliżej. Chodziło o okna – nie widział takich nigdy w życiu, to one sprawiały, że małe najprawdopodobniej źródło dawało tyle światła. Profilowane szyby miały przynajmniej dwanaście centymetrów grubości i jak dwa olbrzymie pryzmaty wzmocniały wielokrotnie moc palącego się wewnątrz światła. Coś jeszcze wieńczyło ten kaprys projektanta. Szyby były nieprzezroczyste – z obu stron.

–Oto pańskie mieszkanie, kongresmanie – powiedział tajniak, wykonujący także uboczne zlecenia. – Można by powiedzieć: "oto pańska willa".

–Doprawdy nie mogę się zgodzić na tak luksusowe warunki. Czy nie mógłbyś mi znaleźć czegoś mniej rzucającego się w oczy? – Ależ z pana zgrywus... Proszę podejść i otworzyć drzwi. Nie potrzeba klucza.

–Nie potrzeba klucza?

–Dziwi to pana? – zaśmiał się mafioso. – Mnie też dziwiło, póki mi strażnik nie wytłumaczył. Wszystko electronic. Mam tu taki wichajster, jak do otwierania garażu, i kiedy naciśnie guzik kilka stalowych zasuw wysunie się z framugi i schowa w drzwiach. Urządzenie działa też od środka.

–Z biegiem czasu sam bym się tego domyślił.

–Jest pan wyjątkowo spokojny, panie kongresmanie.

–Powinienem być jeszcze spokojniejszy – powiedział Kendrick, podchodząc do drzwi i je otwierając. Z uznaniem popatrzył na rustykalny przepych bogatego nowoangielskiego ustronia górskiego, w niczym nie przypominającego stylu południowej Kalifornii czy północnego Meksyku. Ściany zbudowane były z potężnych

bali, każda miała dwa solidne okna, nisza w tylnej ścianie niewątpliwie wiodła do łazienki. Pomyślano o wszelkich wygodach: wnęka kuchenna mieściła się w głębi, w prawym rogu, towarzyszył jej lustrzany barek, w lewym rogu stało królewskie łoże, a u jego stóp przytulny zakątek z dużym odbiornikiem telewizyjnym i kilkoma wzorzystymi fotelami. Evan jako architekt stwierdził od razu, że taki domek bardziej by pasował do zimowego, zaszypanego śniegiem Vermontu niż do nadmorskiej okolicy gdzieś na południowy zachód od Tijuany. Skądinąd zresztą domek miał sielankowy urok i bez wątpienia niejeden gość na wyspie wyniósł stąd miłe wspomnienia. Ale domek miał jeszcze inne przeznaczenie. Był także więzienną celą. – Bardzo tu miło – stwierdził człowiek z obstawy Bollingera wchodząc do dużego pokoju, z bronią nadal nie ostentacyjnie, ale stale skierowaną w kierunku Kendricka. – Może pan się napije, panie kongresmanie? – spytał, idąc w stronę lustrzanego baru. – Nie wiem, jak pan, ale ja mam ochotę na jednego.

–Czemu nie? – powiedział Evan, rozglądając się po urządzonym w północnym stylu pokoju.

–W czym pan gustuje?

–Kanadyjska whisky z lodem – odparł Kendrick, przesuając się powoli z jednego miejsca w drugie, wprawnym okiem wyszukując szczelin, przez które mógłby się w stosownej chwili wymknąć. Nadaremnie – pomieszczenie było hermetyczne, zabezpieczone przed ucieczką. Ramy okienne były zabezpieczone, i to nie zamaskowanymi magnezowymi bolcami, lecz zacementowanymi zasuwami. W drzwiach wyjściowych znajdowały się wewnętrzne zamki, do których można by dotrzeć chyba tylko potężną wiertarką, zaś wszedłszy do łazienki Evan spostrzegł, że jest ślepa, a małe otwory wentylacyjne są zabezpieczone kratą z otworami nie szerszymi niż na dziesięć centymetrów.

–Świetna kryjóweczka, prawda? – powiedział mafioso, wznosząc szklanke na przywitanie powracającego z łazienki Evana.

–Dopóki się człowiek nie stęskni za zwiedzaniem okolic – odparł Kendrick, myszkując wzrokiem po wnęce kuchennej. Stwierdził tu coś dziwnego, nie umiał tylko ustalić, co by to było. Świadom tego, że jest stale na muszce, minął lustrzany barek i podszedł do owalnego stołu z podpalanego drzewa, gdzie niewątpliwie podawano posiłki. Jakieś dwa metry za nim znajdowała się długa lada, po jej środku, pod rzędem szafek, mieścił się grzejnik. Przy prawej ścianie pokoju mieściły się zlew i lodówka, przedzielone krótszym blatem. Co go w tym wszystkim niepokoiło? I wtedy dostrzegł kuchenkę mikrofalową, wbudowaną w ladę pod jedną z szafek. Obejrzał się na grzejnik. Tak, to jest to. Elektryczność. Wszystko tu było na prąd. W znakomitej większości domków letniskowych pompowano ze specjalnych zewnętrznych zbiorników propan, żeby zaoszczędzić na takich pożeraczach prądu, jak grzejniki i piece. A już przynajmniej starano się zmniejszyć natężenie prądu, nawet nie z oszczędności, tylko dla wygody, na wypadek niedoboru mocy. Evan przypomniał sobie żółte lampy ogrodowe obok ścieżki. Elektryczność. Mnóstwo elektryczności na wysepce, oddalonej o trzydzieści albo i sześćdziesiąt kilometrów od lądu. Nie wiedział, co by to wszystko miało znaczyć, ale w każdym razie miał się

nad czym zastanawiać. Wyszedł z wnętrza kuchennej na otwartą przestrzeń pokoju. Przyjrzał się olbrzymiemu telewizorowi, zadając sobie pytanie, jak potężna musi być antena odbierająca sygnały przez taki szmat morza. Usiadł, prawie całkiem zapominając o wycelowanej w niego broni, rozmyślając o wielu odległych sprawach, w tym także – z troską o Khalehli, która została w hotelu. Czeka na niego od wielu godzin. Co robi? Cóż mogłaby robić? Evan uniósł szklankę i wypił kilka łyków whisky, wdzięczny za ciepło, jakie rozpląnęło mu się zaraz po całym ciele. Zerknął na tajniaka Bollingera, który stał rozluźniony przy dębowym podpalanym stole, położywszy na nim broń, na samym skraju, tuż obok swojej prawej dłoni.

–Pańskie zdrowie – powiedział człowiek mafii, unosząc szklankę lewą ręką.

–Czemu nie? Nie oddając uprzejmego gestu Kendrick wypił i znów poczuł szybkie, rozgrzewające działanie whisky... Nie! Zbyt szybkie, zbyt ostre, nie rozgrzewające, tylko palące! Meble nagle zaczęły się rozmazywać i znikać z pola widzenia, chciał wstać, ale nie panował już nad nogami ani rękoma. Wpatrywał się w obleśny uśmiech na twarzy mafioso i próbował krzyczeć, ale z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk. Usłyszał, jak szklanka rozpryskuje się na drewnianej podłodze i poczuł, że przytłacza go jakiś ogromny ciężar. Po raz drugi tej nocy zapadł mrok, a i on zapadał się w nieskończoną próżnię czarnej otchłani. Tajniak podszedł do wewnętrznego telefonu, wbudowanego w ścianę obok lustrzanego baru. Po chwili namysłu wybrał trzy cyfry, jakie podano mu na jachcie.

–Domek, słucham – odparł przyciszony męski głos.

–Wasz chłopak znów słodko śpi.

–Dobrze, czekamy na niego.

–Muszę się o coś spytać – powiedział wyszczekany capo. – Dlaczegośmy go najpierw obezwładnili?

–Postępowanie lekarskie, nie twój interes.

–Na twoim miejscu nie używałbym tego tonu. Jesteście naszymi dłużnikami.

–Zgoda. Historia medycyny mówi o dopuszczalnych i niedopuszczalnych dawkach.

–Dwie umiarkowane porcje zamiast jednej zbyt dużej?

–Coś w tym rodzaju. Nasz lekarz jest w tych sprawach bardzo doświadczony.

–Jeżeli to ten sam, niech się tu nie pokazuje. Kendrick ma go na liście śmiertelnych wrogów... I przyślijcie swoich Chicanos, usuwanie zwłok nie wchodzi w zakres moich obowiązków.

–Oczywiście. A o naszego doktora nie musisz się martwić. On jest na innej liście.

–MJ on jeszcze nie wrócił, a jest już kwadrans po trzeciej! – Khalehla popłakiwała w słuchawkę. – Czy czegoś się dowiedziałeś? – Niczego sensownego – odparł dyrektor Sekcji Projektów Specjalnych głosem smutnym i znużonym. – Nie dzwoniłem, bo uważałem, że powinnaś trochę odpocząć.

–Nie kłam, wujku Mitch. Jakoś nie miałeś nigdy wyrzutów sumienia, każąc mi pracować przez całą noc. Tu chodzi o Evana! – Wiem, wiem... Czy on ci coś wspominał, że ma jakieś spotkanie w parku Bilboa?

–Nie, myślę, że nawet nie wie, co to takiego i gdzie się mieści. – A ty wiesz?

–Oczywiście. Pamiętasz, mieszkali tam moi dziadkowie.

–A znasz lokal "Balthazar"?

–To kawiarnia dla różnych narwańców, arabskich narwańców, jeśli chodzi o ścisłość, głównie studentów. Byłam tam raz i więcej się nie wybieram. Ale czemu pytasz?

–Zaraz ci wyjaśnię – powiedział Payton. – Kiedy zadzwoniłaś przed paroma godzinami, zwróciliśmy się do ludzi Bollingera i oczywiście do biura Kendricka – mówiąc, że mamy dla niego pilną wiadomość. Powiedziano nam, że wyjechał około dziewiętej, co pozostawało w sprzeczności z twoją informacją, że nie wrócił do jedenastej; z domu wiceprezydenta do waszego hotelu jedzie się najwyżej pół godziny. Więc zadzwoniłem do Gingerbreada – Shapoffa który jest nieoceniony w takich sytuacjach. Przebadał wszystkie tropy, łącznie z kierowcą Evana. Nasz kongresman kazał się zawieźć do Bilboa Park, więc Gingerbread, jak sam mówi, "przesieka! okolicę". To, czego się dowiedział, można sprowadzić do dwóch zagadkowych konkluzji. Pierwsza: człowieka z wyglądu przypominającego Evana widziano w Bilboa Park. Druga: parę osób z "Balthazara" oświadczyło, że ten sam mężczyzna w ciemnych okularach wszedł do kawiarni i stał przez dłuższy czas obok maszynek do parzenia orientalnej kawy, po czym usiadł przy stoliku.

–Mitch! – zawołała Khalehla. – Patrzę w tej chwili na jego ciemne okulary! Leżą na biurku. Czasem nosi je za dnia kiedy nie chce, by go rozpoznano, ale nigdy wieczorem. Mawia, że nocą okulary słoneczne zwracają tylko uwagę i ma zupełną rację. Ten człowiek to nie był Evan! To pewne. Oni gdzieś go trzymają!

–Ale jaja – powiedział spokojnie Payton. Będziemy się musieli za to wziąć.

Kendrick otworzył oczy jak ktoś, kto nie jest pewien, gdzie się znajduje, ani w jakim jest stanie, ani nawet czy już się obudził, czy jeszcze ciągle śpi. Czuł tylko zdumienie, w głowie wirowały mu smugi zawstydzenia, a poczucie niepewności przyprawiało go o mdłości. Gdzieś paliła się lampa, oświetlając krokwie sufitu. Poruszył dłonią, uniósł prawą rękę nad nieznajome łóżko w nieznajomym pokoju. Przyjrzał się badawczo dłoni i całej ręce, po czym nagle, gwałtownym ruchem uniósł lewą. Co się stało? Zsunął z łóżka lewą nogę i wstał niepewnie, opanowany mieszaniną lęku i ciekawości. Znikły gdzieś grube sztruksowe spodnie i czarna bluza ze spranego dżinsu. Miał na sobie swoje własne ubranie! Był w swoim granatowym garniturze, "kongresowym" garniturze, jak go sam często żartobliwie nazywał, tym samym, w którym poszedł do domu Bollingera! Do tego biała koszula i krawat pułkowy w paski, wszystko uprane i odprasowane. Co się stało? Gdzie był? Gdzie się podział dobrze wyposażony domek wiejski z elektrycznym sprzętem i lustrzanym barkiem? Tę dużą sypialnię widział po raz pierwszy w życiu. Powoli odzyskując równowagę zwiedzał obce otoczenie, zastanawiając się niekiedy, czy przeżywa sen, czy też sen właśnie się skończył. Zobaczył wąskie drzwi balkonowe; podszedł do nich szybko i otworzył. Prowadziły na balkonik, wystarczająco duży na to, by dwoje ludzi mogło się na nim napić kawy, ale nic ponadto. Na użytek tej ceremonii stał na nim miniaturowy stolik i dwa opłatanе metalowe krzesła. Evan stanął przed sięgającą mu do piersi barierą i rozglądał się po ciemnym terenie, rozjaśnianym trochę przez

ledwie widoczny księżyc i równoległe rzędy żółtawych lamp, biegnące w różnych kierunkach... oraz jeszcze przez coś. W oddali, oświetlony przymglonym światłem, znajdował się ogrodzony obszar, przypominający olbrzymią metalową klatkę. Wewnątrz mieściły się potężne urządzenia, niektóre czarne i połyskliwe, inne chromowane lub srebrzyste, przy czym wszystkie migotały w przyćmionym chmurami blasku księżyca. Evan wpatrywał się w klatkę usilnie, potem nadśluchiwał – dobiegało stamtąd nieprzerwane tępe buczenie i teraz już wiedział, że zna odpowiedź na pytanie, które go niepokoiło. Nie musiał nawet czytać napisów **UWAGA WYSOKIE NAPIĘCIE** – wiedział, że tam są. Otoczona siatką maszyneria składała się na wielki generator prądu, zasilany zapewne z jakiegoś gigantycznego podziemnego zbiornika i z mnóstwa baterii fotoelektrycznych, chwytających energię tropikalnego słońca. Pod balkonem znajdowało się murowane patio, jakieś osiem lub dziesięć metrów niżej, co w razie próby ucieczki tą drogą oznaczało niechybnie połamane ręce i nogi. Kendrick przebadał mur: najbliższa rynna była na rogu budynku, poza jego zasięgiem, dom nie był porośnięty winoroślą, po której można by się było zsunąć, nic, tylko goły tynk. Koce? Prześcieradła! Gdyby je solidnie powiązał, mógłby się opuścić o trzy, cztery metry! Jeśli się pospieszy... Nagle zamarł w bezruchu, porzucając wszelką myśl o szybkim powrocie do pokoju po prześcieradła: na oświetlonej żółtawą lampą ścieżce po prawej stronie pojawiła się postać z przewieszonym przez ramię karabinem. Nieznajomy podniósł w górę rękę, dając komuś znak. Evan spojrzał w lewo – inny mężczyzna unosił dłoń, odpowiadając na znak: wzajemna sygnalizacja między patrolami. Kendrick zbliżył zegarek do oczu, starając się dojrzeć w przyćmionym świetle dużą wskazówkę. Jeśli ustali częstotliwość spotkań patroli i będzie miał wszystko przygotowane... Znow musiał zaniechać planu, do którego popychała go determinacja. Otworzyły się drzwi sypialni i zrozumiał, że to jawa, nie sen.

–Zdawało mi się, że słyszę, jak pan się krząta – powiedział tajniak w służbie mafii.

–A ja powinienem był pomyśleć, że pokój jest na podsłuchu – odparł Evan, wracając do wnętrza.

–Wciąż źle pan to interpretuje, panie kongresmanie. To jest pokój gościnny w głównym budynku. Czy sądzi pan, że ci ludzie podsłuchiwaliby prywatne rozmowy swoich gości albo inne zupełnie naturalne odgłosy wzajemnej satysfakcji?

–Sądzę, że są zdolni do wszystkiego. Skąd byście wiedzieli, że wstałem?

–To proste – odparł mafioso, podchodząc do biurka, stojącego w prawym rogu pokoju i biorąc z blatu mały płaski przedmiot. – Coś takiego. Robią to dla ludzi z małymi dziećmi. Moja siostra z New Jersey nie rusza się bez czegoś takiego. Komplet składa się z dwóch sztuk. Zostawia się jedną, a drugą zabiera do swojego pokoju i człowiek słyszy, jak dziecko zaczyna płakać. A jej dzieci umieją płakać. Słysząc je na Manhattanie.

–Dziękuję za wyjaśnienie. A kiedy oddaliście mi ubranie? – Nie wiem. Zajęli się panem Chicanos, nie ja. Może nawet zgwałcili pana i nic pan o tym nie wie.

–Jeszcze raz dziękuję za wyjaśnienie... Czy zdajesz sobie sprawę, co zrobiłeś, w co się wplątałeś? Porwałeś dość znanego urzędnika państwowego, członka Izby

Reprezentantów.

–Dobry Boże, to brzmi tak, jakbym porwał szefa kuchni w Królestwie Makaronów Winniego.

–To nie jest śmieszne...

–Ale pan jest śmieszny – przerwał strażnik, wyjmując pistolet z kabury pod pachą.

– Poza tym jest pan oczekiwany na dole. – A gdybym odrzucił zaproszenie?

–Wtedy prześwidruję panu brzuch, a trupa kopniakami zrzucę ze schodów. Mnie tam wszystko jedno. Płacą mi za wykonanie zadania, a nie za dostawę gwarantowanego towaru. Wybieraj, bohaterze. Pokój przypominał koszmarne sen miłośnika przyrody. Wypchane głowy zwierząt wisiały na białych ścianach, w sztucznych oczach odbijała się zgroza rychłej śmierci. Tapicerkę stanowiły skóry leopardów, tygrysów i słoni, naciągnięte i równo poprzybijane do krzeseł i sof. Całość stanowiła demonstrację przewagi uzbrojonego w strzelbę człowieka nad nie spodziewającą się zagłady dziką przyrodą i sprawiała wrażenie nie tyle imponujące, co smutne, smutne jak czcze tryumfy zwycięzców. Tajniak otworzył drzwi, gestem nakazał Kendrickowi wejść, po czym zamknął drzwi, pozostając na korytarzu. Kiedy przebrzmiał pierwszy efekt, Evan spostrzegł, że przy potężnym biurku siedzi jakiś mężczyzna – widział tylko tył jego głowy. W jakiś czas po zamknięciu się drzwi, jakby po nabraniu pewności, że są sami, człowiek ów przesunął się na obrotowym krześle.

–My się wprawdzie jeszcze nie znamy – powiedział Crayton Grinell gładkim tonem adwokata – ale, choć to się może wydać niegrzecznością, wolałbym zachować anonimowość... Proszę, zechce pan usiąść. Należy unikać wszelkich niepotrzebnych niewygód. Dlatego właśnie zwrócono panu pańskie ubranie.

–Rozumiem, że spełniło ono swoje zadanie w pewnym parku, który się nazywa Balboa. Kendrick usiadł na krześle po przeciwnej stronie biurka; siedzenie było pokryte skórą leoparda. Tak, dostarczyło nam pewnych poszlak – przyznał Grinell. Rozumiem. Evan nagle rozpoznał głos, który od początku wydawał mu się znajomy. Znał go z nagrania jasnowłosego Europejczyka. Siedzący przed nim mężczyzna to zaginiony Crayton Grinell, prawnik, odpowiedzialny za krwawą masakrę na Cyprze, zabójca Sekretarza Stanu. – Skoro nie chce pan, żebym wiedział, jak pan się nazywa, czy mam rozumieć, że jedna z tych poszlak miała prowadzić do San Diego?

–To całkiem prawdopodobne, ale, podkreślam, wcale nie przesądzone. Jak pan widzi, jestem z panem szczerzy.

–Tak jak pańscy przyjaciele w domu Bollingera.

–Jestem pewien, że byli szczerzy, podobnie jak pan z nimi. – Czy musieliście to zrobić?

–Co takiego?

–Zabić starego?

–My z tym nie mamy nic wspólnego! A poza tym on żyje.

–Ale umrze.

–Wszyscy pomrzemy pewnego dnia... To był z jej strony szczyt bezinteresownej głupoty, podobnie jak niewiarygodne machlojki finansowe jej męża w Zurychu. Wiele

nam można zarzucić, panie kongresmanie, ale nie jesteśmy głupi. Zresztą mniejsza o to, nie traćmy czasu. Vanvlanderenowie znikli i ich sprawy przepadły wraz z nimi. Tymczasowy "Dr Lyons" też się więcej nie pojawi... – Ja go chcę mieć! – przerwał Kendrick.

–Ale myśmy go dostali i dostał najwyższy możliwy wymiar kary. – Skąd mogę mieć pewność?

–Jak może pan wątpić? Czyż wiceprezydent, czyż ktoś spośród nas mógł tolerować ten spisek?... Bardzo nam przykro z tego powodu, co się przydarzyło panu Weingrassowi, ale my nie mamy z tym zupełnie nic wspólnego. Powtarzam, doktor i Vanvlanderenowie zeszli ze sceny. To już zamknięta karta, czy może pan to przyjąć do wiadomości?

–Czy trzeba mnie było narkotyzować i transportować aż tutaj, żebym się o tym przekonał?

–Po tym, co pan wygadywał, nie mogliśmy zostawić pana w San Diego.

–Więc o czym mamy teraz rozmawiać?

–Otwieramy nową kartę – stwierdził Grinell, wyciągając się w krześle. – Pan odwołuje i w zamian jest pan wolny. Wróci pan do swojego hotelu w swoim własnym ubraniu i wszystko będzie po staremu. W Zurychu jest teraz dzień; otwarto tam właśnie na pańskie nazwisko kredyt do wysokości pięćdziesięciu milionów dolarów. Zaskoczony Evan próbował nie okazywać zdumienia.

–Nowa karta?... Nie jestem pewien, czy dobrze zrozumiałem? – Wykradł to Varak.

–Kto?

–Miloś Varak!

–Europejczyk...? – Bezwiednie wymknęła mu się ta nieoczekiwana identyfikacja. Tak, to był ten Miloś.

–Ten profi, ten martwy sługa Inver Brass.

–Inverco?

–Pańskich niedoszłych popleczników, panie kongresmanie. Nie sądzi pan chyba, że osiągnął pan swoją pozycję o własnych siłach? – Czułem, że ktoś mnie popycha...

–Popycha? Raczej katapultuje. Ograniczeni pomyleńcy. Nie zorientowali się, że jeden z nich pracuje także dla nas.

–Dlaczego przypuszcza pan, że Europejczyk... że ten Varak nie żyje? – spytał Evan, żeby zyskać kilka chwil na przyswojenie sobie zbyt szybko nań spadających rewelacji.

–Czytałem w gazecie – nie wymienili jego nazwiska, oczywiście, ale niewątpliwie o niego chodziło. Ale zanim umarł, był gdzie indziej, z kimś, kto pracuje dla nas. Musiał się z nim spotkać, inaczej nigdy by się nie dostał na lotnisko... On to ukradł.

–Co? – spytał Kendrick.

–Zaszyfrowaną księgę rachunkową, rzecz przydatną tylko dla kilku wtajemniczonych.

–I pan uważa, że ja ją mam – stwierdził Kendrick.

–Myślę, że pan wie, gdzie ona jest.

–Dlaczego?

–Ponieważ Varak mógł w swej nadgorliwości sądzić, że to pan ją powinien mieć. Nie mógł dłużej ufać Inver Brass.

–Bo zorientował się, że jeden z nich był zarazem jednym z was. – W sumie tak – powiedział Grinell. – Oczywiście stawiam tylko hipotezy. To zawodowe przyzwyczajenie, które wszakże od wielu lat służy mi niezawodnie.

–Tym razem zawiodło. Ja nie mam o tej księdze zielonego pojęcia.

–Na pańskim miejscu nie kłamałbym, panie kongresmanie. To i tak na nic się nie zda. W dzisiejszych czasach jest wiele sposobów na rozwiązywanie ust. Nie może dopuścić, by mu zaaplikowali jakiś narkotyk! Gotów jeszcze wszystko ujawnić, podpisać wyrok śmierci na Khalehłą oraz dostarczyć doradcom wszelkich informacji, jakie im będą potrzebne, żeby otoczyć się zasłoną dymną i bezpiecznie zniknąć. Manny zasługuje na coś lepszego w godzinie swojej śmierci! Teraz najbardziej potrzebuje wiarygodności! Znalazł się w zupełnie innych warunkach, nie w Maskacie, ale na jakiejś wysepce w okolicach Meksyku. Musi być równie przekonujący, jak dla terrorystów, ponieważ ci ludzie, ci zabójcy z zacisznych gabinetów, sami są nie lepsi od terrorystów. Niech mnie pan wysłucha – powiedział Evan pewnym siebie tonem, odchylając się wraz z krzesłem do tyłu i zakładając nogę na nogę. – Możecie sobie myśleć, co się wam żywnie podoba, ale ja nie chcę być wiceprezydentem. Chcę gwarancji kredytowych na pięćdziesiąt milionów w banku zurychskim. Czy wyrażam się jasno? – Jasno i dobitnie – mamy to, oczywiście, nagrane.

–Tym lepiej! Skierujcie kamerę na moją twarz i zróbcie nagranie video.

–Już zrobiliśmy – przerwał mu prawnik.

–Znakomicie! A zatem jedziemy na tym samym wózku?

–Na tym samym, panie kongresmanie. Więc gdzie jest ta księga? – Nie mam zielonego pojęcia, ale jeśli ten Varak wysłał ją do mnie, wiem, jak mogę ją mieć... Zadzwoń do mojego biura w Waszyngtonie i powiem sekretarce, Annie O'Reilly, żeby przesała ją ekspresem pod wskazany przez pana adres. Dwaj negocjatorzy wpatrywali się w siebie intensywnie, żaden ani drgnął.

–To uczciwe rozwiązanie – przyznał w końcu Grinell.

–Zgodzę się na inne, jeśli wymyśli pan coś lepszego.

–Jeszcze lepiej.

–Jestem na pokładzie samolotu?

–Tak, w drodze do Zurychu – odparł z uśmiechem Grinell. – Jak tylko uporządkuje pan kilka spraw, w rodzaju Chicago.

–Telegram zostanie wysłany rano. Każe O'Reilly nadać go z mego biura.

–Z kopią dla naszego szanownego wiceprezydenta, oczywiście. – Oczywiście. Przewodniczący rady naczelnej doradców westchnął z wyraźną ulgą.

–Ach, jacy my wszyscy jesteśmy skorumpowani – rzekł. – Na przykład pan, panie kongresmanie, to kłębek sprzeczności. Ten, za kogo jest pan uważany, nigdy by nie przyjął naszych warunków.

–Jeżeli pan to mówi ze względu na nagranie magnetowidowe, chciałbym złożyć oświadczenie. Poparzyłem się, i robiłem co mogłem, żeby stłumić pożar w Omanie, ponieważ parzył mnie, zabijając moich przyjaciół. Nie widzę tu żadnej sprzeczności.

–Oświadczenie zostało nagrane, pośle Kendrick. Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, seria sygnałów przerwała spokojną konferencję. Jasne czerwone światelko pojawiło się na konsolce radiotelefonu a przytłumiona syrena dobiegała z końca pokoju, może z ust jednego z wypchanych zwierząt. Drzwi otwały się z trzaskiem i ogorzały kapitan jachtu, małowówne wściekle ziółko z Miasta Zepsucia, wtargnął do pokoju.

–Co ty wyprawiasz? – wrzasnął Grinell.

–Zabierzcie stąd tego gnojka – warknął żeglarz. – Od początku podejrzewałem, że to pułapka i okazało się, że miałem rację. Ludzie z FBI przysłani przez Waszyngton rozpełzli się po całym domu Bollingera. Szukają Kendricka, przesłuchują wszystkich, jakby byli na posterunku.

–Co takiego?

–Damy sobie z tym radę, ale mamy gorszy problem. Księga rachunkowa! Zadzwoniono do Bollingera. Ona jest w rękach prawnika tej dziwki!

–Dość tego! Zamknij się! – rozkazał Grinell.

–Gada o dziesięciu milionach, które miał jej obiecać ten jej Andy. Teraz on chce tej forsy.

–Powiedziałem, żebyś się zamknął!... Mówisz, że policja federalna wszystkich przesłuchuje?

–Dokładnie tak. Nie tylko ich wypytyują, mają też nakazy rewizji. Nic nie znajdują, ale to nie ich wina.

–W domu wiceprezydenta? To niesłychane!

–Sprytnie to rozegrali. Powiedzieli Bollingerowi, że go chcą uchronić przed niesubordynacją jego ludzi. Ale mnie nikt nie nabierze. Kapitan zwrócił się w stronę Evana: Ten skurwysyn został podsunięty na przynętę. Słowo bohatera przeciw całemu światu. Grinell popatrzył na Kendricka. Nie ma mowy o słowie bohatera, skoro nie ma bohatera. Adios, panie kongresmanie. Przycisnął guzik pod blatem biurka i drzwi wielkiej sali pełnej martwych zwierząt znów się otwały. Broń mafioso kołysała się ostrożnie, kiedy wchodził do pokoju. Zabierz go – rozkazał prawnik. – Chicanos powiedzą ci dokąd... Nabrał mnie pan, panie kongresmanie. Zapamiętam sobie tę naukę. Wystrzegać się wymownych, filozofujących lisów. Szum fal, roztrzaskujących się o skaliste wybrzeże wysepki potężniał w miarę, jak schodzili oświetloną żółtawymi lampami ścieżką. Wreszcie lampy się skończyły, biała barierka łączyła dwie ostatnie, a ich światło padało na litery dwóch napisów. I znów lewy był po hiszpańsku, a prawy po angielsku. Peligro! Niebezpieczeństwo! Za barierką znajdowała się skalna półka, wściekle morskie wody kłębiły się w błędnym świetle księżyca, dźwięk rozbijających się fal był tutaj przytłumiony. Kendricka wiedziono na egzekucję.

* * *

Rozdział 41

Kłęby piany wodnej buchały ze skał przewieszonych nad Pacyfikiem. Evan powściągnął lęk, przypomniawszy sobie pakt, jaki zawarł był ze sobą samym; że nie umrze biernie, że nie da się zabić bez walki, choćby beznadziejnej. Ale nawet najbardziej szaleńcze próby powinny brać pod uwagę dalsze możliwości przetrwania

i ocalenia, toteż Evan przez całe swoje dorosłe życie pilnie studiował warunki zewnętrzne. Teraz miał wokół siebie tropikalne pnącza, grube i mocne dzięki wilgoci powietrza i ciągłym atakom wiatrów. Po obu stronach wyznaczonych żółtawymi lampami ścieżek rosły chaszczki poprzedzielane obszarami bagiennymi i nigdy nie wysychającym błotem. Meksykanin, który wraz z mafioso prowadził go na miejsce egzekucji, nie był chyba zbyt gorliwym partnerem mordy. Głos mu zamierał, kiedy się powoli zbliżali do białej barierki.

–Defrente, defrente! – wykrzykiwał nerwowo – Adelantel

–Niech pan przejdzie górą albo naokoło, panie kongresmanie – powiedział tajniak zimnym tonem, zawodowiec wykonujący swój zawód, człowiek dla którego życie i śmierć niewiele znaczą. – Nie mogę – oponował Kendrick. – Za wysoko, żeby przejść górą, a po bokach coś w rodzaju drutu kolczastego zagraadza drogę. – Gdzie?

–Tutaj. – Kendrick pokazał w kierunku pogrążonych w mroku chaszczki.

–Nie widzę. Teraz! – zabrzmiał bezgłośny krzyk w krtani Evana w chwili, gdy ten rzucił się naprzód, obiema rękami sięgając po dużą broń, chwytając ją i odrzucając w krzaki, a następnie wykręcił tajniakowi rękę, wbił mu się barkiem w klatkę piersiową, pociągnął go do przodu i rozpaczliwym ruchem, natężając wszystkie siły, zbił tajniaka z nóg, wpychając go w krzaki i w błoto. Pistolet wypalił, jego Wybuch zmieszał się z łomotem rozbijających się poniżej fal. Kendrick wepchnął broń w miękką ziemię i – uwolniwszy prawą rękę – zebrał garść mułu i rzucił nią o twarz mafiosa, wcierając mu błoto w oczy. Tajniak wściekle protestował, próbując równocześnie wytrzeć sobie oczy i wyciągnąć pistolet z błota i z uchwytu Evana. Kendrick tkwił nadal na swym miotającym się przeciwniku, raz po raz wbijając mu kolano w podbrzusze, a prawą ręką zgarniał błoto i wciskał je tamtemu w oczy i w usta. Nagie jego palce natknęły się na twarde, chropowaty przedmiot. Kamień! Był trochę duży dla działających w panice palców, ale w tej chwili nic już nie mogło powstrzymać Kendricka. Napinając mięśnie, których nie forsował w ten sposób od miesięcy, nawet od lat, znosząc konwulsyjne ataki od spodu, wy dobył ciężki, chropowaty głaz z błota i cisnął nim w głowę swego niedoszłego kata. Strażnikzabójca stracił przytomność, a jego ciało zapadło się w miękkie poszycie i błoto. Evan podniósł pistolet i spojrzał w górę, na Meksykanina. Ten czekał na to, kto przeżyje, a kto umrze parę kroków dalej, w zamglonym, zacienionym listowiu. Kuczał przed żółtawą lampą, po czym zbił ją kopiąc nieświadomie nogą. Ujrzawszy, kto zwyciężył, splunął i zabierał się do ucieczki. Stój! – zawołał Kendrick resztką tchu, zrywając się na równe nogi i wychylając z krzaków. – Stój albo cię zabiję! Już chyba wiesz, że jestem do tego zdolny. Meksykanin przystanął i powoli – w księżycowej poświacie – obrócił się twarzą w twarz do Evana.

–Ja w tym nie biorę udziału, senior – powiedział zaskakująco poprawną angielszczyzną.

–Chcesz powiedzieć, że nie pociągasz za spust, tylko mówisz im, gdzie oni mają pociągnąć!

–Nie biorę udziału – powtórzył mężczyzna. – Jestem rybakiem ale w dzisiejszych czasach trudno z tego wyżyć. Jak zarobię trochę pesos, wracam do mojej rodziny w

El Descanso.

–Chcesz zobaczyć się jeszcze ze swoją rodziną?

–Si, bardzo – odparł Chicano, przy czym drżały mu i usta, i ręce – Gdyby to się stało, już bym nie wrócił.

–Chcesz powiedzieć, że coś takiego nigdy dotąd nie miało miejsca? – Nigdy, senior.

–Więc skąd znalazłeś drogę?! – Kendrick starał się przekrzyczeć łoskot wiatru i łamiących się fal. Powoli odzyskiwał dech, stopniowo zdawał sobie sprawę z okrywającej go skorupy błota i z bólu wszystkich mięśni.

–Przywieziono nas tutaj i dano mapy wyspy, których mieliśmy się nauczyć w ciągu dwóch dni, inaczej odsyłano nas do domu.

–Po co? z powodu masowych egzekucji?

–Mówiłem już, że nie, senior. To są wody narkotyczne – narcoticos – bardzo niebezpieczne. Można szybko wezwać patrol meksykańskie i amerykańskie, ale i tak wyspa powinna być dobrze strzeżona. – "Szybko wezwać"?

–Właściciel ma wielkie wpływy,

–Nazywa się Grinell?

–Nie znam jego nazwiska, proszę pana. Znam tylko wyspę.

–Mówisz płynnie po angielsku. Czemu przedtem tak nie mówiłeś? Tu wskazał na martwego mafioso. Do niego?

–Powtarzam, ja w tym nie brałem udziału. Powiedziano mi, gdzie mam pana zaprowadzić i dopiero jak zaczęliśmy dochodzić do celu, zdałem sobie sprawę, o co chodzi... Nie brałem w tym żadnego udziału, senior. Ale ja mam rodzinę w El Descanso, a ludzie, którzy tu przybyli są bardzo wpływowi. Evan patrzył na niego w niezdecydowaniu. Byłoby łatwo, najłatwiej, przerwać jego życie i wyeliminować ryzyko, zarazem jednak, jeśli Meksykanin nie kłamał, tkwiło w tym ziarno nadziei. Kendrick wiedział, że tamten walczy słowami o swoje życie, ale w tę sprawę wchodziło jeszcze jedno życie, a to ułatwiało negocjacje. Zdajesz sobie sprawę – powiedział, przybliżając się do mężczyzny i mówiąc głośniej – że jeśli wrócisz do domu bez niego i on się nie pojawi, albo jeśli znajdą jego zwłoki, tutaj, lub tam, wyrzucone przez fale – zginiesz. Mam nadzieję, że z tego przynajmniej zdajesz sobie sprawę? Meksykanin dwakroć potaknął:

–Si.

–Ale jeśli ja cię nie zabiję, masz pewną szansę, prawda? – spytał Evan, unosząc pistolet mafiosa. Służący skinął potakująco. – A zatem w najlepszym interesie twoim i twojej rodziny w El Descanso leży sojusz ze mną, prawda?

–Si. Nagle Meksykanin szeroko otworzył oczy.

–Sojusz? Jaki sojusz?

–W wydostaniu się stąd – w ucieczce. W przystani na dole obok zbiornika na paliwo jest motorówka. Na tyle duża, że da się nią dopłynąć do lądu.

–Oni mają więcej motorówek. przerwał mu przewodnik katedy. – Pływają szybciej od motorówek kontroli antynarkotkowej, a na dodatek jest jeszcze śmigłowiec z silnymi reflektorami punktowymi. – Co takiego? Gdzie?

–Na dole, w pobliżu plaży, po drugiej stronie wyspy. Jest tam małe betonowe lądowisko... Czy jest pan pilotem, senior?

–Chciałbym być. Jak masz na imię?

–Emilio.

–Uciekniesz ze mną?

–Nie mam wyboru. Chcę się stąd wydostać i wrócić do domu, do(tm) mojej rodziny, i razem z nimi przenieść się do miasta w górach, Inaczej ja zginę, a oni umrą z głodu. – Ostrzegam, że jeśli będę miał najmniejszy powód, żeby przypuszczać, że kłamiesz, nigdy więcej nie zobaczysz ani El Descanso, ani swojej rodziny.

–To zrozumiałe.

–Stań obok mnie... Chcę jeszcze sprawdzić, jak się miewa mój kat. – Kto?

–Mój przyjacielski kat. Chodźmy! Mamy dużo pracy i niewiele czasu.

–Chodźmy do motorówki.

–Jeszcze nie – odpowiedział Kendrick, precyzując w myśli luźny z początku plan.

–Przewróćmy do góry nogami tę cholerną wyspę. Nie tylko ze względu na nas dwóch – dla dobra ogółu. Ogółu!... Czy jest tu gdzieś schowek na narzędzia, miejsce, w którym przechowuje się łopaty, kilofy, nożyce do żywopłotu i tego rodzaju rzeczy? – Mantenimiento – odparł Emilio. – Korzystają z niego ogrodnicy, ale nieraz i my musimy im pomagać.

–Zostaniemy tu jeszcze chwilę, a potem mnie tam zaprowadź – ciągnął Evan, niezgrabnie, cały obolały, cofając się do mafiosa. – Chodź!

–Musimy uważać, senior.

–Wiem, na strażników. Ilu ich jest?

–Po dwóch przy każdym z czterech zejść na plażę i przy molu. Razem dziesięciu na każdej warcie. Każdy ma nadajnik radiowy, którym może uruchomić sirenas – bardzo głośne syreny. – Ile trwa każda warta? – spytał Kendrick, pochylając się nad ciałem tajniaka. – Dwanaście godzin. Dwudziestu guardas i czterech jardinerosogrodników. Ci, co nie mają akurat warty, przebywają w tak zwanym "baraku". Jest to podłużny budynek na północ od głównej willi. – Gdzie są narzędzia?

–W blaszanym garażu jakieś pięćdziesiąt metrów na południe od generador.

–Od generatora?

–Si.

–Dobrze. Evan zabrał tajniakowi portfel i czarny plastikowy znaczek identyfikacyjny, po czym obmacał zabłocone kieszenie, znajdując ponad tysiąc franków – niewątpliwie nie z pensji pracownika państwowego. Wreszcie wyjął mały elektroniczny wyłącznik, zwalniający rygle i otwierający drzwi drewnianego domkuceli.Chodźmypowtórzył,wstając z trudem z miękkiej, wilgotnej ziemi. Ruszyli ścieżką, wyznaczoną żółtawymi lampami.

–Uno momento! – szepnął Emilio, – Lampy. Niech je pan załatwi, senior. Im ciemniej, tym lepiej dla nas.

–Dobrze rozumujesz – zgodził się Kendrick, wracając wraz z Meksykaninem do barierki. Poczynając od niej niszczyli systematycznie żarówki po obu stronach

ścieżki. Doszli w ten sposób do głównej alei wyspy, która w lewo prowadziła w dół, do przystani i motorówek, a w prawo w górę, ku głównej willi na szczycie wzgórza, z odnogą, prowadzącą do wiejskiego domku, z którego nie sposób uciec. Evan i Meksykanin pędzili od lampy do lampy, rozwalając je po kolei, aż dotarli do ścieżki, wiodącej do domku.

–Tędy! – wydał polecenie Kendrick, skręcając w prawo. – Mniejsza o lampy. Zajmiemy się nimi wracając.

–La cabana! Prędkiej! I znów dziwnie wzmocniona powódź światła, rozlewająca się z grubych szyb okiennych oświetlała łękę przed małym, ale solidnym domkiem. Evan podszedł do drzwi i nacisnął zielony guzik elektronicznego wyłącznika. Usłyszał, jak rygle cofają się w głąb framugi; nacisnął klamkę i wszedł. Chodź tutaj – zawołał do Emilia. Meksykanin wszedł, Kendrick zamknął drzwi, po czym czerwonym guzikiem przesunął rygle. Pobiegł do wnęki kuchennej i pootwierał wszystkie szuflady i szafki, wybierając rzeczy, które mogły się mu przydać: latarkę, duży nóż i kilka scyzoryków, toporek do mięsa, trzy puszki oliwy, paliwo turystyczne, pudełko zapalek sztormowych – oblanych parafiną, zapalających się od potarcia o szorstką powierzchnię wreszcie kilkanaście złożonych ręczników. Złożył to wszystko na owalnym stole, po czym zerknął na Meksykanina, który mu się przyglądał. Wziął jeden ze scyzoryków, otworzył go i podał swemu współnikowi.

–Mam nadzieję, że nie będziesz go musiał użyć, jeśli jednak do tego dojdzie, dobrze celuj.

–Niektórych z nich nie zabiłbym bez próby porozmawiania, bo są to tacy sami biedacy jak ja, chwytający się wszelkiej pracy. Ale z innymi, z tymi, którzy są tu najdłużej, nie miałbym takich skrupułów. – Do cholery z twoimi skrupułami! Jeśli choćby jeden z nich uruchomi alarm...

–Moi przyjaciele nie włączą alarmu, senior, jeśli będą wiedzieli, że to ja, Emilio. Poza tym w tej chwili większość śpi w baraku. Na nocne patrole biorą zwykle vetemos, z obawy przed motorówkami. – Obyś miał rację.

–Proszę mi wierzyć, że chcę wrócić do domu.

–Weź część ręczników, trochę paliwa i zapalek. Prędkiej! Sam wziął resztę rzeczy i poupychał je po kieszeniach, na koniec zostawiając toporek. Z ostrym przedmiotem w ręce podszedł do wewnętrznego telefonu. Stał z boku, zamierzył się i jednym ciosem odrąbał aparat od ściany, niszcząc przewody. Zajmij się tamtymi lampami – powiedział do Meksykanina. Porozwalaj je, a ja zrobię to samo z oświetleniem piecyka i z lampami po drugiej stronie pokoju. Nie minęła minuta, jak dwaj gotowi na wszystko uciekinierzy byli znów na ścieżce. Jasny uprzednio trawnik przed domkiem pogrzył się teraz w złowieszczym mroku.

–Narzędzia, narzędzia ogrodnicze. Przynies je tutaj.

–Con mucho cuidado! Musimy uważać, przechodząc koło willi. Będziemy niszczyć lampy tylko do pewnego miejsca. Ci, co są wewnątrz mogą z drugiego piętra zauważyć, że lampy się nie palą i wszcząć alarm. Gdyby pojawił się patrol, ja mu się najpierw przyjrzę. Chodźmy. Są zajęci swoimi sprawami, ale prędkiej czy później ktoś się zainteresuje, czemu nie wrócił mój kat. Rozbijali żółtawe lampy, aż doszli do

ostatniego wzniesienia, za którym zaczynał się płaski teren na tym samym poziomie, co parter sporego wiejskiego domu – wręcz olbrzymiej willi, pomyślał Kendrick, wspominając inne domostwa strefy tropikalnej i rejonu karaibskiego. Meksykanin nagle złapał go za ramię i pociągnął w krzaki, potem szarpnął jego ręką w dół, mocno ją ściskając. Informacja była jasna: kucnąć i zachować ciszę. Strażnik ze strzelbą przewieszoną przez plecy minął ich, idąc ścieżką w przeciwnym kierunku. Teraz szybko, senior! Nie ma nikogo aż do tylnej galerii, gdzie pije się wino i wędzi ryby. Duże patio z urządzeniami piknikowymi, pomyślał Evan, idąc za Emilio przez gęstą zieleń; żałował, że nie ma maczety, którą mógłby porąbać chaszczę, a zarazem wdzięczny był losowi za wszechobecny szum wiatru i łoskot rozbijających się fal. Kiedy obchodzili willę, dobiegł ich także inny dźwięk. To brzęczał potężny generator. Kendrick inżynier starał się oszacować moc wytwarzanego prądu, ilość zużywanego paliwa i rozmiar dodatkowego źródła energii w postaci baterii fotoelektrycznych – przekraczało to ludzkie pojęcie. Sam instalował generatory od Bahrajnu po pustynie zachodniej Arabii Saudyjskiej, ale były to urządzenia tymczasowe, stosowane do wzbudzenia prądu, a nie coś takiego jak tu. Meksykanin znów złapał go za ramię, tym razem mocniej, przy czym ręka mu drżała, i znów przykucnęli w krzakach pod długim żywopłotem. Kendrick spojrzał w górę i nagle ze zgrozą zrozumiał. Nad nimi, nieco z lewej, nad otaczającym ścieżkę żywopłotem, jeden ze strażników zobaczył coś właśnie lub usłyszał. W żółtawym świetle lamp górna połowa jego ciała rysowała się wyraźnie; zrobił szybki krok do przodu, zdejmując strzelbę z pleców i mierząc z niej. Szedł prosto na nich, oddalony o parę metrów, lufą dźgał w krzaki. Quien es? – spytał strażnik. Nagle, podrywając się i skacząc jak wściekły kot, Emilio runął na niego, chwycił strzelbę i pchnął strażnika na ziemię. Ostry świst powietrza przerwał rodzący się krzyk; strażnik padł na trawę, krew buchała mu z szyi. Emilio w prawej ręce trzymał scyzoryk. – Dobry Boże! – szepnął Evan, pomagając Meksykaninowi zatańczyć trupa w krzaki.

–Nie miałem skrupułów z tym perro! – powiedział Emilio. – Ten pies rozwalił głowę młodemu chłopcu, pomocnikowi ogrodnika, który nie chciał mu zrobić wygody, wie pan, senior.

–Wiem, wiem także, że przed chwilą uratowałeś nam życie... Chwileczkę! Strzelba i czapka. To nam zaoszczędzi trochę czasu. Oni nie noszą mundurów, tylko robocze ubrania – broń zastępuje mundur. Włóż jego czapkę i przewieś sobie strzelbę przez ramię. Pójdiesz ścieżką, a ja się będę trzymał jak najbliżej. Jak sprawdzisz, że nikogo nie ma, będę też mógł iść ścieżką.

–Bueno zgodził się Meksykanin, sięgając po czapkę i broń. Jeśli mnie ktoś zaczepi, powiem, że ten perro zmusił mnie, żebym go zastąpił przez jakąś godzinę. Będą się śmiali, ale uwierzą... Idę. Niech pan się trzyma w pobliżu, a jak panu powiem, proszę przejść przez krzaki i iść obok mnie ścieżką. Nie przede mną ani za mną, tylko obok mnie. Czy pan zna hiszpański?

–Nie na tyle, żebym się odważył coś powiedzieć. Więc niech pan milczy. Proszę się trzymać w pobliżu. Emilio przedarł się przez żywopłot i ruszył ścieżką, ze strzelbą na plecach. Kendrick starał się dotrzymać mu kroku, przedzierając się przez

chaszczę, ale raz po raz musiał szeptem prosić Meksykanina, żeby zwolnił. W pewnym szczególnie gęsto zarośniętym miejscu wyciągnął zza pasa toporek do mięsa i rąbał splątana masę tropikalnych pnączy, aż usłyszał, jak Emilio woła z cicha: Silencio! Po chwili dobiegła go kolejna wskazówka: Teraz, senior] Proszę wyjść i iść obok mnie. Prędszej! Kendrick posłuchał go, przedzierając się przez krzaki, aż dobrnął do Meksykanina, który nagle zaczął przyspieszać kroku na pochyłej ścieżce. – Czy to dobry pomysł iść tak szybko? – spytał zdyszany Evan. Jeżeli nas ktoś zobaczy, może pomyśleć, że biegamy w czasie warty. – Doszliśmy na tyły willi – odparł Emilio, nie zwalniając kroku. – O tej porze nie ma tu nikogo, oprócz dwóch strażników na dwóch różnych ścieżkach, którzy spotykają się na kamiennej galerii, po czym obchodzą wzgórze i schodzą na plażę. Zabiera im to sporo czasu, a właśnie wyruszyli. Możemy przebiec galerię i wspiać się tamtą ścieżką do mantenimiento – po narzędzie, senior. Doszli do ceglanego patio, tego samego, które Kendrick oglądał badawczo z balkoniku w pokoju gościnnym. Przypomniał sobie strażników, wymieniających sygnały z dwóch przeciwległych ścieżek. Meksykanin, który teraz wyraźnie objął komendę, chwycił Evana za ramię i wskazał mu kierunek w lewo, po czym puścił się biegiem. Wpadli na patio, które okazało się dużo większe, niż Kendrick przypuszczał – rozciągało się na całą długość domu, a pośrodku stały białe metalowe fotele i duże ceglane palenisko do barbecue. Biegli wzdłuż domu, pod balkonami, potem przecięli patio i posuwali się w górę, na południe, oświetloną żółtawymi lampami ścieżką, aż do płaskiego terenu porośniętego wokół wysoką trawą. Był to rodzaj szańca, z którego rozciągał się widok jakieś dwieście metrów niżej – na ocean i dwie plaże, przedzielone skalistym odcinkiem wybrzeża, Żółtawe światła mieli teraz za plecami, a przed sobą tylko ostro spadającą w dół dróżkę. Z tego eksponowanego punktu widać było w księżycowej poświacie sporą część tylnej strony wyspy. Bezpośrednio z prawej strony, nie dalej niż o trzysta metrów, znajdował się olbrzymi generator, spowity smugami światła. Za siatką ogrodzenia majaczyły kontury długiego, niskiego budynku, który Emilio nazywał barakiem, domyślił się Evan. Dużo niżej, tuż nad poziomem plaży, niczym pękata latarnia morska, sterczała betonowa platforma, na której stał spory śmigłowiec wojskowy, przemalowany na barwy cywilne, z meksykańskimi znakami rozpoznawczymi, ale kiedyś niewątpliwie stanowiący wyposażenie armii amerykańskiej. Chodźmy! – szepnął Emilio. – I niech pan nic nie mówi, bo po tej stronie wyspy głos się rozchodzi. Meksykanin ruszył w dół nie oświetloną dróżką, wyciętą w krzakach, leśną alejką, której używano tylko za dnia. I wtedy, myśląc o słowach swego kompana, Kendrick zorientował się, czego mu brak. Świst wiatru i łoskot rozbijających się fal ucichły prawie zupełnie – na tym cichym i spokojnym terenie głosy niosłyby się daleko, a śmigłowiec mógł tu manewrować bez żadnych przeszkód. Błaszany "garaż", jak go nazwał Emilio, rzeczywiście odpowiadał opisowi, tyle że był dużo większy od innych garaży jakie Kendrickowi zdarzyło się oglądać, może z wyjątkiem przesadnie dużych, sterylnych, wyściełanych konstrukcji, skrywających rozmaite limuzyny arabskiej rodziny królewskiej. W odróżnieniu od nich ten był dużą bryłą z blachy falistej, która kryła kilka traktorów, kosiarki do trawy, piły łańcuchowe i

maszynki do strzyżenia żywopłotów – nic z tego nieprzydatne w tej chwili ze względu na hałas. Na bocznej ścianie jednak, i u jej podnóża, znaleźć można było nieco bardziej przydatne przedmioty. Stał tam rząd kanistrów z benzyną, i wisiały, na hakach oraz pomiędzy gwoździami, siekiery, topory, kosy, przecinaki do drutu kolczastego na długich rączkach, maczety oraz składane sekatory – wszelkie narzędzia, jakie mogą być przydatne do powstrzymania tropikalnej zieleni przed zbyt szybkim rozrostem. Decyzje były instynktowne i proste. Toporek do mięsa ustąpił siekierom i maczetom – po jednej dla każdego. Do tego doszły przecinaki drutu, jeden pełen kanister benzyny oraz trzymetrowy obcinacz gałęzi. W kieszeniach pozostała reszta rzeczy, zabranych z domku. – Śmigłowiec! powiedział Kendrick.

–Jest ścieżka, która łączy się z aleją północną i z południową poniżej generatora. Prędeż! Strażnicy musieli już dojść do plaży i teraz będą wracali. Wybiegli z magazynu ogrodniczego i ruszyli pierwszą ścieżką, mając ekwipunek przytroczony paskami bądź niosąc go w rękę i pod pachami. Emilio prowadził, przedarli się do pasa wysokiej trawy i skręcili w wąską ścieżkę, wiodącą ku stromemu wzgórz. Ciganillo! – szepnął Meksykanin, cofając Evana w wysoką trawę. Żarzący się ogień papierosa rozbłysł, kiedy wspinający się pod górę strażnik minął ich w odległości dwóch metrów.

–Teraz! – zawołał półgłosem Emilio, kiedy postać strażnika znikła za krawędzią wzgórza. Pochyleni, przebiegli do północnej alei, a ponieważ nie było widać drugiego patrolu, zeszli na pobocze i poczęli schodzić w kierunku lądowiska. Potężny przemalowany helikopter wojskowy stał jak niemy potwór, gotów zmiażdżyć wroga, gdyby tylko widział po ciemku. Grube i ciężkie łańcuchy były owinięte wokół pachołków, a ich końce zatopiono w betonie; nawet najsilniejszy sztorm nie byłby w stanie zwalić śmigłowca z miejsca, musiałyby go chyba rozwalić na kawałki. Kendrick podszedł do wielkiej maszyny, podczas gdy Emilio został na skraju platformy, wyczekując powrotu patrolu, gotów w każdej chwili ostrzec Amerykanina. Evan oglądał helikopter pod jednym tylko kątem: jak go unieruchomić, nie powodując hałasu, który by się rozszedł po spokojnej części wyspy. Nie mógł niestety posłużyć się latarką – w ciemności snop światła mógłby go zdradzić... Kable. Na górze pod śmigłem i w części ogonowej. Przytrzymując się najpierw klamki drzwi, a następnie framugi okienka, podciągnął się aż pod deskę rozdzielczą, z przecinakiem do drutu wystającym z kieszeni. W parę chwil przeczołgał się po wypukłej szybie kabiny pilota na szczyt kadłuba, po czym ostrożnie, na czworaka, przedostał się do wirnika. Wyciągnął przecinak, uniósł się i w ciągu trzech minut poprzecinał te kable, które udało mu się dostrzec w nocnej poświacie. Gwizd był krótki i ostry! To znak Emilia. Strażnik zszedł ze wzgórza i za parę minut dojdzie do lądowiska. Kendrick jako inżynier nie był z siebie zadowolony. Czy na dobre unieruchomił śmigłowiec, czy tylko trochę go uszkodził? Powinien jeszcze dostać się do części ogonowej; tam mieścił się zapasowy mechanizm (w naszej zmechanizowanej erze każde urządzenie latające ma kilka systemów awaryjnych na wypadek kłopotów w trakcie lotu). Przeczolgał się po korpusie, tak szybko, jak to było możliwe bez ryzykowania utraty równowagi i upadku na biały beton z wysokości kilku metrów. Dotarł do ogona i nic

nie mógł znaleźć, wszystko było osłonięte metalem., nie, nie wszystko! Siedząc okrakiem na śliskim kadłubie i przytrzymując się ogona wymacał dwa grube jak liny kable, prowadzące do prawego statecznika poziomego. Pracował wściekle, pot lał mu się z czoła i spływał po metalowym cielsku, wreszcie poczuł, że przecinak drutu spełnił swoje zadanie i żyłki górnego kabla rozprysły się wokół. I nagle rozległ się głośny trzask – zbyt głośny, potężny wystrzał w nocnej ciszy – i cała ażurowa podstawa stabilizatora opadła w dół. Udało się – unieszkodliwił system awaryjny. Tupot! Krzyki z dołu!

–Que cosa? Que dese"! Pod ogonem helikoptera stał na betonowej płycie strażnik, celując ze strzelby do Evana, a równocześnie lewą ręką sięgając po przypięty do pasa radiowy sygnalizator alarmu.

* * *

Rozdział 42

Nie można do tego dopuścić! Zdawało się, że Kendrick całkiem stracił równowagę i kontrolę nad swoimi ruchami, kiedy ześlizgując się z ogona rozpostarł szeroko ręce, ciskając przecinakiem do drutu w kolbę strzelby. Strażnik zawył z bólu, kiedy uderzenie wyrwało mu broń z rąk, ale jego krzyk nie zdążył osiągnąć niebezpiecznego natężenia, kiedy Emilio dopadł go, obuchem siekiery waląc w czaszkę. – Może się pan ruszać? szeptem spytał Meksykanin Evana. – Musimy stąd uciekać, i to szybko! Drugi strażnik zaraz zajdzie nam drogę z tamtej strony. Wijący się z bólu na twardym betonie Evan pokiwał głową i z trudem wstał, biorąc przecinak oraz strzelbę strażnika.

–Zabierz go stąd – powiedział, ale zaraz sobie uświadomił, że wcale nie musi wydawać poleceń: Emilio właśnie taszczył ciało nieprzytomnego strażnika w wysoką trawę, okalającą lądowisko. Kulejąc, odczuwając dojmujący ból w lewym łokciu i w prawym kolanie, Kendrick podążył za nim.

–Popełniłem błąd – szepnął Meksykanin, kiwając z troską głową. – Mamy tylko jedną szansę... Widzę, jak pan idzie. Nie uda nam się dostać do przystani i do motorówek, zanim drugi strażnik zorientuje się, że jego companiero przepadł. – Tu Emilio pokazał na swego nieprzytomnego rodaka. – W ciemności ja muszę być nim i podejść tak blisko, jak się da, żeby mnie nie rozpoznał.

–Najpierw zawoła i spyta, co się stało.

–Poszedłem w krzaki za potrzebą i w pośpiechu skaleczyłem się o skalny odłamek. Będę kulał tak jak pan i zaproponuję mu, żeby zobaczył, jak krwawię.

–Poradzisz sobie?

–Módlmy się do Maryi, żebym sobie poradził. Inaczej obaj zginiemy. Meksykanin wstał i przerzucił strzelbę przez ramię.

–Mam tylko jedną prośbę – dodał. – Ten guarda nie jest złym człowiekiem, poza tym ma rodzinę w El Suazal, gdzie w ogóle nie ma pracy. Proszę mu związać ręce i nogi i zakneblować usta jego ubraniem. Nie mogę go zabić.

–Czy wiesz, kim jest drugi strażnik? – spytał twardo Evan. – Nie.

–A jeśli i tamtego nie będziesz mógł zabić?

–Czy to taki problem? Jestem silnym rybakiem z El Descanso, gdzie właściciele

łodzi rybackich poszukują pracowników. Mogę go sam związać – albo wezmę drugiego companiero do pomocy. Do tego wszakże nie doszło. Kulejący Emilio nie zdążył dojść alejki, prowadzącej z lądowiska w głąb wyspy, kiedy nadbiegł strażnik południowego odcinka. Kiedy obaj znaleźli się w zasięgu głosu, dała się słyszeć krótka wymiana zdań po hiszpańsku, po czym jeden z dwóch mężczyzn nagle zaczął coś wołać, ale nie był to rybak z El Descanso. Nastąpiła nagła cisza, po czym wrócił Emilio.

–Nie ma companiero – stwierdził Kendrick, nie zadając pytań. – Ten wykrętny rata powiedziała, że jego własna matka była kurwą, gdyby mu za to policja zapłaciła.

–"Powiedziała" w czasie przeszłym? No comprende.

–Nie żyje?

–Nie żyje i leży w trawie. A zatem mamy prawie pół godziny, zanim na wschodzie zrobi się jasno.

–Więc chodźmy... twój przyjaciel jest związany.

–Do przystani?

–Jeszcze nie, amigo. Zanim się tam dostaniemy, musimy jeszcze coś zrobić.

–Proszę pana, niedługo zrobi się jasno!

–Jeśli dobrze tę rzecz wykonam, za chwilę zrobi się jeszcze jaśniej. Weź benzynę i obcinak do gałęzi. Ja już nie dam rady więcej dźwigać. Krok po kroku Evan stękając z bólu wspinał się za Meksykaninem, aż doszli do olbrzymiego, otoczonego siatką generatora, którego basowy szum atakował ich uszy, wprawiając je w bolesne drżenie. Wszędzie wisiały znaki "Peligro! – Uwaga!", a jedyne wejścia broniły dwie potężne zasuwki, które najprawdopodobniej otwierają się po jednoczesnym włożeniu dwóch kluczy. Kuśtykając w możliwie najmroczniejszych miejscach, Kendrick wydawał polecenia, podając Meksykaninowi przecinak.

–Zacznij tutaj – mam nadzieję, że jesteś tak silny, jak twierdzisz. Drut jest dość gruby. Wytnij przejście, wystarczy metr.

–A pan, senior"!

–Muszę się trochę rozejrzeć. Znalazł! Trzy metalowe krążki, przyśrubowane do betonu w odległości co dziesięć metrów, trzy olbrzymie zbiorniki, cysterny na paliwo, wspomagane dodatkowo bateriami fotoelektrycznymi, które jednak w tej chwili go nie obchodziły. Żeby otworzyć taką klapę trzeba mieć specjalny sześciokątny klucz z długimi poprzeczkami i po dwóch silnych mężczyzn do każdej poprzeczki. Był jednak inny sposób, Evan poznał go przy zbiornikach pustynnych w Arabii Saudyjskiej. Stosowano ten sposób wtedy, gdy karawana ciężarówek z paliwem zapomniała narzędzi, co na pustyni Dżabalu zdarzało się często. Każda pozornie nienaruszalna tarcza miała u góry czternaście otworów, podobnie jak klapy kanałów w większości miast Ameryki – tylko znacznie mniejszych. Uderzając delikatnie młotkiem w kierunku przeciwnym wskazówkom zegara można obluzować okrągłe tarcze, a następnie palcami rozkręcić śruby. Kendrick wrócił do Emilia i do ogłuszającego generatora. Meksykanin wyciął już dwie równoległe linie i zaczynał ciąć poprzeczną, tuż nad ziemią.

–Pójdiesz ze mną! krzyknął tamtemu do ucha. Masz siekierę? – Pues si. Jasne.

–Ja też. Kendrick przyprowadził Emilia do pierwszego zbiornika i pokazał mu, jak przyniesionymi z domku ręcznikami tłumić ciosy zadawane obuchem siekiery.

–Delikatnie – krzyczał. – Każda iskra może spowodować wybuch oparów, comprende?

–Nie, senior.

–Może i lepiej, że nie rozumiesz. Zaczynamy. Jeden po drugim. Nie tak mocno...

Ruszyło!

–Teraz mocniej?

–Nie, na litość boską! Delikatnie, amigo. Jakbyś kruszył diament. – Nigdy nie lubiłem...

–Polubisz, jak się stąd wydostaniemy... Jeszcze! Puściło! Teraz odkręć śruby do końca i zostaw pokrywę na miejscu. Podaj mi ręczniki.

–Po co?

–Wytlumaczę ci to, jak mnie przeprowadzisz przez otwór, który wycinasz w siatce.

–To potrwa...

–Masz około dwóch minut, amigo!

–Madre de Dios!

–Gdzie postawiłeś benzynę? Kendrick podszedł bliżej, żeby go wspólnik dosłyszał. Tam! – odpowiedział Meksykanin, pokazując na lewo od miejsca, w którym wycinał otwór. Przykucnąwszy w cieniu, Kendrick mimo bólu wiązał ręczniki, naciągając węzły, żeby mieć pewność, że nie puszczą, aż uzyskał trzymetrową linę. Pojękując z bólu, otworzył kanister z benzyną i nasączył nią związane ręczniki, wyzymając je niczym pranie. Po chwili miał trzymetrowy lont. Kolano go piekło, łokieć puchł w zastraszającym tempie, mimo to Evan podczołgał się do zbiornika z paliwem, ciągnąc za sobą ręczniki. Z wysiłkiem podniósł żeliwną przykrywą, wepchnął do środka około metra lontu i nierówno przykrył zbiornik, zostawiając swobodny dopływ powietrza do wnętrza. Wycofując się, wciskał kolejne odcinki lontu w ziemię, przysypując je piachem, ale nie za grubo, tyle tylko, żeby zwolnić postęp płomienia od punktu startu do kontaktu z oparami paliwa. Umocowawszy w ten sposób wszystkie ręczniki, wstał – zastanawiając się przez chwilę, jak długo jeszcze będzie się trzymał na nogach – i pokuśtykał do Emilia. Meksykanin zwijał właśnie wyciętą siatkę i mocował ją, żeby odsłonić dostęp do potężnej, błyszczącej maszynierii, która przekształcała energię mechaniczną w elektryczność.

–Wystarczy – powiedział Kendrick, pochylając się nad uchem Emilia. – Teraz słuchaj uważnie, i przerwij mi, gdybyś czegoś nie rozumiał. Od tej chwili wszystko zależy od zgrania w czasie – coś się stanie i my coś zrobimy. Comprendre"?

–Si. Znajdziemy się w innych regionach...

–Coś w tym rodzaju. Evan sięgnął do kieszeni swojej pokrytej skorupą błota marynarki i wyciągnął latarkę. Weź to – mówił dalej, kiwając głową w stronę dziury w płocie. Ja pójdę tamtędy i dalibóg mam nadzieję, że wiem, co mam robić – te rzeczy trochę się pozmiały odkąd sam takie instalowałem – ale w najgorszym razie po prostu wyłączę generator. Może być przy tym trochę hałasu i wielkie iskrzenie...

–Como?

–Coś jakby krótkie błyskawice, a hałas... jak trzaski w radiu, rozumiesz?

–Nie wystarczy...

–Nie wystarczy. Nie podchodź do siatki, w żadnym wypadku jej nie dotykaj, a jak usłyszysz pierwsze wyładowania, odwróć się i zamknij oczy... jak sprawa pójdzie dobrze, wyśiądą wszystkie światła, a wtedy oświetl mi latarką dziurę w ogrodzeniu, dobrze?

–Dobrze. Jak już będę po tej stronie, poświeć w to miejsce. Kendrick wskazał na końcówkę lontu z powiązanych ręczników, leżącą na ziemi.

–Miej strzelbę na ramieniu i drugą dla mnie w pogotowiu... Czy masz tę czapkę, którą zabrałeś pierwszemu strażnikowi? Jeśli masz, to mi ją daj.

–Si Proszę. – Emilio wyjął czapkę z kieszeni i wręczył ją Evanowi, który nakrył głowę.

–Kiedy przedostanę się przez siatkę, podejść tutaj, zapalę zapalniczkę i podpalę lont. W tej samej chwili uciekamy stąd na drugą stronę drogi, comprende?

–Rozumiem, senior. Na łąkę po drugiej stronie. Chowamy się. – Chowamy. Przedzieramy się przez łąki w górę wzgórza, a kiedy inni ludzie zaczną uciekać, przyłączymy się do nich.

–Como?

–Dwudziestu paru pracowników – odparł Kendrick, przeszukując kieszenie. Dwie puszcзки paliwa turystycznego przełożył do kieszeni spodni, po czym zdarł z grzbietu marynarkę, a z szyj krawat. – W ciemności będziemy tylko dwoma spośród nich. Musimy się przedostać przez szczyt wzgórza do przystani. Mamy dwie strzelby i Colta kaliber 0.45 cala.

–Rozumiem.

–Zaczynamy – powiedział Evan, sięgając niezgrabnie po obcinacz do gałęzi z gumowaną rączką oraz maczetę. Precyzyjnie przecisnął się przez otwór, który wyciął Emilio i wyprostował się, oglądając badawczo brzęczącą, groźną maszynę. Niektóre rzeczy się nie zmieniły, nigdy się nie zmieniają. Z lewej strony u góry, przynitowany do pięciometrowego smołowanego słupa, znajdował się główny transformator z bocznikami przekazującymi prąd do różnych odgałęzień kablami w gumowych osłonkach grubych na pięć centymetrów, żeby zapobiec przedostaniu się wody – deszczu lub wilgoci powietrza – co mogłoby spowodować zwarcie obwodu. Na wysokości trzech metrów, ustawione ukośnie do dwóch czarnych, przysadzistych prądnic, wariacko wirowały rotory na kołach zamachowych, zmieniając pola energetyczne. Oślaniała je siatka przewodów, chłodziło je powietrze, mające tutaj swobodny dostęp. Później przyjrzy się im dokładniej. Najpierw to, co najważniejsze, pomyślał, idąc w lewo i rozciągając składany obcinacz do gałęzi na całą długość. Nad głową w niebieskawej elektrycznej poświacie ujrzał, jak zębate szczęki długiego narzędzia zaciskają się na górnym kablu, i tak jak to przedtem uczynił przecinakami do drutu na kadłubie helikoptera, pracował pilnie obcinakiem, aż zawodowy instynkt podpowiedział mu, że niemal dotarł do pierwszej warstwy miedzianego przewodu. Delikatnie oparł swój długi przyrząd o siatkę ogrodzenia i powrócił do dwóch

głównych prądnic. Gdyby chodziło mu tylko o zwarcie systemu energetycznego wyspy, wystarczyłoby ciąć głębiej, ściskając osłonięte gumą rączki obcinacza i doprowadzić do spięcia, dotykając metalową częścią tkwiącego w miedzianym przewodzie narzędzia do siatki ogrodzenia. Nastąpiłby krótki wybuch i skończyłby się na wyspie prąd. Chodziło jednak o coś więcej. Musiał liczyć się z możliwością, że ani Emilio ani on nie przeżyją, a uszkodzony transformator da się w parę minut naprawić. Musiał zrobić coś więcej: zadać cios systemowi. Nie mógł wiedzieć, co się dzieje w San Diego, musiał siłom Paytona dać czas, w takim stopniu uszkadzając maszynę, że nie tyle naprawa, ile wręcz wymiana będzie trwała parę dni. Tę obwarowaną wyspę, tę siedzibę rządu w rządzie, należało unieruchomić, odciąć od świata, pozbawić środków łączności i komunikacji. Transformator był dla niego właściwie zapasowym wyjściem, mniej pożądanym rozwiązaniem, które jednak także trzeba było na wszelki wypadek przygotować. Teraz wszystko stało się już tylko kwestią czasu! Podszedł do prądnicy, ostrożnie przyglądając się wielkiemu kołu zamachowemu. Pozioma przestrzeń, szeroka na jakiś centymetr, oddzielała górną i dolną drucianą kratę, zabezpieczającą wirujące wewnątrz przed wpadaniem przedmiotów z zewnątrz. Miał nadzieję, że znajdzie taką przestrzeń, lub podobną, przez wzgląd na maczetę. Podzespoły wszystkich prądnic mają, ze względu na wentylację, podobne niezmiernie wąskie szpary, pionowe lub poziome ta należała do niego. Albo należała do niego, albo on należał do niej – w śmierci; jedno potknięcie oznaczało natychmiastowe porażenie prądem wysokiego napięcia, a nawet gdyby uniknął śmierci od tysięcy woltów, eksplozje białej elektrycznej światłości oślepiłyby go, jeśli by nie odwrócił się w porę, mocno zaciskając oczy. Ale jeśli by mu się powiodło, główny generator wyspy nadawałby się do wymiany. Czas... czas może się okazać ostatnią rzeczą, jaką będzie mógł ofiarować. Wyciągnął maczetę zza pasa, a pot spływał mu po twarzy mimo wiatru, wzbudzanego przez koło zamachowe, kiedy centymetr po centymetrze przybliżał ostrze do poziomej szpary... Cały dygotał, więc wycofał maczetę, żeby opanować drżenie rąk. Nie mógł dotknąć ani jednego ani drugiego brzegu wąskiej szczeliny! Spróbował raz jeszcze, wprowadzając ostrze na dwa centymetry, potem pięć, potem osiem... wreszcie wepchnął ciężką maczetę do środka, odrywając dłonie od rękojeści zanim ostrze dotknęło metalu i rzucił się na ziemię, zakrywając ręką twarz, a zwłaszcza oczy. Seria wyładowań elektrycznych działała ogłuszająco, a białe oślepiające światło mimo szczelnie zaciśniętych oczu unicestwiała nocny mrok. Ale koło zamachowe nie stanęło! Przeżuwało prymitywny metal maczety, rzygając piorunami frankensteinowskich ładunków elektrycznych, plując nimi na oślep z wielką mocą w siatkę ogrodzenia. Kendrick zerwał się, osłaniając oczy i ostrożnie, krok za krokiem wycofał się do obcinacza gałęzi, którego zębate szczęki nadal tkwiły w głównym przewodzie transformatora. Złapał mocno gumowe rączki i ścisnął je desperacko, aż potężne szarpnięcie rzuciło go na ziemię. Cały system generatora oszalał, jakby jego elektryczni mieszkańcy wściekli się z powodu interwencji zwykłego człowieka w jego przewyższające go wynalazki. Pogasły wszystkie światła, ale nadal trwały oślepiające, chaotyczne, nieprzewidywalne wyładowania elektryczne w otoczonej płotem śmiercionośnej

pułapce. Musi się stąd wydostać! Czołgając się na brzuchu, pracując rękoma i nogami niczym superszybki pająk, dostał się do otworu w ogrodzeniu, wiedziony światłem latarki. Gdy tylko mógł się wyprostować, Emilio wcisnął mu do ręki strzelbę.

–Zapałki! – krzyknął Evan, nie będąc w stanie szukać swoich; Meksykanin podał mu je, równocześnie oświetlając latarką ostatni ręcznik. Kendrick kulejąc podbiegł do lontu, przywarł do ziemi; i potarł kilkoma zapałkami o kamień. Kiedy się zajęły, rzucił je na ostatni ręcznik; ogień rozpalił się i powędrował w swą ostatnią drogę, wolno, opornie, niczym ogieniek na bagnie. Prędko! – ponaglił Emilio, pomagając Evanowi wstać i prowadząc go, nie ścieżką do drogi, tylko prosto w wysokie trawy... Wielu ludzi wybiegło z willi i teraz zbiegają na dół! Pronto, senior! Biegli, dosłownie nurkując w trawie, podczas gdy grupa wystraszonych mężczyzn, przeważnie uzbrojonych w strzelby, zbliżała się osłaniając oczy do oślepiająco jasnego, wybuchiającego generatora. W tym zamieszaniu Kendrick i Meksykanin przedarli się przez łąki położone poniżej ogarniętych paniką ludzi. Dotarli do drogi, kiedy kolejna grupa równie zdezorientowanych mężczyzn wybiegła z długiego, niskiego budynku, zwanego barakiem. Byli przeważnie nie poubierani, niektórzy w bieliźnie, przy czym liczni zdradzali objawy nadużycia alkoholu.

–Posłuchaj! – szepnął Evan Meksykaninowi do ucha. – Wyjdziemy teraz ze strzelbami na plecach i pójdziemy drogą... Krzycz po hiszpańsku, jakbyśmy wykonywali czyjeś polecenia. Ruszamy! – Traenes aqua! – wrzasnął Emilio, kiedy wyskoczyli z trawy i przyłączyli się do ogłupiałego, głośnego tłumku ludzi z baraku. – Aqua! Traenes aqua! Przebili się przez kłębowisko podekscytowanych ciał po to tylko, żeby się natknąć na przestraszoną ekspedycję z willi, której część tylko poszła ostrożnie w stronę zamierającej, dymiącej i parszającej maszynerii, która jeszcze przed chwilą stanowiła na wyspie główne źródło energii. Ciemność była przeraźliwa, demonizmu przydawały jej opętańcze krzyki, rozlegające się zewsząd w księżycowej poświacie. Nagle z góry, z willi, dobiegły snopy światła.

–Alejka! – zawołał Kendrick. – Biegnijmy do głównej alejki, która prowadzi do przystani. Na miłość boską, prędeż! Lada chwila zbiornik wyleci w powietrze i wszyscy rzucają się do łódek! – To z tamtej strony. Musimy przebiec galerią.

–Cholera, oni będą w oknach, na balkonach!

–Nie ma innej, równie szybkiej drogi.

–Chodźmy! Drogę, po której dotąd biegli, zastąpiła brukowana ścieżka, jeszcze pół godziny temu otoczona dwoma rzędami żółtawych lamp. Kendrick słaniał się z bólu. Wbiegli na patio, pędząc przez ceglana nawierzchnię ku schodkom wiodącym do głównej alei. Stać! – zawołał silny głos, kiedy spadł na nich z góry silny snop latarki. – Dokąd biegniecie... Na litość boską, to ty! Evan spojrzał do góry. Tuż nad nim, na małym balkoniku, na którym on sam stał ledwie przed godziną, ujrzał potężnego żeglarza. W jego ręce widać było pistolet wycelowany prosto w Kendricka. Evan wystrzelił w tej samej chwili, co żeglarz. Poczuł, jak straszliwie gorąca kula wbija mu się w lewe ramię, obalając go na ziemię. Wypalił znów i znów, a olbrzym na balkonie złapał się za brzuch, wrzeszcząc ze wszystkich sił: To on! To Kendrick!... zatrzymajcie sukinsyna, natychmiast! Ucieka do przystani! Kendrick

wycelował starannie i strzelił po raz ostatni. Wielki mężczyzna chwycił się za gardło, wygiął kark, po czym runął przez barierkę wprost na ceglane patio. Evanowi kleiły się oczy; kręciło mu się w głowie. Nie, senior! Musi pan biec! Niech pan wstanie! Kendrick poczuł, że tamten wyciąga mu ręce ze stawów i bije go raz po raz po twarzy.

–Albo biegnie pan ze mną, albo pan umrze, a ja na pewno nie umrę z panem! Moi bliscy są w El Descanso.

–Co? – zawołał Evan, nic nie mówiąc, na nic się nie godząc, ale starając się rozmawiać, kiedy obłoki trochę się przerzedziły. Ramię go piekło, krew spływała po koszuli, wstał i chwiejnym krokiem ruszył w stronę schodków. Gdzieś na obrzeżach pamięci kołatała mu się myśl o Colcie kaliber 0.45 cala, który zabrał tajniakowi – wyszarpnął teraz broń z tylnej kieszeni, rozrywając ją, kiedy stawiała opór.

–Jestem z tobą! – krzyknął do Emilia.

–Wiem – odparł Meksykanin, zwalniając kroku i obracając się do swego towarzysza. – Kto pana wciągnął na te schody, senior"! Jest pan ranny, a droga ciemna, muszę poświecić Unterna. Nagle ziemia się zatrzęsała, jakby w niąuderzył potężny meteor, w dużej willi na szczycie wzgórza poleciały wszystkie szyby, a ogień rozświetlił nocne niebo. Zbiorniki paliwa do generatora wylatywały w powietrze, podczas gdy obaj uciekinierzy pędzili alejką w dół, Kendrick kulejąc, próbował rozpaczliwie skupić uwagę na wskazującym drogę świetle latarki, czując okropny ból w kolanie i w łokciu. Strzały. Z pistoletów. Kule trzaskały nad nimi, obok nich, siekały ziemię u ich stóp. Emilio wyłączył latarkę i chwycił Evana za rękę. – Już niedaleko. Znam dobrze drogę, nie zostawię pana tutaj. – Jeśli uda nam się stąd wydostać, będziesz miał największą łódź rybacką w El Descanso!

–Nie, senior. Przeniosę się z rodziną w góry. Ci ludzie będą ścigać mnie, będą ścigać moje ninios.

–A co z domem? Zza niskich, szybko płynących chmur wychynał nagle księżyc, odsłaniając jedyną przystań wyspy sześćset metrów niżej. Strzelanina ustała, potem znów rozbrzmiała, wtem ziemia znów się zatrzęsała, jak oszalałe ciało kosmiczne. Poszło! – zawołał Kendrick, kiedy zbliżali się do przystani. – Senior? – krzyczał Meksykanin, przerażony ogłuszającą, nieoczekiwaną eksplozją, zaniepokojony kulą dymu i smugami ognia, widocznymi zza stojącej na szczycie wzgórza willi. Wyspa zapadnie się pod wodę! Co poszło?

–Wybuchł drugi zbiornik! Nie mogłem mieć pewności, mogłem mieć jedynie nadzieję. Pojedynczy strzał. Od strony przystani. Emilio trafiony! Zgiął się w pół, ściskając prawe udo, z którego krew spływała na spodnie. Mężczyzna uzbrojony w strzelbę wyszedł z cienia jakieś pięćdziesiąt metrów od nich, podnosząc do ust radiotelefon. Evan przykucnął, gorączka trawiła mu ciało. Uniósł lewą rękę, żeby przytrzymać rozdygotaną prawą, w której dzierżył Colta. Wystrzelił dwa razy, przynajmniej raz trafiając do celu. Strażnik skulił się, wypuszczając zarówno strzelbę jak i radiotelefon z rąk, po czym upadł na grube drewniane podkłady przystani i znieruchomiał.

–Chodź, amigo! – wołał Kendrick, ciągnąc Emilia za ramię. – Nie mogę się ruszyć!

Nie mam już nogi!

–Dobrze, ja nie zamierzam za ciebie umierać, ty idioto. Ja też mam tam ludzi, których kocham. Rusz tyłkiem albo spływaj do El Descanso i do swoich ninios!

–Como? – krzyknął z wściekłością Meksykanin, próbując stanąć na nogi. To rozumiem. Zezłość się! Obaj mamy powody do złości. Objął Emilia w talii, sam ledwie idąc podtrzymywał Meksykanina i tak weszli na pogrążone w mroku molo.

–Ta duża łódź po prawej! – zawołał Evan, wdzięczny księżycowi za to, że znów skrył się za chmury. – Znasz się na tym, amigo? – Jestem rybakiem!

–Na takiej motorówce? – spytał Kendrick, przeciągając Emilia przez burtę, a Colta kładąc na okrężnicy burty.

–Na takich motorówkach nie łowi się ryb, tylko turistas. – Mógłbym znaleźć inne określenie...

–Esigua!... Ale umiem prowadzić różne łodzie. Spróbuję... Tylko tamte łodki, senior! Wyłyną nimi i dogonią nas, bo tamte są szybsze od naszej.

–Czy któraś z nich dopłynie do lądu stałego?

–Żadna. Nie poradzą sobie na bardzo wysokiej fali, poza tym zbyt szybko spalają paliwo. Trzydzieści, czterdzieści kilometrów i muszą zawracać. To jest barca dla nas.

–Daj mi swoje paliwo turystyczne! – rzucił Evan, słysząc zbliżające się krzyki. Meksykanin wyciągnął z prawej kieszeni małe pudełko, Kendrick w tym czasie rozpakowywał swoje dwa i podważał wieczka scyzorykiem.

–Otwórz, jeśli jesteś wstanie!

–Już. Proszę, senior. Pójdę na mostek. – Dasz radę?

–Muszę,... El Descanso.

–Cholera! Kluczyk od silnika! W prywatnych przystaniach zwykle zostawia się kluczyki na pokładzie, na wypadek gdyby sztorm lub silny wiatr zmuszał do przemieszczenia łodzi...

–A jeśli nie będzie kluczyków?

–Każdemu rybakowi zdarzało się wypływać z pijanym kapitanem. Wystarczy otworzyć deskę rozdzielczą i skrzyżować kable. Niech pan się zajmie cumami, senior.

–Zasłużyłeś na drugie rancho – powiedział Evan, kiedy Kendrick gramolił się po drabince na mostek. Kendrick odwrócił się, wziął Colta z okrężnicy i krusząc paliwo w rękę zbiegł na molo. Rzucił je garściami na plandeki większych motorówek, opróżniając po jednej puszcze na każdej. Przy ostatniej sięgnął do kieszeni po zapalniczki sztormowe, zwijając się z bólu pocierał je nerwowo o drewniane belki mola i rzucał na grudki paliwa, aż na każdej łodzi pojawiły się płomyki ognia. Do szybkich motorówek strzelał, celując blisko linii wody, a jego potężna broń wierciła spore dziury w lekkim stopie, dzięki któremu łodki te mogły rozwijać tak duże szybkości. Emilio zapalił!

Gardłowy warkot silników łodzi rybackiej niósł się po wodzie... Do tego krzyki!

Stromą dróżką od strony podświetlonej niegasnącym ogniem willi zbiegali

ludzie. Senior! Szybko... cumy! Pętla na pachołkach! Kendrick podbiegł do pękatego słupka i mocował się z supłem liny, póki nie ściągnął jej i nie wrzucił do wody. Ledwie trzymając się na nogach dotarł do drugiego pachołka, walcząc rozpaczliwie póki nie uwolnił drugiej cumy. Zatrzymać ich! Pozabijać! Był to nabrzmiały wściekłością głos

Craytona Grinella, szefa rządu w obrębie rządu. Ludzie obsadzili wejście do przystani, od razu otwierając ogień. Evan skoczył z mola na rufę łodzi w chwili, gdy Emilio skręcał w lewo, wypływając z zatoki na pełne morze. Trzecia i ostatnia potężna detonacja buchnęła za stojącą na szczycie wzgórza willą. Nocne niebo zmieniło się w żółty grzyb, poprzetykany białymi i czerwonymi smugami: trzeci zbiornik na paliwo wyleciał w powietrze. Wyspa morderczego rządu w rządzie została unieruchomiona, odcięta, pozbawiona komunikacji. Nikt nie mógł jej teraz opuścić. Udało się!

–Senior! – krzyknął Emilio z mostku.

–Co? – odkrzyknął Kendrick, turlając się po pokładzie, bezskutecznie próbując wstać; dygotał na całym ciele, krew płynąca z ran tworzyła pod koszulą wilgotne rozszerzające się plamy.

–Musi pan tu przyjść!

–Nie mogę!

–Musi pan! Postrzelili mnie! Pecho – w piersi!

–To twoja noga!

–Nie!... Strzelili z przystani. Zaraz upadnę, senior. Nie mogę utrzymać koła.

–Czekaj! Evan wyszarpnął koszulę ze spodni, strugi krwi polały się na pokład. Podczołgał się do szelakowej drabinki, mobilizując rezerwy siły, jakich w sobie nie podejrzewał i stopień po stopniu wspiał się na mostek. Wpełzł na górny pokład i rozejrzał się za Meksykaninem. Emilio leżał na kole sterowym, jego ciało opadało bezwładnie poniżej linii luków mostku. Kendrick chwycił za reling i stanął, wciąż nie mogąc złapać równowagi. Opadł na koło sterowe, z lękiem myśląc o mroku i o dużych falach, rzucających łódką. Emilio osunął się na podłogę, jego ręce puściły okrągły ster.

–Co mogę zrobić? – zawołał Evan.

–Radio – jęknął Meksykanin. – Ja zarzucam sieci i nie jestem kapitanem, ale nieraz ich słyszałem przy złej pogodzie... Jest osobny kanał na urgenda numero dieciseis!

–co?

–Szesnaście!

–Gdzie jest to radio?

–Na prawo od koła. Wyłącznik z lewej. Pronto!

–Jak mam ich wywołać?

–Niech pan weźmie mikrofon i naciśnie guzik. Niech się pan przedstawi jako premero de mayo!

–"MAY DAY"?

–Si!... Madre de Dios... – Emilio wyprostował się na pokładzie mostku, nieprzytomny lub martwy. Kendrick wziął owinięty w plastik mikrofon, jednym uderzeniem włączył radiostację i zaczął studiować napisy pojawiające się na konsoli. Nie będąc w stanie myśleć na tej łodzi, miotanej falami, których nawet nie widział, stukał w klawiaturę, aż pojawiła się liczba 16 – wtedy nacisnął guzik. Tu mówi kongresman Evan Kendrick! – zawołał. – Czy ktoś mnie słyszy? Zwolnił guzik.

–Tu straż wybrzeża w San Diego – padła bezbarwna odpowiedź. – Czy możecie

mnie połączyć z telefonem hotelu Westlake? To sprawa życia i śmierci!

–Každy to może powiedzieć. Nie jesteśmy centralą telefoniczną. – Powtarzam! Tu kongresman Evan Kendrick z dziewiątego okręgu w stanie Kolorado, sprawa życia i śmierci. Zagubiłem się na morzu na zachód lub na południe od Tijuany.

–To wody terytorialne Meksyku...

–Zawiadomcie Biały Dom! Powtórzcie, co wam przekazałem... Kendrick z Kolorado!

–To pan jest ten facet, co pojechał do Omanu?

–Biały Dom wyda wam dalsze polecenia!

–Niech pan nie wyłącza radia, ustalimy pańskie położenie przez służby radiolokacyjne...

–Nie mam czasu i nie wiem, o czym pan mówi.

–To sposób ustalania pozycji poprzez radio...

–Na litość boską, połączcie mnie z hotelem Westlake i postarajcie się o rozkazy Białego Domu! Muszę się połączyć z tym hotelem. – Rozkaz, generale Kendrick!

–Liczy się skuteczność – mruknął Evan pod nosem, kiedy dźwięki z głośnika konsoli przekształciły się w niezrozumiałe tony, aż wreszcie usłyszał dzwonek telefonu. Odezwała się centrala. – Pokój pięćdziesiąty pierwszy. Tylko szybko, bardzo proszę.

–Tak? – odezwał się zdławiony głos Khalehli.

–To ja! – zawołał Kendrick, przyciskając guzik, i zaraz go zwalniając.

–Na Boga, gdzie jesteś?

–Gdzieś na oceanie, mniejsza z tym. Jest pewien adwokat, którego wynajmowała Ardis, on ma księgę rachunkową, która wszystko wyjaśnia. Odszukaj go, wydobądź księgę!

–Tak, oczywiście. Zaraz zadzwonię do MJ. Ale co z tobą? Czy jesteś... Włączył się inny głos, mocny rozkazujący ton nie pozostawiał wątpliwości: Mówi prezydent Stanów Zjednoczonych. Odszukajcie tę łódź, znajdźcie tego człowieka, albo wam wszystkim każę przetrzepać tyłki! Fale rzucały łodzią niczym mikroskopijną zabawką na rozszalałym morzu. Evan nie mógł już dłużej utrzymać koła. Zamroczony, zwałił się na ciało rybaka z El Descanso.

*** * ***

Rozdział 43

Wszystko wokół kołysało się gwałtownie. Miał wrażenie, że nic nie waży, potem chwyciły go czyjeś ręce, poczuł smagnięcie wiatru, wreszcie usłyszał nad sobą ogłuszający ryk. Otworzył oczy i ujrzał zamglone postacie, pośpiesznie poruszające się wokół niego, odpinające pasy... Potem ostre ukłucie w ramię. Usiłował się podnieść, ale nie udało mu się to. Jacyś ludzie wnieśli go do wielkiej, obracającej się metalowej klatki i położyli na płaskiej, miękkiej powierzchni. Uwaga, kongresmanie! – krzyknął mężczyzna w białym marynarskim mundurze, którego postać stała się po jakimś czasie wyraźna. Jestem lekarzem, a pan jest nieźle pobity. Niech mi pan nie utrudnia mojego zadania, ponieważ jeśli coś spaprzę, prezydent osobiście poprowadzi rozprawę przed sądem wojennym. Następane ukłucie. Nie był w stanie

znieść więcej bólu.

–Gdzie jestem?

–Logiczne pytanie – przyznał oficer, wtlaczając zawartość strzykawki w ramię Kendricka. Jest pan w dużym, wirującym ptaku sto pięćdziesiąt kilometrów od wybrzeża Meksyku. Był pan w pobliżu Passage to China, człowieka, a tam morze ostro kołysze.

–To jest to! – Evan starał się mówić głośno, ale sam siebie ledwie słyszał.

–Co jest "to"? – Lekarz pochylił się nad nim, z tyłu sanitariusz trzymał nad nim butelkę z plazmą.

–Passage to China, wyspa, która się nazywa Passage to China. Trzeba ją odciąć!

–Jestem lekarzem, a nie odcinaczem...

–Rób pan, co każe!... Wiadomość radiowa do San Diego, niech wyślą samoloty, statki! Trzeba zabrać wszystkich!

–Hej, człowieku, nie jestem ekspertem, ale to są wody meksykańskie...

–Do jasnej cholery, dzwoń do Białego Domu!... Nie! Skontaktuj się z człowiekiem nazwiskiem Payton w CIA... Mitchell Payton w CIA! Powtórz mu to, co powiedziałem. Wymień nazwisko Grinell! – Phi, a to ci historia – rzucił młody lekarz, spoglądając na trzeciego mężczyznę, który siedział u stóp Kendricka. – Chorąży, słyszeliście, co mówił kongresman. Idź do pilota. Wyspa, która się nazywa Passage to China, człowiek nazwiskiem Payton w Langley, i jeszcze jeden, co się nazywa Grinell. Pośpiesz się, kolego, to jest chłopiec prezydenta!

–Hej – zwrócił się lekarz do Evana. – Czy tak postępowałeś z Arabami?

–Emilio? – spytał Kendrick, ignorując pytanie lekarza. Jak się czuje?

–Meksykaniec?

–Mój przyjaciel... Uratował mi życie.

–Jest tutaj, obok pana. Właśnie go wyciągnęliśmy.

–Co z nim?

–Kiepsko, jest w gorszym stanie niż pan, znacznie gorszym. W najlepszym razie ma czterdzieści procent szans. Lecimy do szpitala wojskowego jak się da najszybciej. Kendrick podparł się na łokciu i spojrzał na leżącą twarzą w dół, nieprzytomną postać Emilia, zaledwie pół metra za lekarzem. Ramię Meksykanina leżało na pokładzie helikoptera; twarz miał popielatą, przypominającą śmiertelną maskę.

–Daj mi jego rękę – rozkazał Evan. – Dawaj!

–Tak jest – powiedział lekarz, sięgając po dłoń Emilia i przyciągając ją tak, żeby Kendrick mógł ją chwycić swoją dłonią. – El Descanso! – ryknął Evan. – El Descanso i twoja rodzina twoja żona i ninos! Ty przeklęty skurwysynu, nie umieraj mi tutaj! Ty pieprzony ignorancki rybaku, weź się w garść!

–Como? – Głowa Meksykanina przekręcała się z boku na bok, a Kendrick silniej ścisnął go za rękę.

–Tak już lepiej, amigo. Pamiętasz, jesteśmy wściekli? Cały czas jesteśmy wściekli. Trzymaj się, gnojku, albo sam cię zabiję. Comprende"! Emilio zwrócił twarz w stronę Evana, częściowo otworzył oczy i blade się uśmiechnął.

–Potrafiłby pan zabić takiego silnego rybaka?

–Spróbujmy... Może bym i nie potrafił, ale potrafię ci załatwić dużą łódź.

–Jesteś pan loco. – Meksykanin zakaszał. – Dobrze, że jest El Descanso.

–Trzy farmy – powiedział Kendrick. Jego dłoń opadła pod wpływem lekarstwa wstrzykniętego przez lekarza marynarki wojennej.

Jedna za drugą, eleganckie limuzyny jechały ciemnymi ulicami Cynwid Hollow do dużego domu nad Chesapeake Bay. Podczas gdy przy poprzednich okazjach przyjeżdżały cztery takie samochody, tym razem było ich tylko trzy. Brakowało tego, który należał do towarzystwa założonego przez Erica Sundstroma, zdrajcę Inver Brass. Członkowie organizacji zasiedli wokół dużego okrągłego stołu w niezwyklej bibliotece. Przed każdym z nich stała mosiężna lampa. Wszystkie lampy były zapalone, oprócz jednej, która stała obok pustego piątego krzesła. Cztery krążki światła oświetlały wypolerowane drewno; piąte źródło było zgaszone, jakby mówiło, że śmierć nie jest honorowa, jakby przypominało o ludzkiej kruchości w tym całym, zbyt ludzkim świecie. Tego wieczoru nie było dowcipnych pogaduszek o niczym, nie było żartów, które świadczyłyby o tym, że i oni są takimi samymi śmiertelnikami, jak inni, mimo ogromnego bogactwa i władzy. Dziś wystarczało puste krzesło.

–Znacie fakty – przemówił Samuel Winters, przesuwając swój orli profil w krąg światła. – Teraz proszę o wasze komentarze. – Powiem jedno – stwierdził stanowczo Gideon Logan, nie wychylając z cienia swej dużej, czarnej głowy. – Nie możemy się zatrzymać, alternatywa jest zbyt groźna. Spuszczone ze smyczy wilki przejmą rząd – to co jeszcze z niego zostało.

–Ależ, Gid, nie ma nic do zatrzymywania – poprawiła go Margaret Lowell. – Biedny Miloś puścił wszystko w ruch w Chicago. – On nie skończył, Margaret – powiedział Jacob Mandel, który siedział, jak zwykle, obok Wintersa. – Jest sam Kendrick. Musi przyjąć nominację, musi być przekonany, że powinien ją przyjąć. Jeśli sobie przypominacie, ten temat został podniesiony przez Erica i zastanawiam się teraz, dlaczego to zrobił. Powinien był zostawić wszystko w spokoju, gdyż mogło to się okazać naszą piątą achillesową.Sundstroma zjadła, jak zawsze, jego niezaspokojona ciekawość – powiedział ze smutkiem Winters. – Ta sama ciekawość, która zastosowana do technologii przestrzeni kosmicznej sprawiła, że nas zdradził. To wszakże nie odpowiada na pytanie Jacoba. Nasz członek Kongresu mógł odejść.Nie jestem pewien, czy Miloś uważał to za poważny problem, Jacobie – rzuciła prokurator Lowell, pochylona do przodu, z łokciami na stole, z palcami podpierającymi prawą skroń. – To czy on to faktycznie powiedział czy nie, nie ma wielkiego znaczenia, lecz z całą pewnością twierdził, że Kendrick jest wysoce moralnym, może nawet w staroświeckim stylu, człowiekiem. Nienawidzi korupcji, zajął się polityką, aby zastąpić człowieka skorumpowanego.

–I pojechał do Omanu – dodał Gideon Logan ponieważ wierzył, że będzie w stanie pomóc, nie myślał zaś o żadnej nagrodzie dla siebie. O tym zostaliśmy przekonani.

–I to właśnie przekonało nas wszystkich, abyśmy go zaakceptowali – stwierdził Mandel, kiwając głową. – Wszystko się zajął. Nadzwyczajny człowiek na bardzo zwyczajnym polu politycznych kandydatów. Ale czy to wystarczy? Czy on się zgodzi,

nawet jeśli istnieje ogólnonarodowe poparcie, które Miloś tak świetnie zorganizował?

–Założenie było takie, że jeśli wezwanie będzie prawdziwe, Kendrick na nie odpowie – powiedział beznamiętnie Winters. – Ale czy to jest właściwe założenie?

–Myślę, że tak – odparła Margaret Lowell.

–Ja też. – Logan kiwnął swą dużą głową i pochylił się do przodu, w krąg światła. – Choć Jacob ma w pewnym sensie racje. Nie możemy być pewni, a jeżeli się mylimy, to mamy Bollingera i wszystko jak zwykle, a wilki przejmują władzę w styczniu.

–Przypuśćmy, że skonfrontowałyby się Kendricka z alternatywą waszych wilków, z dowodami na ich korupcję, ich dobrze ukrytą zakulisową władzę, która przeniknęła całą waszyngtońską strukturę – pytał Winters, tym razem ożywionym głosem. – Czy uważacie, że w takich warunkach odpowie na nasze wezwanie? Potężny czarny przedsiębiorca z powrotem skrył się w cieniu, mrużąc oczy.

–Sądząc z tego wszystkiego, co wiemy.:. Tak, sądzę, że odpowie powiedział.

–A ty, Margaret?

–Zgadzam się z Gidem. Kendrick jest nadzwyczajnym człowiekiem. Sądzę, że ma sumienie.

–Jacob?

–Oczywiście, Samuelu, ale jak to zrobić? Nie mamy dokumentacji, żadnych oficjalnych papierów, nic. My przecież palimy własne notatki. Nie miałby powodu, aby nam wierzyć, nie możemy odkryć przed nim naszej organizacji, a Varak nie żyje.

–Mam innego człowieka na jego miejsce. Takiego, któryjeśli to będzie konieczne – załatwi to, że Evan Kendrick pozna prawdę. Całą prawdę, jeżeli jej jeszcze nie zna. Wszystkie twarze, zaskoczone, zwróciły się w jego stronę. – O czym ty, do cholery, mówisz? – zawołała Margaret.

–Varak zostawił instrukcje na wypadek swojej śmierci i dałem mu słowo, że otworzę je tylko wtedy, jeśli zostanie zabity. Dotrzymałem słowa, ponieważ – prawdę mówiąc – wcale nie chciałem wiedzieć tego, o czym mógłby mi powiedzieć... Otworzyłem jego list wczoraj wieczorem, po telefonie Mitchella Paytona.

–Jak sobie poradzisz z Paytonem? – spytała nagle zdenerwowana Lowell.

–Jutro się z nim spotykam. Nikt z was nie musi się niczego obawiać, Payton nic o was nie wie. Albo dojdziemy do porozumienia, albo nie. Jeśli nie... Przeżyłem długie i pożyteczne życie, nie będzie to żadne poświęcenie.

–Wybacz mi, Samuelu – zaczął niecierpliwie Gideon Logan – ale wszyscy mamy przed sobą takie decyzje; w przeciwnym wypadku nie siedzielibyśmy przy tym stole. Jakie instrukcje zostawił Varak? – Żeby się skontaktować z jedynym człowiekiem, który może nas oficjalnie i szczegółowo informować. Z człowiekiem, który był informatorem Varaka od samego początku, bez którego Miloś nigdy nie mógłby zrobić tego, co zrobił. Kiedy nasz Czech odkrył niezgodności w zapiskach Departamentu Stanu szesnaście miesięcy temu, gdzie zanotowano przyście Kendricka do Departamentu, ale nie zapisano jego odejścia, Varak wiedział, gdzie ma szukać. Znalazł informatora nie tylko chętnego, lecz wręcz poświęconego sprawie... Miloś, oczywiście nie da się zastąpić, jednakże w dzisiejszych czasach wysoko rozwiniętej technologii, nasz nowy koordynator jest pośród najszybciej

awansujących młodych urzędników rządowych. Nie ma w Waszyngtonie poważnego departamentu czy agencji, które by się nie ubiegały o jego usługi, a sektor prywatny oferuje mu kontrakty zarezerwowane dla byłych prezydentów i sekretarzy stanu, przynajmniej dwa razy starszych od niego.

– Musi być fenomenalnym prawnikiem albo najmłodszym ekspertem do spraw zagranicznych – wtrąciła Lowell.

– Nic podobnego – odparował siwy rzecznik Inver Brass. – Jest uważany za najwybitniejszego eksperta w dziedzinie nauk komputerowych w tym kraju, może w ogóle na Zachodzie. Tak się szczęśliwie dla nas złożyło, że pochodzi z dość bogatej rodziny i nie kuszą go oferty prywatnego przemysłu. Na swój sposób jest tak samo jak Miloś Varak zaangażowany w pracę dla dobra kraju... Krótko mówiąc, był jednym z nas, kiedy zrozumiał, jak został obdarzony przez naturę. Winters pochylił się nad stołem i nacisnął guzik z kości słoniowej. Proszę wejść. Ciężkie drzwi biblioteki otworzyły się i stanął w nich młody mężczyzna, który jeszcze nie przekroczył trzydziestki. Od innych, oprócz młodego wieku, odróżniał go uderzający wygląd – jakby wyszedł z pokazów reklamy luksusowej mody męskiej w eleganckim piśmie. Jednakże jego garnitur był zwyczajny, ani tani, ani szyty na miarę, po prostu porządny. Uwagę zwracała twarz o niemal idealnie greckich rysach. Powinien dać sobie spokój z komputerami – powiedział cicho Jacob Mandel. – Mam znajomych w agencji Williama Morrisa. Dadzą mu rolę w serialu telewizyjnym. Proszę, proszę wejść – przerwał Winters, kładąc dłoń na ramieniu Mandela. – I proszę się przedstawić, dobrze? Młody człowiek podszedł pewnym krokiem, choć bez wyniosłości, do zachodniego krańca stołu, obok czarnego walca, który po opuszczeniu zmieniał się w ekran. Stał przez chwilę, spoglądając na świetliste koła na stole.

– To że tu jestem, poczytuję sobie za szczególny zaszczyt – oznajmił miłym głosem. – Nazywam się Gerald Bryce i jestem obecnie dyrektorem GOK w Departamencie Stanu.

– GOK? – odezwał się Mandel. – Znowu jakieś skróty? Globalne Operacje Komputerowe, proszę pana.

Kalifornijskie słońce świeciło przez szpitalne okno, gdy Khalehla powoli pozwalała Kendrickowi wysunąć się z jej objęć. Usiadła przy nim na łóżku i uśmiechnęła się blado. Oczy błyszczały jej od łez, oliwkowa cera stała się całkiem jasna.

– Witaj w krainie żyjących powiedziała, ściskając go za rękę. – Ja też się cieszę – szepnął słabym głosem Kendrick, patrząc na nią. – Kiedy otworzyłem oczy, nie byłem pewien, czy to naprawdę ty, czy jestem... Czy znów stosują swoje sztuczki.

– Sztuczki?

– Zabrali moje ubranie... Byłem w jakichś starych sztruksowych spodniach, a potem znów miałem na sobie garnitur, ten granatowy... – Twój "łach z Kongresu", jak go nazywasz – przerwała mu delikatnie Khalehla. – Kochanie, musisz sobie sprawić nowy garnitur. To, co zostało zdjęte z ciebie już się do niczego nie nadaje. – Ekstrawagancka z ciebie dziewczyna... Boże, żebyś wiedziała, jak to dobrze znowu cię widzieć. Myślałem, że cię więcej nie zobaczę i byłem z tego powodu potwornie wściekły.

–Wiem, jak to fantastycznie widzieć ciebie. Ten hotelowy dywan został kompletnie zniszczony... Teraz odpocznij, później porozmawiamy. Dopiero się obudziłeś i lekarze...

–Nie... To diabła z lekarzami, chcę wiedzieć, co się stało. Jak się ma Emilio?

–Wyjdzie z tego, choć stracił jedno płuco i ma strzaskane biodro. Nie będzie mógł dobrze chodzić, ale będzie żył.

–Nie musi nigdzie chodzić, będzie siedział w kapitańskim fotelu. – Co?

–Nic takiego... Wyspa. Nazywa się Passage to China...

–Wiemy – przerwała mu zdecydowanie Khalehla. – Skoro jesteś tak potwornie uparty, pozwól, że ja będę mówić... To co zrobiliście, ty i Carallo, było niewiarygodne...

–Carallo?...Emilio?

–Tak. Widziałam zdjęcia – mój Boże, jaki straszny widok! Ogień strawił wszystko, zwłaszcza po wschodniej stronie wyspy. Dom, zabudowania, nawet dok, gdzie wybuchły inne łodzie – wszystko znikło. Kiedy nadleciały helikoptery z wojskiem, wszyscy mieszkańcy byli nieprzytomni ze strachu i czekali na zachodniej plaży. Witali naszych ludzi tak, jak by byli wyzwolicielami.

–Więc złapali Grinella. Khalehla spojrzała na Evana; przez chwilę milczała, a później potrząsnęła głową.

–Nie, przykro mi, kochanie.

–Jakim cudem? Kendrick zaczął się podnosić, krzywiąc się z bólu, jaki paraliżował mu pozszywane i zabandażowane ramię, Khalehla, bardzo delikatnie położyła go z powrotem na łóżku.

–Nie mógł uciec! Nie chciało im się poszukać!

–Nie musieli szukać. Meksykanie im powiedzieli.

–Co? Jak?

–Przyleciał hydroplan i zabrał hombre patron.

–Nie rozumiem. Nie mógł się przecież z nikim porozumieć. – Niezupełnie. Nie wiedziałeś, bo skąd, że Grinell miał w piwnicy głównego domu małe, pomocnicze generatory o dostatecznej mocy, aby się porozumieć ze swoimi ludźmi na lotnisku w San Felipe. Tyle się dowiedzieliśmy od meksykańskich specjalistów od transmisji. Grinell może uciec i nawet zniknąć, ale nie może się ukrywać w nieskończoność. Będziemy śledzić dalsze ślady.

–Piękna aliteracja, jakby powiedział mój kat.

–Co?

–Nic takiego.

–Przestań to powtarzać.

–Przepraszam. A co z adwokatem Ardis i rejestrem, o którym ci mówiłem?

Jesteśmy blisko, choć jeszcze go nie znaleźliśmy. Gdzieś się schował i nikt nie wie gdzie. Wszystkie jego telefony są na podsłuchu i prędzej czy później będzie musiał pod któryś z nich zadzwonić. Wtedy go znajdziemy.

–Czy może przypuszczać, że go szukacie?

–Pytanie za tysiąc punktów. Grinell mógł się porozumieć ze stałym lądem i przez

San Felipe przekazać wiadomość adwokatowi Ardis. Nie wiem, po prostu nie wiem.

–Manny? – spytał Evan niepewnie. – Nie miałaś pewno czasu... – Mylisz się. Nie miałam nic oprócz czasu, czasu wypełnionego rozpaczą, mówiąc dokładniej.

Dzwoniłam wczoraj wieczorem do szpitala w Denver, ale pielęgniarka z jego piętra mogła mi, tylko powiedzieć, że jego stan jest bez zmian... I zdaje mi się, że mają go lekko dość. Zupełnie mnie to nie dziwi. – Kendrick zamknął oczy i powoli potrząsnął głową. – On umiera, Khalehla. Umiera i nikt nie może nic zrobić.

–Wszyscy umieramy, Evan. Każdy dzień jest jednym dniem mniej z życia. To niewielkie pocieszenie, ale Manny ma ponad osiemdziesiąt lat, a poza tym jeszcze nie umarł.

–Wiem – przyznał Kendrick, patrząc na jej splecione dłonie, a później na jej twarz. Jesteś piękną kobietą, wiesz?

–Owszem, ujdę w tłoku. Ty też nie jesteś potworem.

–Nie, tylko chodzę jak potwór. Właściwie możemy być pewni, że nasze dzieci będą ładne.

–Bo ja wiem.

–Zdajesz sobie sprawę, że się właśnie zgodziłaś wyjść za mnie? – Spróbuj przede mną uciec, a wtedy się przekonasz, jak sobie świetnie radzę z pistoletem.

–To bardzo przyjemne. "Ach, proszę pani, chciałbym pani przedstawić moją żonę, mistrzynię w strzelaniu. Jeśliby ktoś chciał wejść nieproszony na pani przyjęcie, trafi go bezbłędnie między oczy." – Mam także czarny pas pierwszej klasy na wypadek, gdyby broń robiła za dużo hałasu.

–Fantastycznie. Już mnie nikt nie będzie więcej potrącał. Niechno tylko ktoś mnie zaczepi, spuszczę ze smyczy żonę.

–Wrrrr – zawarczała Khalehla, pokazując ładne białe zęby. Później spojrzała na niego miękko swymi dużymi, ciemnymi oczyma. – Naprawdę cię kocham. Bóg jeden wie, co się może udać takim dwóm nieprzystosowanym ludziom, jak my, ale chyba możemy spróbować.

–To nie będzie próba – zaprotestował Evan, obejmując ją prawą ręką – tylko całe życie. Khalehla pochyliła się i pocałowała go. Obejmowali się mocno, jak dwoje ludzi, którzy o mało co nie utracili siebie. Zadzwoił telefon.

–Cholera! – zawołała Khalehla, podskakując.

–Żal ci ode mnie odejść?

–Ach, nie. Do diabła, nie o to chodzi. Wyraźnie zapowiedziałam, że nie wolno tu łączyć żadnych rozmów. – Podniosła słuchawkę i powiedziała ostro: – Słucham i oczekuję wyjaśnień. Jak doszło do połączenia z tym pokojem?

–Wyjaśnienie, oficerze Rashad, jest względnie proste. Zmieniłem rozkazy mojego podwładnego – powiedział Mitchell Payton z Langley, w stanie Wirginia.

–MJ, nie widziałeś tego człowieka! Wygląda jak wywrócona na lewą stronę Godzilla.

–Jak na dorosłą kobietę, Adrienne, która sama przyznała w mojej obecności, że skończyła już trzydzieści lat, masz dziwny zwyczaj mówienia jak nastolatka... Poza tym rozmawiałem z lekarzami. Evan potrzebuje odpoczynku, musi mieć

zabandażowaną kostkę i na dzieńdwa unieruchomioną nogę oraz od czasu do czasu zmieniany opatrunek na ramieniu. Gdyby nie te drobne niedogodności, mógłby wracać na pole walki.

–Ależ z ciebie zimna ryba, wuju Mitch. On z trudem może coś powiedzieć.

–To dlaczego z nim rozmawiasz?

–Skąd wiesz?

–Nie wiedziałem, właśnie się przyznałaś... Czy możemy przejść do spraw rzeczywistych, moja droga?

–A Evan jest nierzeczywisty?!

–Daj mi ten telefon – zażądał Kendrick, niezręcznie biorąc od niej słuchawkę. – To ja, Mitch. Co się dzieje?

–Jak się masz, Evan? Chyba się głupio spytałem...

–Bardzo. Odpowiedz na moje pytanie.

–Adwokat Ardis Vanvlanderen jest w swoim letnim domu w górach San Jacinto. Dzwonił do biura, żeby sprawdzić co się nagrało na mechanicznej sekretarce i zdobyliśmy jego numer. Nasi ludzie są już w drodze. Powinni być na miejscu za parę minut. Na miejscu ocenią sytuację.

–Oceniają? A cóż tam jest, u diabła, do oceny?! On ma ten rejestr! Zabierzcie mu! Na pewno jest tam opisana ich cała globalna struktura, każdy przekłety handlarz bronią, z jakim mieli kontakt. Grinell mógłby się schronić u któregoś z nich.

–Zapominasz, że Grinell ma własne możliwości ucieczki. Zakładam, że Adrienne... Khalehla ci powiedziała.

–Tak, zabrał go hydroplan. I co z tego?

–Jemu zależy na tym rejestrze tak samo jak nam i jestem pewien, że już się skontaktował z człowiekiem pani Vanvlanderen. Grinell nie zaryzykuje osobistego pojawienia się, lecz pośle po rejestr kogoś, komu ufa. Jeśli się dowie, że się zbliżamy, a do tego potrzeba wyłącznie jeszcze jednej osoby obserwującej dom adwokata, jakie twoim zdaniem przekaże instrukcje swojemu zaufanemu kurierowi, który ma za zadanie przewieźć rejestr do Meksyku?

–Można by go zatrzymać na granicy albo na lotnisku...

–W naszej obecności. Jak myślisz, co powie tej osobie?

–Żeby spaliła rejestr – powiedział Kendrick cicho.

–Dokładnie.

–Mam nadzieję, że twoi ludzie znają się na swojej robocie. – Dwaj mężczyźni, z czego jeden chyba najlepszy, jakiego mamy. Nazywa się Gingerbread; spytaj o niego swoją przyjaciółkę. – Gingerbread? Co za kretyńskie imię?

–Później, Evan – przerwał mu Payton. – Mam ci coś do powiedzenia. Dziś po południu lecę do San Diego i musimy porozmawiać. Mam nadzieję, że będziesz w stanie, bo to bardzo pilne.

–Będę w stanie, ale dlaczego nie możemy porozmawiać teraz? – Ponieważ nie wiem, co mam powiedzieć... Nie jestem pewien, czy później będę wiedział, lecz przynajmniej będę wiedział coś więcej. Widzisz, za godzinę mam spotkanie z człowiekiem, wpływowym człowiekiem, który jest tobą bardzo zainteresowany – od

roku. Kendrick zamknął oczy i opadł na poduszki, w przypiływie nagłego osłabienia.

–Należy do grupy, czy też komitetu, który nazywa się... Inver Brass.

–Wiesz o nich? Tylko tyle. Nie mam pojęcia kim ani czym są, wiem tylko, że spieprzyli mi życie.

Brązowy samochód, którego zakodowane rządowe tablice rejestracyjne oznaczały Centralną Agencję Wywiadowczą, przejechał przez imponującą bramę posiadłości w Chesapeake Bay i podjechał kolistym pojazdem do gładkich kamiennych stopni. Wysoki mężczyzna, który pod rozpiętym płaszczem przeciwdeszczowym miał koszulę i wymięty garnitur – nie zdejmowane od trzech dni – wysiadł z tyłu samochodu i wszedł powoli po schodach prowadzących do wielkich drzwi frontowych. Wzdrygnął się z lekka w zimnym porannym powietrzu zachmurzonego dnia, zapowiadającego śnieg – śnieg na święta, pomyślał Payton. Była wigilia Bożego Narodzenia, dla dyrektora Akcji Specjalnych dzień jak co dzień, a przecież tego dnia bał się z powodu czekającego go spotkania. Oddałby kilka lat życia za to, aby to spotkanie nie doszło do skutku. Podczas swojej długiej kariery robił wiele rzeczy, od których żółć przelewała mu się w żołądku, najwięcej jednak zdrowia kosztowało go zawsze niszczenie porządnych i uczciwych ludzi. Tego dnia miał zniszczyć takiego właśnie człowieka i sam siebie za to nienawidził, a przecież nie było innego wyjścia. Istniało wyższe dobro, wyższa moralność, które były zapisane w kodeksie prawnym przyzwoitego narodu. Pogwałcenie tych praw byłoby zaprzeczeniem przyzwoitości. Zadzwoił do drzwi. Służąca przeprowadziła Paytona przez wielki salon z widokiem na zatokę do kolejnych okazałych drzwi. Otworzyła je i dyrektor wszedł do niezwyklej biblioteki, usiłując ogarnąć wszystko, co rejestrowały jego oczy. Olbrzymia konsola zajmowała całą ścianę po lewej stronie, wyposażona w monitory telewizyjne, wskazówki i urządzenia projekcyjne; po prawej stronie miał opuszczony srebrny ekran i palący się piec w rogu; naprzeciwko były katedralne okna, a przed nim – duży okrągły stół. Samuel Winters podniósł się z krzesła stojącego pod ścianą zabudowaną wyszukanymi urządzeniami elektronicznymi.

–Długo na to czekałem, MJ – czy mogę tak do pana mówić? – spytał światowej sławy historyk. – Jeśli sobie dobrze przypominam, wszyscy mówią do pana MJ.

–Naturalnie, doktorze Winters. Podali sobie dłonie i siedemdziesięcioletni naukowiec rozłożył ręce gestem obejmującym cały pokój.

–Chciałem, żeby pan to wszystko zobaczył. Żeby pan wiedział, że trzymamy palec na pulsie świata – jednakże nie dla osobistych zysków, musi pan to zrozumieć.

–Rozumiem. Kim są ci inni?

–Proszę usiąść. – Winters wskazał krzesło naprzeciwko swojego, po drugiej stronie okrągłego stołu. – Oczywiście, proszę zdjąć płaszcz. Kiedy jest się w moim wieku, wszystkie pokoje stają się za zimne.

–Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, zostanę w płaszczu. Nasza konferencja nie potrwa długo.

–Jest pan pewien?

–Całkowicie – odparł Payton, siadając.

–Cóż – powiedział Winters cicho, ale dobitnie, podchodząc do swego krzesła –

tylko niezwykley intelekt określa swoją pozycję, nie biorąc pod uwagę parametrów dyskusji. A panu nie da się odmówić intelektu, MJ.

–Dziękuję za szczery, jeżeli nawet nieco protekcyjny komplement.

–To raczej wrogie podejście, prawda?

–Nie bardziej niż pańska decyzja podjęta w imieniu całego narodu o tym, kto powinien rządzić krajem.

–To jest właściwy człowiek, we właściwym czasie i z jak najbardziej właściwych powodów.

–Zgadza się z panem absolutnie. Chodzi mi tylko o sposób załatwienia sprawy. Kiedy się wyzwała przestępczą siłą w celu osiągnięcia jakiegoś celu, nie da się przewidzieć konsekwencji. – Inni też tak robią. Nawet w tej chwili.

–Nie daje to panu żadnych praw. Niech ich pan ujawni, jeśli pan potrafi, a jestem pewien, że tak jest, znając pańskie możliwości, ale niech ich pan nie naśladuje.

–To jest sofistyka! Żyjemy w świecie zwierząt, w politycznie zorientowanym świecie zdominowanym przez drapieżniki.

–Nie musimy sami stać się drapieżnikami, aby z nimi walczyć... Ujawniać, nie naśladować.

–Zanim to się rozejdzie, zanim choćby kilka osób zrozumie, co się dzieje, brutalne stada stratuja nas na śmierć. Oni zmieniają zasady, zmieniają prawo. Są nietykalni.

–Z całym szacunkiem nie zgadzam się, doktorze Winters.

–Niech pan weźmie Trzecią Rzeszę!

–Niech pan pomyśli, co się z nią stało. Niech pan weźmie Wielką Kartę Swobód, niech pan spojrzy na tyranię dworu francuskiego za panowania Ludwika XVI, na brutalność carów, na litość boską, niech pan sobie przypomni Filadelfię w roku 1787! Konstytucja, doktorze! Naród reaguje bardzo szybko na ucisk i nadużycie władzy! – Niech pan to powie obywatelom Związku Radzieckiego!

–Szach i mat! Ale niech pan nie usiłuje wyjaśniać tego dysydemom i ludziom z podziemia, którzy każdego dnia coraz wyraźniej ukazują światu ciemne zakątki kremlowskiej polityki. Oni stwarzają tę różnicę.

–Nadużycia! – zawołał Winters. – Wszędzie na tej biednej, przeklętej planecie są jakieś nadużycia. W końcu wszystko wybuchnie. – Nie jeśli rozsądni ludzie będą ujawniać nadużycia i nie przyłączą się do hysterii. Wasza sprawa może być słuszną, ale wasze nadużycie polega na pogwałceniu prawa – pisanego i nie pisanego – i spowodowało śmierć niewinnych mężczyzn i kobiet, ponieważ uważacie, że jesteście ponad prawem tej ziemi. Zamiast powiedzieć narodowi, czego się dowiedzieliście, postanowiliście narodem manipulować.

–Taka jest pana opinia?

–Tak. Kim są inni w Inver Brass?

–Zna pan tę nazwę?

–Kim oni są?

–Ode mnie się pan tego nigdy nie dowie.

–Znajdziemy ich... W końcu. A teraz dla zaspokojenia mojej osobistej ciekawości niech mi pan powie, gdzie ta organizacja powstała. Jeżeli nie chce pan odpowiedzieć,

nie ma sprawy.

–Ależ chętnie panu powiem. – Ręce starego historyka drżały tak bardzo, że musiał spleść je mocno, na stole. – Kilka dziesiątków lat temu organizacja Inver Brass narodziła się z chaosu, kiedy naród był rozdarty, na skraju wyniszczenia. Było to w kulminacyjnym momencie wielkiej depresji; kraj zamarł, a wszędzie wybuchały gwałty i przemoc. Głodnych ludzi nie obchodzą puste slogany i puste obietnice, a ludzie czynni zawodowo, którzy nie z własnej woli stracili godność dostają szału... Organizację stworzyła mała grupka niesłychanie bogatych, wpływowych ludzi, którzy poszli za radą takich jak finansista Bernard Baruch i których nie dotknął upadek gospodarczy. Byli to również ludzie o świadomości społecznej, którzy wykorzystali swoje możliwości w sposób praktyczny. Hamowali wybuchy i przejawy gwałtu nie tylko przy pomocy zastrzyków kapitału i dostaw do zagrożonych rejonów, lecz także przez dyskretne przeprowadzanie przez Kongres ustaw, które mogły pomóc. Te tradycje kontynuujemy.

–Czyżby? – spytał cicho Payton, przyglądając się staremu człowiekowi zimnym wzrokiem.

–Tak! – z przekonaniem powiedział Winters.

–Inver Brass... Co to znaczy?

–To jest nazwa małego błotnistego jeziora w górach Szkocji, którego nie ma na żadnej mapie. Zaproponował ją pierwszy rzecznik organizacji, bankier szkockiego pochodzenia, który rozumiał, że muszą działać w tajemnicy.

–To znaczy bez odpowiedzialności przed nikim?

–Jeszcze raz powtarzam – nie szukamy korzyści dla siebie. – Więc po co tajemnica?

–Jest konieczna. Wprawdzie nasze decyzje podejmowane są obiektywnie dla dobra kraju, ale nie zawsze są to decyzje przyjemne czy, w oczach wielu ludzi, nawet możliwe do uzasadnienia. A przecież były podejmowane dla dobra narodu.

–Nawet możliwe do uzasadnienia? – powtórzył Payton, zaskoczony tym, co usłyszał.

–Wyjaśnię to na przykładzie. Lata temu nasi bezpośredni poprzednicy mieli do czynienia z tyranem rządowym, który wyobrażał sobie, że zmieni prawo w tym kraju. Nazywał się John Edgar Hoover, olbrzym, który na starość dostał obsesji, stracił możliwość racjonalnego myślenia i szantażował prezydentów i senatorów – przyzwoitych ludzi – na podstawie informacji ze swoich dawnych kartotek, w których przeważały plotki i pomówienia. Inver Brass musiała go wyeliminować zanim zdołał powalić na kolana cały rząd. A później zjawił się młody pisarz, Peter Chancellor, który prawie nas zdemaskował. To on i jego przekłety rękopis spowodowały ówczesną śmierć Inver Brass – ale nie zapobiegły jej zmartwychwstaniu. – Och, mój Boże! – zawołał dyrektor Akcji Specjalnych. – Dobro i zło, kreowane wyłącznie przez was, wyroki wydawane tylko przez was. Co za arogancja! To niesprawiedliwe! Nie było innego wyjścia. Nie ma pan racji!

–To prawda. – Payton wstał, odsuwając krzesło. – Nie mam nic więcej do dodania. Wychodzę.

–Co pan robi?

–To, co muszę. Przygotuję sprawozdanie dla prezydenta, dla prokuratora generalnego i dla komitetów Kongresu. Takie jest prawo... Jest pan skończony, doktorze. I proszę mnie nie odprowadzać, sam wyjdę. Payton wyszedł na szare zimne powietrze. Oddychał głęboko, starając się napełnić płuca, ale nie mógł tego zrobić. Tyle było zmęczenia, smutku i żalu w tę Wigilię. Zaczął schodzić po schodach, kiedy nagle rozległ się głośny wystrzał. Kierowca Paytona wyskoczył z samochodu i przykucnął na podjeździe, trzymając swój pistolet dwoma rękami. MJ powoli pokręcił głową i szedł dalej do tylnych drzwi samochodu. Był wykończony. Nie miał już zapasów energii, do których mógłby sięgnąć; jego wyczerpanie było całkowite. Nie musiał już teraz lecieć do Kalifornii. Inver Brass się skończyła, jej przywódca sam się zabił. Bez osobowości i autorytetu Samuela Wintersa organizacja znajdzie się w rozsypce, a sposób w jaki umarł powinien być przestrożą dla pozostałych... Evan Kendrick? Trzeba mu opowiedzieć całą historię, wszystkie jej aspekty. Niech podejmie decyzję. Lecz to może poczekać – przynajmniej jeden dzień. Wszystko o czym mógł teraz myśleć MJ, kiedy kierowca otwierał mu drzwi, to było marzenie o powrocie do domu, wypiciu większej, niż należy, ilości drinków i o śnie.

–Proszę pana – odezwał się kierowca. – Był przekaz szyfrowy przez radio. Numer pięć.

–Jaka wiadomość?

–"Kontakt z San Jacinto. Pilne."

–Proszę wracać do Langley.

–Tak jest.

–Och, na wypadek, gdybym później zapomniał – wesołych świąt. – Dziękuję panu.

*** * ***

Rozdział 44

–Będziemy do niego zaglądać przynajmniej co godzinę, panno Rashad – powiedziała siedząca w recepcji pielęgniarka w średnim wieku. – Niech pani będzie o to spokojna... Czy wie pani, że prezydent osobiście dzwonił dziś po południu do kongresmana?

–Tak, byłam przy tym. A propos telefonów, do jego pokoju nie wolno przełączać żadnych rozmów.

–Oczywiście. Tu jest ta kartka, której odbitkę dostała każda telefonistka w centrali. Wszystkie rozmowy mają być przełączane do pani w Westlake Hotel.

–Zgadza się. Dziękuję za wszystko.

–Taka szkoda, prawda? Wigilia Bożego Narodzenia, a on zamiast bawić się z przyjaciółmi i śpiewać kolędy leży pokiereszowany w szpitalu, a pani będzie sama siedzieć w hotelu.

–Coś pani powiem, siostró. To, że on jest w szpitalu i żyje, to dla mnie najlepsza wigilia, jakiej się mogłam spodziewać.

–Wiem, moja droga. Widziałam was razem.

–Proszę się nim zająć. Ja muszę się trochę przespać, bo inaczej jutro rano nie będę dla niego dobrym prezentem.

–Jest naszym najważniejszym pacjentem. A pani, młoda damo, niech dobrze wypocznie. Jest pani dość wymizerowana i mówię to jako pielęgniarka.

–Wiem, muszę wyglądać strasznie.

–Chciałabym i ja tak strasznie czasem wyglądać.

–Jest pani bardzo miła – powiedziała Khalehla i z sympatią uściśniła dłoń pielęgniarki. – Dobranoc. Do jutra.

–Wesołych świąt, kochanie.

–Dziękuję. I wzajemnie. Rashad przeszła białym korytarzem do windy i nacisnęła dolny przycisk. Miała zamiar naprawdę się wyspać. Podczas ostatnich czterdziestu ośmiu godzin nie zmrużyła oka, oprócz dwudziestu minut, kiedy oboje z Evanem zdrzemnęli się na krótko. Gorący prysznic, ciepły posiłek do pokoju i łóżko – taki ma plan na dzisiejszy wieczór. Rano pójdzie do jednego z domów towarowych, otwartego w święta dla tych, którzy zapomnieli o prezencie dla kogoś i kupi parę upominków dla jej... przyszłego? Mój Boże, pomyślała, dla mojego narzeczonego. Naprawdę! To mimo wszystko zabawne, jak Boże Narodzenie wydobywa na powierzchnię łagodniejsze, sympatyczniejsze cechy ludzkiej natury, niezależnie od rasy czy wiary. Na przykład, ta pielęgniarka. Przypuszczalnie była samotną, zbyt grubą kobietą zalaną twarzą, której nikt nie wybrałby na plakat propagandowy. A jednak starała się być ciepła i serdeczna. Powiedziała, że wie, jak Khalehla się czuje, bo widziała ich razem. Choć tak nie było. Khalehla pamiętała każdą osobę, która wchodziła do pokoju Evana i tej pielęgniarki nie było między nimi. Uprzejmość, otwarcie na innych ludzi – niezależnie od określenia to był nastrój Bożego Narodzenia. A jej mężczyźnie nic nie grozi. Drzwi od windy otworzyły się i weszła do środka z poczuciem bezpieczeństwa, ciepła i uprzejmości.

Kendrick otworzył oczy w całkowitej ciemności. Coś go obudziło... Co to było? Drzwi do jego pokoju... Tak, oczywiście, to drzwi. Khalehla powiedziała mu, że przez całą noc będą do niego zaglądać. Niby gdzie miałyby się, według niej, wybrać? Na dancing? Położył się z powrotem na poduszce, głęboko oddychając, kompletnie bez sił i energii... Nie. To nie drzwi go obudziły, lecz czyjaś obecność. Ktoś był tu, w pokoju. Powoli, centymetr po centymetrze, przekręcił głowę na poduszce. W ciemności widniała niewyraźna białaplama, bez góry i dołu, po prostu kawałek białej przestrzeni w ciemności. Kto to? – spytał, z trudem wydobywając z siebie głos. – Kto tu jest? Cisza. Kim, do diabła, jesteś? Czego chcesz? Nagle biała masa wyszła z ciemności i uderzyła go w twarz. Poduszka. Nie mógł oddychać! Uniósł prawą rękę, starając się odepchnąć mocne ramię, po czym dłonią dotknął twarzy, miękkiej twarzy, a później włosów... kobiety! Szarpnął z całej siły za kosmyk włosów, turlając się na prawo od łóżka, pociągając za sobą na podłogę swojego napastnika. Puścił włosy i walił pięścią w twarz pod sobą; ramię bolało go potwornie, szwy puściły, krew przesiąkała przez bandaż. Usiłował krzyknąć, ale udało mu się wydobyć z siebie ochryply jęk. Ciężka kobieta rozorała mu ostrymi paznokciami skórę szyi, przesunęła palce do oczu, drapiąc mu powieki i czoło. Rzucił się do góry, wyrывая z jej uścisku, i uderzył w ścianę. Ból był nie do zniesienia. Skoczył do drzwi, ale ona była tuż za nim, odpychając go na łóżko. Jego ręka zawadziła o karafkę z wodą na stoliku.

Złapał ją i, znów się obracając, zamachnął się i uderzył w tę głowę, w tę oszalałą twarz pochyloną nad nim. Kobieta była ogłuszona; skoczył do przodu, walnął w nią prawym ramieniem, odrzucając ją na ścianę, a potem jednym szarpnięciem otworzył drzwi na korytarz. Biały sterylny korytarz był słabo oświetlony szarym światłem, tylko przy biurku, w połowie korytarza, świeciła się jasna lampka. Znów spróbował krzyknąć. Help...! Ratunku! Słów nie było; z jego ust wydobyły się tylko gardłowe, stłumione dźwięki. Spuchnięta kostka i uszkodzona noga nie na wiele mu się przydawały. Gdzie są wszyscy? Na korytarzu, ani za biurkiem nie było nikogo! Po chwili w drzwiach na drugim końcu korytarza pojawiły się dwie pielęgniarki. Podniósł prawą rękę, machając nią gwałtownie i wreszcie mógł zawołać:

–Ratunku!

–O, mój Boże! – krzyknęła jedna z kobiet, gdy tymczasem obie pędziły w jego stronę. Jednocześnie Kendrick usłyszał jeszcze jedną parę biegnących stóp. Odwrócił się i mógł się jedynie bezradnie przyglądać, jak gruba, muskularna pielęgniarka wybiegła z jego pokoju i skoczyła do drzwi, nad którymi czerwonymi literami świecił się napis: WYJŚCIE. Ramieniem pchnęła je i znikła.

–Wezwij lekarza dyżurnego! – zawołała siostra, która dobiegła do niego pierwsza. – Szybko! On cały krwawi!

–Chyba lepiej zadzwonię po tę Rashad – powiedziała druga pielęgniarka, podchodząc do biurka. – Mieliśmy ją zawiadamiać o każdej zmianie sytuacji.

–Nie! – wrzasnął Evan, nareszcie swym potężnym, choć pozbawionym tchu, głosem. – Dajcie jej spokój!

–Ale...

–Proszę mnie posłuchać. Nie dzwońcie do niej! Nie spała od dwóch czy trzech dni. Sprowadźcie lekarza i pomóżcie mi dojść do pokoju... A potem będę musiał zadzwonić. Czterdzieści pięć minut później Kendrick, z założonymi ponownie szwami, z umytą twarzą i szyją, usiadł na łóżku z telefonem na kolanach i wykręcił pewien numer w Waszyngtonie, który znał na pamięć. Mimo zawziętych sprzeciwów nie pozwolił lekarzowi ani pielęgniarkom wezwać żandarmerii ani nawet szpitalnych strażników. Okazało się, że nikt z personelu na tym piętrze niczego nie wiedział o grubej pielęgniarce. Tego popołudnia została służbowo przeniesiona z wojskowego szpitala w Pensacoli na Florydzie, pod najwyraźniej fałszywym nazwiskiem. Wysoko wykwalifikowane pielęgniarki były pożądanym dodatkiem na każdym oddziale, nikt nie kwestionował jej przybycia i nikt by jej nie zatrzymał wychodzącej ze szpitala. Dopóki cały obraz nie stanie się wyraźniejszy, nie będzie oficjalnego dochodzenia, które spowodowałoby przedostanie się wiadomości do prasy i telewizji. Nadal obowiązywało pełne zaciemnienie.

–Przepraszam, że cię budzę, Mitch...

–Evan?

–Lepiej, żebyś wiedział, co się stało. Kendrick opisał horror, jaki niedawno przeżył i powiedział oswojej decyzji unikania na razie policji, zarówno cywilnej, jak i wojskowej.

–Może się mylę, ale uważam, że jak się już znalazła za drzwiami, nie było szansy,

aby ją odnaleźć, natomiast istniały duże szanse, że cała sprawa trafi na pierwsze strony gazet.

–Miałeś rację powiedział szybko Payton. – Była wynajętym pistoletem...

–Poduszką – poprawił go Evan.

–Narzędziem równie śmiertelnym, gdybyś się nie obudził. Faktem jest, że wynajęci zabójcy planują naprzód i zazwyczaj mają przygotowane różne możliwości i tyle samo zmian ubrania. Postąpiłeś słusznie.

–Kto ją wynajął, Mitch?

–To chyba oczywiste. Grinell. Odkąd wy dostał się z wyspy, jest bardzo zapracowany.

–Co to znaczy? Khalehla nic mi nie mówiła.

–Khalehla, jak ją nazywasz, nie wie. Ma dość zmartwień z tobą. Jak przyjęła nocny wypadek?

–O niczym nie wie. Nie pozwoliłem jej zawiadomić.

–Będzie wściekła.

–Ale przynajmniej trochę się prześpi. Co z tym Grinellem? – Adwokat Ardis Vanvlanderer nie żyje, a rejestr znikł. Ludzie Grinella byli pierwsi w San Jacinto.

–Niech to szlag! – krzyknął Kendrick. Już go nie znajdziemy! – Tak by się zdawało, ale jest coś, co nie całkiem pasuje... Pamiętasz, jak ci mówiłem, że Grinell, aby się dowiedzieć, że nadchodzimy, potrzebował kogoś, kto by obserwował dom prokuratora?

–Jasne.

–Gingerbread go znalazł.

–I?

–Jeśli przechwycili ten rejestr, to po co wystawili czujkę? Niepotrzebne ryzyko.

–Zmuscie tego obserwatora, żeby powiedział! Nafaszerujcie go, już to robiliście.

–Gingerbread uważa, że nie.

–Dlaczego?

–Z dwóch powodów. Po pierwsze, to może być bardzo podrzędny obserwator, który niczego nie wie; po drugie – Gingerbread chce go śledzić.

–Chcesz powiedzieć, że ten Gingerbread znalazł obserwatora, ale obserwator o tym nie wie?

–Mówiłem ci, że jest dobry. Człowiek Grinella nie wie nawet, że znaleźliśmy martwego adwokata. Wszystko, co widział to firmowa ciężarówka i dwóch ogrodników w kombinezonach, którzy strzygli trawnik.

–Ale jeśli obserwator ma taką niską rangę, czego dowie się Gingerbread Jezus, co, za kretyńskie nazwisko jeśli będzie go śledził? – Powiedziałem, że to może być podrzędny obserwator, który ma tylko podany numer telefonu do okresowych kontaktów. Z drugiej strony nie musi tak być. Jeśli ma wysoką rangę, zaprowadzi nas do innych.

–Na litość boską, Mitch, nafaszeruj go i dowiedz się.

–Nie słuchasz tego, co mówię, Evan. Telefoniczne kontakty okresowe muszą się odbywać w określonych terminach. Jeśli schemat zostaje przerwany, Grinell dostaje

cynk.

–Wszyscy macie nie po kolei w głowie – stwierdził wyczerpany i rozdrażniony Kendrick.

–Wcale nam z tym nie jest łatwiej... Przypilnuję, żeby ci pod drzwiami postawili paru chłopców z żandarmerii. Postaraj się trochę odpocząć.

–A ty? Powiedziałeś, że nie możesz tu przylecieć i teraz już rozumiem dlaczego, ale jesteś jeszcze w biurze, prawda?

–Tak, czekam na wiadomość od Gingerbreads. Z biura mogę działać szybciej.

–Nie chcesz mi opowiedzieć o twoim spotkaniu wczoraj rano z facetem z Inver Brass?

–Może jutro. To już nie jest pilne. Bez niego nie ma Inver Brass. – Bez niego?

–Zabił się... Wesołych świąt, kongresmanie.

Khalehla Rashad rzuciła na podłogę paczki, które trzymała w rękach i podbiegając do łóżka krzyknęła:

–Co się stało?

–Opieka lekarska jest do dupy – odparł Evan.

–To nie jest śmieszne!... Za drzwiami stoją wartownicy, a na dole, kiedy powiedziałam, że idę do ciebie, bardzo dokładnie sprawdzili moje dokumenty. Co się stało? Z grubsza jej opowiedział, nie wspominając jednak o ponownym zakładaniu szwów i krwi na korytarzu.

–Mitch uważa, że dobrze zrobiłem.

–Zabiję go! Powinien był do mnie zadzwonić!

–To dziś nie wyglądałabyś tak ładnie. Cienie pod oczami trochę ci przejaśniały. Spałaś.

–Dwanaście godzin – przyznała, siadając na brzegu łóżka. – Ta słodka, okrągła pielęgniarka? Nie mogę w to uwierzyć. Przydałaby mi się twoja umiejętność wschodnich sztuk walki. Rzadko kogoś biję, a kobiet – prawie nigdy, oprócz prostytutek, które zawyżają cenę. Na przyszłość nigdy nie wezmę od ciebie pieniędzy... Och, Boże, Evan, wiedziałam, że powinnam była wymusić większy pokój z dwoma łóżkami i zostać tu z tobą!

–Nie bądź za bardzo opiekuńcza, mała. Pamiętaj, że to ja jestem mężczyzną.

–A ty pamiętaj, że jak nas ktoś kiedyś napadnie, wszystko zostawiasz mnie, dobrze?

–No, i tyle mi zostało z męskiej dumy... Proszę bardzo, karm mnie czekoladkami i pój szampanem, a w przerwach walcz z bandziorami.

–Tylko mężczyzna potrafi tak żartować – powiedziała Rashad, schylając się i całując go. – Mój problem polega na tym, że cię okropnie Kocham.

–Mój nie. Znów się pocałowali i oczywiście zadzwonił telefon. Nie wrzeszcz! – nakazał jej. – To pewno Mitch. To był Mitch.

–Przełom! – wykrzyknął dyrektor Akcji Specjalnych z Langley, w stanie Virginia. – Czy Evan ci mówił? O Grinellu?

–Nie, nic mi nie mówił.

–Daj mi go, później ci wytłumaczy...

–Dlaczego do mnie nie zadzwoniłeś w nocy, albo dziś rano? – Daj mi go! Tak jest.

–O co chodzi, Mitch?

–Udało się!

–Gingerbread?

–Wyobraź sobie, że nie. Zupełnie inne źródło. W tym interesie szuka się zwariowanych rzeczy i czasami sieje znajduje. Posłaliśmy człowieka do biura adwokata pani Vanvlanderen z fałszywym papierem zezwalającym mu na dostęp do dokumentów świętej pamięci szefa personelu wiceprezydenta. Pod nieobecność szefa sekretarka nie chciała nikomu udostępnić tych dokumentów i zadzwoniła do domu w San Jacinto. Wiedząc, że nikt nie podniesie słuchawki nasz człowiek kręcił się tam przez parę godzin, odgrywając wściekłego urzędnika z Waszyngtonu z rozkazami z Narodowej Rady Bezpieczeństwa, podczas gdy sekretarka cały czas usiłowała dodzwonić się do szefa. Podobno była autentycznie zdenerwowana – szef miał być w San Jacinto przez cały dzień na konferencji z ważnymi klientami... Nie wiem, nie chcę wiedzieć i nic mnie to nie obchodzi, czy z przejęcia, czy w samoobronie wygadała się, że nasz człowiek prawdopodobnie chce zabrać te wszystkie poufne papiery, które skopiowała, ale i tak by ich nie mógł wziąć, bo są zamknięte w sejfie bankowym.

–Trafiony! – powiedział cicho Evan, krzycząc w duchu z radości. – Owszem. Nawet opisała rejestr. Nasz sprytny prokurator miał zamiar sprzedać go Grinellowi, a później szantażować go kopią. Obserwator Grinella znajdował się tam z czystej ciekawości, a rejestr w ciągu godziny będzie w naszych rękach.

–Dostań go, Mitch i złam kod! Szukaj człowieka, który nazywa się Hamendi, Abdel Hamendi.

–Handlarz bronią – powiedział wyraźnie Payton. – Fotografie w apartamencie Vanvlanderenów: Lozanna, Amsterdam.

–Dokładnie ten. Oczywiście nie będzie występował pod swoim nazwiskiem, ale prześledźcie drogę pieniędzy, transfery w Genewie i w Zurychu, Gemeinschaft Bank w Zurychu.

–Oczywiście.

–Jest jeszcze coś, Mitch. Wyczyścimy całość najlepiej, jak potrafimy. Taki facet jak Hamendi dostarcza broń wszystkim fanatycznym ugrupowaniom, jakie uda mu się znaleźć, a one zabijają się nawzajem bronią, którą im sprzedał. Potem szuka innych morderców, tych w garniturach po tysiąc dolarów, siedzących w bogato urządzonych biurach, którzy zajmują się wyłącznie pieniędzmi i wciąga ich w swoją siatkę... Produkcja wzrasta dziesięciokrotnie, później dwudziestokrotnie, jest coraz więcej zabijania, coraz więcej powodów, coraz więcej ugrupowań, którym trzeba sprzedać broń... Złapmy go, Mitch. Dajmy części tego pieprzonego świata szansę oddechu – bez jego dostaw.

–To trudne zadanie, Evan.

–Daj mi parę tygodni na wykurowanie się, a potem wyślij mnie z powrotem do Omanu.

–Co?

–Kupię od Hamendiego taką ilość broni, o jakiej nawet nie marzył... Minęło szesnaście dni. Boże Narodzenie wspominali ze zgrozą, Nowy Rok przywitani ostrożnie, podejrzliwie. Czwartego dnia Evan odwiedził Emilio Carallo i dał mu zdjęcie świetnego, nowego kutra rybackiego, razem z aktem własności, opłaconym kursem na licencję kapitańską, książeczką czekową i gwarancją, że nikt z wyspy Passage to China nie będzie mu zawracał głowy w El Descanso. Była to prawda; z wybranych członków rządu w rządzie, którzy uprzednio konferowali na tej rządowej wyspie, nikt nie chciał przyjąć tego do wiadomości. Natomiast naradzali się z całymi tabunami prawników, a wielu po prostu uciekło z kraju. Nie interesował ich rybakaleka w El Descanso. Interesowało ich ocalenie życia i majątków. Ósmego dnia wielka fala ruszyła z Chicago i przetoczyła się przez środkowy Zachód. Zaczęło się od czterech niezależnych dzienników wychodzących w promieniu około stu kilometrów, które w artykułach redakcyjnych proponowały kandydaturę członka Kongresu, Evana Kendricka, do nominacji na wiceprezydenta. W ciągu trzech dni dołączyły do nich trzy następne dzienniki oraz sześć stacji telewizyjnych, będących własnością pięciu gazet. Propozycje przerodziły się w poparcie. Od Nowego Jorku do Los Angeles, od Bismarck do Houston, od Bostonu do Miami wspólnota największych środków przekazu zaczęła studiować ten pomysł, a wydawcy "Time'a" i "Newsweeka" zwołali pilne narady. Kendricka przeniesiono do odosobnionego skrzydła szpitala wojskowego, a jego nazwisko usunięto ze spisu pacjentów. W Waszyngtonie Annie Mulcahy O'Reilly i personel informowali setki dzwoniących, że przedstawiciel stanu Kolorado przebywa poza krajem i nie może zabrać głosu. Jedenastego dnia kongresman i jego pani wrócili do Mesa Verde, gdzie, ku swemu zaskoczeniu, znaleźli Emmanuela Weingrassa z niewielkim zbiornikiem tlenu, przyczepionym do boku, na wypadek zakłóceń oddechu. Manny dyrygował armią stolarzy reperujących dom. Poruszał się wolniej i często siadał, ale choroba nie miała wpływu na jego odwieczną wybuchowość. To był pewnik; jedyną okazją, kiedy zniżał głos, były rozmowy z Khalehlą – jego "cudowną nową córką, wartą znacznie więcej niż ten próżniak, co tu się stale kręci". Piętnastego dnia Mitchell Payton, pracując razem z młodym geniuszem komputerowym, którego wypożyczył od Franka Swanna, złamał szyfr rejestru Grinella – biblii rządu w rządzie. Pracując przez całą noc, z Geraldem Bryce przy klawiaturze, dwaj mężczyźni przygotowali sprawozdanie dla prezydenta, Langforda Jenningsa, który powiedział im dokładnie, ile mają zrobić wydruków. Zanim zniszczono dyskietkę, z drukarki wysunął się jeden dodatkowy wydruk, ale MJ o tym nie wiedział. Jeden po drugim, wielkie samochody podjeżdżały w nocy, nie pod zaciemnioną posiadłość nad Chesapeake Bay, lecz pod południowy portal Białego Domu. Strażnicy eskortowali pasażerów do Owalnego Gabinetu prezydenta Stanów Zjednoczonych. Langford Jennings siedział za biurkiem, z nogami na ulubionej pufie po lewej stronie krzesła i kiwnięciem głowy witał każdego wchodzącego – oprócz jednego. Na wiceprezydenta Orsona Bollingera spojrział tylko z pogardą. Krzesła ustawiono w półkole przed biurkiem. Pośród zaproszonych, z których każdy trzymał w ręce brązową kopertę, znajdowali się przywódcy większości i mniejszości obu izb Kongresu, Sekretarz Stanu, Sekretarz Obrony, dyrektorzy CIA i NSA, członkowie

organizacji skupiającej szefów personelu, Prokurator Generalny i Mitchell Jarvis Payton z Akcji Specjalnych, CIA. Wszyscy usiedli i czekali w milczeniu. Czekanie nie trwało długo.

–Jesteśmy w wielkiej kupie gówna – zaczął prezydent Stanów Zjednoczonych. – Niech mnie szlag trafi, jeśli wiem, jak to się stało, ale dziś wieczorem chcę znać odpowiedzi na parę pytań albo kilku ludzi w tym mieście spędzi następne dwadzieścia lat w kiciu. Jasne?. Część osób skinęła głowami potakująco, ale spora ilość miała zastrzeżenia; rozgniewane twarze i głosy wyrażały swoje oburzenie aluzjami prezydenta.

–Cisza! – zawołał Jennings. – Chcę, żeby wszyscy dokładnie zrozumieli podstawowe zasady. Każdy z was otrzymał i przypuszczalnie przeczytał sprawozdanie przygotowane przez pana Paytona. Wszyscy przynieśliście je ze sobą i – znów zakładam – nikt, zgodnie z rozkazem, nie wykonał dodatkowych kopii. Czy to, co mówię, się zgadza? – Proszę odpowiadać po kolei, zaczynając od Prokuratora Generalnego z mojej lewej strony. Każdy z zebranych powtórzył gest i słowa głównego przedstawiciela sprawiedliwości. Każdy podniósł do góry brązową kopertę i powiedział:

–Żadnych kopii, panie prezydencie.

–Dobrze. Jennings zdjął nogi z pufy i pochylił się do przodu, opierając ręce na biurku. Koperty są ponumerowane i jest ich tyle, ile osób w tym pokoju. Ponadto pozostaną w tym pokoju, kiedy wyjdziecie. Zrozumiano? Kiwnięcia głowami i potwierdzające mruknięcia.

–Dobrze... Nie muszę wam mówić, że informacje zawarte na tych stronach są równie groźne, co niewiarygodne. Sieć złodziei, morderców i ludzkiego śmiecia, którzy wynajęli morderców i opłacili usługi terrorystów. Masakra w Fairfax, w Kolorado i – mój Boże – na Cyprze, gdzie człowiek wart pięciu takich jak wy bękartów, został wysadzony w powietrze z całą delegacją... To litania zbrodni; sal konferencyjnych w całym kraju, gdzie ustalano ceny z ogromnymi zyskami, kupując wpływy we wszystkich strukturach rządu, zmieniając przemysł obrony narodowej w wór ze szmałem, który może mieć każdy. Jest to również litania oszustw, nielegalnych transakcji z handlarzami broni na całym świecie, kłamliwych zeznań przed komisjami kontroli zbrojeń, kupowania licencji na eksport, zmienianie celów nie przyjętych ładunków. Jezu, ależ to pieprzony bałagan! I każdy z was miał w tym swój udział. Czy ktoś ma jakieś zastrzeżenia?

–Panie prezydencie...

–Panie prezydencie!

–Spędziłem trzydzieści lat w wojsku i nikt się nigdy nie ośmielił...

–A ja się ośmielam! – ryknął Jennings. – I kim pan w ogóle jest, żeby mi mówić, czego nie mogę zrobić? Coś jeszcze?

–Tak, panie prezydencie – odezwał się sekretarz obrony. – Mówiąc językiem pana prezydenta, nie mam pojęcia, do czego konkretnie robi pan, kurwa, aluzje i zgłaszam protest wobec pańskich insynuacji. Konkretnie? Insynuacje? Odpieprz się, Mac, i przeczytaj te liczby! Trzy miliony dolarów za czołg, którego koszt produkcji oceniono

mniej więcej na milion? Trzydzieści milionów za samolot myśliwski, który jest tak przeładowany urządzeniami Pentagonu, że nie może spełniać swoich zadań, więc wraca z powrotem na deski projektantów i znów dziesięć milionów za każdą maszynę? Zapomnij odeskach klozetowych i kluczach maszynowych, masz znacznie większe problemy.

–To są niewielkie sumy w porównaniu z całością wydatków, panie prezydencie.

–Jak powiedział jeden z moich przyjaciół w telewizji, powiedz to biednemu skurwysynowi, który musi utrzymać rodzinę. Może to nie jest dla pana zajęcie, panie sekretarzu. Powtarzamy narodowi, że radziecka gospodarka leży w gruzach, że ich technologia jest całe lata świetlne za nami, a jednocześnie co roku, kiedy planuje pan budżet, domaga się pan więcej pieniędzy, ponieważ tamci przewyższają nas gospodarczo i technologicznie. Jest tu drobna sprzeczność, nieprawdaż?

–Nie rozumie pan złożoności...

–Nie muszę. Rozumiem sprzeczności... A wy, czterej dzielni wojownicy z Izby Reprezentantów i z Senatu – członkowie mojej partii i lojalnej opozycji? Nic wam nie śmierdziało?

–Jest pan niesłychanie popularnym prezydentem – powiedział przywódca opozycji. – Z politycznego punktu widzenia trudno jest przeciwko panu występować.

–Nawet kiedy ryba się psuje?

–Nawet kiedy ryba się psuje, panie prezydencie.

–Więc pan też powinien zrezygnować... A nasza przenikliwa elita militarna, szefostwo Sztabów Połączonych? Kto pilnuje sklepu, czy też jesteście tak wyrafinowani, że zapomnieliście adresu Pentagonu? Pułkownicy, generałowie, admirałowie maszerują ramię w ramię z Arlingtonu w szeregi kontraktowych dostawców i za nic mają interesy amerykańskiego podatnika.

–To nieprawda! – zawołał przewodniczący związku, plując przez zęby. To nie do nas należy, panie prezydencie, sprawdzanie zatrudnienia każdego oficera w sektorze prywatnym.

–Może nie, ale od waszego poparcia zależy, kto ma to wszystko umożliwione... A co z naszymi superszpiegami – CIA i NSA, z pominięciem pana Paytona? Zresztą ręczę, że jeśli któryś z was chciałby go wysłać na Syberię, będzie przede mną odpowiadał przez następne pięć lat. Gdzie wyście, do diabła, byli? Broń wysyłana do całego basenu Morza Śródziemnego i Zatoki Perskiej, do portów, do których Kongres i ja absolutnie zabroniliśmy dostaw! Nie mogliście tego wyśledzić? Kto, do diabła, za to odpowiada?

–W wielu przypadkach, panie prezydencie – zabrał głos dyrektor CIA – kiedy mieliśmy powody do kwestionowania pewnych form działalności, zakładaliśmy, że odbywały się one z pana przyzwoleniem, ponieważ były zgodne z pańską linią polityczną. Tam, gdzie w grę wchodziło prawo, wierzyliśmy, że doradza panu prokurator generalny, tak jak to się zazwyczaj dzieje.

–Zamknęliście więc oczy i powiedzieliście: "Niech sam sobie trzyma ten garnek z gorącymi kartoflami". Dobry sposób, aby chronić własny tyłek, dlaczego jednak nikt tego nie sprawdził u mnie? – Jeśli chodzi o NSA – wtrącił się dyrektor tej firmy – to

wiele razy rozmawialiśmy zarówno z pańskim szefem personelu, jak i z pańskim doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego o dziwnych sprawach, które trafiały na nasze biurka. Pański doradca twierdził, że nic nie wie o – jak to określił – "złośliwych plotkach", a pan Dennison określał je jako – cytuję dokładnie, panie prezydencie – "kupa gówna, jakim obrzuca nas banda ultraliberałów". To były jego słowa, proszę pana.

–Proszę zwrócić uwagępowiedział zimno prezydentże żadnego z tych mężczyzn tu teraz nie ma. Mój doradca odszedł na emeryturę, a szef personelu jest na przepustce z powodów osobistych. W obronie Herba Dennisona chciałbym stwierdzić, że może w sposób autokratyczny sterował okrętem, ale jego nawigacja nie zawsze była dokładna...

–Teraz przechodzimy do naszego głównego urzędnika od przestrzegania prawa, stróża prawnego systemu naszego narodu. Biorąc pod uwagę prawa, które były łamane, naginane i omijane, mam wrażenie, że wyszedł pan na obiad trzy lata temu i do tej pory nie wrócił. Czym się pan zajmuje w swoim departamencie? Grą w bingo czy w kulki? Dlaczego płacimy kilkuset prawnikom, którzy się mają zajmować kryminalną działalnością skierowaną przeciwko rządowi, a ani jedno z przestępstw wymienionych w tym sprawozdaniu nie zostało kiedykolwiek ujawnione?

–Nie wchodziły w zakres naszej kompetencji, panie prezydencie. Koncentrowaliśmy się na...

–Co to jest kompetencja, do jasnej cholery? Ustalanie cen przez korporacje i skandaliczne przekroczenia nie wchodzi w zakres waszych zainteresowań? To coś panu powiem, pacanie, niech się tam lepiej znajdą! A teraz zwróćmy się do mojego szanownego kolegi – to że jest ostatni wcale nie oznacza, że najmniej ważny. Zajmijmy się człowiekiem o bardzo specjalnych zainteresowaniach, najważniejszym facetem na boisku. To są wszystko twoi chłopcy, Orsonie! Jak mogłeś to zrobić?

–To są również pańscy ludzie, panie prezydencie. Dali pieniądze na pańską pierwszą kampanię. Zdobyli o wiele milionów więcej niż pańska opozycja, faktycznie zapewniając panu wybór. Pan poparł ich sprawy, ich nawoływania do nieskrępowanej ekspansji handlu i przemysłu...

–Nieskrępowanej w granicach rozsądku, tak – powiedział Jennings, któremu żyły wyraźnie odznaczyły się na czole – ale nie manipulowanej. Nie skorumpowanej spółkami z handlarzami bronią w całej Europie i w basenie Morza Śródziemnego. I, do ciężkiej cholery, nie wspieranej przez zmowy, wymuszania i wynajmowanych terrorystów!

–Nic o tym wszystkim nie wiedziałem – zapiszczał Bollinger, zrywając się na równe nogi.

–Nie, przypuszczalnie pan nie wiedział, panie wiceprezydencie, ponieważ za bardzo się im pan przydawał załatwiając dla nich wpływy, aby ryzykowali, że pana utracą, kiedy wpadnie pan w panikę. Ale wiedział pan na pewno, że więcej jest tłuszczu na patelni niż dymu w kuchni. Pan tylko nie chciał wiedzieć, co się przypala i tak obrzydliwie śmierdzi. Siadaj pan! Bollinger usiadł, a Jennings kontynuował.

–Przyjmij do wiadomości jedno, Orsonie. Nie jesteś na liście i nie chcę cię widzieć

na spotkaniu partii. Jesteś skończony i jeśli się kiedykolwiek dowiem, że znów coś motasz, czy siedzisz w zarządzie innym niż charytatywny... Po prostu nie rób tego.

–Panie prezydencie! – odezwał się Szef Sztabów Połączonych, wstając. – W świetle pańskich uwag oraz wyraźnie przewidywalnych tendencji, składam moją rezygnację w trybie natychmiastowym. Tę samą deklarację podchwyciło kilka innych osób, tak samo na stojąco i z emfazą. Langford Jennings rozparł się wygodnie na krześle i powiedział spokojnie, zimnym głosem: O, nie! Tak łatwo wam się nie uda. Nie będzie uciekania jak szczury z tonącego okrętu. Każdy zostanie na swoim stanowisku i będzie pracował nad tym, abyśmy wrócili na właściwy kurs... Chciałbym być dobrze zrozumiany: nie interesuje mnie, co ludzie myślą o mnie, o was czy o domu, który chwilowo zamieszkuję, lecz obchodzi mnie ten kraj. Bardzo mnie obchodzi. Tak bardzo, że to wstępne sprawozdanie – daleko mu jeszcze do końca – pozostanie wyłączną własnością tego prezydenta na mocy dekretu o nieujawnianiu, aż uznam, że nadszedł czas, aby je opublikować... A taki czas przyjdzie.

Opublikowanie go dziś zniszczyłoby najsilniejszą władzę prezydencką, jaką ten kraj ma po raz pierwszy od czterdziestu lat i spowodowało nieodwracalne szkody dla kraju, ale powtarzam, sprawozdanie zostanie opublikowane. Chciałbym coś wyjaśnić. Kiedy mężczyzna, a pewnego dnia także kobieta, osiąga ten urząd, zostaje mu jeszcze tylko jedna rzecz w życiu do zrobienia – jego ślad w historii. Ja się wycofuję z tego wyścigu po nieśmiertelność w ciągu następnych pięciu lat, ponieważ w tym czasie pełne sprawozdanie, ze wszystkimi horrorami, będzie opublikowane. Ale nie wcześniej niż każde zło popełnione podczas mojej wachty zostanie naprawione, każde przestępstwo osądzone. Jeśli oznacza to nieustanną pracę, dniem i nocą, to to właśnie będziecie musieli wszyscy robić. Wszyscy, oprócz mojego stręczyciela i pochlebcy, wiceprezydenta, który rozplynie się gdzieś, a jeżeli będziemy mieli szczęście, zachowa się jak trzeba i strzeli sobie w łeb... Ostatnie słowo, panowie. Gdyby któremuś z was przyszło do głowy uciekać z tego przeklętego okrętu, który stworzyliśmy razem niech pamięta, że jestem prezydentem Stanów Zjednoczonych o niesłychanej władzy. W najszerszym pojęciu oznacza to życie i śmierć. Jest to wyłącznie stwierdzenie faktu, ale jeśli ktoś z was zechce zrozumieć to jako pogrózkę... Cóż, można i tak. A teraz proszę wyjść i zacząć myśleć. Payton zostaje.

–Tak jest, panie prezydencie.

–Myślisz, że zrozumieli, Mitch? – spytał Jennings, nalewając sobie i Paytonowi drinka z baru umieszczonego w lewej ścianie Gabinetu Owalnego.

–Ujmijmy to tak: jeśli nie dostanę tej szklanki whisky za sekundę, zacznę się znów trząść. Prezydent uśmiechnął się swoim słynnym uśmiechem, przynosząc Paytonowi szklaneczkę.

–Nieźle jak na faceta, który podobno ma iloraz inteligencji słupa telefonicznego, co?

–To było niesłychane wystąpienie, proszę pana.

–Obawiam się, że ten urząd już się tylko do tego nadaje. – Nie to miałem na myśli, panie prezydencie.

–Oczywiście, że właśnie to, i w dodatku słusznie. Dlatego król, ubrany czy nagi,

potrzebuje silnego premiera, który z kolei stwarza własną rodzinę królewską – z obu partii.

–Słucham?

–Kendrick. Chcę go mieć na liście.

–Obawiam się, że będzie pan musiał go przekonać. Zdaniem mojej siostrzenicy, nazywam ją siostrzenicą, ale naprawdę... – Znam tę historię – przerwał mu prezydent. – I co ona mówi? – Że Evan doskonale zdaje sobie sprawę z tego, co się stało, co się dzieje, i jeszcze się nie zdecydował. Jego najbliższy przyjaciel, Emmanuel Weingrass, jest ciężko chory i długo nie pożyje.

–O tym także wiem. Nie podał pan jego nazwiska, lecz występuje w pańskim sprawozdaniu, prawda?

–Och, przepraszam. Ostatnio mało spałem. Zapominam o różnych rzeczach... W każdym razie Kendrick nalega na powrót do Omanu i nie potrafię go od tego odwieść. Ma obsesję na punkcie handlarza broni Abdela Hamendiego. Wierzy, i słusznie, że Hamendi sprzedaje przynajmniej osiemdziesiąt procent całej broni, używanej na Bliskim Wschodzie i w południowozachodniej Azji, niszcząc jego ukochane kraje arabskie. W pewnym sensie Kendrick jest współczesnym Lawrence'em, który usiłuje uratować swych przyjaciół przed międzynarodową pogardą i całkowitym zapomnieniem.

–Co chciałby osiągnąć?

–Z tego, co mi mówił wynika, że jest to właściwie operacja "żądło". Zresztą na razie tylko cel jest dla niego absolutnie jasny – zdemaskowanie Hamendiego jako tego, który zarabia dziesiątki i setki milionów, sprzedając broń każdemu, kto chce kupić.

–Dlaczego Evan sądzi, że Hamendi się w ogóle tym przejmie. Ostatecznie zajmuje się handlem bronią, a nie nauczaniem Ewangelii. – Może się przejmie, jeśli ponad połowa sprzedanej przez niego broni nie będzie działać, jeśli materiały wybuchowe nie będą wybuchać, a pistolety strzelać.

–Wielki Boże – szepnął prezydent. Odwrócił się i powoli podszedł do biurka. Usiadł, postawił szklankę na bibule i w milczeniu wpatrywał się w przeciwległą ścianę. Wreszcie obrócił się z krzesłem i spojrzął na Paytona stojącego przy oknie. Puść go, Mitch. Nigdy by nie wybaczył ani tobie, ani mnie, gdybyśmy go zatrzymali. Daj mu wszystko, czego potrzebuje, tylko załatw, żeby wrócił... Chcę go tu z powrotem. Kraj chce go z powrotem.

Na drugiej półkuli mgła dryfowała znad Zatoki Perskiej, zakrywając Tujjar Road w Bahrajnie, tworząc aureole wokół ulicznych latarni i zasłaniając nocne niebo. Dokładnie o czwartej trzydzieści nad ranem duży czarny samochód wjechał w tę pustą, nadmorską część śpiącego miasta. Zatrzymał się przed szklanymi drzwiami budynku znanego jako Sahalhuudin, który jeszcze 16 miesięcy wcześniej był księżęcą siedzibą człowiekopotwora, nazywającego siebie Mahdi. Dwaj Arabowie w burnusach wysiedli z tyłu imponującego pojazdu i weszli w neonowe światła, które oświetlały wejście. Wyższy mężczyzna zapukał w szybę; w środku strażnik w recepcji spojrzął na zegarek, wstał z krzesła i szybko podszedł do drzwi. Otworzył je i ukłonił

się gościom.

–Wszystko przygotowane, szanowni panowie.powiedział. Z początku jego głos był ledwie słyszalny. – Strażnicy na zewnątrz zostali zwolnieni wcześniej, poranna zmiana przychodzi o szóstej. – Nie trzeba nam więcej niż połowę tego czasu – odparł młodszy, niższy mężczyzna, najwyraźniej przywódca. Czy twoje dobrze opłacone przygotowanie objęło otwarcie drzwi na górę?

–Z całą pewnością, szanowny panie.

–I działa tylko jedna winda? – spytał starszy, wyższy Arab. – Tak, proszę pana.

–Zatrzymamy ją na górę. Niższy Arab ruszył w stronę wind po prawej stronie, drugi natychmiast poszedł za nim.

–Jeśli się nie mylę – mówił dalej starszy – ostatnią kondygnację przechodzimy pieszo, czy tak?

–Tak, szanowny panie. Wszystkie urządzenia alarmowe są wyłączone, a pokój wygląda tak samo, jak wyglądał... przed tym strasznym porankiem. Również zgodnie z instrukcją zanesiono na górę żądany przedmiot; był w piwnicy. Może się pan orientuje, że władze całkowicie zdemolowały pokój, a potem go zabezpieczyły na wiele miesięcy. Nie mogliśmy tego zrozumieć, szanowny panie.

–Nie musieliście. Ostrzeżesz nas, gdyby ktoś chciał wejść do budynku, albo nawet tylko podszedł do drzwi.

–Będę niczym oczy jastrzębia, szanowny panie!

–Skorzystaj raczej z telefonu. Dwaj mężczyźni doszli do wind i starszy nacisnął guzik. Drzwi otworzyły się od razu.Czy to kompetentny człowiek?spytał niższy Arab, kiedy winda zaczęła jechać w górę.

–Robi, co mu się każe, a to, co mu się każe, nie jest zanadto skomplikowane. Dlaczego biuro Mahdiego było zabezpieczone przez tyle miesięcy?

–Ponieważ władze szukały takich jak my, czekały na takich, jak my. – Całkowicie zdemolowali pokój...? – powiedział starszy z wahaniem, pytająco.

–Nie wiedzieli, gdzie szukać. Winda zwolniła, potem się zatrzymała i drzwi się otworzyły. Obaj mężczyźni pośpiesznie przeszli do klatki schodowej, która prowadziła na piętro Mahdiego i do dawnej "świątyni". Doszli do drzwi biura i niższy mężczyzna zatrzymał się, z ręką na klamce.Ponad rok czekałem na tę chwilę – powiedział, głęboko oddychając. – Teraz, kiedy nadeszła, cały drżę. Wewnątrz dużego dziwnego pokoju, przypominającego meczet, z wysokim sklepieniem sufitem wyłożonym płytkami o jaskrawych barwach, dwaj intruzi stanęli w milczeniu, jakby znaleźli się w obecności jakiegoś potężnego ducha. Meble z ciemnego wypolerowanego drewna pasowały do całości, niczym starożytne postacie dzikich wojowników strzegących wewnętrznego grobowca wielkiego faraona. Ogromne biurko przywodziło na myśl sarkofag zmarłego, obdarzanego czcią przywódcy. Pod przeciwległą ścianą, w uderzającym kontraście do całości, stała nowoczesna metalowa platforma dwu i półmetrowej wysokości, z bocznymi poprzeczkami, umożliwiającymi wejście na górę.To mogło być miejsce odpoczynku Allacha – niech się stanie jego wola – powiedział wyższy Arab.Nie znałeś Mahdiego, mój niewinny przyjacielu – odparł drugi.Przypomnij sobie Midasa, króla frygijskiego... A teraz

szybko, tracimy czas. Przesuń platformę tam, gdzie ci wskażę i wejdź na górę. Starszy Arab podszedł do platformy i spojrzał na swego towarzysza. – Bardziej w lewo – komenderował niższy. – Za drugą szczelinę okna.

–Nie rozumiem – powiedział wyższy mężczyzna, wchodząc na szczeble i wspinając się na górę.

–Jest wiele rzeczy, których nie rozumiesz i nie ma powodu, aby było inaczej... Teraz licz w lewo, sześć płytek od brzegu okna i pięć do góry.

–Tak, tak... Muszę się dobrze wyciągnąć, a przecież nie jestem niski.

–Mahdi był znacznie wyższy, znacznie bardziej imponujący, choć miał swoje wady.

–Słucham?

–Nieważne... Naciśnij cztery rogi płytki na samym skraju, potem z całej siły pchnij dłonią w środek. Już! Płytką dosłownie wyskoczyła z framugi. Wysokiemu Arabowi z trudem udało się nie upaść i nie upuścić płytki.

–O wielki Allachu!wykrzyknął.

–Zwykle ssanie zrównoważone ciężarem – wyjaśnił krótko niższy z Arabów. – Teraz sięgnij do środka i wyciągnij papiery; powinny być wszystkie razem. Podwładny wykonał polecenie, wyciągając płachty komputerowego wydruku, zwinięte w rolkę i obwiązane dwiema gumkami.Rzuć je do mnie – mówił dalej niższy mężczyzna – i włóż płytkę na swoje miejsce, w taki sam sposób, jak wyjmowałeś, zaczynając od nacisku na środek. Wysoki Arab niezręcznie wykonał polecenie, a potem zszedł na dół. Podszedł do swego przełożonego, który rozwinął kilkanaście stron wydruku i zachłannie je przeglądał.

–To jest skarb, o którym mówiłeś?

–Od Zatoki Perskiej do zachodnich wybrzeży Morza Śródziemnego nie ma większego – odparł młodszy Arab, ze wzrokiem zatopionym w papierach. – Zabili Mahdiego, ale nie mogli zniszczyć tego, co stworzył. Wycofanie się było konieczne, demobilizacja pożądana lecz nie rozbrojenie. Liczne odgałęzienia przedsięwzięcia nie zostały zniszczone, ani nawet ujawnione. Po prostu odpadły i wróciły do ziemi, gotowe, aby pewnego dnia stworzyć własny pień.Mówią ci to te dziwne strony? Młodszy Arab kiwnął głową, nadal czytając wydruk.Cóż takiego mówią, w imię Allacha? – pytał dalej starszy. Niższy mężczyzna spojrzał z ciekawością na swego towarzysza. – Właściwie czemu nie – powiedział z uśmiechem. – To są wykazy każdego mężczyzny, każdej kobiety, każdej firmy, towarzystwa i korporacji, każdego kontaktu podziemnego przejścia do terrorystów, jakie czynił Mahdi. Przywrócenie całej tej organizacji potrwa miesiące, może nawet całe lata, ale zrobimy to. Widzisz, oni czekają. Ostatecznie Mahdi miał rację: to jest nasz świat Nie poddamy się nikomu.

–Musimy podzielić się słowem, przyjacielu! – zawołał starszy, wyższy mężczyzna. – Musimy, prawda?

–Bardzo ostrożnie – odparł młodszy. – Żyjemy w innych czasach – dodał enigmatycznie. – Wyposażenie z zeszłego tygodnia jest już przestarzałe.

–Nie chcę udawać, że rozumiem.

–To nadal nie jest konieczne.

–Skąd przychodzisz? – zapytał oszołomiony podwładny. – Kazali nam ciebie słuchać, ponieważ wiesz takie rzeczy, których człowiek taki jak ja nie może wiedzieć. Ale jak, skąd?

–Z bardzo daleka, od lat przygotowując się na tę chwilę... Teraz zostaw mnie. Szybko. Zejdź po schodach i powiedz strażnikowi, żeby zabrał platformę do piwnicy, a później daj sygnał krążącemu samochodowi. Kierowca zawiezie cię do domu. Spotkamy się jutro, w tym samym miejscu, o tej samej porze.

–Niech Allach i Mahdi zostaną z tobą – pożegnał się wysoki Arab. Pokłonił się i prędko wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Młody człowiek poczekał aż jego towarzysz wyjdzie, potem sięgnął pod burnus i wyciągnął małe radio. Nacisnął na guzik i powiedział:

–Będzie na zewnątrz za dwietrzy minuty. Zawieź go na skały na południowym wybrzeżu. Zabij go, zdejm z niego ubranie, a pistolet wrzuć do morza.

–Rozkaz – odparł kierowca limuzyny, który znajdował się kilka ulic dalej. Młody mężczyzna schował radio i podszedł do dużego, hebanowego biurka. Zdjął ghotrę, rzucając ją po drodze na podłogę, i zasiadł za biurkiem na fotelu przypominającym tron. Otworzył szeroką szufladę z lewej strony na dole i wyjął koronę Mahdiego wysadzaną klejnotami. Włożył ją na głowę i przemówił cicho do mozaikowego sufitu: Dziękuję ci, mój Ojcze – mówił spadkobierca z doktoratem w dziedzinie nauk komputerowych na uniwersytecie w Chicago. To że zostałem wybrany spośród wszystkich twoich synów jest zarówno wyróżnieniem, jak i wyzwaniem. Moja słaba biała matka nigdy nie zrozumie, lecz jak zawsze mi to powtarzałeś, ona była tylko naczyniem... Muszę ci jednak powiedzieć, Ojcze, że sprawy dzisiaj wyglądają zupełnie inaczej. Musimy działać subtelnie i zakładać cele długoterminowe. Będziemy stosować twoje metody, tam gdzie będą potrzebne – zabijanie nie jest dla nas problemem – ale my chcemy ogarnąć znacznie większą część globu niż ty kiedykolwiek planowałeś. Będziemy mieli komórki w całej Europie i w basenie Morza Śródziemnego i będziemy się komunikować na takie sposoby o jakich nigdy nie myślałeś – w tajemnicy, przez satelitę, bez możliwości przechwycenia. Widzisz, mój Ojcze, świat dzisiaj nie należy do jednej czy drugiej rasy. Należy do młodych, silnych i utalentowanych, i to jesteśmy my. Nowy Mahdi przestał szeptać i opuścił oczy na blat biurka Wkrótce dostanie to, czego potrzebuje. Jeszcze większy syn wielkiego Mahdiego będzie kontynuował dzieło. Musimy mieć kontrolę. Wszędzie!

*** * ***

KSIĘGA III

Rozdział 45

Minął trzydziesty drugi dzień od ucieczki z wyspy Passage to China. Emmanuel Weingrass wolnym krokiem wszedł na osłoniętą werandę w Mesa Verde. Mówił, jak zwykle, szybko.

–Gdzie jest ten próżniak? – spytał.

–Biega w terenie – odparła Khalehla, która piła właśnie poranną kawę i czytała gazetę. – A może jest już gdzieś w górach, kto wie? – W Jerozolimie jest druga po południu – powiedział Manny.

–A w Maskacie – czwarta – dodała Rashad. – Ależ oni wszyscy są mądrzy.

–Moja dowcipna córeczka.

–Usiądź, dziecko – powiedziała Khalehla, poklepując poduszkę obok siebie.

–Jeszcze śmieszniej – burknął pod nosem Manny, podchodząc i odpinając pojemnik z tlenem, aby usiąść na kanapie. – Próżniak nieźle wygląda – mówił dalej, opierając się i ciężko oddychając. – Można by pomyśleć, że trenuje na olimpiadę.

–A propos, masz papierosa?

–Nie wolno ci palić.

–Więc daj.

–Jesteś niemożliwy. – Khalehla sięgnęła do kieszeni szlafroka, wyciągnęła paczkę papierosów i wytrząsnęła jednego, sięgając jednocześnie po zapalniczkę. Zapaliła papierosa Weingrassowi i powtórzyła: Jesteś niemożliwy.

–A ty jesteś moja arabska siostra przełożona – odparł Manny, zaciągając się papierosem, tak jak dziecko rozkoszuje się zakazaną trzecią dokładką deseru. – Co słyhać w Omanie?

–Mój stary przyjaciel sułtan jest z lekka zdezorientowany, ale moja nieco młodsza przyjaciółka, jego żona, wszystko mu wyjaśni... Ahmat przesyła ci pozdrowienia.

–Nic dziwnego. Jest mi dłużny za swoje stopnie w Harvardzie i do tej pory nie oddał mi pieniędzy za dziwki w Los Angeles. – Ty zawsze trafiasz w samo sedno... Jaka jest sytuacja w Jerozolimie?

–A propos przesyłania pozdrowień, BenAmi cię pozdrawia. – Benny! – zawołała Rashad, siadając prosto. – Dobry Boże, nie myślałam o nim od lat! Czy ciągle носи te idiotyczne džinsy i przywiązuje broń z tyłu do końskiego ogona?

–Będzie to robił zawsze i każe Mosadowi płacić sobie podwójną stawkę.

–To świetny facet i jeden z najlepszych agentów, jakiego Izrael kiedykolwiek miał. Pracowaliśmy razem w Damaszku. BenAmi jest mały i trochę cyniczny, ale warto go mieć po swojej stronie. W gruncie rzeczy jest twardy jak kamień.

–Jakby powiedział twój próżniak: "Co ty powiesz?". Okrążyliśmy kiedyś hotel w Bahrajnie i wszystko, co on zrobił, to było pouczenie mnie przez radio.

–Dołączy do nas w Maskacie?

–Dołączy do ciebie, ty nie bardzo miła osobo, która mnie wyrzuciła.

–Daj spokój, Manny...

–Wiem, wiem. Jestem ciężarem.

–A co ty sądzisz?

–W porządku, jestem ciężarem, ale nawet ciężarom należy się jakaś informacja.

–Przynajmniej dwa razy dziennie. Gdzie spotka się z nami BenAmi? I jak? Nie przypuszczam, aby Mosad chciał mieć z tym coś wspólnego.

–Po aferze w Iranie nikt nie chce mieć z tym nic wspólnego, zwłaszcza że zamieszana jest w to CIA i banki szwajcarskie. Ben zostawi numer telefonu w centrali pałacowej dla panny Adrienne to był mój pomysł... I ktoś jeszcze z nim przyjedzie.

–Kto?

–Wariat. " Znakomicie. Ma jakieś imię?

–Jedyne jakie znałem to był kryptonim Błękitny.

–Azra!

–Nie, ten drugi.

–Wiem, ale Izraelczycy zabili Azrę, po arabsku Błękitny. Evan mówił mi, że to było straszne – dzieci, a tyle w nich było nienawiści. – U dzieci to zawsze jest straszne. Zamiast kijów do baseballa noszą karabiny maszynowe i granaty... Czy Payton załatwił wszystko z transportem?

–Przerabialiśmy to wczoraj. Z ładunkiem sił powietrznych do Frankfurtu, stamtąd do Kairu, skąd po kryjomu lecimy małym samolotem do Kuwejt i Dubaju, ostatni odcinek helikopterem. Dolecimy do Omanu w nocy i wylądujemy w Dżabal Szam, skąd zabierze nas do pałacu jeden z nie oznakowanych samochodów Ahmata. – To naprawdę po kryjomu. – Weingrass pokiwał głową z podziwem.

–Nie może być inaczej. Evan musi zniknąć, a w tym czasie będą się rozpowszechniać opowieści o tym, że widziano go na Hawajach. Dział graficzny przygotowuje jego zdjęcia, które dostaną się do gazet. – Wyobraźnia Mitchella się poprawia.

–Nie ma lepszego od niego, Manny.

–Może on powinien kierować Agencją? Nie, nie cierpi pracy administracyjnej i jest fatalnym politykiem. Jeśli kogoś lub czegoś nie lubi, wszyscy o tym wiedzą. Dobrze mu tam, gdzie jest teraz. Dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi wejściowych miał natychmiastowy wpływ na Weingrassa.

–Oj! – zawołał, wkładając swój papieros w usta zaskoczonej Khalehli i odpędzając od siebie dym w kierunku Rashad.

–Niegrzeczna shiksa – szepnęła. – Pali przy mnie!

–Jesteś niemożliwy – powiedziała cicho Khalehla, wyjęła papierosa i zgasiła go w popielniczce, w chwili gdy Kendrick przechodził przez salon na ganek.

–Nigdy nie paliłaby tak blisko ciebie – skarcił go Evan, w niebieskim dresie, z twarzą zlaną potem.

–Chyba masz uszy dobermana?

–A ty mózg złapanego na haczyk błękitka.

–Bardzo sprytna rybka.

–Przepraszam – powiedziała spokojnie Rashad. – Trzeba mu wiele wybaczyć.

–Co ty powiesz?

–Co ja przed chwilą mówiłem?! – wykrzyknął Weingrass. – On to mówi przez cały czas. To oznaka wysoko rozwiniętego kompleksu wyższości, szalenie irytująca dla

prawdziwych intelektualistów... Dobry masz czas, tępaku? Kendrick uśmiechnął się i podszedł do barku, gdzie stał dzbanek soku pomarańczowego.

–Trzydzieści minut szybkim krokiem – odpowiedział, nalewając sobie soku.

–To dobry czas dla kowbojskiego konia na przeglądzie.

–Ciągle mówi takie rzeczy – zaprotestował Kendrick. To denerwujące.

–Co ty powiesz? – Khalehla piła swoją kawę.

–Nikt nie dzwonił? – spytał Evan.

–Dopiero minęła siódma, kochanie.

–Nie w Zurichu. Tam minęła pierwsza po południu. Rozmawiałem z nimi zanim wyszedłem.

–Z kim? – zapytała Rashad.

–Głównie z dyrektorem Gemeinschaft Bank. Mitch śmiertelnie go nastraszył posiadanymi przez nas informacjami i facet stara się pomóc... Poczekaj chwileczkę. Czy ktoś sprawdzał telex w gabinecie?

–Nie, ale słyszałem jak to cholerstwo klekotało jakieś dwadzieścia minut temu. Kendrick odstawił szklankę, odwrócił się i szybko wyszedł z werandy. Przeszedł przez salon i wszedł w drzwi za kamiennym korytarzem. Khalehla i Manny spoglądali za nim, później spojrzeli na siebie i wzruszyli ramionami. Po chwili kongresman wrócił. W ręku trzymał kartkę papieru, a na jego twarzy malowało się podniecenie. – Zrobili!zawołał.

–Kto zrobił co? – spytał Weingrass.

–Bank. Pamiętacie te pięćdziesiąt milionów kredytu, które Grinell i jego złodziejskie towarzystwo w Kalifornii przygotowali, aby mnie kupić?

–Mój Boże! – krzyknęła Khalehla. – Chyba nie zostawili tych pieniędzy gotowych do podjęcia?

–Oczywiście, że nie. Zostały zamrożone w chwili, kiedy Grinell wy dostał się z wyspy.

–Więc? – zapytał Manny.

–W czasach skomplikowanych połączeń telekomunikacyjnych od czasu do czasu zdarzają się pomyłki komputerowe i właśnie trafiło się takie cacko. Nie ma śladu, że bank otrzymał odwołanie operacji. Kredyt jest ważny, został tylko przekazany do siostrzanego banku w Bernie, z nowym, zakodowanym numerem konta.

–Nigdy tego nie pokryją – stwierdził stanowczo Weingrass. – Zostanie to wypłacone z ich rezerw, które są dziesięć razy większe niż pięćdziesiąt milionów.

–Będą o to walczyć – stwierdziła równie stanowczo Khalehla. – I wystąpią w szwajcarskim sądzie? Raczej wątpię.

Nie oznakowany śmigłowiec Cobra leciał nad pustynią na wysokości poniżej stu pięćdziesięciu metrów. Evan i Khalehla, wykończeni blisko dwudziestoma sześcioma godzinami spędzonymi w powietrzu i podziemnymi kontaktami na lądzie, siedzieli obok siebie. Rashad oparła głowę na ramieniu Kendricka; oboje spali. Mężczyzna w kombinezonie koloru khaki, bez insygniów, wyszedł z kabiny i potrząsnął Evana za ramię.

–Lądujemy za piętnaście minut.

–Co? – Kendrick podniósł głowę, mrugając oczyma i szeroko je otwierając, aby pozbyć się snu. – Dzięki. Obudzę moją przyjaciółkę; one zawsze mają coś do zrobienia przed lądowaniem, prawda? – Ta "one" nie ma powiedziała Khalehla głośno, nie poruszając się. – Będę spała do ostatniej chwili.

–Przepraszam, ale ja wstaję. Wzywają mnie potrzeby naturalne. – Mężczyźni – mruknęła agentka z Kairu, przenosząc głowę z jego ramienia na drugą stronę oparcia. – Żadnej samokontroli – dodała, z zamkniętymi wciąż oczyma. Po szesnastu minutach pilot zawiadomił przez głośnik: Sygnał świetlny przed nami. Proszę zapiąć pasy do lądowania. Śmigłowiec zatrzymał się i wisiał nad ziemią, w miejscu gdzie światła dwóch samochodów stojących naprzeciwko siebie zastąpiły sygnał świetlny. Helikopter powoli, opuścił się w dół. Proszę wysiąść jak najszybciej – powiedział pilot. – Musimy się stąd zabierać i to prędko, jeśli wiecie, co mam na myśli. Ledwie postawili nogi na ziemi, Cobra poderwała się z łoskotem silnika w nocne niebo; zawróciła w świetle księżyca nad pustynią i ruszyła na północ, szybko przyśpieszając. Hałas zanikał w ciemności. W świetle samochodowych reflektorów ukazał się młody sułtan Omanu. Miał na sobie spodnie i białą koszulę, która zastąpiła piłkarską koszulkę z nazwą drużyny, jaką nosił szesnaście miesięcy wcześniej, kiedy po raz pierwszy spotkał się z Evanem na pustyni. – Będę mówił pierwszy, dobrze? – zaczął, kiedy Kendrick i Rashad podeszli.

–Dobrze – odparł Kendrick.

–Pierwsza reakcja nie zawsze jest słuszna, prawda?

–Prawda – zgodził się Evan.

–Ale ja powinienem mieć rację, tak?

–Tak.

–Z drugiej strony, konsekwencja charakteryzuje mierne umysły, czyż nie?

–W granicach rozsądku.

–Bez warunków.

–Nie zabawiaj się w adwokata. Z Mannym w Los Angeles...

–Co? Mówisz o tym izraelskim hipokrycie...

–Przynajmniej nie nazwałś go Żydem.

–Nie lubię tego słowa tak samo jak określenia "brudny Arab". – O co właściwie chodzi, Ahmat? Młody sułtan odetchnął głęboko i powiedział szybko: Znam już całą historię i czuję się jak kretyn.

–Całą historię?

–Wszystko. Inver Brass, bandyci Bollingera, ten bękart Hamendi, którego moi królewscy bracia saudyjscy powinni byli zlikwidować w chwili, gdy go złapali... I powinienem wiedzieć, że ty nie zrobiłbyś tego, co myślałem, że zrobiłeś. "Komandos Kendrick" przeciwko przeklętym Arabom to nie możesz być ty, to nigdy nie byłeś ty... Przepraszam, Evan. Ahmat podszedł bliżej i uścisnął kongresmana z dziewiątego okręgu Kolorado. Za chwilę się rozplaczę – powiedziała Khalehla, przyglądając się im z uśmiechem.

–Ty tygryś z Kairu! – wykrzyknął sułtan, puszczając Evana i biorąc w ramiona Rashad. Mamy córeczkę, wiesz. PółAmerykanekę, półOmanekę. Może coś słyszałaś?

–Wiem. Nie wolno mi się było z wami kontaktować...

–Rozumieliśmy to.

–Ale byłam bardzo wzruszona. Ma na imię Khalehla. Gdyby nie ty, Khalehla numer 1, nie byłoby Khalehli numer 2.:. Chodźmy. Kiedy ruszyli w stronę limuzyny sułtana, Ahmat zwrócił się do Evana:

–Wyglądasz całkiem niezłe, jak na faceta, który tyle przeszedł. – Mimo podeszłego wieku udało mi się wykurować – powiedział Kendrick. – Powiedz mi coś, Ahmat. Kto ci opowiedział całą historię?

–Człowiek nazwiskiem Payton, Mitchell Payton z CIA. Wasz prezydent Jennings zadzwonił do mnie i powiedział, że mam się spodziewać telefonu od tego Paytona, i żebym z nim porozmawiał, bo to bardzo pilne. Hej, ten Jennings to czarujący człowiek, co? Chociaż nie jestem pewien, czy wie to wszystko, co powiedział mi Payton. – Dlaczego to mówisz?

–Nie wiem, odniosłem takie wrażenie. – Młody sułtan zatrzymał się przy telefonie i spojrzał na Evana. – Jeśli uda ci się ten numer, przyjacielu, zrobisz dla Bliskiego Wschodu i dla nas, w Zatoce, więcej niż wszyscy dyplomaci w dziesięciu organizacjach Narodów Zjednoczonych. Uda się, ale musisz nam pomóc.

–Załatwione.

Ben – Ami i człowiek o pseudonimie Błękitny weszli wąską uliczką na bazar Al Kabir, w poszukiwaniu ulicznej kawiarni, w której mogliby się napić kawy. Obaj mieli na sobie porządne ciemne garnitury, które pasowały do ich zawodu – urzędników Bank of England w Manamah – który mieli wpisany do wiz bahrajńskich. Zobaczyli stoliki na chodniku, przecisnęli się przez tłum przy straganach i usiedli przy pustym stoliku najbliższej jezdni, zgodnie z instrukcją. Trzy minuty później podszedł do nich wysoki mężczyzna w białym turbanie i w arabskim nakryciu głowy.

–Zamówiliście kawę? – spytał Kendrick.

–Jeszcze nikt nie podszedł – odparł BenAmi. – Dużo klientów. Jak się pan czuje, kongresmanie?

–Mów do mnie Evan, albo – jeszcze lepiej – Amal. Jestem tutaj, co poniekąd odpowiada na twoje pytanie.

–A Weingrass?

–Obawiam się, że niezbyt dobrze... Cześć, Błękitny.

–Cześć – odpowiedział młody człowiek, wpatrując się w Kendricka.

–W tym garniturze wyglądasz jak prawdziwy biznesmen, zupełnie nie po wojskowemu. Nie jestem pewien, czy bym cię poznał, gdybym nie wiedział, że tu będziesz.

–Nie jestem już wojskowym. Musiałem odejść z Brygady. Będzie im ciebie brak.

–Mnie też ich brak, ale nie mogłem się do końca wyleczyć, mam kłopoty ze ścięgna. Azra był dobrym wojownikiem, umiał walczyć. – Ciągle ta nienawiść? Nie ma nienawiści w moim głosie. Gniew, tak, z wielu powodów, ale nie nienawiść do człowieka, którego musiałem zabić.

–Co teraz robisz?

–Pracuję dla rządu.

–Pracuje dla nas – wtrącił się BenAmi. – Dla Mosadu.

–A propos, Ahmat przeprasza, że nie zaprosił was do pałacu...Czy on zwariował? Potrzeba mu jeszcze tylko członków Mosadu w domu. Dla nas też nie byłoby najlepiej, gdyby ktoś to odkrył. – Ile Manny ci powiedział?

–Spytaj lepiej, czego ten gaduła nie powiedział. Dzwonił także po twoim wyjeździe ze Stanów z dodatkową informacją, którą Błękitny mógł wykorzystać.

–Jak, Błękitny?... A swoją drogą nie masz innego imienia? – Bez urazy, proszę pana, nie dla Amerykanina. Z uwagi na nas obu.W porządku, akceptuję. Co powiedział Weingrass, co mogłeś wykorzystać i jak? Młody mężczyzna pochylił się nad stolikiem. Wszystkie głowy zbliżyły się do siebie.

–Podał nam sumę pięćdziesięciu milionów...

–Genialna manipulacja! – wtrącił się BenAmi. – i nie wierzę, że to był pomysł Manny'ego.Co?... No, on też miewa dobre pomysły. Bank nie miał wyjścia. Waszyngton mocno naciskał. I co z tymi pięćdziesięcioma milionami?Południowy Jemen – odparł Błękitny.

–Nie rozumiem.

–Pięćdziesiąt milionów to bardzo dużo pieniędzy – powiedział były przywódca Brygady Mosadu – choć przekazuje się czasami większe. Iran, Irak, itd. Musimy dopasowywać się do bogatych ludzi. Stąd Południowy Jemen. To biedny kraj i pełen terrorystów, ale jego odległe, niemal niedostępne położenie, między Zatoką Adeńską a Morzem Czerwonym, nadaje mu strategicznego znaczenia dla innych ugrupowań terrorystycznych, popieranym przez znacznie bogatsze źródła. Stale poszukują terenów, ukrytych miejsc do ćwiczeń, gdzie mogliby trenować swoich ludzi i rozsiewać truciznę. Bekaa jest wciąż infiltrowana, a z Kadafim nikt nie chce mieć do czynienia. To wariat, któremu nie można zaufać, a którego lada dzień mogą obalić.

–Powinienem być cię uprzedzić – znów przerwał BenAmi – że Błękitny stał się jednym z naszych bardziej uświadomionych specjalistów od zwalczania terroryzmu.

–Zdaje się, że masz rację. Kontynuuj, młody człowieku.

–Nie jest pan dużo starszy.

–Jakieś dwadzieścia lat, mniej więcej. Mów dalej.

–Pański pomysł, jak rozumiem, polega na tym, żeby wszystkie powietrzne dostawy broni od dostawców Hamendiego z całej Europy i Ameryki przechodziły przez Maskat, gdzie skorumpowani urzędnicy przemykają oczy i pozwalają, aby poleciały do Libanu i do doliny Bekaa. Zgadza się? Tak, i kiedy przylatuje samolot z ładunkiem, strażnicy sułtana przebrani za Palestyńczyków dokonują szkód, rzekomo sprawdzając dostawy, za które zapłacili Hamنديemu. Załoga samolotu przechodzi kwarantannę w oddzielnym pomieszczeniu. Każdy samolot zabiera, powiedzmy, sześćdziesiąt do siedemdziesięciu skrzyń, które będzie otwierać grupa dziesięciu mężczyzn i nasycać korodującym kwasem. Cały proces nie zajmie więcej niż piętnaście – dwadzieścia minut na samolot; taki czas jest do przyjęcia i mamy nad wszystkim kontrolę. Żołnierze z Maskatu rozstawiają posterunki i nikt, oprócz naszych ludzi, nie będzie mógł wejść do środka.

–Może być – powiedział Błękitny – choć moim zdaniem cała jest zbyt pośpieszna i

ryzykowna. W tej części świata piloci nie zgadzają się na zostawienie samolotu, a załogi, przeważnie goście o rozwiniętych mięśniach i bez rozumu, będą się awanturować, kiedy ktoś obcy zacznie im rozkazywać; niech mi pan wierzy, oni potrafią wyczuć urzędnika na odległość... Zamiast tego powinniście namówić najbardziej znanych przywódców z doliny Bekaa, żeby udali się ze swoimi dawnymi oddziałami do Południowego Jemenu. Nazwijcie to nowym, tymczasowym ruchem finansowanym przez wrogów Izraela, których nie brak w okolicy. Powiedzcie im, że jest tam broń i urządzenia do intensywnych ćwiczeń, a także pieniądze na wysyłanie zamachowców do Gazy i na Wzgórza Golan, na początek przewidziano na to pięćdziesiąt milionów dolarów, później będzie więcej, w miarę potrzeby. Ci maniacy nie będą potrafili się temu oprzeć. A zamiast wielu samolotów z ładunkiem wystarczy jeden statek, załadowany w Bahrajnie, okrążający zatokę tutaj i płynący dalej na południe, wzdłuż wybrzeża, do portu Nishtun w Południowym Jemenie.

–Gdzie się coś wydarzy? – pytał Kendrick.

–Powiedzmy na wodach na zachód od Ra's al Hadd.

–Co się stanie?

–Piraci – odpowiedział Błękitny, z cienkim uśmiechem. – Kiedy zdobędą kontrolę nad statkiem, będą mieli dwa dni na morzu, aby zrobić to, co muszą, znacznie subtelniej i dokładniej niż gdyby się miotali po terenie przeładunkowym na lotnisku, gdzie Hamendi może nawet mieć swoich ludzi. Nadszedł zziębnięty kelner, który przeproszał jęczącym tonem i przeklinał tłok w kawiarni. BenAmi zamówił kawę z kardamonem, a Evan przyglądał się młodemu Izraelicie.

–Mówisz: "Kiedy zdobędą kontrolę" – odezwał się Kendrick. A jeśli jej nie zdobędą? Jeśli coś się nie uda, na przykład nasi porywacze nie opanują statku, albo radio zdąży nadać wiadomość do Bahrajnu, wystarczy jedno słowo: "Piraci"? Wtedy nie ma kontroli. Nie uszkodzona broń dopływa na miejsce i Hamendi jest wolny, z dodatkowymi milionami w kieszeni. Ryzykowalibyśmy bardzo dużo.

–Ryzykujecie znacznie więcej na lotnisku w Maskacie – przekonywał szeptem Błękitny. – Musicie mnie posłuchać. Wrócił pan tutaj półtora roku temu zaledwie na kilka dni. Nie mieszka pan tu od lat; nie wie pan, czym się stały lotniska. To gniazda korupcji. Kto i co wwozi? Kto dostał łapówkę i jak mam go zaszantażować? Jakie są zmiany proceduralne? Powiedz mi, mój arabski ostiga, mój dobry hebrajski freund. Nic nie umknie przed oczyma szakali szukających pieniędzy, a za takie informacje płaci się dobrze. Przejęcie statku na morzu jest mniejszym ryzykiem przy większym zysku, niech mi pan wierzy.

–Jesteś szalenie przekonujący.

–Ma rację – stwierdził BenAmi, kiedy przyniesiono im kawę. – Shukren – powiedział agent kontroli Mosadu, dziękując i płacąc kelnerowi, który poleciał do innego stolika. – Oczywiście, ty musisz podjąć decyzję, Amalu Bahrudi.

–Gdzie możemy znaleźć tych piratów? – spytał Evan. Jeśli można ich znaleźć i jeśli będą się nadawać?

–Ponieważ byłem przekonany do mojego pomysłu – odparł Błękitny, z oczami utkwionymi w twarzy Kendricka, która raz po raz wylaniała się z cienia stwarzanego

przez przechodzące tłumy – omówiłem możliwość takiego zadania z moimi byłymi kolegami z Mosadu. Było więcej ochotników, niż mogłem zliczyć. Tak jak pan nienawidził Mahdiego, tak my nienawidzimy Abdela Hamendiego, który dostarcza kul do zabijania naszych ludzi. Wybrałem sześciu ludzi. – Tylko sześciu?

–To nie może być wyłącznie operacja izraelska. Z sześcioma innymi skontaktowałem się na Zachodnim Brzegu – to Palestyńczycy, którzy mają tak samo dość Hamendich tego świata jak ja. Razem stworzymy grupę, ale jest jeszcze za mała. Potrzebujemy sześciu następnych. Skąd? z naszego arabskiego kraju, takich którzy chętnie i z pełną świadomością skręcą kark Abdelowi Hamendiemu. Czy twój sułtan znalazłby takich sześciu pośród swoich osobistych strażników? – Większość z nich to chyba są jego krewni.

–Tym lepiej. Nielegalny zakup broni na międzynarodowym rynku jest względnie łatwym zadaniem, o czym świadczy fakt, że raczej prości ludzie, od Waszyngtonu do Bejrutu, potrafią to robić. Istnieją trzy podstawowe warunki wstępne. Pierwszy – to bezpośredni dostęp do tajnych funduszy. Drugi – nazwisko pośrednika, które można zazwyczaj uzyskać podczas lunchu (nie przez telefon) od wyższego urzędnika przedsiębiorstwa produkującego broń lub od przekupnego członka organizacji wywiadowczej. Taki pośrednik musi umieć dotrzeć do następnego pośrednika, który wszystko zorganizuje i skoordynuje przygotowanie niezbędnych papierków. W Stanach Zjednoczonych oznacza to, że licencje eksportowe wystawia się bez problemu dla broni przeznaczonej dla krajów zaprzyjaźnionych; po drodze przesyłka zmienia kierunek. Trzeci warunek powinien być najłatwiejszy, ale na ogół jest najtrudniejszy z powodu nadzwyczajnej różnorodności towarów. Mowa tu o przygotowaniu listy broni i dodatkowego wyposażenia, które chcemy nabyć. Efektywność i zakres rażenia są zawsze kwestionowane i niejeden człowiek stracił życie podczas gorących debat na ten temat, kiedy kupujący często wpadają w histerię. Dlatego właśnie organizacyjne talenty młodego Błękitnego tak bardzo były przydatne pod względem czasu i szczegółowości. Agenci Mosadu w dolinie Bekaa przysłali listę najbardziej obecnie popularnej broni, dodając zwyczajową ilość skrzyń z bronią półautomatyczną, granatami, środkami wybuchowymi z zapalnikiem czasowym, czołgami przystosowanymi do pokonywania dużych odległości pod wodą oraz sprzętem burzącym z dodatkowym wyposażeniem ćwiczebnym i bojowym, takim jak bosaki, grube liny i drabinki sznurowe, lornetki noktowizyjne, komputerowo sterowane moździerze, miotacze ognia oraz pociski raketowe klasy ziemiapowietrze. Była to solidna lista, która zjadła około osiemnastu z przewidywanych dwudziestu sześciu milionów, bo takiej wartości broń można kupić "za pięćdziesiąt milionów amerykańskich dolarów – płynny kurs wymiany zawsze był korzystny dla handlarza. Dlatego Błękitny dodał trzy małe chińskie czołgi do działu "środków obrony cywilnej" i lista była gotowa – i nie tylko gotowa, lecz całkowicie wiarygodna. Nie znany, nie notowany, nigdy później nie wspomniany agent kontroli, niejaki BenAmi, teraz w swoich ulubionych džinsach marki Ralph Lauren, działał z domu Mosadu, obok portugalskiego cmentarza w Dżabal Sa'ali. Ku jego wściekłości okazało się, że pośrednikiem Abdela Hamendiego jest Izraelczyk z Bet Shemesh. BenAmi, skrywając

pogardę, wynegocjował warunki transakcji, wiedząc że w Bet Shemesh ktoś niebawem umrze, jeżeli im wszystkim uda się przeżyć. Dwie grupy liczące po sześciu komandosów przybyły, jedna po drugiej, w nocy, na pustynię Dżabal Szam, gdzie sygnały świetlne naprowadziły dwa helikoptery na miejsce wyładunku. Sułtan Omanu przywitał ochotników i przedstawił ich kolegom – sześciu wysoce kwalifikowanym osobistym strażnikom z garnizonu w Maskacie. Osiemnastu ludzi – Palestyńczyków, Izraelczyków i Omańczyków uścisnęło sobie dłonie przed podjęciem wspólnego zadania. Śmierć handlarzowi śmiercią. Trening rozpoczął się następnego dnia, za rafami Al Ashkarah na Morzu Arabskim. Śmierć handlarzowi śmiercią.

Adrienne Khalehla Rashad weszła do biura Ahmata z niemowlęciem imieniem Khalehla na rękach. Razem z nią przyszła matka dziecka, Roberta Yamenni z New Bedford w stanie Massachusetts, znana pośród elity Omanu jako Bobbie.

–Ona jest przepiękna! – wykrzyknęła agentka z Kairu.

–Nic dziwnego – stwierdził ojciec dziecka zza biurka. Obok niego siedział Evan Kendrick. – Musi być podobna do swojej imienniczki. – Bzdura.

–Nie z mojej pozycji – powiedział amerykański kongresman. – Ty jesteś nadmiernie pobudliwym niedźwiedziem.

–Poza tym wyjeżdżam dziś wieczorem.

–Ja też – dodał sułtan Omanu.

–Nie możesz...

–Nie możesz! Oba wysokie kobiece głosy zabrzmiały jednocześnie.

–Co ty sobie, do diabła wyobrażasz? Co masz zamiar zrobić? – zawołała żona sułtana.

–Co mi się podoba – odparł spokojnie Ahmat. – Jeśli chodzi o królewskie prerogatywy, nie muszę się z nikim konsultować. – Pieprzysz głupoty – stwierdziła żona i matka.

–Wiem, ale i tak zrobię, co zechcę. Trening trwał siedem dni, a ósmego dnia dwudziestu dwóch pasażerów wsiadło na trałowiec u wybrzeży Ra's al Hadd. Swoją ekwipunek schowali pod okrężnicami. Dziewiątego dnia, kiedy słońce zachodziło nad Morzem Arabskim, radar złapał namiary na statek towarowy z Bahrajnu. Gdy zapadła ciemność trałowiec skierował się na południe. Śmierć handlarzowi śmiercią.

* * *

Rozdział 46

Statek towarowy kołysał się niezgrabnie na falach ciemnego morza, a jego dziób wznosił się i opadał niczym rozszluszczony napastnik czyhający na ofiarę. Trałowiec z Ra's al Hadd zatrzymał się niecały kilometr od sterburty nadpływającego statku. Dwie duże, plastikowe łodzie ratunkowe spuszczone z jednej strony trałowca; w pierwszej było dwunastu mężczyzn, w drugiej – dziesięciu mężczyzn i jedna kobieta. Khalehla Rashad znajdowała się między Evanem Kendrickiem a młodym sułtanem Omanu. Wszyscy mieli na sobie obcisłe kostiumy płetwonurków, a ich przyciemnione twarze ledwo było widać w fałdach masek z czarnej gumy. Oprócz płóciennych plecaków na plecach i zabezpieczonej przed działaniem wody broni, wszyscy mieli duże, okrągłe przyssawki, przymocowane do kolan i ramion. Obie łodzie kołysały się na wodzie,

gdy tymczasem statek towarowy parł do przodu przez ciemne morze. Kiedy wielka czarna ściana statku wyrosła tuż przy nich, łodzie ratunkowe podpłynęły bliżej, a szum fal zagłuszał ich silniki. "Piraci", jeden po drugim, przyssawali się do kadłuba statku, a każdy sprawdzał swego towarzysza z lewej strony, żeby się upewnić, że jest bezpieczny. Wszyscy byli bezpieczni. Powoli, jak sznur mrówek oblażących brudną puszkę w śmietniku, komandosi z Omanu dotarli na szczyt kadłuba, do okrężnic, gdzie zdjęli przyssawki i wrzucili je do morza.

–Wszystko w porządku? – spytała szeptem Khalehla Evana.

–W porządku? – oburzył się Kendrick. – Rąk nie czuję, a nogi mam gdzieś tam w wodzie, tak daleko, że boję się spojrzeć. – Dobrze, to znaczy że wszystko w porządku.

–Ty w ten sposób zarabiasz na życie?

–Niezbýt często – powiedziała agentka z Kairu. – Z drugiej strony, robiłam gorsze rzeczy.

–Wszyscy jesteście maniakami.

–Ja nie wchodziłam do budynku pełnego terrorystów, to dopiero wariactwo!

–Ciii – uciszył ich Ahmat Yamenni, sułtan Omanu, z prawej strony Rashad. –

Drużyny wchodzą na pokład. Palestyńczycy zaatakowali zaspanych wachtowych na dziobie, w śródokręciu i na rufie, Izraelczycy zaś wbiegli schodniami na górny pokład i pochycili pięciu marynarzy, którzy siedzieli za grodzią i pili wino. Ponieważ statek znajdował się na wodach zatoki Omanu, strażnicy sułtana pobiegli na mostek, aby formalnie poinstruować kapitana, że statek jest pod ich kontrolą, zgodnie z królewskim rozporządzeniem i że ma utrzymać dotychczasowy kurs. Załogę zrewidowano i odebrano wszystkie noże i pistolety. Zamkniętych w kajutach pilnowały na zmianę trójki, składające się z jednego Omańczyka, jednego Izraelczyka i jednego Palestyńczyka. Kapitan, posępny fatalista, zaakceptował wydarzenia wzruszeniem ramion i nie opierał się, ani nie protestował. Pozostał za sterem i poprosił tylko, żeby pierwszy i drugi oficer zastąpili go o określonych porach. Prośbę przyjęto, kapitan natomiast wyraził swoją filozofię słowami: Arabowie i Żydzi ręka w rękę napadają na statki. Świat jest trochę bardziej zwariowany niż myślałem. Największą jednak niespodziankę zrobił im radiotelegrafista. Podchodzili do pokoju radiowego ostrożnie, dwóch członków Brygady Mosadu i Evan Kendrick pod przewodnictwem Khalehli. Na jej sygnał wywalono drzwi i skierowano pistolety w stronę operatora. Ten wyciągnął z kieszeni małą flagę izraelską i uśmiechnął się: – Jak się miewa Manny Weingrass? – zapytał.

–Wielki Boże! – Tyle tylko był w stanie powiedzieć kongresman z Kolorado.

–Można się było czegoś takiego spodziewać – stwierdziła Khalehla. Przez dwa dni na wodach wokół portu Nishtun komandosi z Omanu pracowali na zmiany, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, w ładowni statku. Działali bardzo dokładnie, ponieważ każdy z nich dobrze znał towar, którym się zajmował; dobrze znał, a więc potrafił skutecznie zniszczyć. Skrzynie zostały ponownie zabezpieczone, nie został żaden ślad sabotażu; wszystko było bardzo porządnie zapakowane, dokładnie tak, jakby zeszło z taśmy w fabrykach broni całego świata i zostało skompletowane przez

Abdela Hamendiego, sprzedawcę śmierci. O świcie trzeciego dnia statek wpłynął do portu Nishtun w Południowym Jemenie. "Piraci" z Zachodniego Brzegu, z Omanu i z Brygady Mosadu, a także agentka z Kairu i członek amerykańskiego Kongresu, przebrali się w ubrania, które mieli w plecakach. W tych półarabskich, półzachodnich wymiętych ciuchach wyglądali na przypadkowo zatrudnionych marynarzy, walczących o przeżycie na tym niesprawiedliwym świecie. Pięciu Palestyńczyków, udając tragarzy z Bahrajnu, ustawiło się przy pomoście, który lada chwila miał być spuszczone. Pozostali przyglądali się obojętnie z niższego pokładu, ludziom tłumnie wyległym na olbrzymie molo w centrum portowego kompleksu. Histeryczne podniecenie wisiało w powietrzu, było wszędzie. Statek stanowił symbol wyzwolenia, ponieważ bogaci i potężni ludzie gdzieś tam uważali, że dumni i cierpiący wojownicy z Południowego Jemenu są ważni. To był karnawał zemsty; przypuszczalnie nie udałooby się ustalić jednomyślnie, czego ta zemsta dotyczy, lecz wykrzywione gniewem usta pod wściekłymi oczyma krzyczały o gwałcie. Statek zacumował i nastroje na molo osiągnęły punkt wrzenia. Wybrani członkowie załogi, pod czujnym spojrzeniem i pistoletami strażników z Omanu, zostali zagnani do pracy i rozpoczął się wyładunek. W miarę jak dźwigi podnosiły skrzynie i przenosiły je na ląd, wściekłe okrzyki witały każdy ładunek. Po dwóch godzinach, na zakończenie wyładunku pojawiły się trzy chińskie czołgi; jeśli wcześniej skrzynie doprowadzały tłum do szału, to widok czołgów wyzwolił najbardziej skrajne instynkty. Żołnierze w wyszmelcowanych mundurach musieli siłą powstrzymać swoich rodaków od wchodzenia na czołgi, które były symbolem siły i uznania... przez kogoś.

–Jezus Maria! – zawołał Kendrick, chwytając Ahmata za ramię i wpatrując się w ludzi na molo. – Spójrz!

–Gdzie?

–Widzę! – krzyknęła Khalehla. Była w spodniach, a włosy schowała pod grecką czapkę marynarską. – Mój Boże, nie wierzę! To on, prawda?

–Kto? – spytał ze złością młody sułtan.

–Hamendi! – odparł Evan, wskazując na mężczyznę w białym, jedwabnym garniturze, otoczonym ludźmi w mundurach i w burnusach. Cały orszak przesuwiał się na molo, żołnierze z przodu robili przejście.

–Ma na sobie ten sam biały garnitur, co na zdjęciu w apartamencie Vanvlanderów – dodała Rashad.

–Jestem pewien, że ma mnóstwo białych garniturów – powiedział Kendrick. – Jestem także pewien, iż jego zdaniem wygląda w nich jak człowiek bez skazy, po prostu anioł. Muszę jednak przyznać, że to facet z jajami – zostawił swój zbrojny obóz w Alpach i zjawił się tutaj, skąd jest zaledwie kilka godzin samolotem do Rijadu.

–No to co? – zdziwił się Ahmat. – Ma ochronę; a Saudyjczycy nie odważyliby się sprowokować tych szaleńców przez podjęcie jakiejkolwiek akcji za granicą.

–Poza tym – wtrąciła się Khalehla – Hamendi wywęszył, że tam skąd przyplłynął ten statek, są większe pieniądze. Zabezpiecza sobie szmal, a to jest warte małego ryzyka.

–Wiem, co on tu robi – powiedział Evan, zwracając się do Khalehli, ale patrząc na

młodego sultana. – "Saudyjczycy nie odważyliby się" – powtórzył Kendrick słowa Ahmata. – Omańczycy nie odważyliby się...

–Nie ma powodu angażować się tam, gdzie działają fanatycy. Niech się topią we własnym bagnie – odparł sultan obronnym tonem.

–Nie o to chodzi.

–A o co?

–Liczymy na to, że kiedy ci wszyscy ludzie, zwłaszcza przywódcy z doliny Bekaa, zorientują się, że większość tego, za co zapłacili, jest kupą szmelcu, Hamendi zostanie nazwany złodziejem pięćdziesięciu milionów. I wtedy jest pariasem, Arabem, który zdradził Arabów za pieniądze.

–To się rozprzestrzeni jak sokoły w powietrzu, jakby to określili moi przodkowie zaledwie kilka dziesiątek lat temu – zgodził się z nim sultan. – Z tego, co wiem o ludziach z doliny Bekaa, nie jedna, a kilkanaście grup wyruszy, aby go zabić, nie tylko z powodu pieniędzy, lecz dlatego, że zrobił z nich głupców.

–Tak by było najlepiej – stwierdził Kendrick. – Na to mamy nadzieję, ale on ma miliony ulokowane na całym świecie i tysiąc kryjówek.

–O co ci chodzi, Evan? – spytała Khalehla.

–Może moglibyśmy popchnąć trochę rozkład zajęć i zapewnić sobie optymalne rozwiązanie. Tam jest kompletny cyrk. Żołnierze z trudem powstrzymują ludzi. Wystarczy odrobina działania, żeby ludzie zaczęli skandować: Farjunna! Farjunna! Farjunna!

–Pokazać! – przetłumaczył Ahmat.

–Jedna czy dwie skrzynie otwarte siłą, pistolety triumfalnie uniesione... Potem znajduje się i rozdaje amunicję.

–I szaleńcy strzelają w górę – dokończyła za niego Khalehla – ale pistolety nie działają.

–Wtedy otwierają następne skrzynie włączył się sultan, porwany entuzjazmem. – Wszystko zniszczone, łodzie ratunkowe pocięte, miotacze ognia odpalone. A Hamendi jest pod ręką! Jak się tam dostać?

–Wy dwoje na pewno nigdzie nie pójdziecie – powiedział stanowczo Kendrick, wzywając gestem komandosa z brygady Mosadu. Mężczyzna podbiegł i Evan szybko mówił dalej, nie dając Ahmatowi ani Rashad szansy odezwania się. Patrzyli tylko na niego, zaskoczeni.

–Wiesz kim jestem, prawda? – zapytał Evan Izraelczyka.

–Nie powinienem, ale oczywiście wiem.

–Jestem uważany za przywódcę całej tej grupy, tak?

–Tak, choć jestem wdzięczny, że są inni...

–Nieważne! Jestem przywódcą.

–Tak jest, jest pan przywódcą. i Chcę, żeby tych dwoje ludzi zostało natychmiast umieszczonych w kajucie, w areszcie domowym. Protesty Khalehli i sultana zagłuszył głos Izraelczyka:

–Czy pan zwariował? Ten człowiek jest...

–Może być nawet Muhammadem, a ona Kleopatry. Proszę ich zamknąć!" Evan

biegiem ruszył w stronę pomostu i rozhisteryzowanych tłumów na molo. Kendrick odnalazł pierwszego z pięciu palestyńskich "tragarzy" i odciągnął go od grupy żołnierzy i oszołomionych cywilów, otaczających jeden z chińskich czołgów. Prędko powiedział mu coś do ucha; Arab kiwnął głową i wskazał na jednego ze swoich towarzyszy w tłumie, gestem dając do zrozumienia, że tamten powie innym. Palestyńczycy rozbiegli się po molo, od jednej rozszalałej grupy do drugiej, krzycząc jak najgłośniej i powtarzając w kółko przesłanie, aż tłum podchwycił hasło. Jak olbrzymia wzbierająca fala, przetaczająca się przez morze ludzi, wybuchł krzyk, w którym tysiące pojedynczych głosów powoli połączyło się w jeden. Farjunna! Farjunna! Farjunna! Tłum całą masą wtoczył się na teren przeładunku, a mała elitarna procesja, której ośrodkiem zainteresowania był Abdel Hamendi, została dosłownie zmieciona na bok, do środka wielkiego zniszczonego magazynu. Głośnie przeprosiny handlarz bronią przyjął z kwaśną miną; wyglądał jakby znalazł się w niewłaściwej części miasta i bardzo chciał się stamtąd wydostać, co by zresztą zrobił, gdyby nie liczył na korzyści finansowe.

–Tędy! – Kendrick usłyszał głos, który znał aż za dobrze. Głos Khalehli. Obok niej stał Ahmat. Z trudem utrzymywali równowagę pośród bulgoczącego, oszalałego tłumy.

–Co wy tu robicie? – wrzasnął Kendrick, przesuwał się do nich między kotłującymi się ciałami.

–Panie kongresmanie – odezwał się sułtan Omanu władczym tonem. – Pan może być przywódcą grupy, co wcale nie jest takie oczywiste, ale ja dowodzę statkiem! To mój oddział go zajął. – Czy wiesz co się stanie, jeśli ona zgubi czapkę albo koszulę i ci szaleńcy zobaczą, że jest kobietą? I czy masz pojęcie jakie przyjęcie czeka ciebie, jeśli komuś cień podejrzenia przyjdzie do... – Przestańcie natychmiast, obaj! – zawołała Rashad, rozkazująco. – Szybciej, żołnierze lada moment przestaną panować nad tłumem i musimy przypilnować, aby stało się to w taki sposób, jak my chcemy.

–Jak? – krzyknął Evan.

–Skrzynie! Te z lewej strony z czerwonymi oznakowaniami. Idź przede mną, sama się nigdy nie przedrę. Potrzymam cię za rękę. To duże ustępstwo z twojej strony. Chodźmy. We trójkę przepychali się w poprzek gęstego, stale poruszającego się, potrącającego tłumy, do stosu skrzyń, powiązanych razem czarną metalową taśmą, o wysokości przynajmniej trzech metrów. Kordon żołnierzy, bliskich paniki, których było za mało, aby złączyli się ramionami i mogli tylko trzymać się za ręce, otaczał kołem śmiertelny ładunek odpychając coraz bardziej niecierpliwym, coraz bardziej wściekłym tłum, żądający: Farjunna, farjunna – pokazania broni, będącej dla tych ludzi symbolem ich pozycji.

–Tam są pistolety i wszyscy o tym wiedzą – wrzasnął Kendrick do ucha Rashad. – Oni zwariowali!

–Oczywiście, że wiedzą i oczywiście zwariowali. Spójrz na te znaki. Na wszystkich drewnianych skrzyniach były odbite dziesiątki tych samych znaków: trzy czerwone kółka, dwa mniejsze w większym.

–Oczy byka, uniwersalny symbol celu – wyjaśniła Khalehla. Oczy byka oznaczają

broń. To Błękitny wymyślił; uważał, że skoro terroryści żyją z bronią to broń ich tu ściągnie.

–Niezły jest w tym nowym interesie...

–Gdzie jest amunicja? – zapytał Ahmat, wyciągając z kieszeni dwa niewielkie, zakrzywione instrumenty.

–Zajmują się tym chłopcy z Zachodniego Brzegu – odparła Rashad, osłaniając się przed falującymi wokół ramionami. – Skrzynie z amunicją nie są oznakowane, lecz oni wiedzą, które to są i otworzą je. Czekają na nas!

–Chodźmy więc – zawołał młody sułtan, wręczając Evanowi jeden z instrumentów, które wcześniej wyciągnął z kieszeni. – Co to?

–Szczypce! Musimy poprzecinać jak najwięcej tych metalowych pasków, żeby skrzynie się rozleciały.

–I tak by pospadały... Wszystko jedno. Musimy popchnąć tębandę szaleńców naprzód i przerwać kordon. Cofnij się, Ahmat, a ty – Kendrick zwrócił się do agentki z Kairu – stań za nami. Kiedy kiwnę głową – kontynuował Evan, krzycząc do sułtana Omanu, gdy przepychali się przez oszalały tłum, który chciał dopaść skrzyń wal tak mocno, jakbyś dopiero co został przyjęty do drużyny baseballowej Patriots.

–O nie, ja szajch – wrzasnął Ahmat. – Raczej jakbym walczył o swój kraj. I tak jest, to są wrogowie mojego narodu.

–Teraz! – zaryczał Kendrick. Evan i młody, silny sułtan rzucili się na ludzi przed nimi, popychając krzyczących terrorystów na żołnierzy. Kordon został przerwany! Nastąpił totalny atak na trzymetrowy, podwójny rząd ciężkich skrzyń... Evan i Ahmat przedostali się między innymi do metalowej taśmy i pośpiesznie zabrali się do pracy swoimi szczypcami. Skrzynie poleciały na dół, a ciężar i siła atakujących spowodowały, że spadały jeszcze szybciej i gwałtowniej. W jednych skrzyniach drewniane klepki rozpadały się same, w innych – rozwalaly je ręce szaleńców. Później, niczym wygłodzona szarańcza atakująca słodkie liście drzew, terroryści z Południowego Jemenu i z doliny Bekaa obleźli skrzynie, wyszarpując broń z plastikowych opakowań i rzucając ją swym braciom. Jednocześnie Palestyńczycy z Zachodniego Brzegu rozdawali naokoło amunicję. Pistolety były różnego rodzaju, wszelkich typów i rozmiarów, żywiłowo wyrwane z opakowań. Wielu nie wiedziało, jaka amunicja pasuje do jakiego rodzaju broni, ale inni, głównie ci z doliny Bekaa, wiedzieli i instruowali swoich mniej uświadomionych braci z Południowego Jemenu. Pierwszy pistolet maszynowy, z którego triumfalnie wystrzelono ze szczytu piramidy śmierci, wybuchł w twarz pociągającemu za spust. Pośród szalejącego hałasu strzelano z wielu pistoletów; oprócz kilkuset pustych trzasków, które nie pociągnęły za sobą żadnych wystrzałów, dziesiątki innych spowodowały eksplozje, które urywały głowy, ręce i dłonie. Urywały! Wybuchła histeria i panika. Jedni, przerażeni, odrzucali broń, inni rozrywali wszystkie nie oznakowane skrzynie. Było dokładnie tak, jak przepowiedział młody sułtan Omanu. Części wyposażenia rozciągano po całym molo, wrywano z pudełek, rozwijano, rozwalano, na siłę wyciągano z plastikowych opakowań...I wszystkim pokazywano. Po każdym kolejnym zbadanym przedmiocie tłum reagował coraz gwałtowniej, ale powodem nie był już entuzjazm,

lecz zwierzęca wściekłość. Pośród wyciąganych rzeczy znajdowały się lornetki noktowizyjne z roztrzaskanymi szklami, drabinki linowe z połamanymi szczeblami, haki pozbawione odpowiednich końcówek, podziurawione butle z tlenem do nurkowania, miotacze ognia z zakleszczonymi dyszami, co gwarantowało natychmiastowe spopalenie temu, kto miałby się nimi posłużyć i wszystkim osobom w zasięgu trzydziestu metrów; rakiety bez zapalników. Wszystko to, pokazane publicznie, spowodowało – jak przewidywał Ahmat – że oszalały tłum poczuł się zdradzony. Wśród chaosu Evan przecisnął się między histerycznie krzyczącymi ludźmi do magazynu w środku wielkiego molo; stanął w odległości metra od ogromnych drzwi. Hamendi w białym garniturze krzychał po arabsku, że wszystko zostanie wymienione; że jego i ich wrogowie w składzie towarowym w Bahrajnie, którzy to zrobili, zostaną zabici, wszyscy co do jednego! Jego protesty wzbudzały jednak wyłącznie podejrzenia. I wtedy zza rogu magazynu wyszedł mężczyzna w ciemnym staromodnym garniturze w prążki. Kendrick zamarł. Był to Crayton Grinell, prokurator i przewodniczący rady rządu wewnątrz rządu. Po chwili szok minął i Evan zastanawiał się, dlaczego poczuł się zdziwiony czy zaskoczony. Dokąd miałby się dać Grinell, jak nie do samego rdzenia międzynarodowej siatki handlarzy bronią? To było dla niego ostatecznie i jedyne bezpieczne schronienie. Prawnik powiedział coś szybko do Hamendiego, który od razu przetłumaczył jego słowa, wyjaśniając, że jego wspólnik skontaktował się już z Bahrajnem i dowiedział się, co zaszło. To Żydzi!, krzyknął. Terrorysty izraelscy napadli na skład towarów, zabili wszystkich strażników i dokonali tych wszystkich strasznych rzeczy.

–Jak mogli to zrobić? – zapytał krępy mężczyzna w jedynym wyprasowanym rewolucyjnym mundurze, obwieszony przynajmniej tuzinem medali. – Cała dostawa była w oryginalnych opakowaniach, nawet pudełka w kartonach; plastikowe oprawy nie naruszone. Jak mogli to zrobić?

–Żydzi wszystko potrafią! – zawołał Hamendi. – Dobrze o tym wiecie. Natychmiast polecę z powrotem, przygotuję jeszcze raz cały ładunek i dowiem się prawdy.

–Co mamy robić w tym czasie? – spytał ten sam mężczyzna, najwyraźniej przywódca rewolucyjnego reżimu Południowego Jemenu. – Co mam powiedzieć naszym braciom w dolinie Bekaa? Wszyscy, wszyscy jesteście zhańbieni!

–Z całą pewnością będziecie mieli okazję do zemsty, jak również waszą broń. – Grinell znów coś powiedział do handlarza bronią i Hamendi znów przetłumaczył: – Mój wspólnik mówi mi, że jeszcze tylko przez następne trzy godziny radar kontroli obszaru będzie wyłączony – co mnie zresztą bardzo dużo kosztowało – i dlatego musimy zaraz wyruszyć.

–Przywróć nam naszą godność, arabski towarzyszu, bo inaczej znajdziemy cię i pożegnasz się z życiem. Gwarantuję wam, że to pierwsze na pewno nastąpi i nie będzie potrzeby zrobienia drugiego. Odchodzę. Uciekną, pomyślał Kendrick. Cholera jasna, uciekną! Grinell podsunął Hamendiemu obłudne, wykrętne słowa i obaj wybierają się odlecieć z tego ośrodka szaleństwa i nadal będą kontynuować swoje szalone, kryminalne interesy, jakby się nic nie stało. Musi ich zatrzymać! Musi coś zrobić! Kiedy dwaj handlarze broni wyszli szybko z magazynu i skręcili za róg, Evan

pobiegł, jak jeszcze jeden rozhisteryzowany terrorysta i przez podekscytowane tłumy na molo zaczął się przepychać w stronę dwóch, elegancko ubranych mężczyzn. Najpierw dzieliły ich metry, później już tylko centymetry. Kendrick wyciągnął swój nóż z długim ostrzem z pochwy przy pasku i skoczył do przodu, otaczając lewym ramieniem szyję Grinella i zmuszając go do obrócenia się w miejscu. Stanęli twarzą w twarz, oddaleni od siebie zaledwie o kilka centymetrów.

–Ty!wykrzyknąłGrinell.

–To za starego człowieka, który umiera i za tysiące innych, których zabiłeś! Nóż wbił się w żołądek prawnika, Evan pociągnął go aż do piersi. Grinell upadł na deski molo pośród wielu biegnących, ogarniętych paranoją terrorystów, nieświadomych tego, że jeszcze jeden, dobrze ubrany, terrorysta został zabity i leży pod ich nogami. Hamendi! Handlarz bronią biegł przed siebie, zapomniawszy oswoim towarzysz, zdeterminowany wyłącznie myślą, aby dotrzeć do pojazdu, który zawiezie go do "czystego" samolotu. Żeby się tylko wyrwać z Południowego Jemenu i pokonać wrogie granice. To się nie może zdarzyć, myślał Evan. Handlarzowi śmiercią nie wolno już nigdy więcej handlować śmiercią! Kendrick dosłownie wyrąbał sobie drogę między biegnącymi i krzyczącymi postaciami. Na końcu molo znajdował się kawałek wybetonowanego pasa, który prowadził do gruntowej drogi, gdzie czekała rosyjska limuzyna marki Zis. Dym z rury wydechowej świadczył o tym, że silnik był włączony w oczekiwaniu na biegnącego pasażera. Hamendi, w swej białej marynarce powiewającej za nim, był już prawie przy samochodzie. Kendrick zmobilizował w sobie takie siły, o jakich mu się nie śniło, ibiegł po betonie, dopóki nogi nie odmówiły mu posłuszeństwa jakieś sześć metrów od samochodu, gdzie Hamendi dopadł właśnie drzwi. Z pozycji poziomej, ledwie utrzymując w obu rękach pistolet, wystrzelił raz, drugi, trzeci... Abdel Hamendi, król na międzynarodowym dworze handlarzy bronią, złapał się za gardło i upadł na ziemię. To jeszcze nie koniec!, huczało w głowie Evana. Trzeba coś zrobić! Przeczłogał się po betonie, sięgając do kieszeni po mapę, którą Błękitny dał każdemu na wypadek rozdzielenia się i ucieczki. Oderwał kawałek papieru, z innej kieszeni wyjął mały tępy ołówek i napisał po arabsku: Hamendi łgarz nie żyje. Wkrótce wszyscy handlarze zginą, ponieważ wszędzie zaczęły się zdrady takie, jak sami dzisiaj widzieliście. Wszyscy; zostali opłaceni przez Izrael i Wielkiego Szatana Amerykę, żeby sprzedawać nam zepsutą broń. Wszędzie. Zwróćcie się do naszych braci w każdym zakątku świata i powiedzcie im to, co ja teraz mówię i co sami dziś widzieliście. Od dziś nie można zaufać żadnej broni. Podpisane przez milczącego przyjaciela, który wie. Z wielkim bólem, jakby znów odnowiły się stare rany, Evan wstał i pobiegł, jak mógł najszybciej, z powrotem między wściekłymi, krzyczącymi ludźmi w stronę drzwi do magazynu. Zanosząc histeryczne jęki do Allacha z powodu śmierci braci padł pod nogi grupki przywódców, w której teraz znajdowali się również rewolucjoniści z doliny Bekaa w Libanie. Kiedy wyciągnęły się do niego pomocne dłonie, rzucił w nie swój papier, gwałtownie się podniósł i wybiegł z magazynu, znikając pośród płaczących żałobnych tłumów, klęczących teraz. wszędzie przy okaleczonych ciałach. W panice usłyszał basowe dźwięki syreny okrętowej – sygnał, że statek towarowy za chwilę

odpłyń. Pięściami wywalczył sobie drogę na koniec molo, gdzie zobaczył Khalehlę i Ahmata, stojących przy pomoście i wołających do ludzi na pokładzie. Byli chyba bardziej spanikowani niż on sam. – Gdzie się, do jasnej cholery, podziewałeś? zawołała Khalehla, piorunując go wzrokiem.

–Wyłgali się ze wszystkiego! – krzyknął Kendrick, kiedy Ahmat wciągnął ich oboje na pomost, który zaczął się odsuwać od brzegu. – Hamendi? – spytała Khalehla.

–Grinell...

–Grinell? – wykrzyknęła agentka z Kairu. – No, oczywiście Grinell – dodała spokojnie. – Gdzieżby indziej...

–Jesteś kompletnym idiotą, kongresmanie! – ryknął młody sułtan Omanu, wciąż popychając przed sobą swoich podopiecznych, teraz już na pokładzie statku, który odpłynął od brzegu. – Jeszcze trzydzieści sekund i zostałbyś tam. Lada chwila tłum mógł się skierować na nas, a ja nie mogłem ryzykować życia tych ludzi. – O rany, ty naprawdę wydorostałeś.

–Wszyscy wykonujemy nasze obowiązki, kiedy nadejdzie pora... I co z Hamendim i z tym, jak mu tam?

–Zabiłem ich.

–Tak po prostu – powiedział z podziwem, choć spokojnie, Ahmat. Wszyscy wykonujemy nasze obowiązki, kiedy nadejdzie pora, wasza wysokość.

Gerald Bryce wszedł do skomputeryzowanego gabinetu w swoim domu w Georgetown i podszedł wprost do komputera. Usiadł i wcisnął przycisk; kiedy monitor się rozjaśnił, napisał kod. Zielone litery zareagowały natychmiast: **DOKUMENT MAKSYMALNIE ZABEZPIECZONY PODŁĄCZEŃ ZEWNĘTRZNYCH BRAK MOŻNA PISAĆ** Młody, uderzająco przystojny mężczyzna, uśmiechnął się i kontynuował pisanie. Przeczytałem wszystkie maksymalnie poufne wydruki przychodzące do CIA i zakodowane tylko dla modemu MJ Paytona. Krótko mówiąc, całe sprawozdanie jest niewiarygodne i można już zauważyć efekty operacji. Do dnia dzisiejszego, zaledwie dwa tygodnie po wypadkach w Południowym Jemenie, zamordowano siedmiu najbardziej znanych handlarzy bronią i szacuje się, że ilość broni wysyłanej na Bliski Wschód zmniejszyła się o 60 procent. Nasz człowiek jest niewyciężony. A teraz przechodząc do meritum: w związku z informacjami, jakie posiadamy, Biały Dom musi – powtarzam: musi – wysłuchać nas, w przypadku, gdybyśmy sobie tego życzyli. Wykorzystamy ten przywilej z największą ostrożnością, niemniej jednak mamy do tego prawo. Ponieważ niezależnie od wyniku, pozytywnego lub negatywnego, państwowe i międzynarodowe prawa zostały pogwałcone, rząd został pośrednio i bezpośrednio powiązany z morderstwem, terroryzmem, korupcją i o mało co nie został oskarżony o przestępstwa przeciw ludzkości. Tak jak postanowiliśmy, musi zawsze istnieć dobroczynna, bezinteresowna siła ponad Białym Domem, która nada mu kierunek; potęgą tej siły polega na znajomości wszystkich, najtajniejszych sekretów każdego rządu. W tym względzie mamy osiągnięcia, o jakich nie śniło się naszym poprzednikom. Jeśli Bóg istnieje, niech nam dopomoże, abyśmy my i nasi następcy zawsze przestrzegali naszych zasad. Przedostatnia rzecz – wydaje mi się, że dźwięk i częściowa kadencja

nazwy Inver Brass nie są zbyt odległe od terminu medycznego:

"intravenous" dożylny. Moim zdaniem to właściwa nazwa. I na koniec

–pracuję nad kilkoma innymi projektami i będę w kontakcie.

Duży czarny mężczyzna siedział w bogato urządzonej kabinie swego jachtu niedaleko Glorious Cay na Bahamach, studiując ekran komputera. Uśmiechnął się. Inver Brass jest w dobrych rękach, młodych zdolnych rękach. Duża inteligencja połączona z uczciwością i chęcią osiągnięcia doskonałości. Gideon Logan, który spędził dużą część swego dorosłego, dostatniego życia na walce o lepsze jutro dla innych – do tego stopnia, że znikł na trzy lata jako milczący, niewidoczny rzecznik Rodezji podczas jej zamiany w Zimbabwe – odczuł ulgę na myśl, że są następcy. Czas się dla niego kurczył, tak samo jak dla Margaret Lowell i dla starego Jacoba Mandela. Prawa natury wymagały, aby ktoś ich zastąpił, a ten młody człowiek, ten atrakcyjny, uczciwy młody geniusz wybierze następców. Wyjdzie to na dobre i krajowi, i światu. Czas się kurczył.

Gerald Bryce wypił kieliszek madery i wrócił do komputera. Był w znakomitym nastroju z wielu powodów, także w związku z tym, co nazwał ich "korporacją świetności". To co było takie nadzwyczajne to oczywistość jej nieuchronności. Ich braterstwo było im przeznaczone, było nie do uniknięcia. Jego początki wzięły się z najbardziej pospolitego wydarzenia: spotkania się ludzi o podobnych zainteresowaniach, przy czym zaawansowane stadia tych zainteresowań wymagały wybitnego intelektu. Ponadto łączyła ich niechęć i brak cierpliwości do społeczeństwa rządzonego przez średniaków. Jedna rzecz zawsze prowadziła do drugiej, wprawdzie nie zawsze prostą drogą, ale nieuchronnie. Kiedy czas pozwalał, Bryce wykladał i prowadził seminaria. Był poszukiwanym specjalistą w dziedzinie nauk komputerowych, który bardzo uważał, aby publicznie nie zdradzać zewnętrznych limitów swej wiedzy. Ale od czasu do czasu trafiała się taka niezwykła osoba, która rozumiała dokąd on zmierza. W Londynie, w Sztokholmie, w Paryżu, w Los Angeles i w Chicago – na uniwersytecie w Chicago. Tych kilka osób zostało poddanych dokładnej analizie, dokładniejszej niż by to sobie kiedykolwiek mogli wyobrazić i – do dnia dzisiejszego – z czterema osobami skontaktowano się ponownie... I ponownie. Nowa organizacja Inver Brass była na razie zamglonym, ale istniejącym zarysem na horyzoncie. Z najbardziej niezwykłą z czterech osób skontaktuje się teraz. Bryce wprowadził kod, napisał: Addendum i przeczytał na ekranie: TRANSMISJA SATELITARNA. MODSAHALHUDDIN. BAHRAJN. MOŻNA PISAĆ.

*** * ***

Rozdział 47

Emmanuel Weingrass kompletnie zadziwił specjalistów, zwłaszcza tych z Centrum Medycznego w Atlancie. Wprawdzie mu się nie polepszyło, a infekcja wirusowa nadal pozostawała śmiertelna, ale też stan jego zdrowia nie pogarszał się w widoczny sposób – postępy choroby były znacznie wolniejsze niż przewidywali specjaliści. Lekarze w żadnym wypadku nie chcieli stwierdzić, że choroba się zatrzymała, byli jednak zaskoczeni. Pewien patolog z Denver ujął to tak: Jeśli przyjmiemy skalę od

jednego do minus dziesięciu, gdzie minus dziesięć oznacza śmierć, ten facet kręci się na poziomie minus sześć i niżej nie schodzi. Ale wirus ciągle w nim siedzi? – chciał się upewnić Kendrick. On i Khalehla wyszli z lekarzem z domu w Kolorado.

–Wciąż się rozszerza, choć nie działa na pacjenta tak jak powinien.

–To pewno z powodu wszystkich tych papierosów, które od nas wyludza i whisky, którą podkrada – stwierdziła Rashad.

–Naprawdę pali i pije? – Patolog był jeszcze bardziej skonfundowany i zaskoczony. Evan i Khalehla pokiwali głowami z rezygnacją.

–To wyjątkowo waleczny zawodnik – wyjaśnił Kendrick – o tak mądrym i przebiegłym umyśle, jak nikt inny, kogo znam. Poza tym, ponieważ prognozy mówiły o bardzo krótkim czasie, jaki mu pozostał, nie obserwowaliśmy go nieustannie wtedy, kiedy z nim byliśmy. – Proszę mnie dobrze zrozumieć, panie kongresmanie, nie chcę panu stwarzać fałszywych nadziei. To jest ciężko chory człowiek, który ma osiemdziesiąt sześć lat.

–Osiemdziesiąt sześć? – wykrzyknął Kendrick.

–Nie wiedział pan?

–Nie. Powiedział, że ma osiemdziesiąt jeden.

–Jestem pewien, że sam w to wierzy, a przynajmniej wmówił to sobie. Jest taki rodzaj ludzi, którzy po skończeniu sześćdziesiątki, po roku obchodzą pięćdziesiąte piąte urodziny. Nie ma w tym oczywiście nic złego, ale chcieliśmy mieć jego pełną historię chorobową, więc wróciliśmy do czasów, kiedy mieszkał w Nowym Jorku. Czy wie pan, że nim skończył trzydzieści dwa lata, był już trzy razy żonaty? – Jestem pewien, że wszystkie trzy nadal go poszukują.

–Ach, nie, wszystkie już nie żyją. Centrum w Atlancie chciało mieć także ich historie chorobowe, na wypadek jakichś ukrytych komplikacji seksualnych.

–Czy sprawdzili też Los Angeles, Paryż, Rzym, Tel Awiw, Rijad i wszystkie Emiraty? – spytała sucho Khalehla., Fantastyczne – powiedział cicho, ale z emfazą patolog, najwyraźniej rozważając ten fenomen nie tylko z lekarskiego punktu widzenia. – Cóż, muszę już iść. Mam być w Denver o dwunastej. Dziękuję panu za możliwość skorzystania z prywatnego samolotu. Zaoszczędziłem mnóstwo czasu. Nic takiego, doktorze. Doceniam wszystko co pan robi i co pan już zrobił. Lekarz zatrzymał się i spojrzał na Evana.

–Zwróciłem się do pana przedtem per panie kongresmanie. Być może powinienem był powiedzieć "panie wiceprezydencie", ponieważ ja, jak większość ludzi w tym kraju, uważam, że powinien pan nim zostać. Prawdę mówiąc, jeśli pan nie będzie się o to stanowisko ubiegał, nie wezmę udziału w wyborach i mogę pana zapewnić, że to samo dotyczy większości moich przyjaciół i znajomych.

–To chyba niesłuszne podejście, doktorze. Poza tym ta sprawa nie została jeszcze rozstrzygnięta... Chodźmy, odprowadzę pana do samochodu. Kalehla, sprawdź, czy nasz dogadzający sobie we wszystkim nastolatek nie kąpie się przypadkiem w szkockiej whisky, dobrze? – Czy myślisz, że weszłabym do łazienki, gdyby się kąpał?... Dobra, idę. – Rashad podała rękę lekarzowi z Denver. – Jestem panu bardzo wdzięczna za wszystko, co pan zrobił – powiedziała. – Uwierzę w tę

wdzięczność, jeśli przekona pani tego młodego człowieka, że naprawdę musi zostać naszym następnym wiceprezydentem.

–Jeszcze raz powtarzam – powiedział Kendrick prowadząc lekarza przez trawnik do kolistego podjazdu – że ten problem nie został jeszcze rozwiązany. Ten problem powinien zostać rozwiązany! – krzyczał Emmanuel Weingrass ze swego leżaka na zabudowanej werandzie. Kendrick i Khalehla siedzieli na swoich zwykłych miejscach na kanapie, tak żeby stary architekt mógł im rzucać groźne spojrzenia. – Co ty sobie myślisz? Wszystko skończone? Bollinger i jego złodzieje faszyści zostali wykopani i nie ma nikogo, kto mógłby zająć ich miejsce? Jesteś aż taki głupi? Przestań, Manny – powiedział Kendrick. – Jest zbyt wiele dziedzin, gdzie ja i Langford Jennings mamy odmienne zdanie, aby prezydent mógł się dobrze czuć z kimś takim jak ja, kto przypuszczalnie zajmie kiedyś jego miejsce – sama myśl o tym mnie przeraża. – Lang wie o tym wszystkim! – zawołał Weingrass.

–Lang? Architekt wzruszył ramionami.

–I tak się niedługo dowiesz...

–Czego się niedługo dowiem?

–Jennings wprosił się tu do mnie na lunch parę tygodni temu, kiedy ty i moja cudowna córka załatwialiście sprawy w Waszyngtonie... Co miałem zrobić? Powiedzieć prezydentowi Stanów Zjednoczonych, że nie mamy tu nic do jedzenia?

–Cholera! – zaklął Kendrick.

–Cicho, kochanie – przerwała mu Khalehla. – To fascynujące, naprawdę fascynujące!

–Mów dalej, Manny! – krzyknął Evan.

–No, omówiliśmy wiele spraw – Jennings nie jest intelektualistą, to prawda, ale jest bystry i widzi rzeczy w szerszej skali, w tym jest rzeczywiście dobry, wiesz.

–Nie wiem, a poza tym jak śmiałeś za mną orędować?

–Jestem twoim ojcem, niewdzięczny durniu. Jedynym ojcem, jakiego kiedykolwiek znałeś! Beze mnie nadal byś tkwił u Saudyjczyków i nie wystarczałoby ci na życie. I nie mów nic o tym, że coś śmiałem zrobić, miałeś szczęście, że to zrobiłem, mów o twoich zobowiązaniach wobec innych... W porządku, w porządku, nie moglibyśmy zrobić tego, co zrobiliśmy bez ciebie, bez twojej odwagi i siły, ale ja tam byłem, więc posłuchaj mnie. Kendrick, zirytowany, zamknął oczy i oparł się wygodniej. Khalehla nagle zrozumiała, że Weingrass daje jej dyskretne sygnały, wymawiając samymi wargami, bezgłośnie, słowa, które bez trudu odczytała. "Tylko udaję. Wiem, co robię." Khalehla spoglądała na niego zaskoczona.

–No, dobra, Manny – powiedział Evan, otwierając oczy i wpatrując się w sufit. – Przestań zawracać głowę. Czekam na konkrety. – To już lepiej. – Weingrass mrugnął do Khalehli i kontynuował: – Możesz odejść i nikt nie będzie miał prawa powiedzieć, ani pomyśleć złego słowa o tobie, ponieważ dług został zaciągnięty u ciebie, a ty nie jesteś nikomu nic winien. Ale ja cię znam, przyjacielu, a mężczyzna, którego znam, ma w sobie pewien rodzaj gniewu, przed którym stara się uciec, lecz to mu się nigdy nie udaje, ponieważ jest to część jego charakteru i osobowości. Krótko mówiąc, nie lubisz skorumpowanych ludzi ja się nie liczę – i dla tego meshugah świata tak się

dobrze składa, że są jeszcze tacy ludzie jak ty. Za dużo jest tych drugich... Widzę jednak pewien problem, który polega na tym, że wielu ludzi twojego pokroju niewiele może uczynić, bo ich nikt nie słucha. Po co ich słuchać? Kim oni są? Intrygantami? Tymi, co chcą rządowi wkładać szprychy w koła? Mało ważnymi agitatorami?... W każdym razie łatwo się ich pozbyć. Tracą pracę, nie awansują, a jeśli to nie pomaga, lądują w sali sądowej, gdzie całe ich życie zostaje zaszargane i obrzucone błotem, które nie ma nic wspólnego ze sprawą, a którą sowicie opłacani adwokaci potrafią wyciągnąć z rękawa. Jeśli w końcu zostają z kartą bezrobotnego, opuszczeni przez żony i dzieci, to jeszcze nie jest najgorzej. Mogliby się na przykład znaleźć pod ciężarówką, albo na torach kolejowych w nieodpowiednim czasie... z drugiej strony weźmy ciebie: wszyscy cię słuchają, spójrz tylko na wyniki badań opinii publicznej. Jeżeli przyjmiemy, że Langford Jennings jest dla tego kraju papieżem, ty jesteś prymasem. Żaden pokątny adwokat nie odważy się postawić cię przed sądem, Kongres tym bardziej. Moim zdaniem masz szansę przemówić z samej góry w imieniu wielkiej liczby, osób, które nigdy nie miałyby takiej możliwości. Lang cię we wszystko wprowadzi... – Lang, proszę, proszę – mruknął Kendrick, przerywając mu. – To nie ja wymyśliłem! – wykrzyknął Weingrass, rozkładając ręce. – Od samego początku zwracałem się do niego per "panie prezydencie", zapytaj pielęgniarki. Wszystkie musiały lecieć do ubikacji, jak tylko wszedł, mówię ci, to prawdziwy mensch. W każdym razie, po drinku, który sam mi podał z barku, jak nikogo nie było w pokoju, powiedział, że działał na niego ożywczo i żebym mu mówił "Lang" i nie zwracał sobie głowy tytułami.

–Słuchaj, Manny – przerwała mu Khalehla – dlaczego prezydent powiedział, że działasz na niego "ożywczo"?

–W nieoficjalnej rozmowie wspomniałem, że ten nowy budynek, który stawiają gdzieś tam – było o tym w "New York Times" – nie jest wcale taki fantastyczny i nie powinien być gratulować temu kretynowi architektowi w telewizji. Te cholerne ozdoby wyglądają jak neoklasyczna art deco i wierz mi, taka kombinacja nigdy dobrze nie wychodzi. I spytałem też, cóż on, prezydent, wie u diabła na temat kosztów budowy metra kwadratowego, które zostały oszacowane mniej więcej w wysokości jednej trzeciej prawdziwych kosztów. Lang ma się tym bliżej zainteresować.

–O cholera – powtórzył Evan, przegranym głosem.

–Wracając do moich argumentów – powiedział Weingrass, z twarzą nagle bardzo poważną, kiedy przyglądał się Kendrickowi, jednocześnie głęboko oddychając. Może już dość zrobiłeś, może powinieneś odejść i żyć szczęśliwie z moją córką Arabką, robiąc duże pieniądze. Kraj, a nawet duża część świata już cię i tak szanuje. Ale może powinieneś także pomyśleć. Jesteś w stanie zrobić to, co potrafią nieliczni. Zamiast ścigać skorumpowanych ludzi, kiedy korupcja i śmierć już miały miejsce, może mógłbyś ich powstrzymać zanim się w to wciągną, przynajmniej niektórych, tych najważniejszych. Proszę cię tylko o to, żebyś wysłuchał Jenningsa. Posłuchaj, co ma ci do powiedzenia. Spojrzeli sobie prosto w oczy, ojciec i syn.

–Zadzwoń i poproszę go o spotkanie, dobrze?

–Nie ma potrzeby – odparł Manny. – Wszystko jest umówione. – Co?

–Będzie jutro w Los Angeles, na obiedzie w Century Plaza; wydanym w celu zebrania funduszy stypendialnych imienia jego świętej pamięci Sekretarza Stanu. Znalazł trochę wolnego czasu przedtem i będzie cię oczekiwał w hotelu o siódmej. I ciebie również, moja droga. Nalegał na to.

Dwaj ludzie z ochrony w korytarzu na zewnątrz apartamentu prezydenckiego rozpoznali Kendricka. Kiwnęli jemu i Khalehli głowami, a mężczyzna z prawej strony obrócił się i nacisnął dzwonek. Po chwili Langford Jennings otworzył drzwi. Miał bladą i wychudłą twarz, z podkrążonymi z wyczerpania oczyma. Spróbował uśmiechnąć się swoim słynnym uśmiechem, ale mu się nie udało. Zrobił coś w rodzaju grymasu i wyciągnął rękę.

–Dzień dobry, panno Rashad. To przyjemność i zaszczyt poznać panią. Proszę wejść.

–Dziękuję, panie prezydencie.

–Evan, cieszę się, że znów cię widzę.

–Ja także, proszę pana – powiedział Kendrick i, wchodząc do środka, pomyślał, że Jennings wygląda starzej niż kiedykolwiek przedtem.

–Proszę usiąść. Prezydent poprowadził gości do salonu, do dwóch stojących naprzeciwko siebie kanap, z okrągłym, szklanym stolikiem między nimi.

–Proszę – powtórzył, wskazując na kanapę po prawej stronie, a sam przeszedł do tej z lewej. – Lubię patrzeć na atrakcyjnych ludzi – dodał, kiedy usiedli. – Przypuszczam, iż moi antagoniści określiliby to jako jeszcze jedną oznakę mojej sztuczności, ale Harry Truman powiedział kiedyś: "Wolę patrzeć na głowę konia niż na jego zad"... Przepraszam za wyrażenie, młoda damo.

–Nie słyszałam nic takiego, co by się kwalifikowało do przeprosin.

–Jak się czuje Manny?

–Nie wygra, ale wciąż walczy – odpowiedział Evan. – Rozumiem, że odwiedził go pan kilka tygodni temu.

–Czy to było bardzo niegrzeczne z mojej strony?

–Nie, lecz trochę niegrzecznie z jego strony, że nic mi wówczas nie powiedział.

–To był mój pomysł. Chciałem, abyśmy obaj mieli czas do namysłu, a w moim przypadku musiałem ponadto dowiedzieć się o panu więcej niż było napisane na kilkuset stronach rządowego żargonu. Udałem się więc do jedyne go źródła, w jakie wierzyłem. Prosiłem, żeby nic panu nie wspominał aż do wczoraj. Przepraszam.

–Nie ma potrzeby.

–Weingrass jest dzielnym człowiekiem. Wie, że umiera – jego diagnoza jest mylna, ale wie, że umiera – i udaje, że traktuje swoją nadciągającą śmierć jak dane statystyczne na budowie. Nie spodziewam się, abym dożył osiemdziesięciu jeden lat, gdyby jednak tak się stało, chciałbym mieć jego odwagę.

–Osiemdziesięciu sześciu – powiedział bezbarwnym głosem Evan. – Ja też myślałem, że ma osiemdziesiąt jeden, ale wczoraj dowiedzieliśmy się, że ma osiemdziesiąt sześć. Langford Jennings przyjrzał się uważnie Evanowi, a później, jakby usłyszał świetny dowcip, oparł się wygodniej i roześmiał, niezbyt głośno, aczkolwiek serdecznie.

–Co w tym takiego śmiesznego? – spytał Kendrick. – Znam go od dwudziestu lat i nigdy się nie przyznał do swojego prawdziwego wieku, nawet w kwestionariuszu paszportowym.

–To się łączy z czymś, co mi powiedział – wyjaśnił prezydent ze śmiechem. – Nie będę was nudził szczegółami, lecz kiedyś wskazał mi na pewną rzecz i miał rację, więc zaproponowałem mu posadę. Powiedział mi: "Przykro mi Lang, nie mogę tego przyjąć. Nie mógłbym pana obciążyć moimi łapówkami."

–To oryginał, panie prezydencie – podsunęła Khalehla. Prezydent spojrzał na Rashad.

–Pani wuj Mitch przesyła pozdrowienia.

–Tak?

–Payton wyszedł godzinę temu. Musiał wracać do Waszyngtonu, ale rozmawiałem z nim wczoraj i uparł się, że przyleci, żeby się ze mną zobaczyć przed spotkaniem z kongresmanem Kendrickiem. – Dlaczego? – zapytał zaniepokojony Evan.

–Wreszcie opowiedział mi całą historię InverBrass. No, niecałą, oczywiście, ponieważ wszystkiego nie znamy. Skoro Winters i Varak nie żyją, przypuszczalnie nigdy się nie dowiemy, kto się dostał do kartoteki Omanu, choć teraz to już nie ma znaczenia. Święta Inver Brass jest skończona. Nie mówił panu tego wcześniej? – Kendrick był zaskoczony, ale przypomniał sobie, jak Ahmat twierdził, iż nie jest pewien, czy Jennings wie o tym wszystkim, o czym Payton powiedział jemu. – Zachował się w tej sprawie bardzo uczciwie, składając rezygnację, którą natychmiast odrzuciłem... Powiedział, że gdybym o wszystkim wiedział, mógłbym się nie zgodzić na propozycję, aby pan ubiegał się o stanowisko mojego zastępcy. Nie wiem, być może, z całą pewnością byłbym wściekły. Teraz to już nie jest ważne. Dowiedziałem się, czego chciałem się dowiedzieć i pan otrzymał mandat od narodu, panie kongresmanie.

–Ależ, panie prezydencie – zaprotestował Evan. – To sztuczne... – Co, u diabła, wyobrażał sobie Sam Winters? – przerwał mu Jennings. – Nie obchodzi mnie, jakimi motywami się kierowali. Winters zapomniał lekcję z historii, którą przede wszystkim on powinien był pamiętać. Zawsze, kiedy jakaś grupa kierujących się słusznymi zasadami wybrańców dochodzi do wniosku, iż jest ponad wolą narodu i zaczyna manipulować tą wolą po ciemku, przed nikim nie odpowiadając, powstaje bardzo niebezpieczne zjawisko. Wystarczy że jeden czy dwóch z tych najwyższych, o całkiem odmiennych ideach, przekona innych lub wymieni jednych na drugich lub przeżyje innych i nie ma już republiki. Ci wielcy z Inver Brass Sama Wintersa nie byli wcale lepsi od bandy zbirów Bollingera. I jedni, i drudzy chcieli, aby wszystko odbywało się wyłącznie tak, jak oni sobie życzyli. Evan zerwał się na równe nogi. Dokładnie dla tych przyczyn... Zadzwoił dzwonek do drzwi apartamentu prezydenckiego; cztery krótkie dzwonki, nie dłuższe niż pół sekundy każdy. Jennings podniósł rękę i spojrzał na Khalehlę.

–Powinna pani to docenić, panno Rashad. Właśnie usłyszała pani szyfr.

–Co?

–Nie jest specjalnie wyszukany, ale działa. Wiem, kto jest za drzwiami, a w tym

przypadku tym "kimś" jest jeden z bardziej wartościowych doradców w Białym Domu... Wejść! Drzwi się otworzyły i wszedł Gerald Bryce.

–Przepraszam, że przeszkadzam, panie prezydencie, ale dostałem właśnie wiadomość z Pekinu i wiedziałem, że chciałby pan ją znać.

–To może poczekać, Gerry. Pozwól, że cię przedstawię...

–Joe...? Imię wysnęło się Kendrickowi, kiedy przypomniał sobie wojskowy odrzutowiec na Sardynię i przystojnego młodego specjalistę z Departamentu Stanu.

–Cześć, panie kongresmanie – powiedział Bryce. Podeszedł do kanapy i podał rękę Kendrickowi, jednocześnie skinął głową Khalehli. – Panno Rashad.

–Zgadza się – wtrącił się Jennings. – Gerry mówił mi, że przekazywał panu pewne dane w samolocie, kiedy leciał pan do Omanu... Nie chcę go za bardzo chwalić, ale Mitch Payton podkupił go Frankowi Swannowi z Departamentu Stanu, a ja go ukradłem Mitchowi. Jest fenomenalny jeśli chodzi o komunikację komputerową i utrzymywanie jej w tajemnicy. Czekają go wielka przyszłość, jeżeli uda się powstrzymać sekretarki.

–Jest pan żenująco uprzejmy – powiedział tonem zawodowca Bryce. – Odpowiedź z Pekinu jest pozytywna, panie prezydencie. Czy mam potwierdzić pańską ofertę?

–To inny szyfr – wyjaśnił Jennings z uśmiechem. – Powiedziałem naszym wiodącym bankierom, żeby nie byli zbyt chciwi w Hongkongu i nie utrudniali pracy chińskim bankom, kiedy w 1997 roku dojdzie do przekazania władzy Czerwonym. Oczywiście w zamian za... – Panie prezydencie – przerwał mu Bryce, z należnym szacunkiem, ale i z nutą ostrzeżenia.

–Przepraszam, Gerry. Wiem, że to ściśle tajne, tylko do wglądu, i tak dalej, mam jednak nadzieję, że już niedługo nie będzie sekretów przed tym członkiem Kongresu.

–A propos – odezwał się ekspert Białego Domu od komunikacji, spoglądając na Kendricka i lekko się uśmiechając w związku z nieobecnością pańskiego personelu politycznego tutaj, w Los Angeles, przyjąłem dziś wieczorem dymisję wiceprezydenta Bollingera. Tak jak pan zażądał.

–To znaczy, że zastrzeli się przed kamerą telewizyjną?

–Niezupełnie, panie prezydencie. Twierdzi natomiast, iż zamierza poświęcić resztę życia polepszaniu doli głodujących na tym świecie.

–Jeśli przyłapię go na kradzieży batonika czekoladowego, spędzi resztę życia w Leavenworth.

–Pekin, proszę pana. Czy mam potwierdzić?

–Z pewnością i przekaż im wyrazy szacunku. Złodzieje. Bryce kiwnął głową Evanowi i Khalehli i wyszedł.

–O czym mówiliśmy?

–O Inver Brass – odparł Evan. – Oni mnie stworzyli i sztucznie przedstawili ludziom jako kogoś, kim nie jestem. W tych warunkach moją nominację trudno nazwać wolą narodu. To oszustwo.

–Pan jest oszustem?

–Wie pan, o co mi chodzi. Ani tego nie chciałem, ani się nie ubiegałem. Jak pan to słusznie zauważył, zostałem wmanipulowany w wyścig i wepchnięty ludziom do

gardła. Nie wygrałem tej nominacji, ani jej nie zarobiłem, zajmując się polityką. Langford Jennings przyglądał się Kendrickowi; cisza była pełna zamyślenia, ale i elektryczności. Myli się pan – powiedział wreszcie prezydent. – Wygrał pan i zarobił. Nie mówię o Omanie i Bahrajnie, ani nawet nie o tajnej misji w Południowym Jemenie – te wydarzenia wynikały po prostu z osobistej odwagi i poświęcenia, które wykorzystano do początkowego zwrócenia na pana uwagi. Tak samo traktuje się bohatera wojennego czy astronautę i w wyniesieniu tego przed opinię publiczną nie ma nic zdrożnego. Występuję jedynie, tak samo jak pan, przeciwko temu, że zrobili to po kryjomu ludzie, którzy łamali prawo i niechcący skazywali innych na śmierć, a ukrywali się za kurtyną wpływów... Pan sobie na to zarobił w tym mieście, ponieważ powiedział pan o rzeczach, o których trzeba było powiedzieć, i naród pana słyszał. Nikt nie wyśmiewał się z tych taśm telewizyjnych i nikt nie mówił panu, co powiedzieć. A to, co pan zrobił na zamkniętych przesłuchaniach wywiadu, wywołało trzęsienie ziemi. Zadał pan pytania, na które nie było prawnie uzasadnionych odpowiedzi i cholernie duża ilość okopanych we własnych szańcach biurokratów, przyzwyczajonych do swojego sposobu działania, do dziś nie wie, co się stało, poza tym, że byłoby lepiej, gdyby się wzięli do roboty. A na koniec powiem panu jako Lang Jennings z Idaho, że uratował pan naród od moich najbardziej gorliwych współpracowników. Nieźle byśmy się z nimi przejechali, nawet nie chcę o tym myśleć. – Prędzej czy później sam by pan ich rozgryzł. Gdzieś, kiedyś jeden z nich posunąłby się za daleko i wszystko wyszłoby na jaw. Widziałem, jak jakiś facet usiłował pana przycisnąć w Owalnym Gabinetcie i o mało się na tym nie przejechał.

–Ach, Herb Dennison i ten Medal Wolności. – Słynny uśmiech prezydenta pojawił się na chwilę. – Herb był twardy, ale niegroźny i robił dużo rzeczy, których sam nie lubię robić. Już go nie ma, praca w Owalnym Gabinetcie wyszła mu na dobre. Został zatrudniony w jednej z tych starych firm na Wall Street, gdzie każdy jest członkiem jakiegoś ekskluzywnego klubu, do którego ani pan, ani ja nie chcielibyśmy należeć, i jest z powrotem z chłopakami od forsy. Herb dostał wreszcie stopień pułkownika, na którym mu tak bardzo zależało.

–Słucham? – spytał Kendrick.

–Nic, nic, niech pan o tym zapomni. Bezpieczeństwo, tajemnica państwowa, i tak dalej.

–Panie prezydencie, wyjaśnijmy sobie pewne rzeczy, z których obaj zdajemy sobie sprawę. Nie mam odpowiednich kwalifikacji. – Kwalifikacji?! Kto na tym świecie ma kwalifikacje do wykonywania mojej pracy? Nikt!

–Nie mówię o pańskiej pracy...

–A mógłby pan – przerwał mu Jennings.

–W żadnym wypadku nie jestem na to przygotowany. Nigdy nie będę.

–Już pan jest.

–Co?

–Niech pan mnie posłucha, Evan. Ja się nie oszukuję. Doskonale wiem, że nie mam ani wyobraźni, ani zdolności intelektualnych Jeffersona, obu Adamsów, Madisona, Lincolna, Wilsona, Hoovera tak, powiedziałem Hoovera, tego genialnego,

potwornie oczernianego człowieka – ani Roosevelta, Trumana, Nixona – tak, Nixona, którego wadą był jego charakter, a nie jego poglądy geopolityczne – ani Kennedy'ego, ani nawet genialnego Cartera, który na swoje nieszczęście miał za dużo szarych komórek. Teraz żyjemy jednak w innych czasach. Mamy doskonale rozwiniętą telewizję, sposoby natychmiastowego porozumiewania się. Posiadam zaufanie ludzi, ponieważ widzą i słyszą człowieka. Widziałem naród rozczulający się nad sobą i pokonany, co mnie rozzłościło. Churchill powiedział kiedyś, że demokracja może i ma liczne wady, ale jest to najlepszy system, jaki człowiek wymyślił. Wierzę w to i wierzę w te wszystkie frazesy, że Ameryka jest największym, najsilniejszym i najlepszym krajem na ziemi. Może świadczy to o mojej prostocie, ale naprawdę w to wszystko wierzę. A ludzie wszystko widzą i słyszą i nieźle na tym wychodzimy... Wszyscy napotykamy na swoje odbicie w innych ludziach. Obserwowałem pana, słuchałem pana, przeczytałem wszystko, co o panu napisano i długo rozmawiałem z moim przyjacielem Emmanuelem Weingrassem. Według mojej sceptycznej oceny musi pan przyjąć to stanowisko – i prawie bez znaczenia jest fakt, czy pan tego chce, czy nie.

–Panie prezydencie – odezwał się cicho Kendrick. – Doceniam wszystko, co pan zrobił dla naszego kraju, ale, szczerze mówiąc, istnieją różnice w naszych poglądach. Jest pan orędownikiem pewnych linii politycznych, których ja nie mogę popierać.

–Wielki Boże, wcale tego od pana nie oczekuję! Oczywiście byłbym wdzięczny, gdyby nie zabierał pan w pewnych sprawach głosu publicznie, dopóki pan ich ze mną nie skonsultuje. Ufam panu, Evan, i będzie pan o wszystkim wiedział. Niech mnie pan przekona, powie, gdzie się mylę – bez obawy ani podlizywania się – tego właśnie potrzebuje ten cholerny urząd! W niektórych sprawach zapędzam się za daleko i powinienem być powstrzymywany. Niech pan spyta moją żonę. Po ostatniej konferencji prasowej dwa miesiące temu wszedłem do naszej kuchni w Białym Domu, oczekując gratulacji. Zamiast tego usłyszałem: "Co ty sobie wyobrażasz, że kim właściwie jesteś? Ludwikiem Czternastym z absolutną władzą? Królik Bugs umiałby to powiedzieć sensowniej". A moja córka, która przyjechała w odwiedziny, powiedziała, że podaruje mi na urodziny podręcznik gramatyki... Znam swoje wady, Evan, lecz wiem także, co potrafię, kiedy mam najlepszych doradców. Pan pozbył się tego świństwa, teraz zapraszam do siebie.

–Powtarzam, nie jestem na to przygotowany.

–Ludzie sądzą inaczej, ja sędzę inaczej. Dlatego może pan spokojnie przyjąć nominację. Niech pan się nie oszukuje, być może działa pan pod presją, ale gdyby pan odmówił byłby to afront dla milionów wyborców. Ludzie z BP dali to wyraźnie do zrozumienia. – BP? Biuro Prasowe? Tylko o to w tym wszystkim chodzi?

–W dużo większym stopniu niż się nam to podoba, ale nie ma sensu zaprzeczać. Lepiej, żeby to byli ludzie tacy jak pan i ja, niż Dżyngis Chan i Adolf Hitler. Mimo tych wszystkich różnic między nami chcemy budować, a nie niszczyć. Z kolei Kendrick przypatrywał się prezydentowi przez dłuższą chwilę.

–Niezły z pana czaruś – stwierdził wreszcie.

–To część mojego zajęcia, panie wiceprezydencie – powiedział Jennings z

uśmiechem. – To i kilka uczciwych przekonań.

–Nie wiem. Po prostu sam nie wiem.

–Ja wiem – wtrąciła się Rashad. – Uważam, że agent terenowy Rashad powinna złożyć rezygnację.

–I jeszcze coś – dodał prezydent Langford Jennings, unosząc brwi. – Powinniście wziąć ślub. Byłoby to szalenie nieprzyzwoite, gdyby mój zastępca żył w grzechu. Czy możecie sobie wyobrazić, co by zrobili wszyscy protestanci, którzy dają nam tyle głosów, gdyby się dowiedzieli o waszych stosunkach? Coś takiego obce jest mojemu image.

–Panie prezydencie?

–Słucham, panie wiceprezydencie?

–Niech pan się, z łaski swojej, zamknie.

–Z przyjemnością. Chciałbym jeszcze tylko coś wyjaśnić, tylko, na litość boską, proszę nie mówić mojej żonie, że panu o tym powiedziałem. Po naszych rozwodach mieszkaliśmy razem przez dwanaście lat i mieliśmy dwoje dzieci. Zawiązaliśmy przysłowiowy węzeł w Meksyku, na trzy tygodnie przed konwencją i sfalszowaliśmy datę ślubu. To jest prawdziwa tajemnica państwowa.

–Nigdy jej nie zdradzę, panie prezydencie.

–Wiem o tym. Ufam panu i potrzebuję pana. I dla naszego narodu będzie znacznie lepiej, jeśli my dwaj będziemy rządzić – myślę tu zwłaszcza o pana roli.

–Mam co do tego wątpliwości – powiedział Evan Kendrick.

–Janie... panie prezydencie. Dzwonek do apartamentu znów zadzwonił. Cztery ostre, krótkie, półsekundowe dźwięki.

* * *

KONIEC

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-06

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/